BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

4767/24

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

1846.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXIV.

WARSZAWA.
W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.
1846.

O STOSUNKACH

Handlu i transportu Warszawy i portów zaniemeńskich.

Transport produktów z Warszawy do Alexoty lub Kowna, a następnie do Jurborgu odbywa się dwojako: lądem i wodą.

Piérwsza kommunikacya ma miejsce po trakcie bitym Warszawsko-Kowieńskim w długości werst 377, czyli mil 54 zwyczajnemi brykami i wozami furmańskiemi w ciągu dni 6—8.

Średnia cena frachtu od Warszawy do Kowna, przez wzgląd na wysokie opłaty myta drogowego na 21 rogatkach (*) i 5 mostach, wynosi według okoliczności w przecięciu złp. 6 od cetnara, jeśli furman ma ładunek powrotny; w przeciwnym razie transport kosztuje do złp. 10. Z niektórych punktów na téj linii np. z Łomży ko-

(*) Artykuł pisany był w r. 1836. Na mocy postanowienia z dnia $^{2}/_{14}$ maja 1838 w miejsce myta drogowego zaprowadzono osobny pobór i dodatkowe opłaty na kommunikacye lądowe i wodne w Królestwie Polskiém. *P. R.*

sztuje fracht do Kowna złp. 5, z Augustowa złp. 3 gdy jest ładunek powrotny; w razie przeciwnym cena ta podnosi się przynajmniéj o złp. 3 na cetnarze.

Cała okolica po drodze od Augustowa do Kowna, szczególnie obwody Kalwaryjski i Maryampolski, mogą dostarczyć w każdéj porze znaczną liczbę furmanów którzy mają sprzężaj dobry i wozy kute.

Kommunikacya wodna odbywa się po linii następującéj:

a) z Warszawy do Modlina rzeką Wisłą po dole mil $4\frac{5}{7}$;
b) z Modlina do Wizny rzeką Narwią do ujścia w tę ostatnią rzeki Biebrzy, w górę..... mil 39;
c) z Wizny do Dębowa rzeką Biebrzą, czyli do punktu połączenia się kanału Augustowskiego z tą ostatnią rzeką, w górę..... mil $9\frac{5}{7}$;
d) z Dębowa kanałem Augustowskim do Niemnowa tojest: do ujścia kanału w Niemen mil $13\frac{4}{7}$;
e) od Niemnowa czyli od ujścia kanału Augustowskiego w Niemen, tą ostatnią rzeką do Kowna po dole..... mil 40;
f) od Kowna Niemnem do Jurborga lub Kucharskini ostatniéj komory pogranicznéj od Prus i Rossyi..... mil $11\frac{3}{7}$;

razem z Warszawy do granicy mil $118\frac{3}{7}$.

Droga ta przy średnio sprzyjających okolicznościach odbywa się zwykle:

a) od punktu Warszawy do kanału Augustowskiego w dniach..... 28;
b) przez kanał wspomniony..... 5;
c) od Niemna do Kowna..... 8—14;
d) od Kowna do Jurborga..... 3— 7.

razem z Warszawy w dniach 44—54.

Są jednak zdarzenia że przy wielkiéj wodzie i pomyślnym wietrze statki mogą spłynąć:

z Warszawy do kanału w dniach..... 8—10.

z Kowna do Jurborga w godzinach... 10—12.

W górę od Kucharskini lub Jurborga statki Pruskie czyli tak zwane baty (1), przy dobrym wietrze potrzebują dni 3 czasu żeby spłynąć do Kowna, od tego punktu zaś do Niemnowa holują wiciny ludźmi (2).

Berlinki nasze biorą:

a) 15 do 18 łasztów czyli 540 do 640 cetnarów na małą wodę, tojest w miesiącach letnich od środka czerwca do końca sierpnia (3).

b) Średni ładunek wynosi 20 łasztów, czyli cetnarów 720, uważając spław przy średnio sprzyjających okolicznościach, tojest dostatku wody średniéj na rzekach.

(1) Baty są daleko większe od berlinek które zwykle 30 łasztów zboża biorą, kiedy baty 50—60 łasztów zabiérają i nurzą się z ładunkiem w wodzie dwa razy głębiéj jak berlinka, co im do żeglugi nie wadzi, gdyż Niemen do Kowna jest nader głęboki.

Bat Pruski z wszystkiemi porządkami kosztuje 8 do 12,000 złp.

(2) Wiciny są statki dawne Polskie płaskie, długie, budowane niezgrabnie i przeciwko wszelkim zasadom sztuki, biorą ładunek 400, 500, 600 do 1000 beczek ciężkiego zboża czyli do 3000 korcy. Niemi to produkta Rossyjskie od miasta Stołpców z nadniemeńskich wyższych prowincyj oraz z nad rzeki Wilii, wpadającéj do Niemna pod Kownem spławiane są do Kowna i Jurborga, zkąd albo daléj tą rzeką i kanałem Królewieckim bywają wysyłane na tychże wicinach do Królewca, albo téż najczęściéj przeładowane na baty i odstawiane do portu Kłajpedy (Memla).

(3) Dla objaśnienia czytelnika czyni się tu uwaga, że łaszty są trojakie: łaszt na wagę towaru zawiéra cetnarów Prus. 31 po funtów 127; łaszt zboża który się składa z 30 korcy i łaszt węgla kamiennego który waży do 70 cetnarów Pruskich.

Przyp. Red.

c) Ładunek wielki przyjąć można na piérwsze wody wiosenne, a mianowicie od początku kwietnia do środka czerwca około, i ten wtedy wyniesie 35 łasztów czyli 1260 cetnarów.

Co do spławu na Narwi. Rzéka ta, jak wiadomo, od czasu zniesienia młynów pływakami zwanych, a za niemi i tam młynowych, stała się mniéj do spławu zdatną, szczególniéj w miesiącach letnich lipcu i sierpniu, dla braku wody. Miejsca najwięcéj trudności w tym względzie nastręczające znajdują się pod i w okolicach Ostrołęki, gdzie Narew trzema korytami płynie i koniecznie trzeba ją sprowadzić do jednego koryta. Rzéka ta przez wykonanie potrzebnych robót wodnych stałby się mogła jedną z nader dogodnych rzék spławnych; gdyby zaś dla zasilenia Narwi użyto wielkiéj massy wód z jezior Wigry za pomocą stosownych robót, czego wykonanie nie jest trudne, jak dowodzi hydrograficzne rozpoznanie okolicy i dopełnione dotąd niwellacye przy kanale Augustowskim, natenczas wątpliwości nie podpada iż rzéka ta stanie się zupełnie spławną nawet na suche lata.

Co do spławu na rzece Biebrzy. Rzéka ta już przed wypadkami wojennemi 1831 uspławniona, jest z natury swojéj jedną z najdogodniejszych rzék do żeglugi, z powodu nader małego spadku ($5^2/_3$ cala na werstę) a ztąd zaledwie czuć się dającego jéj biegu; lecz gdy niektóre części a szczególniéj pod miastem Goniądz i wsią Dolistów przedstawiają trudności w żegludze, wypada przeto takowe uprzątnąć za pomocą stosownych robót faszynowych, dla sprowadzenia wód do jednego koryta. W ogólności spław na Biebrzy ma ciągłe miejsce, a to przez zasilanie jéj wodą z jeziora Sayno, które w skutek wykonanych już robót amelioracyjnych, pod

Augustowem na nowy rezerwoar zamienione zostało; ztémwszystkiém, gdy utrzymanie żeglugi na Biebrzy tylko peryodycznie miejsce mieć może, przez częściowe i w razie potrzeby puszczenie wód ze Sayna, przeto takowa za dostateczną nie może być uważana i nie będzie nią dopóty, dopóki liczne koryta, któremi ta rzéka szczególniéj pod miastem Goniądzem z przyczyn wyżéj podanych płynie, nie będą zamknięte, a główne koryto szeroko rozlane, na nowo ścieśnione. Nadto do ułatwienia spławu po rzece Biebrzy wypada znieść przeszkody, których delluidanci doznają od straży pogranicznéj.

Kanał Augustowski (*) obejmuje 17 szluz, z tych jedna podwójna a jedna potrójna, więc z nowo-projekto-

(*) Nie od rzeczy będzie w tém miejscu przywieść historyę powstania kanału Augustowskiego:

Książę Lubecki ówczesny minister skarbu widząc, jak wielkie szkody Królestwo ponosi przez opłacanie od swych płodów Prusom cła tranzytowego nader wysokiego, powziął myśl celem uniknienia go, utworzyć drogę którąby Prusy ominąć można, bez zwiększenia kosztów przewozu.

Myśl tę ś. p. cesarz Alexander zatwierdził, i wyznaczono jednocześnie kommisye z inżynierów złożone, w Rossyi i Królestwie, które zajęły się bezwłocznie niwellacyami, aby Wisłę z Niemnem a Niemen z Windawą połączyć kanałami, i w ten sposób ominąć Prusy. Po dopełnieniu téj czynności i wykończeniu planów tak w Królestwie jako téż w Rossyi, przystąpiono do ich wykonania i jakby siłą czarodziejską wykończonym został śliczny kanał Augustowski i roboty na rzece Biebrzy żeglugę ułatwiające. Dzieło to znamienite, wykonane zostało z wielką chwałą korpusu inżynierów Królestwa, którzy lubo nieobeznani z robotami wodnemi, przy staranném pouczeniu się i zgłębieniu dzieł o hydraulice traktujących, wykonali kanał, którymby się nawet Holendrzy poszczycić mogli.

Jednocześnie zaczęto i w Rossyi około kanału od Niemna do Windawy pracować. Szkoda tylko iż tam przemiary szluzom dano mniejsze od kanału Augustowskiego tak, iż statki po kanale Augustowskim płynące w szluzy kanału Windawskiego nie byłyby się mogły zmieścić, zkąd wyniknęłaby potrzeba przeładо-

waną na rzece Hańczy pod Tartakiem będzie wszystkich szluz 21.

Każda trzyma: długości 156, szerokości 20 stóp Angielskich; zastosowane są do zwyczajnego rozmiaru berlinek które z rudlem mają: długości 144, szerokości 14—16 stóp Angielskich.

Głębokość kanału wynosi 5 stóp Angielskich, statki po nim idące biorą z ładunkiem wody 3 stopy, 9 cali Angielskich. Przeprawa przez jednę szluzę gdy wszystkie cztéry stawidełka wrotowe są otwarte, wynosi 10 minut czasu. Spław na kanale po jego ukończeniu odpowiadać będzie wszystkim warunkom i potrzebom dogodnéj i bezpiecznéj żeglugi; lecz baczyć należy, że z powodu rozpoczynającéj się budowy nowéj szluzy, rachować nie można, najmniéj przez rok jeden tojest: 1837, na kommunikacyę do Niemna; gdyż ta mimo usilności i pośpiechu w robotach, przynajmniéj przez wspomniony

wania towarów a ztąd większy nakład przewozu. Jakkolwiek bądź dzieło to byłoby niewyrachowane korzyści przyniosło i dla Królestwa przez unikanie cła tranzytowego i dla Rossyi przez zyskanie opłaty za transport naszych płodów z których dotąd Prusy korzystają; lecz wypadki r. 1830 były powodem że robót około kanału Windawskiego w Rossyi zaniechano; skoro tylko koło téj nowéj drogi wodnéj zaczęto pracować, Prusy zniżyły cło tranzytowe w nadziei, że jéj zaniechają i że koszta za przewozy pozostaną im.

Ale książę Lubecki przyjąwszy zniżenie taryffy cła tranzytowego, kanału nie zaniechał, i wybudował go prawie za różnicę między dawniéj a późniéj opłacaném cłem tranzytowém od płodów Królestwa.

Lubo kanał Augustowski utracił swe znaczenie, przez niewykończenie Windawskiego, który właściwie miał być jego przedłużeniem do Windawy nad morzem Baltyckiém; przecież odzyskać je może, jeżeli kolej żelazna od Jurborga do Libawy, któréj plany już są wykonane do skutku dójdzie, czego prędzéj lub późniéj spodziéwać się należy. (Przypisek *K. X. W.*)

rok przerwaną będzie, a jakkolwiek utrzymaćby się dała, nigdy to przecież bez znacznego wpływu na powiększenie kosztów budowy szluzy i dzieł w związku z nią będących nastąpić nie może, a to tylko peryodycznie i nie bez trudności.

Spław na Niemnie od Niemnowa do Kowna może się odbywać z pełnym ładunkiem, zaraz z wiosny do połowy czerwca. Po opadnięciu wód utrudzają go nadzwyczajnie mielizny (1) a szczególniéj raffy (2). Dwaj szyprowie Gotlib i Karol Gretz zamieszkali w Włocławku, którzy w r. b. piérwszy raz przybyli z ładunkiem soli do magazynu Kidule pod Kucharskinią, uważali takich raff od punktu Niemnowa do Olity 8, a od Olity do Poniemonia o milę powyżéj Kowna 40; a zatém na rozciągłości mil 39, około 48 raff. Z tych najtrudniejsze i z niebezpieczeństwem połączone przeprawy są: 1) pod Mereczem; 2) o pół mili wyżéj Olity raffa zwana Świnia; 3) pod Balwierzyszkami gdzie rzéka Balbiera wpada do Niemna; 4) pół mili poniżéj Rumszyszek miasteczka w Rossyi, raffa zwana Bicze lub Czartowska łaźnia. Przejście przez tę raffę z pełnym ładunkiem berlinką konstrukcyi zwyczajnéj, w czasie od środka kwietnia do końca września jest niepodobném prawie, a zawsze niebezpiecznem

(1) Mielizna czyli kosa formuje się tam gdzie rzéka szerzéj płynie i ma grunt piaszczysty; skoro woda zacznie spadać, pędem swoim zabiéra piasek i na jedno zsypując miejsce, tworzy grzywę wpoprzek rzeki idącą która utrudza przejścia.

(2) Raffy czyli zawały kamienne znajdujące się w korycie rzeki. Uważny sternik poznaje one po przelewaniu się wody w tém miejscu i tak powinien statkiem kierować żeby minąć zawał. W czasie małéj wody raffy pod Olitą sterczą nad wodą i Niemen rozbija się o nie z wielkim łoskotem, który można już w znacznem oddaleniu usłyszéć.

i trzeba ⅓ część ładunku lichtować. Nawet tratwy drzewa rozbijają się o tę raffy.

Według powszechnego zdania, dałyby się łatwo uprzątnąć te przeszkody, bo w miesiącach letnich są raffy widoczne tak, że kamienie niemal rękoma dobywać lub rozsadzać prochem i odwozić można. Po puszczeniu zaś lodów na wiosnę w czasie większych i średnich wód, które jak się powiedziało, do połowy czerwca zwykle trwają, żegluga na Niemnie do Kowna dla wszelkich statków jest dostateczną, mianowicie dla szyprów drogę i naturę rzeki znających.

Od Kowna a raczéj od Poniemonia o milę powyżéj do Jurborgu, lubo koryto rzeki ciągle jest kręte i zmienne, lubo znamy płytkości pod Wieloną i Rawdanem między Skirżtymoniem i Jurborgiem, lubo są dziś miejsca gdzie ledwie na 6 stóp jest wody; jednak w ogólności mówiąc spław na téj przestrzeni jest dogodny i bezpieczny w całéj porze trwania żeglugi. Pamiętają że w roku 1812 koryto Niemna było na Polskiéj, dziś znajduje się na przeciwnéj stronie pod Jurborgiem, gdzie na 2 sążnie około głębokie.

Zresztą stan wód tegorocznych nie może służyć za prawidło do ocenienia nowo otworzonéj na Niemnie żeglugi, dla naszych berlinek; gdyż wody Niemna tego roku według robionych postrzeżeń o 9 cali niżéj stały w miesiącach letnich od najniższego stanu, jaki od bardzo wielu lat zaledwie zapamiętają mieszkańcy, a właśnie w tych miesiącach piérwszy raz w tym roku wyszły berlinki z kanału solą ładowne na Niemen.

W miesiącach jesiennych aż do piérwszéj kry, czyli piérwszéj połowy listopada, żegluga po Niemnie znowu jest dogodną.

Aby jednak zupełnie korzystną ją zrobić na linii od Niemnowa do Kowna, wypadałoby używać berlinek ulepszonéj budowy, na wzór statków p. Steinkeller (1). Są to statki płaskie, szerokie i długie, których budowę zastosowano do szluz kanału Augustowskiego; są one więc nierównie większe co do szerokości i długości od zwyczajnych berlinek.

Statki podobne potrzebując mało wody przy znacznym nawet ładunku, nietylko że zabezpieczają i upewniają spław w każdéj porze, ale co większa znacznie ułatwiają tak mozolne prowadzenie zwyczajnych berlinek. Kiedy te przy mniejszym ładunku 2½ do 3 stóp muszą miéć wody, tamte przy średnim ładunku tojest: od 18 do 20 łasztów nie więcéj jéj jak na 18 cali potrzebują; mają więc widoczne piérwszeństwo.

Według zebranych wiadomości, nie posiadamy w kraju na rzece Niemnie dostatecznéj liczby statków wodnych do spławu naszych płodów za granicę, i zależymy po większéj części od batników Pruskich, którzy ceny frachtowe dowolnie stanowią. W gminach Kidule, Błogosławieństwo nad Niemnem i w Kownie mieszka kilku batników mających własne baty. Powyżéj Poniemonia jest

(1) Statki te są budowy p. Konstantego Wolickiego, zwane łodziami żaglowemi, z których ilość znaczną odstąpił p. Steinkellerowi. Łodzie te są zastosowane do stanu wody w rzekach naszych, i z ładunkiem pełnym tylko cali 6 zanurzają się głębiéj od próżnych berlinek; dlatego też w każdéj porze nawet w czasie małéj wody po Wiśle aż za Sandomiérz, po Narwi i Bugu żegluga niemi się odbywa. Zresztą od czasu w którym pismo niniejsze było wypracowane budowę ich p. Wolicki znacznie udoskonalił: opatrzone są teraz dwoma masztami, i pokładem jak na statkach morskich i są hermetycznie zamknięte. Dla przewiewu mają po 20 okien drótowanych po bokach. *Przyp. Red.*

kilku obywateli co posiadają wiciny, lecz te ze swoją krescencyą tylko do Królewca wyprawiają. Baron Keydel w Giełgudyszkach niższych ma także jednę wicinę na której corocznie spławia drzewo opałowe do Tylży. Jest bardzo pożądaném żeby obmyślono środki do budowania statków na wzór statków wyżéj opisanych. Wszakże nie zbywa w kraju na materyałach, łatwo można sprowadzić z Prus majstrów ciesielskich. Majster taki bierze dziennie złp. 4 do 6. Znajdą się przedsiębiercy co ogólnie wezmą na siebie obowiązek budowania batów Pruskich i łodzi żaglowych. Miejsca zdatne nad Niemnem do założenia warsztatów są: Freda przy ujściu rzeki Jesia do Niemna, Giełgudyszki niższe i Kidule. Na kanale Augustowskim najdogodniejsze punkta do budowy statków są: Sosnowo, Augustów, a w końcu Sosnówka. Pomnożenie statków na Niemnie posłuży także poniekąd do zniżenia frachtów Nowodworskich szyprów.

Schronienia na zimę szukają i znajdują szypry Niemeńscy w Niewiaży, pod Czerwonym Dworem, pod Kownem na Wilii, na Dubissie pod Średnikiem.

Ceny frachtu z Warszawy lub Nowegodworu do Augustowa lub Niemnowa, różnią się bardzo pomiędzy sobą. Fracht ten zawisł od stanu wód, od konkurencyi, od liczby statków, od możności pomieszczenia na tych statkach ładunku większego lub mniejszego, od rodzaju ładunku, wreszcie od ruchu w handlu u nas.

Szyprowie zrażeni niepomyślną koleją dla żeglugi trwającą już ciągle od lat kilku od roku do roku, sami nie wiedzą jakich zasad się trzymać i dlatego bardzo wysokich cen żądają, a mimo to nie zawsze na swoje wychodzą.

Według wiadomości zasięgniętych w Ostrołęce, Augustowie i t. d. biorą na przestrzeni od Warszawy do Niemnowa stosunkowo za 1 łaszt (*), pszenicy lub żyta:

Na małą wodę po złp. 72 do 90.
Na średnią... — 48 — 50.
Na wielką.... — 36.

Od cetnara żelaza, wełny lub innego towaru po złp. 1 gr. 10 do 2 1/3 złp. Skoro szyper znajdzie powrotny ładunek do Warszawy, co wszakże rzadko się trafia, fracht spada o 1/3 część przynajmniéj.

Pan Godlewski przedsiębierca rozwozu soli na kołach w gubernii Augustowskiéj z ramienia p. Steinkeller działający, płaci za jednę beczkę soli 3 cet. od Goniądza do Augustowa, w odległości mil 10, złp. 1 do 1 gr. 3.

Fracht od Niemnowa do Jurborgu lub Kucharskini jest daleko tańszy; wprawdzie droga krótsza o mil 26, lecz w żadnym nie jest stosunku z frachtem piérwszym. Podług wiadomości zebranych od kupców handlujących różnemi produktami, średnia cena frachtu wodnego, na

(*) Łaszt pszenicy = 26—27 korcom Warszawskim.
— żyta = 30 ditto ditto
— siemienia = 23 ditto ditto
— jęczmienia = 25 ditto ditto
— owsa = 40—45 ditto ditto
— grochu = 26 ditto ditto

1 łaszt na wagę zawiéra 36 cetnarów Berlińskich.
1 cetnar Berliński równy 127 funtom Polskim.

Jeden korzec o 32 garncach waży:

Pszenicy.....	funt. 240,	grochu, bobu i soczewicy	funt. 230.
Żyta.....	— 220,	rzepy i galarepy.....	— 150.
Jęczmienia.....	— 200,	rutabagi.....	— 200.
Gryki.....	— 200.		
Owsa i pośladów	— 140,	buraków i marchwi.....	— 175.
Sieczki.....	35,	kartofli.....	— 200.

wiosnę i w jesieni na przestrzeni od Niemnowa do Kidul jest następująca:

Od łasztu pszenicy, żyta, siemienia po złp. 12.
Od łasztu jęczmienia i owsa..... — 8.
Od łasztu grochu ..... — 14.
Od cetnaru berl. żelaza, cynku, kości — gr. 20.
Od kamienia czyli 33 funt. berl. lnu, pakuł, wełny, włosów, szczecin, piór i t. d. gr. 6.

Będąc w Niemnowie dowiedziałem się, że całkowity fracht od Warszawy do Kucharskini trzeba zapłacić:

Od 1 łasztu pszenicy i siemienia.. złp. 135.
Żyta..... — 121 gr. 15.
Jęczmienia..... — 108.
Owsa..... — 81.
Od 1 cetnaru żelaza, cynku, lnu, lub innego towaru..... — 2 gr. 15.

Daty te jednak nie zdają mi się być dokładne ile je z cenami innemi sprawdziłem.

W Kucharskini dowiedziałem się, że szyprowie Pruscy baty swoje Niemeńskie od 10 do 20 łasztów wynajmują ryczałtowo za opłatą talarów 6—7 od Kowna do Jurborgu. Co do cen frachtowych wrócę przy końcu.

Koszta przeładowania berlinki do batu Pruskiego lub też wylichtowania berlinki na ląd, wynoszą w przecięciu złp. 1 gr. 10 od łasztu.

Przy wchodzie do cesarstwa z królestwa i wzajemnie o ile się dowiedziałem, na obu komorach zboże w nieprzetworzoném ziarnie żadnym nie podlega opłatom. Jednak komora Rossyjska w Jurborgu li dla Prus ustanowiona, nie ma upoważnienia do przepuszczania produktów i towarów Polskich, expedycye wszelkie muszą być dopełniane w Kownie.

Zdarzył się wypadek że hrabia Zubów właściciel Jurborgszczyzny, zakupiwszy znaczną partyę zboża w Królestwie, w gminie Kidule, od któréj go tylko Niemen przedziela, dla dopełnienia formalności celnéj musiał prowadzić statki 12 mil w górę do Kowna, które potém tam wróciły po dole, zkąd pierwotnie wyszły i gdzie były przeznaczone.

Dnia 14 sierpnia przebyłem granicę pod Jurborgiem. Przedewszystkiém starałem się zebrać wiadomości co do kanału Windawskiego.

Miałem sposobność znalezienia w Podbornikach w powiecie Rosieńskim mil 1 ½ od miasteczka Kelmy podpółkownika Krystyanowicza z korpusu cesarskiego inżynierów kommunikacyj lądowych i wodnych. Kierował dawniéj robotami na rzece Dubissie i udzielił mi to co następuje:

Pod miasteczkiem Srednik, położoném o mil 6 od Kowna i tyleż od Jurborga, wpada rzéka Dubissa do Niemna i to jest punkt gdzie kanał Windawski dotyka ostatniéj rzeki. Pod Kownarami wpada do Dubissy rzeczka Krożenda, która służy za kanał łączący Dubissę pod Szafkijanami z rzeką Wentą, téj zaś ujście jest pod Windawą do morza. Cały kanał długi na blizko 400 werst (mil 57), kończy się poniżéj Goldyngi miasta odległego od 6 do 7 mil od portu Windawy. Tutaj Wenta zapada porogiem (*en cascade*), wszakże na téj krótkiéj przestrzeni nie jest spławną i żadnéj innéj prócz lądowéj nie masz kommunikacyi do portu Windawy. Wielkie jeziora i bagna pod Kurtowianami są punktem rozdziałowym wód.

Na Dubissie co werst 3—4 urządzona jest szluza; na Wencie co 10—20 werst, ogółem wszystkich przeszło 50. Za Goldyngą jeszcze kilka główek (épi) dla ścieśnienia koryta. Długość szluz od jednych wrót do drugich wynosi 83, w świetle trzymają cokolwiek więcéj jak 15½ stóp Angiel., a szerokość statków nie może przenosić takichże stóp 14; pokazuje się więc że też same statki które płyną z Warszawy przez kanał Augustowski nie mogą płynąć w swym czasie na kanale Windawskim. Z pełnym ładunkiem brać będą 3 stóp wody, przeprawa przez szluzy nie ma trwać dłużéj nad minut 10.

Plany szczegółowe kanału dopiéro w roku zeszłym zostały ukończone i zatwierdzone. Wówczas roboty kanałowe przerwane wojennemi wypadkami, miały się rozpocząć na wiosnę 1836, jednak nie na całéj linii lecz wyłącznie na rzece Dubissie, wszakże lato już mija a nic nie przedsięwzięto.

Ile już na ten przedmiot wydano nie mogłem się pouczyć nawet w przybliżeniu, niewątpliwie jednak musiały wyjść znaczne fundusze, skoro na wszystkich punktach jednocześnie i bardzo silnie pracowano; koszta potrzebne dla ukończenia kanału rachują na rub. asyg. 20,000,000 złp. 38 milionów. Robota ma trwać lat dziesięć. Jadąc wzdłuż prawego brzegu Dubissy, zwiedziłem kilka szluz i poczynione dawniéj przygotowania, widziałem przecudnie piękny granit obrobiony, którym mają być wykładane ściany i komory szluz a z którego wiele już uroniono, ujrzałem wypaloną cegłę, drzewo budowlane i opałowe, młynki do tarcia cementu, budowle i t. p. lecz wszystko w złym i popsutym stanie. Zniszczenie najwięcéj spostrzedz można w powiecie Rosieńskim, mniéj ono widoczne w powiatach Szawelskim i Telszewskim.

Z opisania tego przekonać się można, że w dzisiejszym stanie rzeczy, produkta Polskie spławiane kanałem Augustowskim nie inaczéj, z pominięciem portów Pruskich, dostać się mogą na Baltyk, jak tylko lądową drogą. Miasteczko Jurborg, o którém wyżéj wspomniałem, położone na prawym brzegu Niemna, jest punkt najniższy, gdzie on z cesarstwa wstępuje w granicę Pruss. Przystań dla statków dobra a koryto rzeki, jak wyżéj powiedziałem, tędy przechodzi. Są tu dwa spichrze murowane 2 i 3-piętrowe na 600 łasztów, należą do właściciela Jurborgu. Do innych spichrzów i składów prywatnych w mieście, można drugie tyle sypać; nad brzegami rzeki jest wiele i dogodnego placu do wystawienia obszerniejszech magazynów.

Na przeciwko Jurborgu w Kucharskini na stronie Polskiéj są dwa spichrze murowane p. Godlewskiego; jeden spichrz murowany o 3, i jeden drewniany o 2 piętrach p. Lagierszpajta, tudzież kilka innych; w Kidulach rządowe magazyny i szopy polne. We wszystkich tych spichrzach można pomieścić do 2,000 łasztów. Pan Frentzel dziedzic Poniemonia posiada także znaczne spichrze; krótko mówiąc, nie zbywa na nich na lewym brzegu Niemna.

Począwszy od Kowna, gdzie są także magazyny, do Jurborgu, Niemen wszędzie przystępny dla statków do lichtunku.

I tak: Wielony, wieś prywatna p. Zalewskiego o 5 mil od Jurborgu z magazynem murowanym na łasztów 300.

Średnik, miasteczko przy ujściu Dubissy, był tu dawniéj magazyn lecz zabrała go woda; Skirsztymonie o 12 werst powyżéj Jurborgu, rządowe starostwo w posiada-

niu dzierżawném p. Wrangel; tak tu jak przy Wielonach koryto jest na Rossyjskiéj stronie.

Borki o mil 2 powyżéj Jurborgu, własność p. Minejki, zamożnego obywatela z powiatu Wileńskiego, który jak mnie zapewniał podjąłby się własnym kosztem wystawić magazyny. Tutaj Niemen wspólny.

Nieco wyżéj o 2 werst jest miejsce zwane Zamek; należał on dawniéj do familii Giełgudów a teraz zajęty na skarb. Jest to budowla 2-piątrowa, murowana, długa na 80, szeroka na 5 sążni, ściany jednéj brakuje. Gmach ten opuszczony, kryty poczęści dachówką może być z łatwością przerobiony na wielki skład. Mury grubości łokci 2, zdolne są wytrzymać więcéj piąter. Łożysko Niemna tutaj się znajduje.

Zamek ten i Jurborg, uważam za dwa punkta do których statki spływające z Warszawy najdogodniéj przystawać, a produkta nasze sposobem najtańszym, przez Żmudź i Kurlandyą daléj do portów Baltyckich odstawiane byćby mogły.

Rozchodzą się trakty z Jurborgu.

Na Taurogieni....	45	Niemokszty..	49	Niemokszty...	49	Niemokszty..	49	Bardzie.....	21	Bardzie.....	21
		Kołtyniawy..	21	Kołtyniawy..	21	Kołtyniawy..	21	Rosienie.....	24	Rosienie.....	24
								Szydłowo.....	17	Szydłowo.....	17
„ Nowemiasto.	37	Ławkowo.....	21	Ławkowo.....	21	Wornie.....	28	Cytowiany....	7	Cytowiany....	7
„ Szweksne.....	20	Retowo.....	21	Retowo.....	21	Telsze.....	26	Karłowiany..	23	Szawle.....	40
								Szawkiany....	15	Meszkuciel...	8½
		Plungiany.....	21	Plungiany.....	21	Siady.....	20	Kuszany.....	28	Jamiszki.....	20½
„ Gorzdy.....	21							Wexna.....	21	Kalwy.....	24
		Korczany.....	23	Satanta.....	21	*Jełoki*.....	20	Kraj. Kurl.		Mitawa.....	21¾
„ Kretynga.....	16	Kretynga.....	15	Szkudy.....	35	Gramzdew....	18	do		Olay.....	21¾
do		do		do		do					
Połągi.....	12	Połągi.....	12	Lipawy.....	42	Lipawy.....	42	Windawy	105	do Rygi.....	20
werst	151		183		231		224		261		235½
Mil Polskich	21⅓		26⅓		33		32		36¾		33¾

Do Połągi traktem piérwszym pod nad granicą nie jechałem, lecz drugim wychodzącym na Niemokszty. Transport produktów do Połągi, ze względu najbliższego jéj położenia od Jurborga, byłby najtańszy; lecz owa słynna Połąga, niegdyś jedyne miasto portowe Wielkiego księstwa Litewskiego, przestała niém być jeszcze od wojen Szwedzkich.

Dawny port przy ujściu do morza rzeki Święty jest ze wszystkiém zasypany napływowym piaskiem morskim. Okręty kupieckie, żeby nie wpaść na mielizny, trzymają się zawsze w oddaleniu od brzegów przynajmniéj na werst 3 a przystać wcale nie mogą. Między Połągą a Kłaypedą i Lipawą jest kommunikacya wodna, żadnego niemająca znaczenia handlowego, za pomocą statków rybackich o jednym żagielku; statki te zwane czajkami mogą najwięcéj ładować 2 do 3 łasztów, nie idą głębiéj jak tyleż stóp, nigdy na wysokie nie puszczając się morze.

Frachtu biorą do 3 rub. sreb. Wszakże jeden obrotny i spekulacyjny tamtejszy mieszkaniec z którym rozmawiałem, wybudował sobie statek większy o 1 masztelku na który ładuje 6 łasztów zboża lub innego towaru i bardzo często zyskowne odbywa podróże, lecz zawsze ponad brzegiem morza.

Chciałem się dowiedzieć czy przez jezioro Pape o mil 4 od Połągi nie można tu otworzyć kommunikacyi statkiem parowym do jeziora Lipawskiego złączonego z tamtejszym portem; poinformowano mnie że jezioro Pape i wpadające do niego wody tak są błotniste, trzciną i mułem zarosłe, że nawet ryby na niém się nie poławiają i że mniéjby pracy może kosztowało sam port jak

wspomnione dosyć znaczne, bo milę długości trzymające jezioro oczyścić.

Rzeka Święta przy swojém ujściu jest 10—12 sążni szeroką a przeszło 3 sążnie głęboką, lecz piasek morski coraz więcéj zasypuje to ujście. Rzéka ta biorąca początek zpod miasta Szkudy, oraz rzeczki Luba i Barłowa tamże się łączące i wpadające do jeziora Oberbarław, na których widziałem pływające drzewo i gdzie, sądząc po wielkich mostach, na wiosnę muszą być znaczne wody, zasługują na rozpoznanie hydrograficzne, czy z tych wód nie dałoby się utworzyć jakiego systemu kommunikacyjnego z jeziorem Lipawskiém. Górzyste położenie powiatu Telszewskiego zdaje się domysł ten wspiérać.

Zebrane co do Połągi wiadomości kończę nadmienieniem, że Połąga obecnie niczém nie jest inném jak punktem bardzo znacznych expedycyj towarów suchych, szczególnie krótkich i galanteryjnych, które pocztą z zagranicy bywają przesyłane do Petersburga; lecz ile na miejscu słyszałem i to ustanie, bo tamtejsza komora ma być zniesiona i tylko przykomorek pozostawiony.

Wyżéj nadmieniłem, że wcale liczyć nie można na spławność rzeki Wenty od punktu, gdzie kanał do niéj wpada; ale gdyby i tak nawet było, to od Jurborga do Goldyngi transporty lądowe musiałyby przebywać drogę w długości 221 werst. Odległość ta jest większa jak droga do Lipawy i do Rygi a trakt włościanom Żmudzkim przez Kurlandyą, nieznany. W dzisiejszém zatém położeniu nie można się oglądać ani na Połągę ani na Windawę, pozostaje tylko wybór między Lipawą i Rygą.

Od Jurborga do Lipawy jest jednym traktem mil Pols. 32 drugim 33. Na piérwszym do samego Ławkowa werst 91, stan dróg z bardzo małemi wyjątkami nie jest dogodnym do transportów, szczególniéj przestrzeń do Niemokszt, werst 49, bo tamtędy wielki gościniec nie prowadzi. Począwszy od Retowa do Szkud werst 77 mamy gościniec dobry. Grunt po większéj części składa się z czarnoziemu ze szczyrkiem i piaskiem urodzajnym pomieszany, na stacyi od Ławkowa do Retowa mosty potrzebują naprawy; pod Szkudami okolica jest górzysta, wszakże droga dobra i niezła ciągnie się aż o werst 6 przed samą Lipawę, gdzie znowu wielkie piaski utrudzają jazdę.

Drugi trakt do Lipawy mniéj jest uczęszczany bo, od Jurborga aż do samych Telsz, werst 124, prócz stacyi do Niemokszt, droga jest piaszczystą a jeszcze bardziéj gorzystą, ztąd téż Jurborgszczyzna i przyległe jéj włości wolą raczéj wysyłać swe produkta przez Gorzdy do Kłajpedy. Są furmani co jeżdżą na Lubniki lecz jest daléj na mil 3.

Co do traktu Rygskiego następujące daty się nastręczają:

Od Jurborga ciągiem 6 werst gościniec dobry, wielki pocztowy; daléj werst 8 aż do Borków piaszczysty, i taki stan gruntu mniéj więcéj do piérwszéj stacyi pocztowéj Bardzie, zkąd znowu droga jest lepszą do samego miasta Rosienie. Od Rosień do Cytowian dawnym traktem pocztowym mamy werst 24, położenie górzyste, nierówne, drogi wązkie i przejścia dla furmanów przykre, które wszakże w zimie tak nazwanym Laskiem gdzie niegdzie omijają.

Za Cytowianami do Szawel (*) w długości werst 40 droga robi się lepszą i na $2^1/_2$ werst, nie dojeżdżając do Szawel przy karczmie Pohulanka łączy się z bardzo dobrym, zimą i latem, wielkim żwirowym gościńcem pocztowym od Szawel do Mitawy, długim werst $84^3/_4$, 6 werst za Mitawą aż do rzeczki Ekam droga nie zła, tudzież na werst 4 przed stacyą pocztową Olay, zkąd już do saméj Rygi werst 20 jedzie się wielkiemi piaskami, co dziś tym więcéj utrudzające, że z powodu robiącego się traktu bitego od Mitawy do Rygi trzeba nakładać przynajmniéj 8 werst drogi.

Chociaż więc Ryga jest położona od Jurborgu daléj o werst 14 jak Lipawa, za to lepszy stan dróg wynagradza tę odległość; bo na trakcie piérwszym (lepszym jeszcze od drugiego) mamy blizko 100 werst drogi nie dobréj, gdy tymczasem jest jéj tylko 50 werst na gościńcu do Rygi.

Od Taurogieni (Tauroggen), do Rygi dla połączenia traktu Królewieckiego przez Tylżę w Prusiech, rząd każe budować trakt bity i roboty na całéj linii silnie postępują.

Trakt od Taurogieni:

Na Minkszpawe.....	17,
Skaudwile.....	16,
Tymsaycie.....	16,
Kelmy.....	18,
Gordy.....	15,
Bubie.....	16,
do Szawel	15,
razem werst	113,

(*) Na przestrzeni od Rosień do Szawel werst 64, dla górzystego i nierównego położenia, wątpię żeby się dały urządzić z łatwością koleje żelazne, co wszakże bliższego rozpoznania techników potrzebuje. Tu poznałem że wielkich naturalnych przeszkód nie ma.

ma być do przejazdu otwarty we Wrześniu roku przyszłego (*).

Po ukończeniu jednéj połowy zaczną się roboty na drugiéj, a nawet jak mnie dokładnie poinformowano, dukt do Mitawy już wytknięty, a wówczas przez sprostowanie traktu dzisiejsza odległość ze Szawel do Rygi wynosząca werst 125½ zapewne skróconą zostanie.

Trakt do Rygi jest najwięcéj znany i uczęszczany, tu nawet obywatele z ptu. Telszewskiego wysyłają swoje produkta szczególnie siemię, len i konopie które lepiéj płacą jak w Lipawie.

Dla powiatów Szawelskiego i jednéj części Rosieńskiego Ryga jest niemal wyłącznym portem, mówię jednéj części bo druga ma Kłaypedę.

Od Mitawy do Rygi jest kommunikacya wodna, przez co dziś oszczędzić można przykrego transportu lądowego werst 41¾, a cała droga od Jurborgu z 235 zejdzie do 194 werst, co uczyni 30 werst różnicy miedzy traktem Lipawskim najbliższym na korzyść Rygskiego. To jest zmniejszenie z którego dziś możemy korzystać. Lecz i na przyszłość droga ta znacznie się skróci, skoro zostanie ukończony trakt Taurogieński o którym wyżéj wspomniałem; bo wówczas od Niemna z punktu drugiego Zamek, będzie można od Rosień na Kelny urządzić transport produktów; odległość między temi punktami wynosi dzisiaj:

(*) Na części od Taurogieni do Szawel kosztuje jedna wersta rub. as. 22,000. Za sążeń kub. kamienia bierze Blumberg antrepreneer po 66 rub. as., subantreprenerom płaci cokolwiek więcéj jak 70 złp. za sążeń. W ogólności jednak okolica nie bogata w kamienie. Widziałem pola nie obsiane tak czyste jak pod Warszawą.

z Zamku do Rosień..... werst 31,
z Rosien do Kelm..... — 28,

razem werst 59,

czyli niespełna mil 8½ a tym sposobem zamiast jechać z Rosień na Cytowiany, Szydłowo do Szawel werst 64 dawnym gościńcem, już od Kelm mogą transporty dostać się na trakt bity. Sądzę więc że pod względem wcześniejszego transportu Ryga zasługuje na piérwszeństwo przed Lipawą. Najwięcéj zaś ułatwiłby się ten transport, zmniejszyłyby się jego koszta, gdyby zaprowadzano koleje żelazne lub drogę bitą od Zamku na mil 5 do 6 w prostéj linii lub wreszcie od Jurborga do punktu, gdzie droga bita o werst 2 około Niemokszt przechodzi. Wówczas od punktu wylądowania aż do samego portu produkta z Królestwa dogodnym sposobem dostać się będą mogły na Baltyk.

Ładunek zwyczajny który włościanie dziś biorą na parę koni wynosi w zimie, kiedy nie ma sannéj drogi, w lecie

Pszenicy.....	8—10	purów (*)
Siemienia.....	8—10	—
Żyta.....	10—12	—
Jęczmienia ...	10—14	—
Owsa.....	12—14	—

Kiedy zima jest tęga i dobra sanna, co tu w przeciągu lat 7, razy 3 tylko miało miejsce, podobnie jak u nas, ładunek powyższy bierze się na jednego konia. Są jednak furmani mianowicie z okolic bliższych Rygi i Li-

(*) Pur jest to miara Litewska trzymająca 25 garncy równe 22½ garncom Polskim, 3 pury robią 1 czertwert', w Rydze, Lipawie i t. d. pur nazywają Loof.

pawy co ładują na parę koni po 11—12 purów pszenicy i stosunkowo innego ziarna więcéj.

Z porównania miary Litewskiéj z Polską.

Pszenicy purów 10 równe kor. Pol. 7.
Żyta — 12 — — — 8½. } około

a że jak wiadomo:

1 korzec pszenicy waży średnio funt. 240.
1 — żyta — — — 220.

więc:

ładunek pszenicy waży cetnarów Pols. 16.
żyta — — — 19. } około.

Gdyby nawet włościanin i więcéj mógł zabrać na parę koni, to niechętnie to uczyni, bo powyższy ładunek wszedł mu już w drugi zwyczaj, towaru innego np. żelaza można mu więcéj nałożyć bo nie zna się na jego wadze. Furmani żydowscy jeżdżą zwykle we 3 konie i więcéj ładują; są i włościanie mianowicie z okolic nadgranicznych co zwykle 3 koni zaprzęgają.

Prócz jednego, ma włościanin drugi ładunek, a tym jest furaż dla koni na dni 7, 8, 9 i 10, tyle bowiem dni dla odbycia podróży do Lipawy i do Rygi oraz dla powrotu do domu potrzebują furmani w stosunku do czasu, stanu dróg i innych okoliczności.

Przypuszczam że dla utrzymania pary koni w ciągu 8 dni, potrzebuje furman dziennie po funtów 20 owsa i sieczki=5 garncom naszym i potrzebuje po funtów 20 siana, więc furaż waży cetnarów 3, co cały ładunek podnosi do cetnarów 20 przeszło. Kiedy nasz furman na parę koni zabiéra 7 beczek soli = 21 cetnarom po drodze bitéj, to ładunek Żmudzkiego furmana, w stosunku dróg jest znaczny. Trzeba i to wiedzieć że włościa-

nin Żmudzki więcéj może ochrania wozu juk koni, trudniéj mu o piastę i kół, jak u nas o całą brzozę.

Przy dzisiejszym stanie dróg i odległości z Jurborgu do Lipawy i do Rygi godzi się furman, nie od pura lecz zwykle za całą drogę, po 7, 8, 9 i 10 rub. sreb. na kołową a po 4, 5 i 6 rub. sreb, na sanną drogę; lecz ma zarazem obowiązek zabrania z powrotem np. 3 beczek soli, 2 lub 3 beczek śledzi, 12—15 pudów żelaza i t. p.; nie zawsze trafia się ładunek powrotny i furman wraca próżno, lecz dlatego rzadko a najczęściéj nigdy z ceny frachtowéj nie opuści.

W podróży sprawdzając te daty tu i owdzie spotkałem między innemi furmanki jeszcze z za miasta Siady odległego o werst 80 czyli mil 11½ od Lipawy; miały po 25 pudów lnu czesanego i były ugodzone po 2½ rubli srebrnych.

Kupcy tamtejsi mówili mi iż za transport z oddalenia mil 15 mniéj więcéj płacą od pura po 15 do 45 kopiejek srebrnych.

W Plungianach, zkąd jest mil 14 do Lipawy, mówiono mi że furmani biorą 2½ do 3 rub. sreb. i więcéj frachtu; zapewniono mnie że czasami do 5 rubli srebrnych trzeba zapłacić za furmankę od Retowa do Lipawy, gdzie liczą mil 19; że za parokonną furmankę od Jurborgu do Lipawy płaci się zwykle po rubli srebrnych 8; że dają czasami z Rosień do Rygi r. s. 7—8 tamże dokładnie się poinformowałem; na trakcie do Rygi natrafiłem włościan mających po 10 do 11 purów żyta; byli oni jeszcze o mil 8 zza Rosień i ugodzeni po 8 rubli srebrnych.

Za transport od Jurborgu do Mitawy lub do Rygi wypadnie zapłacić 7 — 8 rubli srebrnych przynajmniéj.

Kramarze Jurborgscy wysyłając furmanki (najczęściéj nieładowne) we 3 konie do Rygi po towar, płacą za 50 pudów do 10 rub. sreb.

Ostatnie wypadki zmniejszyły nieco liczbę koni na Żmudzi, coraz trudniéj znaleźć koni prawdziwego zawodu, w czém tu jak we wszystkiém pod względem handlu i przemysłu wywiérają na Żmudź niszczący wpływ sąsiednie Prusy. Wszakże w kraju gdzie każdy włościanin ma po 2, 3, 4 i więcéj koni, na furmankach nie zbywa.

Oto są znaczniejsze majątki zbliżone mniéj lub więcéj do Jurborgu, w których jest dostateczna liczba furmanek. Daty te pochodzą z dobrego źródła i jak mniemam są dokładne. Prócz tego sprawdzałem takowe gdzie się możność podawała.

Połąga	mil 20	fur 700	włas.	Hr. Tyszkiewicz
Retowo	—16	— 800	—	Ks. Ogińska.
Nowemiasto	12—14	— 500	—	Hr. Ronikier.
Szweksnie	14	— 500	—	Plater Franciszek.
Taurogieni	7	— 350	—	Zubów Alexander.
Szawle	16			
Plungiany	19	— 1000	—	Zubów Mikołaj.
Kretynga	20			
Cytowiany	10	— 400	—	Adolf Przeciszewski
Olsiady	18	— 400	—	Biskub Ks. Giedrojć
Wielony	5	— 100	—	Podkom. Zalewski.
Jaswrynie	6	— 100	—	Stokowski.
Kielmy	15			
Skirstymonie	3	— 300	—	Rozmaici.
Srednik	4			
Okolice Jurborgu:				
Czerwony Dwór na	12	—250	—	Hr. Tyszkiewicz Ben.
Żydzi z różnych mias.		500	—	
Razem do		6000		

Daleki jestem nawet nadzieję robić a tém mniéj zapewnić że taką liczbę furmanów można zebrać i choć w partyach pojedynczych sprowadzić do jednego punktu.

Naprzód: niewiele można się oglądać na furmanów z okolic odleglejszych, więcéj nad mil 10 do 15 od Jurborgu.

Powtóre: włościanie bliżéj granicy Pruskiéj mieszkający są zamożni i nie udają się po mały zarobek w strony dalekie, kiedy ten znajdują bliższy i zyskowniejszy w przemycaniu towarów bez opuszczania na długo swoich siedzib; przemycanie to na całéj linii granicznéj od strony Prus jest bardzo wielkie.

Potrzecie: pomiędzy wyliczonemi majętnościami jest wiele takich gdzie włościanie są czynszowi, żadnych nie odrabiają powinności. Właściciel nie może ich przymuszać do żadnéj posługi dla siebie. Lecz kiedy czynszownicy nie uiszczają się, kiedy pan płaci za nich podatki, daje im zasiew, załogi, i t. p. wówczas służy mu prawo ściągać należności różnemi sposobami. W takim więc razie, ile mnie poinformowano, znajdą się chętnie obywatele którzy podejmą się dostawy furmanek. Trafią się i tacy co będą pośredniczyć do układów ryczałtowych wprost z czynszownikami.

Poczwarte: w dobrach prywatnych gdzie włościanin pańszczyznę odrabia, nie wolno panu za tą powinnością użyć go daléj jak na odległość mil 8. Wprawdzie włościanin musi prócz tego odbyć tak zwaną *podróższczyznę* o 20 i więcéj mil, lecz ta podróższczyzna jest do roku jednorazowa i nie wszędzie wystarcza żeby obywatel mógł własne produkta wytransportować. Wszakże trafia się i to dosyć często że można wynająć furmanki z tego tytułu, a nadto można liczyć na furmanki które do-

starczą obywatele w podobny jak wyżéj sposób tojest za remanenta i powinności od włościan.

Popiąte: budująca się droga bita do Szawel dzisiaj zatrudnia i zajmować będzie aż do września p. r. znaczną liczbę furmanek z okolic Jurborgu. Z pewnością można liczyć na furmanów żydowskich; ci mogą ciągle jeździć, a włościanin czy dostawiony przez swego pana, czy sam się wynajmie, raz, dwa, najwięcéj jeśli trzy razy do roku obróci. Wypada teraz objaśnić jakim sposobem odbywa się transport wodny od Mitawy do Rygi.

Pod Mitawą płynie rzéka Aa i w rozwinięciu mil 10 do 12 pod zamkiem broniącym portu, zwanym Bolderaa, wpada do Dźwiny niedaleko jéj ujścia, kilka mil poniżéj Rygi.

Na rzece téj krążą statki jedno-masztowe w kształcie batów Niemeńskich, których używają do spławu z Mitawy do Rygi; fury zbożem naładowane wjeżdżają na most, gdzie statki podchodzą i w nie ładunek swój wysypują; ładunek ten przykrywa się tarcicami, na które dla obrony większéj rozpościerają płótno dziegciem przesycone zwane *prezenim*. Opłata mostowego uczyni od fury 10 do 20 kopiejek srebrnych.

Statki takowe nie są równe, większe i mniejsze od 20 do 40 łasztów i biorą 6 do 7 stóp wody. W Rydze ze statków tych nie ładują prosto na okręty kupieckie, któreby stać mogły w porcie, lecz muszą one płynąć w górę Dźwiny aż pod mury miasta; tu bowiem są miernicy i przysposobienia do fretowania okrętów.

Za transport wodny, który trwa 1, 2 i więcéj dni, podług wiatrów, i za risico płaci się dziś od łasztu jeden rub. sr. 80 kopiejek srebrnych.

Statków nie zawsze dostanie w Mitawie, zamawiać je trzeba wcześnie w Szlokach o 6 mil poniżéj gdzie zwykłe mają stanowisko; można także otrzymać fracht niższy np. 1½ rub., 1 rub. 60 kopiejek sr. jeżeli spław ma miejsce zaraz z wiosny i kiedy żegluga na Dźwinie jeszcze się zupełnie nie otworzyła.

Są w Mitawie spichrze rządowe i prywatne. W piérwszych i drugich, jak mi powiadano, można pomieścić 800 do 1000 łasztów; składowe wynosi od łasztu na miesiąc 10 do 15 kopiejek sreb. Transport ze spichrza do statków, przenoszenie, mierzenie i t. p. wynosi od łasztu 70 do 90 kopiejek sreb. Kto nie jest obywatelem krajowym nie może sam spławiać, lecz musi użyć pośrednictwa kupca Mitawskiego 1éj giełdy za pewnym komissem.

W Rydze trzeba ponieść następujące wydatki: transport ze statku do spichrza od łasztu 50 kopiejek sreb. mierzenie, noszenie i t. p. od łasztu 90 kopiejek srebrnych, składowe na miesiąc od łasztu 12½ kop., na rok 1½ rub. srebr. Opłaty te spadają na kupującego produkt. Na furach dostawia się więcéj do Rygi niż do Mitawy; myto mostowe jak w ostatniém miejscu wynosi od fury 10 do 20 kopiejek srebrnych.

Od zboża wychodzącego z Rygi za granicę cło wynosi:

Od 1 łasztu pszenicy	rub.	1	kop. 9	sr.
1 — żyta	—	—	— 53	sr.
1 — jęczmienia	—	—	— 48½	sr.
1 — owsa	—	—	— 61	sr.
1 — siemienia lnianego .	—	4	— —	
Od 1 berkowca lnu i konopi...	—	1	— 50	sr.

Prócz tego:

Od pszenicy i siemienia po $^3/_4$ }
Od żyta. . . . . po $^1/_2$ } kop. sreb. za cetnar;

od lnu i konopi 10 % od opłaty wychodowéj w końcu dolicza się 1% tak zwanéj kwarantany.

Na rzecz kassy miejskiéj płaci się za powtórne mierzenie, noszenie, wagowe, transport i inne koszta.

Od łasztu 1	pszenicy	rub.	6	kop.	19	sr.
— —	żyta	—	4	—	65	sr.
— —	jęczmienia	—	4	—	16	sr.
— —	owsa	—	4	—	56	sr.

Powiedziano mi że tutejsze domy handlowe przy wysyłaniu znacznych partyj, zmniejszają ostatnie koszta na łaszcie o 1 rubel sreb. lub więcéj; lecz że na mocy związkowego między sobą układu nie wolno im te koszta podawać mniejsze.

Do magazynów rządowych nie przyjmują na skład towarów, szczególniéj zboża ze środka kraju pochodzącego; służą one wyłącznie dla towarów zagranicznych, które morzem przychodzą jakoto: kolonialne, wino, sól i t. d.

Zresztą droższe jest składowe jak po magazynach i spichrzach prywatnych w których 30 tysięcy łasztów można umieścić.

Bardzo mało wyprowadzono tego roku zboża z portu Rygskiego; cały wywóz do dziś dnia był 600 łasztów jęczmienia do Holandyi i 1500 łasztów żyta i jęczmienia do Rewla, Narwy i Petersburga.

Nie masz tu jak w Gdańsku młynów parowych do przetwarzania ziarna na mąkę.

Najznaczniejszy był wywóz lnu, bo berkowców 200,000 i 50,000 łasztów siemienia lnianego, z czego do saméj Belgii 3000 łasztów.

Pszenica stoi dziś 75 do 90 rub. sreb. za łaszt, lecz to jest tylko cena imienna, bo nic w ścisłém znaczeniu tego wyrazu nie sprzedaje się.

Żyto 117 do 118 funtowe 62 rub. sreb. za łaszt.

W Rydze:

1 łaszt pszenicy siemienia i jęczmienia 48 loof 16 czet.
1 — żyta ..... 45 — 15 —
1 — owsa ..... 60 — 20 —

Lipawa jest główny port wywozowy Kurlandyi dokąd powiaty Telszewski, część Szawelskiego i zachodnia strona Rosieńskiego odstawiają swoje produkta, biorąc między innemi wzamian sól i śledzie, które artykuły stanowią jednę z głównych gałęzi handlu przywozowego Lipawy.

Port ma nie wielki ale nadzwyczaj dogodny; jestto kanał kopany wprowadzony do miasta. Z jednéj i drugiéj strony wznoszą się obszerne spichrze, do których okręty podpłynąć i wyśmienicie ładować mogą.

W tém Lipawa ma piérwszeństwo przed Rygą, iż żegluga wiosenna już w miesiącu lutym otwarta. Tymczasem port Rygski póty jest zamknięty, póki Dźwina nie puści, co czasami ma dopiéro miejsce w maju.

Tutejsi kupcy, których będzie do 30, mówili mi iż bywały wypadki, gdzie żegluga przez całą zimę nie była przerwaną. Okręty z Baltyku lubią do Lipawy zawijać jużto dla bliższéj drogi, jużto że zanim się dostaną na zatokę Rygską, przeprawa koło przylądka Domesues, najwyższego punktu Kurlandyi, gdzie są wielkie ławy piaszczyste z niebezpieczeństwem jest połączoną.

Celem wzniesienia handlu Lipawy dla którego port w Kłajpedzie zawsze niebezpiecznym będzie sąsiadem, robi rząd wiele starania. Cło wychodowe jest daleko niższe jak w Rydze, wynosi ono:

Od 1 łasztu pszenicy ..... rub. — kop. 96 sr.
1 — żyta ..... — — — 48 „
1 — siemienia ..... — 1 — 91 „
1 — jęczmienia .... — — — 48 „
1 — owsa ..... — — — 60 „
Od 1 berkowca lnu i konopi. — 1 — — „

Prócz tego:

Od pszenicy i siemienia po $^3/_4$ } kop. sre. za czetw.
„ żyta ..... po $^1/_2$ }

Od lnu i konopi 10% od cła wychodowego, w końcu dolicza się 1% tak zwanéj opłaty kwarantany.

Opłaty do kassy miejskiéj (Abgabe und Kaufmann-Kasse), są daleko niższe jak w Rydze. Za mierzenie, noszenie, wagówe i t. p. kupiec tutejszy, prócz zwykłego kommissu, 2% liczy:

Od łasztu pszenicy ..... rub. — kop. 24 sr.
— żyta ..... — — — 18 „
— siemienia .. .... — — — 30 „
— jęczmienia i owsa . — — — 15 „
Od berkowca lnu ..... — — — 15 „
— konopi ..... — — — 12 „

Przystawiający zboże żadnych nie ponosi kosztów i mierzenie, noszenie i t. p. spadają na kupującego i od łasztu wynoszą 36 do 48 kop. sr., chyba że przedający nie przyjmuje miary kupującego, żąda wyraźnego przemierzenia.

Najęcie spichrza od 100 łasztów kosztuje rocznie 4 do 5 rubli srebrnych.

Wyżéj wspomniałem że na spichrzach nie zbywa: powiedziano mi że 30,000 łasztów da się pomieścić. Dzisiejsze zapasy składają się ze 100 łasztów jęczmienia i 300 łasztów żyta i siemienia.

Wywieziono w tym roku z Lipawy około 10,000 berkowców lnu i konopi do Anglii, 1,000 łasztów jęczmienia do Holandyi, 40 łasztów żyta do Norwegii, i 800 łasztów tegoż ziarna do portów północnych krajowych.

Ceny zboża stoją wyżéj jak w Rydze: pszenica 90 do 91, żyto 67 do 72, jęczmień 35, owies 33 do 36, siemię 72 do 120, len 28, 32 do 36, konopie 15, 17 do 21 rubli srebrnych.

Miary zboża równe jak w Rydze, z wyjątkiem że łaszt żyta równy 48 purom czyli 16 czetwertom, gdy w Rydze łaszt żyta, 15 czetwierti. Różnicy téj kupcy nie mogli mi objaśnić. Tak do Lipawy jak do Rygi nie wysyłają inaczéj pszenicy, żyta i t. p. jak suszone na osieciach (*), i zboże z Królestwa w takim tylko kształcie mogłoby się pokazać na targach tamtejszych.

Wprawdzie proces suszenia zwiększa koszta producyjne, ale za to ziarno jest popłatniejsze o 20 procent.

(*) W każdym folwarku jest jedna lub kilka osieci czyli susza; są to zwykłe proste, długie budynki w kształcie naszych stodół, gdzie w snopkach czyli jak tu zowią kosach rozkłada się na rusztowanie i ciepłem jakie wydaje znajdujący się w suszarni wielki piec murowany od pory do pory się suszy; ziarno takie zepsuciu nie ulega, jest ważniejsze a wydajność jego nic zmniejsza się.

Koszta dostawy od Warszawy do portów Baltyckich.

1. *Od Warszawy do Niemnowca.*

Nie mogąc poprzestać na wskazaniu frachtów przez samych szyprów, jużto że bardzo różne podają ceny, jużto że są interesowanymi ukrywać prawdę, jużto nareszcie że sami dat nie wiedzą jak np. berlinarze ugodzeni przez p. Steinkeller, w ten sposób załatwiam kwestyę główną.

Podług dzisiejszego stanu żeglugi na Wiśle i na Narwi przyjmuję za zasadę że szyper musi zarobić na jednę ryzę złp. 1000 i 1200.

Ryza Isza.

Szyper bierze kiedy:	*Pszenica*	*Zyto.*
(*) Średni statek, średni ładunek, średnia woda.	łasztów 15 po złp. 66 gr. 20 korcy... 405 — 2 — 15 cetn..... 810 — 1 — 7½	łasztów 15 po złp. 66 gr. 20 korcy.... 450 — 2 — 7½ cetn..... 825 — 1 — 6
Duża berlinka, średni ładunek, dobra woda.	łasztów 22 po złp. 45 korcy... 660 — 1 gr. 20 cetn.... 1200 — — — 25	łasztów 22 po złp. 45 korcy.... 660 — 1 gr. 15 cetn..... 1200 — — — 25
Duża berlinka, wielki ładunek, dobra woda.	łasztów 23½ po złp. 43 korcy... 630 — 1 gr. 16 cetn... 1260 — — — 24	łasztów 23½ po złp. 43 korcy.... 700 — 1 gr. 12 cetn.... 1280 — — — 23½

(*) Jeżeli mi kto zarzuci, dlaczego nie zrobiłem rachunku na wodę małą, odpowiem że przy pozycyi I przyjąłem średni statek, więc jedno z drugiém się bilansuje.

2. *Od Niemnowa do Jurborgu.*

Zastosowywam się tutaj do wyżéj podanych cen czyli od łasztu pszenicy i żyta złp. 12.

Ten fracht połączony z ryzą IIgą obejmuje następujący wykaz:

Szyper bierze kiedy:	*Pszenica*			do Jurborgu zł. 12=92 gr.	*Żyto*			do Jurborgu zł. 12=92 gr.
Średni statek, średni ładunek, średnia woda.	łasztów 15	po zł. 80 gr.			łasztów 15	po zł. 80 gr.		
	korcy 460	—	2 gr. 28	— — 3 — 12	korcy 450	—	2 — 20	— — 3 — 2
	cetn. 810	—	1 — 14	— — 1 — 21	cetn. 825	—	1 — 13	— — 1 — 20
Duża berlinka, średni ładunek, dobra woda.	łasztów 22	po zł. 54 gr.	16	zł. 12=66 gr. 16	łasztów 22	po zł. 54 gr.	16	zł. 12=66 gr. 16
	korcy 600	—	2 — — — —	2 — 13	korcy 600	—	1 — 24 — —	2 — 6½
	cetn. 1200	—	1 — — — —	1 — 6½	cetn. 1200	—	1 — — — —	1 — 6½
Duża berlinka, wielki ładunek. dobra woda.	łaszt. 23½	po zł. 51 gr.	2	zł. 12=63 gr. 2	łaszt. 23½	po zł. 51 gr.	2	zł. 12=63 gr. 2
	korcy 630	—	1 — 27	— — 2 — 10½	korcy 700	—	1 — 20	— — 2 — 3½
	cetn. 1260	—	— — 28	— — 1 — 5	cetn. 1280	—	— — 29	— — 1 — 5

Więc z przecięcia trzech ostatnich summ, kosztuje fracht:

Od Warszawy do Jurborgu:

Pszenicy korzec..... złp. 2 gr. 21½.
Żyta..... — 2 — 10½ (*).

3. *Od Jurborgu do portu Baltyckiego.*

Przyjmuję za podstawę do rachunku że furman biorąc:
Pszenicy purów 8, 9, 10, 11 do 12.
Żyta... — 8, 9, 10, 11, 12, 13 do 14.

Bierze w przecięciu:

Pszenicy purów 10 równe korcom Pols. 7
Żyta... — 12 — — — 8½ } około

Że fracht kołową drogą wynosi 6, 7, 8, 9, 10 } rubli
— sanną — 4, 5, 6, } sreb.

a zatém kosztuje:

Pszenicy 1 korzec złp. 6 gr. 15.
Żyta — — 5 — 13.

Powtórzenie.

Od Warszawy do Jurborgu { pszenica złp. 2 gr. 22½. / żyto — 2 — 11½.
Od Jurborgu do Baltyku { pszenica — 6 — 15. / żyto — 5 — 13.

A zatém wynosi fracht dzisiaj:

Od Warszawy do Baltyku.

Za korzec pszenicy złp. 9 gr. 7½.
— żyta — 7 — 24½ (**).

Wszakże cena ta znacznemu ulega zmniejszeniu, bo jak wyżej objaśniłem, modyfikuje ją fracht lądowy od ładunku który furman obowiązany jest zabrać powrotnie.

(*) Do tego doliczyć należy koszta wylichtowania w Jurborgu od korca po groszy Pols. 1.

(**) Podług tych zasad dadzą się obliczyć koszta transportu innych gatunków zboża, których oznaczenie wag wyjęto z dzieła znanego p. Kolberg, Porównanie miar i wag.

PRZEWÓZ PRZY KAZIMIERZU LUBELSKIM.

Legienda

PRZEZ

Ad. Am. Hosińskiego.

Piękny krajobraz mieli przed sobą podróżni.

Nowo wybudowane miasto Kazimiérz zasiadło u stóp olbrzymiego wzgórza, tuż prawie ponad brzegiem Wisły; rozmaitego kształtu i wielkości jego domy to się skupiały w obszerne ulice i rynek, to rozbiegały w różnych kierunkach po wzgórzach i czeluściach parowu. Ostre szczyty wieży klasztornéj i dwie parafialnego kościoła, wznosząc się wysoko pod mgłę chmur, zdawały się wskazywać wiernym wyznawcom świętéj chrześciańskiéj wiary, cel ich ziemskiego bytu, w troskach pociechę, modłów kierunek — niebo.

Na stromym i opoczystym pagórku, w małéj odległości od miasta, rozsiadł się zamek, górując nad skromnemi domami nowego grodu, przenosząc je siłą i wzrostem, wydawał się niby ojciec — orzeł pilnujący swych dziatek, niby baczny pastérz czuwający nad bezpieczeństwem swéj trzody.

Na prawo miasta inny widok; tam założyciel grodu, mądry i gospodarny Kazimiérz trzeci, odwiecznego rodu Piastów ostatni odłamek, długim rzędem frontami do Wisły, kazał wznieść spichrze i składy zbożowe.

A te wszystkie budowle, obszerne, piątrowe, całe złotém napełnione zbożem, świadczyły o zamożności kraju, jéj rękojmią były.

Mury zaś ich grube, fronty rycersko wystąpione naprzód, przekonywały że i bronić w razie potrzeby potrafiłyby powierzonych sobie skarbów krainy.

Przy mieście rozlegle na prawo i lewo, jak mętna Wisła szeroką wstęgą rozdziela Sandomiérską od Lubelskiéj dzierżawy potoczyste wzgórza, jedne wieńczy ciemną koroną świerkowy las, inne pług rozrył na skiby, odział w złote szaty zbóż i majowy płaszcz pastewnych roślin; na szczytach zaś tych wzgórzy dojrzysz tu i tam, to skromną zagrodę wieśniaka, to parafialną świątynię lub wreszcie szlachecki dworzec, o ganku obszernym, o dachu wysokim, otoczony wirydarzem pełnym drzew owocowych i wonnego kwiecia.

Na skraju zaś widnokręgu, na wzgórzu wyższém od innych, dumnie wznosi się Bochotnicki zamek, jednocześnie wybudowan z Kazimiérzem, lecz niepodzielający jego ziemiańskich zatrudnień: hardy rycerz wyłącznie myśli o boju; z twardéj opoki na któréj siedzi, chciwie i groźnie pogląda swemi żelazną kratą zbrojnemi oknami, czy z któréj strony nie nadciąga wróg, aby mu czémprędzéj plunąć w oczy chmurą strzał, zaszczekotać dzirytem i szablą.

A daléj na milę i dwie, niby ramy obrazowi, bladomodra wstęga lasu, tych odwiecznych kniei Lubelskiéj dzierżawy, które jéj mieszkańcom za niedostępną stają

warownię, w razie gdy zuchwały Jadźwinga lub groźny Mogoł, jéj bujne najeżdżają niwy,

Oczy jednak podróżnych nie błąkają się po tym cudnym widnokręgu, nie rozpatrują jego piękności, inny je przedmiot zajmuje.

Cały przestwór niebiosów gruba chmura zaległa, tak gruba a czarna, jakiéj może nie widziałeś w twém życiu; słońce nie zapadło jeszcze za okoliczne wzgórza i lasy. Przyniosła jednak mrok późnego wieczoru, mrok tęskny, chłodny, uroczysty, ponury; niby ten co cię ogarnia, dreszczem przejmuje, gdy wejdziesz w podziemia kościelne, między groby twych przodków, lub w wnętrza gotyckiéj świątyni, między groby trzydziestu ubiegłych pokoleń.

Ta zaś gruba i czarna chmura, zwiesiwszy się w brudnych i gęstych tumanach tuż ponad mętnemi falami Wisły, nie samą sobą tylko straszyła podróżnych; zygzaczą po niéj błyskawice, huczy w niéj grzmot, burza w całéj jeszcze nie rozwinęła się sile, ale ją napędza, na swych potężnych skrzydłach niesie wicher gwałtowny, porywczy, sykliwy.

I zachwycona jego burzliwym oddechem Wisła, ta rzeka nasza tyle poważna, tak zwyczajnie spokojna, zaczyna się sromać, gniewać, bałwanić, modre fale poczerniały kałem dna, piętrzą się, tłuką jedne o drugie lub o piaszczysty brzeg i niby złe, że gdy one gniewne, człek śmiał swoją łódź na nie rzucić, tę łódź ujmą w mgliste swoje ramiona, szamoczą nią, rzucają bez odetchu, bez litości.

A gdy Wisła tak miota ową łodzią, gdy co chwila zgubą jéj grozi, przestrachu skargi i modłów głośne brzmią z niéj wykrzyki.

Bo na łodzi mnóstwo podróżnych, wszystkie główniejsze stany z ich odzienia napotkasz; są panowie, rycerze i szlachta, jest kupiec, filozof i żołnierz, mieszczanie i wieśniacy, niewiasty, dzieci i starce.

Zanim zaś zbliżyła się burza, a zbliżyła się tak nagle, pogodny choć upalny dzień zakłóciła tak niespodziewanie, że jéj nawet baczne oko sternika dopatrzyć, jego żeglarski instynkt przeczuć nie zdołał. Oto jakie i w jakim porządku było osiedlenie łodzi.

Zaszczytną jéj część zasiedli panowie i szlachta, twarde ławki dla wygody pokryli makatem, rozwinęli nad sobą, aby się od skwaru letniego słońca zasłonić, bogaty namiot.

Cztéry zaś osoby reprezentowały magnacki stan: Elżbiéta z Bochotnicy, żona słynnego Poznańskiego wojewody Maćka Borkowicza, jéj siostrzenica Jadwiga z Dzierżykraju, Spytko Zaklika Lubelski kasztelan, i młody rycerz Toporczyków prozarpij, Otto z Szczekarzowa Tarło.

Szlachta również liczbę reprezentantów liczyła; piérwszym z nich jest dziedzic na Głusku (wiosce niedaleckiéj od Kazimiérza) Maciéj Zerwikaptur Kulesza, drugim plenipotent kasztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk; z dwóch innych, jeden zagrodowy pan brat herbu Dębno, Grześko Powała, drugim dworzanin wojewodziny i jéj koniuszy Jakób Strzemieńczyk.

Szlachta i panowie, jak to wspomniałem, wyższą część zajmowali łodzi; w iéj środku usadowił się pośredni stan, w swych członkach: żołnierzu, juryście, akademiku Krakowskim i dwóch Kazimiérskich mieszczanach.

Nie mam potrzeby skreślać postawy ni charakteru żołnierza; stary wojak jak większa część jego kolegów był

zamaszysty, rubaszny, wąsaty, w ustach grube naśmieszki lub przekleństwa, w oku siła i męztwo, serce proste, poczciwość wielka, dodaj trochę ogłady i lepsze zasady moralne, a miałbyś wyśmienitego człowieka.

Filozof akademik Krakowski całkiem inna figura; człowiek to nizki, pękaty, a cały czarno ubrany, na głowie doktorski biret, żywy rumieniec na twarzy, na zwiększoném łysiną czole dumna powaga, drobne oko żywo świéci i pyszne na okrąg miota spojrzenie, słusznie zaś tak jest a raczéj w trop charakteru akademika, dumny swoją mądrością, pyszny nauką, z góry na wszystkich pogląda i za nic sobie ich ma; cóż bowiem oni, umiejąż to co on? rozumiejąż co on rozumié? Czy bogaci magnaci, czy uboga szlachta, cóż dopiéro głupia czerń, godnaż mu zawiązać u trzewika rzemyk?

Każdy gatunek głupstwa jest szczęściem, a przedewszystkiém zarozumienie.

Kupiec niepospolita figura przebiegu i rachunku; blady, wysoki a chudy, umieścił się tuż przy akademiku, wsparł się na dwóch pękatych pełnych srebra workach i duma, a duma czy rozliczając swoje zyski wczorajsze, czy straty zeszłego tygodnia... Jak doktór w nauce, on w złocie swoje szczęście widzi, lecz doktór zadowolniony tém co umié, kupiec niezadowolniony tém co ma, grosz grosza, tysiąc innego tysiąca obudza pragnienie i nasz spekulant w bezustannéj pracy wiedzie życie i ono mu niby długi jeden dzień gorączki, w któréj trawi pragnienie, a napój brany do ust nie gasi go lecz owszem podwaja.

Z dwóch mieszczan, jeden Kazimiérski ławnik, zamożny kilku domów właściciel, dumny majątkiem i urzędem, rozparł się szeroko na ławce, charcze, dyszy,

pot z czoła ociera a półgębkiem z obok siedzącym kolegą rozmawia; ten ubogi rzemieślnik, szczęśliwy że z swym ławnikiem na jednéj ławie usiadł, opowiada mu swoję niedolę, zajścia z żoną, kłótnię z sąsiadem, nieprzyjaźń pana burmistrza, wreszcie zakrój jurysty na jego chudobę.

A ten jurysta był właśnie na łodzi, nie pocieszna ale wiele znacząca figurka, chytry, przebiegły, ruchawy, o sumienie mało dba, bo brudne, że nie warte niczego; prawo mu obszerną knieją w któréj do woli może polować, téj kniei zna wszystkie ścieszki, łów więc idzie korzystnie, na łodzi nawet bezczynnym nie jest; to z dziedzicem na Głusku układa plany procesu, i obrony przeciw wierzycielom, to ubogiego mieszczana straszy, aby kilka groszy wyłudzić od niego.

Niższa część łodzi, a ta w któréj sternik rudlem kieruje, cała zapełniona gwarnym biédnym tłumem: są tam starcy i dzieci, mężczyzni i niewiasty a wszystko gmin, czerń, poddani wiejscy, okupnicy królewscy, i miejska Kazimiérska hołota; i tam przecież odcienia stanów widoczne, zamożni gospodarze i ich żony, sołtys, radni i służba dworska, arystokracyę gminu stanowią; plebejuszami są, wyrobnicy i parobcy, dwóch żydów w obdartych opończach, dróciarz Słowak, chłopiec blady, chorobą strawiony i głodny, bo w tych stronach mało odbycia, i wreszcie, żebrak z torbami na plecach a kijem o jeżowéj skórze w ręku; i dwóch łotrów opryszków o groźnych postawach, dzikiém spojrzeniu, których w dybach pod sąd Grodzki wiedzie miejski pachołek.

Co do niewiast, tych jest pięć: żona sołtysa z córką, obie strojne w korale, w bawełniane spódnice i jubki wyłożone futrem; przekupka Kazimiérska, jéjmość indy-

czéj postawy, spasła, rumiana, jéj język kołowrot w bezustannym ruchu; biédna jakaś wieśniaczka z drobném dziecięciem u piersi, i druga, któréj stanu trudno odgadnąć, ubiór bowiem dosyć bogaty; jedwabna sukienka, manele na piersi, srebrne kolce w uszach, a na nogach żółty kurdybanowy trzewiczek, młodość téż jest i urody nie brak, a jednak niby parya w owym tłumie, gdzie się obróci każden unika, przedewszystkiém niewiasty, ona nie zważa na to, wyszukała najdogodniejsze miejsce i sadowi się na niém a uśmiecha się i minki stroi; jéj zaś wzrok przedewszystkiém ku wyższéj części łodzi zabiega, nie bez przyczyny zaś, odpowiada mu bowiem drugi, a to Jakóba Strzemieńczyka poufnego wojewodziny.

Co się tyczy wojewodziny i innego państwa, że mało dotąd zajmowałem się niemi, teraz to uczynić wypada.

Wielmożna to i poważna osoba pani z Borkowic; wysoki ród i dostojność poznasz z jéj powiérzchowności od razu, ubiór bogaty, ciężki jedwabny płaszcz i suknia z podobnéj materyi, na piersi złoty łańcuch, na szyi Uryańskie perły, chłodna powaga na twarzy, usta blade i wązkie, oko dumne miota spojrzenia, dostojnością swoją przesiąkła, puszy nią i od świata się zagradza. Nie jest to kobiéta, nie jest żona i matka, lecz tylko wojewodzina, piérwsza dygnitarka w kraju, pani jaśnie wielmożna.

Przy grabini z Borkowic siedzi jéj siostrzanka Jadwiga z Dzierżykraju, wielce szlachetnego rodu Nałęczów dziewica, wychowanka wojewodziny; jest jak ona poważna, układna i dumna, młoda krew nie grzeje duszy, serce może w piersi jest, ale czyż ono ma bić, czy ma żywszém jakiém uczuciem ozwać się? Gdzieżby znowu tak było! Alboż kochanie przystoi hrabiowskiéj ple-

mienniczce? plebejuszowie niech się miłują, uczy ciotka; to ich rzecz, nie raz jedyna w biédzie pociecha; od wysoko urodzonych dziewic podobne głupstwo dalekiém być winno; szczęście dla nich, nie jakieś tam uczucia serca, wzajemność, lecz świetny tytuł, honory i obszerne imiona.

Za panną z Dzierżykraju do jéj ucha nachylony, stoi Otto z Szczekarzowic; urodny to młodzian, lat mu najwięcéj dwadzieścia pięć, włos czarny, wąs czarny, strój bogaty, jedwabny kaftan, podobnyż płaszczyk, na głowie kapelusz o strusiém piórze, za pasem kordelas o złocistéj rękojeści, u kordybanowych czerwonych bótów złote ostrogi, bo téż modny to kawaler pan Otto, ulubieniec niewiast i piérwsza ozdoba dworu króla Kazimiérza, z czary życia pełną miarką pije, na wołowéj skórze nie spisałbyś jego miłosnych intryg; teraz przecież wyłącznie grabianką Jadwigą zajęty, dla niéj opuścił dwór, dla niéj nudne życie w Bochotnickim zamku wieść będzie; straszy go to wspomnienie, ale przyszłość pociesza, niech tylko rękę grabianki otrzyma, jéj rękę, a z nią nie miłość; mało zważa na taką drobnostkę, lecz milionową fortunę, trzy miasta, cztérnaście zamożnych sioł, powróci do Krakowa, wynagrodzi sobie nudy konkurów, wynagrodzi z lichwą ciężar piérwszych dni małżeńskich węzłów. Rozwija się przed nim w czarujących kolorach przyszłość, a przyszłość szczęśliwa, bogata w złoto i wszystkie rozkosze żywota.

A gdy Otto z Szczekarzowic szeptał do ucha narzeczonéj, nie oświadczenia miłośne, kłamać bowiem nie umiał, a nadto snadno zrozumiał że nie trafiłyby one do zimnego serca grabianki, lecz gdy w czarownych obrazach pluskał jéj w oczy blaskiem piérwszego miejsca na dworze, urokiem turniei, bogactwem sukienek, świetno-

ścią rydwanów; inną Spytko Zaklika wiódł z wojewodziną rozmowę.

Wielki zaś i możny pan był ten Spytko Zaklika, człowiek, jak wszyscy Toporczykowie, rycerski, za Łokietka Krzyżaków pod Płowcami bił, Tatarów i Litwę bił na Rusi Czerwonéj i Podolu już za Kazimiérza, dzielnie zaś walczył, trzeba prawdę dać, nie raz znakomicie przyłożył się do zwycięztwa, nie raz go swoją okupił krwią; ale cóż, samo rycerstwo nie zdobi człowieka, trzeba jeszcze aby miał serce w piersi, sumienie w duszy; sumienia i serca brak przecież kasztelanowi, twarda stal jego zbroi, lecz twardszy jego charakter, silne ramię lecz duma jeszcze silniejsza. Téj dumie położyć hamulca nie sposób, pohamować namiętności także nie sposób, wszystkie zaś one szpetne, złość, gniéw, upór, zawiść; dlatego kasztelan w powszechnéj niesławie i zgrozie u całéj krainy, co dzień skargi do króla przychodzą, jako sąsiada najechał, wdowę lub sierotę bez opieki, z majętności wyrzucił, poddanego za lekkie jakieś tam uchybienia, wziął na tortury; kupca Ormiana z fortuny odarł, żyda bisurmana, że pieniędzy dać okupem nie chciał, powiesił. Król Jmć, dobry pan, lecz sprawiedliwy a często i surowy sędzia, dobry kier rad widzi w kraju, a solą mu w oku bezprawia, dlatego napominał zuchwałego panka, do powinnego uszanowania praw skłaniał; lecz gdy nie pomogły łagodne słowa, rozgniewał się, odjął magnatowi zaszczyty, infamią zagroził, a z dworu i rady wygnał.

Co do czterech szlachty, różne ich postawy, ubiory, jak zamożność i charaktery różne. Dziedzic na Głusku jegomość spasły, pękaty, puszy swoją fortuną choć długów na niéj nad wartość, i za wielce ważną ma się personę bo swéj moralnéj nicości nie widzi. Plenipotent ka-

sztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk, figura Judaszowego układu, słodkie jego spojrzenie, ukłony nizkie, uściski gęste, słówka szalbiercze zawsze na podorędziu, bo też pan Jacek łotr jak drugiego na Bożym świecie trudno napotkać; lichwiarz, łgarz, pieniacz, lecz że wierny sługa pański, że ślepo do odebranych rozkazów umie się stosować, a gdy krzywdę ludzką mają na celu, to i wypełniający je z naddatkiem; miły więc, poufny,—wierność jednak przeszkodą nie jest słudze aby pana nie kradł, dlatego u plenipotenta grosz niedziwo, kapitały są to w gotówce pod łóżkiem w brudne obwinięte szmaty, to na procencie u tego i tamtego panka, a nie pytaj jak je pozyskał, straciłbyś do pieniędzy pociąg. Nie jeden z tych groszy brudzi łza poddanego, nie na jednem jego krew błyszczy; inne skojarzyła lichwa i kradzież, lub frymarka poczciwością i zbawieniem duszy.

Gdy ubiór pana Jacka, brudny, wyblakły właśnie jak jego sumienie i charakter, butny za to i strojny jego kolegi dworzanina wojewodziny Jakóba Strzemieńczyka; ten też ubiór dziwowiskiem dla wszystkich, zkąd nań starczy człowiek co nie ma żadnéj fortuny a ordynaryi ledwie ćwierć kopy na rok? czy skarb gdzie odkopał, czy Ormiana kupca w lesie przydybał i jego worek znalazł przypadkiem w swoiéj kieszeni? Nie ma potrzeby szukać skarbów i cudzych worków pan Jakób; bujny wzrost, olbrzymia siła, kruczy wąs i rumiana twarz, jego skarb. Niemi on pozyskał względy pani z Borkowic, a za względami stroje i grosze,—szczęśliwy gdy podobną frymarkę, szczęściem zwać można....

Grześko Powała, zagrodowy szlachcic z blizkiéj wsi Wąwolnicy, człowiek któremu choć Pan Bóg 50 lat życia pozwolił, los nie nastręczył ni służby tak wygo-

dnéj jak panu Jackowi Skórze, ni tak wdzięcznéj jak Strzemieńczykowi, pozostał biédnym jak był biédnym jego ojciec i dziad, jak bez wątpienia syn i wnuk będzie, a przecież Grześko więcéj od innych na grosz pracuje, od wczesnego rana na roli; nie schodzi z niéj aż o późnym mroku, każdą garść ziemi swéj chudoby poruszy, ni jednego na niéj nie przepomni kłosa; lecz cóż, sama praca nie da chleba, trzeba miéć szczyptę przebiegu w głowie, a choćby łut jeden szczęścia w zapasie. Przebiegiem nie grzeszy nasz szlachcic, szczęście nie dopisało, więc biédny, a tak biédny że litość bierze, że denar w kalecie cud, kromka chleba posypana solą, wielki zwłaszcza na przednówku bankiet.

Otóż gdy się tak działo jak rzekłem, gdy wojewodzina z kasztelanem układali bujne plany przyszłéj zemsty i krwawéj wojny, gdy młody Tarło szeptał grabiance w ucho opis rydwanu, który właśnie na ślub obstalował u Niemca Maurstina w Krakowie, filozof akademik Krakowski Grześkowi Powale i żołnierzowi obok stojącemu, w górnolotnych wyrażeniach tłómaczył dziwy nieba i ziemi, gdy Gaszka niewiastka z Gaszkiem dworzaninem domyślne zmieniali spojrzenia, a wieśniacy i hołota gwarnie rozprawiali o tém i o owém, o swym dziedzicu i księdzu plebanie, o włodarzu i biédzie, burza o któréj wspominałem, z całą potęgą wybuchła.

— Do wioseł, do roboty, chłopacy! Kuba, zwiń żagiel! donośnym głosem wykrzyknął stérnik, flis znany w całéj okolicy z swéj sprawności, stary rzeczny wyjadacz, co Wisłę znałlepiéj od swéj chaty, bo pół kopy lat plondrował po niéj w różnych kierunkach. Do roboty chłopacy, wołał swym wioślarzom, czy widzicie Poświst, wyciągnął ku nam ramiona.

Chłopacy przewoźnicy, czterech ich było— w żylaste dłonie wiosła ujęli, Kuba starszy między niemi zwinął żagiel, a łódź popchnięta stérem i wiosłami, szparko niby strzała szybować ku Kazimiérskiemu brzegowi zaczęła.

Ale choćby miała sokole skrzydła, nie zdołałaby przecież ujść orléj burzy, w jednéj minucie dogoniła ją ona, objęła w mgliste swoje ramiona, i jak to rzekłem na wstępie, zbiła z drogi i miotała po gniewnéj rzece.

Niepodobna opisać trwogi jaka wtedy ogarnęła podróżnych: ten się modlił, ów skarżył; ten biadał i ręce łamał, ów radził, inny z strachu głowę postradał, kasztelan do sternika podbiegł.

— A łotrze, a chamie, zgubiłeś nas!

— Ja nic nie winien, jaśnie panie, Bógby zgadnął że pogoda tak się nagle zmieni, ni jednéj chmurki gdyśmy od tamtego brzegu ruszyli nie było na niebie.

— Ale nie ma niebezpieczeństwa? jak sądzisz?

Stérnik spojrzał na niebo i na łódź i Kazimiérski brzeg, — jak długo żyję na świecie, nie widziałem podobnéj burzy, odparł.— Boże nas strzeż, pozwól przepłynąć war, lecz gdy będzie daléj jak jest, choćby ćwierć godziny, wątpię abyśmy mogli zdążyć do lądu, nim się orkan rozdąsa.

Ale orkan nie czekał na ucieczkę łodzi; ledwie dorzekł swoich słów stérnik, jasna zygzaczna błyskawica czarne chmury rozdarła, i równo z jéj przenikliwym pobłyskiem, grom z trzaskiem walącego się świata, uderzył w rozhukane fale Wisły.

— Jezus Marya ratuj! a słowo stało się ciałem! czterdzieści głosów wykrzyknie razem. Stérnik rudel z ręki wypuścił, magnat odskoczył na parę kroków, połowa

podróżnych na kolana upadła, grom był tak nagły a blizki że się wszystkim zdawało, uderzył w samą łódź.

Wojewodzina blada, drżąca, podniesie się z swojego miejsca, nogi dygoczą pod nią, głos drży, sternikowi woła:

— Dla Boga, poczciwy człowieku, ratuj! uratujesz, sto złotych mieć będziesz.

— A gdy nie, to na piérwszém drzewie powiesić cię każe, dodał ochłonąwszy nieco z trwogi a wtrop swego charakteru kasztelan.

Stérnik ujął za rudel, nie straszy pogróżka magnata, nie nęci suta nagroda jaśnie pani, ale skłania do pracy poczciwość i obowiązek.

I łódź znowu fale szybuje, i wicher szparko ją niesie, jeszcze kilka chwil a dopłyniem do brzegu, szepce stérnik. Boże wiedź.

— Dopłyniem, powtórzył radośnie tłum; nadzieja w sercach odżyła, zapomniano o niebezpieczeństwie, o wichrze, o burzy, lecz burza nie zapominała o nikim.

Nowy błysk rozdarł niebiosa, nowy grom zahuczał obok. Wisła się wzburzyła, wicher z podwojoną wściekłością a przeciwnie kierunkowi łodzi zawył, i uniósł ją na bezdenne fale rzeki, a gdy sternik opór chciał stawić, rudel pękł mu w ręku, i z rąk przewoźników wyślizgnęły się wiosła.

To wszystko było jednéj chwili wypadkiem.

Co się działo w sercach podróżnych, każdy snadno zrozumie, opisać tego nie sposób.

Któryś z przewoźników poszepnął:

— Boże! miéj nas w swojéj opiece; o staje drogi daléj, a w kierunku prędu rzeki stérczą pod wodą opoki, gdy łódź w nie uderzy, w drobne kęsy ztrzaska się.

Szept to był cichy a jednak posłyszeli go wszyscy, niby każdemu zosobna poniesiony był w ucho.

I nie zważając na świst wichru, ryk fal, piorunów trzask, wszystkie oczy zwróciły się ku fatalnym opokom o których wspominał przewoźnik; te opoki niby szczątki zniszczonego mostu ciągnęły się wszerz rzéki, ich szczyty ledwie że źdźbłami występowały nad fale, a jednak były dojrzane od wszystkich.

A nietylko że były dojrzane, lecz owszem powiększone trwogą, nabiérały olbrzymiego rozmiaru, wzrastały w niebotyczne wzgórza, w nieprzebyte wały; o ich szczyty, tak się zdawało podróżnym, wspiéra się czarna chmura, z ich brudnych czeluści wyskakują gromy, obwija je, niby piastunka w powijaki dziecko, w kłęby płomieni, ognista błyskawica.

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków zmiłuj się nad nami, jednogłośny był wykrzyk podróżnych.

I Bóg się zmiłował.

Na łodzi, właśnie w jéj środku, stanął jakiś młodzian lat 30 mniéj więcéj. Średniego on był wzrostu, ubiór skromny, zwierzchnia szata modréj barwy, fałdzista, włos jasno długi, miękki, rozdwojony nad białém a szerokiém czołem, oko niebieskie, spojrzenie dziwnego uroku, nieco tęskne lecz miłe, spokojne, poważne.

I gdy niém powiódł na okrąg, większa część podróżnych wzdrygnęła się, a nie z trwogi, nie z troski, lecz dla niezbadanéj siły pociechy, jaka z niego w ich dusze pełnym strumieniem zabiegła.

I niby czarodziejskiego zrządzenia wolą, najwięcéj trwożliwi nabrali otuchy; najgłośniéj rozpaczający, umilkli.

I co więcéj, jakby oczekując co rzeknie cudowny młodzian, ucichł grzmot, wicher ukoił się, i błyskawica nie majaczyła po czarnéj chmurze, ale niby skamieniała w połowie biegu, zawiesiła się ponad głową nieznajomego, obwinęła ją tym blaskiem jakim malarze otaczają głowy boskich wybrańców.

A wszyscy pojęli że chce coś mówić i słuchali w milczeniu, obawie, nadziei.

A jedno jeszcze wspomnieć winienem.

Młodzian ukazał się tak nagle, niespodziewanie, że nikt nie wiedział zkąd się on wziął.

I dziwna rzecz, wszystkim on był znajomy, i nie był.

Znajomy, bo każdy snadno przypomniał sobie rysy jego twarzy, jego postać, ubiór, spojrzenie nawet, ale każdy napróżno łamałby sobie głowę, gdzie i kiedy go widział, kto on, jakie nazwisko.

Szlachta zatém brała go za kogoś z wieśniaków lub mieszczan; mieszczanie i wieśniacy, za jednego z szlachty.

Młodzian zaś, jak wspomniałem, stał w środku łodzi, głową nie przewyższał nikogo, otoczon był mnóstwem ludzi, a jednak jasno przed sobą tuż widzieli go wszyscy; głos jego był cichy, spokojny, a wszyscy do najdrobniejszego słówka słyszéć go mogli.

Rzekł zaś:

— Ja wam zmiłowanie przynoszę.

Zmiłowanie! zmiłowanie! machinalnie powtórzył lud.

Nieznajomy zszedł z swego miejsca, postąpił na brzeg łodzi i zstąpił na fale rzeki.....

Nim zaś zstąpił, zwrócił się do podróżnych a mówił:

— Zaprawdę powiadam wam, kto ma wiarę, nie zginie, kto ma wiarę pójdzie za mną a ocalon będzie.

I cud: suchą nogą, niby po kamiennéj posadzce świątyni, stąpał śmiało, po bezdeni rzeki.

I znowu, nie w możności jest mi skréślić uczuć, jakie wrzały w sercach wszystkich podróżnych.

Było to dziwne jakoweś zajęcie, oślepienie, że się tak wyrażę, wszystkich władz sądu. Widziano cud, a brano go za rzecz tak prostą, tak zwyczajną, że wszystkim zdawało się, iść po wiérzchu wód rzecz równie łatwa i pospolita jak przechadzka po twardéj opoce, lub po bitéj drodze.

I że takie było cudowne przekonanie większéj części podróżnych, że mało kto do rozsądku odwoływał się, a zachował władzę rozwagi; że wreszcie groźne a blizkie niebezpieczeństwo nie dawało innéj nadziei zbawienia, nie dziw że dwóch czy trzech wieśniaków posłuchało głosu nieznajomego, a zstąpiło na wodę.

— Zbawieni będziecie boście duchem ubodzy, rzekł on im.

I wieśniacy bezpiecznie stąpali po wodzie.

Za nimi poszli inni, mówiąc:

— Toż istotny cud, Bóg się nad nami widno zmiłował.

A nieznajomy odparł im.

— I wy zbawieni bo wierzycie w miłosierdzie niebieskiego ojca.

Kiedy zaś owa gromadka była na wodzie, żołniérz sternikowi rzekł:

— A ty bracie czy pójdziesz?

— Czemuż nie, inni idą a nie toną, więc i ja nie utonę..... choć na moje zbawienie trzydzieści lat z wodą znam się a nic nie widziałem równego.

Wstał, wszedł na rzekę, grzązł w niéj po kostki.

— Ciężka to jednak przechadzka, szeptał więc.

— Ciężka, bo nie z natchnienia własnego lecz za przykładem innych poszedłeś, odparł cudowny młodzian; przecież że nie lenisz się za wierzącymi wierzyć, za dobrymi dobrą drogą iść, zbawiony będziesz.

Był zbawiony i żołniérz, i żebrak i inni z gminu, a nawet dwóch łotrów w dybach.

Gdy ci wstępowali na wodę, młodzian groźnie spojrzał im w oczy.

— A wyż grzesznicy, nie boicie się pójść? nie lękacie się aby wasze zdrożności pociągnęły was w otchłań rzeki?

Upadli na kolana łotrzy:— Boże! Panie! przebacz. My grzeszni, to prawda, ciężkie nasze przewinienia, ale skrucha szczera i poprawić się obiecujem.

Bili się w piersi, moja wina, szepcąc; nieznajomy rozpogodził czoło.

— Wstańcie, rzekł, a chodźcie za mną, miłosierdzie ojca i dla grzesznych bojących się jest.

A gdy usłyszała te słowa gaszka niewiastka, rzewnemi zalała się łzami.

— Boże, Boże, kiedyś tym łotrom przebaczył, to i mnie przebacz, boć i ja jeźlim grzeszyła, to i żałować za grzechy chcę, a sprosności porzucę.

Skinął nieznajomy na nią: — Większe były grzechy Magdaleny, a zmazała je łzami pokuty; i ty łzy toczysz a obiecujesz poprawę, zbawioną więc będziesz.

I niewiastka po wodzie bezpiecznie szła.

W niższéj części łodzi sama już tylko biédna wieśniaczka z dziécięciem na ręku została.

— A ty czemu nie idziesz? nieznajomy zapytał.

— Ja, panie, lękam się.

— Lękasz się? — nie masz więc wiary i przykładu z innych nie bierzesz?

— O! ja mam wiarę, ja wiém że ty mnie gdy zechcesz zbawisz Panie; nie o siebie też boję się, lecz o to moje dziecko.

— Porzuć tę obawę, a na wodę zstąp.

I niewiasta zstąpiła, ale już za piérwszym krokiem grzęznąć zaczęła a biadała:

— Dziécię, drogie moje dziécię, ono zginie!

— Nie zginie, młodzian rzekł, drobne chłopię na ręce wziął; uśmiechało się ono do niego, drobne wyciągało rączyny. Pocieszyła się matka.—Już teraz łatwo mi iść, bo gdyś Panie wziął me pachołę w opiekę, nic mu się złego nie stanie.

Gdy podobnie wszystek gmin był już na wodzie, nieznajomy zwrócił się ku innym podróżnym.

— A wy ludzie, zostaniecież na łodzi, lub czy chcecie pójść za mną?

To zapytanie poruszyło wszystkich, piérwszy zagrodowy szlachcic skoczył na nurt rzeki.

— Panie, rzekł, zbaw mnie, boć ja wierzę tobie, zbaw, bo gdybym zginął, w coby się obróciła moja chudoba, czeladź którą karmię pracą rąk moich, drobne dzieci i zgrzybiała matka, co ode mnie jednego w swych troskach a niedoli pomocy wygląda.

Młodzian z dobrotliwym uśmiéchem spojrzał na niego:—Zaprawdę, poczciwyś ty człowiek, głodnyś, a z głodnymi kęsem chleba się dzielisz; biédnyś, a skarbów cudzych nie pożądasz, i dobryś syn też; dlatego mówię ci przyjdzie ten czas, kiedy świat cały sprawiedliwość ci odda, kiedy będziesz wielkim jak przed Bogiem tak i przed ludźmi, i światło twoich cnót pod korcem ukryte nie będzie i matka twoja dla twéj poczciwości nie zginie.

Wyszedł na nurt rzeki i biédny mieszczan i szedł po nim bezpieczny, lecz drżał febrycznie, straszny przed sobą widok miał.

Jego kolega ławnik, wyszedł także z łodzi, ale zaledwie parę kroków postąpił, utonął.

Utonął bo pomyślał patrząc, jak nieznajomy wiódł za sobą po wodzie podróżnych.

— Zaiste, ten człowiek wielkie cuda robi, a rzeczy niesłychane nigdy, jakem ławnik i urzędnik magistratu wartoby się zapytać, co zacz on? a czy to czasem nie jaki czarnoksiężnik.

A nieznajomy w téj chwili bacznie spojrzał mu w oczy.

— A coś myślał ławniku?

Mieszczan ukłonił się nizko:—Ja, panie, myślałem żeś ty wielki przed Bogiem i że ci niby świętemu warto ołtarz postawić.

W duchu zaś dodał:

—Przecież kiedy przyjdziesz do miasta, na przesłuch cię wezmę, ba i na tortury, a dowiem się ażali w tobie szatańskich sztuk nie ma; zasłużę się tém przed magistratem, ba i przed księdzem biskupem, bo dowiodę jak dbały jestem o publiczne dobro.

— I to rzeczywiście tak myślisz jak mówisz, pytał daléj a już surowo młodzian; pomnij że Bóg, jak w ewangielii stoi, zbawił celnika, grzesznikowi zabójcy przebaczył, ale Faryzeusza hipokrytę zatraceniu oddał.

Ławnik ukłonił się znowu, w pierś pokornie uderzył, trzeba kłamać, pomyślał; bo gdybym prawdę wyznał, rozgniewałby się i nie wziął z sobą, głośno rzekł więc:

— Pan Bóg czyta w głębi serca mojego.

Ledwie rzekł, utonął, a nieznajomy groźnie a smutnie przemówił:

— Hipokryzya zabiła go.

Utonął doktór filozofii professor.

Poszedł on za innymi a mruczał:

—Według zasad fizyki, to tylko ciało może się na powierzchni wody utrzymać, którego ciężkość gatunkowa mniejsza jest od téj saméj objętości płynu; że zaś moje ciało cięższe jest, *ergo* tedy powinienem utonąć.

I tonął, ale tonąc pomyślał:

— Są przecie cuda na ziemi i niebie, o których ani się śniło nam filozofom, i dzisiejszy wypadek może podobnym jest cudem.

Wypłynął wtedy.

Zaledwie przecież bezpiecznym ujrzał się, znowu zagrzązł w uczone wnioski i powątpiewanie, zagrzązł zatém i w wodzie; gdy to się kilkakrotnie powtórzyło, utonął nareszcie.

— Rozum go zgubił, nieznajomy poszepnął.

Utonął i lichwiarz plenipotent, choć, aby się od zguby ocalić, kościół obiecał wystawić i hojne ubogim wysypać jałmużny; utonął i kupiec bo nie chciał się rozstać z swemi workami pieniędzy, a to za sobą w otchłań rzeki pociągnęły; utonął i jurysta, bo mu ciężyły łzy wdowy i łzy sieroty, i powszechne przekleństwo; a gdy ci przyciężają łzy i słuszne przekleństwa, lękaj się człecze, boć ich nie nagrodzisz złotem, nie zmażesz snadno pokutą....

A kiedy tak jedni tonęli, inni bezpieczni po wodzie szli, zostało na łodzi samo wielmożne państwo.

Widzieli oni cud, nie widząc go; słyszeli nieznajomego słowa zbawienia, a ucho ich było na nie zamknione.

Zdanie ewangielii; macie oczy a nie widzicie, macie uszy a nie słyszycie, sprawdziło się na nich....

Wojewodzina zamiast pójść za biédakami, a w wierze i pokucie za grzechy, ocalenia szukać, darła włos i odzienie, a biadała że jéj tak marnie zginąć, z majątkiem i honorami tak marnie przyjdzie rozstać się.

Kasztelan biadał a złorzeczył losowi, że on wiele możny pan, herbowiec z przodków, magnat z wieka w wiek, wysoki koronny dygnitarz, niby jaki hołysz plebejusz, utonąć musi, a utonąć wtedy właśnie, gdy szeroka droga zaszczytów i działania roztwiéra się przed nim, gdy zemście swojéj dogodzić miał, a bezprawiom całkowicie wodze popuścić.

Grabianka Jadwiga może byłaby poszła za przykładem innych podróżnych, a nieznajomemu młodzianowi powierzyła swoje zbawienie; lecz cóż, od dziecka nauczyła się iść za radami ciotki wojewodziny, i teraz czekała na nie; a że ciotka w łodzi została i ona została, mniéj zaś lękała się od innych; bo jéj szeptał narzeczony w ucho:

— Nie bój się piękna Hedwigo, nie zginiesz, ja umiém pływać, niejednokrotnie wpław tam i napowrót przepływałem Wisłę, ufam i teraz uda się to, trzymaj się tylko silnie mego płaszcza, a wierz mi....

I ona wierzyła w ludzką pomoc, a o Bozkiéj zapomniała i zginęła, a zginął i Otto Toporczyk.

Zginął bo zbyt swym siłom zaufał, bo w dumie swojéj potęgi zapomniał, że nie ma mocy tylko w Bogu, nie ma zbawienia tylko w jego imieniu....

Łódź bowiem, co na chwilę, cudem nieznajomego młodziana oparła się potędze burzy wichru i fali, zatrzymała się niepojętym wypadkiem na środku rzeki, teraz niby na skrzydłach sokolich niesiona, zagarnięta wodą i wiatrem, popłynęła ku groźnym opokom.

A gdy dopłynęła do nich a uderzyła o twardy kamień, wyszły deski z swych składów i żelazne haki i gwoździe opuściły ją, że się na tysiąc cząstek roztłukła.

I nikt nie ocalał z wielmożnego państwa; ni kasztelan, ni wojewodzina, ni młodzi narzeczeni. Jednych zgubiły, jak to już rzekłem, duma, ciężkie sprosności i zatwardziałość w nich; drugich zarozumienie, zbytnia w siebie ufność lub obojętność na słowa prawdy i miłosierdzia niebieskiego Ojca.

A kiedy taki nieszczęśliwy los był wielkich przed ludźmi, maluczcy przed niemi spokojnie doszli do brzegu.

A już zanim doszli, burza jak gwałtownie i nagle wstrząsnęła Wisłą, tak się też nagle i niespodziewanie uspokoiła; może ją wicher zapędził gdzie daléj na góry i lasy, może Bóg skinieniem swéj woli rozproszył.

Gdy zaś stanęli bezpieczni na twardym lądzie, każdy na kolana upadł a Bogu Ojcu miłosiernemu za ocalenie dziękował.

Sama tylko niewiasta matka objęła nogi zbawcy młodziana a zrosiła je łzami.

— A czemuż ty niewiasto mnie, a jak inni nie dziękujesz wprzód Bogu? zagadnął on....

— O! ja nie wiém panie, ależ taki pociąg jest serca, może też że podwójne było zmiłowanie twoje, bo nademną i nad moją dzieciną.

— Dziękuj Ojcu Przedwiecznemu jednakże, bo od niego łaska jest, i ja byłem od niego i nic się bez jego woli nie stanie, odrzekł on.

A gdy niewiasta odeszła aby się modlić, to piękne modre oko młodziana wzniosło się ku niebiosom a błyszczało radością i pociechą dobrego czynu, szeptał zaś:

„Ojcze mój, dzięki Tobie, nie daremnie za lud twój kiedyś wychyliłem do dna kielich cierpienia; boć jeźli mnogie są jego sprosności, to też i cnoty liczne i ufność wielka, i przyszłość w nim uśmiecha się wiarą, miłością, nadzieją.

Dobry i poczciwy on, i grunt serc dobry i wiara jego wielka, nie zwódź go tylko z prawéj drogi a na pokuszenie nie wiedź.

Boć on maluczki mądrością i rozumem słaby, a jak ta maluczkość dała mu zbawienie, tak i zgubę może dać.

Ojcze, Ojcze zlituj się nad nim, błogosław mu".

A gdy młodzian w ten sposób skończył swoję modlitwę, skończył ją i lud wszystek, i zbawcy chciał oddać winne podzięki.

Ze wszystkich jednak piersi jednozgodnie wyrwał się głośny wykrzyk podziwu a nawet lekkiego przestrachu.

Nieznajomego nie było już pomiędzy niemi.

Spojrzano po brzegu, i po wzgórzach, i po drodze, nie ma go.

I nikt nie widział aby on odchodził i nikt nie słyszał szmeru jego kroków.

Co więcéj, gdy rozpatrywać mokry piasek zaczęto, nigdzie obcéj stopy ni śladu.

Gdzie on odszedł, jak odszedł, kto on był?

Gdzie i jak odszedł nie badał nikt; kto był, zrozumieli wszyscy, pojęli, przeczuli.

Niby bowiem jaka gruba zasłona z oczu im spadła, wspomniawszy sobie rysy lic nieznajomego, wyraz jego głosu, świętość spojrzenia, ubiór nawet, obliczywszy wypadki cudu, wątpić nie mogli, oni go znali.

Znali go duszą i ciałem i wiarą i okiem, widzieli go, a znali i widzieli i czcili, i kolano gięli przed nim, a znali nie człowieka, lecz Boga Zbawiciela Chrystusa.

I znowu na kolana upadli, i rzewnemi zaleli się łzami, a te łzy nie były wewnętrznym skutkiem rozpaczy, lecz wdzięczności i wesela.

I wołali w pokorze:

— Boże, Boże, Tyś wielki, i twój syn Jezus Chrystus nasz zbawiciel, wielki; niech będzie imię twoje po wszystkie czasy wielbione.

— A jak byłeś dla nas łaskawy, jak się zmiłowałeś nad nami, tak bądź łaskaw i zmiłuj się nad dziećmi i wnukami naszymi.

— Zbawiłeś nas i ich zbaw.

A ledwo dorzekli tych słów, rozwidniło się niebo, zabłysło pełnemi promieńmi złociste słońce, a na słońcu były jakieś znaki w nieznajomym zakreślone języku.

Jednak te znaki, dziwna rzecz, ów nieuków tłum choć nie piśmienny, nie mądry, snadno przeczytał, zrozumiał.

One mówiły:

— Wierzcie i miłujcie się!

ŚLADY
historyi naturalnéj wszechświata.

Ciała w przestrzeni, ich układ i początek (*).

Wiadomo powszechnie że ziemia którą zamieszkujemy, jest kulą mającą około 8000 mil Ang. (1719 Pol.) średnicy, że jest w rzędzie dwunastu ciał, które w różnych odległościach krążą około słońca i z których kilka mają księżyce w podobny sposób krążące około siebie. Słońce, planety i ich księżyce oraz mniéj nam znane kule zwane kometami, obejmujemy razem pod nazwiskiem systematu słonecznego. Biorąc za ostateczne krańce tego systematu drogę planety Uranus (czyli nie wliczając komet bardziéj jeszcze oddalonych), znajdziemy że zajmuje przestrzeń mającą 3600 milionów mil Angielskich średnicy. Umysł upada pod ogromem pojęcia o przestrzeni tak rozległéj; chcąc utworzyć sobie chociaż słabe o niéj wyobrażenie, przypuść-

(*) Artykuł niniejszy jest tłómaczeniem z Angielskiego. Dzieło w oryginale nosi tytuł: *Vestiges of the natural history of Creation.* 4te wydanie, Londyn, 1845. *F. Z.*

my że najszybszy koń wyścigowy jakiego dotąd zaznano zaczął ją przebiegać w całym pędzie w czasie narodzenia Mojżesza, dotąd odbyłby dopiéro połowę drogi.

Dawno już uznali astronomowie, że gwiazdy, chociaż oczom naszym przedstawiają się tylko w kształcie błyszczących punktów na niebie, winny być wszystkie uważane jako słońca, jako całe systematy słoneczne mające ogólne podobieństwo z naszym. Świetność gwiazd i wielkość w jakiéj je widzimy są, jak to z pewnością przypuścić się daje, w stosunku ich wielkości istotnéj i odległości w jakiéj się od nas znajdują. Usiłowano oznaczyć odległość niektórych gwiazd, za pomocą rachub opartych na parallaxie, wiedząc uprzednio że gdyby można było oznaczyć parallaxę (1) wielkości jednéj sekundy czyli 3600 stopni, odległość musiałaby wynosić 19,200,000 milionów mil Angielskich. A przecież uważając najświetniejszą z gwiazd Siriusa nawet tak małéj parallaxy nie znaleziono; z czego można było uczynić ten przynajmniéj wniosek, że odległość téj gwiazdy jest większą od ustanowionéj powyżéj. Kilka innych gwiazd uważanych w tym celu również zawiodło nadzieje badaczy. Nakoniec parallaxa wynosząca około jednéj sekundy została oznaczoną dla podwójnéj gwiazdy *αάά* w konstellacyi Centaura (2), a trzy razy mniejsza dla podwójnéj gwiazdy 61, w Łabędziu; co uzasadniło przypuszczenie że odległość piérwszéj może wynosić około 19 milionów milionów mil; odległość drugiéj zaś jest daleko znaczniejszą. Przypuszczając że podobne odległości istnieją między

(1) Parallaxa jest kątem w gwiaździe jaki tworzą linie widzenia ciała niebieskiego, uważanego z dwóch różnych miejsc drogi ziemskiéj. *Przyp. Tłóm.*

(2) Przez zmarłego p. Henderson, professora astronomii w uniwersytecie Edymburskim i porucznika Maclear.

wszystkiemi gwiazdami, łatwo uznamy że przestrzeń zajęta przez małą stosunkowo liczbę widzialnych gołém okiem, musi być obszerną nad wszelkie siły pojęcia. Liczba gwiazd widzialnych okiem wynosi około trzech tysięcy; lecz rozglądając nieba teleskopem małéj potęgi, spostrzegamy daleko większą ich ilość, a ilość ta ciągle wzrasta w miarę natężenia siły narzędzia. W jedném miejscu w którém gęściéj niż w innych gwiazdy są rozsiane, Sir William Herschel policzył, że w ciągu godziny przechodziło ich 50,000 przez pole widzenia teleskopu szerokości dwóch stopni. Już starożytny filozof Demokryt wpadł na myśl, że bladawa smuga przepasująca niebo, zwana Drogą Mléczną, jest może tylko gęstém nagromadzeniem gwiazd zbyt odległych, aby je pojedynczo rozpoznać można. To przypuszczenie zostało sprawdzone narzędziami nowoczesnych astronomów. W związku z niém utworzono teorye wielkiéj znakomitości. Połączoną pracą dwóch Herszlów niebo zostało przejrzane teleskopem we wszystkich kierunkach, tak że położenie różnych jego okolic pod względem gęstości gwiazd jest już rozpoznane. Wypadek tych badań nastręczył przekonanie, że jak planety są częścią systematów słonecznych, tak systematy słoneczne są częścią tego co możnaby nazwać systematami gwiazdowemi t. j. systematami złożonemi z wielości gwiazd zostających w pewnym między sobą związku. Systemat gwiazdowy, do którego należymy, zdaje się miéć formę podłużną i spłaszczoną, we środku miejsce stosunkowo próżne, a jeden koniec rozszczépany na dwie połowy. Gwiazdy są najgęściéj rozsiane w zewnętrznych stronach tego wielkiego pierścienia i oneto stanowią Drogę Mléczną. Mniemają że nasze słońce znajduje się w południowéj części pierścienia

w blizkości wewnętrznéj strony jego obrączki, tak że w tym kierunku więcéj gwiazd nam się przedstawia i widzimy Drogę Mléczną daleko jaśniéj niż ku północy, dokąd oko nasze przebiega po przestrzeni próżnéj we środku systematu znajdującéj się Lecz nie na tém koniec: Sir William Herschel jeszcze w r. 1783 odkrył ruch w naszym systemacie słonecznym względnie do gwiazd i oznajmił, że ruch ten dąży ku gwiaździe *A* w konstellacyi Herkulesa. To odkrycie zostało powszechnie sprawdzone przez świéższe i dokładniejsze rachuby (1), które oznaczyły punkt w Herkulesie w bliskości gwiazdy 143 godziny 7éj według katalogu Piozzego, jako ten ku któremu słońce nasze postępuje. Oddala się ono przeto od obrączki pierścienia. Ruchy tego rodzaju przez tak obszerne krainy przestrzeni, długo trwają, zanim jakakolwiek zmiana da się uczuć mieszkańcom naszego planety i niełatwo jest uchwycić ich ogólny charakter; pomimo tego jednak odkryto powody do mniemania, że nietylko nasze słońce ale i inne słońca systematu odbywają falisty bieg, w okół pierścienia od zachodu na wschód, krzyżując tam i nazad środek obrączkowego koła. „Jedne gwiazdy oddalają się więcéj, drugie mniéj od obu stron okręgu równowagi, według miejsc w których są położone i według kierunku i szybkości z jaką są w ruch wprawione. Nasze słońce jest prawdopodobnie jednem z tych które najbardziéj się oddalają i najgłębiéj zstępują w próżną przestrzeń wewnątrz pierścienia (2)." Według takiego poglą-

(1) Uczynione przez p. Argelander, dawniéj dyrektora obserwatoryum w Abo.

(2) Professor Mossotti: „O układzie systematu gwiazdowego do którego należy słońce." London, Edinburgh and Dublin Philosophical Magazine. February 1843.

du na rzeczy przyjdzie czas, w którym więcéj niż teraz wejdziemy w gęstwę gwiazd naszego systematu gwiazdowego i mieć będziemy daleko świetniejsze nocne nieba; lecz niezliczone wieki upłyną, nim oczy które mają oglądać tę pomnożoną świetność istnieć będą na ziemi.

Dowody istnienia innych, oprócz naszego, systematów gwiazdowych, są daleko więcéj stanowcze niżby się spodziéwać można, biorąc na uwagę ogromną odległość w jakiéj najbliższy z nich od nas znajdować się musi. Starszy Herschel kierując swój teleskop ku stronie naszego systematu, gdzie gwiazdy są najrzadsze i podnosząc potęgę narzędzia do odpowiedniego stopnia, był w stanie z zdjętym czcią umysłem ujrzéć zawieszone w empyreum systematy gwiazdowe lub, jak je nazywał, firmamenta podobne do naszego. Wydając się jak lekkie obłoczki aż do pewnego powiększenia teleskopu, przy większéj jego mocy zamieniały się w gwiazdy, zwykle nie większe od najdrobniejszych cząstek dyamentowego pyłu. Ogólne kształty tych systematów są rozmaite; wszakże odkryto uderzające podobieństwo jednego z nich przynajmniéj z naszym. Odległości są także rozmaite, co się okazuje z różnych stopni mocy teleskopu, potrzebnéj do uczynienia ich widzialnemi. Odległość najdalszego z dostrzeżonych przez astronoma, uznał on za 35,000 razy większą niż odległośc Siriusa, przyjmując że ten ostatni jest od nas oddalonym około 20 milionow milionów mil. Ztąd zdawałoby się że ciążenie nietylko utrzymuje ziemię naszę na swojém miejscu w systemacie słonecznym, a systemat słoneczny na swojém miejscu w systemacie gwiazdowym, lecz że wypełnia jeszcze większy obowiązek strzeżenia miejscowego porządku między tym systema-

tem gwiazdowym a niezmierzonością innych, przez które wyobraźnia może się błąkać bez granic i przeszkód, prócz tych jakie jéj stawia własna niezdolność uchwycenia nieskończoności.

Dwaj Herszlowie zrobili następnie jeszcze inne znakomite spostrzeżenia nad krainami przestrzeni. Odkryli oni w granicach naszego systematu gwiazdowego, prawie zawsze w jego zewnętrznych polach wielką ilość przedmiotów nazwanych, od mglistéj powierzchowności, obłoczkami (nebulae), niektóre z nich obszernéj i nieregularnéj postaci (np. ten który się znajduje w mieczu Oriona) widzialne gołém okiem; inne kształtów więcéj oznaczonych, inne znowu na których powierzchni okazują się tu i owdzie małe jasne punkciki (jąderka). Między tym ostatnim kształtem a innym działem przedmiotów które się wydają jak kupki jąder oblanych, każde z osobną obłoczkową materyą, jeden tylko jest krok, jedno ogniwo w tém co się zdaje być łańcuchem rzeczy z sobą pokrewnych. I znowu nasz systemat gwiazdowy mieści w sobie tak zwane gwiazdy obłoczkowe t. j. świetne sferyczne przedmioty, jasne w środku, przyćmione ku krańcom. Zdaje się że to jest późniejszy stan działu przedmiotów powyżéj opisanych. Naostatek gwiazdy obłoczkowe istnieją w każdym stopniu skupienia aż do tego stanu w którym widzimy już tylko pospolitą gwiazdę z lekkim cieniem naokoło niéj. Domniemywać się można że wszystko to są stopnie jednego postępu, zupełnie tak, jak widząc dziecko, chłopca, młodzieńca, męża i starca obok siebie, moglibyśmy się domyślać że mamy przed sobą przemiany jednéj i téj saméj istoty. Mamyż przyjąć iż udało nam się rzucić spojrzenie w proces przez który przechodzi słońce od pier-

wotnego swojego stanu jako massa rozlanéj materyi obłoczkowéj, do stanu pełnego wykształcenia w którym istnieje jako ciało zwarte? Obaczymy jak dalece taka idea znajduje poparcie w tém wszystkiém co wiémy o innych ciałach zajmujących przestrzeń i o prawach materyi.

Powierzchowny pogląd na astronomią słonecznego systematu daje nam tylko pojęcie obszernego ciała świetnego (słońca) we środku i niewielkiéj liczby krążących około niego w różnych odległościach mniejszych różnéj wielkości ciał, z których kilka znowu mają mniejsze planety (księżyce) krążące około siebie. Są przecież niektóre ogólne rysy systematu słonecznego, silnie uderzające umysł, gdy głębsza rozwaga zapozna nas z niemi.

Zastanawiającą jest nasamprzód rzeczą, że wszystkie planety krążą prawie po jednéj płaszczyznie przechodzącéj przez środek ciała słonecznego. Następnie, nie mniéj zwraca uwagę, że ruch słońca około swojéj osi, planet około słońca i księżyców około planet (1), że wreszcie obroty wszystkich tych ciał około swojéj osi, odbywają się w jednym kierunku t. j. z zachodu na wschód. Gdyby wszystkie te okoliczności były pozostawione przypadkowi, prawdopodobieństwo przeciw jednostajności jaką w nich spostrzegamy, jakkolwiek dające się obrachować, byłoby w niepojętym stopniu wielkie. Laplace naznacza je na 4 miliony milionów do jednego. Ztąd

(1) Obiegi satellitów Urana nie zostały dotąd dokładnie rozpoznane. Mniemają nawet że kierunek ich jest wsteczny w porównaniu z innemi. Może to być skutkiem przerzucenia się (bouleversement) Urana, spowodowanego przez niezwyczajnie wielkie nachylenie się równika jego do ekliptyki; wszakże przedmiot ten jest dotąd tak ciemny, że żadnego wniosku na nim oprzéć nie można.

silne odbiéramy wrażenie, że jednostajność ruchów oraz ich ogólne ułożenie na jednéj płaszczyznie, muszą być wynikłością przyczyny rozciągającéj się na cały systemat.

Niektóre inne stosunki ciał, są niemniéj uwagi godne.

Planety główne okazują postępowe powiększenie objętości a zmniejszenie gęstości, począwszy od najbliższéj do najwięcéj oddalonéj od słońca. Uważając samą tylko gęstość, znajdziemy, wziąwszy za jedność ciężar gatunkowy wody, że Saturn waży $^{13}/_{32}$ czyli mniéj niż połowę, Jowisz $1\,^{1}/_{24}$, Mars $3\,^{2}/_{7}$, Ziemia $4\,^{1}/_{2}$, Venus $5\,^{11}/_{15}$, Merkury $9\,^{0}/_{10}$, czyli prawie tyle co miédź. Ciekawy jest również stosunek odstępów. Spostrzeżono że utworzywszy następujący szereg liczb:

0 3 6 12 24 48 96 192

i dodawszy 4 do każdéj, będziemy mieli szereg odznaczający względne odległości planet od słońca. Będzie więc:

4 7 10 16 28 52 100 196

Merkury, Venus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uranus

Piérwszy z tych szeregów liczb, począwszy od liczby drugiéj z lewéj ręki przedstawia ciągłe podwajanie czyli mnożenie przez dwa. Zaiste, przynosi to nader zadziwiający dowód jedności, któréj żądamy uznania w systemacie słonecznym. Kiedy ciekawy ten stosunek został po raz piérwszy odkryty, spostrzeżono że brakowało planety odpowiadającéj liczbie 28; trudność tę atoli uważać można prawie zupełnie za usuniętą od czasu odkrycia pięciu (1) małych planet krążących w jednakowéj średniéj odległości od słońca między Marsem i Jowiszem. Odległości zostają w również interesującym stosunku

(1) W 1845 r. odkryto piątą planetę *Astrea* w tém samém położeniu. *Przyp. Tł.*

matematycznym do czasów obiegu około słońca. Spostrzeżono że biorąc którekolwiek dwie planety, kwadraty z czasu ich obiegów, mają się do siebie jak sześciany średniéj odległości od słońca; nadzwyczaj zadziwiający wypadek, którego odkrycie świat jest winien sławnemu Kepplerowi. Sir John Herszel czyni w tym względzie słuszną uwagę. „Zapatrując się", mówi on, „z punktu widzenia jaki nam ten stosunek nastręcza, na pojedyncze ciała systematu planetarnego, nie sama już tylko analogia uderza nas, nie samo ogólne podobieństwo między niémi jako między indywiduami niezależnemi jedno od drugiego, i krążącemi około słońca każde stosownie do właściwéj swojéj natury i w połączeniu ze słońcem przez oddzielny węzeł. Spostrzegamy jeszcze że podobieństwo jest istotnie familijne, że ciała te są związane w jeden łańcuch, wetkane w jeden wątek wzajemnéj zależności i harmonijnego układu, że podlegają jednemu stanowczemu wpływowi rozciągającemu się od środka do najdalszych krańców tego wielkiego systematu, za członki którego wszystkie one łącznie z ziemią muszą być odtąd uważane" (1). Łącząc dotychczasowe spostrzeżenia względem szeregu obłoczkowych gwiazd z cudownem pokrewieństwem istniejącém między ciałami składającemi nasz systemat, a nadto korzystając ze światła jakie nam przynoszą zbadane już prawa natury, nowocześni astronomowie następującą podali hypotezę o utworzeniu się tego systematu.

Zbyt mało wiémy o materyi obłoczkowéj w pierwotnym jéj stanie, abyśmy zdołali podać sposób w jaki jądra w niéj powstawały. Lecz przypuściwszy, że taka jest

(1) Astronomia w Encyklopedyi gabinetowéj.

własność téj materyi iż jądra w niéj się tworzą, wiémy już daléj w jaki sposób, skutkiem prawa ciążenia, następuje proces skupienia się sąsiedniéj około tych jąder materyi, aż massy mniéj lub więcéj stężałe oderwą się od reszty. Jestto prawem w fizyce dobrze znaném, że kiedy materya płynna zbiéra się ku pewnemu środkowi lub w nim się zbiega, powstaje ruch wirowy. Mniejsze wynikłości tego prawa przedstawiają nam trąby powietrzne, a niższego jeszcze rzędu przykład przynosi woda spadająca przez otwór rury. Ztąd pewną jest rzeczą że w postępie tworzenia się światów, doszedłszy do stanu gwiazdy obłoczkowéj, mamy zarazem dany ruch około osi.

Tu znowu mechanika naucza nas, że od chwili wprawienia massy jakiéj w ruch wirowy, objawia się dążność ogólna ku odrzuceniu części zewnętrznych; innemi słowami, że prawo siły odśrodkowéj zaczyna działać. Są przeto dwie siły działające wprost przeciwnie jedna z drugą; jedna przyciąga, druga odrzuca. Dopóki dwie te siły w zupełnéj są równowadze, massa pozostaje się w całości; lecz najmniejsza przewyżka odśrodkowéj siły nad przyciągającą, pociągnęłaby za sobą oddzielenie się massy i jéj części zewnętrznych. Te części zewnętrzne pozostałyby w kształcie pierścienia około środkowego ciała i pierścień obracałby się daléj z prędkością jaką posiadała massa w chwili oddzielenia się, lecz nie brałby koniecznie udziału w zmianach jakim późniéj podlegnie ciało główne. Ten wypadek mógł się powtórzyć, skoro w rodzinnéj massie powstała nowa przewyżka sił odśrodkowych nad przyciągającemi. Powtórzenie mogło po wielekroć nastąpić, aż massa doszła ostatecznego kresu skupienia, jakie jéj własne przyrodzenie zakreślało. Z jakiéj-

że przyczyny mogły się zdarzać peryodyczne przewyżki siły odśrodkowéj? Przypuszczając że skupieniu massy obłoczkowéj towarzyszy oziębienie, co wiele okoliczności podobném do prawdy czyni, łatwo zrozumiémy, dlaczego części zewnętrzne twardniejąc w tym procesie, mogłyby z powodu większéj ścisłości przez to nabytéj zacząć przedstawiać niejaki opór sile przyciągającéj. W miarę postępu stężenia opór stawałby się większym, jakkolwiek zawsze jeszcze trwałoby dążenie do skupienia. Tymczasem zgęszczenie massy środkowéj szło swoim trybem, dążąc do utworzenia przedziału od twardniejącéj skorupy. Podczas starcia się między przyciąganiem dwóch tych ciał lub części jednego ciała, powstawał zapewne obrączkowy przedział między massą i jéj skorupą. Nakoniec gdy massa środkowa dochodziła pewnego kresu w swoim postępie ku stężeniu, oddzielenie się następowało i skorupa stawała się oderwanym pierścieniem. Jasną jest rzeczą, że epoki w których pierścienie tworzyły się i odrywały zależéć musiały od pewnego prawa rządzącego oziębieniem rozgrzanych ciał lotnych. Nie znamy tego prawa, lecz z poprzednich wiadomości tyle wnieść możemy, że w swojém działaniu zachowuje ono prawidła matematyczne i daje się do nich sprowadzić.

Gdyby pierścienie składały się całkowicie z materyi jednorodnéj, zatrzymałyby zapewne swój kształt pierwotny; lecz częściéj się trafiało że skład ich nie był jednostajnym. Nieuchronnym zaś skutkiem nieregularności składu byłoby dążenie materyi pierścieniowéj do skupienia się około środków wyższéj ciężkości gatunkowéj, przez co forma obrączki uległaby zniszczeniu; krótko mówiąc, pierścień rozpękłby się na kilka odłamów z któ-

rych największy prawdopodobnie przyciągnąłby mniejsze do siebie. Skutkiem prawa ciążenia cała massa musiałaby wtedy przyjąć formę sferyczną, czyli stałaby się planetą krążącą około słońca. Ruch jéj wirowy nie ustałby przeto i zrzucałaby z siebie księżyce zupełnie w ten sam sposób, w jaki planety pierwszorzędne były odrzucone od słońca. Prawidło to, jeśli prawidłem nazwać je możemy, w uderzający sposób znajduje poparcie w tém nawet, co wyjątek od niego stanowić się zdaje. Jeżeli w wielu razach materya pierścienia nie była dość jednorodną aby zatrzymać kształt obrączkowy aż do czasu stężenia, to przecież niekiedy mogło się zdarzyć przeciwnie. Tak się stało zapewne z dwoma pierścieniami około ciała Saturna, które pozostają żywym obrazem układu, lub raczéj stanu, w jakim niegdyś znajdowały się wszystkie massy planetarne. Jeszcze daje się przypuścić, że kiedy pierścień jaki rozpękł się, odłamy mogły zaokrąglić się oddzielnie. To, zdaje się, zaszło z pierścieniem znajdującym się między Jowiszem i Marsem, w miejscu którego znajdujemy teraz pięć planet, daleko mniejszych od najmniejszéj z innych, i krążących w jednakowéj prawie odległości od słońca, chociaż po tak eliptycznych drogach i na tak różnych płaszczyznach że się odrębnie od siebie trzymają.

Widzieliśmy że w względnych odległościach i obiegach planet naszego systematu zachodzą matematyczne proporcye. Namieniliśmy także że peryody zgęszczenia massy obłoczkowéj w których następowało odrywanie się pierścieni, musiały zależéć od pewnych szczególnych kryz w stanie téj massy, w związku z prawami siły odśrodkowéj i przyciągania. P. Comte z Paryża dość blizko przystąpił do sprawdzenia naszéj hypotezy obli-

czając jaki winien był być bieg wirowy massy słonecznéj w czasach, kiedy powierzchnia jéj rozciągała się kolejno do różnych dróg planetarnych. Przekonał się on, że ruch wirowy odpowiadał w każdym przypadku teraźniejszemu obiegowi planet około ich gwiazdy i że obrót planet piérwszorzędnych w podobny sposób odpowiadał peryodom krążeń planet drugorzędnych. Sposób w jaki p. Comte doszedł do tego wniosku nie jest łatwy do pojęcia dla osób z nauką nieobeznanych, wszakże ludzie naukowi uznają w nim mocny dowód na korzyść przedstawionéj hypotezy o formowaniu się ciał w przestrzeni (*).

Hypoteza obłoczkowa, jak ją nazwano, znajduje jeszcze znakomitą podporę w tém co z początku zdaje się walczyć przeciw niéj, w istnieniu na naszym firmamencie tysięcy systematów słonecznych o więcéj niż jedném słońcu. Są to tak zwane gwiazdy podwójne i potrójne. Pilna obserwacya dostrzegła że niektóre z gwiazd podwójnych regularnie obracają się po elipsach jedna około drugiéj. Uważano także ten rodzaj systematów sło-

(*) P. Comte skombinował twierdzenia Huyghensa służące do wymierzenia siły odśrodkowéj z prawem ciążenia, i ztąd ułożył proste zasadnicze równanie między trwaniem obrotu gwiazdy którą nazywa produkującą z odległością gwiazdy pochodnéj. Liczbami stałemi tego równania były: promień gwiazdy środkowéj i natężenie ciążenia na jéj powierzchni, zależne od bryłowatości. Równanie to prowadzi bezpośrednio do trzeciego prawa Keplera, które tym sposobem daje się pojąć *a priori* na kosmogonicznem stanowisku. P. Comte zastosował je naprzód do księżyca, i znalazł z wielką radością że czas obiegu tego satellity zgadza się o godzinę lub dwie różnicy z przeciągiem trwania jaki miał ruch wirowy ziemi w czasie, kiedy odległość księżycowa stanowiła granice atmosfery ziemskiéj. Ten sam choć mniéj dokładny ale zawsze jeszcze bardzo uderzający wypadek, otrzymany był w każdym innym razie. Co do planet, otrzymywał

necznych w stanie jak się zdaje niewykształconym, bo są przykłady gwiazd obłoczkowych mających dwa lub trzy jąderka blizkie siebie. Kiedy spłynięcie się materyi tych gwiazd obłoczkowych doszło pewnego kresu, wszystkie te jąderka mogły zostać wprawione w wspólny ruch obrotowy i być z sobą nierozerwanie połączonemi, chociaż odległość między niemi była jeszcze dość znaczną, aby każdy z oddzielnych środków miał później zależne od siebie planety. Widzieliśmy że to samo prawo któremu podlega ruch wirowy w pojedynczéj massie słonecznéj, sprawia także znany fenomen małéj tromby albo wiru na powierzchni wody. Takie wiry nie zawsze są pojedyncze. Na powierzchni rzeki w któréj różne ścierają się prądy, można często spostrzedz, że dwa lub trzy wiry tworzą się w blizkości siebie z większą lub mniejszą regularnością. Fantastyczne te wiry na które zadumany poeta spogląda po całych godzinach mało bacząc na prawo dające im początek i utrzymujące je w związku z sobą, objaśniają nam cuda podwójnych i potrójnych systematów słonecznych.

p. Comte na trwanie obrotów słonecznych odpowiednich wartość zawsze cokolwiek mniejszą niż ich obecne czasy obiegu. „Godném jest uwagi, mówi on, że ta różnica jakkolwiek wzrastająca w miarę odległości planety, w jednostajnym prawie zostaje stosunku do odpowiedniego czasu obiegu, którego zwykle jest częścią 45tą"; co okazuje, jak mniemamy, że tylko kilka małoznacznych elementów kwestyi nie zostało wciągniętych w rachunek. Niedobór ten zamienia się w nadmiar w różnych systematach księżyców, gdzie stosunkowo różnica jest większą niż w planetach i nierówną w rozmaitych systematach. „Z całości tych porównań, mówi p. Comte, wyciągnąłem następujący wypadek. Przypuszczając że matematyczna granica atmosfery słonecznéj kolejno rozciągała się do miejsc w których różne planety obecnie się znajdują, trwanie obrotu słońca w każdéj z tych epok równało się prawie z czasem obecnego obiegu planety, i to samo ma miejsce z każdą atmosferą planetarną względnie do księżyców.

Hypoteza obłoczków tak silną znajduje podporę w tylu zbadanych rysach niebieskiéj krainy, w tylu wyrachowaniach nauk ścisłych, że można ją zamieścić w rzędzie prawd już ustalonych. Ufam że jeszcze inny dowód za nią przyniosę; tymczasem przecież przyjmując jéj zasadność, obaczmy jakie daje nam pojęcie o składzie wszechświata, rozwinięciu się jego różnych części i pierwotnym stanie.

Wracając do przykładu poprzednio przywiedzionego, jeżeli przypuścimy że pewna liczba osób różnego wieku przedstawioną została rozumnéj istocie świeżo na świat wchodzącéj, nie może być wątpliwości że istota owa przekonałaby się rychło iż ludzie dorośli byli kiedyś chłopcami, chłopcy dziećmi, a naostatek że wszyscy przyszli na świat w jednakowych okolicznościach. Zupełnie tak samo widząc w naszym systemacie gwiazdowym wiele tysięcy światów w różnych epokach formacyi, od stanu najmniejszego wykształcenia aż do tego który bezpośrednio poprzedził stan obecny światów które uważamy za wykończone, natrafimy na nieuchronny domysł, że wszystkie światy wykończone przechodziły przez różne stopnie jakie widzimy w niewykończonych. To nas naprowadza na wniosek, że cały nasz firmament był kiedyś rozlaną massą materyi obłoczkowéj w przestrzeni dziś jeszcze przezeń zajętéj. Podobnie się rzecz miała z innemi systematami gwiazdowemi. Musimy tedy przypuścić że całość stanowiła pierwotnie jednę massę, któréj systematy gwiazdowe są piérwszym podziałem na części, a systematy słoneczne drugim.

Piérwszą ideą jaka to wszystko nam nastręcza jest, że formacya ciał w przestrzeni odbywa się jeszcze obecnie. Żyjemy w czasie gdzie wiele z nich już utworzo-

nemi zostało, a wiele jeszcze się tworzy. Nasz własny systemat słoneczny musi być uważany za wykończony, przypuszczając że wykończenie jego zależy na utworzeniu szeregu planet; albowiem mamy powody matematyczne do mniemania, że Merkuryusz jest najbliższym planetą, jaki według praw naszego systematu może istnieć. Lecz są inne systematy słoneczne w naszym systemacie gwiazdowym zostające w mniéj posuniętym stanie, a nawet są pewne ilości materyi obłoczkowéj, które zaledwie zaczęły zmierzać ku formie gwiazdy. Z drugiéj strony, jest wielka liczba gwiazd wyglądających na zupełnie wykończone systematy, jeżeli mamy sądzić z pełnego i wyraźnego kształtu w jakim przedstawiają się naszemu wzrokowi przez teleskop. Nie mamy sposobu sądzić o starszeństwie systematów, lecz zgadza się z rozumem domysł, że między wieloma są starsze od naszego. Jest przecież jeden dowód za prawdopodobieństwem względnéj młodości naszego systematu, pomijając nawet podania ludzkie i gieognostyczną powierzchowność naszego planety. Polega ten dowód na rozlanéj około słońca rzadkiéj materyi obłoczkowéj blizko drogi Merkurego, prawie kulistego kształtu. Uważają że ta materya która czasem widzialną się staje gołemu oku w kształcie ostrokręgu idącego po linii drogi słonecznéj i która nosi imię światła zodyakalnego, jest *residuum* czyli ostatnią resztką skupiającéj się materyi naszego systematu, a przeto oznacza że główne wypadki naszéj kosmogonii są stosunkowo niedawne.

Przypuszczając że wniosek i podstawa jego są dokładne, co już na mocy popularnych dowodów przyjąć można, mielibyśmy prawo z tém większą ufnością mówić, że nasz systemat nie należy do starszych z niebieskiego

rodu, że różne jego fenomena fizyczne i moralne były jeszcze nierozwinięte, kiedy myriady innych systematów były już zupełnie wykończone i doszły ostatecznego swego ukształcenia. Tak więc w wzniosłéj chronologii ku któréj kierujemy nasze badania, wszystko nas wzywa abyśmy kulę przez nas zamieszkaną uważali za dziécię słońca starsze niż Venus i młodszy jéj brat Merkury, lecz późniejsze czasem urodzenia od Marsa, Jowisza, Saturna i Urana, a następnie abyśmy uznali że cały nasz systemat prawdopodobnie niedawnéj jest formacyi w porównaniu z wieloma innemi gwiazdami naszego firmamentu. Strzeżmy się przecież rozumiéć to zdanie w sposób, że ziemia istnieje niedawno według zwyczajnych naszych pojęć o czasie. Dowody późniéj przez nas przywiedzione wykażą, że lata ziemi liczyć należy na wiele set wieków. O ile starszym być może Uranus, nikt powiedzieć nie zdoła, a tém mniéj, o ile starszych jest wiekiem wiele gwiazd naszego firmamentu albo gwiazd firmamentów innych.

W następstwie hypotezy naszéj powstaje inny i ważniejszy punkt do rozważania, mianowicie, przez jakie środki wielki proces tworzenia się odbywa. Materya obłoczkowa zbiera się około jąder, skutkiem prawa przyciągania. Skupienie wprawia w działanie inne prawo fizyczne, skutkiem którego, oddzielne massy materyi mają ruch wirowy albo pojedynczo, albo w dodatku do tego pojedynczego ruchu wprawione są parami w obiegi po elipsach. Daléj wchodzi w grę siła odśrodkowa, odrzuca części mass wirujących które stają się sferami skutkiem tegoż prawa przyciągania i utrzymywane są w drogach obiegu około środkowego ciała, skutkiem równoważenia się sił odśrodkowéj i przyciągającéj.

Wszystko to, jak widzimy, jest sprawioném przez pewne prawa materyi, tak że powstaje pytanie wielkiego interesu, czém są te prawa?

Możemy na to odpowiedzieć tylko, że widząc pewne wypadki w naturze powtarzające się pod pewnemi warunkami w niezmiennym porządku, czynimy ztąd wniosek na istnienie jakiegoś zasadniczego urządzenia wydającego te wypadki z siłą i pewnością działania podobną do téj, jaką posiadają urządzenia które społeczność ludzka stanowi dla swego dobra nazywając je prawami, lecz więcéj od nich dokładną i niezawodną. Fizyczne prawa to jeszcze przedstawiają zastanowienia godnego, że działanie ich odbywa się na każdą skalę z tą samą regularnością i wytrwaniem. Łza spadająca z twarzy dziecięcego wieku jest kulista, skutkiem tego samego prawa wzajemnego przyciągania cząstek, które zaokrągliło słońce i planety. Prędkość Merkuryusza przechodzi prędkość Saturna z téj saméj przyczyny, dla któréj jeżeli obracając w koło kulę zawieszoną na sznurku zaczniemy zwijać sznurek około palców, kula poleci coraz prędzéj i prędzéj w miarę jak sznurek skracać się będzie. Dwa wiry na wodzie, jak już powiedzieliśmy, wprawione są w wzajemny obieg w odległości kilku cali z téj saméj przyczyny, za któréj sprawą obieg dwóch słońc odległych na miliony mil, jest związany z sobą. Jest, możemy powiedzieć, wzniosła prostota w téj obojętności wielkich urządzeń na obszerne lub ciasne pole działania. Ich jednostajność w przestrzeni jak dalece dostrzedz tego możemy, niezawodność w dążności do działania jak tylko właściwe warunki się zbiegną, żąda także najgłębszéj rozwagi. Ani to powinno uniknąć troskliwéj pamięci że prawidła według których wszystkie prawa materyi działają, spoczy-

wają na podstawie matematycznéj ściśle dokładnéj. Proporcye liczb i figury matematyczne są na dnie wszech rzeczy. Wszystkie te względy, kiedy umysł jest dostatecznie do nich przygotowany zmierzają do podniesienia naszych pojęć o charakterze praw fizycznych, choćbyśmy się nawet o krok daléj nie posunęli w naszych badaniach. Lecz niepodobieństwem jest dla rozumu zatrzymać się na tym punkcie. Postępujemy od prawa do przyczyny prawa i pytamy się: co to jest? Zkąd się wzięły te wszystkie piękne urządzenia? Tu umiejętność nas opuszcza z wnioskiem opartym na innych podstawach, że jest piérwsza przyczyna, w stosunku do któréj wszystkie inne są podrzędne i jéj podwładne, że jest pierwotna wszechmocna wola, któréj te prawa są tylko rozkazami. Ta wielka istota, któż powiedzieć zdoła, gdzie jest jéj mieszkanie i jakie są jéj dzieje? Człowiek bez tchu prawie zatrzymuje się w rozważaniu przedmiotu tak wielce przechodzącego jego skończone zdolności i może tylko podziwiać i korzyć się.

NIEKTÓRE
szczegóły dotyczące się Zygmunta Augusta.

SKREŚLIŁ

Tymoteusz Lipiński.

Wiek XVI zajaśniał w Europie cywilizacyą i naukami, na tronach zaś wszystkich państw od wschodu ku zachodowi, od północy ku południu, zasiadali wielcy monarchowie, których imiona ze czcią i uwielbieniem są wspominane. W liczbie ówczesnych władców zaszczytne piastuje miejsce nasz Zygmunt August. Ostatni ten szczepu Jagiellonów męski potomek, syn równie sławnego Zygmunta I i Bony Sforcyi księżniczki medyolańskiéj, urodził się w Krakowie 1 sierpnia 1520 r.—Wszystko co się dotyczy wielkiego tego króla, obojętném być nie może; każdy przeto nieznany, a wykryty o nim choćby najdrobniejszy szczegół, mocno nas obchodzić powinien. I tak: nie wiedziano dotąd, iż pieszczony ten przez rodziców jedynaczek, ssał mamkę przez trzy lata, i że karmicielką jego, była *Ewa Łaszyńska*; o czém wiadomość znalazłem w rękopiśmie zawierającym przychody i wy-

datki królewskie (1). Księga ta *in folio* w skórę oprawna, ma na okładce u samego wierzchu, złoconemi głoskami wytłoczony napis w jednym wierszu: *Regestrum Regie Maiestatis percepta.* Pośrodku okładki, również złotem wytłoczony jest orzeł polski w tarczy. Pierwsza stronica ma napis: *Laus Deo. Anno Domini* 1521, *die* 16 *mensis octobris, post novissimam cum Mte Regia factam racionem die* 15 *huius mensis terminatam, inceptum est hoc regestrum nove racionis Dni Joannis Boner Burgrabii et Zupparii Cracoviensis, a die prefata ad diem* 16 *mensis decembris anni* 1523 *finitum in hac parte percepta.* Tu następują dochody z żup wielickich, bocheńskich, z wielkorządów krakowskich i t. d. Na drugiej zaś okładce, u samego wierzchu, złoconemi głoskami napis: *Distributa,* pośrodku tarcza z herbem Bonara, wyobrażającym lilię, a po obu jej stronach głoski J—B. Od pierwszej stronnicy zaczynają się wydatki na potrzeby króla, poczém następują takież na królowę, jej dworzan i t. p. Otóż między temi wydatkami, zamieścił Bonar:

A. 1523 *d.* 18 *maii, solvi Eve Lasszinska nutrici que principem Sigismundum per triennium lactavit, marcas* 150, *per* 30 *gr. fac. fl.*(*orenos*) 240.

Item: *eidem dedi* 16 *ulnas veluti nigri per* 2 *fl., fac. fl.* 32 (2).

(1) Ambroży Grabowski, w Ojcz. spom. 1845 r., umieścił na s. 241 wzmiankę o mamkach królewskich, lecz snać, że nazwiska żadnej wykryć nie zdołał. Nasza więc Łaszyńska, pierwsza poczet ten rozpoczyna.

(2) Tejże dałem 16 łokci axamitu czarnego, po 2 zł. łokieć. Grosze i złote ówczesne, wynosiły 14 razy tyle, ile dzisiejsze.

Zygmunt August w 10tym roku życia swego obrany następcą po ojcu i ukoronowany 21 lutego 1530 r., zaślubił 1543 r. Elżbietę, córkę Ferdynanda króla węgier. i czes., potém cesarza rzymskiego. Jedyny przykład w dziejach naszych, przedstawia nam jednocześnie dwóch królów w kraju; dla różnicy przeto od panującego starego króla, zwano Zyg. Augusta młodszym (*junior*). Zostawiwszy on małżonkę w Krakowie, udał się z licznym i świetnym dworem do Litwy, dla objęcia powierzonych sobie rządów W. księstwa. Długo zatrzymywał się w różnych miejscach i nierychło przybył do Wilna, z powodu, iż naprawiano i urządzano tameczny zamek, przyzwoicie mieścić mający nowego władcę. W rękopiśmie ówczesnym czytam: iż dnia 2 sierpnia 1543 r. przybył Zyg. August do Łagowa, 6 do Radomia, 11 do Trzebieszowa, 27 do Grodna, gdzie zabawiał się łowami w przyległej puszczy (*in deserto Grodnensi*). Uchodząc przed morową zarazą, wyjechał z Grodna 14 listopada ku Gieranonom, (*evitando pestem Gieranoini versus abivimus*), i tegoż dnia stanął w Olicie. Przydłuższy tamże swój pobyt, uprzyjemniał łowami, a mianowicie: od 11 do 25 stycznia 1544 r. polował w Szeszupie (*venationes Schesupenses*), poczém 3 lutego wyjechał z Olity na łowy do Olkienik i Brześcia, skąd po 13 dniach wrócił; nakoniec 23 marca udał się do Wilna, gdzie stanął 5 kwietnia. Naznaczony sejm w Brześciu Lit., powołał Zyg. Augusta, który opuściwszy stolicę Litwy 9 lipca r. 1544, wrócił do niej na stałe mieszkanie dopiéro 22 października, i zastał już tam małżonkę swą Elżbietę.

Dyaryusz ten podróży i czas pobytu młodego króla w zmiankowanych miastach, wyjąłem z rękopismu *in fo-*

lio, mającego 152 zapisanych stronic. Księga ta ozdobnie w skórę oprawna, ma na okładce złoconemi głoskami wybity napis: *Regestrum suscepte racionis ab officialibus M. R. a die* 6 *septembris* 1543, *ad diem* 15 *novembris* 1544 (1). Poniżéj duża korona przykrywa dwie tarcze z orłem i pogonią. Na drugiej okładce wytłoczone są wyrazy: *Sub Joanne Luthomirski Thesaurario Curie*, a pod temi herb Jastrzębiec. Wydatki dworu królewskiego, utrzymywał zrazu niejaki Łagowiec, jak to poświadcza następujący tytuł: *Racio suscepta de mandato Sacrae Mtis Regiae Junior., per me Joannem Lythomirski Succamerarium Siradien., ac Mtis Suae fisci Praefecto, a D. Stanislao Lagowiecz Dispensatore Mtis Suae de pecuniis a me ex thezauro eiusdem Mtis perceptis, et in usum coquine, cellarii et stabuli Mtis Suae, temporibus et locis inferius descriptis expositis.* Za przybyciem do Grodna, podaje Wojciech Niebrzegowski spis koni królewskich powozowych i jezdnych, jakoteż wielbłądów:

W obosie czugow posessnych 16, cziny kony . . 96.
Drabanczkich vozow 3 posessnych, cziny kony. 18.
Pithi vosz 1 posessny, v nym kony . . . . . 6.
Kuchennych wozow 2 posessnych . . . . . 12.
Koliebczanych kony . . . . . 6.
Ridwan poszczielny, kony . . . . . 6.
Wozow poczthernych 3, w nych kony . . . . . 12.
Strakathich vosznikow . . . . . 8.
Sbythnych vosznikow . . . . . 3.

Summa vozow 27, w nych yesth kony 167.

(1) Rachunki te podawane przez różne osoby, oprawione potém razem zostały, bez zachowania atoli porządku. Pierwsze zajął miejsce rachunek pod d. 7 września i dlatego datę tę zamieszczono na okładce. Właściwie zaś poczynają się one od 2 sierpnia.

Equi equestres:

Driganthow 54, Thureczkich 61, Valachow 64, Inochodnykow 15, Podyesthkow 25. Summa kony iessnych 219. Wielbradow 10. Summa wsysthkich kony, wossnykow, iessnych y wielbradow 396.

W dalszym ciągu wymienia Niebrzegowski dworzan, którzy podług ustanowionego etatu, pobierali owies dla swych koni:

Obroczniky quibus in adventu Grodne dare constitutum erat die 27 *augusti.*

D. Cancellario cor. (*etos*) 8.		Jaroschek.....	cor. 1.
eum in crastino additi	— 2.	Fabris 2.....	— 1.
D. Lyuthomirsky.....	— 4.	Ablutrici cum viro..	— 1½.
Magistro Coquine.....	— 3.	Sutori.....	— 1.
Voyanowskj.....	— 2.	Tubicinis 3.....	— 1½.
Wloskovi.....	— 2.	Hriskowi Mosce.....	— 1.
Vegorzowskiemu.....	— 1.	Misliwczom.....	— 3½.
Marco Antonio.....	— 2.	Bulatovi.....	— 1.
Viessiolowskj.....	— 1.	Barbirio Ludo.....	— 1.
Konyussy,.....	— 3.	Samueli.....	— 1.
Karviczki.....	— 2.	Doctori.....	— 1.

Die 28 *augusti additi infrascripti*:

D. Cancellario.....	cor. 2.	Nicolao.....	cor. ½.
Wierzbkowskiemu...	— 1.	Cemye.....	— 8.

Die 29 *augusti additi infrascripti*:

Pisczkom 5.....	— 5.	Apotecario.....	— ½.

Die 31 *augusti additi infrascripti*:

Sagittariis 3.....	— 1½.	Nicolao sagit.....	— ½.
Smukierz (1).....	— 1.	Bieniasz Jarosz.....	— 1.

(1) Smukarz, smukirz, szmuklerz, passamonik. (*Linde*).

Kaczorek..... cor. 1. Obroczny..... cor. 1.
Dispensatori..... — 2.

Die 2 *septembr. additi infrascripti*

Serifabro Italo..... — 1. Fabro Hungaro..... — ½.

Die 5 *octobris*:

Jagiermyste (1)..... — ½. Othokowczom 5 (2).. — 2½.

Na psiarnią zaś i niedźwiedzie tygodniowo wyznaczana była ilość owsa: *Ad septimana, canibus cor.* 40, *ursis cor.* 12. Że na każdego konia królewskiego i wielbląda dawano dziennie po pół korca owsa, świadczą rachunki tegoż obrocznego Niebrzegowskiego, który z każdego dnia czynił liczbę. Ilość koni zmieniała się, jedne bowiem dawał król w darze, inne do stadnin odsyłał; pod dniem zaś 7 września, znajdowało się na stajni najwięcej, gdyż 424 koni i 10 wielbłądów.

Pełniący w Olicie obowiązki obrocznego Wojciech Russek, zapisywał wydatki po polsku, tytuł tylko brzmi po łacinie: *Racio exposite avene per Albertum Russek, qui loco obroczny erat in Olitha, in equos et diariarios Mtis Regiae, a die* 14 *novemb. adventus Mtis Regiae in Olitham, usque ad diem* 22 *februarii anni* 1544. Wymieniwszy konie, mówi: „Summa kony krolia Jmczi w Olyczie 188". Poczém idą tak zwani:

Obroczniczy.

P. Kanczlierzowi *cor.* 10. P. Podkomorzemu *cor.* 4. P Kuchmistrzowi dawano *per cor.* 3, a thilko miało bicz' dawano *per cor.* 2. Doctorowi thakiesz dawano *per cor.*

(1) Z niemieckiego *Jägermeister*, myśliwiec.

(2) Otok, obwód koła matemat., w innych zaś narzeczach słowiańskich, znaczy wyspę. Otokowcy przeto, byli ludzie użyci do obławy, dla otoczenia zwierza w kniei podczas łowów.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

2, a myalo bycz *per cor.* 1. Samuelowi *cor.* 1. Woyanowskiemu 1. Wloskowi 2. Piszkom 6, *cor.* 6. Trebaczom 3, *cor.* 1 ½. Praczcze s mezem *cor.* 1 ½. Kaczorkowi 1. Jaroskowi 1. Wągorzowskiemu 1. Lyudwigowi 1. Schewczowi 1. Kowalowi Math. ½ Misliwczowi Seba. ½. Abtecarzowi ½. Strzelczom 3, *cor.* 1 ½. Hriskowi Mosqui. 1. Pinskiemu 1. Casprowi Bulatowi 1. Wyerzbkowskiemu 1. *Ad septimana dant. canibus cor.* 70, *gallis cor.* 7, *ursis cor.* 10.

Następnie obrocznym w Olicie był Jan Bilina, *ad diem discessionis M. Regiae ex Olitha* 23 *marcii* 1544. Tenże pisze: iż było niedźwiedzi trzech, gdyż jednego darował P. Chodkiewicz.

W tejże księdze znajdują się zamieszczone liczne różnorodne przesyłki, dostarczane z Krakowa za pośrednictwem Jana Ulryka Hosiusa, z wymienieniem ceny każdego przedmiotu. Drobiazgowe są to wprawdzie artykuły, ale dają poznać niedostatek onych w Litwie, rzucają światło na niezbędne potrzeby dworu królewskiego i zawiadamiają nas o łakociach Zyg. Augusta. Przytoczę tu niektóre wyjątki ze dwóch uskutecznionych przesyłek, i tak:

„Rzeczi krolyowi YM. do Grodna poslane 5 septembris A. 1543. Dwie beczki mąki trzikrocz przessyewaney, 6 beczek slyedzy, 4 beczki broku (1), 5 kop postronkow, 3 kopi striczkow, 200 lymonow po 26 gr., 20 pyernykow po 3 gr., powydla, 58 ½ funt. olywi w czenowey flyaschi, 15 ½ funt. olywi w drzewyaney flyaschi, beczkę

(1) Brok, z dawn. niem. *der Brocken, Brocke,* znaczy szrót *der Schrot.* Nie stoi za to, na drobne ptaki ołowianym strzelać brokiem. (Haura skarbiec ekonomii 1693 r.)—Co za sztuka, z fuzyi brokiem ptaka zabić. (Wacław Potocki: Poczet herbów 1696 r.)—*Linde.*

yablek slotkych, beczka ribyego sadla, 5 beczek gonthowich gwozdzyow, w kazdey po 100 kop; 60 kop lathnich gwozdzi, 1½ kamyenya klyeyu, syersczy loszyney za gr. 30, 4 urinali, 2000 gwozdzy byalich, 20 kop czwyeczkow pospolythich, korku za gr. 30, 3 kotli: 2 po 2 wyedrze, a 1 wiadro, wazą 57 woskow; 35 powrozow po 3 sąznye na dluzą."

„Rzeczi do Grodna poslane 16 octobr. 1543. Schib krakowskyego sskla 300, 69 pyernykow, 2 lyatherny, drzwy zelyazne u kthorich yest zamek wnętrzni. Za 28½ funt. czukru byalego w 15 glowkach malich, zaplaczylem Valterowi po 7½ gr. Za dwa postawi sukna gyerlyczkyego gorąncz zolthego, zaplaczylem po 2 kopye. Zaplaczylyem panu Augustinowi Morstinowi za 3 postawi schtametu dzykyego po 7 kop y po 15 gr. (1), Erhartowi malyarzowi, zaplaczylem oth malyowania dwoych ielyenich rogow, od rzezania y poslaczania herbow, sex. (*agenas* t. j. kóp groszy) 2".

Kończąc na tém owe szczegóły, ściągające się do dwóch epok życia Zyg. Augusta, winienem oświadczyć: iż z wszelką ścisłością przytaczając wyrażenia, zachowałem oraz wiernie pisownią obu rękopismów; głoska tylko *y*, oznaczona dwoma, a czasem jedną kropką, dla braku podobnej trzcionki, musiała być w druku tej cechy pozbawioną.

(1) Stament, sztament, sztamet. Nie sam aksamit, nie sam atłas, ani sama Przedajna w najbogatszym sklepie leży lama. Znajdziesz włóczki, stamenty i wielbłądzą przędzę. *Potocki, Jovialitates.* Częste w *Vol. Leg.* zachodzą wzmianki o tym wyrobie wełnianym, stanowiono bowiem opłaty od wprowadzania do kraju sztuk sztametu.

Ks. Hugona Kołłątaja korrespondencya listowna z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: Wołyńskiéj, Podolskiéj i Kijowskiéj, przedsięwzięta w celu urządzenia instytutów naukowych i pomnożenia oświaty w 3ch rzeczonych guberniach.

(Dalszy ciąg).

Tom 3ci zaczyna się od *Uwag Uniwersytetu Wileńskiego* nad *Projektem urządzenia Gimnazyum Wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii Wołyńskiéj zaprowadzić się mających* i uwagi te krótkiemi artykułami w treści przywiedzione, a przy każdym artykule mieści się i odpowiedź. Główne zarzuty uniwersytetu przeciwko projektowi są następujące: 1ód Uchybienie co do formy i porządku przepisanego, jako téż co do wyrazów i stylu oraz kształtu zwyczajnego i właściwego ustaw. 2re Że szczególne przepisy wedle miejscowych okoliczności mają być stosowane, a zatém powinny być zostawione doświadczeniu i potrzebnéj poprawie lub odmianie. 3cie Że szkoły gubernii Wołyńskiéj mają już dla siebie ogólne prawidła i od nich oddalać się nie powinny".

Oprócz tego uniwersytet nagania w urządzeniu rozkład nauki języków na 4 niższe klassy, i rozkład kursów

wyższych na 2 lata; zarzuca brak funduszów na matematykę wyższą i astronomię, opuszczenie nauki rysunków tudzież brak szpitala dla szkoły chirurgicznéj. Zarzuca niemożność *doskonałego* examinowania uczniów i uczennic mających się wyzwalać na chirurgów, akuszerki i konowałów; aby dla kandydatów na nauczycieli szkół parafialnych wyrzucić *matematykę* i *prawo*, a na to miejsce dać naukę rysunków i rejestraturę fabryczną, ekonomiczną i t. d. Nareszcie utrzymuje, że taxa czyli opłata od patentów nie jest warta monarszego potwierdzenia; że w. mistrzyni w instytucie guwernantek powinnaby zostawać pod zwierzchnictwem uniwersytetu, nie zaś pod dozorem i protekcyą Najjaśniejszéj Imperatorowéj; że 10 lat wysługi dla panien wychodzących na guwernantki jest za wiele, a pensya dla nich po 600 złp. rocznie za mała; że zaprowadzenie wyższéj szkoły dla 3ch gubernij od Wilna odległych nie powinno podlegać żadnym wyjątkom od ogólnych ustaw a urządzenie takiéj szkoły „nie może być zaraz ze wszystkiém zaprowadzone, ale przychodzić dopiéro z czasem do uprojektowanego stanu, w stosunku pewnych źródeł funduszu, który przez wizytatora zebrany, nie jest jeszcze dostatecznie zapewniony, ani nawet dostateczny." W odpowiedzi na te wszystkie zarzuty, która z wielu względów jest niedostateczną, i uważać się ma raczéj za projekt naprędce wygotowany przez Kołłątaja niżeli za odpowiedź formalną, podawca projektu obwinia uniwersytet o upór wynikający z ducha korporacyi zazdrosnéj nowym ustanowieniom. Cały projekt do odpowiedzi, którą zapewne późniéj należycie wyrobił Czacki, napisany jest stylem rozwlekłym i niepoprawnym; widać że go dyktował

Kołłątaj, a podyktowanego nie kazał nawet odczytać. Nierównie staranniéj chociaż często z największym pośpiechem wyrabiał Czacki tego rodzaju pisma; bo chociaż miał krótki wzrok, i obarczony był tylu zatrudnieniami; zawsze jednak wszystko, co potrzebowało większéj rozwagi i zastanowienia, sam pisał i poprawiał, a często i odczytywał przed osobami zaufanemi albo im posyłał do odczytania. Jedne tylko dekreta, jako prezes kommissyi sądowéj edukacyjnéj, miał zwyczaj dyktować, i często nawet trzy lub cztéry dekreta razem dyktował, a nadzwyczajna pamięć i przytomność umysłu nigdy go nie zawiodła.

Następuje list Czackiego do Kołłątaja pisany 16 października, w którym donosi mu, że już imperator dożywotnich rektorów Czecha i Szeidta imiennym ukazem zatwierdził.

List Kołłątaja do Czackiego d. 6 Listopada. W tym liście odpowiada jeszcze Kołłątaj na 5 zarzutów uniwersytetu przeciwko projektowi Czackiego wygotowanemu do najwyższego zatwierdzenia i tak kończy:

„Trzeba więc przyznać, że nagana projektu wizytatora nie jest wydobyta z jego uchybień ale z zazdrości o prerogatywy uniwersytetu. Chce uniwersytet, aby obywatele czekali jego urządzenia nie korzystając z dobroci panującego, który im pozwolił nieść ofiary na oświecenie publiczne; obywatele zaś przeciwnie, niosąc ofiary na tak pożyteczne ustanowienia, chcą być pewnymi, że te obrócone będą podług ich życzeń, nie zaś podług arbitralnéj woli uniwersytetu".

Pomijam dwa mniéj ważne listy dotyczące się księdza Rzeczyckiego.

List Czackiego do Kołłątaja 20 Października z Porycka. Posyła mu swoję Rozprawę *o Żydach* i prosi *o surowy sąd*, a przy końcu listu przypomina się o odesłanie Rozprawy o Cyganach. W Liście zaś XXXII, posyłając dalsze arkusze rozprawy *o Żydach*, tak się wyraża co do trudności czynionych przez Uniwersytet: „Już tedy zdaje się że wszystkie zarzuty przeciwko planom upadły."

Szkoda, że Czacki, w gorliwości swojéj niezrażający się żadnemi przeszkodami, tak wiele razem zamierzał, polegając może zanadto na hojności obywateli, z których było i takich niemało, co prawie mimowolnie złożyli ofiary a zapisanych ubezpieczyć lub uiszczać nie chcieli. Oprócz braku dostatecznych funduszów, stawała może jeszcze na większéj przeszkodzie planom Czackiego trudność i prawie niepodobieństwo w dobraniu razem tylu osób do wykonania tych planów, a mianowicie brak ludzi zdolnych do zajęcia katedr w oddzielnych przy Gimnazyum Wołyńskiém w Krzemieńcu zaprowadzić się mających naukowych zakładach. Ztąd téż nie przyszły do skutku zakłady: *chirurgiczny, akuszeryi i weterynaryi*, ani nawet szkoła Guwernantek tak głośno i uroczyście zapowiedziana; a *Szkoła Kandydatów na Nauczycieli parafialnych*, zamienioną została na prosty *Konwikt funduszowy* w którym pięćdziesięciu ubogich uczniów było utrzymywanych, bez żadnego obowiązku wysługiwania się rządowi. Nie mogąc tedy Czacki przywieść do skutku wszystkiego, co zapowiadał i na co zbiérał fundusze, dał powód niechętnym do oczernienia siebie, z czego nareszcie wynikło formalne oskarżenie, lubo oskarżyciele wyjawić się nie śmieli. To oskarżenie Czackiego jako téż i jego usprawiedliwienie się z uczynio-

nych sobie zarzutów, będące zupełnym tryumfem prawości obywatelskiéj, nastąpiło dopiéro aż w latach 1807—8; a zatém w zakres niniejszéj korrespondencyi nie wchodzi. Jednak już w roku 1803 a bardziéj jeszcze w roku 1804 zaczęto oczerniać najczystsze zamiary i cele Nadzwyczajnego Wizytatora Szkół.

List Kołłątaja do Czackiego d. 23 *Listopada ze Stołpca.* Przeprasza, iż zatrzymał tak długo *Rozprawę o Cyganach*, którą *przedyktowaną* przez siebie odsyłając tak się wyraża. „Nie jest to poprawa myśli, bo dzieło tego nie potrzebowało; ale jest tylko krótkie sprostowanie stylu." Potém załącza uwagi, z których co ważniejszego się tu wypisze:

„Piszesz JW. Pan, że nikt się nie zajmował doskonaleniem języka łotewskiego; ja mam grammatykę tego języka, nie zaręczam za jéj doskonałość, jest ona wszelako książką elementarną dla kleryków, którzy się z powinności uczą po łotewsku.

Piszesz JW. Pan, że Cygani okazali się (zamiast *pokazali się*) w krajach Niemieckich. W tém miejscu dodałem tylko jednę literę *i*, to jest: w Niemczech i nad morzem Baltyckiém. Nad morzem Baltyckiém nie masz nigdzie Niemców aż po Danią; bo Prussy, Pomerania, Księztwa Meklemburskie, Szlezwig i Holsztejn są kolonie Słowiańskie. Niemców szukaćby dopiéro należało w Inflantach" i t. d.

Do tego listu załączony jest ciekawy wypis przedyktowanych zapewne 4ch paragrafów Rozprawy Czackiego o *Cyganach.* W tym wypisie równie jak i w poprzedzającym go liście pokazuje się, że Kołłątaj daleko staranniéj i bystrzéj dopatrywał błędów cudzych niż swoich, tak co do myśli jako téż co do języka i stylu. Wyż-

sze są wszakże pod wszelkiemi względami Rozprawy Czackiego od Rozpraw Kołłątaja, które wydał P. Kojsiewicz w piérwszych 3ch tomach pod ogólnym tytułem: *Badania Historyczne.* W liście pisanym z Wilna d. 25 Grudnia Czacki donosi Kołłątajowi o swoim 16sto-dziennym pobycie w Wilnie, i że wszystkie jego plany przeszły z nic nieznaczącemi odmianami.

List Kołłątaja do Czackiego d. 25 *Lut.* 1805 *ze Stołpca.* Posyła Kołłątaj *Notę do Rozprawy o Żydach* wypisaną z Baillego *o Astronomii.*

Tu kilka listów mniéj ważnych pomijamy. *Bytność Kołłątaja w Porycku od dnia* 6 *Czerwca* 1805 *do dnia* 14 *tegoż miesiąca i roku.* Radził się Czacki Kołłątaja względem wyboru między Mirowskim a Tecławem na professora Jeografii i Historyi powszechnéj; udecydowano, aby wezwać do téj katedry, Mirowskiego, któremu Kołłątaj miał napisać prospekt całego kursu i dawać swoje rady. Cały prawie ten czas zabrało czytanie dzieła Kołłątaja: *Rozbiór historyczny ważniejszych wiadomości przydatnych do łatwiejszego zrozumienia historyi początkowéj wszystkich ludów.* Oprócz tego Czacki zobowiązał Kołłątaja, aby wyrozumiał, do jakiéj katedry X. Aloizy Osiński może być zdatnym, i aby wezwał go na professora języka łacińskiego albo literatury Polskiéj; i z téj okoliczności Kołłątaj napisał do Osińskiego wzywając go, aby przysłał jakie swoje pismo w języku łacińskim i tłómaczenie Polskie jakiego wyimku łacińskiego.

List Kołłątaja do Czackiego 22 *Czer. ze Stołpca.* Pisze Kołłątaj o Mirowskim, który oświadczył mu, że wolałby być gdzie przełożonym w szkole powiatowéj niż professorem historyi w gimnazyum Krzemienieckiém. Przy-

tém radzi aby wysłać Tecława na przełożonego do jakiéj szkoły powiatowéj, albo dać mu emeryturę i mieszkanie w kollegium,

Nie mogę tu przemilczéć, że zbyt przychylnym i stronniczym okazał się Kołłątaj dla Mirowskiego i Tecława, z których tak jeden jako i drugi nie mieli potrzebnéj zdatności i usposobienia naukowego. Ale za rzecz najpewniejszą utrzymywano, że Kołłątaj przyciśniony okolicznościami pożyczył u Mirowskiego trzydzieści tysięcy złotych Polskich, a piérwéj jeszcze u Antoniego Jarkowskiego dziesięć tysięcy, które wypłacił, pożyczywszy u drugiego, a może znowu drugiemu choć w części wypłacił, zaciągnąwszy pożyczkę u trzeciego; Tecław zaś skłonnym był zapewne do kupienia sobie protekcyi, bo nawet jak się późniéj okazało, należał do tych, co ciągnęli nieprawe zyski z tak zwanego konwiktu funduszowego, którym przez lat kilka, tenże Tecław pod zwierzchnictwem Antoniego Jarkowskiego zarządzał. Miałem dowody piśmienne w ręku i byłem świadkiem naocznym wszystkiego, mogę więc śmiało o tém wspomnieć.

List Jana Śniadeckiego do Kołłątaja d. 17 *Lipca z Krakowa.* O Czackim tak pisze: „Trzebaby albo akademię Wileńską przenieść na Wołyń, albo Starostę Nowogrodzkiego do Wilna. Ten rzadki człowiek czystością najzbawienniejszych myśli i przedsięwzięć zajęty, coraz mnie bardziéj swą dzielnością i niezmordowaną niczém gorliwością zadziwia. Wzdycham zawsze, aby mu się udały te wszystkie starania tak okrywające sławą rząd i tyle dobrych skutków za sobą dla naszych ziomków ciągnące. Jest on podobno jeden, który najlepiéj pojął i chwałę panującego i interes swoich rodaków." Przy końcu tego ważnego listu tak znowu pisze: „My-

słałem ja, jakby to była *rzecz do żądania dla historyi Polskiéj*, gdybyś się JW. Pan chciał wraz ze Starostą Nowogrodzkim, tém dziełem zająć. Najchlubniejsze dla Polaków panowanie Jagiełłów jeszcze dotąd *dobrze i wiernie opisane nie wyszło*". W tym liście Śniadecki wiele mówi na samym wstępie o jenerale Zajączku, a potém o sobie i swoim bracie Jędrzeju, z takich więc listów, zawierających rzeczy uboczne dość było wydawcy stosowne wybrać wyimki i te podać do druku.

List II. Kołłątaja do Jana Śniadeckiego d. 28 *Lipca ze Stołpca.* Donosi Kołłątaj Sniadeckiemu, że Czacki wyjechał do Kijowa dla widzenia się z Ministrem Oświecenia, który chce, aby w Kijowie był założony Uniwersytet na trzy Gubernie odległe od Wilna; gdy Kurator Wileńskiego Wydziału nie życzy sobie na tutejsze kraje miéć drugiego Uniwersytetu. Przywodzi przyczyny, któreby można przełożyć Ministrowi przeciw zaprowadzeniu Uniwersytetu w Kijowie. Wystawia drażliwe położenie Czackiego, że wezwany jest od Kuratora, aby zjechał do Kijowa dla rozmówienia się z Ministrem i dla przekonania go o nieużyteczności zaprowadzenia Uniwersytetu w Kijowie. Powiada, że myśl Czackiego była: odwlec nadal projekt założenia Uniwersytetu, a doradzić Ministrowi założenie Gimnazyum podobnego jak w Krzemieńcu dla Gubernii Kijowskiéj nie w Kijowie lecz w Radomyślu. Mówi o X. Strojnowskim, że ten uważa swoje urzędowanie jako miejsce dogodne do dalszego wywyższenia się i pomnożenia swoich dochodów; przyczém przywodzi błędy Strojnowskiego i nareszcie powolność największą dla Czackiego bez szczéréj chęci poprawienia błędów. Ubolewając tedy nad smutnym stanem rzeczy, zgodnie z Czackim podaje myśl Sniadeckiemu, aby,

przyjąwszy urząd doradcy przy Kuratorze, należał najprzód do urządzenia a potém do zarządu jednego z Uniwersytetów tutejszego kraju. Przy końcu listu pisze, że odkłada na inny czas odpowiedź względem swego dzieła, którém się teraz zatrudnia i względem kontynuacyi Historyi Polskiéj, którą się ma zatrudniać P. Czacki.

Następnie opis narady Kołłątaja z architektem Kubickim d. 30 Lipca względem reformy i przyczynienia murów dwóch kollegiów, Pojezuickiego i Bazyliańskiego, stosownie do przyszłéj potrzeby zaprowadzić się mającego Gimnazyum i *Seminaryum Panien*, z załączeniem szczegółowego planu reformy; który niepotrzebnie całe 4 karty zajmuje. Mury tych dwóch kollegiów nigdy nie zostały połączone, a plan zrobiony na papiérze, skoro nie przeszedł w wykonanie, nie należało go ogłaszać drukiem i zaledwo tylko można było o nim wspomnieć.

Właśnie gdy Kołłątaj wespół z architektą Kubickim urządzał plan reformy i przyczynienia murów, nadjechał Czacki z Kijowa d. 2 Sierpnia. W tym zaś dniu miano osadzać krzyż na lewéj kopule. Kołłątaj podał myśl Zgromadzeniu, aby w gałce pod krzyżem umieściło pamiątkę wdzięczności dla swego wizytatora, a to oświadczenie napisane przez Kołłątaja i całkowicie wydrukowane w załączeniu do szczegółowego planu tak się kończy: „Zgromadzenie przekonywa się, iż uszanowaniem od wszelkiego pochlebstwa dalekiém dopełnia najmilszego obowiązku wdzięczności, a w osobie swego szanownego Wizytatora oddaje oraz hołd powinny swemu *Najlepszemu Monarsze* i postawionéj od Niego Zwierzchności."

Że wydawca w zbiorze listów Czackiego i Kołłątaja pomieścił całkowicie oświadczenie wdzięczności ze stro-

ny Zgromadzenia dla Czackiego, lubo rozwlekłe i nieudatne, nie mamy mu tego za złe; bo pamiątka ta umieszczona pod krzyżem, ze wszech względów zasługiwała na ogłoszenie i utrwalenie drukiem, zwłaszcza że odległa potomność pewnie ją znajdzie już zbutwiałą i spleśniałą w owéj gałce, a może nawet na nią i nie zwróci uwagi. Lecz razi niedorzecznością swoją szczegółowy wykaz sal, wschodów, korytarzy, w dwupiątrowym gmachu łączącym dwa kollegia na papiérze. Z tego osobliwszego wykazu przywiedziemy tylko 8 artykułów przydatkowych literami *NB.* (nota bene) oznaczonych:

„NB. 1. Przy refektarzu na piętrze 1^{szém} a przy Muzeum na piętrze 2^{giém} potrzeba zrobić przemurowanie i drzwi na korytarzu za którym będą umieszczone sale *do nauk mających się dawać przez nauczycielów.*

NB. 2. Tych sal potrzeba 6. Jakiéj wielkości jest sala N^{ro} 12 na piętrze 1^{szém} a N^{ro} 4 na piętrze 2^{giém} trzeba rozprzestrzenić te, z których jedna na piętrze 1^{szém} oznaczona jest N^{ro} 13, a na piętrze 2^{giém} N^{ro} 3 i jeszcze dwie podług téj saméj wielkości wymurować, tak aby było 3 sale do nauk na piętrze 1^{szém} i 3 na 2^{giém}.

NB. 3. Za salami powinny być wschody wielkie prowadzące na obydwa piętra, za któremi w téjże saméj linii będzie konwikt dla 30 panien szlacheckich pod dozorem 10 guwernantek, każda guwernantka mieć będzie po 2 pokoje etc.

NB. 4. Za Oratoryum, które się znajduje na piętrze 1^{szém} pod N^{rem} 3 potrzeba przymurować furtę, która powinna być pięknie ozdobiona; nad nią sala assamblowa, która ma kommunikować z apartamentem vice-ochmistrzyni etc.

NB. 5. Infirmeria (chorownia)! Miejsce na nią najdzie się pod salą assamblową.

NB. 6. Kloaka.

NB. 7. Jeżeliby miał przyjść projekt złączenia funduszów seminaryum panien Gubernii Wołyńskiéj z seminaryum takiémże Gubernii Kijowskiéj, tedy miejsca na tak wielkie zgromadzenie nie wystarczy etc." Uwaga ta wcalu nie należała do planu układanego z architektem.

„NB. 8. Nie rachują się w to budynki, które za seminaryum znajdować się powinny, jakoto: 1° szpichlerz, 2° magazyn, 3° skład na siano, 4° stajnia, 5° wozownia, 6° skład na drwa, 7° dom dla ogrodnika i dla czeladzi ogrodowéj, 8° oranżerya, 9° trepauz etc. Cały zaś dom i ogród powinien być obmurowany przynajmniéj na 4 łokcie wysokości". Możnaż było, chyba tylko dla powiększenia liczby kartek w książce, wykaz tak niedokładny i nieporządny, który oczywiście był tylko projektem do projektu nigdy ziścić się nie mającego, umieszczać?

List Kołłątaja do Czackiego d. 8 Sierpnia. Posyła Czackiemu Kołłątaj 4 *projekta*: 1^{szy} *projekt zalecenia mającego się wydać do zgromadzenia gimnazyum* Wołyńskiego, 2^{gi} i 3^{ci} projekt ogłoszenia ukazów cesarskich po szkołach przez okólnik dyrektora, jako téż po powiatach przez okólniki marszałków powiatowych; 4^{ty} projekt pod napisem: *przygotowanie do* uroczystości otwarcia Gimnazyum d. 1 Października. Tu znowu niepotrzebnie wydawca podał do druku w całéj rozciągłości zwłaszcza trzy piérwsze projekta, o których dość było wspomnieć.

O księdzu Osińskim tak pisze: „Ks. Osiński był professorem literatury młodych Pijarów; widać że ma wprawę pisania nawet w języku łacińskim. Ile z krótkiego

z nim obcowania dostrzedz mogłem, nie jest to bystry dowcip, ale człowiek pracowity. Jeźli się podejmie, obiecał napisać mowę na otwarcie Gimnazyum po polsku lub po łacinie, jak JW. Pan zechcesz".

O Antonim Jarkowskim tak znowu pisze: „Muszę JW. Panu jeszcze słów kilka powiedzieć za P. Antonim Jarkowskim. Zwierzył się on mnie, iż pensyę wyznaczoną dla prefekta uważa za zbyt szczupłą, przez wzgląd na niezliczone prace, na które wystawionym być musi. Jest to człowiek zapędzony w lata; a objąwszy urząd prefekta nie będzie mógł się trudnić edukacyą domową zwłaszcza gdy jego brat Paweł odjedzie na wojaż w roku przyszłym, który mu w tym objekcie najwięcéj pomaga. Poczciwi synowie utrzymują swym kosztem matkę i siostrę etc. Z tych powodów obligował mnie A. Jarkowski, abym JW. Pana upraszał o przyczynienie mu pensyi prefekta przynajmniéj w kwocie 100 rubli. Jeżeli zaś JW. Pan wymagać po nim będziesz, aby na ten rok dawał lekcyę prawa, uznasz za rzecz sprawiedliwą, że powinien wziąć pensyę do téj katedry przywiązaną". Tu się widocznie pokazuje, jak stronniczym był dla A. Jarkowskiego Kołłątaj; ani spostrzegł, że jest nawet w sprzeczności z samym z sobą, gdy wspomniawszy o *niezliczonych pracach* przywiązanych do urzędowania prefekta, utrzymuje potém, że prefekt przy podwyższonéj pensyi może dawać *lekcyą prawa*, za co będzie brał pensyę professorską do téj katedry przywiązaną. Poznał się na tém Czacki, i w późniejszym liście do Kołłątaja na str. 138 tomu 12^go^ umieszczonym, wynurza swój żal i zadziwienie na taką chciwość dobrze uposażonego prefekta w następujących słowach: „Zkądże tedy ta *auri sacra fames*?" W projekcie 1^szym^ pod N^rem^ 12^stym^ czytamy niezmiernie

ważny artykuł, który tu przynajmniéj w części się przywiedzie.

„Ustawy Kommisyi Edukacyjnéj r. 1783 ogłoszone, a w roku 1800 poprawione, oddają się Dyrektorowi i Zgromadzeniu Gimnazyum do wykonania w tém wszystkiém, w czém się nie sprzeciwiają Ustawom dla Imperatorskiego Wileńskiego Uniwersytetu i Szkół jego wydziału 18 Maja 1803 ogłoszonym, tudzież ustawom dla Gimnazyum Wołyńskiego i innych przy niém ustanowień przepisanym, a ukazem Jego Imperatorskiéj Mości łaskawie potwierdzonym. Te dawne Ustawy, póki przez nowe urządzenia odmienione lub uchylone nie będą, obowiązują wszystkich w ogólności i każdego w szczególności: rządców, professrów aktualnie pracujących i wysłużonych dozorców domowych i uczniów. &c." Drugi i trzeci projekt jest czystą formalnością stylem kancellaryjnym odbytą, a w czwartym uderza wystawa, z jaką się odbyć miało i w rzeczy saméj odbyło otwarcie Gimnazyum Wołyńskiego. Na uroczystość otwarcia Gimnazyum przeznaczony obszerny kościół Pojezuicki; obok ołtarza strojnie i okazale przybranego, wystawienie biskupie dla Biskupa Łuckiego otoczonego po obu stronach licznym orszakiem duchowieństwa, assystującego celebrującemu biskupowi, a od wystawienia biskupiego ciągnący się długi szereg krzeseł dla zaproszonych na tę uroczystość biskupów, opatów, prałatów i kanoników; na filarze utrzymującym kopułę wystawiony tron Imperatorski, pod tronem zawieszony portret Imperatora i postawione przepyszne krzesło pod Portretem, lecz obrócone do ściany; w blizkości zaś tronu przyrządzone dla wizytatora krzesło po prawéj stronie tronu, siedzenia dla dwóch Gubernatorów: wojennego i cywilnego. O go-

dzinie 6téj z rana stokrotny wystrzał z armat i dzwony wszystkich kościołów miasta ogłaszały uroczystość dnia tego przez całą godzinę. Szyldwachy przy drzwiach kościoła, Kollegium i Gimnazyum, toż przy tronie Imperatorskim dwóch szyldwachów. O trzy kwadranse na 10tą Wotywa przez X. Biskupa o Duchu świętym. Po nabożeństwie odczytanie ukazu Imperatorskiego, mowa Wizytatora, odpowiedź Dyrektora na tę mowę, potém głos Marszałka Guberskiego, mowa Professora literatury, nareszcze *Te Deum* zaintonowane przez Biskupa Łuckiego, tudzież poświęcenie sal Gimnazyalnych przez Sufragana.

Następuje list Kołłątaja do X. A. Osińskiego i odpis na ten list z prozbą o probostwo Krzemienieckie i z załączeniem prospektu Słownika Polskiego.

List Kołłątaja do P. Mirowskiego 12 *Sierp. ze Stołpca.* Przy tym liście posyła Kołłątaj Mirowskiemu obszerną *Radę, jakim sposobem najpożyteczniéj dawać można Historyę i Jeografię w Szkołach publicznych*, tudzież *porządek dawania lekcyi Historyi*; co wszystko obejmuje przeszło 20 stronnic. W téj *Radzie* najwięcéj uderza, iż podawca rady każe zaczynać od historyi tego narodu, w którym się uczniowie znajdują, a porządek wsteczny od dzisiejszych do coraz dalszych czasów uważa za naciąganie. Historyi nie uważa, ściśle biorąc, za umiejętność, ale tylko za opowiadanie albo opis różnych wydarzeń i dziejów. Jednakże sposób uczenia się Historyi słusznie poczytuje za ważniejszy niż samo spamiętanie faktów historycznych. Chwali Mentcla i Volneja, których podaje Mirowskiemu za przewodników.

List Kołłątaja do Czackiego 14 *Sierpnia.* Donosi, że X. Osiński nie podejmuje się lekcyi języka Polskiego

i Łacińskiego, gdyż spodziéwał się być umieszczonym na katedrze literatury. Tak zaś mówi o Osińskim: „Dostrzegłem, że cały jego gust obrócony jest do literatury; porobił on znaczne wypisy z autorów klassycznych łacińskich, a osobliwie z Cycerona i Kwintyliana, czerpał więc w dobrych źródłach. Ale naśladownictwo dawnych pisarzów łacińskich zrobiło w nim manię naśladowania dawnych pisarzów polskich, z pomiędzy których wziął sobie za wzór Skargę, i tak go niewolniczo naśladuje, że czytając jego kazanie, zdawało mi się że czytałem Skargę, którego polszczyzna, tym bardziéj wymowa bardzo dobra jest na wiek XVII; lecz po nauczycielu literatury czegoś więcéj nawet w polszczyznie, dopiéroż w wymowie wymagać należy. Wszelako jest wiele dobrego w tym człowieku, i jeżeliby nie miał zbytku miłości własnéj i dostał się pod rząd poufały i łagodny, mógłby się poprawić co do stylu polskiego; erudycya zaś jego i pracowitość mówią za nim."

Dwa listy następne, jako z okoliczności pisane i nic niezawierające pomijam.

List XXX Kołłątaja do Czackiego 8 *Wrześ.* Przy tym liście załącza *Radę* daną Mirowskiemu o któréj było wyżéj, tudzież napisany przez siebie *Wzór i porządek nauk* mających się dawać w Gimnazyum Wołyńskiém, obejmujący wszystkie przedmioty tak główne jako i przydatkowe, gdzie pełno deklamacyi i drobiazgowych szczegółów należących do Instrukcyi zwłaszcza dla professora Mirowskiego. W ciągu swojego listu tak pisze o nauce Prawa przyrodzonego i o pomocy danéj przez siebie A. Jarkowskiemu: „Ponieważ JW. Pan przeznaczyłeś na ten rok A. Jarkowskiego na Nauczyciela Prawa, przeto mając z nim poufałe zażycie, zadałem sobie pracę na-

pisać dla niego *Naukę Prawa Przyrodzonego*, którą zebrałem z moich manuskryptów Ołomunieckich. Jest to najważniejsza nauka we względzie umiejętności moralnych, którą kłaść należy obok matematyki elementarnéj, bez któréj umiejętności, fizyczne obejść się nie mogą. Nie wiém, czy JW. Pan kontent jesteś z dzieła X. Strojnowskiego, ja z téj okazyi miałem potrzebę przeczytać je i przekonałem się, że nie jest tém, czém być powinno, to jest zasadą albo piérwszém abecadłem wszystkich nauk moralnych."

List XL Czackiego do Kołłątaja d. 16 *Wrześ.* W tym liście daje Kołłątajowi rozmaite polecania z okoliczności ówczesnych, a nie mające dziś żadnéj wagi, zawarte kategorycznie w 15^{stu} artykułach. Nareszcie prosi go o napisanie mowy dla Wizytatora, na otwarcie Gimnazyum i o nadesłanie jéj przez powracającego kozaka. „Nie mam czasu, pisze Czacki, do myślenia o niéj, bo ustawnie na dyszlu jestem i ustawnie bazgrzę. Prosiłbym tylko 1^{éd} aby krótki był obraz tych nauk, które się dają i ich łańcuch; 2re o potrzebie Instytutu kobiét i innych, które się późniéj otworzą; 3^{cie} o zachowaniu języka naszego w naukach i ztąd wynikłych pożytkach, łącząc uwagi, że język polski i rossyjski nawzajem słowiańską mowę doskonalą; 4te o wdzięczności za ofiary téj Gubernii i Kijowskiéj; (Gubernia Podolska nie pospieszyła z ofiarami). 5te o moralności i religii należy mówić jak o piérwszéj nauce; 6te o historyi upadku kraju i nauk; 7^{me} wspomnieć towarzystwo Warszawskie, wspomnieć o uniwersytecie Wileńskim, a jeśli się zdaje, o liceum Warszawskiém; 8^{me} czule należy mówić do młodzieży, aby umiała korzystać z tego ustanowienia, ćwiczyła się w cnocie i nauce. Wolno mnie obwinić o zby-

tnią skromność, ja wolę cudze a dobre myśli złączyć z mojemi, niż moje tylko niewytrawione zostawić."

W liście XXXIII Kołłątaj posyła Czackiemu napisaną przez siebie mowę albo raczéj, jak sam nazywa, materyał do mowy na uroczystość otwarcia Gimnazyum Wołyńskiego. Przywiedziemy tu kilka wypisów z téj mowy.

Taki początek: „Czego w goryczy serca mego najżywiéj pragnąłem, aby w tak smutnéj rzeczy naszych zmianie mógł przynajmniéj ocaléć najdroższy ów skarb nauk, który z chlubą dziedziczyliśmy po ojcach naszych, to dziś litująca się nad nami Opatrzność w skutku oglądać dozwala."

W podanym przez siebie obrazie historycznym kolei, przez jakie w Europie przechodziły nauki, tak mówi o wieku XV i XVI:

„Kiedy Europa wyzuwać się poczęła z zastarzałego tylu wiekami barbarzyństwa, wiek XV i XVI były wszędzie najprzychylniejsze naukom. Ale fanatyzm, który się wylągł wśród nazbyt śmiałych badań teologicznych, zaćmił tę początkową świetność świéżo wzrastającego oświecenia. Szermierstwa teologiczne zaczęte z nauką Wiklefa, a pomnażane przez wielorakie wznowienia aż do czasów Lutra, zmieniły postać Europy: części jéj południowe i zachodnie utraciły swą początkową świetność, która przeniosła się do jéj części północnych. W Hiszpanii i we Włoszech inkwizycya, we Francyi sławna owa liga, w Niemczech długa z protestantami wojna, przeszkodziły widocznie wzrostowi nauk. Wtenczasto śmieli reformatorowie rzucili nowe zasady oświecenia w Anglii, w Niderlandach i w Niemczech północnych; kiedy wznowiona edukacya zakonna w Hiszpanii, we Francyi

i w Niemczech południowych przeszkodziła prawie powszechnie do wzrostu oświecenia. Kraj nasz przyjąwszy podobnież edukacyę zakonną, doznał tych samych przeszkód, które mu były spólne z dopiéro wyliczonemi narodami, a które daleko mniéj przewodziły nad rozumem Polaków. Naród nasz nie podlegał nigdy jeszcze inkwizycyi, nie przeléwał nigdy krwi dla szermierstw teologicznych, nie prześladował nikogo dla różnicy w opiniach; całą jedynie w téj zmianie ponieśliśmy szkodę, że za wprowadzeniem szkół zakonnych straciliśmy gust w dobréj literaturze i cofnęliśmy się wstecz w postępku tych umiejętności, które się najpiérwéj na naszéj odrodziły ziemi. W tém jednak całéj winy na szkoły zakonne składać nie możemy: zmieniona konstytucya naszego rządu najwięcéj się do tego przyłożyła. Śmierć Zygmunta Augusta wróciła nas do najdawniejszych *feudalnych zwyczajów* (których u nas, ściśle biorąc, nigdy nie było). Zniknęła z przyzwoitą władzą królów potrzebna nad naukami opieka; niezgoda polityczna przemieniła się w niezgodę uczoną; zakonne zgromadzenia (raczéj zakon Jezuitów) przemogły nad szkołą główną Krakowską i jéj koloniami.... Słuby ten tryumf szkół zakonnych nie mógł trwać długo: niezgoda różniła wielorakie ustanowienia, które źle zrozumiana gorliwość wprowadziła do nas. Jezuici, Piarowie, Bartoszkowie, Teatyni, Bazylianie, ganili układy jedni drugich, gdy wszyscy nie mogli się podnieść ze swojéj mierności, na którą skazywało ich własne powołanie. Piérwszy Stanisław Konarski postrzegł tę smutną rzeczy naszych postać, ale jéj zaradzić nie był w stanie. Upoważniony od Benedykta XIV do zreformowania Piarów, nie był szczęśliwy, aby za jego radami poszli wszyscy; prowincya nawet litewska nie

przyjęła jego reformy..... W tym stanie były rzeczy, kiedy monarchowie Europejscy zgodzili się ze stolicą rzymską na uchylenie Jezuitów, co robi wcale nową epokę w historyi oświecenia powszechnego.

W najsmutniejszém upokorzeniu, w którém się znajdował nasz naród r. 1773, najchlubniejsze dla siebie postanowił prawo, podnosząc na zwaliskach zakonu Jezuitów nową zwierzchność nad edukacyą publiczną w kraju.... Zebrana z kilku cnotliwych i oświeconych mężów kommissya edukacyjna, wzięła się z całą usilnością do tak wielkiego dzieła. Joachim Chreptowicz podał projekt ustanowienia téj kommissyi, i utrzymał go na owym sejmie, kiedy poczciwi głosu podnieść nie śmieli..... Michał książę Poniatowski dokazał swojém znaczeniem, że fundusz pojezuicki wyrwanym został z rąk kommissyi rozdawniczéj, która go po większéj części dla dogodzenia niecnéj chciwości roztrwoniła.... Ignacy Potocki podał myśl ustanowienia Towarzystwa Warszawskiego do napisania książek elementarnych, i wydał programma w imieniu kommissyi do wszystkich Europy uczonych, wzywając ich do napisania dzieł *takowych*." Mówi potém z uwielbieniem cesarza Alexandra, że gdy w innych udziałach Polski zaprowadzono po szkołach język obcy, Najjaśniejszy Pan dozwolił Inflantczykom używać mowy Niemieckiéj, a w wydziale Wileńskim mowy Polskiéj.

Pomijam kilkonastokartkową deklamacyę w stylu rozwlekłym i zaniedbanym podaną, któréj i wydawca nie powinien był dawać do druku, przywodząc na dowód mego twierdzenia jeden krótki wypis: „Na tych to górach (otaczających Krzemieniec), które ten przybytek otaczają, obiorą sobie muzy Polskie trwały na potomne czasy Parnas, gdzie nie przestaną opiéwać wielkości Alexan-

dra, błogosławiąc jego najlepszemu sercu, że wygnanym z wielu innych części Polski siedlisk, dał przytułek pod wielowładném swém berłem. Tu zgoła mowa polska wziąwszy się za ręce z rossyjską, rzucać będzie promienie światła na wszystkie inne Słowiańskie narody."

W dalszym ciągu mowy ważna jest uwaga o uczeniu obcych języków.

Mowę tę zupełnie przerobił albo raczéj zupełnie inną po swojemu napisał i miał Czacki, jak się to z dalszéj korrespondencyi okaże.

List Czackiego do Kołłątaja d. 22 *Września.* Posyła Kołłątajowi do poprawy swoję mowę niedokończoną, którą, jak powiada, wczoraj napisał, a dziś przepisaną przejrzał. W następującym liście z d 23 Września tak pisze: „Rozumiém, że już mój człowiek oddał mój list i projekt mowy do poprawy; odbiéram łaskawą pracę JW. Pana. Ta praca ma ważne do literatury materyały, ma piękne myśli; ale swoje własne, choć mniéj dobre, z większém mówi się uczuciem.... Dokończenie mowy równie posyłam do poprawy."

O Zaliwskim, nauczycielu mechaniki praktycznéj, tak pisze:

„Zaliwski, jest jeden z najsławniejszych mechaników praktycznych, lecz teoryi nigdy nie dawał. Trzeba mu dać skazówkę, zrób JW. Pan tę łaskę i racz mu przepisać porządek. Jest to ważna niezmiernie lekcya, a szkoła w tym rodzaju piérwsza." Nie mogę tu pominąć, co powiedział ustnie Czacki o tymże samym Zaliwskim do księcia kuratora; który zwiedzając w Krzemieńcu szkołę Mechaniki, nie mógł zrozumiéć Zaliwskiego w odpowiedziach swych zacinającego się i niemogącego dać sobie rady, tak iż musiał go wyręczać jego uczeń: „Mo-

ści Książę! rzekł Czacki zniżonym głosem, pan Zaliwski kiedy co mówi, nie ma czego słuchać; ale kiedy co zrobi, jest co widzieć." W następującym znowu liście z d. 27 Września tak pisze o Zaliwskim: „Zaliwski tak obchodzi się z instrumentami, tak je składa i tłumaczy jak kilku nauk professor;" a w tymże liście o Pawle Jarkowskim, że chciał po francuzku $4\frac{1}{2}$ arkusza mówić; w morzu pospolitych rzeczy pływały i niepospolite ryby. Za kilka lat gdy tę mowę weźmie w rękę, znajdzie rozwlekłość."

List A. Jarkowskiego do Kołłątaja 18 *Octobr. z Krzemieńca.* Posyła Jarkowski Kołłątajowi dwie napisane przez siebie mowy: jednę na uroczystość otwarcia Gimnazyum, a drugą mianą do uczniów przy zaczęciu lekcyi prawa, z prozbą o osądzenie i poprawę tych mów przed ich pójściem do druku. Powiada przytém, że 1széj mowy nie miał na otwarciu Gimnazyum; bo jako zastępcy dyrektora na tym akcie, Czacki podał inną stosowną do okoliczności.

List Kołłątaja do A. Jarkowskiego. W ciągu tego listu pisze Kołłątaj: „Przeczytałem także obydwie mowy z których, jedna przygotowana, druga powiedziana była podczas aktu otwarcia Gimnazyum. Naturalna jest rzecz, że drugą trzeba podać światu za swoją, i w saméj rzeczy jest ona bardzo stosowna do czasu i okoliczności; porobiłem ja w niéj poprawy, które za potrzebne osądziłem, ale różnicy w stylu trudno było zatrzéć; każdy pozna, że to jest produkt innéj ręki; myśli piękne, wszelako cierpi na nich rygor historyczny." Podaje potém za prawidło zgromadzeniu, aby każda mowa lub jakiekolwiek bądź dzieło, mające być wydaném na świat pod imieniem którego z professorów lub urzę-

dników Gimnazyum, było piérwéj czytane na sessyi zgromadzenia i osądzone; albo żeby zgromadzenie wyznaczyło trzy osoby *do przeczytania, poprawienia i dania opinii o takowém dziele.* Zaleca zgodę między członkami zgromadzenia i pilne oko na guwernerów.

Tak list swój kończy:

„ Po dobréj rozwadze nad dyplomatem widzę, że ks. Strojnowski ma bardzo wiele mocy nad umysłem kuratora. Nie radzę więc W. Panu dawać lekcyi z mego dziełka (Porządek fizyczno-moralny), owszem téj myśli zaprzestać i cały prospekt z jego książki ułożyć; bo któż może zaręczyć aby ta niewinna choć może pożyteczna nowość W. Panu nie zaszkodziła? proszę więc, abyś to dziełko odesłał mi, bo trzeba się na każdą okoliczność z roztropnością oglądać. Niech ta praca służy nam tylko za przyjacielską zabawę i niech jeszcze zostanie do jakiego czasu w swéj ciemności."

List Czackiego do Kołłątaja 21 *9br.* Prosi o napisanie instrukcyi dla Kublickiego, którego wysyła za granicę, aby się uczył *prawa handlowego*, a doskonalił się *w prawie natury, narodów* i w *ekonomii politycznéj*, a przy następującym liście z dnia 6 Grudnia przesyła do przejrzenia i poprawy swoję rozprawę o *żydach*, którą p. Malawski nauczyciel Niemieckiego języka tłómaczyć ma pod okiem p. Czecha.

List Kołłątaja do Czackiego d. 12 *Grudnia.* Przesyła instrukcyę szczegółową dla Kublickiego, która obejmuje 37 stron i zaczyna od wyszczególnienia usposobień jakie mieć powinien wyjeżdżający za granicę dla udoskonalenia się w nauce prawa, a potém daje swoję *radę* wyjeżdżającemu, wypisując mu nawet drogi najbliższe i najdogodniejsze do miejsc wskazanych. Co się z Kublickim stało, nie doszło do mojéj wiadomości; ale od

r. 1809 powrócony z zagranicy Ołdakowski zajmował katedrę prawa, z wielką dla siebie sławą a pożytkiem dla uczniów. Kurs jego był dwuletni: piérwszego roku dawał *prawo Rzymskie* w porównaniu z kodexem Napoleona, a w drugim roku *prawo cywilne Polskie* bez procedury. Wartoż było drukować w całéj rozciągłości instrukcyę dla nauczyciela przyszłego, który nawet z téj instrukcyi nie korzystał?

List Czackiego do Kołłątaja d. 18 *Grudnia.* Wspomniawszy Czacki, że statut edukacyjny w wielkiéj części reforma akademii królewskiéj i usposobienie uczonych są dziełem Kołłątaja, tak daléj pisze: „Przygody krajowe, odmiana rządu ani wdzięczności, którą miéć powinniśmy, ani jego zasług zmniejszyć nie mogą." Prosi go potém o uwagi nad prospektem dawanych lekcyj.

List Kołłątaja do Józefa Czecha d. 26 *Grudnia.* Pisze o tłómaczeniu rozprawy *o żydach* przez p. Malawskiego i załącza obszerne dwa piérwsze paragrafy: co wszystko z korrespondencyą Czackiego i Kołłątaja bardzo daleki ma związek; niepotrzebnie tedy wydawca podał to do druku.

List XXIX Kołłątaja do Czackiego d. 29 *Grudnia ze Stołpca.* List ten w samych oświadczeniach i utyskiwaniach, mógł być opuszczonym w druku.

Bytność Czackiego w Stołpcu. Tu przywiedziona rozmowa Czackiego z Kołłątajem o rzeczach ekonomicznych, o nauczycielach jak dają swoje lekcye, o Czechu że pisze arytmetykę na 4 niższe klassy, o potrzebie urządzenia szkół powiatowych a zamknięcia wszystkich konwiktów; że trzeba ułożenie flory poruczyć Szejdtowi, i na tém się kończy tom 3^ci^.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teodozy Sierociński.

WSCHODNIA CZTERDZIESTA, WIKTORA HUGO (*).

ON.

Byłem wówczas olbrzymem na sto łokci wzniosłym!
Bonaparte.

I.

Zawsze on! i on wszędzie! Wrzący czyli głazem,
Zawsze on myśli moje miota swym obrazem,
On duchowi mojemu twórczą moc nadaje.
Drżę cały i słów potok wylewam, gdy imię
Odblaskiem otoczone, ćmiące i olbrzymie
W całéj swéj wyniosłości w wiérszu mym powstaje.

Tam, widzę go, jak bomby podłotne wymierza:
Tam, w imię królobójców na ludy uderza;
Tam, żołniérz, a trybunów niszczy władną radę;
Tam, konsul młody, dumny, twarz czuwaniem chuda,
Duszę w snach o cesarstwie zajęły mu cuda,
Czarne kosmy, czoło blade.

Potém cesarz potężny, głowa mu się chyli,
Szykami walnéj bitwy rozrządza w téj chwili,
Rycerzom błysnął gwiazdą w przyszłości widoku.
Na znak jego, pożerczy z dział płomień wybucha,
Duszą swoją, do boju krociom natchnął ducha,
Poważny a pogodny z błyskawicą w oku.

Potém biédny niewolnik, w urąganiach, w męce,
Na wrzącą pierś zakłada bezczynne już ręce.

(*) Orientale quarantieme de Victor Hugo: *Lui.*

Łup poziomych dozorców jak zbrodzień poziomy,
Zwyciężon, ołysiały, z czołem w ciemnéj chmurze,
Wznosi do skał wystawnych na gromy i burze
Swe myśli, wieczyste gromy.

Jak on wielki, nad wszystko! w potęgi zwalisku,
Gdy brytańskich kluczników zdany pośmiewisku,
Odwilża pomazanie świętością niedoli;
Zawiesza tentem kroku dwojga światów tchnienie,
A mdlejący, wygnaniem dręczony w Helenie
Wycierpia brak powietrza w klatce swéj niewoli!

Jak wielki, mając Boga ujrzéć oko w oko,
Gdy z gasnącéj źrenicy toczy łzę wysoką,
Wyzywa starą armię oddaną żałobie,
Wyrzuca zgon samotny towarzyszom broni,
I wojennym, jak całun, płaszczem się osłoni,
I jak z obozu legł w grobie!

II.

W Rzymie, kędy senatu następcą konklawe,
Na Elbie, w górach śnieżnych i zionących lawę,
U czarownéj Alhambry, u Kremlina grodu,
Wszędzie on jest! u Nilu znachodzę go jeszcze,
Egipt jego jutrzenki zjawia ognie wieszcze,
Cesarska gwiazda jego błysnęła od Wschodu.

Tryumfator, natchniony, czy ułudą mami,
Sam cudem jest, i ziemię zdumiewa cudami.
Szejk w emirze czcił mądrość jaśniejącą zmłodu,
Lud potęgą zalękły, u kolan się cisnął;
Wzniosły, on pokoleniom zdumionym zabłysnął
Jakby Mahomet Zachodu.

Ich wieszczbia już zajęła szczytne jego dzieje;
Namiot Araba, jego wielkością jaśnieje.
Każdy wolny Beduin z nim się bratał śmiały;
Dziatki ku brzegom naszym zwracając oblicze.
Kwoli bębnów Francuzkich mierzą pląsy dzicze;
A na jego wspomnienie, rumaki tam rżały.

Niekiedy na Numidskim wzniesion huraganie,
U szczytu piramidy nieruchomy stanie,

I piasków oceanem, pustynią się pieści.
Tam, cień jego, popiołom odpoczynek miesza,
Tam znowu, obudzając, jak do boju wskrzesza
Olbrzymich wieków czterdzieści.

Rzekł: „powstańcie!" wnet każdy powstał wiek ockniony;
U tych miecze w prawicy, tam berła, korony,
Satrapy, Faraony, magi, naród kości.
Bezmownych, przypylonych, w nieruchu, on zlicza;
Wszyscy zda się hołdując przewadze oblicza,
Składają króla czasów świetny dwór przeszłości.

Tak wszystko, dla człowieka niezgładzonéj stopy,
Wszystko mu jest pomnikiem; brnie w piasków zatopy;
I cóż, lubo tam assur pod ich falą ginie,
Lubo tam skrzydła burzy wysiłkiem się zmogą,
On wiecznie kolosalną napiętnował nogą
Ruchomej twarzy pustynie.

III.

Dzieje! pienia! on stopą wasze spoił szczyty.
Gdy w zdumieniu przebiegam wasz świat znamienity,
Imię jego odbija gdzie dotkną się sławy;
A zaledwie cię ujrzę, wnet głos uwielbienia
Śpieszy z ust gorejących, w płomień się zamienia,
Napoleonie! słońce! ja twój memnon prawy.

Tyś pan wieku; czyś anioł, czyś duchem erebu,
Zadyszały twój orzeł wznosi nas ku niebu,
Unikając cię nawet, wzrok się tobą poi.
Ty nam rzucasz na wszystko olbrzymi cień własny;
I zawsze Napoleon posępny a jasny
U proga wieku nam stoi.

Tak gdy goszcząc w powabnéj Wezuwu dziedzinie,
Z Neapolu wędrowiec ku Portycy płynie,
Przechadzką wzrusza cichość Ischejskiéj ustroni,
Gdzie szczęśliwe potoki tchnące róż wyziewem
Szemrzą, jakby sułtanki rozkochanéj śpiewem,
Który zda się przelatać środkiem saméj woni.

Niech dostojne Pestumu zwiedza kolonady,
Niech go zajmią w Puzoli żywe serenady

Nucone w tarantellach pod murem Toskanu;
Niech obudza swym krokiem mumię wspaniałą,
Pompei snem ujętéj pogrzebane ciało,
Schwycone tchnieniem wulkanu.

Niech w stronach Pauzylipu krąży w chybkiéj łodzi,
Zkąd wioślarz Wirgilemu śpiéw Tassa wywodzi;
A zawsze, w cieniu drzewa, na łożu trawniczém,
Zawsze mu i na łąkach i na wodach czystych,
Na przylądkach, na brzegach półwyspu kwiecistych,
Zawsze mu czarny olbrzym dymi przed obliczem.

Szymon Konopacki.

KARYGODNOŚĆ WSPÓŁWINOWAJCÓW,

podług prawa naszego z r. 1818 a mianowicie art. 21 do 24 włącznie, wyłożył pokrótce

Franciszek Maciejowski.

Nasze prawo karne dotąd obowiązujące, określiwszy wspólników i innych współwinowajców w art. 21 do 24, wspomniawszy o podżegaczach w art. 57, żadnéj w ogólnych zasadach nie wskazuje na nich w stosunku do sprawców karygodności, jak to inne prawodawstwa szczególniéj nowsze uczyniły. Ztąd niejednostajne tłómaczenie w praktyce różne w tym względzie wydaje wyroki. Jedni trzymając się ściśle art. 1, 2, 4, 6, 48 i 49 tam tylko chcą karać powyższych współwinowajców, gdzie prawo przy szczególnych przestępstwach karę na nich wymierza. Inni uważając, że tym sposobem w wielu bardzo przestępstwach, wspólnicy i uczestnicy uchodziéby musieli bezkarnie, usiłują wynaleźć prawną karygodność. Wyjaśnienie zatém tego przedmiotu potrzebném być sądzę.

Żeby zaś zadanie to wyłożyć należycie można, potrzeba przedewszystkiém wskazać teorytecznie, różnice współwinowajców i podać zastosowane do nich zasady karygodności.

Różnica, jaka zachodzi między bezprawném działaniem bezpośredniém a pośredniém, słowném a uczynkowém, przez jednego lub przez wielu przestępców przedsięwziętém, tworzy różne rodzaje przestępców. Z czego powstały rozmaite nazwy odróżniające współwinowajców i nadające każdemu właściwe znaczenie.

W ogólności przestępstwo może być spełnione przez jednę lub wiele łącznie osób. Ztąd główny podział przestępców: na sprawcę i współwinowajców.

I. Sprawca jest ten, który sam jeden własną siłą spełnia przestępstwo. On w umyśle swoim sam utwarza przestępstwo i takowe bezpośredniém i wedle potrzeby pośredniém łącznie działaniem swojém wykonywa. W nim przeto połączają się wszelkie siły umysłowe i fizyczne do spełnienia przestępstwa potrzebne. Jest więc umysłowym twórcą i fizycznym wykonawcą przestępstwa (intellectualis et phisicus auctor delicti). On też sam jeden staje się winnym przestępstwa przez siebie spełnionego; nie zachodzi więc względem niego żadna trudność w karygodności; poprostu wymierza się kara w prawie zagrożona mniéj więcéj ostra, wedle zachodzących okoliczności zmniejszających lub łagodzących, podwyższających lub obostrzających karę.

Prawo nasze nie określa sprawcy i słusznie; gdyż takowe określenie w prawie jest zbytecznem, zwłaszcza skoro inni współwinowajcy są dostatecznie odróżnieni.

II. Współwinowajca w ogólności powstaje z związku przestępców (concursus ad delictum), do istoty którego potrzebne są następujące łączne warunki:

a) wolna wola wspólnego działania, słowem lub innym znakiem mowę zastępującym objawiona, inaczéj zmowa w celu spełnienia pewnego przestępstwa (societas delinquendi, conjuratio). Nie może być przeto związku z winy w ścisłém znaczeniu, ale takowy powstaje zawsze ze złego zamiaru;

b) łączne jakiekolwiek działanie w skutek takowéj woli połączenia się przedsięwzięte; pod ogólnym wszakże wyrazem działania rozumiéć należy czynienie i nieczynienie.

Samo albowiem porozumienie się tylko celem wspólnego spełnienia przestępstwa, będąc dopiéro skojarzeniem się jednostkowych myśli w jednę całość, odpowiada właściwie przysposobieniu siły do spełnienia przestępstwa potrzebnéj, co najwięcéj stanowi usiłowanie odległe zwykle w ogólności bezkarne. Oprócz więc skojarzenia się umysłowego, potrzeba przynajmniéj rozpoczęcia przez związkowych umówionego działania bezprawnego, usiłowaniu blizkiemu odpowiedniego. I odtąd téż rozpoczyna się właściwie karygodność związku.

Jedynie ze względu na politykę karną z wyjątku samo już połączenie się wielu osób zagrażające większém dla społeczeństwa niebezpieczeństwem, jako zmowa, knowanie lub spisek, za przestępstwo oznajmione, formalne a przynajmniéj za blizko usiłowane jak jest w prawie naszém ar. 279, uważaném bywa.

Działanie zaś bezprawne chociażby w jednymże czasie względem nawet jednegoż przedmiotu przez wielu wprawdzie przestępców, ale bez wspólnéj woli łącznego spełnienia przestępstwa wykonywane, nie będzie bynajmniéj związkiem; owszem w takim razie tyle będzie od-

rębnych przestępstw, ile było z swojéj oddzielnéj woli działających sprawców.

Ztąd, jak z jednéj strony zmówienie się wielu osób względem spełnienia pewnéj kradzieży, nie nadaje cechy kradzieży w towarzystwie dokonanéj, jeżeli właśnie przez jednego tylko związkowego przedsięwzięta została; tak z drugiéj strony kradzież w jednymże czasie i miejscu względem jednegoż przedmiotu np. drzewa z lasu, przez kilku przestępców wprawdzie łącznie, ale bez woli łącznego działania, spełniona, nie może być uważaną za kradzież w towarzystwie popełnioną; owszem tyle tu będzie odrębnych kradzieży ile było kradnących ze swéj oddzielnéj woli sprawców.

Czas zmowy czyto przed czy dopiéro w ciągu działania bezprawnego zawiązanéj nie czyni, co do współsprawców pod względem karygodności, żadnéj różnicy, skoro czyn przez wszystkich związkowych dopełnionym został. Niedopełniający zaś chociażby nie z własnych pobudek ale właśnie obcym wypadkiem w przystąpieniu do działania przeszkodzonymi byli, wychodzą z związku i najwięcéj mogliby za to być karani, że o zmowie, o spisku zwierzchności w złym zamiarze lub z winy ścisłéj nie donieśli. Wreszcie związkowy w rozpoczętém wykonywaniu przeszkodzony, lub odstępujący od dokonania przestępstwa, wedle zasad karygodności usiłowania karanym być winien, bez względu na to, że inni związkowi czyn w zupełności spełnili. Ztąd jeżeli opuszczony przez związkowych sprawca, sam jeden umówione przestępstwo wykonywa, wtedy chociażby o takowém odstąpieniu w czasie wykonywania przestępstwa nie wiedział, powinien być uważany jako sprawca bez towarzystwa. Opuszczenie go idzie mu przeto na korzyść, np. gdyby

towarzysze w czasie rozpoczętéj kradzieży opuścili współtowarzysza kradzież wykonywającego.

Związki mogą być wielorakie, a w rozróżnieniu takowych można miéć wzgląd: na czas zmowy, na rodzaj działania czyli na siłę przykładania się do wspólnego uczynku, na konieczność związku do istoty przestępstwa potrzebnego i na pewne przymioty, które winowajcę z osobą poszkodowaną, ściśléj połączają.

Pod względem czasu zmowy, dzielą w ogólności związki: na poprzednio, przed spełnieniem przestępstwa, umówny (concursus partitius) i przypadkowy czyli nagły, dopiéro w czasie wykonywania przestępstwa, przez przystąpienie do łącznego działania, skojarzony (concursus accidentalis seu repentinus).

W związku przypadkowym, jak to już gdzieindziéj nadmieniliśmy (*), to co było przez pierwiastkowych sprawców zdziałaném, idzie na karb przystępującego do dalszego wspólnego wykończenia przestępstwa; uważać go bowiem wypada, jakoby zlecił i potwierdził poprzednie przez innych sprawców przedsięwzięte działanie, tym bardziéj, gdy związkowy z poprzedniéj zmowy spóźniwszy się, w ciągu dopiéro działania przez związkowych rozpoczętego, do dalszego wykończenia przystępuje. Ztąd zasada:

ratihabitio criminis alieni mandato comparatur.

Nietylko więc zmówny złodziéj który spóźniwszy się, nie rozpoczął wprawdzie kradzieży ale ją wraz z zmównymi złodziejami dokończył; lecz i ten, który bez poprzedniéj zmowy, napotkawszy przypadkiem na spełnia-

(*) Zob. w Bibl. Warsz. r. 1844. Tom I str. 493: O zewnętrznych działaniach bezprawnych.

jących kradzież, do nich się przyłącza i takową z nimi łącznie, z wolą łącznego działania dokonywa, bierze na swój karb całość uczynku i odpowiada wraz z innymi za całkowitą kradzież tak, jakby do jéj spełnienia od samego początku do końca należał. Nie przeto ma być karanym jedynie w stosunku ilości, jaka od chwili przybycia jego skradzioną została, ani téż za kradzież prostą, gdy już po gwałtownem działaniu przez innych dokonaném przyłączył się, ale ponieść winien karę jako współsprawca czyli towarzysz kradzieży gwałtownéj, wedle całkowitéj szkody tąż kradzieżą zrządzonéj.

Zasada powyższa bynajmniéj nie stosuje się do tego, kto po spełnieniu już przez innych przestępstwa, lub po odstąpieniu przez nich od dokonania w dalszym ciągu bezprawny czyn przedsiębierze, z przestępstwa przez innych dokonanego korzysta, lub takowe sam bez wpływu innych dokończa. Zaczyna on wtedy nowe przez siebie przestępstwo, a przeto obcego poprzedniego działania na karb jego przypisywać nie należy. Kto zatém po spełnionéj już przez innych kradzieży gwałtownéj, widząc drzwi odbite, wszedł i pozostałe rzeczy z izby lub innego zachowania ukradł, nie może być uważanym za dokończającego kradzież gwałtowną przez poprzednich złodziei dokonaną; ale będzie złodziejem nowéj kradzieży prostéj, chociażby nawet poprzednio zmówił się był z owymi złodziejami do spełnienia właśnie przez nich dokonanéj gwałtownéj kradzieży, lecz tylko z powodu spóźnienia się do niéj nie należał; albowiem gdyby był nic z rzeczy nie znalazł i nic nie wziął, nie mógłby odpowiadać za kradzież przez poprzednich związkowych spełnioną.

W szczególności związek, stosownie do czasu i siły przykładania się do spełnienia przestępstwa, może być:

Przedstępny (antecedens), kiedy współwinowajca jedynie przed rozpoczęciem przestępstwa przez dawanie rady, uprzątanie przeszkód lub udzielenie środków, do związku wpływał, ale do rzeczywistego przez związkowych wykonania przestępstwa wcale nie należał.

Równoczesny (concommitans), kiedy współwinowajca towarzyszy w wykonaniu przestępstwa.

Następny (subsequens), kiedy już po uczynku przez innych spełnionym z nimi się łączy w celu nieprawnym.

Uczynkowy (positivus), *ujemny* (negativus): piérwszy gdy uczynkiem, drugi gdy nieczynieniem do przestępstwa wpływa.

Związek bezpośrednich działań (concursus immediate activus), w którym współwinowajcy są wszyscy współsprawcami.

Związek działań pośrednich z bezpośredniemi, z czego powstają wspólnicy, podżegacze i uczestnicy. Połączeni wspólnicy tworzą między sobą związek wspólnictwa, uczestnicy uczestnictwa (concursus mediate activus).

Związek może być wreszcie, ze względu na istotę przestępstwa, koniecznym (conc. necessarius) tak dalece, że bez takowego związku nie może mieć miejsca przestępstwo. Takiém przestępstwem jest np. bunt, rozruch, gwałt publiczny przez najście cudzego posiadania gruntu, cudzołóztwo i t. p.

Po takowym wykładzie związku przystępujemy do szczegółowego oznaczenia współwinowajców.

Związek samych sprawców czyni współwinowajców:

1. Współsprawcami (coauctores). Każdy związkowy współsprawca ściąga na siebie solidarnie winę całości

przestępstwa przez wszystkich przedsięwziętego, tak jakby sam jeden takowe, bez pomocy innych, spełnił. Różnica zaś karygodności między współsprawcami, zależéć jedynie może od okoliczności karę łagodzących lub obostrzających, zniżających lub podwyższających, jakieby do którego z nich stosować się mogły.

Między współsprawcami bywa zwykle:

2. Przewódca, hersztem zwany, przewodniczący związkowym, którzy się bez wpływu jego woli poprzednio zjednoczyli. Jakimby sposobem nabył między współsprawcami większego znaczenia, czy został przez związkowych wybranym, czyli sam przez własne zabiegi lub ze zbiegu okoliczności, to bynajmniéj nie wpływa na większą lub mniejszą karygodność. Zasługuje on zawsze na większą od innych współsprawców karę, która znacznie powiększoną być winna, gdy nietylko hersztem ale nadto był zarazem i podżegaczem. Zob. art. 56 i 57.

Z sprawcami łączą się częstokroć:

3. Wspólnicy. Wspólnik (socius) jest współwinowajcą który działaniem pośredniém w złym zamiarze wspomagając sprawcę, przyczynia się do spełnienia przestępstwa. Wspólnik tedy tylko karygodnym się staje, gdy sprawca przedsiębierze działanie bezprawne i w miarę postępu sprawcy w uczynku, będzie odpowiedzialnym za usiłowane lub dokonane przez sprawcę przestępstwo, ale zawsze w stosunku ważności swego pośredniego działania (*). Wspomagać on może nietylko uczynkiem i słowem, wstępném i podstępném działaniem np. przez uprzątnienie przeszkód lub naprowadzenie w zasadzkę, działaniem, ale nawet nieczynieniem i zamilczeniem.

(*) Zob. Bibl. Warsz. jak wyżéj.

Wspólnictwo może być związkiem przedstępnym albo równoczesnym; następnym zaś (subsequens) jedynie wtenczas, gdy z poprzedniéj zmowy, wpływa współwinowajca do związku albo wspomaga dalsze ze spełnionego przestępstwa wynikające następstwo. W obydwóch tych przypadkach zmienia, mianowicie podług prawa naszego, nazwę na uczestnika.

Wreszcie wspólnik może powstać albo z poprzedniego z sprawcami lub wspólnikami układu, a wtedy zowią go *zmównym* (socius ex compacto); albo bez poprzedniéj zmowy, nagle w czasie już przez sprawców rozpoczętego przestępstwa przyłącza się do nich i pośrednio wspomaga. Nazywają go zwykle przypadkowym (socius accidentaliter talis).

Te powyższe trzy okoliczności: ważność działania pośredniego, czas wspomagania sprawców, poprzednia zmowa lub przeciwnie bezmówne, nagłe przystąpienie do związku, wpływają znakomicie na bliższe odróżnienie wspólników pod względem karygodności.

Zeszłowiekowi prawnicy nie odróżniali w ogólności wspólników od sprawców i zarówno wszystkich karygodnymi uważali (*). Późniéj a mianowicie już w teraźniejszym wieku ściśléj, bez względu atoli na powyższe trzy okoliczności, wszelkich wspólników odłączano od sprawców. Teraz w nowszych prawodawstwach środkującéj chwycono się zasady. Albowiem:

1. Umowa jednocząc każdego związkowego wolą w jednę ogólną całość, utwarza jednę osobę moralną, spółką przestępstwa zwaną, w któréj wszyscy związkowi już w czasie zmowy wcześniéj wzajemnie potwier-

(*) Zob. Czechowicza Praktykę kryminalną i Bibl. Warsz. T. III. Wrzesień 1844 r. str. 581 i 584.

dzają i za swoje przyjmują cząstkowe działania, jakiemi każdy z nich wedle umowy lub z porządku rzeczy do spełnienia przestępstwa przykładał się. Każdy więc w szczególności związkowy, bez względu na różnicę działań bezpośrednich i pośrednich, zarówno odpowiedzialnym się staje za całość przestępstwa umówionego. W związku przeto umównym równają się zupełnie pod względem karygodności działania pośrednie z bezpośredniemi, chociażby te ostatnie odległe a zatém najmniéj wspomagającemi były, zwłaszcza gdy związkowy był obecnym w czasie i miejscu spełnienia przestępstwa. Przez wyjątek tylko w znakomitych przestępstwach karą śmierci lub dożywotniego więzienia zagrożonych, możnaby z uwagi na wielkość kary od téj zasady odstąpić i mniejszą karę na umównych wspólników postanowić, jak to uczyniło nasze prawo w morderstwie.

Zaledwie wspomnieć tu wreszcie wypada, że współwinowajca spełniający wśród umówionego, inne przestępstwo, sam za nie tylko odpowiada.

A tak w kradzieży w towarzystwie wedle umowy spełnionéj, i ten co w czasie kradzieży stał tylko zdala na straży celem ostrzeżenia innych kradnących, i ten co oderwawszy okienicę takową ostrożnie złożył, i ten który tylko podsadził drugiego do okna, co wytłukł szybę, co wyrzucane rzeczy zbiérał, każdy z nich tak powinien być karanym, jak ów który podsadzony oknem wlazł do izby i rzeczy cudze zabiérał, a zatém rzeczywiście kradzież wykonywał. Wszyscy są oni związkowi towarzysze i bez względu na cząstkowe każdego w szczególności najmniejsze przyłożenie się do spełnienia przestępstwa, zarówno karygodnymi się stają.

2. Działania pośrednie blizkie bezpośrednich, równają się bezpośrednim tak dalece, że chociażby wspólnik nie był obecnym spełnieniu przestępstwa, lecz udzielana przez niego pomoc przed spełnieniem takowego, tak znakomitą była iż bez niéj niełatwo przestępstwo umówione przedsięwziętém być mogło, jednakże jego działanie aczkolwiek pośrednie czyni go równym sprawcy.

3. Nieumówne przypadkowe współdziałanie, tudzież nieobecność obok odległego pośredniego działania, na wzgląd zasługiwać powinno; są to bowiem okoliczności winę w ogólném znaczeniu łagodzące.

Z tych trzech powyższych uwag wyniknął podział wspólników na dwa rodzaje:

1. Wspólnik główny (socius proximus) co do karygodności sprawcy równy, a takim jest:

a) Wspólnik z poprzedniego układu (ex compacto) a zatém zmówny, ale towarzysz zarazem obecny spełnieniu przestępstwa, chociażby działanie jego było odległe pośrednie i najmniejszéj wagi.

b) Wspólnik także zmówny lecz nietowarzyszący spełniającym przestępstwo, którego wszakże działanie było blizkiém bezpośredniego, bo tak znakomicie wspomagające że bez niego niełatwo przestępstwo umówione wykonaném być mogło.

c) Wspólnik przypadkowy (socius accidentalis, repentinus) ale towarzysz ze znakomitém, blizkiém bezpośredniego, działaniem pośrednio wspomagającém.

2. Wspólnik podrzędny czyli odległy (socius remotus), którym jest:

a) Wspólnik zmówny ale nieobecny i tylko pośrednio odległe wspomagający.

b) Wspólnik wprawdzie towarzysz, ale przypadkowy (accidentalis) i odległe pośrednio działający.

Ocenienie, jak dalece pośrednie działanie bliskiém jest lub odległém bezpośredniego, pozostawić wypada roztropności, uwadze, umiejętności i doświadczeniu sędziego (*).

Wspólnik przeto główny ma być tak karany jak sprawca; podrzędny zaś na niższą zasługuje karę.

Lecz w jakim stosunku do głównych wspólników wypadałoby go karać? dwa są w tym względzie zdania. Jedni oznaczają stałą ilość kary, zastosowaną ściśle do ilości na jaką sprawcy wraz zgłównymi wspólnikami wedle prawa zasługują; np. $\frac{1}{3}$ $\frac{1}{2}$ $\frac{3}{4}$ kary jaka sprawcom zagraża. A tak stosując do powyższéj zasady podział kar naszego prawa, jeżeliby sprawcy zasługiwali z kary zagrożonéj od 3 do 6 lat ciężkiego więzienia na karę lat 4, wypadłoby wspólników podrzędnych na lat trzy takiegoż więzienia skazać; jeżeliby piérwsi skazani być powinni na lat 3. c. w. należałoby ukarać drugich na lat 2 i 3 miesiące więzienia poprawczego.

Podobny stosunek przyjęło prawo Bawarskie i Saskie, które na podrzędnych wspólników w zasadach głównych wskazuje $\frac{3}{4}$ kary sprawcom zagrażającéj, a w miejsce kary śmierci, lat 20 więzienia. Zobacz także nowy projekt do prawa Pruskiego. Wyjątki od tak położonéj ogólnéj zasady czynią przy niektórych szczególnych przestępstwach, w których prawodawca niższą lub wyższą karą na podrzędnych wspólników zagrozić widział potrzebę.

Lecz że w miarę ważności działania chociaż odległe pośredniego od wielu różnych okoliczności zależącéj, ka-

(*) Zob. jak wyżéj Bibliotekę Warszawską: O zewnętrznych działaniach bezprawnych.

rygodność do podrzędnych wspólników stosowaćby wypadało; gdy nadto podobne rozporządzenie prawa jest zbyt ściśle oznaczającém karę (lex definita), przeto odpowiedniejszém jest ogólniejsze oznaczenie na podrzędnych wspólników kary, mianowicie niżéj stopniem od stopnia przeciw sprawcy lub głównemu wspólnikowi wymierzonego. Gdyby zatém ostatnim zagrażała np. kara od 3 do 10 lat ciężkiego więzienia, wypadłaby na podrzędnych wspólników kara niżéj stopniem, tojest: od roku 1 do lat 3 domu poprawy.

Takie rozporządzenie prawa, będąc pod pewnym względem karę oznaczającém jest odpowiedniejsze, bo pozostawia sędziego w możności sprawiedliwego wymiaru pośredniéj ilości kary w stopniu, wedle okoliczności, mniejszą lub większą ważność działaniu odległe pośredniemu nadających.

I tę też zasadę przyjęło nowe prawo Rossyjskie z roku 1845.

Radzą wszakże niektórzy, iżby nie oznaczając w ogólnych zasadach kary, przy każdém szczególném przestępstwie wskazać karę oddzielną na podrzędnych wspólników.

Nasze prawo z roku 1818 nie odróżnia podrzędnych wspólników od głównych, owszem zarówno ich zupełnie uważając, nie oznacza nawet żadnego stosunku karygodności wspólników do sprawców. Szukaćby przeto na nich kary należało przy szczególnych przestępstwach. Ztąd we wszystkich prawie zbrodniach, wyjąwszy zbrodnię stanu, bunt, rozruch, gwałty publiczne, fałszowanie monet, morderstwo, podpalenie, kradzież i rabunek ale tylko wtenczas gdy z powodu art. 180, staje się *delictum qualificatum*, we wszystkich występkach wyją-

wszy fałszowanie monet, gwałt publiczny przez najście posiadania gruntu spełniony, i zakazane towarzystwa, wspólnicy uchodziliby bezkarnie, bo tylko w powyższych przestępstwach kara na nich zagrożoną jest. Z ogólnych bowiem zasad prawa, sędzia w wyrokowaniu ściśle jest ograniczonym i tam tylko karę ustanowić może, gdzie prawo przy szczególnych przestępstwach karą zagraża.

Ale powyższe tłómaczenie prawa błędném jest z następujących powodów.

Prawo wprawdzie ograniczywszy ściśle sędziego w oznaczeniu przestępstwa i rodzaju kary, bynajmniéj nie położyło zasady: iżby ten tylko z określonych w ogólnych zasadach przestępca był karanym, na którego prawo wyraźnie karę wskazuje, z czego oczywiście wypływa: że każdy ktokolwiek należy i jakim bądź sposobem przyczynia się do spełnienia przestępstwa, jako przestępca, karze uledz winien; inaczéj wbrew wszelkiéj zasadzie prawnéj, uważaćby go należało, że nie jest przestępcą. Nie ulega zatém żadnéj wątpliwości, że i wspólnika w duchu naszego prawa ukarać należy, chociaż na niego ani w ogólnych zasadach ani w szczególnych przestępstwach po największéj części prawo kary nie wskazuje. Zachodzi tylko pytanie, jakby go ukarać wedle naszego prawa należało?

Bez wątpienia w ogólności tak jak sprawcę, bez względu na wskazaną przez nas wyżéj różnicę jaka zachodzi między podrzędnym a głównym wspólnikiem. Prawo bowiem w téj mierze przyjęło zeszłowiekową zasadę, a przeto chce mieć wspólników głównych i podrzędnych tak karanych jak sprawców zwłaszcza, że podług osnowy art. 21, podrzędnych i głównych zarówno uważa.

Zdawałoby się zatém, jakoby prawo zbytecznie określiło wspólników, skoro ich co do karygodności z spra-

wcami równa. Lecz gdy w niektórych szczególnych wyżéj przez nas wskazanych przestępstwach z wyjątku niżéj wspólników od sprawców chce miéć karanych, przeto potrzebném jest takowe określenie dlatego, iżby sędzia wiedział kogo prawo za wspólnika uważa, do kogo więc ową niższą z wyjątku karę stosować ma.

Wyjątki dopiéro przywiedzione utwierdzają powyższe tłómaczenie nasze. Z znanéj bowiem zasady: *exceptio firmat regulam*, przy względzie na przytoczone przez nas uwagi, okazuje się, że skoro prawo w niektórych przestępstwach w stosunku do sprawców niższą na wspólników zagraża karą, przeto we wszystkich innych chce miéć tak karanych jak sprawców.

Wprawdzie uczuwa się niekiedy w praktyce, iżby wypadało wspólników niżéj ukarać, zwłaszcza gdy ci okazują się podrzędnymi. W takim razie mniemam, że sędzia, o ile się to da uczynić, może wspólnika, rozumie się podrzędnego, podciągnąć pod stosowny artykuł obejmujący ogólne rozporządzenie (lex indefinita), jakim jest w naszém prawie art. 362, 382, 424. A tak podrzędny wspólnik potwarzy lub wielożeństwa, przestępstw, które z natury swojéj są rodzajem oszustwa, i tylko dlatego oddzielone są od niego, że mają odrębną nazwę, mógłby być karanym wedle art. 467, jak to już miałem sposobność wskazać w rozprawie o Wielożeństwie (*).

W tém miejscu nie od rzeczy będzie nadmienić: że do wspólnika i uczestnika dzieciobójstwa, stosować należy wyjątkową niższą karę, jaka jest co do morderstwa w art. 116 na wspólników i uczestników zagrożona,

(*) Zob. Bibl. Warsz. za miesiąc lipiec 1846 r.

chociaż w art. 122, zbrodnię dzieciobójstwa oznaczającym, żadnéj w téj mierze wzmianki nie masz. Dzieciobójstwo bowiem nieodłącznie należy do morderstwa, o czém przekonywa nadpis działu XIV, zgodny z art. 63. Nr. 8, w którym dzieciobójstwo między wskazanemi zbrodniami nie jest wyszczególnione, z tego powodu, że z istoty swojéj jest morderstwem przez matkę na dziecięciu swojém zaraz przy porodzeniu dokonaném i zupełnie tych samych warunków wymagającém, jakie są potrzebne do istoty morderstwa. Ztąd każdy współsprawca dzieciobójstwa karę śmierci poniesie, chociaż matka lżéj karaną będzie; bo tylko matka z powodu różnych okoliczności a mianowicie stanu chorobliwego w jakim się w czasie porodu zwykle znajduje, na lżejszą karę zasługuje. Że zaś dzieciobójstwo w oddzielnéj zaraz po morderstwie rubryce zamieszczają prawodawstwa, to pochodzi ztąd, że otrzymało właściwą do przedmiotu i podmiotu przestępstwa zastosowaną nazwę.

Toż samo stosuje się i do usiłowania dzieciobójstwa. A przeto i usiłowanie dzieciobójstwa nie powinno być z art. 25 tak karane jak dokonane, ale właśnie o ile się da lżéj wedle art. 117 i nast.

Do wspólników należą:

4. *Podżegacze.* Podżegaczem nazywamy w ogólności tego, kto w złym zamiarze pobudza innych słowem do spełnienienia przestępstwa. Może być podżegaczem głównym, współpodżegaczem, albo nakoniec wspólnikiem podżegaczem. Obok podżegacza stoi zawsze wykonawca który podżegane przestępstwo wykonywa. Jaki i od czego zależy stosunek karygodności między nimi, mówiliśmy już gdzieindziéj (*).

(*) Zob. O zewnętrznych działaniach bezprawnych. Bibl. Warsz.

Podżegaczem głównym jest ten kto sam z siebie bezpośrednio powziął myśl przestępną, lecz jéj nie wykonywa, ale takową słowem objawia w tym celu, iżby ją podżegany wykonał. Od wykonawcy przeto zależy spełnienie podżegaczowego przestępstwa, i dlatego też w miarę przedsięwziętego przez niego działania spływa i na podżegacza wina, tak dalece, że jeżeli podżegany czynu nie przedsiębierze, wtedy podżegacz za samo podżeganie żadnéj odpowiedzialności ściągnąćby na siebie nie powinien. Jednakże wychodząc z polityki karnéj, można samo już podżeganie aczkolwiek bezskuteczne uważać za przestępstwo formalne a przynajmniéj usiłowane. Bo chociaż odrzucone i nieprzyjęte podżeganie odpowiada odległemu zwykle bezkarnemu usiłowaniu, a mianowicie staraniu się o środki do spełnienia przestępstwa potrzebne (delictum praeparatum); przyjęte zaś lecz jeszcze przez podżeganego niewykonane, wyrównywa usiłowanemu dopiéro napiętemu (del. attentatum); przecież mając na uwadze, że samo podżeganie już zagraża niebezpieczeństwem, którego wstrzymanie lub odwrócenie nie tyle od podżegacza, jak raczéj od woli podżeganego zawisło, należy takowe niedoszłe w skutkach podżeganie karygodném uznać, zwłaszcza że wstrzymanie się wykonawcy od spełnienia podżeganego przestępstwa stanowi względem podżegacza traf, który w ogólności żadnego pod względem karygodności nie przynosi pożytku przestępcy. Projekt Pruski do prawa karnego w § 64 wyraźnie uznał takowe podżeganie za karygodne usiłowanie podżeganego przestępstwa.

W miarę postępu działania przez wykonawcę przedsięwziętego, podżegacz odpowiedzialnym się staje za przestępstwo przez siebie do wykonania poddane. Ró-

wnież o ile wykonawca mniéj od zlecenia podżegacza czyni, o tyle idzie to na korzyść podżegacza. Jeżeliby zaś wykonawca więcéj coś nad podżeganie uskutecznił, większość ta ciąży samego wykonawcę, wyjąwszy gdyby podżegacz przewidywał lub łatwo przewidzieć mógł gorsze następstwo.

Jak dalece odwołanie podżegania przez podżegacza maże w nim winę a obciąża wykonawcę, zobacz rozprawkę wyżéj przytoczoną. Zresztą, wykonawca z wolnéj woli jak sprawca, podżegacz zaś jak wspólnik w ogólności, uważanym i karanym być winien. Podżegacz przeto w miarę mocy podżegania może być głównym albo podrzędnym wspólnikiem. O ile zaś podżegacz mniéj winnym się okazuje, o tyle podwyższa się karygodność na wykonawcę i przeciwnie, tak dalece, że wiecznie albo podżegacz albo wykonawca bezkarnym, lub sam tylko karygodnym będzie. Wszystko to zależy od mocy podżegania z jednéj i od skwapliwszego wykonania z drugiéj strony.

Współpodżegaczem jest ten, który nie utworzył w umyśle swoim przestępstwa, ale powzięte od głównego podżegacza słowo, przelewa w trzecich i do wykonania zachęca. Równa on się pod względem karygodności podżegaczowi głównemu, bo przejęta cudza myśl i wola przeistacza się na własną. Wtenczas tylko na wyższą od głównego podżegacza zasługuje karę, gdy środki podżegania przez niego użyte silniejszemi były, od środków głównego podżegacza.

Wspólnik podżegacz nie stwarza w umyśle przestępstwa ani przejmuje podżegania, ale do zamierzonego już przez innych współwinowajców lub do przedsięwziętego przestępstwa, słowem zachęca. Albo gdy do zamierzone-

go przez siebie przestępstwa zachęcając, znalazł już takowe w umyśle sprawców. Zasługuje on zawsze na niższe ukaranie od poprzednich, bo jego współdziałanie jest odległe, w równi przeto z podrzędnym wspólnikiem należałoby go uważać.

Nasze prawo nie oznacza podżegacza, nie wskazuje cech odróżniających bez względu na wyżéj przytoczone zasady, równa go z hersztem, i nakazuje surowiéj karać niż sprawców, wyjąwszy wspólnika podżegacza, którego w art. 21 za wspólnika uważa. Wreszcie zaleca złagodzenie kary względem podżeganych wykonawców. Zob. art. 57, 83, 84, 86, 58 *d.*

Z osnowy art. 57 *b.* okazuje się, że podżegacz któremuby nie udało się nikogo uwieść do spełnienia przestępstwa, uchodzi bezkarnie. Wyjątki od téj zasady są w art. 273 i 299, gdzie samo namawianie mieszkańca krajowego do wyniesienia się za granicę lub żołniérza i popisowego do zbiegostwa i ukrycia się, karą poprawczą jest zagrożone. Ściśle bowiem prawo trzyma się zasady w art. 25 co do usiłowania położonéj, wedle któréj usiłowanie tylko blizkie chce miéć karaném. Jedynie knowanie zbrodni stanu art. 69, związki wedle art. 279 i przygotowanie materyałów zdrowiu szkodliwych przez konwisarzy art. 370, chociaż czyny te jako przygotowawcze odpowiadają usiłowaniu odległemu z wyjątku skarceniu ulegają.

Podżegaczy wreszcie którym się udało uwieść, chociażby uwiedzeni czynu jeszcze nie przedsięwzięli, równa z podżegaczami których podżeganie skutek wzięło. Zob. art. 57, *b.* wiérsz piérwszy.

Do wspólników zbliża się:

5. Uczestnik (*auxiliator* niekiedy tak jak wspólnik, *socius* zwany), może być dwojakiego rodzaju, jakoto:

a. Blizki, czyli zbliżający się w znaczeniu do wspólnika (auxiliator proximus), jest ten, który się z sprawcami przed spełnieniem uczynku umawia względem korzyści z przyszłego przez nich spełnić się mającego przestępstwa, lub względem udzielenia im pomocy i przytułku po dokonaniu przez nich przestępstwa. Nie przyczynia on się czynnie ani udzieleniem środków lub rady do spełnienia przestępstwa, ale przez swoje zapewnienie czyni śmielszymi i pewniejszymi sprawców; i dlatego chociażby żadnéj korzyści nie osiągnął i pomocy nie udzielił, staje się odpowiedzialnym, byleby umówione przestępstwo spełnioném a przynajmniéj usiłowaném było. Wypada ich zrównać w karygodności najwięcéj z wspólnikami podrzędnymi; bo ich zapewnienie należy do działań odległe pośrednich, wreszcie nie są towarzyszami.

b. Odległy (auxiliator remotus), którego następnym nazwaćby można. On bowiem bez poprzedniéj zmowy łączy się z sprawcami już po spełnieniu przez nich przestępstwa w celu szukania ztąd zysków lub dalszego wspomagania w nadwerężeniu praw jakie z przestępstwa w skutkach wynika. Tu należy kupowanie rzeczy z wiedzą, że z kradzieży lub rabunku pochodzą, puszczanie w obieg sfałszowanych pieniędzy, nabywanie szczątków z uszczuplonéj monety z wiedzą, że z fałszerstwa pochodzą i t. p. W odleglejszém przeto zostaje stanowisku od wspólnika i zbliża się więcéj do dających pomoc, gdyż nie wpływał na spełnienie przestępstwa, przyłącza się już po spełnieniu przez innych przestępstwa i wspomaga tylko dalsze jego skutki; na niższą téż zasługuje karygodność.

Nasze prawo nie wskazuje w ogólnych zasadach powyższéj różnicy uczestników, a określiwszy w art. 22

uczestnika z poprzedniéj zmowy, nie ustanawia na niego ogólnéj kary. A że uczestnik równa się przynajmniéj wspólnikowi podrzędnemu, prawo zaś między wspólnikiem podrzędnym a głównym żadnéj nie czyni różnicy, przeto uczestnik powinien być wedle naszego prawa tak karanym jak wspólnik główny, a zatém jak sprawca ale ile możności w stopniu niżéj; wyjąwszy gdzie prawo w szczególnych przestępstwach niższą karą zagraża, jak to ma miejsce w zbrodni stanu art. 71, w fałszowaniu monet art. 106, w morderstwie art. 116, w podpaleniu art. 6 prawa z dnia 25 czerwca 1825, w których uczestnik łącznie z wspólnikiem za jedno uważani, jednakową niższą karą zagrożeni są; co właśnie przekonywa, że ich prawo pod względem karygodności od siebie nie odróżnia. Jedyny w téj mierze wyjątek stanowi uczestnik w kradzieży i przeniewierzeniu, znacznie bowiem niższą niż na sprawców karę, prawo na niego zagroziło; co tym bardziéj utwierdza zasadę: że we wszystkich innych przestępstwach uczestnik równym jest wspólnikowi i sprawcy co do karygodności; gdyż *exceptio firmat regulam.* I znowu zdaje się jakoby prawo zbytecznie oddzieliwszy uczestnika od wspólnika, osobno go w art. 22 oznaczyło. Lecz zapewne uczyniło to z téj saméj przyczyny, jaką wyżéj przywiedliśmy mówiąc o wspólnikach.

Uczestnika odległego, któregoby następnym nazwać można, prawo nie określa oddzielnie, ale go przyłącza w art. 23 do dających pomoc. Szukanie bowiem zysków i korzyści ze zbrodni późniéj wiadoméj, poczytuje za danie pomocy. W wykładzie przeto dania pomocy obszerniéj rzecz tę wyjaśnimy. Wprzód jednak powiémy nieco:

6. *O nieprzeszkadzających* i *niedonoszących.* Nieprzeszkadzający przestępstwu lub nadwerężeniom z działań naturalnych wypływającym, również niedonoszący o knowaniu przestępstwa, jeżeli to czyni bez żadnéj z sprawcami zmowy, nie należy właściwie do związku przestępców, ale tworzy zupełnie oddzielne przestępstwo żadnego związku z nieprzeszkodzoném przestępstwem niemające. Nie jest téż dającym pomoc w właściwém znaczeniu jak to zaraz zobaczymy. Jedynie więc w stosunku do ważności przestępstwa lub nadwerężenia nieprzeszkodzonego, przy względzie na szczególniejszy obowiązek i możność stawiania przeszkód lub donoszenia, karę ponieść winien, ale oddzielną, niemającą styczności z karą jaka jest na przeszkodzone przestępstwo zagrożona. Nie należy jednak stosować tu nieczynienia, za pomocą którego popełnić można w prawie szczególniéj oznaczone przestępstwo np. dzieciobójstwo.

Prawo nasze zowie nieprzeszkadzających w art. 292 dającymi pomoc i wyjąwszy zbrodnię stanu art. 72, oddzielną w miarę wielkości przestępstwa nieprzeszkodzonego w ogólności na nieprzeszkadzających stanowi w art. 293 karę aresztu publ.

7. *Dający pomoc* (fautor delicti) który bez poprzedniéj zmowy, po dokonaniu już przez sprawców przestępstwa, przyłącza się do nich w celu usunięcia ich zpod sprawiedliwości. Nie wpływa zatém do związku ale spełnia oddzielne przestępstwo dania przestępcom pomocy. Ztąd uzupełnienie przestępstwa przez innych przedsięwziętego i zaniechanego, puszczanie w obieg fałszywych pieniędzy z wiadomością o ich fałszu, szukanie zysków lub korzyści z przestępstwa przez innych spełnionego, wreszcie nieprzeszkodzenie przestępstwu

jak się dopiéro wyżéj okazało, nie wypada mieszać z przestępstwem dania pomocy. Są to czyny, odrębne przestępstwa stanowiące, środkujące między związkiem przestępców a daniem pomocy. Powinni téż w prawie tak jako i danie pomocy, zupełnie odrębne miejsce zajmować. Takie tylko uważanie jest odpowiednie zasadom, inaczéj łatwoby ten błąd w karygodności wyniknąć mógł, że te czyny odrębne od związku, mogłyby w stosunku do przestępstwa poprzednio spełnionego, karę za sobą pociągnąć.

Dający przeto pomoc w właściwém znaczeniu, nigdy w stosunku do spełnionego przez sprawców przestępstwa karani być nie powinni, bo oni jeszcze ściśléj niż uczestnicy i nieprzeszkadzający od związku przestępców są oddzieleni.

Prawo nasze ogólnéj kary za przestępstwo dania pomocy w ogólnych swoich zasadach w art. 23 nie stanowi. Określiwszy takowe, wymaga w ogólności złego zamiaru bo wiadomości o spełnioném przestępstwie tudzież udzielenia pomocy po spełnieniu takowego przez sprawców. Szczególne zaś przypadki podaje w art. 197, 201, 291 do 302.

Z tych właściwie odpowiednie daniu pomocy są:

zaciéranie śladów zbrodni; stawianie przeszkód w schwytaniu zbrodniarzy; ułatwienie więźniowi ucieczki; przechowywanie zbiega wojskowego.

Inne zaś przypadki w art. 292 i 299 wyrażone, jakoto:

nieprzeszkodzenie przestępstwu, namawianie lub pomaganie żołnierzowi do zbiegostwa, nie odpowiadają zasadzie w art. 23 położonéj, ani nadpisowi art. 291; gdyż

są czynami dopomagającemi spełnieniu przestępstwa. Lecz że prawodawca na podobne czyny oddzielnéj rubryki w prawie nie postanowił, przeto nie chcąc ich uważać za wspólnictwo lub uczestnictwo, zamieścił je między przypadkami dania pomocy, jako mające niejakie podobieństwo z udzieleniem przestępcom pomocy. Tak samo postąpił i co do tych, którzy pieniądze przez sprawców sfałszowane w obieg puszczają, lub szczątki z uszczuplonéj monety nabywają art. 252. Przypadków tych nie zamieścił pod daniem pomocy, bo nie odpowiadają celowi dania pomocy powyżéj wskazanemu ale uważając, że mają niejakie podobieństwo do wspólnictwa a raczéj uczestnictwa, umieścił je pod wspólnictwem; chociaż właściwie wspólnictwa nie stanowią, skoro się wydarzyły już po uczynku fałszowania monet i należą do uczestnictwa odległego.

Oprócz celu i przypadków onemu odpowiednich powyżéj wskazanych, podaje prawo w art. 23 inny jeszcze w ogólności przypadek dania pomocy, tojest: szukanie zysków i korzyści ze zbrodni późniéj wiadoméj, którego jednak nie zamieszcza między czynami w artykułach powyższych wyszczególnionemi, i jedynie nabywanie rzeczy z rabunku pochodzących w art. 417 wyraźnie karą zagraża. Ztąd wątpliwość stosowania kary przeciw nabywającym rzeczy z kradzieży pochodzących.

Praktyka trzymając się zasady tłómaczenia prawa, a mianowicie że jeżeli się wydarza karygodny przypadek w prawie niewyszczególniony wyraźnie, lecz z ogólnych zasad okazuje się, iż prawodawca uznaje go za przestępstwo, wtedy do sędziego należy wynaleźć w prawie i zastosować do niego odpowiednią karę, podciągnęło nabywanie rzeczy skradzionych pod art. 294 i 295 i ja-

ko zacieranie śladów przestępstwa kradzieży, bez względu czy takowa była zbrodnią czy występkiem, jednakową karę rozciąga. Czy takie stosowanie prawa odpowiedniém jest, i czyli nie należałoby raczéj nabywania skradzionych rzeczy pod uczestnictwo kradzieży podciągnąć, w innem miejscu udowodnić starałem się (*).

W końcu ze względu na przymioty które winowajcę z osobą w prawach nadwerężoną połączają, zwracać należy uwagę pod względem karygodności na różnicę jaka zachodzi między przestępstwami powszechnemi (delictum commune), które przez każdego bez wyjątku popełnione być mogą np. morderstwo, i zwykłemi (del. simplex) a przestępstwami szczególnemi (delictum singulare v. proprium) które jedynie przez pewne osoby popełnić się dają: np. przez urzędników w urzędowaniu; i złożonemi (del. qualificatum).

Z takowego bowiem podziału, tworzą się dwa jeszcze rodzaje współwinowajców:

1. Współwinowajca ogólny (socius generalis), wspomagający w przestępstwach powszechnych i zwykłych, względem którego nie mamy tu nic do nadmienienia.

2. Współwinowajca szczególny (socius specialis) wspomagający w przestępstwach szczególnych i złożonych, względem którego służy następująca w ogólności zasada:

że osobiste przymioty jednego współwinowajcy, jakoto urząd, pokrewieństwo z obrażonym lub z przestępcą któremu pomoc daną była, służba, które w nim winę zwiększają lub zmniejszają, a niekiedy bezkarną czynią, żadnego na innych współwinowajców w tym względzie

(*) Zobacz moję rozprawkę o nabywaniu rzeczy skradzionych. W Warszawie 1839 r.

wpływu nie wywierają; owszem wszyscy inni bez podobnych przymiotów współwinowajcy, tak mają być uważani, jakby wspomagali winowajców niemających owych przymiotów. A tak współwinowajca urzędnika przestępstwo w urzędzie popełniającego, współwinowajca przestępcy krewnego osoby przestępstwem dotkniętéj, współwinowajca sługi na panu przestępstwo spełniającego, współwinowajca dającego pomoc krewnemu swemu, powinni być uważani jakoby w spełnieniu przez nich przestępstwa pomagali nie urzędnikowi, nie słudze, nie krewnemu. Tym sposobem usprawiedliwia się to, cośmy o dzieciobójstwie wyżéj nadmienili; gdyż do spełnienia téj zbrodni koniecznym jest przymiot matki zamordowanego przez nią dziécięcia. Wszyscy przeto współwinowajcy téj zbrodni jako niemający takowego przymiotu, za morderstwo, wspólnictwo lub usiłowanie morderstwa karani być powinni.

KRONIKA LITERACKA.

Grammatyka Języka Polskiego przez Jana Nep. Deszkiewicza. W Rzeszowie, drukiem Fr. Skielskiego 1846.

List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Szanowna Redakcyo!

Obiecałem przesłać szanownej Redakcyi dalsze uwagi o dziele p. Deszkiewicza; oto są. Ale wcale nie jestem Jej obowiązany za nadsyłanie mi do czytania gramatyk, bo czyż to nie nieszczęście prawdziwe, tak mi się nabiła głowa mądrością gramatyczną, że sam myślę o wydaniu gramatyki. I dziś, kiedym tylu mistrzom w tej sztuce powiedział, że piszą niedorzeczności, dziś oto występować z utworem w tym rodzaju, jest to narażać dzieło na próbę ognia i wody. Ale jakaś chęć nieprzeparta wiedzie mnie do spełnienia zamiaru: zresztą byłoby nieszlachetnie walczyć w odkryte piersi drugich, a samemu nie ukazać swoich; wytykać błędy drugich, a samemu uciec z pola przeglądu. Zrobię com powiedział; nauka może na tem skorzystać, ścieranie się zdań i opinii wyświeci prawdę, a kto się na placu zostanie, tego praca będzie odznaczona użytecznością i wyższym stopniem doskonałości. Wreszcie, nie chciałbym być autorem książki, o której nikt słowa powiedzieć nie może; zdawałoby mi się, że w każdym człowieku widzę obłudnika, który w oczy dzieło moje chwali, a za oczy z niego szydzi. A smutnato rzecz

przyjść do tej ostateczności; pozbyć się wiary w szczerość, ufność i wszystkie cnoty, co nam ludzi kochać każą. Tacy ludzie nie mają nawet tej pociechy, aby kiedy dowiedzieli się, co o ich dziełach ludzie sądzą, bo każdy najlepiej zrobi, kiedy milczy; a znam i takich, co największe głupstwa pochwalą: oto dopiero niebezpieczeństwo dla samolubów literackich. Może też i nauka, która jest przedmiotem moich listów, rozbierana wszechstronnie, sprostowaną zostanie w tem, co dotąd było błędnem lub niedokładnem, a gramatyka stanie się, czem być powinna: nauką uczącą mądrości języka, a zatem i człowieka. Bo dotąd, to doprawdy, że gramatycy nie szczególną zrobili reputacyę swojej sztuce; gramatyka uważana jest za coś tak nudnego, tak odrażającego, że tylko z konieczności każdy się z nią zapoznaje i nie wiedząc po co i na jaki cel zrobił tę znajomość, porzuca ją i mówi potém o niej pogardliwie wzruszając ramionami. I oto nauka, która ma pokazać mądrość ojców, która jest zasadą filozofii rozumu ludzkiego, sponiewierana, lekceważona, a te krzywdy niezasłużone sprowadzili na nią właśni jej wyznawcy. Słyszałem o jednym, który co trzecie, czwarte słowo powtarzał: *Mości Dobrodzieju*, a drugi znowu: *proszę pana*, zapewne, aby słodszą uczynić mądrość, którą ogłaszał; zresztą w braku myśli dobrze i czcze wyrazy rzucać przed siebie. Człowiek, który co chwila nazywa drugich *dobrodziejami*, choć mu nic dobrego nie zrobili, który co chwila *prosi*, choć nie ma o co, jest albo obłudnikiem, albo ograniczonym.

Dość wziąć do ręki gramatykę z 464 str. złożoną i przeczytać kilka w niej prawideł, przy których odsyłają cię do innych znowu prawideł, a przy tych znowu do innych, abyś najgorsze powziął wyobrażenie o nauce, która chciałeś poznać. Zdaje się, że z gramatyki zrobiono jakąś tajemniczą sztukę, jakieś kuglarstwo naukowe, za którego pokazywanie każą sobie łatwowiernym sowicie płacić. Ale czas zedrzeć tym Arbacesom naukowym maskę obłudy, czas przekonać ich, że się mylą względem tych, którym podają dzieła swoje. Dziś głos publiczny łatwo oceni pracę pisa-

rza i wyda zdanie o jej użyteczności. Co tylko nie przypada do potrzeb społeczności, nie wyrosło z opinij upowszechnionych, nie przynosi w zastosowaniu użytku największego i najprostszą otrzymanego drogą, to wszystko będzie zapomnieniem ukarane. Porozprawiają nad robaczywem dziełem uczeni, napiszą czasem krytykę literaci, i oto cała smutna sława dla biednego autora, a potém milczenie i zapomnienie wieczne!

Za dobrych czasów, to wcale co innego było; za cieniutką gramatykę i to jeszcze z łaciną zmięszaną, można było od ziomków medal dostać; za cieniutką powiastkę ukraińską można było sławą poety kilka set mil zapełnić, ale teraz zmieniły się czasy. Napróżno drukują grube gramatyki, napróżno poezye ozdabiają najsłodszemi nazwami *kwiatów*, *fijołków*, *niezabudek*, wszystko to nic nie pomoże; jak tylko twórcom brakuje talentu i namaszczenia, dzieła idą w kąt, a z autorów się śmieją. Nie zamkną się usta prenumeratorom, chociaż ich nazwiska i tytuły na początku książki wydrukowane; to jeszcze ich więcej oburza, że ich niegodnie zwiedziono. Darują łatwo pieniądze, które czasem dla opędzenia się natręctwu w hotelu, dać prawie musieli, zwłaszcza, gdy im zapowiedziano, że już ostatni exemplarz dzieła do przedania; ale nie mogą przebaczyć, że ich nazwiska położono na czele książki, która przed potomnością świadczyć będzie o głupstwie i o tem, jacy byli na niego kupcy. Sam słyszałem słowa pewnej znakomitej osoby, która przeczytała kilka wierszy tylko jakichsiś poezyj, co to o nich Gazeta Warszawska pięknie powiedziała, że i kucharka przy nich zarumieniłaby się: „*byłbym dwa razy tyle za prenumeratę zapłacił, gdyby tylko mego nazwiska na liście prenumeratorów nie umieszczono.*" Oto i nowy sposób zarobkowania! Zebrać zwyczajnym sposobem prenumeratę, a potém każdemu z prenumeratorów zapowiedzieć, że imię jego może nie być umieszczone na liście, za opłatą podwójną prenumeraty; ma się rozumieć, że o dziele trzeba puścić fałszywą pogłoskę, że niedorzeczne, że kuchcikby go się rumienił i t. p. Zaręczam,

połowa prenumeratorów zlęknie się i wykupi z listy. Ale czas już wrócić do p. Deszkiewicza, wszakto o jego gramatyce miałem pisać; Szanowna Redakcya raczy mi wybaczyć ten nieład w moich listach; od czasu jak jedność miejsca i czasu usunięto z trajedyi, podobno i listy swobodniej się piszą, tak podobno chcą emancypowane kobiety. Do czego też nas wreszcie nie doprowadzi ta swoboda literacka!

Powiedziałem już gdzieindziej (list o Szrzeniawie), że system głoskowy Mrozińskiego wybornie objaśnia wszelkie odmiany w imionach, ale znajomością martwej głoski, nie objaśni nikt odmiany *słowa*, które samo jest syntezą mowy. P. Deszk. żadnego użytku nie zrobił z podziału głosek, dlatego jego formy przypadkowania imion, przedstawiają zamieszanie i nieład. Autor dziesięć razy musi powtarzać jedno np. że *t* zamienia się na *c*, *r* na *rz*, *d* na *dź*, kiedy wypadało tylko oznaczyć, kiedy spółgłoski twarde zamieniają się na miękkie, i jednem takiem prawidłem wytłumaczyłby tysiące tych samych trudności w odmianach. Zobaczmy teraz, jak się powiodło p. D. wytłumaczyć odmiany *słowa*, gdzie z nieprzyjaznemi mu głoskami nie miał do czynienia.

Aby łatwiej wystawić odmiany słowa, p. D. zaczyna je od osoby 3 i *uważa to za przyrodzeńszy porządek*. A dawniej powiedział, że najpierwszym dla człowieka przedmiotem był sam człowiek i jego towarzyszka, i dlatego nazwy *ja*, *ty* najpierwej musiały być nadane. Jeżeli dawniej taki był przyrodzeńszy porządek w nazywaniu osób, jakże można teraz odmiany słowa zaczynać od osoby 3 *on*, *ona*. A wreszcie, i na to trzeba uważać, że młodzież tylko bałamucić się będzie, gdy w swoim języku nauczy się odmieniać słowo od osoby 3, a w innych językach zaczyna odmiany osoba 1 *ja*. Jużto i w przypadkowaniu p. D. pokazał, że jest nowatorem, choćto niby chwali dawne czasy: przypadek 4 położył na miejscu 2, a to dlatego, jak powiada, że *człowiek potrzebując swoję miłość lub nienawiść przelać na swoję towarzyszkę, musiał przedewszystkiem utworzyć 4 przypadek*, a więc kładzie go na drugiem miejscu. P. D. źle trzyma o pożyciu małżeńskiem pierwszych ludzi; ja myślę że pierwej

mąż na żonę zawołał: daj mi *chleba*, i ztąd powstał 2 przypadek, a później dopiero mógł się na nią rozgniewać, gdy sama zjadła *chleb*, i ztąd się zrobił 4 przypadek. Porządek więc przypadków w naszych gramatykach jest bardzo naturalny. Podobne poprawki nie ułatwią nauki, a przymnożą trudności dla uczących się obcych języków.

Nic to nie pomogło p. D. że odmiany *słowa* zaczyna od osoby 3, jak również nie dowiódł w tem rozumowstwa (wyraz autora), że czasowanie zaczyna od czasu *przeszłego*. Przeszłość, to historya starca, w przyszłości leżą nadzieje młodzieńca; obecność, punkt ciągle ruchomy stanowiący zetknięcie przeszłości z przyszłością, to pole działania dla myśli człowieka, tu on najprzód pracuje, tworzy; ztąd więc zaczęła się pisać księga jego rozumowych pojęć i wyobrażeń, którą zostawił swoim następcom w języku. Bardzo więc rozsądnie robią gramatycy całego świata, że zaczynają odmiany *słowa* od czasu teraźniejszego, osoby 1. Ale p. D. chciał koniecznie wyszukać klucza, któryby mu wyjaśnił wszystkie osobliwości w odmianach, pochwycił więc za 3 osobę w czasie przeszłym i z niej uformował wszystkie osoby, we wszystkich czasach. Jestto błąd wielki u gramatykarza *rozumownego*; bo uważmy tylko słowo wyrażające bytność, bycie, *być*, które jest najpierwszem słowem, sądem człowieka, uważmy to słowo we wszystkich języków; nigdzie wyrażenie na czas przeszły niepodobne zupełnie do teraźniejszego: *byłem jestem, eram sum, j'étais je suis, ich war ich bin*, a więc wyrażenie na czas teraźniejszy nie mogło się formować z przeszłego, zatem i w innych słowach nie mogło to mieć miejsca.

Równie niepotrzebną jest rzeczą przywracać do języka dzisiejszego *liczbę podwójną*, która tylko w języku ludu jeszcze się przechowuje; próżne usiłowania p. D., aby do języka klass ukształconych wprowadzać wyrażenia: *jesteśta, byliśwa, chodźwa*. Zresztą, pojęcie dwójności tak dalece dziś zatarło się, że nawet lud mówiąc, *okrywajta się kożuchoma*, mówi tu o wielu osobach i wielu kożuchach, nie zamierzając

tem wyrażeniem oznaczać dwóch tylko osób i dwóch kożuchów, chyba że dodaje przymiotnik *dwa*. Po co więc przywracać wyrażenie dwójności, którego zakończenia same nie wyrażają, chyba przez określenie wyrazem *dwa*? Coby też nasze damy powiedziały, gdyby taki purysta, jak p. D. przemówił do nich swoim językiem, np. *pani! zagrajwa na dwu fortepianu ze skrzypcoma; wszak potrafiwa wykonać to dzieło? Tak, musiewaje wykonać!* Byłby to list rekomendacyjny, którego skutki łatwo przewidzieć. Ale potrzeba było koniecznie autorowi, z czemsiś nowem wystąpić i pokazać, że się czytało stare książki, że się zna to, czego inni nie znają; trzeba było przemawiać ciągle o miłości i poszanowaniu dla przodków, o uwielbieniu dla nich, tą miłością skłonić ku sobie serca czytelników, aby potem bezkarnie pleść im gawędy o żelaznym wilku.

P. D. wynajduje jakieś tajemnicze *czasy* i tworzy na ich wyrażenie szczególne odmiany np. *ma powinniśwa byli byli być*. Nie określiwszy nigdzie znaczenia czasu, powiada że to jest czas *zaprzeszło przyszły*. Jak to wytłumaczyć jakiemu malcowi, któregoby chciano nauczyć języka rozumownego naszych przodków? Zdaje się że ta *przyszłość przeszła*, nigdy mu w głowę nie wlezie. Inny jaki gramatyk nazwałby to *wyrażeniem omówionem* (perifrastica) jakich tysiące zrobić można w każdym języku. Powtarzanie zaś takie *byli byli*, przypomina mi opowiadanie p. Arago, który w swoich podróżach badając dzikie ludy Australii znalazł, że kiedy chcą wyrazić liczbę mnogą, to powtarzają dwa razy nazwisko rzeczy np. *bora bora*, to znaczy, że widzą wielu *bora*. My kiedy chcemy odkreślić odcienia czasu, mamy przyjemniejsze dla ucha omówienia. My w naszym języku tak wiele poświęcamy dla harmonii nawet pojedynczych wyrazów, że wszelka monotonija, choćby tylko w głoskach, razi nasze ucho, i zmusza do przekładni głosek podobnych. Ci co koniecznie chcą wszystko podciągnąć pod formy, bez względu na naturę języka, tak go pokręcili, że w wielu miejscach inaczej się pisze podług gramatyki, a inaczej mówi. Czy dziś mówi kto. np. *słyszymy, życzymy?* każdego razi zbieg trzech

sylab, a w każdej ta sama samogłoska *y*, dlatego też środkowe *y* zamienia się na e i wszyscy bardzo dobrze mówią: *słyszemy, życzemy*; dalej zaś w 2 osobie nie razi ucha wyrażenie: *słyszycie, życzycie*, bo końcowe *e* psuje monotoniją *y*. Ale cóżby się stało z formami szanownych gramatyków, gdyby chcieli zważać na takie rzeczy jak harmonija, monotonija? niechby tylko opuścili swoje formy, w których im tak dobrze, jak dzieciom w paskach, niezawodnie romantyzm owładnąłby gramatyką. Widzę, jak drżą na samo wspomnienie tego straszydła. Alboż mało złego narobiło tej dobrej niegdyś poezyi! Dziś, szalona, zerwała zupełnie z gramatyką, która dawniej tak piękne uczyła robić wiersze, a jedna jej część (prozodya, iloczas) poświęcona była nauce tej fabrykacyi. Sam p. D. w rozdziale o wierszowaniu str. 457 mówi: *w grammatyce nie należy podawać prawideł: jakim sposobem można zostać pojetą? Grammatyk tylko tę może dać przestrogę: aby zbytecznej wolności tak zwanej pojetyckiej na psucie języka nie używać.* Mieliżby jeszcze gramatycy pozwolić na usunięcie form z języka, toby było pewną zgubą ich sztuki. W czemżeby się pokazała ich mądrość, gdyby nauka przywiedzioną była do najprostszych wypadków? Czemżeby była ich uczoność, bez owych prawideł, prawidełek, uwag, przepisów, któremi napychają swoje książki?

Kto dla pokazania odmian *słowa* wprowadza sześć form i blisko drugie tyle podwzorów czy odwzorów, ten nie pojął zasady tych odmian, a szukając wszędzie foremności, najgrubsze popełni błędy. I tak, ponieważ się mówi: *daję, dajesz, daje*, więc podług p. D. trzeba mówić: *stoję, stojesz, stoje; muszę, musiesz, musie; wolę, wolesz, wole*; chciałby nawet, żeby mówić: *siedziesz, słyszesz, widziesz*, bo w najlepszych pisarzach i u pospólstwa znalazł, że się mówi: *siedziemy, słyszemy*, str. 369. P. D. zobaczył *e* w *siedziemy, stojemy*, i chciał je powtykać wszędzie; a ja powiadam, że dla tej samej przyczyny, dla której się mówi: *siedziemy*, nie można powiedzieć *siedziesz*.

Dotąd mówiłem o części analitycznej dzieła p. D., zdaje mi się, że jest bez pożytku dla nauki i młodzieży, bo autor

z fałszywego stanowiska zapatrywał się na zdolności języka i nie wprowadził żadnego systematu i ładu do swoich opowiadań.

Mamy mówić teraz o drugiej części gramatyki, jeszcze ważniejszej jak pierwsza, jeszcze trudniejszej jak pierwsza, bo mniej wyjaśnionej jak tamta, słowem, mamy mówić o *składni* pokazującej, jak z pojedynczych cząstek mowy złożyć mowę. Ale p. D. małą wartość naznacza tej części gramatyki i bardzo niechętnie się bierze do pisania o *składni*, mówiąc, że „*gramnatykarz licząc na rozsądek powszechny, powinien jak najkrótsze i najnieliczniejsze podać prawidła: aby drugiej naszego języka własności wielkiej jaką jest swoboda, nie krępował.*" W części analitycznej swojej gramatyki nie obawiał się autor tuzinami rzucać prawidła i wyjątki, w składni chce najnieliczniejsze podać przepisy, aby nie krępować swobody języka. Niepotrzebna obawa. Składnia jestto traktat o dostatkach i zasobach języka; tu nie można powiedzieć fałszu, nie skłamawszy widocznie; nie można robić przypuszczeń ani czczych hypotez, bo tu wszystko oparte na wypadkach mających liczebną prawie pewność. Nie mówię jednak, aby i tu nie można pleść bredni jak o każdej innej rzeczy, której nie pojęliśmy jasno i dokładnie. Mógł więc autor śmiało wystąpić z badaniami swemi nad składnią języka, tym bardziej, że jak sam powiada: *mowa nasza krzywą drogą zaczęła postępować i obce pomysły obcą składnią tłómaczyć.* Wreszcie, ma już w tym przedmiocie prace Jakubowicza, Kurhanowicza, Muczkowskiego, które powinny go były przekonać o ważności tej nauki. Nie pojmuję więc, dlaczego autor tak się lęka pisać o składni, skutki też owej niepewności i pośpiechu zaraz się pokażą.

Nie powiedziawszy nawet z czego się składa zwyczajny sąd, zdanie, mówi o okresach. Oto przykład *okresu poczwórnego*, str. 377. „*Niegodziwy oszuście! omamiałeś dotąd ludzi: ale przyjdzie czas, gdy cię wszyscy poznają, i odniesiesz zasłużoną karę.*" Autor powiada, że *tym sposobem mogą być okresy: popiątne, poszóstne, posiodmne, poósmne.*

Więc u niego ile będzie *słów*, tyle okresów, a ile okresów, tyle zdań! Macie teraz za swoje wy wszyscy, coto sobie głowy łamiecie nad oznaczeniem, co jest okres, co zdanie, co zdanie główne, a co niegłówne, co poboczne, co uboczne, co przysądzone, co zasądzone, co pierwszego gatunku, a co drugiego i t. d. i t. d. Jednem dmuchnięciem obalono wasze domki z kart, a były takie ładne!

Następnie autor mówi o *składni zgody*, lecz nie wiem, co się będzie z czem zgadzało, skoro nie powiedział nic o częściach zdania i stosunkach między niemi. Żeby jednak podać jakie prawidła o zgodzie, powiada, że przymiotniki *dostały trojakie rodzaje w zakończeniach*, aby się zgadzały ze swemi rzeczownikami, i o tem mówi na kilku stronnicach, w końcu przytacza przykłady, oto niektóre: *lwy srogie są postrachem pustyń afryczańskich, konie krulowe, konie krulewskie.* Bardzo dobrze, że autor uczy jak zgadzać przymiotniki z rzeczownikami, ale przedewszystkiem w składni należało pokazać rozmaite przypadki zgody *słowa i przymiotu* z *przedmiotem* (subjekt).

W składni rządu zwróciło moję uwagę wyrażenie autora na str. 400, że *wskazanie rządu słów przyimkami dla Polaków jest niepotrzebne.* Na to się nie zgadzam, bo właśnie tu zaletą największą gramatyka będzie, ukazać wszystkie stosunki jakie tworzyć można między wyrazami za pomocą przyimków i przypadków. Doskonalenie języka zależy na pomnażaniu tych stosunków; chwała dla gramatyka, który treściwie wykaże ich możliwość i warunki, a p. D. powiada, że to rzeczy niepotrzebne.

Składnia *szyku* powiada autor, że jest najswobodniejsza, że *rozumowstwo i czucie zgodnośpiewności musić być w niej przewodnikiem.* A jednakże i tu trzebaby jakie prawidła postanowić, bo niektóre książki naukowe nawet gramatyki, tak nieszykownym stylem są pisane, że, jak się wyraża autor, *w czytaniu przykrość się czuje, podobna jechaniu po grudzie;* (o czem) *każde ucho gędzieckopolskie łatwo się przekona.*

W końcu pozostaje zrobić jeszcze kilka uwag nad pisownią autora, zwłaszcza że p. D. widzi grzech ojcobójstwu równający się w tych, co nie zachowują w pisaniu pewnych kresek. Powiada, że *mowa nasza przyswoiła niegdyś tak wiele cieńszych, pieściwszych brzmień, że dziś niektórzy już nawet nie mogą tych brzmień prawdziwie dźwięcznych i gędzieckich oddać, bo usta wymawianiem częstszem obcych wyrazów stwardniały a uszy się znieczuliły.* Zapewne to autor chce mówić, że nie możemy się przyzwyczaić, do owego gędzieckiego *ń* i mówić podług niego: *skłonnik pojedyńczy, zaranna jutrzeńka, alexandryńska biblioteka.* Rzeczywiście, podobne słodycze w języku, tak są nieznośne dla ucha polskiego, jak smak lukrecyi w rosole. Zapewniam, że na całej przestrzeni, gdzie tylko mówią językiem polskim i gdzie on nie uległ wpływowi obcych języków, nikt podobnych miękkości nie używa. Owe *gędzieckie* dźwięki *dyń, dryń, trzeń* są zupełnie przeciwne duchowi języka, który nie cierpi podobnych *spieszczeń.* To jego charakterystyczna cecha, że twarde spółgłoski, nawet tam gdzie się dwie razem schodzą, najstaranniej przechowuje. Jestto dziedzictwo po ojcach, którzy tym bardziej przeciwnie mowić ani pisać nie mogli. Oto, jakie cudackie wyrazy potworzył p. D. szukając wszędzie gędzieckich dźwięków: *afryczański, alexandryński.* Ciekawy jestem jakieby uformował przymiotniki z wyrazów, np. loterya, materya, estetyka, humorystyka. Próżne usiłowania owych *miękczycieli* języka, ich wymysły zostaną dla nich; tylko *cielęcina,* podług zdania Francuzów, będzie najmiększym wyrazem polskim.

P. D. zamiast *ź* z kropką pisze *z* przekreślone; ważna ulga dla drukarni, ale za to oburza się na tych coby nie kreskowali na końcu głoski, która w niektórych odmianach jest miękką w innych twardą np. *rób'* robi, *postąp'* postąpi; ale najbardziej troskliwym jest o kreskowanie *e,* gdy tymczasem nikt już dziś nie czuje różnicy w wymawianiu *é* ścieśnionego i *e* otwartego, każdy z nałogu i nawyknienia tylko kreskuje *é* bo gramatycy tak mu kazali. Dą-

żenie do brzmień otwartych jest widoczne w dzisiejszem wymawianiu, toż niedawno jeszcze i *a* było kreskowane, dziś tylko lud w Mazowszu zachowuje *a* ścieśnione np. *doj pon*, zamiast: *daj pan;* przyszła kolej i na *e*, że go więcej kreskować nie trzeba, bo w wymawianiu nie przedstawia już żadnej różnicy, a uprości się przez to nauka języka, bo ubędzie kilkanaście prawideł bezzasadnych zupełnie. Skutkiem jeszcze i tego dążenia do brzmień otwartych wtrącamy *e* zamiast *i* lub *y* wszędzie przed zakończeniem 1, osoby mnogiej czasu teraźniejszego np. *czyniemy, robiemy,* i wiele dobrych książek, a z gazet *Warszawska* tak są już drukowane.

Nie jestto nowatorstwo szkodliwe językowi, albo zacierające źródłosłów wyrazów, ale potrzeba do której nas zniewala piękniejsze, czystsze wymawianie, wypływające ze zdolności języka. Zawszeż będziemy inaczej mówić a inaczej pisać? zawszeż będzie inny język gramatyczny a inny ustny? a przecież tak być nie powinno, bo do tej niezgodności nie gramatyków nie upoważnia. Obszerniej już w tym względzie tłumaczyłem się w liście moim o Szrzeniawie; tu dodam jeszcze, że Kopczyński wprowadził najniepotrzebniej w męzkich i nijakich zakończeniach przymiotników różnice *ym* i *em* i kazał pisać: *dobrym ojcem, dobrem dzieckiem.* Jakaż tu niejasnośćby powstała, gdybyśmy pisali jednostajnie i zgodniej z wymawianiem: dobrem ojcem, dobrem dzieckiem? Zawsze się tak kładzie przymiotnik, aby widocznem było do czego się odnosi; nikt z zakończenia tego nie dochodzi, i dlatego choćby nawet wcale nie miał zakończeń na przypadki, jak jest w języku francuzkim, jeszczeby żadna ztąd nie powstała niejasność, do którego rzeczownika przymiotnik należy, przeto różnice w zakończeniach *ym, em* i t. p. się niepotrzebne, i życzyćby należało, dla ułatwienia nauki, aby te różnice w piśmie znikły. Sami potworzyliśmy urojono trudności i prawidła w naszym języku, i dziwiemy się, że go się obcy uczyć nie chcą i nam samym z trudnością przychodzi jego poznanie. Ale przewiduję, co na moje uwagi i projekta powiedzą ci wszyscy, dla których jeszcze Kop-

czyński jest wyrocznią, którzy myślą tylko podług cudzego rozumu; wierzę jednak, że prawda nad uprzedzeniem górę weźmie i moje postrzeżenia wejdą w wykonanie.

Jeżeli kiedy p. D. przeczyta moje listy, w których poważne jego dzieło tak jakoś lekko traktowałem, może wzruszy ramionami i pokiwa głową na taką swawolę z mojej strony; może nawet nie przyzna mi dość *wiedzy*, mądrości do sądzenia takich książek. Czuję jednak, że gdyby mi się dostała do rąk gramatyka odpowiednia do dzisiejszego stanowiska nauki, godna języka naszego, potrafiłbym uwielbić autora, otoczyć czcią i poszanowaniem jego imię i przyrzucić jaki listek do wieńca jego zasługi. Może ja się i myliłem względem p. D., może kto inny, cierpliwszy, z zimną krwią weźmie się do więcej uczonego rozbioru jego pracy; ja oglądałem rzeczy podług mojego sposobu widzenia.

Łączę wyrazy &c.

Arkadija d. 20 września 1846.

Józef A. Czajkowski.

Jordan, fantazya dramatyczna przez Antoniego Sowę. 1846. *Wilno.*

Z czułém sercem urodził się *Jordan*;—takie serce to swego czasu zwierciadło, wieku odbicie. Walki, wróżby, poznania złość, dobroć wieku, łączą się w takiém sercu. Jordan jest w piérwszém zejściu ze światem. Patrzy na rzeczywistość wokoło i czuje że doskonalszość być może, patrzy na byt miniony, na byt obecny, na wszystkie *szczegóły* bytu. Świat, wiara, nauka, życie, wszystko z kolei, staje przed myślą Jordana, w jedność się splata, pod postacią nowéj jakiejś przyszłości bytu człowieczego ukazuje mu się. Jordan woła o zmianę swéj myśli w czyny. Chór *duchów* poklaskuje temu wołaniu.

Jordan jest młody i kocha. Kocha wszystko co piękne; lecz piękniejszém nad wszystko widzi *Anielę*. Bo Aniela nie

była to piękność kwiatu, piękność posągu, miała serce piękne jak sama, i w nowy jakiś świat lepszy, mówi Jordan, duszę mu unosiła.

„I miała takie spojrzenie,
I miała takie uśmiechy,
Że ją widząc, rozgrzeszenie
Zda się spływać za twe grzechy."

Aniela było to dziecko pańskie; czém Jordan nie był. Wychowana śród zbytków, widziała iż nie dały jéj szczęścia skarby i zbytki, i nad skarby przeniosła Jordana. Twoje słowa i myśli, mówiła, dały mi piérwsze przeczuć jakieś prawdziwsze szczęście i przemieniły mię.

.....
„Odkąd wpłynął w serce moje
Ducha twego jasny promień,
.....
Taka w sercu uroczystość
Jakby co dzień był dzień święty,
Jakby duch był w niebo wzięty."

Jordan jest, jak się zdaje z Litwy, i widzimy go w zwykłém męzkiém gronie miasteczek Litewskich. Urzędnicy—obywatele za zielonym stolikiem w domu, wino, dym, karty i wpółdowcipne żarty, przesuwająca się już mniéj już więcéj obiecująca młodzież, stają w obrazie; Jordan odbył kilka utarczek z temi dowcipami i uścisnął przyjacielsko brata Anieli który mu przyrzekł pośrednictwo i wsparcie u rodziców.

Jordan był nietylko ulubieńcem Anieli, lecz i jéj rodziców, ale za męża przeznaczyli Anieli rodzice innego swego ulubienca—hrabiego Fioli. Ten hrabia Fioli, był to mąż żaden myślą, potworny ciałem, lecz był to hrabia. Rodzice objawiają córce swą wolę; Aniela padła i zbladła, i autor nie mogąc znaleźć w notatkach Jordana szczegółów téj rozmowy, powtórzył ją tylko według tradycyi.

„Tutaj ustęp zginął długi,
W którym matka opisała
W najkwieciстszym kolorycie
Najkwieciстsze stroje, cugi,
Najkwieciстsze w świecie meble,
Najkwieciстsze w świecie życie!

A potém postać hrabiego Fioli
W tak piękne ubrała kwiaty,
I do serca córki w swaty
Tak piękne posłała słowa,
Że Aniela już gotowa
Była wierzyć, że Fioli
Był najpewniéj Jordan drugi.
I z pewnością nikt już nie wie
Czy w jéj sercu bezkrólewie,
Czy panują konie, cugi."

Aniela została hrabiną; i myśl Jordana oderwała się znowu całkiem od obecności i poszła w przyszłość; w obecności rozpatrywał się tylko jak ją urządzić, iżby taką a nie inną przyszłość wydała. „Nie myślcie, mówił, że życie, to marna sobie zabawka; każde życie jest spadłém ziarnem ktore coś wydać musi. Wszelki krok, zdolność, zaleta, dobre być mogą z siebie, lecz dobry skutek w tym ogólnym ogrodzie bytu, tylko w woli Wyższéj spoczywa, a tę wolę skłaniają tylko ku sobie *cnota* i *miłość*."

..... „wy myślicie
Że wy wszyscy cudotwórcy?...
Ogień bóstwa, ogień z nieba
Co zamieszkał pierś ludzkości,
Gdy się przyćmi *łaski* trzeba;
Trzeba *cnoty* i *miłości*.
Bo to Boże są wachlarze,
To promienie jego ducha;
Człowiek cnotą i miłością
Tylko ogień tu rozdmucha,
Insze środki są nicością."

I cnoty! cnoty! głównie wołał Jordan, im więcéj rozważał przeszłość siebie blizkich, tym więcéj wołał o cnoty; miarę ich braku, miarą następnych cierpień oceniał.

..... „rozjaśń (mówi) przeszłości pochodnie,
Ujrzysz widomie wszystkie nasze zbrodnie,
Dla których i Bóg nieda rozgrzeszenia,
Aż się cnotą okupią w przetopach cierpienia."

I kiedy Jordan tak rozmyślał i uczył, ukazała mu się Anieła, lub raczéj, jak mówi autor, uosobniony zły duch Anieli, a Jordan tak go powitał:

„O! w sercu mojém ty już jesteś wdowa!
Po twego *serca* pogrzebie
Ja nie pójdę szukać ciebie.
.....
Dla niewieścich cnót i wdzięków
Cześć zostanie w sercach prawych,
Lecz miłosnych łez i jęków
Bohatera tkliwo-łzawych,
Na samobójstw złym kurhanie
Niechaj, niechaj nie zostanie.
.....
Z młodości jeszcze poranków
Tajnie tych bolów rozdarłem,
Śmierciami wszystkich kochanków
I bolałem i umarłem."

Umiérałem śmiercią *Gustawa*, *Wertera*, *Hernani*, i boleściami *Grethen* i szaleństwami *Ofelii*.

„O! wszystkie te platoniczne
Takie cudne ideały,
W stokach brudnych satyryazy
Tak skąpano, i w obrazy
Eteryczne ustrojono!
I na stroje pożyczono
Wszystkich tajni estetycznych,
Bohaterów romantycznych
We krwi żarach rozpalali,
I przy serdecznych pochodniach
Uświęcali cnotę w zbrodniach!
Lecz na dzisiaj już za mali
Wszystkie owe bohatery
Śród świtania nowéj ery."

I Jordan zatopił się znowu i w obecność i przeszłość, a dla przyszłości i łączył ludzkość, wiarę, i siebie i niebo, i zdało mu się iż wróży, iż widzi spełnienie wróżby; im się więcéj wpatrywał w prawdę, w znaczenie szczegółów jéj, tym więcéj wierzył w jéj ukazanie się w końcu, w jéj zejście.

„Kiedy pierś moja westchnęła ku Bogu,
I Bóg méj piersi z Bogiem na niebiosach
Złączył się w myśli o ludzkości losach,
O! zbolały okropnie stanąłem na progu
Kolebki mojéj i chwili dzisiejszéj:
I drugiéj w życiu nie miałem piękniejszéj.

I poznałem ból piękuy na Oliwnéj górze!...
I płakałem z rozkoszą, ach! bo mi się zdało
Że łzy moje to potop, że za wszystkich płaczę.
.....
I wszystkie grzechy w młodości zaraniu
Wylęgłe w błędzie i w złém wychowaniu
I swoje i narodu, utopię w głębiny;
I że na Araratu duchowe wyżyny
Uniosę wszystko co z Boskiéj dziedziny,
Zostało czyste w łonach głębokości.

Kiedy wola człowiecza zastosuje się w końcu do woli prawdy, natenczas i czyny do téj woli się zastosują.

„Ja chcę, powiesz ty do siebie,
A Bóg: stań się, powie w niebie.
Bo głos Boga i głos ludu
Zlewają się w jedno brzmienie;
Lecz ma Boskie być twe chcenie
Jeśli pragniesz doznać cudu."

Taka jest treść dramatu fantastycznego *Jordan*, który tu świéżo otrzymaliśmy. Autor dramatu tego ukrył się pod pseudonymem *Sowy*, czytamy jednak po raz piérwszy pismo téj ręki. Autor postawił dopiéro krok piérwszy i dał nam *dramat*; możemy powinszować autorowi tego zaczęcia.

Poemat Jordan, jak to widzimy, jest treścią swoją z wieku w którym jesteśmy. Wiek nasz odznaczył dziś okres nowy w dziejach poezyi. Dzieje sztuki i krajów podzielone już wprawdzie dawno na *stare, średnie* i *nowe* ale zawcześnie; znamy tylko okres dawny i średni, nowy ledwo rozpoznawać dzisiaj możemy. Cechą w sztuce, mianowicie w poezyi jéj wieku 1^go^ była tradycya; *przeszłość* (Wschód stary) średniego; badanie i chwila czyli *obecność* (od czasów Greckich); dziś, wzrośli, zamyśliliśmy się, jakby o końcu zbliżonym, blizkiéj przemianie, i odbijamy w tworach to zamyślenie; cechą główną utworów wieku naszego jest myśl o *następstwie*. Cechę tę wnieśli i odbili w poezyi dopiéro poeci najnowsi, piérwsi (wspominamy to z chlubą) poeci nasi. Cechą poematu Jordan jest także przyszłość jestto więc dramat, widzimy, i *wieku* i *kraju* naszego.

Poklaskujemy téj treści, i im więcéj cenimy utwór, tym też szczerzéj wyłożymy przyczyny dla których nie zaspokoił nas jeszcze.

W naszych utworach estetycznych blizko ukazujących się, mamy zwykle do pochwalenia: pozór i wykonanie, a mamy im do zarzucenia brak dążeń; poemat Jordan jest wprost w przeciwnym przypadku.

Poemat, to dzieło sztuki. Dzieła sztuki poczytujemy za wyższość nad dyalektykę. Z dzieł tych idą, do nich kierują, badania dyalektyczne. Sztuka, że tak powiémy, jest *wyjściem* i *wejściem* a dyalektyka *przejściem*, śród historyi krzewienia się prawdy w utworach ludzkości. Poemat Jordan jest jednak o ledwie nie mniéj sztuką jak dyaletyką. Od piérwszéj do ostatniéj strony poematu Jordan rozprawia i uczy; a wyrazy dyalektyczne w poemacie (jak np. idei i t. p.) wzięte z nauki przejścia, z znaczeniem nieokréślonem, kaleczą utwór. Dzieło sztuki ma być następstwm ukształcenia się w ten lub inny sposób myśli autora, nie zaś powtórzeniem i wykładem tego ukształcenia się.

Drugi zarzut jaki mamy do uczynienia autorowi dramatu Jordan, jest: iż autor *nie odznaczył* w nim swoich figur. Dramat ten jakkolwiek podzielony na osoby, sceny, oddziały, na wszystkich stronach swéj rozciągłéj treści jest powtórzeniem w waryantach jednych kilku myśli już na piérwszych stronach rzuconych. *Jordan*, *duchy*, *Aniela*, poeta *Prot* (figura, którą autor chciał zdaje się zrazu wyszydzić) jedno, i ledwo nie w jednych słowach nas uczą. Zrozumieliśmy (jak tego dowodem jest wyżéj przytoczona treść) iż dramat Jordan uczy nas: że jest potrzebną cnota, że jest potrzebne zaparcie się wszelkiéj szczególnéj dla ogólnéj miłości. Jordan wszakże główny bohatér fantazyi, po tylu znanych nam już z témże charakterem figurach, śród ram *obszernych* dramatu jedno powtarzający, za słabo nam się wydaje. Chcielibyśmy cóś więcéj skorzystać z nauk i przykładu Jordana tak długo z nim będąc. Czy autor do swych celów chce ludzkich *myśli*, *dłoni*, czy innych jakich *postępków*? Jordan

woła i woła. Gdyby jednak przynajmniéj przez ciąg tych scen w których okazuje się, dał szeląg żebrakowi!

Znoszone spółcześnie nam rozdzielenie, na wszelkich szczeblach, między praktyką i nauką ewangieliczną, autor Jordana chce naśladować także w swych słowach: mniéj jednak, zdaniem naszém, szczęśliwie. Autor mówi co chwila o jedności nas Chrześcian z Twórcą Chrześciaństwa, lecz zapomina na konieczne cienie śród téj jedności. Autor mówi:

„Wy sądzicie, że bluźnierstwo
Takie z Panem rówiennictwo?"

Dwa przedmioty na dwóch końcach szali kładzione, muszą być jednéj wagi iżby się równoważyć mogły, inaczéj, widok nam krzywéj szali przedstawią. Kiedy np. autor czyniąc porównanie potoczne, kładzie na jednym stopniu porównania czyny *Pana* i czyny *Twardowskiego*, takie rówiennictwo istotnie za bluźnierstwo poczytać musimy.

Musimy tu także zarzucić autorowi poematu w ogóle, zbytnią *namiętność* w szczegółach wykonania. Za wiele zdaniem naszém kolorytu, uniesień, autor w ciągu poematu liryce swéj nadaje. Dyalog w poemacie jego to zwykle ciąg wykrzyknień i repetycij; — autor stara się ciągle o efekt w swym wierszu; — światło przecież o tyle tylko jest piękne o ile od cieni odbija. Piękniéj świeci na niebie *Venus* jak *Droga mleczna*. Autor zapomina na ten zbyt znany przepis efektu: trzeba być zimnym aby sprawić zapał.

W scenach towarzyskich Jordana których treścią ma być ironia, nie znajdujemy zwykle innych przedmiotów téj ironii nad znane powszechnie.

W ogóle, w ruchu dramatu złożonego już z *dyalogów*, już *pamiętników*, już *liryki*, pewny widzimy *nieład* niedający nam jedności wrażenia.

Porządna całość nie byłaby przecież sprzecznością z fantazyą oraz powagą celu. Znamy w najnowszéj literaturze naszéj poemat którego celem jest właśnie, taż myśl i takież dążenie, a który przecież przedstawił się nam pod każdym względem w szacie estetyczéj całości; jest to poemat który ma napis (jeśli go dobrze przypominamy) *Brzask*.

Z tych kilku myśli któreśmy o nowym poemacie naszym rzucili, wniosek jest jasny: poemat Jordan jest to utwór pióra młodego poety, ale *poety*. Ten poeta w tle swéj fantazyi i myśli odbija cechy krajowe i cechy wieku; w treści dramatu jego, znakomity widzimy zasób uczucia poetycznego. Autor Jordana, wróżymy, nie jednym znakomitym utworem zbogaci naszą poezyę. *T.*

ROZMAITOŚCI.

Stowarzyszenia i uroczystości muzyczne.

Ślady jednych lub drugich znajdujemy w dziejach cywilizacyi starożytnej. Od czasu jak muzyka wykształceniem swojém, zdobyła sobie miejsce w gronie sztuk pięknych, zawsze znaleźli się ludzie wyłącznemu jéj pielęgnowaniu poświęceni, dla utrzymania życia albo zarobienia sobie na sławę i wziętość współczesnych. A że zawsze muzykę wysoko ceniono, dowodzą owe popisy na igrzyskach staréj Grecyi, owe chóry w tragiedyach, prawdę i naukę za pomocą tonów słuchaczom wpajające, a nawet do bajecznych czasów należący spór o piérwszeństwo w sztuce Apollina z Panem i Marsyasem, zapewne nie tak bajeczny lub allegoryczny jak się zdawać może i mający podstawę w zdarzeniu rzeczywistém, wyobraźnią poetów ubarwioném i przerobioném. Ale przy mozolnie nabywanéj znajomości sztuki w starożytności a ztąd koniecznie małém jej upowszechnieniu i rozwinięciu, wszystkie niemal należące tu fakta dowodzą tylko usiłowań pojedynczych ludzi, albo mało licznych i rzadkich stowarzyszeń. Dopiéro późne po narodzeniu Chrystusa czasy widziały niezmierny wzrost i różnostronne rozwinięcie muzyki, i uczyniły nakoniec wprowadzenie jéj w powszechne użycie tak łatwém, jéj rozkosze tak ponętnemi, że dziś do niezbędnych warunków wychowania starannego należy. Jéj wpływ na towarzystwo niezmierny też być musi, a lubo nie od wszystkich i wszędzie

pojmowany lub zbadany, tém samém już jest przyznany, że nie ma wykwintniejszéj prywatnéj zabawy, nie ma uroczystości publicznéj, światowéj czy religijnéj, w któréjby ważnego nie zajmowała miejsca. To też nie ma kraju któryby nie posiadał stowarzyszeń muzyce poświęconych lub nią wywołanych; do jéj odrębności bowiem od sztuk innych należy potrzeba przygotowań dla wprowadzenia jéj w życie i konieczność pewnéj liczby osób do niektórych jéj rodzajów. Ztąd to owe konserwatorya, opery, muzyki kościelne, kosztem publicznym lub hojnością prywatnych stworzone i utrzymywane. One to wprowadzają muzykę w życie ludu i dobrze prowadzone, najskuteczniéj zdolne są zachować godność jéj jako sztuki, opierać się możnemi siłami wybrykom wirtuozów zalewających dzisiaj świat muzyczny. Ale jakkolwiek wpływ rządów jako siły nieustającéj, na kierunek muzyki jest potężny, poddać się musi duchowi czasu, a nieraz w licznych lubo drobniejszych usiłowaniach prywatnych ma współzawodnika lub podporę w jéj rozkrzewianiu. Te to prywatne usiłowania zajmują nas w téj chwili.

Zaczynamy od najdrobniejszych nie liczbą wprawdzie ale siłami i rodzajem któremu się przedewszystkiém poświęcają. Ktokolwiek zwiedzał kraje Europy północno-zachodnie mianowicie osiadłe przez ludy szczepu Giermańskiego, a umiał badać ich życie w stosunkach prywatnych, temu nieobcy jest wyraz *Liedertafel* i zapewne miłe doń wiąże się wspomnienie. Pod tém nazwiskiem istnieje dziś w Niemczech wiele stowarzyszeń męzkich powszechnie ulubionych, sławnych niekiedy między innemi, a zajmujących się śpiewaniem pieśni chórem. By ten pomysł wyłączną był własnością bieżącego wieku powiedzieć nie można; choćby tu już nie liczyć owych stowarzyszeń znanych dawniéj pod nazwiskiem *Meister* i *Minne-Sänger*. Podług *„Universal-Lexicon der Tonkunst Schilling'a*, (z którego niektóre historyczne szczegóły tu podajemy) już w roku 1673 istniało podobne stowarzyszenie męzkie w Greiffenberg w Pomeranii, złożone z 16 członków stanu szlacheckiego i miejskiego, duchownego i świeckiego. Człon-

kowie sami układali wiersze i muzykę do nich dorabiali i wykonywali w przyjacielskiém zebraniu. Cztéry tomy *in folio* tych pieśni najwięcéj religijnéj treści, wydano w 1673—75. Dążność dzisiejszych stowarzyszeń tém się różni od tamtego, że treść pieśni jest najwięcéj świecka, do czego téż zapewne wiodą niezapomniane nigdy potrzeby posiłku dla ciała, i one to podobno nazwę *Liedertafel* (niby uczta z pieśniami) nasunęły. A snać przyjemności gastronomiczne pomnaża i dopełnia muzyka, bo i starożytni zwykli byli bankiety swoje śpiewem z przygrywką lutni urozmaicać. Wiele z tych stowarzyszeń mają dyrektora muzyki zpośród siebie obranego, którego urząd jest czasowy lub dożywotni. Z nowszych tego rodzaju zgromadzeń, najdawniejsze jest Berlińskie w roku 1809 z 24 członków akademii śpiewu zebrane pod przewodnictwem Zeltera. Upodobanie w téj nowości i współczucie dla niéj publiczne rosły niezmiernie w owym czasie i tym więcéj, że życie polityczne Pruss do stanu biernego przywiedzione czepiało się chciwie wszelkiego zajęcia w domu. Po bitwie Lipskiéj, jakby cudownie mnożyły się stowarzyszenia tego rodzaju po całych Niemczech, z których wiele jak w Frankfurcie nad Odrą i Lipsku do dni naszych istnieje, ciągle odnawianych i rosnących. W nich życie towarzyskie silną ma podporę i uszlachetnienie. Wystawmy sobie pewną liczbę osób po największéj części ojców familij, w jedno miejsce zebranych nie dla gry i hulanki, ale dla śpiewu i poezyi; a zrozumiemy ile tém myśli się czyszczą, pojecia kształcą, miłości braterskiéj się rodzi. Systematyczny duch Niemców każe im być wiernymi raz przyjętym i zwykle dla tym większéj powagi drukowanym przepisom, których szczegóły są mniéj więcéj wszędzie te same. W naznaczony na cały rok dzień każdego miesiąca zbierają się członkowie, albo z kolei u siebie, (latem na otwartém miejscu własnością którego członka będącém np. ogrodzie), albo w publiczném miejscu, wzbraniając wszakże przystępu obcym stowarzyszeniu, gdzieindziéj dozwalając wprowadzenia gości. Nic tam wspólnego nie ma prócz śpiewu, a niektóre stowarzyszenia jak np. Lipskie nie przyjmują nikogo, kto poezyą, kompozycyą muzyki lub śpiewem do celu wspólnego nie po-

maga. Na posiedzeniu sekretarz czyta protokół poprzedniego zebrania jakby dla uczczenia pamięcią tego co ich rozweselało, i przystępują do nowych pieśni które aby były do repertoryum przyjęte, muszą w trzech posiedzeniach być powtarzane i za dobre uznane. Liczba tego rodzaju kompozycyj jest ogromna i pewnie trzecią część wydawanych kompozycyj wokalnych zajmuje. W rocznicę zawiązania towarzystwa Lipskiego, podług zawsze szanowanéj ustawy, ten z członków ma zaszczyt przyjmowania u siebie współbraci, kogo niebo najmłodszym w roku bieżącym udarowało potomkiem. Ten jeden szczegół wiele nasuwa myśli, o życiu domowém Niemców i rodzaju takich stowarzyszeń. Inne, a te są liczniejsze i więcéj jeszcze towarzyskie, są zgromadzenia zwane *Liederkrantz*, tém od poprzednich różne, że do liczby członków i kobiéty należą, a tym sposobem jak z jednéj strony więcéj przedstawiają urozmaicenia, tak z drugiéj mocniéj rozszerzają zamiłowanie do śpiewu. W Wirtembergu, Baden, Bawaryi, są one nadzwyczaj powszechne, a często w jedno umówione miejsce zebrane dla wspólnego działania, dają powód do uroczystości cały prawie kraj obchodzącéj, mianowicie gdy i odleglejszych okolic stowarzyszenia, co się nie rzadko zdarza, na pomoc wezwane, śpieszą do miejsca zebrania. Jak u nas niektóre jarmarki dają powód do licznego zbiegowiska ze wszech stron, tak tam uroczystość muzyczna ściąga mnóstwo osób współdziałających lub ciekawych. Bo wszystko dzieje się publicznie i bezpłatnie. Widzieć tam można w umówionym dniu uroczyście wkraczające stowarzyszenia mniéj więcéj liczne przy odgłosie muzyki instrumentalnej lub śpiewu, z rozwiniętemi chorągwiami, na których świecą herby i znaki symboliczne (1). Po powitaniu i spoczynku wszystkie stowarzyszenia organizują się w jedno dla wykonania dzieł muzycznych naprzód programatem oznaczonych. Zebraniom takim przewodniczą zwy-

(1) Niektóre z takich stowarzyszeń od dawniejszego czasu istniejące są kompletnie uorganizowane pod względem ekonomicznym lub administracyjnym. Mają sekretarzy, archiwa, lokale własne, a nawet czarę toastową, którą w ważnych dla towarzystwa zdarzeniach najkosztowniejszy sok winny napełnia.

kle najznakomitsi ludzie w zawodzie muzykalnym, i na ten cel nie raz o mil kilkanaście przybywają. Ale wtenczas nie już pojedyncze i drobne śpiéwy cztérogłosowe, ale wielkie kantaty, oratorya i t. p. zajmują wszystkich i prócz licznych śpiéwaków, cały przybór instrumentalny suto i wybornie jest obsadzony, tak, że nieraz więcéj jak tysiąc osób do wykonania dzieł nieśmiertelnych się przykłada (2).

Uroczystość jest zwykle na kilka dni rozłożona, a w takim razie wymaga koniecznie niejakich ofiar pieniężnych, tak ze strony przybywających na nią członków jak i mieszkańców miasta punktem zebrania będącego. Przecież koszta wszyscy chętnie ponoszą, bo użycie sztuki, o jakiém wyobrażenia mieć nie można nie znając go, wszystko wynagradza. Jakkolwiek wielkie mogą być siły pod rozporządzeniem dyrekcyj teatralnych będące, jakiekolwiek są zasługi zgromadzeń muzycznych kosztem książąt panujących albo miast utrzymywanych, samą już liczbą indywiduów ustąpić muszą pierwszeństwa massom na jeden raz ze wszech stron spływającym. Tutaj znajdują się istotnie wszelkie sposoby godnego wykonania jakiego utworu muzykalnego, potrzebującego potęgi tonu, któréj pojedynczych towarzystw usiłowania dać nie mogą. I ten to niedostatek zapewne podał myśl wielkich uroczystości, na których ludzie stosownie do pojmowania sztuki przygotowani, z reli-

(2) Jednak czy to przy wieczornéj zabawie w dniach uroczystości, czy po zupełném jéj ukończeniu, pojedyncze takie *Liedertafel* walczą z sobą o piérwszeństwo w śpiéwie. Stowarzyszenia ambicyą podżegnięte, długo naprzód gotują się do podobnéj walki, a dyrektorowie starają się je usposobić do jak najdokładniejszego oddania kompozycyi, i służącéj jéj ze podstawę poezyi i nic nie jest zaniedbane od głosów aż do expressyi, co na urok śpiéwu choralnego wpłynąć może korzystnie. Nieraz stowarzyszenia podobne, zbierają się jedynie dla tego rodzaju walki; co większa kraje rywalizują z sobą. I tak mieszkańcy miast pogranicznych Niderlandów i Niemiec zbierają się w obranym punkcie jedynie dla wzajemnego popisu i poddają się bez szemrania wyrokom uproszonych sędziów. Łatwo pojąć jak podobne wysilenia kształcą niezmiernie stowarzyszenia i pojedyncze indywidua i usposabiają je korzystnie do pojęcia i wykonania dzieł olbrzymich, bez długich poprzednio przygotowań.

giną prawie czcią słuchają dzieł, w całéj ich rozległości wykonywanych. Wielkie twory *Bacha*, *Haendla*, *Grauna*, *Hajdna*, *Bethowena*, *Spohra*, *Mendelsohna* i t. p. znakomite wypracowaniem, poetyczne i głębokie myślą za podstawę im służącą, wykonane wspólnemi siłami ludzi nieznających się z sobą i tylko zamiłowaniem sztuki zgromadzonych, dowodzą nietylko wysokiego stopnia i rozgałęzionego wykształcenia, koniecznego do zrozumienia i pokochania dzieła, ale nadto wybujałéj a błogiéj cywilizacyi, nielękającéj się zawodu towarzyskości i dobrego bytu mieszkańców. To wszystko prowadzi do uczucia szlachetnéj narodowéj dumy, jednomyślnego obywatelstwa i pojedyncze indywidua uzacnia. To téż po każdéj takiéj uroczystości ile to opisów w gazetach, szczegółów, drobiazgów nawet! Do tego nawet już przyszło, że dziś weterani muzyczni wspominają i opowiadają z równą powagą udział swój w uroczystościach muzycznych, zalety swego *Liedertafel*, jak osiwiały żołniérz wyprawy wojenne i tryumfy swego pułku. Zaiste dwa rodzaje chluby, przynajmniéj godne siebie.

Rzecz dziwna że Anglia, ów kraj najmniej twórczości i samoistności w rzeczach muzycznych mający, najpierwszy dał przykład uroczystości podobnych do tych o jakich mówimy. Na cześć *Haendla*, który lubo Niemiec rodem, w Anglii i dla Anglii życie swoje strawił, piéwsza uroczystość muzyczna miała miejsce w Londynie, gdzie dotąd corocznie do ośmiuset członków wykonywa jedno z jego olbrzymich oratoryów. Za przykładem stolicy poszły inne miasta, jak Manchester, Norwich, Worcester, Liverpool. Szwajcarya najpierwsza z krajów lądu stałego naśladowała wyspiarzy Albionu. Za jéj przykładem poszły Niemcy, i już w 1810 usiłowaniem jednego człowieka święcono uroczystość muzyczną w Frankenhausen w Turyngii, powtórzoną zaraz w roku następnym a w 1812 do Erfurtu przeniesioną. I tak coraz daléj rozszerzane zamiłowanie muzyki poważnéj objawiało się uroczystościami w Hamburgu, Lubece, Bremen, Wizmar, Ludwigslust, Kiel; w Wiedniu podczas kongresu wykonano oratoryum Haendla „Samson" przez 700 przeszło osób. Połączone muzykalne siły z Brunświku,

Wolfenbüttel, Hildesheim, Quedlinburg a nawet miast odleglejszych złożyły w 1820 uroczystość w Helmstädt trzy dni trwającą. Tego samego jeszcze roku powtórzono to samo w Quedlinburg i w r. 1824 w rocznicę urodzenia Klopstocka, gdzie zbiegło się wszystko co Niemcy najświetniejszego w muzyce posiadają. Równocześnie związały się niektóre miasta Reńskie, jak Elberfeld, Düsseldorf, Cöln, Akwizgran do corocznych uroczystości muzycznych, a za ich przykładem poszły prowincye nad Elbą w 1826 święcąc w Magdeburgu swoje początki przez oratoryum Schnejdera „Raj stracony." I tak daléj a coraz szerzéj muzyka się rozlegała, i nie ma podobno w całych Niemczech nie już większego ale nawet średniego miasta, któreby przynajmniéj raz punktem zebrania nie było. Ostatnie ze znakomitszych odbyło się w sierpniu roku zeszłego przy inauguracyi posągu Bethowena w mieście jego rodzinném Bonn. I gdyby nie zbyt wiele pretensyi a raczéj niezręczności gospodarzy w przyjęciu zaproszenia na tę uroczystość Europy muzykalnéj, byłaby ona na długo wzorem.

Ale przedsięwzięcia tego rodzaju wymagają koniecznie mnóstwa osób stosownie przysposobionych. Tu w pomoc przychodzą zakłady muzyczne rządowe i prywatne z każdą niemal szkołą w Niemczech związane. Bo od czasu rozgałęzienia się a raczéj ustalenia reformacyi, jedną z najwybitniejszych dążności krajów protenstanckich było rozszerzyć muzykę kościelną, i uczynić ją nierozłączną z potrzebami ludu. Ztąd uroczystości w mowie będące trudne a nawet niepodobne gdzieindziéj, w Niemczech bez trudności miejsce mieć mogą. Tak w Alzacyi stowarzyszenie muzyczne piérwszy raz zebrawszy się do Strazburga w 1830 ledwie w 1836 uroczystość ponowić zdołało. Ale i inne kraje lubo rzadziéj i w duchu mniéj ludowym jak Niemcy, usiłowania swoje pomyślnym widziały wieńczone skutkiem. Hollandya, Austrya (Czechy i Węgry mianowicie), Szwecya piérwsze tu miejsce trzymają. I Włochy nie zostały w tyle, lubo podobny rodzaj muzyki mało między nimi znajduje zwolenników i ogół kocha jedynie nowożytną operę i wyłącznie kompozytorów Włoskich. I w Rossyi czynność prowincyj Kurlandzkich udarowała w r. 1836 Rygę uro-

czystością muzyczną, na którą miasta Mitawa, Parnawa, Dorpat, Rewel reprezentantów swoich posłały. U nas nic podobnego dotąd miejsca nie miało, bo niezamożne w ludność muzykalną miasta Polskie niezdolne są w swém łonie żadnego stowarzyszenia muzykalnego wypiastować. Warszawa tylko jedna posiada zamożne siły ku temu, ale im brak impulsyi, kierunku i siły kojarzącéj, a najwięcéj przyjaznych okoliczności. Co dotąd z muzyki wzniosłéj mieliśmy, było dziełem gorliwych kilku osób, niezdolnych własnemi siłami długo utrzymywać całego ciężaru; usiłowania te wszakże dały nam poznać niektóre dzieła Hajdna, Bethowena, Elsnera. Były to jednak raczéj koncerta na wielką skalę, jak uroczystości muzyczno-ludowe o jakich wyżéj mówiliśmy, i długo czekać będziemy na nie, bo najprzód trzeba zwalczyć przeszkody, rozprzestrzenić gruntowną rzeczy znajomość i zamiłowanie ku niéj, zanim zbierać będzie można owoce (3).

Wiele stowarzyszeń muzycznych liczniejszych w składzie od wymienionych wyżéj, przybiera jeszcze szumną nazwę akademij. Jeśli które, to niezawodnie stowarzyszenie Berlińskie jest jéj godne, tak liczbą jak i doborem członków, wreszcie wykonywaniem samych arcydzieł sztuki, jednak na same tylko głosy. Do rzędu akademij liczyć należy mnogie we Włoszech stowarzyszenia philarmoniczne i upadłą w Paryżu *Academie royale du chant*; dzisiaj tytuł ten nosi wielka opera przez rząd utrzymywana.

Z najznakomitszych stowarzyszeń tego rodzaju wypada tu wymienić jeszcze niektóre z powodu wielkiego wpływu jaki na postęp muzyki we właściwych krajach wywierają. Między wszystkiemi piérwsze trzyma miejsce Holenderskie towarzystwo do podniesienia muzyki; znakomitszego dotąd nie było i nie łatwo znakomitsze się znajdzie. Początki jego sięgają

(3) Że i najmniejsza pomoc przydać się może, dowodem tego są niektóre indywidua męzkie należące tu i owdzie do upowszechniających się coraz więcéj w Warszawie chórów kościelnych. Piérwsza i jedyna ich nauka muzyki była w szkołach publicznych, mających zawsze nauczycieli śpiewu. Jakkolwiek to było mało, ośmieliło do dalszych kroków i ułatwiło je.

nie daléj jak roku 1829, w którym kilku możnych w kraju przyjaciół muzyki, pomnych na dawniejszą świetność muzyczną swych przodków (4) postanowiła wspólnemi siłami podnieść upadłą w kraju sztukę. Ich zamiary znalazły poklask i dzielne wsparcie; naznaczono coroczne zjazdy do dziś dnia miewające miejsce w znakomitszych miastach jak Haga, Amsterdam, Rotterdam, i rosnące coraz towarzystwo liczy już obecnie przeszło sześciuset członków, z których wielu jest cudzoziemców mających sobie za zaszczyt zwać się członkami honorowymi lub korrespondentami. Znakomite fundusze towarzystwa obracane są na kształcenie młodych talentów za granicą, zakupywanie kompozycyj i ogłaszanie ich drukiem, naznaczanie premiów za najlepsze konkursowe utwory, utrzymywanie szkół śpiewu i muzyki instrumentalnéj, między innemi, wyłącznéj szkoły dla organistów a nawet wydawanie oddzielnego dziennika muzycznego. Łatwo pojąć że do tego wszystkiego wielkich sił potrzeba; że je towarzystwo posiada znać z saméj gałęzi administracyjnéj; do jéj składu wchodzą dyrektorowie, sekretarze, bibliotekarze, kassyery i t. p. Pierwszym zewnętrznym znakiem istnienia tego stowarzyszenia była wielka uroczystość muzyczna w Hadze 1834, w którym zarazem król przyjął całą organizacyę pod swoję szczególną opiekę. Stowarzyszenie Austryackich przyjaciół muzyki niemniéj wielki na stan muzykalny wpływ wywiera. Powstało z zebranego na raz jeden w celu dobroczynnym towarzystwa koncertowego, które usiłowania jednego z wielkim wpływem człowieka w stałe zamieniły ciało. Z niego wywiązało się sławne Wiédeńskie konserwatoryum muzyczne, zawsze pod zarządem stowarzyszenia będące. Liczny zbiór starożytnych narzędzi muzycznych, rękopismów, autografów, dzieł nieśmiertelnych pełna biblioteka, rozgałęziona i wiele osób trudniąca administracya, tysiąc sześćset czynnych lub stale wspierających towarzystwo członków, związki z najznakomitszymi ludźmi nauką, sztuką, wpływem, majątkiem, wreszcie

(4) Najsławniejsi i rzec można prawie jedyni w Europie kompozytorowie w XIV, XV i XVI jeszcze wieku byli Niderlandczycy.

czynna protekcya całéj rodziny panującéj i pomoc zagranicznych książąt, oto są zasoby i siły towarzystwa, a znane rozgałęzienie muzyki w Austryi— skutki jego usiłowań. Stowarzyszenie do muzyki kościelnéj w Prezburgu, w krótkim bardzo czasie do ważnych także doszło rezultatów. Na koronacyę owdowiałéj cesarzowéj w 1825 stan muzyki kościelnéj w stolicy Węgier tak był nizki, że do uroczystości musiano przywołać muzykę Wiédeńską. To podżegało Węgrów do' postarania się o własną; słabe zrazu usiłowania i upadłe nawet, podparte zostały przyłożeniem się możnych. Zupełne zaparcie się osobistości, silna, trafna organizacya, bezpłatna administracya (wyjąwszy służby), szybko wzmogły towarzystwo, tak że dzisiaj liczy przeszło 500 członków po większéj części wspierających zakład stałemi darami. Fundusze zabezpieczone są na własności municypalnéj, i ciągle się mnożą licznemi co rok koncertami. Biblioteka zaopatrzona i ciągle rosnąca, przybór instrumentów zupełny i doskonały, oto są środki towarzystwa do utrzymywania wytwornéj muzyki przy kościele Śgo Marcina. Że rzeczy czysto muzyczne na najpiękniejszéj są drodze, dowodzi pokonanie, nigdzie niepokonanych trudności, jakie przedstawia wykonanie w całości wielkiéj mszy Bethowena in D.

Pomijamy tu inne jeszcze stowarzyszenia, jak np. Paryzkie do propagowania dawnéj muzyki kościelnéj, pod przewodnictwem ks. Moskwy, wykonywające i wydające swoim nakładem najlepsze dzieła szkoły staréj Włoskiéj; pomijamy liczne w Niemczech stowarzyszenia, ogłaszające premia za najlepsze kompozycye w różnym rodzaju; pomijamy stowarzyszenia których zabiegi uwieczniają pomnikami pamięć gieniuszów, jak Mozart i Bethowen, albo wydawaniem ich dzieł, jak towarzystwo Angielskie Haendla; pomijamy nakoniec stowarzyszenia myślące o losie osób muzyce się oddających, a które istnieją w wielu miejscach Europy i u nas także; to wszystko pomijamy, bobyśmy nieprędko skończyli, chcąc zasługi każdego z nich wymienić. Sama o tém wzmianka choć cząstkowa wystarczy, by pojąć czém jest muzyka za granicą i ile usiłowań szlachetnych nad jéj rozprzestrzenieniem pracuje.

Zwracając myśl do nas, przypomnieć należy, staraniem J. Elsnera zebrane stowarzyszenie do muzyki kościelnéj u ks. Pijarów, którego statuta drukowane nie zapewniały mu wprawdzie olbrzymiego wzrostu, ale w kwitnącym stanie utrzymywać się dozwalały. Rok 1830 koniec mu położył. Dzisiaj cała nadzieja nasza na przyszłość jest w owych drobnych usiłowaniach po rozmaitych kościołach, niestety rzadko znajomością rzeczy wspieranych, czasem nawet, powiedzmy prawdę, więcéj szkodliwych jak użytecznych. Przecież trzeba na wszystko czasu; słabości należy pobłażać ale ją i wspierać trzeba. Piérwsze umieją wszyscy, któż myśli o drugiém? Czekajmy, może się i u nas zjawi jaki Fasch, i podobną Berlińskiéj Akademię stworzy; może się zjawi kto, jak ów Choron przebiegający Francyę w różnych kierunkach i szczęśliwym darem jednoczenia ludzi obdarzony, cudowną metodą w kilka ledwie godzin uczący z pracy rąk żyjące massy, wykonania kompozycyj choralnych, a uszczęśliwiony pomyślnym skutkiem swéj pracy, biegnący szukać nowych zwolenników (5).

(5) Czyny i losy tego nadzwyczajnego człowieka, nie mogą być opowiedziane pokrótce, odsyłając ciekawych do jakiegokolwiek Lexikonu, kilka tu tylko zamieszczamy szczegółów. Urodzony w Caen we Francyi 1771 już w 15tym roku skończył kursa Rzymskiéj i Greckiéj literatury; namiętnie kochający muzykę, mimo oporu uporczywego ojca i zupełnego braku nauczycieli, zdołał posiąść znajomość jéj filozoficzną i teoretyczną, i dopiéro w późniejszym wieku mógł się praktyce poświęcić. Dla czytania ważniejszych dzieł muzycznych w oryginale, pracował nad językami obcemi; jako lingwista był nauczycielem języka Hebrajskiego w kollegium Francuzkiém, jako matematyk pod kierunkiem sławnego Monge był repetytorem do geometryi wykreślnéj przy szkole politechnicznéj. Daléj członek Akademii sztuk pięknych, w 1815 redaktor biuletinów do podniesienia przemysłu narodowego, nigdy jednak muzyki nie zaniedbywał i czyto jako dyrektor opery, czy jako twórca i przewodnik własnych instytutów muzycznych, niezmierne korzyści krajowi przynosił. Cuda opowiadają o postępie muzycznym dzieci w jego szkole, zdolnych do tego, co dojrzałym z trudnością przychodziło, jak np. wykonywanie staréj kościelnéj Włoskiéj muzyki. Z licznych jego przedsięwzięć w celu upowszechnienia muzyki choralnéj mię-

Do liczby stowarzyszeń muzycznych policzyć należy, żadnemi statutami niezwiązanych członków wiecznie koncertujących orkiestr, jak w Berlinie naprzykład; gdzie za marną opłatę cały wieczór słuchać można wytwornych kwartetów, albo olbrzymich symfonij. Działanie tych zarobkujących stowarzyszeń choć opłatą ograniczone i nieznaczne, niemniéj jest pewne i pomaga do upowszechnienia między klassami rozmaitemi społeczeństwa pojęć o prawdziwéj sztuce, i tego zamiłowania co jest rękojmią jéj wartości oraz istnienia na zawsze.

dzy ludem, z planów podanych w tym widoku ministerstwu spraw wewnętrznych, mało co w wykonanie weszło i długo trwało; bo gorliwość gwałtowna tego człowieka, bez względu na wszystko karciła osobistości i wytykała błędy, wielu mu więc narobiła nieprzyjaciół. Gdy w roku 1830 skutkiem wypadków politycznych stracił ostatnie swoje miejsce dyrektora muzyki przy Sorbonie, a w 1832 wykreślono z budżetu płacę dla chorów kościelnych, Choron powziął olbrzymią myśl własnemi siłami stworzyć potężne chóry w całéj Francyi. W tym celu pokomponował pieśni czterogłosowe i objeżdżając kraj dla uczenia ludności, do cudownych dochodził rezultatów. W Roszelli w przeciągu dni sześciu wykształcił dziewięćdziesięciu śpiéwaków; to samo w Chartres i Luson. W Nantes uorganizował trzy chóry o 80, 110 i 160 śpiéwakach a to wszystko w jednym tygodniu, i przygotował je do działania oddzielnie lub razem. W Angers, jak opowiadają Francuzkie dzienniki, w mało co więcéj jak dwie godzin, zebrał i wyuczył motetu siedmiogłosowego do N. P. chór z 350 osób złożony. Podobne chóry do 800—900 osób dochodzące, kształcił w Paryżu, a byli to jednak ludzie po największéj części nic muzyki nieznający. Takie powodzenie natchnęło go ufnością; zamierzył dzieci z ubogich zakładów kształcić do celów muzycznych i na polu Marsowém dać koncert z 30,000 głosów, dla wsparcia rodziców. Ale go śmierć zaskoczyła i to w niedostatku, bo z wielkiego niegdyś majątku obróconego na cele muzyczne, ostatnią pozostającą rentę 1,200 franków, sprzedał dla wyżywienia uczniów wszędzie z nim chodzących i wspierających go w olbrzymich pracach.

Wyjątek z Dziennika Podróży.

Graefenberg dnia 5 stycznia 1845 r.

Dnia 8 listopada nad wieczorem wyruszyłem pocztą z Ołomuńca, pragnąc przed powrotem do rodzinnego kraju nawiedzić Graefenberg. Droga, którą obrałem na Hof, Oppawę, Jägerndorf, Zukmantel, nie idzie prosto do Graefenberga, ale objeżdża go półkolem, a z powodu ciągłych gór jest nierówna i źle utrzymana, jak to prawie wszystkie drogi Austryackie; wprawdzie można obrać inną znacznie prostszą na Milnitz, lecz tamtędy powozy pocztowe wcale nie chodzą, z landkuczerem zaś jazda jest mniéj wygodną i pośpieszną. Po raz piérwszy przebiegając Morawię i Szląsk Austryacki, bacznie rozpatrywałem się w jego okolicach, prawie wszędzie urozmaiconych romantyczném pasmem gór Sudetów, które z licznemi odnogami, pod różném nazwiskiem, przechodzą tędy od górnéj Luzacyi ku Polskim Karpatom. Mała ta i nieludna cząstka państwa Austryackiego, obfita w świerkowe i bukowe lasy, a prawie ze wszech stron ścieśniona górami, mimo wszelkie swoje piękności natury, wiele traci na porównaniu z sąsiednim Pruskim, mianowicie wyższym Szląskiem (*Ober-Schlesien*) który już dawniej zwiedzałem. Pruski jest widocznie zamożniejszym i więcej zajmującym dla podróżnika. Wsie porządnie zabudowane i zagospodarowane wzorowo, miasta duże i handlowne, rękodzielnie, fortece, koleje żelazne z Wrocławia do Świdnicy, Ohlawy, Lignicy, przecudne widoki natury w górach olbrzymich, liczne źródła wód mineralnych jakoto: w Saltzbrun, Warmbrunn, Flinsberg, Landek, Reinertz zwabiają tłumy cudzoziemców, i wiele przyczyniają się do ciągłego ruchu przemysłowego, cywilizacyi i zamożności tamecznych mieszkańców. W Szląsku Austryackim tego wszystkiego nie zobaczysz. Drogi są złe i puste, życie droższe, liche oberże, i prócz Oppawy, nie napotkasz miasteczka pod jakim bądź względem godnego szczególnéj uwagi.

Lecz ja ci tu kochany Józefie (1) mam mówić o Graefenbergu, który z łaski Pryśnica bez wątpienia jest najciekawszém miejscem w całym Szląsku Austryackim. Sława kuracyj Graefenbergskich od kilkunastu lat rozeszła się po całéj Europie; za przykładem Bawaryi i Saxonii, gdzie naprzód uznano i zachwalono skuteczność hydropatyi, wszędzie wznoszą się zakłady na wzór Graefenberga, a zimne kąpiele i obfite picie wody we wszystkich krajach jest dotąd w modzie. Po wielu miastach Niemieckich, mianowicie Austryackich, żaden Niemiec do ust nie weźmie ulubionéj kawy, nie wychyliwszy poprzednio potężnéj szklanicy czystéj wody; urządzają tam łaźnie i wodospady *à la Prisnic*; w Wiedniu wyborne są w tym rodzaju łazienki Sofien-Bad zwane. W ostatnich czasach utrzymywano gdzieniegdzie, że woda zaczyna już wychodzić z użycia, lecz przeszło dwadzieścia zakładów wodnych, z niemałém powodzeniem obecnie istniejących w samych Niemczech, jawnie temu zaprzecza (2). Zacząwszy od Oertla, mógłbym ci najmniéj pięćdziesięciu wyliczyć autorów, lekarzy z powołania i nie lekarzyktórzy w różnych językach, z uprzedzeniem i bez uprzedzenia pisali o Graefenbergu i hydropatyi; a lubo wiem że nie obce ci są niektóre ich rozprawy, czyniąc zadosyć życzeniom swoim, zamieszczę ci to wszystko, co już w tym

(1) Niniejszy wyciąg z Dziennika Podróży jest kopią listu, który pisałem do Dra Kowalewskiego mieszkającego w Berlinie. —*K. K.*

(2) Najświeższe doniesienia z Graefenberga zawierają: M. Vincent Priessnitz a reçu du gouvernement autrichien, en reconnaissance de ses grands services, la grande medaille d'or, distinction qui n'est accordée qu'au véritable mérite.

Jour. de Francfort 27 *Juin* 1846 *a. Nr.* 175.

Le nombre des baigneurs augmente à Graefenberg avec la bonne saison; la dernière liste indiquait déja 570 noms. Une des cures les plus merveilleuses est celle qui a été faite sur la personne d'un Américain, M. L.... Il avait visité en vain les principales sources thermales de l'Allemagne; l'année dernière, il vint à Gräfenberg, appuyé sur deux bequilles, et maintenant c'est un des danseurs les plus agiles. Une fièvre nerveuse a été guérie en trois jours et une inflammation des poumons en 36 heures par le traitement à l'eau froide. *Jour. de. Fr.* 27 *Juin* 1846.

przedmiocie zajęło parę kart mojego dziennika podróży po Niemczech.

Graefenberg, własność biskupów Wrocławskich, jest to mała wioska, zamieszkana przez kilku czynszowników, położona na pochyłości gór Sudetów, ośm mil Niemieckich odległa od Oppawy a cztéry od Pruskiéj fortecy Neissy. Dom duży piątrowy, mieszkalny Pryśnica, z wannami, pokojami gościnnemi i ogromną salą jadalną; trzy inne domy wyłącznie przeznaczone dla gości, kilka chat wieśniaczych, z których każda ma wannę na dole, w pobliżu las gęsty świerkowy, w nim liczne źródła czystéj wody, prześliczny widok na przyległe góry i okolice; kilka pamiętników na cześć Pryśnica jakoto: źródło kamienne w kształcie kolumny ze dzbanem na wierzchu i szumnym na dole napisem, altana na górze, lew żelazny wystawiony przez Węgrów, mający uosabniać potęgę gieniuszu wodnego lekarza; oto wszystko, co można powiedzieć o miejscowości Graefenbergu. O pół mili u stóp Sudetów nad strumieniem, leży miasteczko Freywaldau, winne swó wzrost i przemysł sławie i powodzeniu Pryśnica. Liczy ono około trzy tysiące mieszkańców, ma jeden kościół katolicki, ratusz, jeden sklep zamożny, jednę lichą oberżę pod koroną, i zaledwie kilka porządniejszych kamienic. Większa część przybyłych dla polepszenia zdrowia, mianowicie z liczną familią, zamieszkuje Freywaldau, a część przyległą wioskę Boemisch-Dorf zwaną. Oprócz téj w pobliżu Graefenberga jest wieś Lindenwize, znana z kuracyi tamtejszego wieśniaka Szrotta. Niektórzy piszący nie wiadomo dlaczego jedni magnetycznym drudzy bułczanym nazywają go lekarzem; właściwie bowiem sposób kuracyi Szrotta na potach i głodzie zależy. Nie ma on ani sławy ani powodzenia w swoim zaimprowizowanym zawodzie, ażeby mógł w czémkolwiek z Pryśnicem rywalizować. W ciągu roku ledwie kilku chorych zwabi do siebie, a to najczęściéj tych, których Pryśnic ze względu na rodzaj słabości przyjąć nie chce. Wspominano mi jeszcze o jakimś lekarzu czy szarlatanie, co wiatrem leczy! Podobno za pomocą miechów wylecza on nader szczęśliwie z paraliżów, reumatyzmów migreny, i t. p. Rzecz to nie żartem zadziwiająca, jak nasz

wiek dziewiętnasty, dowcipny i obfity jest w różnego rodzaju wynalazki.

Za przyjazdem, w Graefenbergu, Freywaldzie i Boemisch-Dorf, zastałem przeszło 700 osób; z tych jednak znaczna część wkrótce odjechała, obawiając się zapewne nadchodzącéj zimy, która tu jako w górach, z powodu gwałtownych wiatrów i częstych zmian powietrza, nieznośniejszą jest jak gdzieindziéj, jakkolwik Pryśnic zapewnia, że pora zimowa, równie jak wiosenna, najlepiéj sprzyja leczeniu wodą. Wyjąwszy Niemców, mianowicie oficerów Austryackich bardzo tłumnie nawiedzających Graefenberg, najwięcéj zastałem przybyszów z królestwa Wielkiéj Brytanii, którzy rzuciwszy morza i swoje mgliste wyspy, często po kilka lat tu przemieszkują, ażeby już na seryo pędzić życie amfibiów. Nie brak tutaj Polaków, Rossyan, Węgrów, Francuzów, Włochów, z Ameryki nawet jest kilka osób. Pryśnic lubo teraz nie tyle miewa gości co dawniéj, z powodu przybywających nowych zakładów, nigdy jednak nie ma przyczyny uskarżać się na brak pacyentów. Arcyksiążęta Austryaccy, udzielni książęta Niemieccy i Włoscy, nierzadko go odwiedzają. Król Bawarski jest jego protektorem. Francuzi, mimo zamiłowanie w nowościach, mniéj jak inni smakują w zimnéj wodzie, ależ ich zacny prezes gabinetu marszałek Soult jest jéj zwolennikiem, i niedawnemi czasy dwóch tutaj dla nauki przysyłał lekarzy.

Tutejsi pacyenci są to po większéj części starzy, skruszeni grzesznicy, z reumatyzmami, hemoroidami, podagrą i innemi zastarzałemi a niemiłosiernemi dolegliwościami. Słabowite damy z hysteryami, spazmami, lub przynajmniéj ze szczerą chęcią odmłodnienia; młodzież co niegdyś pełną ręką garnęła do siebie wszelkie powaby swobodnego życia; słowem, najwięcéj tacy, co przez pieszczotliwe wychowanie, namiętne lub próżniackie życie, w niemoc popadli. Zakład Graefenberski dla podobnych indywiduów jest istną pralnią, że nie powiém chrzcielnicą oczyszczającą cieleśnie z dawnych grzechów. Aby się dokładnie przekonać o błogich skutkach chrztu Pryśnicowskiego, dosyć jest wejść w porze południowéj lub wieczornéj do sali jadalnéj w Graefenbergu. Patrząc na rumiane

policzki zgromadzonych, na ich wyśmienity apetyt, słysząc żywe gawędki, częste śmiechy i ogólną wesołość, trudno uwierzyć że się jest w gronie słabych; nie jeden nawet prostoduszny parafianin nie mający doskonałego wyobrażenia o dziwnych i różnorodnych słabościach naszego ucywilizowanego świata, przysiągłby niezawodnie, że tym ludziom brak tylko dobréj wiary do zupełnego zdrowia. Rzeczywiście, osobliwi są tutejsi pacyenci. Na odgłos dzwonka siadają do wspólnego stołu, pożywają same zimne i proste pokarmy; mimo ostrego mrozu i niepogody, chodzą w lekkiéj i zaniedbanéj odzieży, przechadzają się po lesie, drapią się na góry, dla rozrywki drwa rąbią, kopią, piłują, młócą i nic nie piją prócz czystéj wody i zimnego mléka, zgoła prowadzą życie sielankowe, pasterskie, o jakiém ty zgnuśniały mieszkańcu stolicy chyba z Idyllów Teokryta, poezyi Gesnera lub jakich innych starych klassycznych sielanek, możesz powziąć jakiekolwiek wyobrażenie.

Przy takim sposobie życia i ciągłém biedzeniu się z zimną wodą, co prawie każdemu połowę dnia zajmuje, nikt nie może się uskarżać na nudy, lub brak zabaw. Pryśnic, surowy przestrzegacz czystości obyczajów, usuwa wszelkie rozrywki, któreby mogły jakie bądź obudzać, lub drażnić namiętności. Utrzymuje wszakże bibliotekę, wszelkie pisma peryodyczne, bilard niezłą orkiestrę, i co niedziela wydaje wieczór tańcujący, na którym rzadko pozwala dłużéj bawić jak do 10éj wieczór. Sądzę że mógłby cóś więcéj obmyślić na korzyść i uprzyjemnienie swojego zakładu. Sala gymnastyczna, częstsza muzyka, konie wierzchowe, ogród spacerowy, kręgle, huśtawki i inne środki fizycznych rozrywek, znane ze swoiéj skuteczności w sprawie zdrowia, wielce byłyby pożądane.

Freywalda składa prawie oddzielne towarzystwo, zwykle rozdrobnione koteryami, mniéj wesołe i familiarne jak w Graefenbergu. Ma ono swoje osobne bale, kassyno i mistrza zabaw. Pryśnic tam dwa razy na dzień konno dojeżdża i udziela rady pacyentom.

Utrzymanie w Graefenbergu kosztuje bardzo mało.

Rzadko kto wyda tu więcéj miesięcznie nad 40 złr. (160 złp.); boć też, jak to już nadmieniałem, nie ma tutaj szumnych zabaw, elegancyi, gustownych ekwipażów, wygodnych hotelów, kursalów, teatru lub gier hazardownych jak w Hamburgu, Ems, Bad—Baden, Karlsbadzie, lub w innych miejscach wód mineralnych, gdzie wielu przyjeżdża jedynie z nudów, dla zabicia czasu. Skromność i prostota powszechnie, że nie powiém zbytecznie jest tu zamiłowaną. A kiedy raz dwóch dandych z brodami w rajtfrakach, w modnym ekwipażu z sutą liberyą i liczną psiarnią ukazało się w rzeczypospolitéj Graefenberskiéj, i arystokratycznie zawołało: szampana! cały Graefenberg był mocno zgorszony, i z większém poglądał na nich zadziwieniem jak na przybyszów od antypodów, chociaż byli to tylko nasi ziomkowie z Królestwa.

Zapoznawszy cię już nieco z Graefenbergiem, jego gośćmi, i ich trybem życia, muszę ci kilka słów powiedzieć o Pryśnicu. Wincenty Pryśnic, syn ubogiego chłopka, wcale nie otrzymał wyższego ukształcenia, nie słuchał prelekcyj medycznych w żadnym uniwersytecie, jedynie tylko z łaski losu i swych wrodzonych zdolności zjednał sobie to korzystne powodzenie i sławę jaką dziś posiada. Mówią że w młodości swojej zagrożony kalectwem przez złamanie żebra, dręczony zapalnemi słabościami, znękany i zmiękczony bezskutecznością środków jakie mu lekarze przypisywali, sam zaczął przemyślać nad poprawą swego zdrowia. Uważał on iż jego dziadek posiadający małe stado koni, idąc za radą jakiegoś weterynarza, leczył i utrzymywał je w dobrym stanie przez zewnętrzne użycie zimnéj wody. Młody Pryśnic, zapewnie w prostocie ducha nie uznając człowieka za coś doskonalszego od konia (przynajmniéj pod względem cielesnym), sam zaczął na sobie doświadczać skutków zimnéj wody. Jakoż po długich doświadczeniach połączonych z wielokrotnemi cierpieniami, przy wytrwałości i dobréj wierze, przyszedł do zupełnego zdrowia. W taki to sposób ukończył on razem praktyczny i teoretyczny kurs hydropatyi, a następnie wodę iako środek lekarski, zaczął innym zalecać. Z czasem coraz daléj się szerzyła sława pomy-

ślnych skutków jego wynalazku, (jeżeli tylko można nazwać jego wynalazkiem, rzecz oddawna nieco już znaną a przez niego, bez wiedzy o tém, odkrytą i udoskonaloną). Przy zwiększającéj się liczbie szukających jego rady, Pryśnic pobudował gościnne domy, pourządzał wanny i wodospady, założył restauracyą, przyjął i nauczył znaczną liczbę sług kąpielnych (badedienerów), którzy tém są przy nim, czém cyrulicy i chirurgi przy doktorach medycyny. Po kilkunastu latach praktyki przynajmniéj na 20,000 chorych odbytéj, doszedł wielkiéj biegłości w swojéj sztuce. Obcowanie z uczonymi, częste przebywanie w wyborowych towarzystwach osób z różnych stron Europy przybyłych, życie czynne, opinie piszących, same nawet szyderstwa profanów i przeszkody ze strony rządu i medycynerów, jakie poprzednio musiał zwalczyć, uczyniły go mężem pełnym energii i taktu, a prawie w zupełności, zastąpiły brak wyższego ukształcenia.

Ma on lat czterdzieści kilka, budowy silnéj, tuszy umiarkowanéj. Oko małe, żywe, spojrzenie szybkie i badawcze. W łagodném i wiecznie jednostajném obliczu, nie dojrzysz, ani dowcipu, ani namiętności; ale raczéj przytomność umysłu, zimną krew, która go w najkrytyczniejszych nie opuszcza razach i ów spokojny chłopski rozsądek, którym uśmierza burzliwy niepokój cierpiących, i nieraz zawstydzając obłędną uczoność, z rzeczy napozór trudnéj i zawiłéj, robi rzecz zwyczajną i prostą. W obejściu łagodny, poważny, w mowie powściągliwy, a jako człowiek wyłącznie oddany praktyce, nie lubi w długie wchodzić rozprawy o swojéj sztuce. Mimo znakomite dochody, które jak mówią czynią mu mniéj więcéj rocznie 60,000 zł. reń. (240,000 złp.) netto, pominąwszy dochody z dóbr i kamienic jakie ponabywał, i kosztowne podarunki jakiemi zapełnia swoje pokoje, Pryśnic ze swoją żoną kobiétą z gminu, ale nader przyzwoitą i gospodarną i pięcią niedorosłemi córkami, żyje bardzo skromnie, nie jest chciwym na pieniądze, wielu leczy bezpłatnie, i szczerze dopomaga swojéj ubogiéj familii, którą niekiedy wobec swoich gości, zapewne dla dobrze zrozumianéj chluby, zaprasza do swojego stołu.

Zapaleni wielbiciele Pryśnica wiele mówią o jego talencie w rozpoznawaniu słabości i użyciu stosownych środków. Utrzymują że on jeden posiada tajemnicę hydropatyi, powiadają że dla niego dosyć jest spojrzéć w oczy i dotknąć się skóry, ażeby poznał co kogo dolega; zapewniają nawet, że z miny, z mowy i ruchów, jest w stanie poznać całą biografię. Rzeczywiście Pryśnic posiada pewien dar rozpoznawania słabości i sił żywotnych pacyenta, a przy nabytéj wprawie, w każdym razie potrafi lepiéj się znaleźć jak którykolwiek z jego naśladowców; owego przecież gieniuszu, czyli raczéj przymiotu jasnowidzenia chorób i biografii, zaprawdę nie posiada, a chociażby nawet posiadał, to takowy w praktyce niewiele byłby mu przydatnym, boć każdy uzna, iż skoro środki używane przez niego są bardzo proste, nieliczne i po większéj części ogólnie działające (jakie zaraz wyliczemy), przeto ich użycie i zastosowanie musi być również proste, gienialnéj biegłości w patologii i dyagnostyce wcale niewymagające: codzienne nawet dostrzeżenia przekonywają, że często Pryśnic na wiele odmiennych słabości jednakowe daje przepisy.

W ostatnich czasach do niepoznania zmienił on i ulepszył swoję metodę. Owe *poty* (Schwitzen) wzbudzane przez kilkogodzinne obwijanie w suchy koc wełniany, na czém podług zdania wielu zależała cała jego kuracya, dzisiaj bardzo rzadko zaleca. Poci się tu mała liczba cierpiących z silnym utworem ciała, a to niewięcéj jak raz albo dwa razy na tydzień. Po potach zwykle zaraz następuje zimna kąpiel; *wodospad* (Douchen), jako środek drastyczny, dość silnie działający na system nerwowy, jest również nie zawsze i nie wszystkim zalecany. Ma on właściwe zastosowanie w środku kuracyi, dla wstrząśnienia organizmu i wywołania przesileń. Poczynającym leczenie, drażliwym, osłabionym Pryśnic rzadko kiedy wodospad lub poty przepisuje. Wodospady są słabsze i mocniejsze, stosownie do wysokości spadu i grubości promienia wody. Rzecz godna uwagi, że przed i po wodospadzie zaleca jak najwięcéj agitacyi. Powszechnie używaném jest tutaj obwijanie całego ciała w zimne, *mokre prześcieradło* (Lein-tuch), na które idzie koc i pierzyna. Słaby szczelnie obwinięty po godzinie

ub dwóch, skoro się dobrze zagrzeje idzie do *wanny* (Wanne) w początkach leczenia do letniéj, następnie do zimnéj i znów do letniéj; późniéj gdy się już nieco oswoi, rozgrzany natychmiast z obwinięcia wstępuje do zimnéj wanny, gdzie zwykle nie dłużéj zostaje jak minutę, a najwięcéj pięć minut. Środek ten w każdéj słabości ma zastosowanie. Drugi również upowszechniony w Graefenbergu jest *pocieranie* (Abreibung) całego ciała zmaczaném w zimnéj wodzie prześcieradłem. Czynność ta, przy pomocy badedienera, dopóty trwać powinna, dopóki się skóra dobrze nie rozgrzeje. Pocieranie nietylko słabym, ale każdemu w celu utrzymania czystości i zdrowia wielce zachwalają. Praktykowane tu są niekiedy *suche pocierania* grubém prześcieradłem lub szczotką.

Zpomiędzy środków, które tylko na jeden organ lub na pojedynczą część ciała są skierowane, największą ma tu wartość *kąpiel siedzącą* (Sitz—Bad). Inne są: *moczenie głowy* (Kopf-Bad), *moczenie nóg* (Fuss-Bad), a w końcu płócienny *mokry pas* (Umschlag), który się nosi na cierpiącéj części. Pas takowy z miejsca bolem dotkniętego wyciąga zapalenie i wywołuje na skórę wysypkę i wrzody. Wszyscy tu noszą mokre pasy na żołądku; a gdy jedne się zeschną lub mocno rozgrzeją, wkładają świeże. Użycie kąpieli i okładań miejscowych musi być koniecznie złączone z użyciem środków ogólnie działających jakie poprzednio wyliczyliśmy.

Ze środków wewnętrznych jest tylko jeden, *obfite picie czystéj wody*. Mixtury, pigułki, maści i wszelkie farmaceutyczne mieszaniny nietylko nie mają żadnego zastosowania, ale nawet są tutaj Pryśnicowi od władzy zakazane.

Otóż tedy w tych kilku wymienionych sposobach użycia zimnéj wody, leży cała tajemnica metody. Pozostaje tylko wiedzieć jak, kiedy i wiele czego dziennie pobierać, stosownie do sił, wieku i rodzaju słabości. Oznaczyć to wszystko jest rzeczą niepodobną. Rady i pojedyncze spostrzeżenia, jakie napotykamy w pismach Raussego, Mundego, Wajssa, Rychtera, Kurriego, Myliusa, Schnitzlejna i innych, niewiele kogo objaśnią w téj mierze. Lekarz, który nie był przy żadnym zakładzie wodnym, nie potrafi się należycie obejść z wodą,

chociażby bardzo wiele o niéj czytał; tu bowiem nie uczoności, ale wielkiéj wprawy i energii potrzeba. Niewątpliwą nawet jest rzeczą, iż leczenie wodą, jedynie w zakładach na ten cel urządzonych, pod okiem ludzi doświadczonych i zdolnych, może przynosić rzetelne korzyści. Pojedyncze praktyki, często przez nieumiejętność, szczególniéj w razach ostrych przesileń, często przez brak wytrwałości i odwagi leczonych, wielokrotnie okazywały się zawodne.

Co do dyety, czyli porządku życia jaki zaleca przy leczeniu, zdaje się, iż Pryśnic w tym względzie zapragnął zupełnie na przekorę działać znacznéj liczbie naszych lekarzy, a przynajmniéj alopatom. Jeżeli zasłabniesz, ci ostatni mówią że to z przeziębienia, albo użycia niestrawnego pokarmu; każą ci zatém siedzieć w ciepłym pokoju, szanować się, unikać ruchu i wszelkich zatrudnień, jeść mało i to zwykle kleiki, rosołki, napić się jakich ziółek, a to wszystko ciepło, ażeby broń boże, żołądka nie oziębić. Dodajmy, iż skoro choroba gwałtowny przybierze charakter, lancet, pijawki, bańki, kalomel, w strasznéj bywa robocie. Tu wszystko przeciwnie się dzieje. Ze stołu Graefenberskiego jedynie zupy i gorące pokarmy są wyjęte. Codziennie za piérwszym brzaskiem jutrzenki budzą cię, a chociaż przykro ci oderwać się z objęć Morfeusza i wygodnéj pościeli, każą ci wstać, trą cię, polewają, lub co najczęściéj, obwijają, a potém rozgrzanego i zaspanego, jak w szpitalu obłąkanych, wloką do zimnéj wanny, w którą z szumem spadające źródło, zdaleka już przeraża na wpół przecknione ucho, i zawczasu nakazuje ci zebrać wszystkę odwagę i siły, dla dania należytéj reakcyi wszystko niszczącemu żywiołowi. Choćbyś się wymawiał niemocą, każą ci, jak to już na początku wspominałem, używać dużo ruchu, być zawsze na otwartém powietrzu, narażać się na jego wszelkie zmiany, a nigdy gnuśnie nie poddawać się słabości.

Niepodobna przecież pochwalać, iż wszyscy tutaj o ile do przesady wystrzegają się wszelkich rozgrzewających napojów, o tyle na ilość i wybór pokarmów najmniejszego nie mają względu. Pryśnic w téj mierze trzyma się zasad Chińskich lekarzy. Nierzadko widzieć można, jak jego zapaleni hydro-

paci, owi niby apostołowie wstrzemięźliwości, co kawy lub herbaty strzegą się jak trucizny, wpadają w nałóg obżarstwa, nałóg równie szkaradny i szkodliwy w skutkach jak pijaństwo. Nie zdaje mi się także, aby nadmierne picie wody, przy zupełnym braku pragnienia; albo zbyt długie, nużące przechadzki zalecane w Graefenbergu, pociągały dobre skutki za sobą. Nie zapominajmy ani na chwilę że nauka zdrowia jest nauką umiarkowania, że każdy zbytek opłaca się chorobą. Pojedyncze organa, równie jak cały nasz organizm, podobny jest do machiny, która psuje się i rdzawieje w zupełnym spoczynku; gdy tymczasem przez czynność i pracę nadzwyczajną wycieńcza się, i często w najtęższym ruchu nagle zupełnemu ulega zniszczeniu. Wiadomo że i koń miernie używany do pracy dwa razy dłużéj żyje od konia, tak zbytecznie, jak wcale nieużywanego.

Lecz nietylko porządek życia słabych jest osobliwy i oryginalny w Graefenbergu; ogólne pojęcie chorób i symptomatów, wiele różni się od rozpowszechnionych gdzieindziéj wyobrażeń. Tutaj skoro dostaniesz gorączki (chociażby nerwowéj), febry, zapalenia, wysypki, wrzodów, jakie zwykle wywołuje kuracya wodna, powinieneś się z tego mocno cieszyć. Towarzysze twojéj biedy będą zazdrościć albo winszować tego, coby gdzieindziéj wszystkich cię otaczających nabawiło wielkiéj trwogi. Pryśnic przywołany w takim razie obejrzy cię, zmieni dotychczasową kuracyę i ze zwykłą sobie zimną krwią i zadowoleniem zapewni cię, że to są oczekiwane przesilenia (crisis) słabości, jakiéj pragniesz się pozbyć, że to są nieomylne przepowiednie rychłego i zupełnego wyzdrowienia. Graefenberskie bóle, zapalenia, febry, gorączki, dowodzą iż twoja fizyczność wstępnym bojem usiłuje podźwignąć się z chorobliwego pognębienia; a wrzody, wysypki, poty, oznaczają że choroba czyli raczéj chorobne materye na zewnątrz wychodzą. Szczęściem, takowe przesilenia przy stosownem leczeniu, mianowicie przy użyciu zimnych okładań (Lein-Tuch, Umschlag), dość prędko ustępują.

Pryśnic powiada że woda nie leczy, lecz tylko zmusza naturę słabego ażeby sama się leczyła. O ile twierdzenie to bli-

skiém jest prawdy, objaśniają nas znane własności i skutki zimnéj wody. Jako napój, jest środkiem łagodzącym, uśmierza gorączkę, odwilża pokarmy, rozrzedza zgęstnione ślizy, zresztą jest najwłaściwszym i najzdrowszym napojem. Zewnętrznie użyta, jak to praktyczne spostrzeżenia przekonywają, posiada wszelkie własności wzmacniające. Każdy biorąc zimną kąpiel uzna, iż wzmacnia i zlekka irytuje zewnętrzne części ciała, obudza transpiracyę, rozgrzewa, orzeźwia, elektryzuje i wyciąga zbyteczną elektryczność, a krew zmusza do żywszego obiegu i równowagi. Pryśnic więc wodą i swemi przepisami dyetycznemi usiłuje ożywiać, wzmacniać, drażnić ciało, i że tak powiém gwałtem wypędzać z niego słabości. Ztąd łatwo sobie wytłómaczyć, dlaczego prawie wszyscy przez dłuższy pobyt w Graefenbergu dostają lepszéj tuszy i cery, nabierają sił i rzeźwości, gdy tymczasem wielu, mimo te wszystkie oznaki dobrego zdrowia, z wielką trudnością, a niekiedy wcale nie może się pozbyć jakiej zastarzałéj dolegliwości. Zdaje się iż leczenie wodą w podobnych razach jako środek pomocniczy, przy trafném użyciu środków wewnętrznych, daleko większe przynosiłoby korzyści.

Łatwo teraz pojmiesz kochany Józefie, iż wzmacniająca kuracya Pryśnica podobna do czynności kowala który żelazo na stal zamienia, prawdziwie piekielną jest męczarnią. Trzeba przywieść tu z sobą dobry zapas ufności, cierpliwości i wytrwałości, ażeby przez kilka miesięcy a często dłużéj znosić wszelkie przemiany z gorąca do zimna, i przetrwać bolesne a niekiedy bardzo zatrważające przesilenia; każdy tutaj winien być przekonanym że nie przecierpiawszy, nie można być radykalnie wyleczonym. Nie zapomnę pewnego markiza, który codziennie najmniéj pół godziny rozebrany namyślał się, modlił i przeklinał całą kuracyę, nazywając ją końską, nim na kilka minut wstąpił pod wodospad. Nie jeden z mniéj walecznych po krótkim pobycie, nie czekając miłych przesileń rzuca leczenie, a odjeżdżając przysięga, że przez całe życie na Graefenberg chorować nie będzie. Znajdzież tu przecież wielu tak rozkochanych w zimnéj wodzie, że chociaż zdrowi zupełnie, wiecznie się leczą, pragnąc za pośrednictwem wody,

zdrowie swoje do idealnéj doprowadzić doskonałości jaka w rzeczach ziemskich nigdy nie istnieje. Ci panowie, dla których, mówiąc nawiasem, Pryśnic powinienby ustanowić order hydropatyi, utrzymują że człowiek niczém lepszém nie jest jak tylko ziemnowodnym zwiérzem, że woda nietylko jest uniwersalnym na wszelkie słabości lekarstwem, ale nadto kształci i uzacnia ducha; głośno nawet dowodzą że do szczęścia ludów piérwszym i niezbędnym jest warunkiem, wszystkich allopatów i aptékarzy powypędzać. Przebaczą mi zacni Eskulapa synowie że śmiem sumiennie powtarzać te wcale niegrzeczne i nierozważne wyrażenia, szczerze przecież ubolewam nad ich zaślepieniem i sądzę że oni szkodzą nietylko sobie przez samą zbyteczną troskliwość o siebie, nawyknienie do ciągłych drażnień zewnętrznych, ale nawet szkodzą sławie metody, którą tak żarliwie zachwalają; któż bowiem nie wie, ile odkryć i systemów upadło lub znosi niezasłużone szyderstwa, jedynie skutkiem nierozmyślnéj i zagorzałéj propagandy? Gall, Mesmer, Hahneman, że wielu innych pominę, najwięcéj na swoich chwalców narzekać powinni.

Utrzymywać dzisiaj absolutnie, że hydropatya jest złą, bezskuteczną, szkodliwą; że tylko chwilowém cieszy się życiem, jest to niedorzecznością pochodzącą albo z pedantyzmu albo profaneryi; jest to tysiącom ludzi wyleczonym wodą zadawać wierutne kłamstwo; lecz i obstawać upornie że woda jest uniwersalném lekarstwem, że dla każdego i w każdéj słabości jest nieomylną; jest drugą niedorzecznością będącą zwykłe udziałem umysłów słabych, hypokondrycznych, którym zbywa na umiarkowaniu i wielostronném pojęciu rzeczy. Pryśnic sam swojéj metodzie nie przypisuje uniwersalności. W cierpieniach nerwowych, reumatycznych, zapalnych, syfilitycznych, prawie zawsze daje skuteczną pomoc. Suchotników nie przyjmuje do swojego zakładu. Słabym na raka, kamień, wodną puchlinę, rzadko pomaga. Jest on bardzo ostrożnym w przyjmowaniu słabych, i więcéj ceni nabytą sławę jak zysk chwilowy. Mówią iż nie chciał leczyć królewicza W. Brytanii księcia Sussexu, mimo wielkie obietnice i nalegania. Jednakże natarczywych a pokładających wielkie zaufanie w jego leczeniu nie-

kiedy na wyprobowanie przyjmuje. Wypadki śmierci są tu bardzo rzadkie, przynajmniéj dotąd nie słyszałem o żadnym.

Dla uzupełnienia tych wiernych chociaż niedokładnych rysów Graefenberga, przytoczyłbym ci, kochany Józefie, kilka odznaczających wyleczeń Pryśnica, jakie w ostatnich czasach uskutecznił, lecz w takim razie, powtarzając opowiadania jego zapamiętałych wielbicieli mógłbym często mimowoli zminąć się z prawdą, a ciebie znudzić zbyteczną rozwlekłością; śpieszę więc do końca. Dokładniejsze ocenienie hydropatyi znajdziesz w wielu pismach Niemieckich uczonych i lekarzy, a lubo opinie ich nie we wszystkich punktach są jednozgodne, wszyscy leczeniu Pryśnica wielkie przyznają zalety. Ustnym opiniom rzadko można zawierzyć. Ci którzy znaleźli ulgę swoich cierpień w zdrojach Graefenberskich, cuda opowiadają o Pryśnicu i jego kuracyi; pedanci i zawiedzeni w nadziei szydzą z niéj i dowcipkują; daleki od wszelkich exaltacyi sądzę, iż chociażby Pryśnic żadnych znakomitych nie położył zasług w sztuce lekarskiéj, chociażby w niczém nie przyczynił się do jéj rzeczywistego postępu, jako apostoł wstrzemięźliwości, nieprzyjaciel zbytków, pijaństwa, pieszczotliwego życia, przy swoim widocznym wpływie na naszę społeczność, godzien jest zająć ważne stanowisko w gronie znakomitych mężów naszego stulecia. Jeżeli O. Matthew przez swoje przemowy i towarzystwa wstrzemięźliwości słusznie zyskał sławę i powszechny szacunek, tedy Pryśnic większe ma do tego prawo; albowiem przepisuje skromny, surowy i najwłaściwszy porządek życia dla człowieka dbałego o swoje fizyczne i moralne dobro; w imieniu zdrowia woła do natury i wstrzemięźliwości; nie lud biédny jak Matthew, ale klassę zamożną, ucywilizowaną, któréj daleko więcéj jak ludowi należałoby zalecać wstrzemięźliwość. Jego prostacza chłopska fizyonomia wybitnie maluje się na tle naszego dziewiętnastego wieku, w którym wszystko zdaje się dążyć do życia sztucznego, nienaturalnego; a przemysł, kunszta, nauki wynalazki, często zapominając o bliższych niedostatkach człowieczeństwa, zdają się jedynie nad tém pracować, aby co-

raz więcéj dogadzać zbytkom, próżności i nieledwie wszelkie urzeczywistniać marzenia klass exploatujących.

Kajetan Kotowski.

List I. J. Kraszewskiego.

Chociaż ogłosiliśmy już w Tygodniku Petersburskim o zamierzonym przez nas Słowniku artystów Polskich i powiedzieliśmy tam słów kilka o planie dzieła, wzywając pomocy tych, którzy do niego materyały w ręku mieć mogą; czujemy potrzebę powtórzenia w Bibliotece prośby naszéj raz jeszcze. Wiemy z doświadczenia jak ciężko jest uprosić u nas o literacką pomoc jakiegokolwiek bądź rodzaju.

Nie od rzeczy więc będzie powiedzieć, że Słownik nasz (Artistiana) zawierać będzie:

I. Krótką wiadomość o malarzach, rysownikach, sztycharzach, snycerzach, budowniczych, tak najdawniejszych jako i współczesnych z wymienieniem o ile możności ich dzieł i miejsc gdzie się one znajdują. Wiadomość o artystach cudzoziemcach pracujących w Polsce lub krajowe wyobrażających przedmioty, ubiory, monumenta i t. p.

II. Wiadomość o lubownikach sztuki i zbiorach artystycznych w kraju i dawnych jego prowincyach, szczegółową o ile być może.

III. Znaki, cyfry, monogramnata i cechy po których prace naszych lub obchodzących nas artystów rozpoznać można.

IV. Znakomitszych artystów portrety.

V. Miejsc, gdzie artystyczne przechowują się pamiątki wykaz.

VI. Ludzi sławnych fizyognomonikę i autentycznych ich portretów wymienienie (materyał dla krajowych malarzy wielkiéj wagi).

VII. Miejsc sławniejszych, widoków rytowanych lub malowanych skazówkę.

Wszystkie artykuły nadsyłane podpisane zostaną imionami udzielających. Toż widoki, rysunki lub portrety, jakieby nam nadesłano.

Dzieło na taki rozmiar przedsięwzięte, nie może być dokonaném nie mówię dokładnie, ale nawet znośnie, bez czynnéj pomocy tych, którzy rycin zbiory, lub znaczne biblioteki mając pod ręką, z małym zachodem, wielkiéj wagi wiadomości przynieść mogą.

Odzywamy się więc do artystów naprzód: 1, o krótką wiadomość biograficzną o nich i ich dziełach, z wymienieniem miejsc, gdzie się znajdują.

2. Do amatorów i posiadaczy rycin i bibliotek, zbiorów obrazów i t. p. aby byli łaskawi w interesie sztuki nadesłać nam, spisy przynajmniéj ważniejszych i mniéj znajomych dzieł które posiadają, odznaczających się wykonaniem lub myślą, lub nareszcie obiorem przedmiotu.

Obrazu opis krótki, wielkość, cyfry lub znaki na nim, oznaczone być powinny.

Sztychu przedmiot (rodzaj sztychu rylcem czy igłą i na czém) wielkość, podpisy pod nim w całości.

Sztychy lub drzeworyty w rzadkich księgach, z wypisaniem na któréj karcie i jaka ich wielkość.

Na wezwanie nasze z d. 29 czerwca (drukowane $^{16}/_{28}$ lipca zaledwie kilka odezw odebraliśmy; lecz mamy nadzieję i obietnice, że użyteczne przedsięwzięcie nasze obudzi współczucie w artystach i lubownikach sztuki; że zbierzemy materyały do historyi jéj u nas dotąd prawie nietkniętéj.

Dotąd bowiem oprócz p. Gwalb. Pawlikowskiego i Ambr. Grabowskiego (o dawniejszych), W. Smokowskiego i A. Szemesza (o najnowszych), wiadomości nie mamy. O bardzo wielu obchodzących nas artystach u obcych niepewnych wieści szukać potrzeba, gdzie jak u Füssli, tysiące omyłek i niedostateczności. Nie zaniedbaliśmy czerpać z dzieł dawnych począwszy od Sandrarta, Füssli, Hagedorna, Hejneke, Christ'a aż do Brulliot'a i najnowszych w tym przedmiocie wydanych. Lecz droższe daleko i pewniejsze skazówki w kraju znaleźć można, gdyby ich tylko szukać chciano.

Czujemy się w obowiązku wyrazić te naszę wdzięczność szanownemu autorowi listów o Szwecyi Eu. hr. Tyszkiewiczo-

wi, który pierwszy pośpieszył z uprzejmą i ważną pomocą. Bodajby jego przykład był pobudką i zachęceniem dla drugich.

Osoby któreby zwrócenia kosztów przesyłki, poczty, przepisywania katalogów, lub jakiegokolwiek z naszéj strony zwrotu pieniężnego żądały, raczą wyrazić to przy liście. Pośpieszym ze spełnieniem ich życzenia.

Adres. Gub. Wołyńska przez Łuck, w Grodku.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Kilka pism czasowych, a między temi i Biblioteka Warszawska w ostatnim swym numerze, zamieściły prospekt mającego wyjść Słownika Artystów Polskich przez P. I. J. Kraszewskiego; zarazem wezwanie do posiadających w tym przedmiocie wiadomości, o udzielenie onych uczonemu pisarzowi. Uważam być rzeczą powinną objawić, iż od lat kilkunastu trudniąc się zbieraniem wiadomości o malarzach tego kraju i ich dziełach, pracę tę tak dalece posunąłem, że wkrótce będę w możności wydać „Słownik Malarzów Polskich lub obcych w Polsce osiadłych". Jeżeli szanowna Redakcya uzna to za dobre, raczy może oświadczenie moje w następnym numerze ogłosić.

W Warszawie d. 26 września 1646 r.

E. B. Rastawiecki.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft und Gesetzgebung des Auslandes, herausgegeben von Mittermajer und R. von Mohl. Tom 17 *Heidelberg u. I. C. B. Mohr.*

Dziennik poświęcony, jak tytuł jego naucza, prawodawstwu i nauce prawa krajów obcych, liczy już około dwudziestu lat istnienia swego i bezsprzecznie z dzienników prawnych wychodzących w Niemczech, jest dla nas najinteresowniejszym. Wszakże upłynęło już lat kilkanaście jak ostatnia o niém wzmianka w piśmie czasowém Polskiém uczynioną została. Wypadło pióro z rąk redaktorów Temidy, znikły nadzieje jakie się z zawiązaniem tego pisma łączyły; nikt, nikt prawie, nie przyszedł zapoznać nas z postępem wyobrażeń prawnych za granicą i kreśląc te kilka wyrazów nie mamy pewności, czy znowu drugie lat kilkanaście nie minie, zanim ocknie się w kim ciekawość spojrzéć, co się téż na téj niwie u sąsiadów dzieje.

Imiona wydawców pp. Mittermajer i Mohl są zarazem rękojmią wartości pisma i dążeń jego wskazówką. Przychodzi im w pomoc liczny poczet współpracowników, z różnych krajów Europy a nawet Ameryki. Siedmdziesiąt dziewięć imion spis na okładce zamieszczony wylicza. Wszakże imiona te do zasłużonych w nauce mężów, po większéj części należące, więcéj ozdoby tytułowi niż pożytku pismu

przynoszą, bo nie często jaki artykuł ich ręki natrafić w niém można.

Cóżkolwiek bądź, liczba czynnych współpracowników jest zawsze nader znaczną, a jednak pismo zaledwo w części wydoła odpowiedzieć ogromowi swego zadania. Objąć zarazem postęp nauki i postęp prawodawstwa wszystkich krajów ucywilizowanego świata, jest w dzisiejszych przynajmniéj stosunkach jeszcze niepodobieństwem, i można powiedzieć że p. Mittermajer nadając tak obszerny zakres pismu swemu, czas swój uprzedził.

Lecz jeżeli cel założony w zupełności dopiętym być nie mógł, obaczmy ile do niego wydawcom zbliżyć się udało.

W piśmie które mamy przed sobą występują po największéj części prawnicy zagraniczni, którzy pośrednio lub bezpośrednio Niemcom winni będąc swoje ukształcenie, o nowych usiłowaniach prawodawstwa rodzinnego kraju, pośpieszają zdać sprawę przed publicznością Europejską i ku temu obierają, jako właściwe pole, dziennik oddany nauce, nienoszący na sobie wyraźnéj barwy stronnictwa, dziennik kraju dającego gościnę najrozmaitszym pojęciom, byleby w przyjętéj formie oddanym,

Co się tyczy zdawania sprawy o postępach nauki prawa, tę część upodobali sobie sami wydawcy, szczególnie p. Mittermajer, i niewielkie grono ściśléj z niemi połączonych współpracowników (Rauter etc). Pod tym względem dziennik ma także swoje zasługi,

Trzeba tak rozległych stosunków, tak obszernych wiadomości jakie posiada p. Mittermajer, tak Europejskiego stanowiska jakie ten uczony zajmuje, aby w swoich sprawozdaniach objąć taki ogrom dzieł w różnych krajach, w różnych językach wydawanych. Ale z drugiéj strony to samo uprzywilejowane stanowisko p. Mittermajer każe mu zachowywać pewne względy w wynurzeniu swego zdania, względy które niemal we wszystkich dziełach jego na jaw występują. Rozległość stosunków wymaga pobłażania dla osób, obszerność oczytania się, nawet przy gruntownych zkądinąd wiadomościach, nie zostawia czasu do szczegółowego

dzieł rozbioru. Ztąd wzmianki jakie p. Mittermajer różnym dziełom poświęca, są prawie zawsze pobieżne a częściéj jeszcze pochwalne. P. Mittermajer ma swoje zdanie, jale tak nieznacznie, tak niestanowczo z niém występuje, yle różnych zdań cudzych przed swojém i po swojém z pochwałą a przynajmniéj bez nagany przywodzi, że zaiste trudno mniemać aby powagą swoją chciał lub mógł opinię w pewną stronę skierować. Pisma jego czytają wszyscy nie tyle może aby na zdaniu autora poprzestać, jak aby z ogromu wiadomości jego korzystać. Zawsze nauczy, choć czasem nie przekona.

Drugi redaktor p. Mohl jest najcelniejszym reprezentantem nauki prawa publicznego i administracyjnego w Niemczech; zaleta nie tak wielka jak napozór zdawaćby się mogło, gdy zważymy że ani prawo administracyjne, ani w ogóle nauki ekonomiczne z któremi piérwsze tak ścisły ma związek, głównych swoich postępów Niemcom nie zawdzięczają.

Nie może być celem niniejszego sprawozdania, rozszerzać się nad wszystkiemi artykułami dziennika tak obszerny mającego zakres jak czasopismo krytyczne. Każdy w niém znajdzie coś dla siebie, rzadki wszystko z równém zajęciem ogarnie.

Dawszy więc w ogólniejszych rysach poznać stanowisko jakie pismo niniejsze w literaturze prawnéj zajmuje, krótko przebiegniem treść tomu 17go zatrzymując się bliżéj nad tém co i nas najwięcéj obchodziło i najlepiéj zdawało się odpowiadać potrzebom krajowym.

Działalność prawodawcza we wszystkich niemal krajach w dziedzinie prawa kryminalnego obecnie pojawiająca się, pozostawiła, jak się tego można było spodziewać, liczne po sobie ślady w czasopiśmie krytycznem. Znakomitą część tomu 17go, zajmują artykuły tego przedmiotu dotyczące się. Węgrzy (pp. Szalay i Henszlman), przedstawiają obrady swoich stanów w latach 1841—3, nad projektem do kodexu karnego; P Mühry objaśnia przykładami pojedynczych procesów procedurę karną Angielską; pan Rauter pisze o projekcie do prawa mającego na celu urządze-

nia więzień we Francyi i t. d. W rozprawie o skardze petytoryjnéj w przedmiocie ruchomości, według prawa Francuzkiego, przez p. Renaud z Bern, czytelnik znajdzie próbkę nowszych dążeń ku wykryciu i odszukaniu historycznego rozwinięcia prawa Francuzkiego i wyjaśnieniu światłem ztąd odbitém przepisów obowiązującego kodexu (1). Dążenie to coraz mocniéj wzmagające się w saméj Francyi, z czasem zmieni czysto praktyczny charakter, jaki dotąd nauka prawa miała w tym kraju, jak już zbliżyło do siebie dwie szkoły prawników Francuzką i Niemiecką.

Najmłodszą, w naszych prawie oczach wyrosłą gałęzią nauk prawnych jest prawo administracyjne, przed wszystkiemi innemi krajami we Francyi rozkwitające. O dziełach w tym przedmiocie nowo wyszłych pp. Laferrière, Chauveau-Adolphe, Dufour i Macarel (2), zdaje sprawę w kryty-

(1) W rozprawie swojéj p. Renaud rozbiéra rozmaite ważne kwestye i na niektóre z nich zupełnie nowe światło rzuca; jak w ogóle całą teoryę o posiadaniu i prawie własności na ruchomościach gruntowniéj od swoich poprzedników wykłada. Godniejsze uwagi z wypadków jego badań są: wykrycie dopuszczalności skarg possesoryjnych w przedmiocie ruchomości, oznaczenie stosunku art. 2138 i 2279 w taki sposób iż drugi stanowi wyjątek od przepisu w piérwszym zawartego, podobnież pogodzenie przepisu zawartego w art. 1867 z przepisem art. 1138 i t. d. Nie tają jednak że w chęci usystematyzowania prawa Francuzkiego p. Renaud poszedł może za daleko i raczéj niesystematyczność jego w przedmiocie traktowanym wykrył, niż coby miał je do doskonałéj konsekwencyi bez zadania gwałtu przywieść. Wniosek mianowicie jaki wyciąga na str. 163 w. 9—17 graniczy z absurdum w ogóle wypadki jego badań z ostrożnością przyjąć należy.

(2) Cours de droit public et administratif par M. L. Laferrière. Ed. 2. Paris. Jaubert 1841. Tom I.

Principes de competence et de jurisdiction administratives par Chauveau-Adolphe. Toulouse chez Lebon. Paris chez Cetillon et Durand. 1843. Tom. 3. 21 franków.

Traité général de droit administratif appliqué ou Exposé de la doctrine et de la jurisprudence par M. G. Dufour. Ed 2. T. 3. Paris. Delamotte ainé 1844. 32 fr.

Cours de droit administratif professé à la faculté de droit de Paris par M. Macarel. Paris chez Thorel 1844. Część piérwsza w dwóch tomach. 15 fr.

cznem czasopiśmie p. Mohl. Pomijając dzieło p. Chauveau-Adolphe jako z treści swojéj cudzoziemca mało obchodzić mogące, p. Mohl zaleca dzieło Laferriera wszystkim którym idzie o ogółową ale trafną znajomość urządzeń Francuzkich. Dzieło Dufoura do praktycznego użytku szczególnie jest zastosowane. Nareszcie nieukończony jeszcze kurs Macarela ma objąć wykład prawa administracyjnego w najrozleglejszym zakresie. Wykład ten dzieli się na trzy części. Piérsza w dwóch tomach wydana, ma za przedmiot organizacyę władz i zakres prawny ich działania. Druga zawierać będzie właściwe zasady administracyi, czyli przedstawi wzajemne prawa i obowiązki administracyi i obywateli. W trzeciéj nareszcie skreśli autor postępowanie w spornych i nie spornych interesach administracyjnych, zasady kompetencyi władz administracyjnych względnie do siebie i do sądów. Nad częścią piérwszą p. Mohl następne czyni uwagi:

„Nie znam" mówi on „nic, coby mi żywiéj (niż dzieło Macarela) przed oczy stawiało, cały zaledwie przejrzéć się dający ogrom wymagań jakim nowoczesna administracya wielkiego kraju zadość uczynić musi. Kiedy tak ministeryum po ministeryum przed nami przechodzi, każde z niezliczonym pocztem władz podrzędnych, z całemi korpusami urzędników, kiedy widzimy co każda z tych władz ma do czynienia, i że w téj wielości urzędników nie ma nic nadto, kiedy obliczamy summy wydawane na pojedyncze oddziały służby publicznéj z których żadna nie jest za wielką a wiele widocznie niedostatecznych; wtedy dopiéro pojmujemy jasno z jednéj strony, jaką niezmiernie sztuczną i zaledwie ludzkim rozumem ogarniętą tkaniną potrzeb, wymagań i urządzeń jest nowoczesne państwo; a z drugiéj, dlaczego środki materyalne dostarczane przez obywateli tak niepomiernie się powiększyły. Aby wszystkim tym zadaniom podołać, budżet wysokości 1½ milliarda nie jest za wielki. Jeżeli obywatel Francuzki za długim znajduje regiestr swoich podatków, niech odczyta ile wymagań jego rząd zaspokajać musi; a jeśli w tych częściach administracyi które

bezpośrednio go nie obchodzą znajduje nie jedno zbytecznem; a z drugiéj w gałęziach z jego interesami zwikłanych czuje potrzebę szczegółowszych jeszcze urządzeń i nowych wydatków, niech pomyśli że i sąsiad jego tak samo sądzi o innych oddziałach organizmu władzy, i że ogólnie biorąc rzeczy, potrzeby każdego nie za wiele ale za mało w administracyi uwzględnienia znajdują..... Zadaniem człowieka stanu w obecnym czasie i w przyszłości nie tyle być musi oszczędzać, ograniczać, przytłumiać, jak raczéj siły narodu do najwyższego stopnia rozwijać, ażeby wydołać mogły wszystkim wymaganiom jakie na teraz i w przyszłości ciążyć je mogą."

Przechodzi następnie p. Mohl do porównania urządzeń Niemieckich z Francuzkiemi.

„Bez wątpienia" mówi on „nastręcza się każdemu z prawem publicznem (w Niemczech) obeznanemu, przy głębszém zapoznaniu się z urządzeniami Francuzkiemi, to przekonanie, że administracya Francuzka nietylko w ogólności daleko więcéj prawniczy kierunek przyjęła niż to w państwach Niemieckich ma miejsce, lecz że nawet traktowanie interesów pod względem formy więcéj niż w Niemczech zbliża się do postępowania sądowego. Zakres działania władz, ściśléj jest oznaczony; czynności zarządu lub nawet przygotowania do nich muszą częstokroć być dopełniane w przepisanéj pod nieważnością formie, mającéj zwykle analogią z formami w procesie cywilnym przyjętemi; droga rekursu i apellacyi jest według przypadków dokładnie wskazaną i w sposobie środków w sądownictwie używanych urządzoną. Pojęcia prawomocności, zwyczajów sądowych znajdują zastosowanie w przedmiotach zarządu. Sporność nareszcie wielką gra rolę w administracyi Francuzkiéj, co samo już właściwe jéj piętno nadaje. W Niemczech możliwość skarżenia postanowień administracyjnych jest w dosyć ciasnych i niepewnych granicach zamkniętą, a nawet w zakresie w którym jest dopuszczoną środki prawne jakie użytemi być winny nie są dokładnie podane; przeciwnie w prawach i w naukowych wykładach Francuzkich te wła-

śnie przedmioty nieledwie główne miejsce zajmują i równie obszerne jak sama osnowa rozporządzeń są wyłożone. Każdy z tych sposobów traktowania interesów ma swoje zalety; Francuzki od władzy wymaga zapewnienia prawa i opieki; Niemiecki istotę jéj zasadza na zlewaniu dobrodziejstw i patryarchalnéj staranności."

Zstępując do szczegółów przywodzi p. Mohl z pochwałą, odróżnienia w prawie Francuzkiém znane rozmaitych rodzajów praw, postanowień królewskich, i rozporządzeń administracyjnych, oraz skutków do nich przywiązanych.

„Niemniéj przyniosłoby nam korzyści", mówi daléj „gdybyśmy wzięli sobie za wzór postępowanie Francuzkie w sprawach administracyjnych. Wprawdzie nie pogodziły się jeszcze w Niemczech zdania o dopuszczalności lub niedopuszczalności sądownictwa admistracyjnego. Lecz najzawziętszy jego przeciwnik przyzna, że skoro sądownictwo to *de facto* istnieje, powinno być jak można najlepiéj urządzone. Dotąd w znacznéj części krajów Niemieckich nic nie uczyniono coby dawało rękojmię zabezpieczenia praw obywateli i dobrego prowadzenia interesów. Bardzo często się zdarza że zażalenia w przedmiocie doznanego uszczerbku w prawach ze strony administracyi, na téj drodze i przez te same władze są załatwiane co zwykłe przedmioty zarządu. Jakże inaczéj i o ileż lepiéj gałąź ta służby jest urządzoną we Francyi? Dokładnie tam opisano przypadki w których droga sporu administracyjnego jest otwartą; sprawiedliwość wymierzają osobne władze; instancyi jest właściwa ilość, postępowanie tak co do wyjaśnienia przedmiotu sporu jak co do kwestyj prawnych ustalone; przepisy w przedmiocie mogących się wydarzyć kwestyj incydentalnych ścisłe; wprowadzenie sprawy głośne i przy drzwiach otwartych; w wykładzie prawa nareszcie zwyczaj sądowy jednostajnością uświęcony. Całość tworzy wielki zamknięty w sobie oddział działalności społecznéj, godnie i skutecznie zajmujący miejsce obok innych organów życia społecznego; podczas kiedy w Niemczech sądownictwo administracyjne zbyt często nosi barwę nieporzą-

dnéj grabieży. Nie chcemy przeto utrzymywać aby wszystkie przepisy prawodawstwa Francuzkiego zasługiwały na naśladowanie. Właściwe Francuzkiemu postępowaniu zamiłowanie w formalnościach mniéj stanowczych daje się i w téj gałęzi zbyt często uczuwać.

Z równą trafnością powierzoném zostało sądownictwu wymierzanie kar zagrożonych w rozporządzeniach administracyjnych. Uważają to (choć wątpię czy zupełnie konsekwentnie obok dopuszczenia sądownictwa cywilno-administracyjnego), jak konieczne następstwo rozdziału władz. Stosunek znowu sądowéj do administracyjnéj władzy pociąga za sobą różne następstwa. Sądy tłómaczą urządzenia któremi kara zagrożoną została według ogólnych zasad wykładu praw, i tylko władza która urządzenie wydała, może dać jego ogólny autentyczny wykład. Lecz jeśli tłómaczenie urządzeń do sądów należy, do osnowy ich ściśle stosować się muszą, bez względu na dostrzeganą w nich niestosowność, surowość i t. d. Za to znowu sędzia przestrzegać winien, aby rozporządzenie na mocy którego kara wymierzoną być ma, nie zawierało w sobie nic prawu przeciwnego. Jeśli więc urząd który wydał rozporządzenie nie był władnym, jeśli rozporządzenie w osnowie swojéj mieści jaką obrazę prawa, sędzia ma moc i obowiązek nie wymierzać kary na zasadzie takiego rozporządzenia. Nie wyrzeka on przeto nieważności rozporządzenia, ani nie czyni w niém zmiany, lecz oświadcza że nie czuje się być władnym do czynu którego po nim żądają i zostawia władzy administracyjnéj działać daléj jak za właściwe uzna. „Te zasady" powie kto „są bardzo proste; cóż w nich jest do pochwalenia?" Nic więcéj, odpowiem, prócz właśnie ich prostoty. Ani przystoi nam (Niemcom) lekko je cenić, gdy wielce poważni prawnicy nie chcą dotychczas przystać na to, żeby sędzia wdawał się w ocenienie materyalnéj ważności rozporządzeń które ma stosować."

P. Mohl przypisuje tę niepewność zasad praktyki Niemieckiéj zaniedbaniu w jakiém się w Niemczech nauka prawa publicznego znajduje. „Brak znajomości i ścisłości w za-

stosowaniu zasad prawa publicznego" mówi on „szkodę przynosi nietylko poddanym ale i samym rządom. Przykład Francyi okazuje najlepiéj czyli rząd źle wychodzi, ogólnie rzecz biorąc, na ściśle prawniczém wykonywaniu prawa administracyjnego."

W końcu téj części uwag swoich p. Mohl zastanawia się nad sporami jurysdykcyjnemi; pomijając zasadnicze pytanie nad którém tyle już rozprawiano, do kogo rozpoznanie takich sporów właściwie należeć winno? w szczegółowym rozbiorze przedmiotu, nie znajduje rękojmi zupełnéj niepodległości w stanowisku członków rady stanu, nawet po organizacyi téj władzy w r. 1839. Za to zwraca uwagę na różne środki któremi sądownictwu prawny zakres władzy zabezpieczono. Tak np. spory jurysdykcyjne mogą wytaczać sami tylko prefekci; w sądach handlowych i w sądach pokoju bieg sprawiedliwości wcale wstrzymanym być nie może. Termina wytoczenia sporu jurysdykcyjnego i rozsądzenia go przez radę stanu (w dwa miesiące) pod nieważnością całego postępowania są zakreślone i t. p.

„Więcéj jeszcze nastręcza się przykładów" mówi p. Mohl „służących do wykazania trafności materyalnych przepisów prawa administracyjnego Francuzkiego. Przebija się tu wszędzie praktyczny duch ludu, szczególniéj zaś zadziwiająca jasność i świadomość rządów Napoleona. Należą tu przepisy o procederach, szkodę lub nieprzyjemność sąsiadom przynoszących. Procedera te podzielone zostały na trzy klassy: na takie które nie mogą być prowadzono w bliskości zabudowań mieszkalnych; takie którym to dozwolone być może z zachowaniem pewnych ostrożności; takie wreszcie które wymagają tylko policyjnego dozoru. Piérwszy naukowy instytut w Europie, akademia nauk Paryzka, dała swoję opinię względem zamieszczenia różnych procederów w tych trzech klassach i tę klassyfikacyę uzupełnia i prostuje w miarę potrzeby.

Poczta Francuzka rozwozi co dzień listy do wszystkich gmin całego kraju, pozostawiając przewożenie podróżnych konkurrencyi prywatnéj; wskazuje jéj jednak wzór na któ-

ry zapatrywać się może w tak zwanych *malle-postach.* W razie wydarzonego nieszczęścia wysokie wynadgrodzenia są zapewnione dla poszkodowanych, jeżeli najmniejsza wina ciąży zakład lub jego służbę. Zasługują na uwagę przepisy tyczące się policyi drogowéj po miastach (voirie urbaine dróżnictwo miejskie). Wzorowe są urządzenia targów i domów targowych, rzeźni, procederów piekarzy i rzeźników. Handel i przemysł opierają się na niezachwianym systemacie miar, wag i monet; w statystycznych wykazach znajdują społczesny obraz ruchu i stanu obrotów; w znakach fabrycznych rękojmię dobréj wiary; w instytucyi rozjemców (prud hommes) domową sprawiedliwość. Zasługuje na pochwałę wiele szczegółów w urządzeniu dobroczynności publicznéj i poboru podatków i t. d.

Odawszy sprawiedliwość zaletom administracyi Francuzkiéj p. Mohl wytyka punkta, w których urządzeniom Niemieckim piérwszeństwo przyznać wypada.

Należy tu przedewszystkiém dobór środków zapewniających administracyi usposobionych urzędników. Dowolność kierowana coraz więcéj wpływami parlamentarnemi, obsadza urzędy we Francyi i o losie urzędników bez odwołania stanowi; w wydziale oświecenia konkurs daje zawodną rękojmię zdolności; w sądownictwie naostatek wiele urzędów jest kupnych.

W organizmie władz administracyjnych p. Mohl nagania stanowisko podprefektów, którzy bezużyteczne koło w machinie rządowéj według niego stanowią. „Tylko taka władza pośrednia" mówi on „która sama interesa załatwia, przynosi istotną pomoc władzy wyższéj; jeżeli w rzeczy saméj jest tylko urzędem expedycyjnym, opóźnia bezpotrzebnie bieg interesów."

Powiat we Francyi nie jest żyjącą częścią organizmu państwa, podprefekt służy tylko za pośrednika między prefektem i merem. Gdy tak gmina stanowi ostateczną jednostkę administracyjną, mer będący jéj naczelnikiem musi być razem i w wyższym jeszcze stopniu organem władzy cen-

tralnéj; otoż przyczyna dla któréj rząd zachował sobie jego mianowanie i nie chce wyboru oddać gminie.

Mer przyzwyczaiwszy się rozkazywać w przymiocie urzędnika rządowego, zbyt łatwo przywyka i znajduje sposobność do takiegoż postępowania w rzeczach które saméj tylko gminy tyczą się. Zniszczenie samo-istności gmin obarcza bezużytecznie administracyą i tamuje ruch całéj machiny. Bezpośrednie znowu wdawanie się władz naczelnych do każdego interesu jest zarodem jednego z głównych niedostatków w życiu publicznćm Francyi; zbyt często władze naczelne znajdują się tam w konieczności opierania się żądaniom lub przełamywania oporu indywidualnego.

W wielkiém zaniedbaniu nareszcie zostają we Francyi, policya lekarska, więzienia, policya obyczajów. Dodać trzeba że różne kraje Niemieckie uprzedziły Francyę w staraniu o oświecenie ludu.

Zakończymy niniejsze sprawozdanie przytoczeniem osnowy prawa Belgijskiego z dnia 21 lipca 1844 r. o pensyach emerytalnych, według artykułu p. Nypels.

Następujące przyjęto w prawie tém zasady:

1. Pensye emerytalne urzędników są ciężarem skrabu.

2. Wsparcia ich wdów i sierot płacone są z funduszów kassy utworzonéj ze składek przymusowych samych urzędników.

3. Pensye emerytalne nie mogą przechodzić summy rocznéj 6000 franków; w razie gdyby według prawideł miały wynosić mniéj niż 175 franków, urzędnik dostaje połowę pobieranéj płacy.

4. Pensye emerytalne należą się urzędnikom za 30 lat służby w 65 roku życia.

5. Czas służby lub wiek są skrócone w razie chorób, kalectwa i dla urzędników niektórych władz rządowych.

F. Z.

Prawoznawstwo Francuzkie. *I. Manuel de médecine légale* (4 *edit.*) *par M. M. Briand et Ernest Chaude, suivi d'un traité élémentaire de Chimie légale, par M. Gaultier de Claubry. Paris.* 1846.

Oddawna zastanawiano się nad ważnością medycyny sądowéj w prawie i rozmaite pod tym względem czyniono wywody. W przekonaniu, iż definicye najkrótsze są najlepsze, powiémy tylko, że medycyna sądowa jest zastosowaniem medycyny do prawa. Te kilka słów dostatecznie wskazują ważność i rozległość nauki przeznaczonéj częstokroć do kierowania prawodawcą i sędzią w trudném zwykle powołaniu stanowienia i zastosowywania praw cywilnych, kryminalnych i administracyjnych.

Medycyna, w saméj istocie wszędzie ma w prawie zastosowanie, a mianowicie w najdrażliwszych kwestyach prawodawczych. Czyto idzie o oznaczenie stanu cywilnego dziecka i zgłębienie niedocieczonych często tajemnic poczęcia, czyto sąd chce być objaśnionym o stanie umysłowym obywatela lub też o zdolności do życia nowonarodzonego, czyto w zawikłaniach instrukcyi kryminalnéj, potrzeba wymaga udać się do badań naukowych po dowód winy lub niewinności oskarżonego; czy też wreszcie władze administracyjne w interesie zdrowia ogółu ludności krajowéj potrzebują poznać korzyści i niedogodności pewnego przemysłowego przedsięwzięcia, lub pewnego medyczno-policyjnego postanowienia, w każdym razie występuje lekarz - prawnik, trzymając pod pewnym względem w swém ręku majątek, stan, cześć a nawet i życie współobywateli; a powołanie jego tym jest ważniejszém, że mówiąc zawsze, a częstokroć nawet bez odwołania w imieniu nauki, kładzie zarazem na szali stanowczą przewagę saméjże umiejętności. Dlatego też od tych których sprawiedliwość wzywa do swéj pomocy jako nieodzownych, a częstokroć wszechwładnych sprzymierzeńców, można i należy wymagać gruntownéj i rozległéj nauki, rzeczywistéj znajomości prawodawstwa, oraz, że tak powiémy, wielkiéj poczciwości naukowéj.

W takim przedmiocie doświadczenie jest jednym z najpewniejszych przewodników, a chociaż nauka powołaną być może z każdym następnym dniem do nowych odkryć, ma przecież pomimo to pewne *dane* stwierdzone doświadczeniem ubiegłego czasu, a których bez niebezpieczeństwa lekceważyć nie można. Dlatego też pp. *Briant i Chaudé* nader pożyteczną zajęli się pracą zbierając pod tytułem: *Manuel de médecine légale* zasady naukowe medycyny sądowéj, powszechnie uznane i uświęcone czasem i doświadczeniem, oraz stosując je do rozlicznych kwestyj medycznych jakie w praktyce sądowéj się pojawiają. Dzieło to, pisane stylem jasnym i zwięzłym, okazujące długą i usilną pracę, zdaniem naszém, może ułatwić naukę medycyny sądowéj, zachęcić do niéj, a objaśnienia jakie w sobie zawiera, stawiają je w rzędzie ważnych pomocy w administracyi sądownictwa. Zresztą nie potrzebujemy oceniać dzieła tego, jako nową pracę, ale raczéj jako nowe wydanie książki oddawna już należycie i powszechnie uznanéj ze względu na rzeczywistą i znakomitą swą wartość. Pomimo to, dzieło powyższe zawiera w sobie część zupełnie nową; gdyż oprócz licznych dodatków któremi autorowie powiększyli pierwotną swą pracę dla postawienia jéj na równi z obecnym stanem nauki, umieścili nadto traktat pod tytułem: *Traité élémentaire de chimie légale*, którego autorem jest p. *Gauthier de Claubry*. W rozdziale tym uczony professor rozbiéra starannie wszystko co tylko dotyczy substancyi trucizn, następnie wszystkie apparata i odczynniki potrzebne do odkrycia tych substancyj w razie otrucia i t. d., słowem wszystko co zdaniem jego ze względu medycyny sądowéj, do specyalnéj dziedziny chemii należy. Traktat ten bez wątpienia do najważniejszych części całego dzieła należy, gdyż dramata sądowe, które codziennie przed oczyma naszemi się rozwijają, dostatecznie poświadczają ważne powołanie chemii do odkrycia pewnych zbrodni i wykazania licznych zjawisk napozór mniéj dostępnych.

P. *Gauthier de Claubry* pisał traktat powyższy z tą myślą, że się otwiera nowa epoka dla chemii i że niedaleką jest

chwila, w której *chemia sądowa*, na samoistnych oparta zasadach, stanowić będzie umiejętność oddzielną, ściśle odgraniczoną od właściwéj *medycyny sądowéj*. Czy te nadzieje są uzasadnione, czy ich urzeczywistnienie może mieć miejsce, jestto pytanie, które rozstrzygnąć nie do nas należy, i które zostawiamy do rozwiązania chemikom i lekarzom, jeżeli się między sobą porozumieć potrafią.

II. *Législation et jurisprudence Françaises par. M. Faverie, avocat à la cour royale. Paris.* 1846.

Dzieło to wszystkiego po trochu w sobie zawiera. Autor rozpoczyna swą pracę od wykładu *karty* z r. 1830, i wszelkich ustaw dotyczących praw, obowiązków, interesów politycznych; i tak przywodzi rozporządzenia kodexu co do używania praw cywilnych i politycznych, ustawy dotyczące wyborów na deputowanych, sądów przysięgłych i wolności druku. Następnie pod tytułem: *kodex własności i stosunków familijnych* wykłada kolejno:

1. Jakim sposobem nabywa i utraca się własność, oraz jakie do niéj są przywiązane ciężary?

2. Wszystko co stanowi związek rodzinny, i co stanu cywilnego dotyczy jakoto: małżeństwo, rozłączenie co do ciała ojcostwo, władzę ojcowską, małoletność, opiekę i prawo spadkowe.

Następnie z prawa cywilnego przechodzi do prawa handlowego i przemysłowego, do spółek, bankructwa, ubezpieczeń, do patentów na uczynione wynalazki, do prac publicznych. W czwartéj części pod tytułem: *Lois d'organisation et d'administration publique*, p. Faverie mówi o organizacyi sądownictwa, o szkołach publicznych, o wojsku, wyznaniach, kassach oszczędności i kolejach żelaznych. Wreszcie zakończenie dzieła stanowi rzut oka na urządzenia prawodawcze i kolonie w Algierze. W dodatku podaje autor praktyczne wiadomości o wpisach sądowych, taryffach i formach aktów urzędowych.

Zapyta kto może, jakim sposobem p. Faverie mógł zawrzéć w jednym tomie o 500 stronnicach wiadomości, które stano-

wią przedmiot tylu licznych zbiorów i wywodów *ex professo*? P. Faverie sam wyjaśnia tę zagadkę, mówiąc w przedmowie:

„Za przedmiot tego dzieła obrałem prawo, ale tylko prawo *użytkowe* i *praktyczne*. Nie wdając się zatém w teorye ogólne i wywody doktrynerskie, zajmowałem się tylko takiemi postanowieniami prawodawczemi, które są w codziennem użyciu i zastosowaniu." Na zasadzie takiego planu, przyznać musimy, że autor wykonał przedsięwziętą pracę najsystematyczniéj i z wszelką starannością tak, iż dzieło jego, wyjąwszy kilku niedokładności, przedstawia w istocie wszystko co w życiu codziennem każdego w wykonywaniu swych praw obchodzić może. Mówiąc o niedokładnościach nie możemy pominąć, iż w dziele *praktycznem* zadziwia nas brak wszystkiego co się organizacyi gmin dotyczy, i że nie ma żadnéj wzmianki o radach gminnych i municypalnych—przedmiot, który we Francyi wysokie znalazł rozwinięcie. Zdaniem naszém nie od rzeczy byłoby także w dziele tego rodzaju wspomnieć o kontrakcie najmu i dzierżawy, jako przedmiocie w ciągłém będącym użyciu.

Pomijając te niedokładności łatwe zresztą do uzupełnienia, musimy przyznać iż p. Faverie zręcznie osiągnął cel przedsięwzięty i najzupełniéj dopełnił warunków ułożonego programatu. Nie rozumiémy wprawdzie, dlaczego autor przy końcu dzieła umieścił kartę jeograficzną Algieru i Maroku; połączenie to nawet dość dziwném się wydaje, za błąd wszakże tego uważać nie możemy: a potém: *quod abundat non vitiat.*

K. B.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Księżyc w biegu swoim naokoło ziemi od zachodu na wschód, natrafia pozornie na różne gwiazdy na sklepieniu nieba, i takowe tarczą swoją zasłania. Zjawisko to nazywa się *zakryciem* (okultacyą) albo *zasłonięciem gwiazdy przez księżyc* (1). W pierwszéj połowie peryodu księżyca od nowiu do pełni, brzeg zachodni jego tarczy, tojest brzeg z prawéj strony, jest jasny, gdyż ten jest ku słońcu obrócony; przeciwnie się rzecz ma w drugiéj połowie peryodu, od pełni do nowiu, gdzie brzeg wschodni jest oświecony a zachodni ciemny. Podczas zakrywania gwiazd przez ciemny brzeg księżyca między nowiem a pełnią, obserwatorowie postrzegają niekiedy szczególne zjawisko, na wytłómaczenie którego jeszcze się dotąd nie zgadzają, tojest iż gwiazda po zasłonięciu przez księżyc, jeszcze przez pewny czas daje się widzieć na ciemnéj jego tarczy, tak iż wydaje się jakoby gwiazda nań była zrzuconą; wtedy brzeg ciemny zdaje się występować za gwiazdę, co trwa niekiedy trzy sekundy nim gwiazda całkiem z oczu zniknie. Aby wytłómaczyć to zjawisko, różne czyniono przypuszczenia; niektórzy utrzymywali, iż to pochodzi od załamywania się promieni światła do gwiazdy w atmosferze księżycowéj, tuż przy jego powierzchni będącéj; lecz gdyby tak było,

(1) Zaćmienia słoneczne są szczególnym przypadkiem tego rodzaju zakryć.

to po załamaniu się promieni widzielibyśmy gwiazdę wyżéj téjże atmosfery, a zatém gwiazda zamiast się zbliżać do brzegu księżyca od niegoby się oddalała. Przyczyną tego zjawiska prawdopodobną zdaje się być wada kulistości szkieł w lunetach, tojest ten skutek znany w optyce, iż obrazy punktów jasnych, jakie się zwykle tworzą w ognisku lunet, zamiast przedstawiać się jako punkta matematyczne, te wydają się jak kółka okrągłe mające pewny wymiar, tak iż gdybyśmy sobie wyobrazili zbiór przedmiotów w kształcie punktów tuż blizko siebie ułożonych, te w ognisku lunety utworzyłyby kółka pewnych wymiarów stykających się z sobą i tworzących jeden obraz połączony. Wiadomo zaś, że cała powierzchnia księżyca a zatém i jego brzegi są nierówne i górzyste tak, iż lubo brzeg jego wydaje się oku okrągłym i równym, rzeczywiście jest ząbkowatym (2). Gwiazda (właściwie księżyc) zbliżywszy się do ciemnego brzegu księżyca i wszedłszy w przedział gór, końce tychże skutkiem wady kulistości szkieł, będą w ognisku lunety okrągłemi kółkami i będą się stykały z sobą i schodziły jedne z drugiemi; przez co utworzą brzeg okrągły i jednostajny, wewnątrz którego znajdować się będzie gwiazda i wydawać jakoby rzucona na tło ciemne tarczy księżyca. Widok ten dla patrzącego przez lunetę jest zajmującym, gdyż na ciemnéj tarczy widzimy punkt świetny, który rzeczywiście tylko w przedziale gór się znajduje.

J. B.

FIZYKA.

Keir i Wenzlar piérwsi spostrzegli, iż żelazo trzymane przez pewien czas w niektórych płynach, a mianowicie w mocnym kwasie saletrzanym (ciężaru gatunkowego 1. 5), a następnie użyte do stosu, posiada odmienny stan elektry-

(2) Gdy zakrycie gwiazdy odbywa się ukośnie, w kierunku stycznym do brzegu księżyca, można widzieć niekiedy kilka zakryć téj saméj gwiazdy, przez różne góry księżyca.

czny. Schönbein obserwował tę własność na żelazie zanurzaném w roztworze siarczanu wapna, a Martins na żelazie utrzymywaném w mocnym kwasie octowym i alkoholu. Żelazo posiadające tak zmieniony stan, nazwano *żelazem biernem* (passives Eisen). Bierny stan i tém także odróżnia się od zwykłego stanu, iż żelazo bierne, trzymane w najmocniejszym kwasie saletrzanym, nie doświadcza żadnego działania, wtedy gdy jak wiadomo każdy inny kawał żelaza, przez ten płyn prędko bywa zniedokwaszanym.

Sławny Faraday, za przyczynę bierności żelaza poczytuje cienką warstewkę niedokwasu tego metalu, która powstaje w czasie zanurzenia go w kwasie saletrzanym.

Beetz powtórzywszy doświadczenia z różnemi płynami przekonał się, iż z powyżéj przytoczonych cieczy, jedynie tylko kwas saletrzany zdolny jest nadać żelazu stan bierny. Działając jednak, w myśl hypotezy Faradaya, probował innych cieczy, podobnych do kwasu saletrzanego w sposobności oddawania kwasorodu.

Przy tych doświadczeniach postępował w następujący sposób: żelazo zanurzył w kwas siarczany, skoncentrowany, a miedź w rozcieńczony, i oba te płyny rozdzielił glinianém naczyniem. Po zamknięciu tak przyrządzonéj pary galwanicznéj i wstawieniu w jéj obwód galwanometru, żelazo działało jako metal dodatnio elektryczny; skoro jednak nie przerywając działania stosu, w skoncentrowany kwas rzucał kryształy chloranu, albo bromianu, albo jodanu potażu, jednocześnie z rozpoczętym rozkładem tych soli zmieniał się i kierunek strumienia elektrycznego. W ogole zdaje się iż żelazo w tych tylko płynach stać się może biernem, za pomocą których bezpośrednio zniedokwasić się może.

Oprócz powyższego sposobu, żelazo nabyć może stanu biernego przez rozpalenie.

Schönbein przypisuje tę zmianę zniedokwaszaniu się żelaza, a Martins przyczynę chce widzieć w samém ogrzewaniu. Pierwsza hypoteza więcéj ma dowodów. Nakoniec trzeci najciekawszy sposób zrobienia żelaza biernem, odkryty przez Schönbeina, przedstawia stos Volty.

Drót żelazny zawsze się staje biernym, czyli nie podlega tak łatwemu zniedokwaszeniu, lecz przeciwnie, tak jak inne szlachetne metale, kwasoród na swym biegunie wywiązuje, skoro zostanie użytym jako dodatni elektrod w płynie kwasoród zawierającym.

Nadmienić tu wypada o sposobie zamieniania żelaza na bierne, za pomocą dotykania go innym metalem. Tak np. drót żelazny zanurzony w słabym kwasie saletrzanym, zmienia swój stan elektryczny, gdy dotkniętym zostanie drótem platynowym znajdującym się w tymże rozcieku. W tym rodzaju żelazno-platynowego stosu, żelazo zachowuje się jako metal dodatni, zbiera więc kwasoród obok siebie, zniedokwasza się i przechodzi w stan bierny.

Co się tyczy stosów utworzonych z żelaza biernego i innych metali, otrzymywane wypadki można zawrzeć w następującém prawidle: drót z żelaza biernego, złączony w płynie z metalem elektrycznie odjemnym, nie przestaje zachowywać się jako metal elektryczno dodatni; wszystkie zaś metale, więcéj od niego elektryczno dodatnie jakoto: miédź, cyna, cynk, bismut, antymon, ołów wracają go do stanu czynnego (activ) t. j. do stanu elektrycznego jakie posiada zwykłe żelazo do stosu używane. Podobnież bierne żelazo i wtedy do stanu czynnego wraca, gdy w cieczy zanurzone, pocierane będzie silnie jakim bądź ostrzem, a to zapewne dlatego iż zeskrobana warstewka niedokwasu otwiera wolny przystęp cieczy do czystego żelaza, zkąd powstała para galwaniczna między niedokwasem i metalem redukuje powłokę nadającą żelazu stan bierny.

Nakoniec przywiedziemy tu jedno z bardzo ciekawych zjawisk będących skutkiem bierności żelaza. Drót żelazny zmieniony w bierny, przez zanurzenie w mocnym kwasie saletrzanym, a następnie w téjże cieczy dotknięty miedzią, nie wraca natychmiast do pierwotnego, tak zwanego czynnego stanu, lecz naprzemian staje się czynnym, biernym, czynnym i t. d. To chwilowe redukowanie się i zniedokwaszanie się żelaza, nazwane przez Schonbeina pulsacyą, według hypotezy Faraday tłómaczy się w następujący sposób: bierne że-

lazo, w zetknięciu z miedzią, zachowuje się jako metal odjemno-elektryczny, redukuje się więc, a tém samém staje się więcéj dodatnym; a skoro obadwa te metale nabędą jednakowéj siły elektro-wzbudzającéj, wtedy strumień ustaje, żelazo ze strony kwasu saletrzanego dozna działania. zniedokwasi się i t. d. Schönbein spostrzegł iż w skutek takiego redukowania i zniedokwaszania się żelaza, jeżeli tylko stan cieczy się nie zmienia, wynikają isochroniczne pulsacye.

Beetz odpowiadając na pytanie, dlaczego zjawiska bierności metali, żelazo w najwyższym objawia stopniu? twierdzi iż przyczyna tego szczególnego usposobienia, znajduje się w wielkiéj różnicy, jaka istnieje między żelazem a jego niedokwasem, uważanemi pod względem elektrycznym. W saméj rzeczy czyste żelazo względem miedzi zachowuje się jako metal elektryczno-dodatni; rozpalone zaś żelazo i do stosu użyte staje się elektrycznodo-datnim. (*Annales de Phy. Pogyendorf Nr.* 2. 1846. *S. P.*

HISTORYA NATURALNA.

Zoologia.

W ostatnim tomie opisanego katalogu muzeum król. kollegium chirurgów w Londynie, prof. Owen donosi o różnych nowo odkrytych gatunkach zwierząt z kopalnego rodzaju *Glyptodon.* Onto ustanowił ten pancerników blizki rodzaj, z uważania reszt które się zachowały w warstwowych górach Brazylii. Znaleziono świéżo całkowity pancerz z wielu innemi szczątkami zwierząt tego rodzaju, tak że autor mógł już przynajmniéj cztéry gatunki ich opisać, jakoto: *Glyptodon, clavipes, Gl. tuberculatus, Gl. ornatus,* i *Gl. reticulatus. (F. n. N.* 1846, *nr.* 820 z *The Quarterley Journ of the Geol. Soc. N.* 2).

* W północno-zachodniéj Australii, niedaleko Łabędziéj rzéki zastrzelił p. Bynoe szczególniejszego kangura. Ogon jego kończy się przysadką podobną do paznogcia na małym palcu u człowieka. Kapitan Stokes, który o tém w swoich *Discoveries in Australia*, Vol. 1 pag. 103, wspomina, mniemał zrazu iż to jest tylko igrzysko natury; ale niedługo zabity był i drugi podobny okaz na wschodnim brzegu odnogi Karpentarya. Ciało zwierzęcia wynosiło 22, a ogon 24½ cala długości, ważyło zaś 13 funtów. P. Gould nadaje temu gatunkowi nazwisko *Macropus unguifer*, a piérwszy ze wzmiankowanych okazów znajduje się obecnie w Muzeum Brytańskiém (*Ib. n.* 830).

* Kapitan Stokes mówi (tamże str. 337) o odkryciu w Nowéj Holandyi, na przylądku Upstart, innego jeszcze gatunku kangura (*Petrogale inanata* Gould). Zabity okaz był samicą i miał od końca mordki do podstawy ogona, 18 cali długości, a ogon wynosił cali 19, waga zaś całego zwierzęcia funtów 8½. Na grzbiecie ma kolor popielaty, pod brzuchem brudno-żółty, tylna połowa ogona jest czarną, a od środka idą na nim włosy coraz dłuższe, tak że nakoniec kitkę tworzą. Zadnie nogi na tylnéj stronie są bardzo kudłate. Pazury u nóg tylnych są krotkie i nie górują nad mięsistemi częściami palców, te zaś opatrzone są mocnemi, chropowatemi poduszeczkami, tak iż zwiérzę za ich pomocą może się do skał przyczepiać. Głowa jest małą, ku mordce zaostrzoną; uszy krótkie i nieco zaokrąglone, oczy czarne, nogi przednie bardzo krótkie. Worek leżał bardzo powierzchownie. Zwiérzę zamieszkuje najskalistsze gór okolice. (*Ib. nr.* 838).

* Czytamy także w *Discoveries in Australia*, dziele wydaném w Londynie r. 1846, tomie 1, na str. 396; że tenże kapitan Stokes, w północnéj części Nowéj Holandyi blizko portu Essington znalazł piękne małe workowate zwierzątko *Belideus ariel*. Kolorem i miękkością futra wielkie ono ma podobieństwo do chinchilli. Skórki jego byłyby niezawodnie szacownym handlu przedmiotem. Jest ono opatrzone błoną

do podlatywania, bardzo pomocną zwierzęciu do przeskakiwania z drzewa na drzewo. Wyrządza wielkie szkody dzikim pszczołom których czerw i miód pożéra *(Ib. nr.* 831).

* Ces. Akademii um. Petersburskiéj nadesłano z wyspy Behringa wiele historyczno-naturalnych przedmiotów, a między temi zupełną czaszkę sztelleryny *(Rytina)* (*). Staraniem p. Brandt wykonany został wizerunek tego ciekawego przedmiotu. W sprawozdaniu o nim Akademii, oznajmia p. Brandt że czaszka sztelleryny jest zupełnie podobna do czaszki piersiopławek (Halicore), z różnicą że żadnych zębów nie ma. Z tego powodu familią syrenowatych rozdziela na zębowe (dentigera): *Manatus* i *Halicore*, i bezzębne (edentata): *Rytina*. (*Ib. nr.* 825).

* W gabinecie śtéj Teresy w Medyolanie, ukazują kości wielkich kopalnych zwierząt, o których teraz prof. Balsamo Crivelli oddzielne wydał pisemko. Opisuje w niém dokładnie gatunki: *Delphinus Cortesi*, *Delphinus Brochi* i *Balaenoptera Cuvieri*, jako też kopalnego słonia i nosorożca, które w r. 1800 znalazł p. Cortesi w górze Pulgnasco, a nakoniec dwa kopalne zwierzęta ssące wydobyte z lignitu w Leffe, w prowincyi Bergamo. Jedném z tych ostatnich jest nosorożec, którego autor uznaje za gatunek nowy, i *Rhinoceros Philippi* nazywa. Drugi okazuje cechy rodzaju piżmowca *(Moschus)*. (*Ib. nr.* 821 z *Bibl. univ. de Genève, Févr.* 1846).

* W wyżéj wspomnioném dziele, *Discoveries* i t. d. (Vol. 1, pag. 55) wspomina kap. Stokes o szczególniejszym w r. 1833 przelocie ptaków, w Guilford nad rzéką Łabędzią w Australii zachodniéj uważaném. Przywędrowały nieprze-

(*) Mało znany rodz. zwierząt ssących, u Linneusza z morsami (*Trichecus*) złączonych, lecz przez Kiuwiera uznanych za wielorybne (Cetacea) i ku nim zbliżonych jako piérwsza ich familia: *ziołożerne*, którą także inni *syrenowatemi* zowią. Sztelleryny dotąd ani żaden gabinet w okazie nie ma, ani żadne dzieło w wizerunku nie przedstawia. Opisaną jest tylko w *Nov. comm. Petrop.* 1749 *II, a p.* 294 przez Sztellera, prócz którego, już temu blizko lat sto, nikt jéj nie widział. *A. W.*

liczonemi tłumami wtedy gdy zboża niezupełnie jeszcze dojrzały, a były tak łaskawe, że się rękami brać dozwalały. Miały podobieństwo do derkacza i nie lepiéj od niego latały; były jednak większe. W tenże sam nieodgadniony sposób i znikły, i nigdy się potém nie ukazały. Czy te ptaki przybyły z głębi kraju, czy po długiéj wędrówce ponad morzem, zmordowane spadły? Szkoda że mało zajmujący się historyą naturalną osadnicy, ani jednego okazu ich nie zachowali. *(Ib. nr.* 832).

* W przedmiocie orła morskiego *(Ichtyaëtos leucogaster Gould)* mówi Stokes (str. 195), że na północno-zachodnim brzegu Nowéj Holandyi, zabił takiego ptaka. i że on niezmiernie wielkie piramidalne gniazdo swoje na najotwartszych miejscach płaskich wybrzeżów morskich buduje. Gniazdo to miewa niekiedy sześć stóp wysokości a trzy średnicy, i nieraz w braku lepszych przedmiotów, autorowi przy jego pomiarach za punkt celowania służyło. Postrzeżenie to tym jest ciekawsze, iż niektórzy naturaliści w czasach nowszych, z takich olbrzymich gniadz, na różnych wybrzeżach spostrzeganych, wnosić chcieli o istnieniu olbrzymich ptaków (*) *(Ib. nr.* 833).

* W témże dziele, kap. Stokes, czytamy jeszcze (str. 397) co następuje: Majtek jeden zawiesił przez nieostrożność swój hamak niedaleko brzegu morskiego przy porcie Essington w Australii północnéj. W nocy szukający zdobyczy kajman wyszedł z wody, i szarpaniem hamaka przebudził śpiącego w nim majtka, który zaledwie zdołał uciec zostawując na miejscu siebie wełnianą kołdrę. Kajman pochwycił ją i pożarł. Opowiedzenie majtka poczytano za bajkę, gdy niedługo po tym wypadku zabity został kajman, w którego żołądku znaleziono istotnie kawał kołdry razem z łapą psa niedawno połkniętego. *(Ib. eod.)*.

* Ces. Akad. Petersburska otrzymała doniesienie z Niższego Tagilska, że w pewnym strumyku złapany został gad rybowaty. Odkrycie to jest tym ważniejsze, że dotychczas

(*) Zob. Bibl. Warsz. z grudnia. 1845 r. Tom IV. str. 505.

w Europie jedno tylko podobne zwiérzę, tojest *Proteus anguinus* znano. Dwa okazy nowo odkrytego gatunku znajdują się w ręku p. Riabow, nauczyciela szkolnego, a p. Brandt bliższe zapewne o zwierzęciu wiadomości ogłosi. (*Ib. nr.* 820.).

* Dr. Cantor anatomizując samicę szerokogłowéj kuszy (*Zygaena laticeps*), złowioną przy półwyspie Malacca, znalazł w niéj 18 żywych płodów, przyczém postrzegł że młode tego gatunku rybki opisane zostały przez p. Valenciennes pod nazwiskiem *Zygaena Blochii*, że zatém dwa te gatunki *Zygaena Blochii* i *Z. laticeps* w jeden połączyć należy. (*Ib. nr.* 826 z *Ann. and. Mag. of nat. hist. Dec.* 1845).

* Od pewnego już czasu wiedzieli zoologowie o zadziwiającéj niektórych ryb zmyślności, z jaką one gniazda dla swojego płodu budują; Arystotelesowi nawet wiadomość ta nie była obcą, lubo wielu późniejszych temu podaniu jego cechę wątpliwości przyznali. Temi czasy p. Coste, mając czytać na posiedz. Ak. um. Par. d. 18 maja b. r. rzecz o budowaniu gniazda przez koluszczkę (*Gasterosteus aculeatus*), przedstawił zarazem kilka wielkich naczyń szklanych, z zupełnemi lub też rozpoczętemi gniazdami, téj maleńkiéj wód naszych rybki.

Ażeby przedmiot dokładnie wybadać, p. Coste nawsadzał w Collège de France wiele koluszczek do miednicy, mającéj dwa metry średnicy a około sześciu decymetrów głębokości. Niedługo postrzegł on że samce okazały się w pewnym czasie nader żwawemi, i że jedno miejsce dna miednicy zdało się być środkowym punktem, wkoło którego cała ich czynność krążyła. Skierował tedy swoję uwagę w to miejsce, i spostrzegł w niém początek gniazda. Przypływanie i odpływanie rybki nie inny ma cel, jak materyały do budowy gniazda zgromadzić. Na ten koniec zwierzątko uchwyca pyszczkiem źdźbła trawy i zaciąga je do miejsca w którém gniazdo ma być zbudowane; lecz ażeby tych lekkich ciał woda nie uniosła, przykrywa warstwę trawy piaskiem, który jako ballast służy. Potém pływając tu i owdzie ponad dziełem swojém, zlepia wszystkie materyały kleisto-

ścią, która się zpomiędzy łusek jego wypoca. Silnie połączony pokład, który tym sposobem powstał, składa podstawę całego gniazda, a skoro ten fundament założony został, wyprowadza koluszczka ściany budowy z trzaszczek drzewa i kawałków słomy, również w pyszczku je przynosząc i z nadzwyczajną sztuką łącząc. Ilekroć nałoży tych materyałów, zlepia je śluzem, a we wszystkich szczegółach tego urządzenia, już i tak zdającego się zdolności jéj bardzo przewyższać, rozwija ona zmyślność graniczącą z rozumem. Układa najprzód kawałki drzewa dla przymierzenia, a skoro postrzeże że się nie nadają, odrzuca je na bok i daleko odnosi. Już wzniosło się gniazdo po dach, do którego samiec takichże dostarcza materyałów jak do fundamentu czyli łożyska, które potém również za pomocą śluzu spaja; budując gniazdo, zostawia w ścianach jego otwór, który ostro ogranicza i ustawiczném usuwaniem i wymykaniem przedniéj części ciała, wygładza. Gdy już gniazdo jest gotowe, samiec, który je urządził, wpada pomiędzy kupę samiczek, a znalazłszy taką która życzeniom jego odpowiada, ukazuje jéj drogę do gniazda, całém ciałem w nie wpływając i znowu nagle wypływając. Zachęcona przykładem jego samiczka, udaje się do domku, który ją aż po ogon przyjąć może. Dwie do trzech minut dostatecznemi są dla niéj do zniesienia jaj, poczém szybko się oddala, przebijając dla wyjścia tę ścianę która leży naprzeciwko uczynionego już otworu. Samiec ze swojéj strony, przesuwa się zaraz przez jaja, ażeby je zapłodnił, poczém wszystkie uszkodzenia gniazda naprawia. W ten sposób wprowadza on wiele samic, jedna po drugiéj, z których każda jaja znosi, a on koleją je zapładnia tak, iż naostatek wielka część wydrążenia gniazda wypełnia się niemi.

Lecz nie na tém jeszcze ogranicza się troskliwość, którą samiec koluszczki dla swego potomstwa poświęca. Skoro już zniesionemi zostały wszystkie jaja, całą on baczność zwraca na nie; i niedosyć że tyle już około nich niezwykłego usiłowania łożył, jeszcze ich strzeże i mężnie od wielu grożących im nieprzyjaciół obrania. Najprzód umacnia gnia-

zdo, gromadząc wkoło niego i na nie kamyki, mające niekiedy połowę wielkości jego samego. Potrzeba, mówi p. Coste, samemu widzieć pracującą rybkę, ażeby wiarę dać że tak znaczne ciężary udźwignąć jest w stanie. Odtąd broni swoje potomstwo nietylko przeciw innym samcom, ale i przeciw samicom, dla których zmyślność macierzyńskiéj miłości zdaje się być całkiem odmówioną. Nakoniec powiewa często przed otworami gniazda płetwami, tak że wewnątrz niego powstają wyraźne falistości, które, jak p. Coste domyśla się, wstrzymują rośnienie glonu na jajach, a może i wyziewanie z jaj ułatwiają. Niedługo wylęgają się młode, lecz i tych jeszcze niejaki czas samiec strzeże, dopóty zatrzymując je w gniaździe, dopóki dosyć nie nabiorą sił, ażeby się same o utrzymanie swoje starały. (*Ib. nr.* 826).

* Jeszcze Hodgson w swojéj *History of Northumberland* (Cz. 2, vol. I. str. 193) namienia, że w massach wapiennéj opoki, zwieszających się ponad brzegami przy Whelpington, znajdują się tu i owdzie od spodu dziury, na jednę linią do 4 cali głębokości mające, w których często, a zwłaszcza w zimie, znajdować można żółtą odmianę gajowego ślimaka (*Helix nemoralis*). Latem aż o dno tych dziur opiéra się on swoim kręgiem, coraz powiększając w ten sposób ich głębokość powolném ale bezustanném działaniem, i zapuszcza się w skałę, jak niektóre folady w glinę lub drzewo. Angielski naturalista Trevelyan, który świéżo te miejsca oglądał, nie przeczy bynajmniéj że dziury są dziełem ślimaków, owszem tłómaczy, że słaby kwas, jaki się w soku zwierząt tych znajduje, czyni je zdolnemi do takiego zapadania w wapienny kamień. (*Ib. nr.* 821 z *Edinb. new. phil. Journ. Jan. Apr.* 1846).

* Wiadomo że mikroskopne komórkowate muszle, ogólnie *Foraminifera* zwane (*), licznie się znajdują w forma-

(*) Mikroskopne, po największéj części już nieżyjące zwierzęta, które tém nazwiskiem objął d' Orbigny, uważając je za grupę środkującą pomiędzy szkarłupniami (*Echinodermata*) a polipami, ecz które Cuvier przybliżył do pławów (*Cephalopoda*), że skoru-

cyach warstwowych i kredowych, a bardzo rzadko w formacyi jura, w szczególności zaś w liasie. P. Brodie, czyniąc poszukiwania w przedmiocie kopalnych owadów, w głębokości kilku stóp pod wapieniem obejmującym te owady, przy Wainlode-Cliff w Gloucestershire, postrzegł drobne białe kropki $^1/_{30}$ cala średnicy mające, a które przez mikroskop okazały się spiralnie zwiniętemi, o 5 do 6 zakrętach, muszelkami. Że zaś nie są komórkowate, należy je przeto, mimo drobność, uważać raczéj za należące do familii rurowek (*Serpula*), aniżeli za foraminifery. P. Strickland nazywa je *Orbis infimus*. Skamieniałości te znajdują się nawet w niższéj części liasu w Cleeve-Bank, pomiędzy Evesham a Bidford. Nadarza się w towarzystwie z niemi, muszelka należąca widocznie do foraminiferów, do familii *stichostega*. Jest ona w końcach śpiczasta, okrągława, wygładzona, wypukła i podzielona na trzy komórki, z których największa ciągnie się wzdłuż całéj skorupki. Co do kształtu podobna jest w ogólności do rodzaju *Polymorphina* d'Orbigny a autor nazywa ją *Polymorphina liassica*. (*Ib. nr.* 827 z *Quarterly Journ. of the Geolog. Soc. of London.*

* Sysawki (*Nephelis* Sav.) sąto zwierzęta pospolite w spokojnych wodach naszych, tak podobne do pijawek, że długo z niemi łączone były. Różnią się przecież od pijawek ilością oczu, odmiennym składem pyszczka, a nadewszystko kształtem jaj, które nieraz znajdować można przyklejone do powierzchni liścia rośliny wodnéj, i w taki sposób ogólną rogowatą skórką zasklepione, że w stanie tym podobne są do niektórych samic owadów czerwcowatych z rodz. *Lecanium*.

Dr. H. Frey, przedsięwziął w lecie r. 1844, nowe badania w przedmiocie wylęgania się jaj sysawki pospolitéj (*Nephelis vulgaris* Sav.) i wypadki ich szczegółowo opisane, w sty-

pki ich są tak komórkowate jak u łodzików (*Nautilus*). Niektóre skamieniałe na Podolu postrzegał Wojciech Zborzewski, i o nowym ich rodzaju, tam odkrytym, doniósł w r. 1843 w *Bull. de la Soc. des nat. de Moscou.* *A. W.*

czniu 1845 r. Towarzystwu król. um. Giettyngskiemu, przez pośrednictwo prof. Wagnera podał.

Sysawka ta niesie jaja połączone w znacznéj liczbie, po 6 do 12 i więcéj, i otoczone stałą, twardawą błoną, niby torebką, tak że całość jest na kilka linij wielką i płasko-wypukłego kształtu. Stroną płaską przykleja je zwierzę do poblizkich przedmiotów. Autor utrzymywał zwierzęta w pospolitych do prób szkiełkach, gdzie zniesione jaja z torebkami przyklejały zwykle do ściany szkła, tak że można je było potem kłaść pod mikroskop i codziennie badać. Bez wątpienia dla grubości szkła i torebek, mógł on tylko używać soczewek z dłuższemi ogniskami, i musiał się zrzec mocniejszych powiększeń, albo najwięcéj starać się ocznemi to osięgnąć, czego nie można było przedmiotowemi dokazać.

Już na zewnątrz w sysawce poznać można, mianowicie w porze parzenia się, gruczołkowate jajeczniki. Jeśli je wtedy pod mikroskop weźmiemy, natychmiast objawią się elliptyczne jaja, i bez trudności rozróżnimy w nich trzy zwyczajne części składowe: żółtek, pęcherzyk zarodkowy i znamię, czyli komórki zarodkowe.

Czy jest właściwa skóra na żółtku czy jéj nie ma, tego autor z pewnością nie mógł rozwiązać. Wiadomo że trudność ta zachodzi i co do zwierząt innych gromad, np. ssących, miękliwych. Widać że pewna tylko liczba jaj opuszcza jajecznik; zdają się one przed wyjściem otrzymywać osobną błonę, równie jak i łączącą je wszystkie białkową albo śluzowatą massę, i ową wyżéj wspomnioną stałą błonę czyli skorupkę, która ogół jaj powleka.

P. Frey miał jednego razu szczęście natrafienia na taką sysawkę, która tylko co jaja zniosła, i jeszcze zajęta była przyklejaniem ich do ściany szkiełka. Torebkowata błona, czyli skorupka, była jeszcze nader wątłą i całkiem bezfarbną. Dopiéro po niejakim czasie stała się tęższą i zaczęła przyjmować kolor żółty. Pojedyncze jaja, których liczba w tym szczegółowym przypadku wynosiła 11, okazały się otoczonemi przezroczystą błoną, która z początku leżała prawie na żółtku, ale wkrótce rozszerzywszy się, zostawiła pomiędzy sobą a żółtkiem znaczniejszą przestrzeń. Kształt téj błony był owalny, i zdawał się autorowi niezależnym od

kształtu żółtka, który wkrótce z massy owalnéj, stał się okrągławą, kulistą.

Odtąd z całą pilnością fizyologa i jego uwagą na analogią ze zmianami zachodzącemi w wylęgających się jajach zwierząt innych, uważał p. Frey pojedyncze jaja sysawki, oznaczał wszystkie koleje ich stopniowego powiększania się, i przeszedł wszystkie stadya rozwijania się w nich zwierzęcia, z zachowaniem, ile możność dozwalała, względu na wpływy temperatury zewnętrznéj.

Dopiéro gdy jaje powiększyło się o $^1/_{10}$‴, rozróżnić mógł przedni od tylnego koniec embryona. Na końcu przednim, tojest głowie, dała się spostrzedz pewna liczba równéj szerokości włókien, niekiedy rozgałęzionych, z utrzymującemi się na nich ziareczkami. Jednocześnie środkowa część ciała zaczęła się przyodziewać właściwą błoną. Na głowie wykształcają się nader delikatne połyskujące włoski, których czynność wprawuje embryon w powolny wprawdzie, ale bardzo wyraźny ruch obrotowy. Powolność tego ruchu, porównana z nierównie żywszym u innych zwierząt, nie zadziwi bynajmniéj, skoro zważymy na wielkość powierzchni osadzonéj błyszczącemi włoskami, w porównaniu z wielkością i massą reszty ciała nieokrytego niemi. I tu zatém embryon okazuje rotacyą, z tą tylko różnicą, że część jedynie stworzenia opatrzoną jest rzęsami (włoskami). Te jednak ruchy obrotowe, podług autora, krótkiéj tylko są trwałości, bo w dalszym rozwinienia się stopniu, wprawdzie połyskiwała jeszcze nieco głowa, ale nie była już zdolną za ciężką massę embryona w poruszenie wprawić.

Gdy embryon około $^1/_4$‴ podrosł, głowa jego bardziéj się wyciągnęła i od tułuwu oddaliła, a wewnątrz niéj nowy, z komórek złożony, utwór przybył (piérwszy początek pyszczka?). Reszta ciała pokryła się tęższą błoną, która niekiedy okazuje się wyraźnie pofałdowaną. Dla téj przyczyny część ta staje się nieprzezroczystą; wprawdzie błyszczące włoski zawsze się jeszcze znajdują, ale ograniczone do przestrzeni mniejszéj, do okolicy przyszłego pokarmowego otworu.

Zwiérzę w czasie tym jest bardzo delikatne i miękkie, i z wielką jedynie ostrożnością daje się wydobyć ze swéj osłony i na tabliczce mikroskopu położyć. Forma jego przeto i teraz jest zmienną, endosmozie i exosmozie podległą.

Gdy embryonowi linia przybędzie, jego kształt przemienia się z okrągłego w podługowaty, właściwy zwierzęciu dojrzałemu. Środkowa przezroczysta massa komórek zachodzi bardziéj na środek, otacza się zwolna błoną, staje się jedném słowem, pokarmowym kanałem; wykształca się przy nim wątroba; zwiérzę wykonywa żwawo poruszenia.

Wkrótce embryon przybiera zupełną postać dojrzałego zwierzęcia. Głowa już nie błyszczy, ukazują się na niéj oczy, z nagromadzenia czarnego pigmentu powstające. Widać rurkowaty pyszczek i żołądek z jego zatokami, jako téż i bańkę przy tylnym końcu. Następnie rozwijają się: układ naczyniowy i nerwowy; piérwszy jako dwie żyły na bokach zwierzęcia, wpędzający w siebie żółtą ciecz z pojedynczemi pylinkowatemi ziarnkami; drugi swoje gangliony i sznurkowate połączenia ich okazujący.

Takowy stan trwa około 6 tygodni, poczém zwierzę przedziera swoje okrycie i rozpoczyna żywot samodzielny w wodzie. (*Ib. nr.* 807 z *Gött. gel. Anz.* 29, 30 *St.* 1845).

* Na koniu, przy nasadzie ogona, mieszka szczególniejszy owad dwuskrzydły (*Hippobosca equina*) przez pospólstwo nazywany kleszczem. Podobny (*Ornithomyia avicularia*) żyje na wielu ptakach, i nieco od tego odmienny (*Stenopteryx hirundinis*) na jaskółkach. Na jeleniu (*Leptotacna cervi*), na owcy (*Melophagus ovinus*) znajdują się podobne do tych naturą gatunki, lecz całkiem bezskrzydłe. Wszystkie składają w entomologii osobną familią w rzędzie owadów muchowatych, nazwaną *pupipara*, a to dlatego, że nie jaja lecz składają wprost poczwarkę, nosząc ją aż do wyjścia nowego indywiduum przy sobie, jak samice karaczanów noszą wiadomy tłómoczek z jajami.

Ponieważ rzeczone owady znoszą od razu poczwarkę, stan przeto gąsienicy musi się w jajniku ich odbywać. Wniosek ten uczynił już Latreille, nie sprawdziwszy go je-

dnak naocznie. Tymczasem p. Leon Dufour, czyniąc postrzeżenia na gat. *Hippobosca equina* i *Melophagus ovinus* Linn. mniemał że ich embryony, w piérwszych stanach nie dadzą się porównać z jajami i gąsienicami innych dwuskrzydłych owadów.

Z postrzeżeń, które p. Blanchard świéżo nad owadem z téj saméj grupy, *Leptotaena cervi* Fabr. czynił, okazuje się jednak że w jajeczniku samicy tego zwierzątka znajdują się embryony, do gąsienic innych dwuskrzydłych zupełnie podobne. Okrycie ich ciała jest miękkie i białawe; głowa jednak rogowata i brunatnawa, cecha tyle gąsienic odznaczająca. Widać u nich dwie długie dychawki, od jednego końca ciała do drugiego rozciągnięte i wszędzie w swoim biegu puszczające gałęzie, od przodu zaś spojeniem złączone. Dychawki napełnione są powietrzem, które się zdaje wchodzić dwoma od tyłu znajdującemi się otworami małemi. System nerwowy ściśniony jest w przedniéj części ciała, jak u największéj liczby gąsienic innych dwuskrzydłych owadów. Z opisania tego okazuje się niezaprzeczenie wielkie podobieństwo tych embryonów z gąsienicami owadów dwuskrzydłych, a jedyna uderzająca różnica zachodzi co do kanału pokarmowego. U młodych kanał ten nie jest jeszcze wykształcony, lecz w miejscu jego daje się tylko widzieć massa kuleczek. Ponieważ te gąsienice nie karmią się tym co inne sposobem, przeto ich kanał pokarmowy tworzy się dopiéro późniéj, zapewne podczas stanu poczwarki. Ale badane przez autora okazy, nie żyły tak długo, ażeby mógł kształcenie się kanału pokarmowego śledzić. (*Ib. nr.* 810 z *L'Institut nr.* 630).

* Ehrenberg rozważając znajdowanie się wymoczków w gatunkach skał wulkanicznych, godne uwagi osiągnął wypadki. Liczne i rozległe postrzeżenia, przekonywają że pomiędzy życiem wymoczków a formacyami wulkanicznemi krain nadreńskich, pewna jest zależność. Kryształy sodalitu, leucytu, a pewnie i augitu, złożone są po części z mass wymoczków. Wpośród oceanu leżąca wulkaniczna wyspa Ascension, tak uboga w życie zwierzęce i roślinne, a nawet

wodę, niezmierną przedstawia mnogość wulkanicznych wyrzutów, które stale złożone są z organicznych szczątków, najwięcéj włókien roślinnych, i ze skamieniałych w kwarc pancerzy wymoczków wody słodkiéj. Jakkolwiek doświadczenie uczy, że we wszystkich prawie okolicach świata, wymoczki znajdujące się w gatunkach skał wulkanicznych, temi są które w wodzie słodkiéj żyły, w Patagonii jednak są i takie które w morzu żyły, a tworzą tam znacznie wielkie massy. Pyrobiolityczne Patagonii skał gatunki, na 800 stóp rozciągające się niekiedy, nie mają nic węglanu wapna, lecz tylko w małéj ilości siarkan. Wyrzuty Pompei należą do formacyi wód słodkich, i podobne są Hochsimmerskim nad Renem. Pokłady nad La Platą, w których się kopalny mastodon znajduje, to w czém leżą kopalne kości przy górze Hermosa, i góry wznoszące się na dolinie Bahia Blanca, są również formacye wody słodkiéj z niektóremi wód morskich pomieszane. (Ib. nr. 822 z *American Journal of Science, vol.* 1. 2*d. Series, nr.* 1. *p.* 123).

* Przed miastem Monbard, rodzinném Buffona, wzniesiony będzie posąg temu sławnemu naturaliście. (*Ib. nr.* 836).

* Niedawno założony zoologiczny ogród w Berlinie, takie zajęcie w publiczności tamecznéj obudza, że np. w miesiącu kwietniu b. r. do 9000 osób go odwiedziło. (*Ib.* 1846, *nr.* 819).

* *Nowe dzieła. Lexicon der entomologischen Welt* i t. d. Słownik entomologicznego, karcynologicznego i arachnologicznego świata. Książka w któréj się znajduje wyszczególnienie wszystkich żyjących entomologów i entomofilów i t. d. karcynologów (zajmujących się poznawaniem raków i t. p.) i arachnologów (zajmujących się poznawaniem pająków), wraz z ich pismami, następnie towarzystw naturalistów i ich prac, dzienników zoologicznych, bibliografij i słowników, pism o sposobie zbierania i zachowywania zwierząt stawowatych, z dwojakim regiestrem i wyliczeniem wszystkich entomologicznych, karcynologicznych i arachnologicznych autorów od Arystotelesa do dzisiejszych czasów: wypracowana z pomocą 58 uczonych i natu-

ralistów, przez Jana Gistel. W Sztutgarcie, r. 1846, stron. 326, Tal. 1 i 24 sr. gr. — Autor liczy 1312 żyjących entomologów na 461 miejscach; 1925 entomologicznych autorów przeszłości i teraźniejszości, między któremi 684 żyjących; wymienia 429 uczonych towarzystw, 138 dzienników, między któremi 12 czysto entomologicznych; 317 karcynologów na 52 miejscach, i 644 karcynologicznych autorów, między któremi 239 żyjących; 130 arachnologów na 72 miejscach, i 328 autorów arachnologicznych, z których teraz 99 żyje. (*Lit. Zeit.* 1846. *nr.* 34).

† Jako naturalista i lekarz, jako wymowny pisarz, szacowany Julian Józef Virey, d. 8 marca b. r. w 71 latach wieku swojego umarł.

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846. WARSZAWA.

126. Kronika Polska, Litewska, Żmódzka i wszystkiéj Rusi, Macieja Stryjkowskiego. Wydanie nowe, będące dokładném powtórzeniem wydania pierwotnego Królewieckiego z roku 1582, poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Stryjkowskiego, przez Mikołaja Malinowskiego, oraz rozprawą o latopiscach Ruskich przez Daniłowicza, pomnożone przedrukiem dzieł pomniejszych Stryjkowskiego według pierwotnych wydań. 2 tomy. 8ka wielka. Warszawa. 1846. Nakład Gustawa Leona Glücksberga. Druk St. Strąbskiego. Tom I, wstępu str. 63. Kroniki z litograf. tytułem i drzeworytem str. XLVIII i 392. Tom II, str. 572. W każdym tytułów kart 2. Złp. 50.

127. Moje wędrówki po obczyźnie. Paryż, przez Kajetana Niepowie, (Karola Frankowskiego). 8ka. Warszawa. 1846. Nakład Księgarni Ig. Klukowskiego. Druk Orgelbranda. Str. IX i 527. Omyłek karta 1. Złp. 12.

128. Rodin czyli duch na drodze pokuty, romans allegoryczny przez Józefa Symeona Boguckiego. 8 tomów. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład G. Sennewalda. Druk J. Ungra. Tom I, str. 211. II, 250. III, 269. IV, 204. V, 251. VI, 224. VII, 216. VIII. 251. Złp. 30.,

129. Rozmowy matki z Józią, służące za wstęp do wszelkich nauk, a mianowicie Grammatyki, spisał Stanisław Jachowicz. Wydanie wtóre, poprawione i znacznie rozwinięte. Z godłem:

> Wprzód ludzie myślą niż mówią; bo mówią to co myślą. Uważając tedy mowę, wprzód i przedniejszą baczność dawać mi trzeba na myśl, a potém dopiero na słowa. (*Kopczyński* w układzie Grammatyki).

12ka. Warszawa. 1846. Druk Strąbskiego. Str. III i 121. Napisów i rejestru kart 3. Złp. 3.

130. Zapóźno! i jeszcze dość wcześnie. Dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. 8ka. 3 tomy. Warszawa. 1846. Druk H. Hirszla i M. Schindele. Tom I, str. 190. II. 195. III, 247. Złp. 13 gr. 10.

WILNO.

131. Brat i siostra. Obrazek drammatyczny z Göthego, przełożył John of Dycalp. 16ka. Wilno. 1846. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 66. Złp. 2 gr. 15.

132. *Directorium Divini officii recitande ad usum Fratrum Ordinis Eremitarum S. P. Augustini pro anno Domini* 1846 *editum.* 16ka. Wilno. Druk. A. Marcinowskiego. Str. 56.

133. Droga krzyżowa Jezusa Chrystusa od domu Piłata na górę Kalwaryi i aż do Grobu Świętego, zawierająca w sobie 14 stacyj. 16. Wilno. 1846. Druk. A. Marcinowskiego. Str. 59.

134. Jordan fantazja dramatyczna przez Antoniego Sowę. Z godłem:

Ja sowa jestem, ja latam w ciemności;
Lecz gdy dzień wzejdzie, ja schowam się w cienie,
Zostawię życie ptakom jasności,
I głos mój stłumię, aby Sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

12ka. Wilno 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. XXVII i 151. Złp. 6 gr. 20.

135. Kataleptyk. Powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Sztyrmer. Z godłem:

A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nic będzie umiał w to ugodzić.
Kochanowski.

2 tomy. 12ka. Wilno. 1846. Druk i nakład Józefa Zawadzkiego. Tom I. str. VIII i 279. II, str. 231. Złp. 15.

136. Konfraternia Anny Świętéj, powinności Bractwa, odpusty, nabożeństwa i inne ustawy do tego Bractwa należące zawierająca. 16ka. Wilno. 1846. Druk Marcinowskiego. Str. 70.

137. *Metu skajtius ukinisżkas ant metu wieszpaties.* 4ka. Wilno 1846. Druk Józefa Zawadzkiego. Str. 32.

138. Miesiąc Maj chwale Maryi poświęcony, albo ćwiczenia duchowne z ksiąg pobożnych wybrane i na wszystkie dni Majowe rozłożone przez k(sięd)za S. S(narskiego) D(ominikana). 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk A. Dworca. Str. 182.

139. Nowy Elementarz Rossyjsko-Polski, albo nauka czytania po Rossyjsku dla młodzieży Polskiéj, ułożony przez Fr. R. Wydanie dziesiąte poprawne. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 67. Gr. 20.

140. Zabawka rozrywkowa dla przepędzenia wesołego czasu, czyli kabała wróżąca przeznaczenie, wynaleziona przez Z. A. R. T. 8ka. Wilno. 1846. Druk. M. Romma. Str. 16.

141. Zasady i pomysły obyczajowe. Wiersz Ignacego Łagiewnickiego. 8ka. Wilno. 1846. Druk M. Zymelowicza. Str. 150.

BOCHNIA.

142. O zarazie bydlęcéj, (księgosusz), wyjątek z dzieła Ludwika Bojanusa, pod tytułem: o ważniejszych chorobach bydła i koni. 8ka. Bochnia. 1846. str. 64. Złp. 2.

POZNAŃ.

143. Zemsta Wandy, poema satyryczno-żartobliwe w pięciu pieśniach przez Józefa Kalasantego z Sidorowa, wydał L. M. 16ka. Poznań. 1846. Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki. Str. VIII i 174. Złp. 3 gr. 10.

LIPSK.

144. Biblioteka malownicza najzabawniejszych powieści dla dzieci, po Francuzku i po Polsku zebranych z najlepszych autorów przez J. N. Bobrowicza. Z drzeworytami podług Bertall, Johannot i t. d. 8ka. 2 tomy. Lipsk. 1846. Nakład księgarni zagranicznéj, druk F. A. Brockhauza. Tom I, str. 159. II, 158, i w każdym napisów kart 4. Złp. 14.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zapowiedziane dawniéj dzieło Michała Balińskiego „Pielgrzymka do Jasnéj Góry w Częstochowie" już wyszło nakładem G. Sennewalda z drukarni J. Ungier, w ozdobném wydaniu, ze czterema rycinami.

Tymoteusz Lipiński, współwydawca Starożytnéj Polski, wydaje z rękopismu ś. p. Fr. Siarczyńskiego ciekawy i ważny „Opis Powiatu Radomskiego", który zbogacił licznemi przypisami. Opis ten już jest pod prassą i w przyszłym miesiącu wyjdzie na widok publiczny.

„Niezapominajki", Noworocznik na rok 1847 przez K. Korwella, w wydaniu ozdobném z rycinami już się zaczął drukować.

Roman K. Laskowski, wyda wkrótce powieść historyczną p. n. „Ostatnie chwile Michała Korybuta i Elekcya Jana III", we 2ch tomach.

WILNO.

Trzeci „Śpiewnik domowy" Stanisława Moniuszki wkrótce wyjdzie na świat i będzie zawierał: 1. Tren Jana Kochanowskiego. 2. Czaty, ballada. 3. Kraśna góra, Księżyc i rzeczka i Rybaczka przez E. Żeligowskiego. 4. Dwie piosnki Blanki, z *Dziewicy Jeziora* Waltera Skota, Pieśń Medory z *Korsarza* Byrona i *Ostatniéj pieśni Minstrela* W. Skota, przekłady A. E. Odyńca. 5. Nawrócona, Znasz-li ten kraj? z Goethego. 6. Prząśniczka. 7. Pierwsze wrażenie, duet, i wiele innych. Przedpłata po złp. 26 gr. 20, przyjmuje się w Wilnie w księgarni J. Zawadzkiego i w Warszawie u Spiessa i Spółki.

Hr. Eustachy Tyszkiewicz, autor Listów o Szwecyi, zakupił od sukcessorów professora Daniłowicza pięć tomów ważnych rękopismów do dziejów Litewskich, które zamyśla własnym nakładem drukować.

Biblioteka Warszawska

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznćm

WARSZAWSKIÉM.

Sierpień 1846.

Sierpień 1846. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza, jego szérokość gicogr. 52°13'5", długość w czasie 1ᵍ· 14ᵐ· 47ˢ. czyli w łuku 18°41'45", na wschód względem południka Paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 Godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie gu
1		752.23	751.81	751.69	751.16	+20°.6	+26°.7	+21°.8	+19°.5	78.3	pr. poch.	napół pog.	pochmurny	pogodny	PnW.	W.	Pn.	PnW.	12.6	
2		751 61	751.18	749.85	750.36	18.9	24.2	29.2	22.8	68.3	napół pog.	pogodny	pr. pogodny	pogodny	W.	PdW.	W.	W.	5.6	
3		750.65	751.74	750.70	751.53	21.2	26.0	30.5	22.3	61.4	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	W.	PdW.	W.	W.		
4		752.43	753.07	752.68	753.13	21.4	26.2	27.8	20.6	62.8	pogodny	napół pog.	napół pog.	napół pog.	W.	PnW.	W.	W.		
5		754.04	754.26	753.75	754.78	20.8	26.0	26.8	21.2	70.2	pogodny	smugi	nap. p. desz.	pochmurny	Pn.	W.	PdW.	PdW.		
6		753.71	753.34	752.06	752.32	21.1	26.0	29.8	21.7	68.9	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochmurny	Pn.	W.	W.	W.		
7	●	751.11	750.97	749.06	748.39	19.8	25.4	28.8	22.6	64.9	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PnW.	PdW.		
8		747.63	747.43	745.85	746.26	20.4	25.2	27.8	21.6	73.4	napół pog.	smugi	pochmurny	dészcz	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	0.2	
9		745.83	746.18	746.03	747.69	21.4	26.5	26.6	20.8	80.7	napół pog.	napół pog.	dészcz	napół. pog.	Pd.	Pd.	PdZ.	Pd.	8.8	
10		747.51	748.58	748.90	749.54	20.5	26.0	21.6	19.6	86.2	napół pog.	smugi	dészcz	pochmurny	Pd.	Z.	Z.	PnW.	5.4	
11		749.68	750.32	750.77	751.06	19.8	21.4	19.3	18.1	85.6	pochmurny	pochmurny	dészcz	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Z.	3.2	
12		751.33	751.56	750.55	750.22	16.6	18.0	18.1	17.3	96.1	pochmurny	pochmurny	dészcz	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	5.8	
13		751.53	751.30	749.81	749.86	16.8	20.0	24.3	19.2	70.8	pogodny	napół pog.	napół pog.	napół pog.	Pn.	Pn.	Pn.	Z.		
14	◑	748.92	749.46	748.75	750.46	16.8	20.2	22.8	18.0	79.8	pochmurny	pochmurny	napół pog.	napół pog.	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
15		751.09	751.94	750.88	751.29	16.2	21.2	24.1	19.4	75.9	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PdZ.	W.	W.		
16		751.13	751.05	750.06	750.41	18.7	24.6	28.6	21.0	64.4	mgła pogod.	pogodny	napół pog.	pogodny	W.	W.	PdW.	PdW.		
17		750.82	750.99	750.17	750.75	18.1	24.2	28.0	20.7	74.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	Pd.		
18		751.13	751.01	750.21	750.57	17.5	24.6	29.0	21.2	67.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	—		
19		750.28	750.01	748.38	748.43	19.0	24.4	28.8	21.6	65.7	pogodny	smugi	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
20		747.87	748.04	746.21	746.51	17.7	25.0	28.6	21.8	65.3	napół pog.	smugi	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
21		747.80	746.87	747.79	748.22	19.0	20.3	19.0	18.3	87.7	smugi chm.	pr. pochm.	dészcz	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	3.6	
22	●	748.76	748.60	748.12	747.76	17.2	21.8	27.6	20.2	79.2	mgła nap. p.	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	W	—		
23		747.06	747.35	746.23	745.61	17.1	22.8	28.0	20.8	77.5	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PnW.	PdW.	Z.	Z.		
24		745.44	746.19	749.62	748.47	17.7	23.8	25.0	19.0	72.8	napół pog.	pra. pochm.	napół pog.	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
25		749.32	749.98	751.69	750.76	15.8	18.1	23.6	17.3	77.1	pogodny	pochmurny	pogodny	pogodny	Pn.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
26		751.52	752.35	751.69	752.03	16.8	19.6	21.8	18.1	77.5	pochmurny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
27		752.22	753.05	751.49	751.75	15.4	17.9	19.8	15.7	81.9	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.		
28		751.33	751.21	750.39	750.91	12 2	18.4	19.6	15.8	69.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
29	◐	751.13	751.46	751.21	752.27	15.0	19.2	24.4	19.0	73.3	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	W		
30		753.05	752.97	752.79	749.22	16.6	22.6	26.8	20.0	69.9	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	PdW.	PdW.		
31		755.26	756.59	755.11	754.93	15.8	22.3	23.8	17.5	64.1	pogodny	smugi	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
Śre.		750.40	750.66	749.90	750.21	+18°.12	+22°.88	+25°.22	+19°.76	73.8									45.4	

	mm.	c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.294	27	8.602	
Najwyżéj barometr dochodził d. 31 o godz. 10 rano.	756.19	27	11.216	
Najniżéj barometr dochodził d. 24 o g. 6 r.	745.44	27	6.451	
Średnia zmiana dzienna barometru	1.49		0.66	
Największa zmiana dzien. d. 30—31 o g. 10 w.	5.71		2.53	
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	0.995		0.440	
od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	749.299	27	8.162	
Średnia temperatura Sierpnia wynosi	+ 21°.49 C.		+ 17°.19	R.
i ta jest wyższa o	3.54 „		2.83	„
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 17.95 „		+ 14.36	„
Najwyższa temperatura d. 3 o g. 4 w.	+ 30.5 „		+ 24.4	„
Najniższa d. 28 o g. 6 r.	+ 12.2 „		+ 9.76	„
(Termometrograf wskazał: Maximum + 25°.0 R. d. 6 po południu; Min. + 9°.8 R. d. 28 z rana).				
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.64 „		1.31	„
Największa zmiana dzienna d. 20—21 o 4 g. w.	9.6 „		7.68	„

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 73.8, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 13:73 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 5; napół pogodnych 22; pochmurnych 4.
— dészczu 9 (d. 1, 2. 5, 9. 10, 11, 12, 21).
— błyskawic i grzmotów 9 (d. 1, 3, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 21).

Wody z dészczu spadło wysoko na 45,4 mil. czyli 20,13 lin. par. tojest mniéj o 27 mil. czyli 11.94 lin. par. od ilości wody, jaka zwykle w Sierpniu spada.

Sierpień r. b. był pogodny suchy i nadzwyczaj gorący; upały prawie ciągłe były dokuczające.

Średnia temperatura tego miesiąca jest o 2.83 stopnie R., czyli blizko o 3 stopnie wyższa od normalnéj, a o 5.8 stop. R. od temperatury Sierpnia r. 1833. Tylko w jednym roku 1834 miesiąc ten był tak gorący jak w r. b. Największe ciepło dochodziło 25 stop. R. d. 6 po południu. W pierwszych dwunastu dniach, dészcze, grzmoty i pioruny były częste, i te ostatnie od d. 1 do 7 prawie codzień się ponawiały. Od dawna nie było u nas tak częstych grzmotów i piorunów. Według doniesień Gazety Policyjnéj, ludzi zabitych od piorunów w Sierpniu było 19; domow spaliło się 32, stodół 19. Wody z dészczu spadło o połowę mniéj jak zwykle. Stan powietrza był prawie spokojny, wichrów wcale nie było. Wiatry zachodnie które zwykle w tym miesiącu są najczęstsze i dészcze sprowadzają; w r. b. były najrzadsze; panującemi zaś wiatrami były: Wschodnie i Południowo-Wschodnie.

Dni 9 przed wieczorem w stronie wschodniéj nieba, była tęcza świetna.

D. 10 o godz. 10 wieczór, w stronie północnéj, jasność biała do zorzy północnéj podobna.

W końcu miesiąca wiele plam na słońcu widziano.

WYJĄTEK Z DZIEŁA POD TYTUŁEM:

W ALPACH I ZA ALPAMI (*)

PRZEZ

ŁUCYĄ Z KSIĄŻĄT GIEDROJCIÓW

Rautenstrauch.

O pałacach ci mówiąc, najznakomitsze, tojest Papiezkie zostawiłam na koniec, dla zwrócenia bardziéj twéj na nie uwagi.

O Kapitolu, już przy wstępie do Rzymu kilka słów rzuciłam; ale o nim więcéj jest do powiedzenia. Na samo jego imię już się myśl podnosi, po bohaterskich zaczyna bujać czasach. Zdaje się iżbyśmy tam powinni jakie olbrzymie napotkać cienie....; lecz to już teraz do poetycznych należy marzeń....., napotykamy wprawdzie ale nie cienie, tylko olbrzymie posągi, które tam witają; których tam w dziedzińcu, w sieniach, w salach i galeryach, słowem wszędzie pełno.

(*) Poświęcone opisaniu sztuki we Włoszech pod względem estetycznym, statystycznym i historycznym. Jest to rękopism z 5 tomów złożony, który ma wkrótce być podanym do druku.

Teraźniejszy też Kapitol, całkiem już z katolickich czasów, daleko bardziéj z kunsztownego niż z historycznego powinien być uważany stanowiska. Starożytność zostawiła mu tylko nazwisko. A jeśli młody nazwiska tego dziedzic, szczytnemi także może się pochwalić wspomnieniami, w nich imiona *Petrarki*, *Tassa*, i tym podobne, największym jaśnieją blaskiem.

Kapitol, którego Włochy zowią teraz *il Campidoglio*, wydał się mi daleko mniejszy niż w imaginacyi méj istniał. Wchodzi się na plac jego przez pyszne wschody, u dołu dwoma potężnemi lwami strzeżone, u góry dwoma, równie potężnemi, Kastora i Polluxa statuami. W środku placu spiżowy Marek Aureli na koniu odbiéra znawców hołdy. Cesarski ten posąg między najpiękniejsze liczony, nosi jeszcze dawnéj pozłoty ślady.

Trzy piękne pałace ten dziedziniec okrążają. Środkowy tylko stoi w miejscu dawnego *Tabularium*. Założył go na początku XV^tego^ wieku Bonifacy IX^ty^, a w sto lat potém Michał-Anioł Buonarotti dokończył, dając mu facyatę z Koryntskiemi pilastrami, i wejście dwoma rzędami schodów. Przed tém wejściem duża fontanna upiększyła się trzema starożytnemi statuami: dwie leżące *Nil* i *Tybr*, w środku siedząca *Minerwa*.

Z ganku wchodzi się zaraz do rodzaju sieni czy też sali także marmurem ozdobnéj. Między innemi, dwóch papieży: Pawła III i Grzegorza XIII posągi i Karola z Andegawii Neapolitańskiego króla, tam umieszczono. W téj sieni czy sali, najwyższy zasiada trybunał. Z niéj wschody ani piękne ni wygodne, prowadzą na zégarową wieżę, z któréj to w szerokiéj panoramie przedstawia nam się Rzym we wszystkich swych zmianach, gdzie gruzami i pomnikami wszystkie swe opowiada dzieje, a na

ich dopełnienie, na téjże wieży postawiono posąg wyobrażający Rzym chrześciański z krzyżem w ręku.

Obok tego historycznego pomniku, Kapitolińska wieża ma także historyczny dzwon z Witerby przeniesiony, *Pateryna* zwany. Serce jego we dwóch bije okolicznościach...nie zbyt, jak zobaczysz, podobnych do siebie. Zawsze prawie niemy srébrny Kapitolu dzwon objawia tylko Rzymianom koniec papieży i początek karnawału.

Środkowa ta budowa nazwana początkowo cytadellą, teraz się zowie senatorskim pałacem. Dwie poboczne późniéj i nie razem powstałe, lecz obie na jeden plan stawiane, jedną muzeum Kapitolinskiém, drugą pałacem Konserwatorów zowią,

Muzeum za Klemensa XII założone, a dopiéro za Piusa VII ukończone, tak jest pełne posągów i płaskorzeźb, iż niepodobna ich spamiętać, ani opisać; zaledwo wszystkie należycie obejrzéć można.

W głębi dziedzińca kolos Oceanu, *Marforio* zwykle zwany, znaleziony przy tryumfalnym łuku Septyma Sewera, stoi w towarzystwie dwóch także starożytnych Satyrów. Pod portykiem ogromna *Minerwa* i pełno innych rzeźb; przy drzwiach dwie marmurowe *Diany*, *Izys* z czerwonego granitu, *Jowisz*, posąg *Adryana*, słowem i bogi i cesarze wprowadzają do sali *Canopo* nazwanéj, pełnéj Egipskich pamiątek.

Ztamtąd wchodzi się do pokoju, pokrytego tablicami dawnych statutów czyli ukazów, tak cesarskich jak konsulowskich, począwszy od Tybera aż do Teodoza. Daléj tam można jeszcze dawnym ołtarzom, sarkofagom i t. d przypatrzyć się.

Wróciwszy do przedsionka, naprzeciw kolosalnego *Marsa*, wspaniałe spostrzeżesz schody, a nad ich porę-

czą plan starego Rzymu z czasów Septyma Sewera. Prowadzą one do długiéj galeryi pełnéj kunsztownych zabytków, z któréj wchodzi się do rozmaitych sal. Z tych każda bogata i ciekawa, każda głównéj swéj ozdoby nosi nazwę.

W sali filozofów, między dawnych mędrców biustami, znajdziesz *Dyogenesa*, *Eurypida*, *Demostenesa*, *Homera*, *Sofoklesa*, i t. d. W tak zwanéj sali wielkiéj ujrzysz starożytnego *Herkulesa* znalezionego na *Awentyńskiéj* górze. Ten bożek przedstawiony w dziecinnym wieku w grubych i dość niezgrabnych członkach, swéj późniejszéj siły nosi już zaród.

Za tą idzie sala *Fauna*, gdzie pomiędzy wielu sławnemi posągami, sławniejszy od nich króluje Faun. Lecz najbardziéj pośpiesz do sąsiedniéj, gdzie szczytny umiéra *gladyator*. Siądź tam przed nim i patrz i słuchaj ostatniego jęku, nie jęku boleścią rany lub przestrachem śmierci, lecz niemocą zemsty z piersi wydobywającego się. Pod témto jedynie niemocy uczuciem opuścił on ramię i czoło ku ziemi, jakby wstydem ciśnione, uchyla. O! rzadka to w swym rodzaju rzecz, ten konający, a po swym upadku, dumny jeszcze gladyator! Jestto najpiękniejszy z Kapitolińskiego zbioru klejnot.

Stoją tam wokoło niego różne arcydzieła. Jakiś *Antinous* ogólnie podziwiany, i inne jeszcze piękne jak mówią posągi; ale obok gladyatora, któżby na nie patrzał? One tylko do twych oczu, a on do duszy przemawia. Nietylko czoło jego, wzrok spuszczony i opadła ręka, ale każdy muskuł, wszystko w nim żyje i cierpi.

Za gladyatorem, o mało o *Wenerze* nie zapomniałam. O Wenerze Kapitolińskiéj! o tak słynnéj bogini, co Medycejskiéj radaby odebrać berło!

Nie wiém czy przez skromność, bo jak jéj Florencka rywalka rękami się zasłania; czyli przez dumę i nie chcąc się mieszać z gminem, w osobnym gabinecie mieszka. I dobrze czyni! to odosobnienie szerzy wdzięków jéj sławę, do których oglądania osobnego trzeba pozwolenia.

Co do mnie, mocno pożałowałam chwil, które dla niéj gladyatorowi odebrać musiałam i zdziwiłam się, czemu mając przy sobie jakiś rodzaj bielizny czy szalu, drży i rękami się zasłania. Medycejska ma tylko u stóp swych małego amorka, na jakiémś morskiém siedzącego straszydle, co tłómaczy rąk jéj pozycyą.

Przeciwległy pałac, zupełnie zewnątrz podobny do tego z którego wychodzimy; prócz rzeźb mieści jeszcze obrazy. W sieni dwa nas wstrzymują posągi, Cezara i Augusta. Piérwszy wielką słynie doskonałością. W głębi portyku posąg Rzymu zwycięzkiego, obok niego króle i jeńcy; daléj Egipskie starożytności, i rozliczne kolosalne ułamki. Na schodach i gdzie się tylko obrócić można, wszędzie posągi i płaskorzeźby.

W końcu, wchodzi się do dwóch sal malarstwem zapełnionych, gdzie między wielu pięknemi, ujrzysz najsławniejsze *Guerchina* dzieło, wyjęcie z grobu ś^téj Petronelli. Mozaikowa jego kopia zdobi jeden z ołtarzy ś^go Piotra.

W innéj części pałacu znajduje się tak nazwana *Prototometheka*. Tam, w ośmiu salach, Pius VII kazał ustawić wielkich ludzi popiersia z *Pantheonu* wygnane, a *Kanowa* te co swoim kosztem, jakto już wspomniałam, dla zachęty młodych artystów wykonywać kazał. Przedstawiają one znakomitych z trzech ostatnich wieków mistrzów włoskich sztuki, między których przypuszczono

Niemca *Mengsa* i Francuzów Mikołaja *Poussin* i *Suvé* jako Rzymu uczniów.

Prócz tych dolnych galeryj, na piérwszém piętrze, w dawnych konserwatorów komnatach, dość ciekawe pokazują przedmioty. Najciekawszy jest stara spiżowa wilczyca, karmiąca Rzymu ojców, z Etruskich jeszcze czasów, naznaczona blizną, co jéj zrobił piorun w chwili gdy Cezar zabójczy cios odbierał.

Zobaczysz tam prócz tego, kilka pięknych fresków rzeźb, i tego młodziana, co z pięty igłę sobie wydobywa, a którego liczne odlewy po całéj rozeszły się Europie.

W tymże gmachu odbywają się posiedzenia naukowego zakładu, Akademią Arkad zwanego. Tam raz do roku, po popisach uczniowie odbierają nagrody. Widzisz że i teraz Kapitol wierny przeznaczeniu swemu, laury rozdaje.... tylko na inném zbierane polu.

Ostatnim oka rzutem te trzy nowe zmierzywszy budowy uczułam, iżbym wolała znaleźć w tém miejscu starą prawdziwego Kapitolu ruinę. Ten rodzaj uzurpacyi nie przemawia do przekonania ani do méj duszy. Rzym katolicki jéj nie potrzebuje, ani téż żadnego naśladownictwa, niezgodnego z jego powagą i dumą. Może miéć artystyczne przybytki, i rozdawać poetyczne wieńce własnemi uwite kwiatami, nie pożyczając od starego Kapitolu jego bohaterskiéj sławy, nie naruszając tych od tak dawna zapełnionych dziejami jego ksiąg. Chciéć zaś do nich nowe rozdziały dodawać, jest rzeczą niepodobną, oniemal powiedziałam, śmieszną.

Watykan wszakże, żadnéj nie wziął po nikim spuścizny, a własnemi jedynie bogaty skarbami niemniéj hardo na Europę patrzy. Czy jako monarchiczny gmach, czy zbiór sztuk pięknych, niema w niéj coby nietylko ró-

wnać się, ale zbliżyć nawet do niego mogło. Jest on największym z pałaców, jak jego biblioteka i muzeum najszacowniejszymi zbiorami, jak jego kaplice najwspanialszemi świątyniami świata.

Architektami jego byli piérwsi architekci: *Bramante, Sangallo, Rafael, Bernini*; malarzami: *Rafael* i *Michał Anioł!*

Pałac ten ma dwadzieścia i dwa dziedzińców, a między niemi liczy się Watykański plac, który ze swym obeliskiem, wodotryskami i królewską swą kolumnadą, jest także Watykanu tylko dziedzińcem! Ośm dużych, a dwieście mniejszych schodów; między niemi, te co z sieni śgo Piotra się wznoszą, za wzór do wszystkich monarchicznych pałaców od wieków służą. Jedenaście tysięcy sal i pokoi!! a w ich liczbie to, co Rafael swym uwiecznił pędzlem, które się stancyami Rafaela zowią, a mogłyby się zwać sławy jego przybytkiem. I trzy świątynie: Syxtyńska, Paulińska i śgo Piotra, główny front gmachu tworząca.

Nieraz Watykan zwiedzałam, nieraz po jego dwudziestu dziedzińcach, po labiryncie galeryj jego błądziłam; z wierzchu i wewnątrz na wszystkie oglądałam strony, ale dotąd nie wyjaśniłam gdzie śty Piotr się kończy a zaczyna sam właściwie pałac? jak te massy, w jednę zlane massę, każda osobną ma tworzyć całość? Jak te krocie sal, galeryi, dziedzińców, sieni i schodów, we wszystkie krzyżując się strony, jedna drugiéj nie zabiéra światła, a wszystkie jednym pokryte dachem, tworzą jeden i kilka od razu pałaców.

Pytania moje w téj mierze nie otrzymały nigdy dostatecznéj odpowiedzi, a Watykan pozostał w méj głowie nierozwiązaną zagadką bardzo opis jego utrudzającą.

Naprzykład, nie wiém od czego zacząć, którym dziedzińcem wejść do tego kunsztownego a razem świętego przybytku.

Jeśli wejdziemy na dziedziniec trzypiątrowym otoczony krużgankiem, tam zaraz napotkamy Rafaela z całą jego sławą, któréj ten jego utworu dziedziniec, mógłby się zwać przedsionkiem.

Z drugiéj strony, innego rodzaju podwórze, inne przedstawia nam kunsztu przedmioty, inne gotuje wrażenia. Mniéj surowych rysów w otwartych i ozdobnych portykach, daje przeczuć Olimp i do niego prowadzi. Tam tronuje Apollo Belwederski i wszystkie Grecyi i starego Rzymu bóstwa.

Jeżeli zaś wejdziemy na wspaniałe z sieni ś^go^ Piotra schody, tam znów co inszego i zupełnie co inszego znajdziemy. Tam już ani przepych rozkosznego Olimpu, ani mistrzów sława, lecz w głębi długich i żadnym zbytkiem niepołyskujących komnat, sędziwy starzec pobożnym powita nas uśmiéchem.

Uważając Watykan w monarchiczno-świętym charakterze jego, ztamtąd właśnie godziłoby się przegląd jego zacząć. Ale tam o kunsztach zapomina się całkiem a my na ich byliśmy polu. Ten Watykanu teraźniejszy monarcha (*) zdaje się wyższemi zajęty myślami, a my właśnie kunsztownych stolicy jego chcieliśmy posłuchać dziejów. Nie przerywając ich więc pod Watykanu sklepieniami, i w tę jego zajrzawszy stronę, wrócimy u stóp jego pana czci naszéj złożyć hołd.

Na piérwsze wejrzenie może się zdawać także, iż galerya starożytnych posągów, piérwsze artysty powinny miéć kroki; iż ta sztuka, przed malarstwem zrodzona,

(*) Gdy to było pisane, Grzegorz XVI jeszcze panował.

a jéj tam zebrane płody daleko dawniejsze od Rafaela i Buonarottego dzieł, i w zwiedzaniu piérwszeństwo mieć-by powinny. Wspomniawszy jednak, iż ci dwaj mistrze poniekąd byli Watykanu ojcami, że ten gmach pod ich okiem, pod ich pieczą wzrastał, że oni piérwsze jego tworzyli ozdoby, zdaje się iż tam krąży dotąd ich gienialny duch, iżby się obraził, gdyby w artystycznym Watykanie, kto bądź iść miał przed nimi.

A więc idźmy do lóż i do stancyów Rafaelskich, podziwiać jego wdzięczne pomysły; bieżmy do Syxtyńskiéj kaplicy, gdzie początek świata, i ostateczny sąd Michała-Anioła zadziwi nas i przerazi; a w dziełach postrzegając zupełnie odmienny, całkiem sprzeczny mistrzów charakter, jeszcze raz zastanówmy się, jak pod wpływem takich sprzeczności, mogło się coś tak doskonałego zrodzić, jak Watykańska Bazylika.

W jednéj zrodzeni epoce, nie było dwóch bardziéj odmiennych, dwóch bardziéj sprzecznych sobie gieniuszów, jak *Buonarotti* i *Sanzio*, a to w ich każdym dziecinnym nawet kroku jak w ich obrazach objawia się i uderza. Byli to dąb i róża; granit na pomniki i brylant do oprawienia w złoto i emalią. Oba na chrzcie świętym dostali anielskie imiona, ale Rafael jest imię anioła czułości i miłosierdzia, a Michał siły i surowéj sprawiedliwości.

Le style c'est l'homme, powiedziano oddawna. Obraz i rzeźba także stylem duszy artysty się tłómaczą. Myśl nagiąć można, zmyślić uczucia; ale sposób w jaki są oddane, grunt umysłu zdradza, charakter jego mimowolnie wyjawią. W tak nazwanéj trybunie Medycejskiéj galeryi we Florencyi, można widzieć Madony tych dwóch mi-

strzów pędzla. Przedmiot tenże sam, a jaka między niemi różnica!

Michał-Anioł Buonarotti z szlachetnego był rodu. Ojciec ubogi lecz dumny nie chciał pozwolić by, jak się wyrażał, syn miał kamienie skrobać lub olejem mazać. Michał-Anioł uciekł skrycie od professora gdzie go gwałtem grammatyki uczono, do pracowni *Ghirlandaja*, prosząc żeby go wziął za ucznia. Po niejakich sporach stary Buonarotti powiedział malarzowi iż może wziąć syna, którego jako wyrodka już uważał, i na trzy lat zawarł kontrakt, zasługi syna na własne warując sobie potrzeby. Miał wziąć za rok piérwszy złotych (fiorini) 6, za drugi 8, za trzeci 10, razem 24, na które ojciec z góry kazał sobie połowę zaliczyć.

Ghirlandajo, postrzegając już w dziecku wielkiego talentu zarody, na wszystko chętnie przystał, a gdy wkrótce uczeń mistrza błędy w swych kopiach prostował, on z pobłażającym uśmiechem przyjmował tę z dołu naukę.

Lecz, o ile Michał-Anioł znajdował przychylności i pobłażania z jego strony, o tyle od kolegów był niecierpianym. Rzecz naturalna. Wyżéj stał a nawet wyżéj się od nich cenił.

Jak teraz w Rzymie wszyscy zaczynają malarskie wyższego rzędu ćwiczenia, od naśladowania Rafaelskich stancyów, tak naówczas we Florencyi, w kaplicy *del Carmine*, *Masaccia* freski za wzór brano.

Michał-Anioł także tam kopiować poszedł; a znalazłszy malarza *Torregiani* oddawna już przy pracy, w jednéj chwili z największą łatwością zrobił to, nad czém tamten się męczył; w dodatku, począł jeszcze robotę jego wyśmiewać. Zniecierpliwiony *Torregiani* dał mu pięścią w twarz tak mocno, iż mu nos złamał; a Michał-

Anioł niebardzo szczodrze w powierzchownych wdziękach od natury uposażony, do reszty zeszpeconym na zawsze pozostał. Po tym złamanym nosie najłatwiéj go we wszystkich rzeźbach i popiersiach poznać można.

Ghirlandajo niedługo się nim cieszył. Samodzielna ta natura ani w kopiach nie mogła dla siebie znaleźć żywiołów, ni w żadnego rodzaju skrępować się więzach.

Nie zważając na kontrakt ojca, jak opuścił szkołę tak i malarza swego, lecz nie dla grania w piłkę lub hulania z kolegami, bynajmniéj; gdy tamci go do siebie wołali, on w przeciwną obróciwszy się stronę, zawsze w końcu trafił do Medycejskich ogrodów, gdzie się już Greckie starożytności zbierały. Tam, między niemi, całe dni trawił. Czasem się czcią unosił, czasem goryczą uwagi swe zaprawiał.

Zajęci tam ludzie rozmaitemi Laurentego Medyceusza fabrykami, słysząc te młodego chłopaka dziwaczne wyrocznie, dali mu dla żartu, zbywający im jakiś marmuru kawał, by zrobił z niego co mu się podoba. Michał-Anioł zabrał się natychmiast do niego.

Następnego ranku, Laurenty przechodząc się po ogrodzie zanim jeszcze godzina pracy wybiła, postrzegł w odległym jego kącie jakiegoś nieznanego chłopca z największym zapałem kującego w marmurze. Zbliżył się ciekawie i ujrzał głowę starego Fauna wychodzącą z bryły. I robota i robotnik, wszystko Medyceusza zastanowiło. „Może pozwolisz, rzekł po niejakiéj chwili, żebym ci jednę zrobił uwagę?"

— „Może krytykę" już dumny swém dziełem, rumieniąc się odrzekł Michał-Anioł, mierząc okiem nieznajomego.

— „Właśnie, z uśmiechem odpowié Laurenty krnąbrnemu chłopcu.

— „I cóż takiego? Radbym ją słyszał, mój kochany panie!

— „Oto, twój stary Faun, w swym uśmiechu szeroką przetworzył gębę a w niéj wszystkie nam pokazał zęby. Gdzieżeś widział starego ze wszystkiemi zębami?"

Na tę uwagę Michał-Anioł zamilkł; do krwi sobie wargę zgryzł, a gdy się nieznajomy krytyk oddalił, porwał za młotek i dwa zęby swemu Faunowi wytrącił.

Na drugi dzień młody rzeźbiarz ze świtem u bram ogrodu już czeka, a gdy je tylko otworzono, bieży kończyć swego Fauna, ostatnie mu dać rysy. Lecz cóż za rozpacz!... głowa w nocy znikła!... Nadaremnie ją szuka, daremnie cały ogród swemi zapełnia skargami, nikt jéj nie widział, nikt o niéj nie słyszał. „I któżby tak bardzo miał pożądać tego skarbu?" szyderczo mu odpowiadają ogrodowi stróże. „Wszakże tu tyle widzisz szacownych marmurów największym kosztem z Grecyi sprowadzonych, a nikt ich nie kradnie, nikt się nie łakomi na nie, a na twoję głowę miałby się kto skusić?"

Taka odpowiedź zamiast łagodzenia, podwaja gniéw i rozpacz młodzieńca. „Choćby mi przyszło do samego pójść Laurentego, woła, to mego Fauna odzyskać muszę, bo jednak on w powietrze nie uleciał!" To mówiąc spostrzega w dworskiéj liberyi człowieka i bieży skargę mu swą przełożyć, gdy ten mu powiada, iż właśnie pan go do siebie wołać kazał.

— „O poczciwy to pan! zawoła, musiał się o mojéj krzywdzie dowiedzieć, i chce mi ją wynagrodzić. Dobrze to mówią że *Medyceusze* poczciwi i wspaniali ludzie. Daj Boże, by zawsze naszym rządzili krajem."

Jednak gdy z piérwszego ochłonął uniesienia, a w pośród przepysznego pałacu i jego królewskich komnat spojrzał po sobie, postrzegł błoto i wapno na zszarzaném odzieniu, zawstydził się i nie chciał iść daléj. Ale mu lokaj drugi raz rozkaz pana powtórzył dodając, iż on nie lubi i nie nawykł czekać.

Coraz mniéj śmiałym postępował krokiem biédny chłopiec, a gdy drzwi gabinetu Laurentego się przetwarły, już nie śmiał oczu podnieść. Lecz cóż się z nim stało, kiedy w końcu ośmielony poznał w Laurentym wczorajszego krytyka którego tak z góry traktował? a na jego stoliku głowę swego starego i bez zębów Fauna!!..

Od téj chwili, Michał-Anioł pozostał na zawsze u swego wspaniałego pana; stary *Buonarotti* otrzymał natychmiast obietnicę jakiéj tylko zażąda posady, sam oznaczył jaką ma syn pobierać płacę; i już się go nie wyrzekał lubo ten i nadal miał kamienie skrobać.

Starego Fauna, tę piérwszą wielkiego mistrza próbę, co mu do świata i sławy otworzyła drogę, między arcydziełami Florenckiéj galeryi zobaczysz.

W dziewięć lat po Michale *Buonarottim*, 1483 r. urodził się Rafael *Sanzio*, w małém miasteczku *Urbino* zwaném, stolicy księztwa tegoż imienia, które późniéj zostało do stanów papiezkich przyłączone. We Włoszech téż go inaczéj nie zowią jak Rafael z *Urbino* (*). a ci co chcą w nim jakiejś niebiańskiéj myśli wcielenie spostrzegać, co jakiegoś z niebem pragną dla niego spokrewnienia, uważają, iż się narodził w wielki piątek, tojest w dzień a nawet w godzinę Chrystusa śmierci,

(*) Zapewne dla odróżnienia go od innych tegoż imienia malarzy. Mengs miał także imię Rafael i kilku innych artystów.

a w 37 lat potém, w podobnyż dzień, tojest także w wielki piątek umarł.

Kiedy Michał-Anioł swego *Fauna* w ogrodzie Laurentego ciosał, Rafael, delikatne na łonie matki wypieszczone dziécię, zaledwo je opuszczało, by ojcu czyścić paletę i pędzle.

Stary *Sanzio* Jan, był także malarzem i syna od dzieciństwa do téjże sposobił sztuki; lecz spostrzegłszy w nim większe zdolności niż on był je w stanie rozwinąć, troskliwszy ojciec niż zarozumiały artysta, posłał syna do *Perrugi* do przyjaciela swego, większéj sławy malarza Piotra *Vanuccego*, od miasta w którém mieszkał *Perruginem* przezwanego.

Rafael wziął się z zapałem do pracy. Przejął się duchem mistrza swego i wkrótce zupełnie podobne, tylko nieco piękniejsze, tworzył obrazy. Należą one do tych co zowią z piérwszego sposobu czyli piérwszego stylu jego (*la prima maniera*). Z téj epoki jest ślub Najświętszéj Panny w Medyolańskiéj galeryi, z największą czcią w osobném zamknięciu chowany.

Wkrótce potém, wsławiony w Rzymie malarz *Pinturicio*, dostawszy polecenie malowania zakrystyi w katedrze Sieńskiéj, powołał młodego Rafaela do pomocy. Ale już ten takie robił postępy, iż jak *Perrugina*, tak i *Pinturicia* daleko za sobą zostawił, a we freskach téj zakrystyi bardzo już odznaczają się części jego wykonane ręką.

Michał-Anioł przez ten czas ciągle się rzeźbiarstwem zajmował. Lecz los mu nie tak ciągle jak w piérwszych uśmiéchał się krokach.

Laurenty wspaniały umarł. Syn jego Piotr wygnany z Florencyi, w największém zaburzeniu rzeczpospolitę

zostawił. Buonarotti bez protekcyi, ni zajęcia, udał się do Wenecyi, ztamtąd do Bolonii; ale mu się nie wiodło.

W Bolonii zrobił na ołtarz śgo Dominika, dwie małe statuetki, śta Petronelę i klęczącego aniołka; te mało mu przyniosły pieniędzy a taką obudziły zawiść, iż grożono go zabić. Michał-Anioł nie czekając tego, wrócił do ojczyzny; albowiem nie mając i tam z czego żyć, a widząc w jakiéj są modzie wszystkie starożytne rzeźby, zrobił uśpionego amorka w Greckim stylu, złamał mu rękę, odjął marmurowi świéżości połysk, i jako starożytność posłał do Rzymu, gdzie jakiś kardynał, wielki ich amator i znawca za takąż go kupił i dobrze zapłacić obiecał.

Otrzymawszy zadatek, nie mógł wytrzymać *Bounarotti*, żeby się swym nie pochwalić figlem. Ten z ust do ust wkrótce do Rzymu doleciał. Obrażony kardynał zerwał się z targu. Michał-Anioł prócz zadatku, nic więcéj nie otrzymał. Ale ci co się z kardynała naśmiewali, lub ubolewali nad nim, oglądając figlarnego amorka, z dzieła wielkie o autorze powzieli wyobrażenie. Powołany do Rzymu, zaraz tam parę dostał obstalunków: zrobił między innemi tę prześliczną *Pieta* którą u śgo Piotra teraz podziwiamy. A uzbierawszy trochę pieniędzy, wrócił do Florencyi, gdzie z rozkazu Gonfaloniera *Soderiniego* wykonał kolosalnego Dawida stojącego teraz przy wejściu pałacu Granduca.

Ale razem z talentem i charakter rzeźbiarza wzrastał, rozwijał się, tężał. Już tylko uwielbienia potrzeba mu było; każda nie krytyka, ale uwaga była mu nieznośną. Gdy *Soderini* powiedział iż znajduje nos jego Dawida cokolwiek za duży, Michał-Anioł porwał garść marmu-

rowego prochu, a udając że nos posągu skrobie, rzucił go niby niechcący Gonfalonierowi w oczy.

Bo też ten talent był niesłychany; każdy bowiem rzeźbiarz gdy pojmie, gdy ułoży w głowie posąg, lepi go jak najśpieszniéj z gliny w małéj kilkocalowéj statuetce, by mu ten piérwszy pomysł nie uleciał. Następnie poprawiwszy a najczęściéj kilkakrotnie go przerobiwszy, starannie robi takóż z gliny do tego już przysposobionéj model, w wielkości i kształtach zamierzonéj statuy, ale jeszcze całkiem nagi. Dopiéro draperye czy inny strój z tegoż materyału dla niego tworzy, układa, przylepia i wykończa. Podług tego modelu odlewają z gipsu drugi, i dopiéro z tego drugiego czyli raczéj już trzeciego, tworzyć się zaczyna marmurowy posąg. Ta ostatnia praca zupełnie mechaniczna, zwykle bywa zostawiana uczniom i robotnikom, artysta ją tylko w końcu poprawia i ostatnie daje rysy.

Nie taka była *Buonarottego* metoda, zbyt na jego zapał powolna, długa. Gdy przyrzekł stworzyć jaki posąg, już on w téjże chwili ożył w jego myśli i duszy, już on go widział w bryle marmuru którą sobie obrał, a bez żadnéj próby, modelu ni pomocy, porwał za młotek, póty kuł i ciosał, aż się jego bóstwo zrodziło.

Rzeźbiarze tylko oceniać mogą całą takiéj pracy zuchwałość, i oni też przed *Buonarottim* dotąd uginają kolana.

Malarstwa nie cenił, olejne mianowicie wyśmiewał, mówił że to jest zabawa dla dzieci. Często zrobił na płótnie szkic i dał go któremu ze znajomych do wykończenia, bo to była rzecz dla niego za mała, za nudna. Na ścianie (al fresco) bardziéj mu się podobało, bo tam poprawiać nie można; trzeba robić prędko i odrazu dobrze.

Ale go nigdy nie probował, gdy niespodzianie z Medyolanu przybył do Florencyi wielki w téj sztuce mistrz *Leonardo de Vinci.*

Michał-Anioł cudzych sław nie lubił: Rafaelem, jeszcze wówczas podnoszącym się pogardzał; lecz Leonard, ze swą oddawna jaśniejącą na czole artysty koroną, kłuł mu w oczy.

Leonarda, tak w całéj Europie wielbionego, zostawić we Florencyi bez zajęcia, nie użyć talentów jego w jego mieście rodzinném, do którego po długiéj niebytności wracał, byłoby za wstyd poczytane.

Soderini dał mu do pokrycia całą ścianę sali publicznych obrad, na któréj miał przedstawić zwycięztwo Florentczyków nad Medyolanami. Na przeciwległéj ścianie miała być bitwa z Pizanami, i tę poruczył Buonarottemu.

Bitwy dla każdego malarza są najniewdzięczniejszym przedmiotem, mianowicie dla takiego co, jak Buonarotti, jedynie celuje znajomością kształtów ludzkich, bo na tych się opiera rzeźbiarska sztuka; a szyszaki, zbroje i t. d. rzeczą mu całkiem obcą, Buonarotti takoż w wielkich malarskich kompozycyach jeszcze się nie probował, nik i on sam nie wiedział czego jest w téj mierze zdolnym. Jednak gdy mu tę drugą zaproponowano ścianę, uniesiony żądzą mierzenia się, rywalizowania ze sławnym *Vincim*, przyjął ją bez namysłu.

Ale już tu nie postępował jak z marmurem. Z wykłym innym malarzom idąc torem, zrobił najprzód to co u nich zowią *kartonem*, tojest pierwowzór obrazu swego; a w nim zręcznie unikając trudności jakich mógł się lękać, całą scenę właśnie na swe ulubione sprowadził po-

le, tojest iż zamiast ubiorów mógł malować ludzi. Obrał bowiem chwilę gdy Florentczycy znużeni upałem w *Arnie* się kąpią. Wtém nieprzyjaciel niespodzianie napada, kąpiące się wojsko wyskakuje z wody, do broni bieży, trwoga i rozpacz na każdéj się maluje twarzy, niecierpliwość i energia w każdym ciała ruchu. Michał-Anioł w tém wszystkiém celował. Namiętność i energia były właśnie jego rzeczą. Karton téż jego wszystkich zachwycił, największy obudził zapał, i poniekąd nowy nadał malarstwu charakter. Od czasu odrodzenia bowiem, widziano tylko na płótnach głowy, ręce, nogi i draperye; nagość zostawiono rzeźbie. Michał-Anioł piérwszy ją farbami oddał.

Na rozgłos kartonu tego, wszyscy się poruszyli artyści, zewsząd widzieć go przybyli, między nimi i Rafael *Sanzio*; a tak Florencya ujrzała tę najświetniejszą artystycznego świata konstellacyę, te trzy gwiazdy, z któréj jedna (Leonarda) już z horyzontu schodzić poczynała, druga (Michała-Anioła) w samym jego zenicie najżwawszym jaśniała blaskiem, trzecia (Rafaela) niemniéj jasna nań wstępowała, wznosiła się dopiéro.

Sława Rafaela już dość jednak szeroko brzmiała. Wszyscy wielbili jego utwory pełne gracyi, jego pełne nadobnego wdzięku Madony; on jeden z nich nie był zadowolony. Dusza jego czuła iż sztuka może pójść daléj.

Przybywszy do Florencyi, zaczął freski *Masaccia* brać sobie za wzór, uczęszczać do najsławniejszych malarni. *Fra Bartolomeo* udzielił mu wiele w kolorycie dobrych rad; on wzajemnie jego nauczył perspektywy. Obraz Leonarda i ów Michała-Anioła karton, nie zostały mu także bez korzyści. Talent jego nabrał więcéj hartu, obrazy więcéj życia. Odtąd liczą drugi jego sposób,

(*la secunda maniera*) do którego należy owa licznemi kopiami całemu znana światu Madona w krześle (*Madona alla Segiola*) któréj oryginał we Florencyi pozostał; ś^ty Jan, zdjęcie z krzyża teraz w galeryi Borghezów, Madona nazwana *la belle jardinière*, teraz w Luwrze będąca i wiele innych arcydzieł.

Działo się to za Juliusza II^go. Papiéża tego można ś^go Piotra i całego Watykanu prawdziwym nazwać piastunem. Architekt *Bramante*, wuj Rafaela, prowadził te dwie wielkie budowy, i co do nich piérwszym był ojca ś^go doradzcą. Za jego pośrednictwem Rafael, liczący dopiéro lat 25, został powołany do ozdób Watykanu przez *Perrugina* już rozpoczętych.

Papiéż tak był pochlebnie, i publicznym głosem i przez *Bramanta*, za młodym artystą uprzedzonym, iż chciał żeby on zmazał poprzednika swego robotę. Lecz Rafael pamiętając że był jego uczniem, zawsze skromny, jak bez zawiści tak i bez zarozumienia, nie chciał dopuścić się téj artystowskiéj zbrodni.

Pokoje te Watykańskie, jemu wówczas poruczone, nazywają Rafaela stancyami (*le stanze*); są one podstawą wielkiego mistrza sławy. Ta sława jeszcze nieśmiałym wszedłszy doń krokiem, wyszła z gwiazdą na czole, nie wyszła ale orlim w świat puściła się lotem.

Stancyów tych jest cztéry; w nich dziesięć lat jego życia i pracy! Dla potomności niewyczerpane źródło podziwu, dla artystów szacownych wzorów skarb; a nawet dla biografa nie są bez wartości. W każdéj z nich widać, nietylko talentu znaczny postęp, lecz umysłu, prawie charakteru artysty rozmaite zmiany, jak zwykle wpływem okoliczności sprowadzone.

Już teraz ściany te czasu ręką uszkodzone, wypadkami znieważane, ludźmi zelżone, straciły swą świeżość; lecz głównych nie straciły zalet. Wpatrzywszy się w te całe poemata, w ogromnych rozwinięte ramach, poemata wymagające nietylko szerokiego pojęcia, ale głębokich nauk i rozlicznych znajomości, podwójnie dziwić się należy, jak młodzieniec, wyłącznie od lat dziecinnych malarstwu oddany, mógł je ogarnąć i tak szczytnie ze swéj wylać duszy. Bo inną jest jeszcze rzeczą zrobić pięknie familię świętą, nadać Boski wyraz dziecięciu, dziewiczy i niebiański matce, niż całą epopeę tworzyć.

Widok Rzymu wstrząsł zapewne, rozdął tę młodą duszę, obudził w niéj i do dawnych, nowych dodał zdolności. Zachwycenie Rafaela przy piérwszym do téj wiekopomnéj stolicy wstępie, i stałe jéj zamiłowanie (gdyż do ostatniego dnia już z niéj nie wyszedł) tego dowodem. Ale niemniéj także rady *Bramanta* i innych znakomitych przyjaciół dopomogły mu w kompozycyi stancyów.

Jak tylko bowiem Rafael okazał się w Rzymie, *Ariost* i wielu innych, z przychylnym uśmiéchem, tę nową powitały pobratymczą gwiazdę. Jeżeli z jednéj strony powierzchowność, wdzięczna i naiwna skromność wielkiego artysty, tę sympatyą tłómaczy, z drugiéj znakomity jego talent i coraz szérszy rozgłos, zadziwiającą ją czyni.

Lecz każdemu zapewne w życiu zdarzyło się słyszéć pochwały obficie jednemu sypane, dla zaćmienia niemi inną jakąś cudzą wartość; dla zagłuszenia niemi gdzieindziéj słanych pochwał. Otóż i tu toż samo było zdarzenie.

Każdy ówczesny artysta przeczuwał powstanie nieznanego przedtém zjawiska, jakiejś kolosalnéj sławy,

przed którą wszystkie sławy upadną, która je wszystkie zaćmi.

Mówię o *Buonarottim*. Michał-Anioł był rzeźbiarzem, architektem, malarzem, poetą, wszystkie w ręku nosił berła, nikomu swych talentów nie był dłużnikiem, od nikogo się ich nie uczył, nikogo nie naśladował nigdy. Była to ogromna potęga; wszyscy się jéj lękali, a na tych czele *Bramante*, któremu procz sławy chodziło jeszcze o monarsze łaski, o miejsce, o dochód.

Spodziewano się w Rafaelu znaleźć dla niego rywala i pokochano nietylko, a może nie tyle Rafaela, jak przeciwnika przyszłego zwycięzcy *Buonarottego*. Dopomagano do jego sławy, szerzono ją ile możności tak, że zanim on do najwyższego szczytu talentu swego doszedł, już był oddawna piérwszym malarzem świata uznany. Rozgłos imienia jego głuszył w Rzymie Michała imię, nie dopuszczał go do papiezkich uszu; a jednak mimo tych wszystkich zabiegów, straszliwe to imię do Watykanu trafiło.

Juliusz powołał Buonarottego do zrobienia dla siebie nagrobka, a co gorsza, jak tylko go poznał, polubił go serdecznie.

Juliusz i Michał-Anioł mieli oba coś popędliwego i ostrego w charakterze, obok żądzy jakiejś nieograniczonéj nieznanéj wielkości, słowem pełno pokrewnych zalet i wad, które wzajemny pociąg do siebie czuły.

Papiéż chciał pomnika, jakiego przedtém świat nie widział. Rzeźbiarz przyrzekł kolosalny monument, czterdziestu ozdobiony posągami, cztérdziestu posągami Michała-Anioła dłóta!! prócz płaskorzeźb i innych kunsztu bogactw.

— Ileż to będzie mogło kosztować? zapytał monarcha.

— Około sto tysięcy skudów, odpowie artysta.

— Dwakroć, jeśli potrzeba, zapalając się coraz bardziéj, przerwie Juliusz, jedź zaraz do Karrary, sam marmury wybierz, i pamiętaj w każdéj potrzebie wprost się do mnie udawać, bez niczyjego pośrednictwa; albo lepiéj jeszcze, każę rzucić most z moich pokoi do pracowni twojéj, i co dzień sam cię w niéj odwiedzać będę.

Pomnik ten równym był dla Buonarottego szczęściem, jak stancye Watykanu dla Rafaela. Każdy z nich widział w téj zadanéj sobie pracy, zaszczyt, sławę i los.

Rzeźbiarz pojechał do Karrary, pełen myśli, nadziei, przyszłości; cały swym zajęty planem, zaczął góry próć. Lecz zobaczywszy białe ich łono, przyszedł mu nowy, dziwaczny pomysł, dający wybujałych jego wyobrażeń miarę. Zachciało mu się, nie naruszając skały, z niéj saméj utworzyć jakiegoś poczwarnego olbrzyma, któryby nad morzem się wznosząc zdaleka przyświecał okrętom.

Lecz ten nowy projekt, papiezkiemu, kroku ustąpić musiał. Michał-Anioł zostawił go na dalsze czasy i nigdy nie doprowadził do skutku; a teraz wyprawiwszy do Rzymu marmur sam za nim pośpieszył.

Ale w Rzymie zmieniła się postać rzeczy. Kiedy artysta w Karrarze sobie marzył, w Watykanie intryga nie spała. Trzeba jednak powiedzieć, iż Rafael osobistego nie brał w niéj udziału. Charakter jego tak słodki jak imię, dusza tak czysta, tak kochająca jak wyraz jego niebiańskich dziewic, nie byłyby do tego zdolne. Cały zajęty miłością, między dwa podzielał ją przedmioty: sztukę i kobiéty. Obu się zapamiętale oddawał. Na nic więcéj w życiu jego czasu, w sercu miejsca nie było.

Gdy Michał-Anioł do Rzymu wrócił, ogromne marmuru stosy, połowę Watykańskiego zalegały placu; maj-

tkowie co je złożyli, płacy się dopominali. Artysta dawnym zwyczajem, i pomnąc na ostatnie Juliusza zalecenie, wprost z tém do niego poszedł. Lecz odźwierny zastąpił mu drogę. Na drugi dzień podobnaż jeszcze zniewaga; a gdy mniemając iż to jakiegoś nieporozumienia skutkiem, Michał-Anioł swe wymienił nazwisko, służący mu odrzekł, iż go zna, lecz że wyraźne ma od pana swego polecenie żeby go nie puszczać.

Rzeźbiarz zbladł, ścisnął zęby...; we dwie godzin już go w Rzymie nie było.

Papiéż nie spodziewał się tak gwałtownych swéj niełaski skutków, a rozpaczając po artyście, gońców za nim posłał.

Ci go aż w *Poggibonsi* o kilka mil od Florencyi dognawszy, nic nie wskórali. *Buonarotti* powiedział że woli do Turcyi niż do Rzymu pojechać. Sułtan właśnie mu jakieś propozycye czynił. Michał-Anioł mniemał że go lepiéj będzie niż papiéż traktował.

Juliusz się udał do Gonfaloniera *Soderiniego*, zagroził całą zburzyć Florencyę; lecz i tym sposobem nie odzyskał zbiega.

Michał-Anioł zawzięty i uparty, do Turcyi jednak nie pojechał. Siedział we Florencyi i gniewał się na papieża i na świat cały; przeciwnicy jego w Watykanie tryumfowali, a Juliusz nową zajęty wojną, na późniéj swą odłożył zemstę. Poszedł na Bolonią, a tam jak zwykle wojskiem dowodząc, wkrótce ją zdobył.

Bolonia już sąsiadką Florencyi się mieni. Gdy Buonarotti dowiedział się że papiéż w niéj jest, przyszedł mu żal swój wynurzyć; nie wiém czy postradanych łask jego, czy téj pracy, któréj duszą i sercem pragnął, tego pomnika co i jego imienia miał zarazem być pomnikiem,

w którym już tyle jego gienialnych pomysłów, tyle spoczywało nadziei.

Pobiegł do Bolonii i, wedle zwyczaju, ukląkł przed ojcem świętym.

— Cóż to, rzekł do niego rozgniewany Juliusz, zamiast pośpieszyć do mnie, czekałeś żebym ja do ciebie przybył?

Znając popędliwość papieża, wszyscy tam przytomni drżeli, nikt słowa przemówić nie śmiał; a gdy i artysta nic na to nie odpowiadał, jakiś kardynał, przez *Soderiniego* przysłany dla dania téj kłopoczącéj go sprawie dobrego obrotu, ozwał się w końcu dowodząc, że artyści nigdy nie wiedzą co czynią, że za obrębem swéj sztuki całkiem są głupcami, a zatém na pobłażanie zasługują.

Papież jeszcze bardziéj takiém tłómaczeniem oburzony, nie mogąc znieść żeby *Buonarottego* zwano głupcem, na biédnego kardynała cały swój gniéw wylał a artyście przebaczył.

Jednak, czyto lękając się nowych domowych intryg, czy innym wiedziony powodem, nie kazał mu dla rozpoczęcia pomnika natychmiast do Rzymu przybyć; tylko zażądał spiżowego posągu do postawienia na szczycie katedry Bolońskiéj. Michał-Anioł z największym wziął się do niego pośpiechem, widząc za nim swych głównych życzeń przedmiot.

Juliusz nie znalazł się zadowolony projektem artysty, który mu wzniósł prawą rękę jakby do błogosławieństwa, a w drugą biblią czy brewiarz włożył. Zamiast książki chciał mieć szablę. „A ta wzniesiona ręka, zapytał, cóż tu ma oznaczać?" *Buonarotti*, domyślając się wtenczas, iż to ma być raczéj zwycięzcy Bolońskiego niż ojca świętego posąg, zręcznie odpowiedział, że ona

grozi Bolończykom, gdyby nie mieli być ulegli i grzeczni.

Statua w kilka miesięcy ukończona i ze spiżu odlana, jak najlepiéj się udała. Ale co przewidywał artysta, późniéj nastąpiło. Lud był niegrzeczny, a nie zważając na grożącą rękę, w kilka lat potém potłukł robotę jego, z jéj materyału ulał szańcowe działo, które dla pamiątki, Juliusza ochrzcił imieniem.

Michał-Anioł jak drugi Jakób, co dla Racheli siedm lat służebnictwa się podjął, odbywszy swą Bolońską próbę czy pokutę, pośpieszył do Rzymu w nadziei przystąpienia do nagrobka. Lecz także jak Jakób, drugi jeszcze tam napotkał nieprzewidziany opór, drugą i okrutną do przebycia próbę!

Przeciwnicy rzeźbiarza, zastraszeni Bolońską zgodą, użyli na nowe intrygi czasu, posągiem papieża zabranego. Nie przewidując iżby nową między panem a artystą podnieść zdołali wojnę i zerwać ich ścisłe stosunki, w inny go sposób podkopać sprobowali, bo łatwiéj zwichnąć trudność niż ją obalić.

Wiadomo było iż w rzeźbie nie miał podobnego sobie; iż na tém polu na pewno będzie zwycięzcą, a więc trzeba go było zręcznie sprowadzić z niego. W malarstwie królował Rafael; czemużby te dwie sławy nie miały się w tym zawodzie spotkać?

Juliusz był stary i, jak zwykle bywa, z każdym rokiem co mu grób przybliżał, mniéj o nim myśléć lubił, odwracał od niego oczy. Wyperswadowano mu, iż grobowy pomnik złą jest wróżbą, że zwykle wywołuje mieszkańca swego. Gdy Buonarotti zaczął mu o nim mówić, zmienił rozmowę, a w końcu także w skutek zrę-

cznéj namowy oświadczył, iż pilniejszą ma dla niego pracę, tojest ozdobienie freskami sufitu Syxtyńskiéj kaplicy.

Na te słowa, Michał-Anioł osłupiał; mniemał że z niego żartują. „Ja jestem rzeźbiarzem, zawołał. Wszakże malarskie ozdoby Watykanu są poruczone Rafaelowi z Urbino, malarstwo nie moją jest rzeczą! Ręka do dłóta nawykła, nie potrafi z pędzlem się pieścić."

— „Ty jesteś malarzem, jak rzeźbiarzem; wszystkiém czém być chcesz, odrzekł ojciec święty; a co do ozdób Watykanu, *Sanzio*-by im wszystkim wydołać nie potrafił. Jemu zostawim pokoje, ty weźmiesz kaplice."

Piorun na głowę artysty spadły, nie byłby go więcéj przeraził, przygnębił. Zamiast marzonego przez tyle czasów pomnika, malować sufit! Stanąwszy na szczycie rzeźbiarskiéj sztuki, zacząć się w malarstwie *al fresco* probować, a tę próbę w cztérdziestym zaczynać roku, i na sklepieniach Watykańskiéj świątyni!

Sławny jego bowiem wojny Pizańskiéj karton, nigdy na ścianę przeniesiony nie został. Florencya w ciągłych żyjąc zaburzeniach, niezawsze swym artystom dość swobodnych chwil zostawiała, do wykonania prac rozpoczętych. Tak i wówczas się stało. Karton ten podczas jakiegoś politycznego zamieszania zaginął. Niektórzy mówią, że go częściowo na wzory rozchwytano sobie, inni że zawistną zgładzony został ręką. Ten ostatni wniosek *Benwenuto Cellini* w swych pamiętnikach potwierdza.

Ztąd wynikło iż Michał-Anioł, który podniecony wówczas Leonarda przytomnością, miał uczyć się robienia fresków, zaniechał całkiem téj sztuki, a oddając się rzeźbie, ledwo kiedy niekiedy, jakby przez dystrakcyę i niedbale, rzucił jakiś na płótno szkic.

Po téj z papieżem rozmowie, rzeźbiarz przy swych pozostały marmurach, które na Watykańskim placu czekały od niego życia, tchnienia, myśli, na jednéj usiadłszy bryle nie podniósł wrytego w ziemię wzroku. Następnéj doby zorza jeszcze go w témże miejscu, w téjże saméj postawie znalazła. Ale ta noc bezsenna wiele mu objaśniła tajemnic, wiele rozwiązała nieodgadniętych zrazu dla niego pytań.

Pomiarkował iż tu w miejsce skrytéj i podstępnéj, otwarta zaczyna się wojna; że nieprzyjaciel u patrzywszy najeżony trudnościami i niebezpieczeństwem dla niego grunt, wywołuje go by na nim do walki stanął.

Charakter Buonarottego nie był z tego rzędu, coby się w podobnym razie cofnąć dozwolił.

Na drugi dzień rzeźbiarz kazał odpowiedzieć Juliuszowi, że się kaplicy Syxtyńskiéj podejmuje; posłał do Florencyi po takich coby mu pokazali mechaniczną część ściennego malowania; a nauczywszy się, jak się do tego przyrządza wapno, jak się rozrabiają i kładą nań farby, zapłacił ich, pożegnał, i sam jeden, bez niczyjéj pomocy, niczyjéj usługi, zamknął się w nowéj swéj pracowni, nie dozwalając nikomu do niéj przystępu.

Tak to, gdy w jednym końcu pontyfikalnego gmachu dniem i nocą samotnie pracuje człowiek ponury, brzydkiéj twarzy, żelaznéj duszy, hardego umysłu, niedościgłego talentu, od wszystkich nielubiony i nielubiący nikogo, stroniący od ludzi, o wygodę niedbały, gardzący przepychem, w swéj tylko zakochany sztuce, swą tylko dumny sławą; w drugim jego końcu twórczy także gieniusz, człowiek młody, wesół, bogaty, piękny i rozkosze lubiący, wpośród trzydziestu uczniów, wpośród samych przyjaznych uczuć i z sercem pełném miłości, swe este-

tyczne pomysły, miękkim i wdzięcznym pędzlem, na uwielbienie potomności także przesyła.

W obrazach téż razem się wówczas rodzących, w ich układzie i charakterze, można odrazu wyczytać nietylko twórców ich usposobienie ale i towarzyszące ich dziełom okoliczności. U Michała-Anioła sama się objawia energia, do walki potrzebna siła; u Rafaela panuje miłość, gracya i szlachetnych uczuć wyraz. W późniejszych i gdy do najwyższych doszedł u dworu łask, zarzucają mu do pochlebstwa skłonność. Bohaterom i świętym, zaczął nadawać swych dobroczyńców rysy, i w podobny sposób swój szczytny kalać talent; lecz naówczas jeszcze od piérwszéj swéj nie odszedł był prostoty.

Sanzio zaledwo dosięgał lat trzydziestu, a już był nietylko Watykanu malarzem, ale licznéj szkoły mistrzem. Najpiérwsi artyści własne opuszczali pracownie, poczytując sobie za honor pod jego pracować przewodnictwem, własne imię, jego zacierać imieniem. W stancyach Watykanu nie jedna téż ale trzydzieści stało sztalug; a ten którego zwano mistrzem, nie pragnąc, nie szukając uczniów, tylko kolegów i przyjaciół, od jednéj do drugiéj się przechadzał; tu dał radę, tam błąd poprawił, wszędzie ślad zostawił swéj ręki; pod nią, kilku rysami wszystko Rafaelską przybierało postać, i pod tém hasłem szło zdumiewać świat.

Inaczéj, to lubo pełne lecz zbyt krótkie życie nie byłoby i połowy zostawiło po sobie tych arcydzieł jakiemi się Europa szczyci. Razem bowiem ze stancyami i łożami Watykanu, pełno się tworzyło portretów, pełno innych obrazów, do monarchicznych teraz należących zbiorów, a prócz tego urwane sztuce, ukradzione przy-

jaciołom i światowym stosunkom minuty i sekundy, posiadała czule i aż do śmierci kochana *Fornaryna.*

Kochanką być Rafaela! Już wyobrażasz sobie zapewne coś środkującego między aniołem a różą; bynajmniéj. Portrety *Fornaryny*, jedne do drugich niezupełnie podobne (lubo jak ich właściciele dowodzą, pędzla Rafaela lub Juliusza Rzymiana, najpiérwszego z jego uczni) przedstawiają otyłą brunetkę, czarnych oczu, pięknych i śmiałych kształtów, lecz nic a nic do Rafaelskich nie podobną dziewic. Była to córka piekarza z Transteweru i dlatego przezwano *Fornaryną* iż piekarz po Włosku zowie się *fornajo.* Innego jéj nie znano imienia.

Gdyby to nie było wielką niedorzecznością pytać, co mogło w niéj tak wielki miéć dla Rafaela pociąg, i tak stale go przywiązać? nierazbym już była to pytanie zrobiła. Ale kto się kocha czyż sam wié, czemu i dlaczego? Niedorzeczność tylko mocy namiętności dowodem i nic więcéj.

Rafael, jak widzisz, nietylko nie miał duszy skłonnéj ale nawet czasu do nienawiści i intryg. Owszem, wysoko cenił Michała-Anioła, czci mu swéj nie odmawiał, i często powtarzał iż dziękuje przeznaczeniu, że go w jednéj z nim w świat rzuciło epoce.

Nie tak się działo z Buonarottim. Oddawna z góry traktując Urbińskiego artystę, odmawiając mu gieniuszu utrzymywał, że on tylko dowodem, co z pilnością i pracą otrzymać można. Teraz zaś po ostatnim wuja jego Bramanta podstępie w skutek którego, zamiast tworzenia pomnika, został Syxtyńskim malarzem, teraz gdy go postawiono naprzeciw tego rywala którym pogardzał, nie przestawał pociski na niego rzucać.

Dowiedziawszy się że Sanzio zaczął obraz Przemienienia Pańskiego, natychmiast rzucił na płótno szkic wskrzeszenia Łazarza, lecz nie mając czasu do wykończenia (bo papiéż codziennie swéj kaplicy się dopominał), posłał po Sebastyana *del Piombo*, żeby pod jego robił okiem i naprzeciw transfiguracyi Rafaela postawił.

To piérwsze wyzwanie wcale mu się nie powiodło. Prześliczny Rafaela obraz, dotąd na całą Europę sławny, acz wówczas niedokończony, zupełne otrzymał zwycięztwo. *Buonarotti* lubo pod Sebastyana *del Piombo* niezgrabnie ukryty imieniem, jeszcze bardziéj zgrzytał zębami; a razu jednego gdy się artyści rozeszli, wszedłszy do malujących się ciągle stancyów, uderzony postępem, jaki się mianowicie w drugiéj i trzeciéj objawia: „Oho! zawołał, *Bramante* musiał swemu siostrzeńcowi sufit mój pokazać".

I tak istotnie było. *Bramante* jako główny architekt Watykanu, wolne miał wszędzie wejście, podwójne do wszystkich drzwi klucze. Mimo całéj ostrożności Michała, który najczęściéj nocy na swéj sztaludze spędzał, upatrzywszy dobrą chwilę, gdy on był do papiéża zawołany, tajemnie do kaplicy siostrzana wprowadził, a Rafael to zaraz na swą obrócił korzyść.

Od téj epoki liczą trzeci Rafaela styl, szerszy, silniejszy, więcéj sprężystości mający, i już zupełnie od *Perrugina* i Fra *Bartalomeo* odmienny, a jednak zawsze Rafaelską noszący powłokę.

Tajemnica jaką się otaczał Michał-Anioł, podwajała ogólną niecierpliwość. Rzym wrzał pod nią; nie miał innéj rozmowy, innego zajęcia. Potworzyły się, dotąd w nim jeszcze niezagasłe partye; jedne widziały w Rafaelu gienialne tchnienie, niebiańską myśl, w pięknem

ciele zamkniętą; drudzy talent jego zwali niewieścim, i w drugim go mieścili po *Buonarottim* rzędzie.

Wszystkie jednak niecierpliwości były niczém w porównaniu starego papieża. Nie było dnia, nie było godziny, żeby nie naganiał biédnego artysty, żeby mu pozwolił swobodnie pracy się oddać.

Już to tak dwadzieścia miesięcy trwało. Spojrzawszy na sklepienie Syxtyńskie, jest to niczém; dla Juliusza, o kiju już chodzącego było wiekiem. Papiéż nie mogąc w końcu swéj niecierpliwości powściągnąć, kazał sobie gwałtem drzwi otworzyć kaplicy i sucho oświadczył artyście, że choćby go przyszło ze sztalugi zrzucić, żąda miéć w niéj mszą na dzień wszystkich świętych.

Buonarotti wiedział, że starzec gotów dotrzymać co powiedział. Zostawując zatém niektóre części nie całkiem wykończone, na dzień oznaczony uprzątnął kaplicę a niecierpliwy Rzym cały podniósł się ją oglądać.

Wrażenie było ogromne, niesłychane! Późniéj ozwały się uwagi, lecz w piérwszéj chwili zadziwienie z otwartemi każdego trzymało usty, nietylko mowa ale myśl przed nią zaniemiała.

Opisywać tego obrazu, czyli raczéj tych stu obrazów, niepodobna. Jest to całe stworzenie świata, na rozmaite części w rozmaitych pozamykane ramach, poprzedzielane między sobą innemi jeszcze dodatkami i ozdobami.

Nie trzeba tam szukać ani biblijnéj surowości co do ogółu, ani w szczegółach téj świętości, téj nawet przyzwoitości jakaby miejscem wymaganą być mogła. Co do kompozycyi, Dante głównie się przebija, a w szczegółach niewczesne jakieś, że tak powiém, tu i owdzie Olimpu przypomnienie. Ale wszędzie, w każdéj twarzy, figurze, postawie prawda tak wielka, tak wszelkie przechodząca

pojęcie, iż dotąd, gdy czas już i farby i ówczesne wrażenia przyćmił, jeszcze się zdaje, że zaraz chodzić, mówić zaczną, bo już myślą, już się ruszają.

Gdym weszła do téj kaplicy, znając już nieco styl Buonarottego, a samą kaplicę z licznych jéj kopij, które wprawdzie żadnego o oryginale nie dają wyobrażenia, jeszcze podobnemuż zadziwieniu uległam; a cóż gdy bez tego przygotowania, po raz piérwszy ujrzano rzecz całkiem w malarstwie przedtém nieznaną!

Tak jest: obrazy *Buonarottego* o tyle zadziwiają, o ile *Sanzia* zachwycają, unoszą. Porównania żadnego między niemi stanowić niepodobna. Gdy się na ten patrzy, o tamtych się nie pamięta i odwrotnie; bo każdy z nich całą pochłania myśl.

Bardzo téż zrozumiałam piorunujące (jak go ówcześni pisarze nazwali) piérwsze Syxtyńskiego sklepienia wrażenie; ale wyznać muszę iż także zrozumiałam tyle wyśmianego Adryana VI, który z grubém rzeczy pojęciem, po Medyceuszu na apostolski tron wstąpiwszy, znalazł, iż ten sufit bardziéj do rozkosznéj jakiéj altany, niż do pobożnego przypadłby przybytku. (Z czego proszę nie wnioskować, iż podzielam także papieża tego zdanie, gdy chciał Laokona i Apollina Belwederskiego na kawałki potłuc, znajdując w czci im niesionéj, bałwochwalcze zarody).

We dwa lata po odsłonięciu sufitu Syxtyńskiego, Juliusz II umarł, polecając synowcom pomniku swego dokończenie, w skromniejszych jednak wymiarach. Michał-Anioł już był do niego zrobił potężnego Mojżesza (o którym ci u śgo Piotra w Okowach wspominałam) i młodzieńca nazwanego *Zwycięztwem* do Florencyi przeniesionego. Pomnik zaś tak długo marzony i upragniony,

same tylko zrodził dla artysty niesmaki. Synowcowie papiezcy nań skąpiąc, chcieli mu dowieść, iż ogromne wziął na to summy, i brzydki rozpoczęli proces. Robota tym procesem, później innemi jeszcze wypadkami, jak to następnie opowiém, przerwana, nieprędko potém za papieża Pawła III przez uczniów Buonarottego, jakotako tylko dokończoną została; a nagrobek, już niekolosalny, zachował dla swéj sławy jedynego Mojżesza, który naturalnie teraz za duży i nie we właściwém dla swych wymiarów miejscu, wiele trąci. Mimo to, nosząc gieniuszu piętno, ogromne i tam sprawia wrażenie.

Po Juliuszu nastąpił Leon X całkiem do Rafaelskiéj należący partyi. Michał-Anioł trapiony procesem, wydalił się bezczynny do Florencyi, a *Sanzio* po śmierci *Bramanta* został mianowany architektem śgo Piotra.

Rafael, jak każdy naówczas artysta, znał architektury zasady; we Florencyi się w niéj ćwiczył, a w Rzymie postawił dla siebie dom nad brzegiem rzéki i willę, którą jeszcze w ogrodzie Borghezów ci pokażą. Jednak gdy został do tak wielkiego powołany gmachu, zaczął przezierać wszystkie starożytne o architekturze dzieła, a nawet własnym kosztem posłał do Grecyi po rozmaite plany; w końcu zrobił model, który wszystkich zadowolnił prócz niego samego, jak o tém w pozostałym z tych czasów nam liście się wyraża.

Panowanie Leona X rozpoczęło najsmutniejszą dla Buonarottego, a przeciwnie, najświetniejszą epokę Rafaela życia, już niestety! do swego zbliżającego się kresu.

Medyceusz, jakby dla zbycia się Michała-Anioła, prócz gieniuszu, mającego jeszcze jako Florentczyk, do jego względów prawo, chciał go we Florencyi zająć. Polecił

mu najprzód facyatę śgo Laurentego, następnie pośmiertną familii swéj kaplicę; lecz nie dał na to pieniędzy, ani się rzetelnie tém wszystkiém zajmował. Rafaela zaś tak wysoko cenił i kochał, iż nietylko swą katedrę i pałac, ale wszystkie starego Rzymu pomniki pod jego oddał opiekę. Dekretem papiezkim, nie wolno było nikomu bez wyraźnego Urbińskiego malarza pozwolenia, tknąć się żadnego z jakiéj bądź ruiny kamienia, pod karą 300 skudów sztrafu. Nareście przyrzekł mu tajemnie, iż piérwszy wakujący kardynalski kapelusz będzie dla niego, myśl która się nie jednemu teraz dziwaczną może wyda.

Jak zwykle za wzorem pana, wszyscy a mianowicie dworzanie, także go dowodami przyjaźni darzyli. Kardynał *Bibiena* za własne uważał go u siebie dziécię, i nalegał żeby się z jego synowicą żenił. Rafael długo się bronił, prosił o kilka lat zwłoki, dając za przyczynę, zatrudnień zbyteczny nawał. Jedni przypisywali ten wstręt do małżeństwa, stałéj i zapamiętałéj dla *Fornaryny* miłości; inni posądzali, iż nadzieja kardynalskiego kapelusza większy jeszcze ma w nim udział. Rafael dał się w końcu skłonić; lecz narzeczona jego Marya *Bibiena* niebawnie po zaręczynach umarła, i na swym tylko grobie małżonką Rafaela się nazwała. *Vasary* czytał jeszcze ten jéj grobowy napis, naprzeciw Rafaela grobu w Panteonie umieszczony.

Niby jednak dziwnego nie było, gdyby na ożenienie czasu mu brakło. Prócz stancyów, nowy tworzył w Watykanie dziedziniec; otoczył go trzypiątrowym portykiem, a każdy z nich prześlicznemi zdobił freskami. Przedstawiają one, w 52 medalionach, całą treść starego testamentu. Przezwali je Rafaelską biblią, jak cały portyk Rafaelskiemi łożami. Niektórzy wnoszą iż on piérwszą

tych ozdób myśl powziął z Tytusa termów, gdzie podobnego rodzaju znajdują się szczątki. Czas im wielką przyniósł szkodę; pełno jednak anielskich twarzyczek dojrzéć tam dotąd można.

Jeszcze był Watykanu nie skończył, kiedy się papieżowi zachciało mieć obicia, kobierce i makaty, jakich nikt w świecie nie ma. Rafael musiał mu rysunki do nich tworzyć; a te do Flandryi posłane, dokładnie ale niesłychanym wykonane kosztem, teraz pod nazwiskiem *Arazzi* podziwiane są w Watykańskim zbiorze. Przedstawiają także w historyi świętéj brane przedmioty.

W téjże porze, zrobił dla Franciszka I^go^, ś^go^ Michała, w Luwrańskiéj teraz galeryi; a król tak mu za niego znaczną przysłał summę, iż artysta przez wdzięczność, drugą do Paryża w dodatku posłał pracę swoję.

Do najpiękniejszych jednak dzieł jego liczą ozdoby willi, *Farnezyną* zwanéj. Należała ona wówczas do sławnego bogactwy swemi bankiera *Chigi*. Ten póty nie dał pokoju Rafaelowi, aż się on podjął salony jego freskami ozdobić. Przedstawił w nich całą *Psyszy* historyę; a tak nadobne nadał swym urojeniom kształty, iż miłością *Psyszy* bardziéj jeszcze własną podniecał miłość. Dziesięć razy na dzień rzucał pędzle i do stóp *Fornaryny* leciał. Bankier widząc robotę niepostępującą w miarę swych życzeń, wyśledził przyczynę częstych artysty ucieczek, i natychmiast znalazł sposób przytrzymania go przy niéj, sprowadził *Fornarynę* do swego domu.

Villa *Farnezyna*, późniéj *Farnezów* i królów Neapolitańskich własność, stoi teraz opustoszała, lecz jeszcze swemi freskami sławna. Pójdź je oglądać, Antosiu. Pokażą ci tam także węglem narysowaną głowę dużą, śmiałą, hardego wyrazu, co z góry, jakby zły jaki duch,

na te poetyczne *Sanzia* utwory, dwoje ogromnych wlepiła oczu. Skreśliła ją ręka sławna, ręka Michała-Anioła od linii. Wpadłszy tam razu jednego w nieobecności malarza w złym jak najczęściéj humorze, wyśmiewając Rafaela miękką i wdzięczną robotę, porwał jakiś węgiel, a rzuciwszy na ścianę ten hardy szkic, odwrócił się do chłopca co tam farby rościerał: „powiedz, rzekł, swemu sławnemu mistrzowi, iż to *tak* się rysuje!"

Rafael tych fresków w drugim salonie nie dokończył. Po jakiéjś zbyt wesołéj nocy, wróciwszy nad rankiem do siebie, uczuł się słabym. Doktorzy nierozsądnie krew mu puścili (gdyż dotąd jeszcze we Włoszech, na tém się głównie, jeśli nie wyłącznie sztuka lekarska zasadza). Chory we trzy dni już nie żył.

Czując zbliżający się koniec, Rafael ku wieczności myśl zwrócił i w chrześciańskim skończył duchu, 7 kwietnia 1520 roku, w Wielki Piątek, o 3ciéj w nocy, trzydzieści siedm dokonawszy lat! (Ci co w życiu jego usiłują jakieś niebiańskie upatrywać oznaki, muszą zapewne żałować że nie cztéry lat piérwéj, żeby jak Chrystus miał trzydzieści trzy). Żądał by zwłoki jego w trzeciéj Panteonu niszy spoczywały pod Najświętszéj Panny posągiem, którego jeden z uczniów jego obowiązał się zrobić i zrobił.

Niepodobna opisać całego Rzymu wzruszenia i żalu. Młody jeden margrabia pisał do matki: „Jesteśmy tu w Rzymie dla zabaw, ale Rzym od śmierci Rafaela wydaje się nam wszystkim pustką i grobem." Gorzéj jeszcze dotąd prawdziwi sztuki lubownicy nad jego tak wczesnym boleją zgonem. Mówią, iż spotkanie się takich dwóch ludzi jak Leon Xty i Rafael, już może się w dziejach kunsztu nie ponowić, a obliczyć nie mogą, co-

by to jeszcze te dwie połączone potęgi gieniuszu i władzy, potomności zostawiły.

Bo co dla niego, niepodobna zdaje się było piękniéj kończyć jak na szczycie talentu, pośród woniejących kwiatów sławy, młodości, zaszczytów i miłości. Cóż lepszego to wszystko przeżyć i dopiéro na tych krwawemi łzami skropionych grobach, swój zimny usłać grób!

Taka owszem, jak jego śmierć, powinnaby, zda mi się, najbardziéj być pożądaną i nazywać się *Rafaelską śmiercią*.

Papiéż mu pyszny kazał sprawić pogrzeb. W pośmiertnéj sali gdzie ciało jego wystawione było, zanim je do Panteonu złożono, zawieszono niedokończony jego obraz *Przemienienia* (transfigurazione), ten obraz co w walce z Buonarottim zwycięztwo odniósł, a który późniéj przez Juliusza Rzymiana (*Giulio Romano*) najpiérwszego z uczni jego wykończony, dotąd piérwsze między obrazami trzyma w świecie miejsce. Pójdź go w Watykańskim podziwiać zbiorze, lub u śgo Piotra w mozaikowéj kopii.

W 153 lat potém, Karol *Maratte* zrobił Rafaela popiersie także w Panteonie umieszczone. Lecz jak za życia tak i po śmierci, Rafael najspokojniejszy z ludzi, musiał być kłótni przyczyną, a tą razą, to jego popiersie stało się do niéj powodem.

Akademia śgo Łukasza, nie wiedziéć zkąd, zaczęła razem się chwalić iż posiada głowę Urbińskiego malarza, i jakąś pod tą firmą pokazywała publiczności czaszkę. Zapytano, zkąd ją wzięła? odpowiadała iż *Maratte* stawiając popiersie, wyjął ją z trumny i jéj ją poruczył.

Ztąd się wszczęły długie między uczonymi spory. Przyszło do tego, iż z największą uroczystością przystąpiono do wydobycia i otworzenia grobu; poczém, gdy się prze-

konano iż czaszka i kości nie były naruszone, i żadnéj nie brakuje, wystawiono je przez dni dwa na widok upragnionéj publiczności, a w końcu nowy i świetny przy illuminacyi Panteonu i wielkiéj orkiestrze sprawiono im pogrzeb.

W kilkanaście miesięcy po śmierci Sanzia i dobroczyńca jego Leon X^{ty} umarł. Krótkie panowanie następcy jego Adryana VI^{go} (o którym wyżéj wspomniałam, iż chciał Apollina pogruchotać, a Syxtyńską kaplicę wybielić) nie sprzyjało sztuce ani artystom. Powołany po nim na apostolskie krzesło Klemens VII nie zapomniał, że z Medyceuszów rodu, że Florentczyk, że Michała-Anioła współziomek. Zaczął go przeciw ciągłym napaściom synowców Juliusza bronić, i polecił mu biblioteki Laurentyńskiéj we Florencyi budowę.

Lecz ta praca, gdzie Buonarottemu już nie rzeźbiarzem, ni malarzem, ale architektem być rozkazano, została przerwaną innego jeszcze rodzaju zajęciem. Papież mu kazał być budowniczym, a rzeczpospolita wypowiedziawszy mu wojnę, nakazała strategikiem zostać.

Przebiegając niektóre ustępy Florencyi dziejów, opowiedziałam ci, jak Michał-Anioł ufortyfikował miasto, jak je bronił, jak nawet dla ochronienia od kul pięknéj dzwonicy kościoła ś^{go} Miniata, materacami ją obwinął.

Klemens zwyciężywszy nie mógł zrazu przebaczyć artyście, ale ten się przed zemstą jego ukrył. Gdy gniéw ochłonął, papież kazał rozgłosić że mu przebaczy, byle do kunsztownego wrócił zawodu i dokończył grobową Medyceuszów kaplicę za Leona X już zaczętą. Michał-Anioł na to przystał, i zaraz wziął się do téj zakrystyi Laurentyńskiego kościoła, o któréj we Florencyi dość ci obszernie mówiłam. Tam już sam był architektem

i rzeźbiarzem, i też wszystko największą odznacza się harmonią, pięknością i siłą.

Szczegóły jéj niezupełnie są dokończone, gdyż Buonarotti mając powody niedowierzania Alexandrowi, synowcowi papieża, naówczas panującemu we Florencyi, a pod przyjaznemi oznaki przeczuwając chytre jego względem siebie zamiary, do Rzymu zemknął.

Lorenzino wkrótce tyrana zgładził, ale papiéż mając Buonarottego pod ręką już go wypuścić nie chciał i nowe mu dał polecenia. Wtém Klemens umarł, a synowcowie Juliusza II odżywili o pomnik stryja proces.

Michał-Anioł zmuszony raz skończyć z nimi, przystał na uciążliwe dla siebie warunki, lecz następca Klemensa, Paweł III nie dał mu nawet czasu ich wykonania. Nową, ciężką, obarczając go pracą nie w artysty duchu, znów mu kazał być malarzem.

Wówczasto, gdy ucznie rzeźbiarza kończyli Juliusza pomnik, on sam zaczął ów sławny ostatecznego sądu obraz; dokonanie ozdób kaplicy Syxtyńskiéj, konkluzya na suficie rozpoczętéj epopei. Obraz ten kosztował dziewięć lat pracy, a w niektórych częściach daje się postrzegać pośpiech, gdyż to nie jest jeden ale raczéj jedenaście obrazów. Na tyle bowiem części artysta podzielił tę straszliwą ostatnią scenę naszę. Ogromna ściana od góry do dołu nią pokryta, zdaje się zrazu jednę tworzyć treść, lecz wpatrzywszy się, każdy jéj podział bardzo wyraźnie się odkreśla, żadnego ni oczom ni w myśli nie zostawując zamieszania.

Obraz ten niesłychanie wiele obudził uwielbień, więcéj może jeszcze krytyk. Artysta usiłował w nim, zdaje się, z największemi walczyć trudnościami. W przedmiocie już z siebie bardzo trudnym, przedstawił ludzi we wszel-

kich jakie sobie wyobrazić można pozycyach ciała i duszy; jednych przerażonych, drugich błagających; jednych powstających z grobu, drugich już osądzonych i do piekieł idących. W samym środku najwyższy sędzia—sędzia srogi, bardziéj do Jowisza piorunującego niż do Chrystusa podobny, wyroki swe ciska. Matka Najświętsza tuli się do niego, jakby sama przestraszona, gniéw syna zmiękczyć probowała. Przy nich apostołowie i święci męczennicy. Nad nimi wznoszą się aniołów chóry, a w dole obrazu przybłąkał się z mitologii stary *Charon*. Ten nie zbyt łagodnie podniesioném wiosłem, ze swéj łodzi pędzi skazanych do piekieł, gdzie król *Minos* ich przyjmuje, gdzie już piérwsze dają się spostrzegać płomienie i innych męczarni początek.

W nich nie jeden z nieprzyjaciół *Buonarottego* portret swój znalazł, jak w Boskiéj komedyi *Danta* jego przeciwnicy także się w piekle poznawali.

Myśl bowiem całego Michała-Anioła obrazu, Danta poematu jest odbiciem, i dlatego nie wolno nam go sądzić. Myśmy za późno przyszli, i za nadto do innego należymy świata, żeby w tych wieszczych pomysłach nic nie znaleźć sprzecznego z wyobrażeniami naszemi. Już my, mianowicie na Północy, z *Dantem* i *Buonarottim* (tam gdzie ten jest poniekąd piérwszego tłómaczem) się nie rozumiémy. Oni w wielu punktach nas rażą, a mybyśmy się im politowania jedynie godni wydali.

Ta zmiana, ta wyobrażeń różnica, daleko wreszcie mniéj we Włoszech postrzegać się dotąd jeszcze daje. Tam nie ma prawie kazania, bez najstraszliwszego obrazu zapalczywości Boskiéj i piekieł, najczęściéj z Danta lub jego naśladowców wziętych. W nich mitologiczne figury bardzo często używane bywają; i też zapewne to

spotkanie Chrystusa i matki jego z *Charonem* i *Minosem* jednemi objętych ramami, bardzo im się naturalném wydawać musi.

Po ostatecznym sądzie, Michał-Anioł otrzymał rozkaz malowania kaplicy Paulińskiéj. Paweł III od swego ją nazwawszy imienia, chciał z niéj rywalkę Syxtyńskiéj zrobić. Ale obrazy Buonarottego bynajmniéj temu nie odpowiedziały celowi. Mimo teraźniejszego ich od świéc okopcenia, w kompozycyi jak w exekucyi starość artysty przeczuwać się w nich daje. Mówią że dłótem tak już miał osłabioną prawą rękę, iż malował lewą; a wzrok jego najbardziéj ucierpiał przy Syxtyńskim suficie. Oczy tak były wówczas nawykły do patrzenia w górę, iż przez niejaki czas potém w dół ich spuścić nie mógł.

Kiedy tak powoli gasł malarz i rzeźbiarz, pozostał jeszcze architekt. Mianowany budowniczym śgo Piotra, gorliwie się nim zajął, i uwieńczył swe liczne i sławne dzieła, sławniejszą nad wszystkie kopułą. Lecz jego jest tylko jéj pomysł, wymiary i rysunek, podług których po zgonie mistrza, pod inną dyrekcyą wiernie wykonaną została. W tymże czasie dał także plan prześlicznéj świątyni, o któréj już mówiłam, śtéj Maryi Anielskiéj z Dyoklecyana termów przerobionéj.

Mimo to starość jego była coraz smutniejszą, humor coraz bardziéj cierpki i ponury. Razu jednego zwichnąwszy nogę, odmówił wszelkiego starania, zamknął się i chciał głodem skończyć. Musiano aż oknem wejść do niego, dla ratowania upartego starca. Często przez ciąg budowy śgo Piotra, wydalał się na czas jakiś do dzikich gór *Nettuna* i *Spoletto*, szukając tam samotności, bo już ludzi znieść nie mógł. Jedynego miewał wówczas towa-

rzysza, wiernego sługę, który go od lat 26 nie odstępował i któremu znaczną część majątku swego zapisał. Ale i ten jego wyprzedził, na jego skończył ręku; a tak *Buonarotti* nietylko swych współzawodników, jako i dobroczyńców swoich, wszystkie wieku sławy (między którymi ośmiu papieży) (*) ale nawet wszystkie swe przyjazne uczucia przeżył, pogrzebał, i wpośród tego cmentarza, śmierci się dopraszał.

List po zgonie *Urbana* (tego ukochanego sługi) do *Vasarego* pisany, najlepiéj maluje usposobienie osierociałéj téj, niegdyś potężnéj duszy.

„Kochany Jerzy!

„Trudno mi pisać, jednak odpowiedzieć ci sprobuję. Wiész że mój Urban umarł. Bóg mi go odbierając wielką dał naukę; ale jest to dla mnie strata ogromna, nieskończona boleść. Póki on żył, życie mi jeszcze znośne było; umierając, nauczył mię umierać; ja téż oczekuję śmierci, nie z obawą ale z upragnieniem, z rozkoszą."

Daléj jeszcze nad tą rozwodząc się stratą, temi kończy słowy.

„Biédny mój Urban umierając, nie miał innéj troski, jak tę że mię zostawia wpośród tego przewrotnego i nędznego świata! Ale już on zabrał z sobą większą część mego życia, a to co mi pozostaje samą jest i ogromną boleścią!

Polecam się twéj pamięci,
Michel-Agnolo Buonarotti."

Długą nakoniec trawiony gorączką, jak samotnie żył tak podobnież i skończył w Rzymie 17 lutego 1563 roku. Miał lat, bez dwóch tygodni, ośmdziesiąt dziewięć.

(*) Juliusz II, Leon X, Adryan VI, Klemens VII, Paweł III, Juliusz III, Marcelli II i Paweł IV.

Chciał sobie na grób zrobić posąg Matki Boskiéj, lecz go nie dokończył. Testament w kilku napisał słowach:
— „Ofiaruję duszę moję Bogu, ciało ziemi, a majątek najbliższym krewnym."

Nie było zapewne człowieka mniéj do miłośnych pochopnego uczuć jak Buonarotti. Wszystkie jego tak obrazy jak rzeźby tego dowodem. Nigdzie w nich nie ujrzysz tego wdzięku niewieściego; nic, coby zdradzać mogło jego w duszy uczucie. Przypisują mu jednak kochankę; lecz ta, daleko bardziéj mym oczom, na przyjaciółkę tylko wygląda.

W początku XVIgo wieku, za Medycejskich czasów, pełno było we Włoszech uczonych kobiét i literackich salonów. Wpośród nich celowała piękna Wiktorya *Colonna*, małżonka margrabi *Peschiera*, któréj portret możesz w galeryi pałacu *Colonna* w Rzymie zobaczyć. Nietylko swemi poezyami, ale, co rzadzéj wówczas bywało, dobremi odznaczała się obyczajami. Po śmierci męża, poległego pod Pawią, już sama niebardzo młoda, zaprzyjaźniła się z *Buonarottim* także już niemłodym. Ona mieszkała w Neapolu, późniéj w Viterbie, a on w Rzymie. Pisywali do siebie najczulsze listy, sonety, poezye. W nich potomność upatrzyła miłości oznaki, miłości całkiem platonicznéj; mnie się zaś to wydaje, czuła wyższych dusz przyjaźń, kilku ich estetycznemi oświetlona promieniami.

Jakkolwiek bądź, co do mnie, wolałabym ją była do Rafaela przenieść wspomnień; a jeśli dla dokompletowania już i tak, zda mi się, kompletnego Buonarottego życia, potrzeba było koniecznie miłości, wolałabym mu wzamian otyłą *Fornarynę* oddać.

Synowiec artysty Leonard *Buonarotti*, dowiedziawszy się o śmierci stryja, przybiegł do Rzymu i tajemnie ciało jego do Florencyi uwiózł. Tam mu sprawiono wspaniały pogrzeb, do którego wszyscy na wyścigi artyści należeć pragnęli. Katafalk był rozlicznemi rąk ich kunsztownemi wzbogacony ozdobami.

Świetne te zwłoki u śgo Krzyża teraz spoczywają, pod pomnikiem, gdzie trzy statuy oznaczać mają trzy główne Michała-Anioła sztuki: rysunek, rzeźbę i architekturę. Lecz te posągi, dość każdy zosobna piękny, każdy z innego dłóta, z innéj nawet szkoły, nie mają żadnéj wspólności; zdają się raczéj gniewać między sobą, niż jednę tworzyć rodzinę.

Buonarotti i w tém z Rafaelem sprzecznością się odznaczał, iż gdy ten w krótkiéj swéj karyerze dotąd szacowaną po sobie zostawił szkołę, licznych i kochających go uczniów; tamten mimo długiego życia i gienialnego talentu, ani szkoły, ani nawet jednego nie zostawił ucznia, któryby, jak Rafaelowi, grobowy zrobił mu posąg.

O PRZEDSIĘWZIĘCIU
ŻEGLUGI PAROWÉJ NA WIŚLE.

PRZEZ

Feliza Miaskowskiego.

Od dawnego już czasu, zaprowadzenie żeglugi parowéj na Wiśle było celem usiłowań rządu i przedmiotem życzeń wszelkiego stanu mieszkańców.

Rząd nie szczędził dotąd znakomitych nakładów i kilka już statków parowych zakupił. Piérwszy statek parowy, jeszcze w roku 1829, kiedy budowa statków mało była udoskonalona, sprowadzony został na Wisłę nakładem K. L. Wolickiego (*). Był on drewniany, atoli dla zbytniego zagłębiania się swojego w wodzie, do żadnego nie mógł posłużyć użytku. Takiż sam los spotkał dwa statki parowe żelazne za pośrednictwem P. Steinkeller dla Banku sprowadzone, które jednak, jeszcze do stanu Wisły nie były zastosowane; bowiem, statek mniejszy, o sile 24 koni, zanurzał się cali 40, statek zaś większy o sile 40 koni, cali 44; kiedy wiadomo, iż są miejsca w korycie Wisły, zwłaszcza na przestrzeni

(*) W tymże czasie p. K. L. Wolicki sprowadził nakładem swoim statek parowy drugi, o sile 50 koni do Gdańska, którego przeznaczeniem było, wprowadzać okręta z portu do miasta i który w święta woził Gdańszczan do wyspy Heli.

od Warszawy do ujścia Narwi, dla żeglugi najtrudniejszéj, których głębokość zwyczajna, 22 cali nie przenosi. Do czynionych usiłowań zaprowadzenia żeglugi parowéj na Wiśle, policzyć także należy statek parowy o sile 6 koni, budowy b. mechanika arsenału Warszawskiego p. Smirnów, oraz statek podobny pomysłu hr. Maurycego Kossowskiego, które, jakkolwiek nie powiodły się, świadczą zawsze o chwalebnych przedsiębierców zamiarach, i utorowały drogę do dalszych postępów.

Ażeby więc utrzymać ciągłą żeglugę parową na Wiśle, trzeba statków, niezanurzających się głębiéj z ładunkiem, nad cali 18^{ście}, tojest o 4 cale mniéj od najniższego stanu wody; gdyż, ażeby statek mógł bez oporu, wygodnie, z odpowiednią pływać szybkością, trzeba miéć pod statkiem, jeszcze kolumnę wody, przynajmniéj cztérocalową.

Rozwiązanie zatém zadania żeglugi parowéj na Wiśle, zależy jedynie od możności zaopatrzenia się w statki parowe, obok odpowiedniéj siły i szybkości, warunek 18^{sto} calowego zagłębiania się z ładunkiem spełniające.

Statki takie, od pewnego czasu, budowane są za granicą; ze wszystkich jednak zakładów budowy statków parowych płaskich Belgii, Francyi i Anglii (bo tylko w tych trzech krajach, statki takie dotychczas z powodzeniem budowano), największe zyskał sobie wzięcie, zakład panów *Guibert et Gâche* w Nantes we Francyi; naprzód, pod kierunkiem p. *Guibert* ojca, następnie pod firmą jego synów, a teraz pod firmą *Guibert et Gâche* w Nantes prowadzony. Właściwie, są to dwa zakłady, z których zakład *Guibert* wyrabia statki parowe większych wymiarów na morze, t. j. dla marynarki; zakład zaś *Gâche*, buduje statki płaskie na rzéki.

Ten ostatni zakład, do takiéj doskonałości posunął budowę statków parowych żelaznych płaskich, że pobudował statki tak zwane passażerskie, na Sekwanę i Loarę, o sile 20 koni, które tylko 10 cali zagłębiają się w wodzie, i dochodzą, pomimo licznych mielizn większych jak na Wiśle, aż do źródeł Loary.

Wynagradzając te usiłowania rząd Francuzki, w których największą zaletę miał mechanik *Gâche*, budujący swojego pomysłu machiny parowe nadzwyczaj silne a lekkie, obdarzył p. *Gâche* przywilejem wyłącznéj budowy takich machin, na lat 10. Przywiléj ten, czyli patent swobody, wyszedł już w roku bieżącym. Takiż sam patent swobody na tenże sam wynalazek, otrzymał p. *Gâche* w państwie Austryackiém.

Tenże sam p. *Gâche*, starający się o upowszechnienie swoich statków w całéj Europie, a zwłaszcza w krajach, gdzie dotąd żegluga parowa po rzekach, największe przedstawiała trudności, przysłał do Polski jednego ze wspólników swoich, pana Edwarda *Guibert*, inżyniera-mechanika, który, poprzednio prowadząc zakład budowy statków płaskich na swój własny rachunek, wybudował kilkanaście odznaczających się statków parowych płaskich, i znacznie do udoskonalenia téj gałęzi przemysłu się przyczynił. Nie można więc było zrobić trafniejszego wyboru.

Pan *Guibert* przybył tu w początkach r. b. w celu przekonania się, czyli rzeczywiście żegluga parowa na Wiśle zaprowadzoną być nie może, i dla zbadania przyczyn, temu na przeszkodzie stojących. Wsiadłszy w łódkę rybacką, pan *Guibert* zwiedził sam koryto Wisły w kilkunasto milowéj przestrzeni, zwłaszcza miejsca, przez znawców za najtrudniejsze do przebycia wskaza-

ne, i wrócił z tém ugruntowaném przekonaniem, że Wisła, nietylko żadnych przeszkód żegludze parowéj nie stawia, ale owszem, sposobniejszą jest do przyjęcia żeglugi parowéj, aniżeli Sekwana, Loara, Saona, Marna, Nekar i wiele innych rzék we Francyi i w Niemczech, na których statki budowy p. *Gâche* z powodzeniem pływają.

Tém przekonaniem powodowany p. *Guibert*, zgłosił się do rządu królestwa Polskiego, z oświadczeniem zamiaru zaprowadzenia na Wiśle żeglugi parowéj, byleby tylko, przynajmniéj na lat 10, od współubiegania się innych przedsiębierców, mógł być ubezpieczonym.

Rząd Królestwa, który, jak rzekliśmy, oceniając korzyści, jakie z zaprowadzenia żeglugi parowéj na Wiśle, na kraj spłynąć powinny, oddawna usiłował zbogacić kraj tym nowym najdzielniejszym środkiem kommunikacyi, najsilniejszy wpływ na postęp rolnictwa, przemysłu i handlu, tych jedynych źródeł bogactwa krajowego, wywrzéć mającym; ze skwapliwością przyjął propozycyą p. *Guibert*, a przekonawszy się ze złożonych przez niego urzędowych dowodów, że tenże jest w stanie przyprowadzić do skutku to wielkie przedsięwzięcie, i że wszelkie do tego daje rękojmie, udzielił mu przywiléj 10^{letni} na żeglugę parową na Wiśle i wpadających do niéj rzékach spławnych, przywiléj, który świeżo urzędownie ogłoszony w pismach (*) czytaliśmy; a który za-

(*) Przywiléj ten brzmi jak następuje:

W Imieniu Najjaśniejszego

MIKOŁAJA Igo

Cesarza Wszech Rossyi, Króla Polskiego, &c. &c. &c.

Rada Administracyjna Królestwa.

W skutku protokólarnéj deklaracyi p. Edwarda Guibert, inżyniera-mechanika, w d. 7 (19) czerwca 1846 roku w biórze Kommis-

powiadając rychłe u nas żeglugi parowéj ustalenie, powszechne wzbudził zadowolenie.

syi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych złożonéj, w przedmiocie udzielenia mu wyłącznego przywileju na zaprowadzenie i utrzymywanie żeglugi parowéj na rzékach spławnych Królestwa, a mianowicie: na Wiśle, Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy, Rada Administracyjna Królestwa, mając na względzie korzyści, jakie z przedsiębierstwa tego kraj, a w szczególności handel i rolnictwo osięgnąć mogą, na przełożenie Kommisyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych, postanowiła i stanowi:

Artykuł 1. Udziela się niniejszém p. Edwardowi Guibert, inżynierowi-mechanikowi, przywiléj wyłączności na zaprowadzenie i utrzymywanie żeglugi parowéj na Wiśle, i na rzékach w nią wpadających, jakoto: na Narwi, Bugu, Wieprzu i Pilicy, a to tak do przewozu passażerów, jako téż do holowania statków.

Art. 2. Przywiléj takowy służy uzyskującemu na lat dziesięć, licząc od daty niniejszego postanowienia.

Art. 3. Przywiléj ten nie będzie przeszkadzał Rządowi w zaprowadzeniu, na wymienionych wyżéj rzékach, własnych statków parowych, wyłącznie na własną potrzebę.

Art. 4. Paropływy pod żadnym pozorem nie będą ścieśniać kursowania innych statków, pozostawiając handlującym i właścicielom statków zupełną wolność żeglowania na rzékach, niniejszym przywilejem objętych, w sposób, jaki dla siebie za najkorzystniejszy uznają, tojest, bądź za pośrednictwem żagli, linki lub wiosel, bądź za użyciem wszelkich innych sposobów, wyjąwszy statków parowych.

Art. 5. Uzyskujący przywiléj obowiązuje się urządzić takie paropływy, które mogłyby odbywać żeglugę do Brześcia Litewskiego.

Art. 6. Zaprowadzając holunek za pośrednictwem paropływów, służyć będzie uzyskującemu przywiléj, prawo obierania miejsc najdogodniejszych do zakładania przystani i urządzania embarkaderów trwałych i wygodnych, a to za wiadomością i zezwoleniem Zarządu Kommunikacyj lądowych i wodnych: przy regulacyi zaś koryta rzék, mocen będzie uprzątać zawały, rafy, nasypy piasku i inne przeszkody, bieg statków parowych tamujące. Samo zaś przez się rozumie się, iż to się nie tyczy młynów i innych zakładów, na rzékach urządzonych. Granicę każdego portu i stacyi p. Guibert, oznaczy Policya spławu; a w obręb téj granicy, żaden statek, prócz należących do p. Guiberta, stawać ani zawijać nie może, bez jego zezwolenia.

I rzeczywiście, nic dla nas, nad żeglugę parową na Wiśle, pożądańszego. Wisła jest dla nas ową wielką drogą handlową, którą nas Opatrzność w swéj szczodrobliwości bezpłatnie obdarzyła, a z któréj dotąd korzystać nie umieliśmy. Ażeby tę ważność dla nas Wisły lepiéj wyjaśnić, przypomnijmy sobie, że podstawą naszego bogactwa, naszego dochodu, są płody rolnicze, które w znacznéj ilości u nas produkujemy, i których przewyżkę, od spożycia wewnętrznego pozostającą, za granicę sprzedać potrzebujemy, zwłaszcza w czasach, gdzie ta operacya z korzyścią dla nas uskutecznioną być może.

Droga lądowa zbyt jest kosztowna, ażeby nią zboża nasze, na handel za granicę przeznaczone, przesyłać. Je-

Art. 7. Gdy przeznaczeniem paropływów jest utrzymanie regularnéj żeglugi, przeto służyć im będzie prawo wyprzedzania wszelkich innych statków i tratew. Dlatego też statki i tratwy, któreby w razie nizkiego stanu wody, z jakich bądź powodów, osiadły na przesmyku, mianowicie w znaczniejszych zakrętach rzék, i z téj przyczyny bieg statków parowych utrudzały, obowiązane są, za zbliżaniem się paropływów, otworzyć tymże drogę przejścia; a gdyby tego własnemi środkami uskutecznić nie mogły, właściciel paropływów mocen będzie użyć siły statków swoich, celem uprzątnienia przeszkód.

Art. 8. Statki parowe, idąc tak w górę, jako też na dół, trzymać się powinny zawsze prawéj strony, o ile temu wszakże przesmyki i mielizny przeszkadać nie będą.

Art. 9. Nim będą wydane szczegółowe przepisy, co do żeglugi parowemi statkami, paropływy w przystaniach i punktach zbiorowych, mają stawać w oddaleniu od innych statków, nie mogą szykować się z niemi w jednym rzędzie, jak to powiedziano w artykule 6ym, lecz winny się zatrzymać podług wskazań Policyi Spławnéj, ażeby statków żaglowych i pociągowych nie narażały na ścieśnienie lub wypadki ognia.

Art. 10. Gdyby uzyskujący przywiléj, zamierzył kotły nierozsadzalne, jakich na paropływach swych używać będzie, zastąpić kotłami wysokiego ciśnienia, w takim razie podda się przepisom ostrożności, jakie w téj mierze rząd mu wskaże.

dnę tylko mamy Wisłę. Lecz ileż razy dla braku żeglugi parowéj, pomimo najkorzystniejszych, sprzyjających okoliczności, zamiast pewnych wyrachować się dających korzyści, straty na zbożu ponosiliśmy? Ażeby zyskać na przedsięwziętéj operacyi zbożowéj przez Gdańsk za granicę, trzeba być pewnym dostarczyć zboże na czas zamierzony. Ceny bowiem nie są długo trwałe i trzeba umieć z ich krótkiego trwania korzystać. Kiedy więc dowiémy się o podskoczeniu cen w Anglii, wysyłamy tam ładowne zbożem galary i berlinki; lecz cóż z tego, kiedy te, kilka tygodni a czasem i kilka miesięcy płynąć muszą, zanim staną w miejscu swego przeznaczenia w Gdańsku, i zwykle wtenczas tam zawijają, kiedy ceny się

Art. 11. Na przypadek uszkodzenia przez paroptywy innych statków, zarządzone będzie śledztwo, z którego jeśli się okaże, że uszkodzenie to nastąpiło z powodu samych paroptywów, właściciel obowiązany będzie do wynadgrodzenia poszkodowanych. I naodwrót: gdyby się ze śledztwa pokazało, że z winy innych statków lub tratew, paroptywy lub ich machiny doznały szkody, właściciel paroptywów będzie miał prawo poszukiwania takowych szkód, na właścicielach statków lub tratew, które uszkodzenie zrządziły.

Art. 12. Gdyby uzyskujący niniejszy przywiléj, w przeciągu trzech lat po sobie idących, licząc od daty przywileju, nie zaprowadził na rzékach, w przywileju wymienionych, przynajmniéj dwóch paroptywów z odpowiednią liczbą gabarów, czyli statków ładownych i tych w ciągłym ruchu nie utrzymywał, przywiléj ten za upadły uważany będzie.

Art. 13. Wykonanie niniejszego postanowienia, które w Dzienniku Praw umieszczone być ma, Rada Administracyjna Królestwa Kommissyom Rządowym Spraw Wewnętrznych i Duchownych oraz Sprawiedliwości, w czém do któréj należy, poleca.

Działo się w Warszawie, dnia 23 sierpnia (4 września), 1846 r.
Namiestnik Generał-Feldmarszałek (podpis). XIĄŻĘ WARSZAWSKI.

Dyrektor Główny, Prezydujący w Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych.
Radca Tajny, Senator (podp.) *A. Storożenko.*
Sekretarz Stanu, Radca Stanu (podpis.) *T. Le Brun.*

zmieniły; a tak, zamiast spodziewanego zysku, straty nam przynoszą. Trudność ta dostawienia zboża naszego na czas potrzebny, sprawia, że żadnych operacyj na większą skalę przedsiębrać nie możemy, że niepodobna nam podjąć się znaczniejszéj dostawy na czas oznaczony; bo któż nam zaręczy za stan wody na Wiśle? i któżby takie ryzyko chciał brać na siebie?

Zaprowadzenie żeglugi parowéj zmieni ten stan rzeczy. Statek parowy niepotrzebujący jak 18 cali głębokości, w czasach nawet największéj posuchy, znajdzie dostateczną w korycie Wisły głębokość, i zawinąć może z Warszawy do Gdańska we 24 godzin, a przy największych przeszkodach, w 5 dni najdaléj. Ta pewność dostawy i szybkość żeglugi, zmieni zupełnie postać handlu zbożowego u nas, i z najniekorzystniejszego, z plagi, że tak powiémy, rolnictwa i spekulacyi, zrobi źródło największych zysków, zwłaszcza teraz, kiedy porty Anglii stoją dla nas otworem. Nigdy zaprowadzenie żeglugi parowéj, pożądańszém być nie mogło. Będzie to więc dobrodziejstwo nad dobrodziejstwy. Ustalenie handlu zbożowego, podniesie u nas rolnictwo, dotąd w stosunku do innych krajów, na nader nizkim znajdujące się stopniu; a za podniesieniem się rolnictwa, pójdzie odpowiednie podniesienie się przemysłu i handlu (*).

Rolnictwo jest u nas podstawą wszystkiego. Przemysł i handel kwitnąć nie mogą, gdzie nie kwitnie rolnictwo. Cóż u nas stanowi massę narodu?—rolnicy; ażeby więc

(*) W tém miejscu dodać należy, iż wiele także strat na zbożu ztąd wynika, że zboże w pewnéj tylko porze, kiedy stan wody na Wiśle tego dozwala, przybywać może do Gdańska. Wówczas ta wielka massa zboża, która razem prawie jednocześnie przybywa, zniża ceny zboża, a podraża—fracht do Anglii,—najem magazynów i koszt najemnika do przeróbki zboża.

rolnicy kupowali, trzeba ażeby sami mieli za co kupić; polepszenie więc ich bytu, jest piérwszą kraju potrzebą, a ustalenie żeglugi parowéj na Wiśle, do tego najsilniéj się przyczyni.

O ile handel zbożowy zyska, pojmiemy to jeszcze lepiéj, zważając, że w dzisiejszym stanie żeglugi na Wiśle, kiedy zajdzie potrzebowanie zboża w Anglii, prędzéj nadejdą tam transporta z Kanady i z Australii, aniżeli z naszéj Wisły. Przy zaprowadzeniu zaś żeglugi parowéj na Wiśle, ten stan rzeczy zupełnie się na naszę korzyść odmieni, i my ze zbożem naszém, najpiérwsi w Anglii będziemy. To co powiedzieliśmy o zbożu, stosuje się także do drzewa, lnu, wełny, cynku, skór i innych artykułów wywozowych (*).

Lecz nietylko handel wywozowy skorzysta na zaprowadzeniu u nas żeglugi parowéj. Skorzysta na tém również handel nasz przywozowy, będziemy mieli większą ilość towarów kolonialnych i będziemy je mieli taniéj; bo łatwość transportu sprowadzi współubieganie się, którego skutkiem zawsze jest cen zniżenie.

Spodziewamy się, żeśmy dosyć ważność żeglugi parowéj uczuć dali, i przysposobili tym sposobem umysły, do ocenienia usługi, jaką p. *Guibert*, wsparty łaską rządu, krajowi wyświadczyć zamierza.

Ta ważność rzeczy, spowodowała Redakcyą Biblioteki Warszawskiéj, iż zamierzyła bliższą powziąć wiadomość, tak o samych pp. *Guibert* i *Gâche*, jako téż o ich zakła-

(*) Do korzyści żeglugi parowéj dla rolnictwa, dodać także należy, że ustanie potrzeba budowy galarów, które są zgubą naszych lasów. Zwyczajny galar kosztuje około 180 rubli, a po odstawieniu zboża do Gdańska, musi być sprzedany za 30 a najdroższéj 40 rubli. O ileż przeto transport drożéj wypada? a cóż dopiéro mówić o stratach ładunku na galarach.

dach, o statkach przez nich dotąd budowanych, o wymiarach i przymiotach tych statków; o towarzystwach żeglugi parowéj, przez pp. *Guibert* i *Gâche* we Francyi i w Niemczech zawiązanych; o sposobie, w jakim ci przedsiębiercy, żeglugę parową u nas na Wiśle zaprowadzić i urządzić zamierzają; nakoniec o widokach, jakie to przedsięwzięcie, pod względem spekulacyi przedstawia.

Dopiąwszy tego zamiaru, i mając te wiadomości z wiarogodnego źródła sobie dostarczone, uznała Redakcya swym obowiązkiem, udzielić ich swoim czytelnikom, celem bliższego ich obznajmienia z przedsięwzięciem, które zbyt jest wielkiém, ażeby p. *Guibert* chciał je własnemi wykonać kapitałami. Jeżeli zaś przedsięwzięcie to, potrzebować będzie pomocy obcych kapitałów; słuszném jest, ażeby do wzięcia w niém udziału, przedewszystkiém powołani zostali krajowcy, którzy tym chętniéj zapewne przyjdą mu w pomoc, im mocniéj czuć będą, przedsięwzięcia tego wszechstronne korzyści.

Budowę statków parowych płaskich we Francyi, rozpoczął w roku 1821 pan *Ludwik Guibert* ojciec, którego warsztaty w Nantes, wystawiły do roku 1830, kilkanaście statków parowych płaskich, wszystkie na Sekwanę i Loarę od 20 do 50 siły koni, dotychczas na tych rzékach z powodzeniem pływające.

Pan *Guibert* ojciec, inżynier marynarki, słynął już dawniéj z budowy okrętów zwyczajnych, za nim idąc syn za postępem czasu, powziął myśl przysłużenia się krajowi, w tym nowym budowy statków parowych zawodzie. W tych to warsztatach p. *Guibert* ojca, wykształcili się jego synowie i sławny *Gâche*, wszyscy przedsiębiercy budowy statków parowych. P. *Guibert* ojciec, obciążony

wiekiem, usunął się w r. 1830 od interesów, i dalsze prowadzenie dzieła swego, synom pozostawił.

Z tych, p. *Edward Guibert*, (obecnie w Warszawie bawiący), przeznaczony został do kierowania pomocniczym warsztatem budowy statków parowych płaskich założonym w Paryżu, w którym kilkanaście wybudowano statków od r. 1830 do r. 1840, a między innemi: statki *Duc de Nemours*, *Le Concurrent* i *l'Abeille*, dla towarzystwa żeglugi parowéj na Saonie, oraz dwa statki parowe, *Aigles* zwane, o sile 30 koni każdy; zagłębiające się, jeden 13, drugi 14 cali, obadwa przez rząd Francuzki, dla zaprowadzenia z ich pomocą *tam* ruchomych na rzece Yonne, nabyte.

Takież warsztaty pomocnicze założyli bracia *Guibert* w Châlons i w Lyonie, w którémto ostatniém mieście, wybudowali głośne z swéj lekkości i szybkości statki parowe *Hirondelles* zwane, na Saonę i Rodan.

Wszystkie te warsztaty zawisłe były od głównego zakładu braci *Guibert* w Nantes istniejącego, który je zasilał ludźmi, materyałami i kapitałem.

Machiny atoli do tych różnych statków, aż do r. 1834 sprowadzane były z Anglii od pp. *Fawcet* i *Preston* z Liwerpolu, od pp. *Baines* i *Miller* z Londynu i od pp. *Jackson* i *Murray* z Leeds. Dopiéro w roku 1834, pp. *Guibert*, doznając trudności w sprowadzaniu machin z Anglii, zaczęli probować machin, budowy p. *Gâche*, dotychczas u nich w obowiązkach mechanika zostającego. Te piérwsze próby tak się powiodły, machiny budowy p. *Gâche* tak dalece się udały, że pp. *Guibert*, zaprzestali zupełnie sprowadzania machin zagranicznych.

Statki wybudowane przez pp. *Guibert* i *Gâche*, są następujące:

a) W *Paryżu*: Le Colibri, l'Intrépide, Le Télégraphe, l'Estafette, le Mercure, le Cygne i kilka innych.

b) W *Chalons nad Saoną*; Le Luxor, L' Ibrahim, La Lyonnaise, la Chalonnaise.

c) W *Nantes*; L' hirondelle, La Renommée, La Sylphide, La ville de Rouen, La Duchesse d'Orleans, Le Prince de Joinville, La Marne, la Champagne.

Panowie *Guibert* nie mogąc nadążyć obstalunkom, zwłaszcza dla marynarki nadchodzącym, postanowili podzielić zakłady swoje, na warsztaty dla marynarki i na warsztaty dla żeglugi rzécznéj.

Piérwsze zatrzymali dla siebie, drugie ustąpili p. *Gâche*, który w budowie machin parowych do statków płaskich, nadzwyczaj się odznaczył.

Pan *Gâche*, stawszy się właścicielem zakładu budowy statków parowych płaskich, powiększył znacznie te zakłady, i tak dalece udoskonalił budowę, iż wielkie zjednał sobie wzięcie nietylko we Francyi, ale i za granicą.

Towarzystwa żeglugi parowéj: Mozelli, Nekary, wyższéj i niższéj Loary, Allier, Wezery, wyższego Renu, powierzyły mu budowę swoich statków, które przeniosły nawet wszelkie tychże towarzystw oczekiwania.

Między innemi, czytaliśmy urzędowe świadectwo, przez towarzystwo żeglugi parowéj na Nekarze wydane z roku 1842, w którém dyrekcya towarzystwa zaświadcza, że statki p. *Gâche*, dla żeglugi pomiędzy Heilbronn a Heidelbergiem przeznaczone, tak są zbudowane, tak mało zagłębiają się i tak lekkie mają ruchy, iż odbyły bez najmniejszéj przerwy, regularną żeglugę w lecie 1841 roku, który był rokiem największéj posuchy, wtenczas, kiedy statki parowe na innych rzékach, dale-

ko głębszych od Nekary, jakoto: na Menie, Elbie i wyższym Dunaju, ciągłych przerw doznawały. Ten więc rok był rokiem próby, który najlepiéj wykrył całą gruntowność i moc budowy statków p. *Gâche*; gdyż ani jeden statek, jak poświadcza taż sama dyrekcya, pomimo nadzwyczaj nizkiego stanu wody, a ztąd nader mozolnéj żeglugi, żadnemu nie uległ uszkodzeniu.

Dyrekcya przeto uznała sobie za obowiązek podać to do powszechnéj wiadomości, i ten jéj wniosek, na publiczném posiedzeniu akcyonaryuszów przyjęty został.

Podobne pochwały i oddaną p. *Gâche* sprawiedliwość, wyczytujemy w świadectwach innych towarzystw żeglugi parowéj, którym p. *Gâche* statków dostarczył, jakoto: wyższéj i niższéj Loary, Mozelli, Allier, Rodanu i t. d. Z tych, zacytujemy jeszcze wyjątek ze świadectwa kompanii Mozelli z d. 24 maja r. b., w którym dyrekcya tego towarzystwa poświadcza, iż ostatni dostawiony jéj statek parowy l'Inexplosible n. 25, po odbytéj próbie w Koblencyi na Renie, okazał, iż zanurza się tylko 12 cali (Reńskich) bez ładunku, a 14 cali z ładunkiem; oświadcza daléj dyrekcya, iż statek ten od trzech miesięcy jest w ciągłym biegu, i jego zagłębianie się okazuje się jeszcze mniejsze, aniżeli przy próbach stwierdzono. Słowem, wszystkie świadectwa, które nam były okazywane, zgadzają się na to, że p. *Gâche* rozwiązał zadanie żeglugi parowéj w czasie najniższego stanu wód, co poprzednio nikomu się nie udało; gdyż statki innéj budowy w czasie nizkich wód, zwykle biegu swego zaprzestawały; że szybkość statków przenosi 8,000 metrów (czyli 13,888 łokci, około milę Polską) na godzinę przeciw wodzie, a 16,000 metrów (czyli 2 mile) z wodą z ła-

dunkiem (*); że bardzo łatwe są do sterowania; że nader mało spożywają węgla, bo tylko 4 kilog. czyli 10 funtów, (na siłę 1 konia) na godzinę; i że tak mocno są budowane, iż wytrzymują najsilniejsze uderzenia, które zniszczyłyby każdy inny statek, mniéj silnéj budowy.

Nie możemy także pominąć wydanego p. *Gâche* świadectwa, przez pana *Lemierre* naczelnego inżyniera Zarządu dróg i mostów we Francyi, w którym tenże oświadcza między innemi, że najtrudniéj dotąd było w czasach wielkiéj posuchy, wytknąć nurt rzéki za pomocą wiech, kierunek nurtu wskazujących, a dozwalających omijać mielizny; bez tego bowiem, żegluga na Loarze, byłaby niepodobną, a statki wszelkie, narażone jeżeli nie na rozbicie się, to przynajmniéj na osiadanie na piaskach.

Aż do r. 1840, operacya ta *bâlisage* zwana, z dokładnością uskutecznioną być nie mogła. Dopiéro, kiedy p. *Gâche* zaprowadził na Loarze żeglugę parową, statkami swemi *Inexplosibles* zwanemi, wówczas ta, dotąd niepodobna operacya, dała się uskutecznić w ten sposób, iż co dzień nawet, za każdą zmianą nurtu (bo Loara również jak Wisła, dno ma ruchome i nurt swój ciągle zmienia), można było przekonać się o nastąpionéj zmianie, i nowy jego oznaczyć kierunek. Okoliczność ta najlepiéj dowodzi nader małego zagłębiania się statków p. *Gâche*, bo to, co dotąd nawet *łódkami* uskutecznić się nie dało, uskutecznioném zostało statkami parowemi.

Zakończymy tę wiadomość o statkach p. *Gâche*, opisem jednego z ostatnich świéżo wystawionego, wyjętym z dziennika *L'Ouest* w Nantes wychodzącego, daty 17 czerwca r. b. N. 87 „*Le Dragon* (tak się nazywa statek,

(*) Mila 14,816 łokci.

który opisać zamierzamy), ma 42 metrów długości (73 łokci) 3 m. 44 cent. szerokości (6 łokci); zanurza się 34 centymetrów (14 cali Pol.). Zewnętrzny kształt statku jest nadzwyczaj wykwintny, urządzenie wewnętrzne obszerne i wygodne. Pokoje tylne i przednie wysokie, dla powietrza dostępne, umeblowane z przepychem. Pokład na całéj swéj długości dla podróżnych wolny.

Machiny parowe o sile 50 koni, o cylindrach wiérzchołkowych stałych, bezpośrednio z sobą połączonych i w taki sposób, iż wzajemnie sobie pomagają i poruszają jednę tylko pompę powietrzną, zasilającą wspólnego obu machinom kondensatora. Machiny te są bez osobnéj osady, bo wały ich kommunikacyjne, spoczywają na gzymsach, a raczéj kantach ścian, czyli korpusu statku, i to właściwie stanowi nadzwyczajne tych machin uprostnienie.

Para, działając w $^1/_{10}$ biegu tłoków przez rozszerzalność, sprawia, że statek nie doznaje żadnego drgania od biegu machin.

Kocioł jest z samych rur złożony, o płomieniu powrotowym: prężenie pary, według manometru, nie przechodzi $^1/_3$ ciśnienia atmosfery. Kocioł jakkolwiek mocny, jest zarazem nader lekki, i nie zużywa przez 12 godzin biegu, więcéj nad 4 kilogramy (10 funtów) węgla na godzinę, na siłę jednego konia.

Ciężar całéj machiny nie przenosi 16,500 kilg. (433 $^1/_2$ cetn.) czyli 350 kilo. (867 funt.) na siłę jednego konia. Trzeba widziéć i samemu się przekonać, aby temu uwierzyć. W témto połączeniu lekkości z mocą, leżą największe p. *Gâche* zalety i zasługi.

Dodajmy do tego, że *Dragon* zagłębiający się tylko jak rzekliśmy 34 cent., czyli cali 14, przebiega z łatwo-

ścią 14,400 metrów na godzinę (33,678 łokci), licząc na stojącą wodę, a pojmiemy, ile razem różnorodnych trudności p. *Gâche* pokonać musiał, i podziwiać będziemy harmonią całości, stanowiącą największy tryumf gieniuszu mechanika, nad martwą materyą."

Na opis ten, tém większą zwracamy uwagę naszych czytelników, że piérwszy statek parowy dla nas, który o ile nam wiadomo, już jest w warsztatach p. *Gâche* na ukończeniu, zupełnie na wzór statku *Dragon* jest budowany, z małemi tylko odmianami, do natury Wisły przez pana *Guibert* rozpoznanéj, zastosowanemi.

Po takiém wyjaśnieniu, niegodziłoby się nawet wątpić, iż skutkiem przywileju przez rząd p. *Guibert* nadanego, wkrótce, bo z przyszłą już wiosną, żeglugę parową posiadać będziemy, i że ta ziści nakoniec wszystkie nasze oczekiwania.

Zobaczmy teraz, o ile to przedsięwzięcie, jako przedmiot spekulacyi, korzystném być może.

Według wykazów statystycznych, ruch naszego handlu wywozowego Wisłą, nigdy nie był mniejszy, zredukowany na wagę, nad 4 milionów cetnarów, rocznie z przecięcia. Gdyby ta cała ilość miała być przewiezioną statkami parowemi, potrzebaby naówczas, statków o sile 50 koni, mogących ciągnąć na raz 8,000 cetnarów odbywających podróż do Gdańska najdłużéj w 10 dniach tam i napowrót, i chodzących przez 7 miesięcy w roku, sztuk 24.

Pozostawiając więc $^3/_4$ tego ładunku dla dotychczasowych berlinek, łodzi żaglowych, galarów, i wszelkiego innego rodzaju statków, których niepodobna odrazu od żeglugi odsunąć, a nawet to nie byłoby do życzenia; (bo wszelkie gwałtowne zmiany, dotkliwych strat tylko sta-

ją się przyczyną, i dlatego, podstawienie żeglugi parowéj w miejsce dotychczasowéj wiosłowéj lub żaglowéj, zwolna, stopniowo, bez wstrząśnienia uskutecznioném być powinno), pozostanie dla żeglugi parowéj na początek, do przewiezienia 1 milion cetnarów.

Obliczmy przybliżonym sposobem, jakiegoto wymagać będzie kapitału i jakie wydać może rezultata.

Z tego co wyżéj powiedzieliśmy, wypływa: że na przewiezienie 1 miliona cetnarów towaru wszelkiego rodzaju, potrzeba statków parowych o sile 50 koni, odbywających przez 7 miesięcy w roku po jednéj podróży do Gdańska tam i na powrót co dni 10, sztuk sześć.

Potrzebny na to *kapitał nakładowy* będzie następujący:

6 statków parowych o sile 50 koni, z kosztami sprowadzenia na Wisłę, po franków 120,000 czyli po złotych 200,000..... ..... zł. 1,200,000.

Do każdego statku, cztéry gabary czyli statki płaskie żelazne i piąty zapasowy, czyli po pięć do każdego, razem statków płaskich żelaznych 30, każdy po 20,000 fr. czyli po zł. 33,333 gr. 10, razem..... zł. 1,000,000.

Urządzenie przystań, magazynu, zaprowadzenie służby i wszelkie przedwstępne koszta..... zł. 300,000.

Razem zł. 2,500,000.

czyli rubli sreb. 375,000.

Obliczmy teraz *kapitał obrotowy*:

1. Procent od kapitału zakładowego, jako od przedsięwzięcia handlowo-przemysłowego po 6% zł. 150,000.

2. 10% na zużycie czyli na odnowienie całego zakładu; bo jakkolwiek statki parowe płaskie, dłużéj jak lat 10 trwać mogą, jednak

do przeniesienia zł. 150,000

z przeniesienia zł. 150,000.

koszt ich reparacyi, wypadki rozbicia się i nowe odkrycia, jakie w epoce 10-letniéj zajść mogą, znacznie ich wartość obniżyć są w stanie, zresztą, lepiéj po latach 10ciu znaleźć w swoim inwentarzu zysk aniżeli stratę... zł. 250,000.

3. *Służba techniczna.*

a) *Stałe płatna przez cały rok.*

Zarządzający przedsiębierstwem zł. 25,000.

Mechanik naczelny ..... zł. 8,000.

Sześciu mechaników młodszych, po jednym na każdym statku, każdy po 4,000..... zł. 24,000.

Magazynier ..... zł. 3,000.

zł. 60,000.

b) *Płatna przez czas żeglugi.*

Po sześciu ludzi na każdym statku będących razem palaczami, stróżami, robotnikami i t. d. i dlatego dobrze płatnych po 120 zł. na miesiąc, przez 7 miesięcy żeglugi, razem 36 ludzi..... zł. 30,240.

Po 2 ludzi na każdéj z 24 gabar czyli statków płaskich, w ruchu będących, czyli 48 ludzi, każdy przez 7 miesięcy żeglugi, po 90 zł. na miesiąc..... zł. 30,240.

Po 2 ludzi na każdym statku parowym przez zimę, dla utrzymania czystości i dla straży, przez 5 miesięcy po 120 zł. na miesiąc..... zł. 7,200.

12 ludzi do pilnowania przez zimę wszystkich gabar po zł. 90 na miesiąc, przez 5 miesięcy..... zł. 5,400.

zł. 73,080.

do przeniesienia zł. 533,080.

z przeniesienia zł. 533,080.

4. *Materyały.*

a) *Opał.*

Zasada 4 kilogramy (10 funt.) na godzinę, do siły jednego konia, a zatém do jednego statku o sile 50 koni, trzeba na godzinę 200 kilog. czyli 5 cetnarów Polskich; a że w podróży z Warszawy do Gdańska tam i napowrót, potrzeba, przypuszczając maximum 120, godzin, zatém potrzeba na podróż jednę 24,000 kilogramów (600 cetn.), czyli licząc w przecięciu korzec węgla za 2 cetnary, potrzeba 300 korcy; a zatém, na 126 podróży, które 6 statków w ciągu 7 miesięcznéj co rok żeglugi zrobić mają, potrzeba węgla korcy 37,800; licząc po 5 złotych korzec, chociaż węgiel daleko taniéj kosztować może, bo same statki węgiel sprowadzać sobie będą . zł. 189,000.

Dodajmy także, że zamiast węgla, nieraz drzewa używać się będzie, co jeszcze taniéj wypadnie.

b) *Smary.*

Oliwa, oléj po zł. 2,000 na każdy statek zł. 12,000.

Razem zł. 734,080.

5. Służba administracyjna w stosunku 15% powyższych wydatków..... zł. 110,112.

Ogółem zł. 844,192,

czyli dla zaokrąglenia..... zł. 850,000

to jest rubli sr. 127,500.

Zobaczmy teraz *spodziéwany dochód.*

Za 126 podróży do Gdańska, w każdéj podróży 8,000 cetnarów ładunku, bądź zboża, bądź drzewa, wełny, cynku, bez względu, czy ładunek wzięty będzie od granic Krakowa, czy z Warszawy, czy poniżéj; bez względu na gatunek ładunku, z których jeden drożéj, drugi taniéj

płaci, w przecięciu po złoty 1 groszy 15 od cetnara, co każdy przyzna że nie jest wcale za drogo (*), czyli razem 1,008,000 dla zaokrąglenia 1,000,000 cetnarów zł. 1,500,000.

Transport powrotny, gdyby tylko $\frac{1}{3}$ część powyższéj summy, chociaż sam węgiel więcéj uczynić może, a cóż dopiéro towary kolonialne, ryby morskie i t. p..... zł. 500,000.

Razem zł. 2,000,000.

Potrącając wydatek..... zł. 850,000

pozostałoby czystego zysku..... zł. 1,150,000

czyli rub. sr. 172,500, od kapitału zakładowego na r. s. 375,000 ustanowionego, to jest 46%; a dodając 6% zamieszczone w wydatkach 52%, dla tych, którzyby do udziału w tém przedsięwzięciu przypuszczeni zostali.

W dochodach pominięte są opłaty od podróżnych, które z czasem, znacznie do pokrycia kosztów utrzymania statków, przyczynić się będą mogły.

Cyfry te nie są bynajmniéj przesadzone, każdy sam sprawdzić je może; raczéj mniejszych wydatków, a większych dochodów, niżeli te które podaliśmy, spodziéwać się można. Tym sposobem, włożony kapitał, we dwa lata mógłby być zwróconym; lecz choćby się zwrócił w lat 4, a nawet w lat 6, to i tak rezultata byłyby nader świetne i takie, jakich żadne inne przedsięwzięcie nie przedstawia.

Że to nie jest żadném urojeniem, moglibyśmy rozmaite na dowód przytoczyć przykłady: a między innemi samego *Gâche*, który z prostego mechanika, bez grosza ma-

(*) Dotąd płaci się od korca pszenicy 230 funtów w przecięciu ważącego, od Sandomierza do Gdańska zł. 6 — od Uściługa do Gdańska zł. 7 i w tym stosunku z innych miejsc.

jątku, przyszedł do posiadania zakładu, w którym zatrudnia 2,000 ludzi. Wszystko to winien udziałowi, jaki sobie zastrzegł w budowanych przez siebie piérwszych statkach parowych. Tak np. ile nam wiadomo, piérwszy statek parowy *Le Courier*, na Loarę puszczony, w sześć miesięcy zarobił cały kapitał w niego włożony.

Nie ma przyczyny, dlaczegobyśmy nie mieli być świadkami podobnego u nas ze statkami parowemi wypadku.

Tak jak zaprowadzenie u nas kolei żelaznéj, obudziło ruch transportów lądowych, który przewyższył wszelkie czynione przypuszczenia i wyrachowania, i który ciągle idzie biegiem przyśpieszonym; podobnie i żegluga parowa, obudzić może ruch transportów wodnych, którego dotąd nie mamy żadnego wyobrażenia.

Wiele przedmiotów dotąd lądem przychodzących, niemogących znieść zbyt długiego transportu wodnego, teraz Wisłą przychodzić zaczną. Targi Warszawy, w niektóre artykuły żywności, więcéj może zasilane będą Wisłą jak lądem. Jarzyny zpod Krakowa przyjdą współubiegać się z jarzynami zpod Wilanowa. Nawet koléj żelazna, możnego w téj żegludze mieć będzie co do niektórych towarów współzawodnika; atoli koléj żelazna, wyrachowana jest najwięcéj na osoby, których żegluga parowa nigdy w znacznéj liczbie przewozić nie będzie.

Jak dalece żegluga parowa na Wiśle wpłynąć może na powiększenie ruchu handlowego, możemy brać miarę ze stanów zjednoczonych Ameryki, a między innemi z rezultatów, jakie wydało urządzenie żeglugi na jeziorze *Erie*, które dla przykładu przytaczamy. W Stanach Zjednoczonych Ameryki jest zwyczajem, że co rok robi się inwentarz, czyli ocenienie majątku mieszkańców, przez wyznaczonych do tego delegowanych z grona sa-

mychże obywateli i urzędników. Ocenienie takie służy za podstawę do stanowienia na każdy rok następny podatków, których stopa do większych lub mniejszych potrzeb administracyi stosuje się. Tym sposobem, stopniowe powiększanie się lub zmniejszanie majątku mieszkańców, ciągle jest rządowi wiadome.

Jedna z prowincyj Stanów Zjednoczonych, Nowy-York, licząca przed rokiem 1810 około milion mieszkańców, téj obszerności co Polska, powzięła myśl w roku 1810 połączenia jeziora Erie z rzéką Hudson, kanałem.

Kanał ten 70 mil długości, wystawiony został własnym kosztem prowincyi; budowa trwała lat 15. Otwarcie kanału nastąpiło wroku 1825.

Przed otwarciem kanału, wartość posiadłości rządowych Nowego-Yorku, według ocenienia delegowanych, 30 milionów złotych wynosiła.

W 12 lat po otwarciu kanału, tojest w roku 1837, wartość ta podniosła się do summy 230 milionów, czyli 7 razy przeszło zwiększyła się.

Dochody skarbu z 4 milionów podniosły się do 14, a ludność się potroiła.

Co się zaś tyczy mienia prywatnych, to w samém mieście Nowym-Yorku, stolicy téj prowincyi, wartość majątków prywatnych, podniosła się przez lat 10, z 15 milionów złotych Polskich do 1,500 milionów, czyli przez 10 lat, 100 razy się powiększyła. Cyfry te nie potrzebują komentarza (*).

Zanim ten kanał wybudowano, cała okolica około jeziora *Erie* położona, była dziką puszczą, obfitującą w nieprzebyte lasy, zamieszkałe tylko przez kilkuset In-

(*) Listy o Ameryce Północnéj p. *Michel Chevalier*. Paryż 1836. 2 tomy.

dyan, w stanie dzikim żyjących, utrzymujących się z łowiectwa.

Dzisiaj ta okolica, liczy kilkanaście miast, po 10, 15 i 20 tysięcy ludności, jakiemi są; Shenektady, Utica, Syrakuza, Rochester, Buffalo; pełno okazałych, kwitnących włości, o szerokich pięknych aleach, wysadzonych drzewem. Nieprzebyte lasy zamieniły się w najbujniejsze pola i łąki. Wszystkie te cuda w ciągu lat 30 powstałe, jedynie ulepszonym środkom kommunikacyi, a przedewszystkiém żegludze, przypisać należy.

Podobne cuda spostrzegamy nad brzegami Missisipi, Ohio i Missury. Kraj ten, 30 razy większy od Polski, przed 30 laty, zaledwie liczył 1½ miliona ludności. Lecz zaprowadził u siebie żeglugę parową, i dzisiaj liczy 11 prowincyj nader ludnych, które wodzą rej w Stanach Zjednoczonych, i narzucają swoich prezydentów całemu krajowi; bo Harrison, Jakson i teraźniejszy Polk, są z tych prowincyj rodem. Ludność wynosi teraz 6 milionów.

Słowem, nie masz wzrostu pomyślności, bez udoskonalonych środków kommunikacyi, a żegluga dobrze urządzona może piérwsze między niemi trzyma miejsce.

Dzięki więc, stokrotne dzięki należą się opiekuńczemu rządowi, który nadanym panu *Guibert* przywilejem, tak obfite, niewyczerpane do tego wzrostu pomyślności krajowéj, otwiéra nam źródło. Dzięki również przedsiębiercom, skoro tak dobroczynne rządu zamiary, urzeczywistnić potrafią.

Jeżeli więc było kiedy przedsiębierstwo, które wszyscy wszelkiemi siłami wspierać powinniśmy, to zapewne do tego największe ma prawo, obecnie zamierzone zaprowadzenie żeglugi parowéj na Wiśle.

OBRAZ ELEKCYI

Króla Michała (ks. Korybuta Wiśniowieckiego).

Po abdykacyi Jana Kazimiérza, władza królewska, wyjąwszy rozdawnictwo urzędów, przeszła do prymasa Mikołaja Prażmowskiego, ze starożytnéj w prawdzie lecz w mierności żyjącéj familji, urodzonego. Piękne natury przymioty, gładkość wymowy i rozsądek głęboki, dały go poznać Janowi Kazimiérzowi, który go tém chętniéj do najwyższych posuwał dostojności, że przez zręczność w wykonaniu zleceń umiał pozyskać łaskę królowéj. Uczyniony naprzód referendarzem, opatem Sieciechowskim i proboszczem Gnieźnieńskim, otrzymał daléj biskupstwo Łuckie, kanclerstwo koronne (lubo nie był podkanclerzym) a nareszcie r. 1666, zasiadł na stolicy arcybiskupiéj (1). Tyle doznanych względów od Maryi Ludwiki musiało go przywiązać do strony Francuzkiéj; dał tego wielokrotne dowody przedtém, dał i teraz kiedy uwiadamiając województwa iż Rzplita w bezkrólewiu zostaje, zagrzewał naród, aby odprawiono elekcyą przez po-

(1) Niesiecki, Tom III, str. 728.

słów którzyby łatwo przekupieni być mogli od Kondeusza. Po wydanych uniwersałach dziwna zmiana w całem państwie nastąpiła. Zamknięto trybunały i sądy wszelkie ustały, zkąd bezkarność zbrodni i zamieszanie spokojności publicznéj wyniknąć musiało.

Od Stefana już nie zostawała Polska w takowym stanie, gdyż pozostali króla synowie łatwo jego miejsce zastępowali. Jan Kazimiérz był bezdzietnym i ostatnim z familii Wazów. Zaczém bez nadziei i obawy, wielu czyniło płoche podziwienia, że jak raz poświęcił się Bogu, tak w zakonie chce życia dokonać; że gdzie go za młodości uwięziono, tam chce starość przepędzić, że opuścił koronę dla krolestwa niebieskiego; wielu pochwały lub wady jego wytykało. Piérwsi mówili, był to pan godny lepszych czasów, jego duszy i ciała przymioty mogły się przyłożyć do szczęśliwości kraju, gdyby nie zgubna forma rządu i trudny zbieg okoliczności. Przeciwnie drudzy mienili go wszystkich nieszczęść sprawcą: on jest, mówili, przyczyną buntów kozackich nie chcąc ich w zarodzie przytłumić, on sprowadził wojnę Szwedzką dla czczego tytułu, on utracił Prusy, Inflanty i Ukrainę; a gdyby nie męztwo Czarneckiego, wszystkichby nas wydał na bezkarny łup nieprzyjaciołom; on przez zbytnie uleganie Maryi Ludwice dał powód do wojny domowéj, zbuntował wojsko i zawierał potajemne z obcymi umowy na zgubę złotéj swobody. Wyrzucano mu życie nawet prywatne, pojęcie bratowéj za żonę, postępek z Radziejowskim i miłostki z niektóremi pannami dworu królowéj. W abdykacyi wreszcie saméj dostrzegano słabości charakteru i przewodzenia Ludwika XIV w Polsce. Zgoła we wszystkich postępkach Jana Kazimiérza upatrywali wszyscy prawie zamachy na ustawy i swobody

krajowe (2). Wpośród takich mniemań o przeszłym królu, o przyszłym myśléć zaczęto, gdy uniwersałami prymasa przeznaczony na sejmiki dzień 9 października 1668 roku nadszedł. Zebrała się obojga narodów liczna szlachta, i w powiatach sądy *kapturowe* ustanowiła. Sądy te z największą władzą wykonywania swoich wyroków, mając tylko sprawy kryminalne które się wydarzyły od abdykacyi roztrząsać, niezupełnie mogły zabezpieczyć spokojność; żeby jéj przecież bardziéj jeszcze nie mieszali obcy posłowie, prymas doniosłszy piérwéj wszystkim monarchom Europejskim (3) o postępku Jana Kazimiérza, zalecił ich ministrom, aby się oddalili z Polski aż do nadejścia sejmu elekcyjnego. Cesarski i elektorski, mając w myśli zmocnienie stronnictwa, odpowiedzieli iż na to rozkazów nie odebrali od panów; Rossyjski upatrywał w tém zniewagę monarchy swego. Król dawny, który dopiéro w czasie konwokacyi oddalił się z Polski, i wielu senatorów obawiając się, aby zmuszenie ich złych skutków za sobą nie pociągnęło, zdawali się zezwalać na żądania posłów; lecz Prażmowski stały w przywiązaniu do Francyi któréj strona mogłaby ponieść przez to jakowy uszczerbek, zagroził iż złoży urząd i ogłosi, iż dla ich uporu tak musiał postąpić; albo jeżeli się w Warszawie zostanie, żadnemu nie da posłuchania. Skutkowała ta groźba i wszyscy wyjechali ze stolicy (4). Nakazano także, czego w poprzednich bezkrólewiach nie bywało, aby akatolicy oddalili się na 12 mil od miejsca elekcyi. Co większa, z namowy nuncyusza papiezkiego Galeacyusza Mareskotti arcybiskupa Koryntskiego, Stefan Wierzbowski biskup Poznań-

(2) Lauterb. 681. (3) Załuski, f. 64. (4) Puffend. lib. 10.

ski mający w swojéj dyecezyi Warszawę wyklął w kościele ś. Jana dyssydentów jako heretyków, opieki rządowéj niegodnych i z Mazowsza przez edykt wyrugować ich zamyślał, kiedy szczęściem wstawienie się obcych dworów, a szczególniéj Szwedzkiego i Pruskiego, rzecz zagodziło i projekta nierozsądnéj gorliwości zniweczyło. Po załatwieniu tych spraw, 5 listopada 1668 r. otworzył się sejm konwokacyjny czyli konfederacya gieneralna stanów. Tu cały senat i posłowie ziemscy stanęli w Warszawie. Marszałkiem koła poselskiego zgodnie wybranym został z Litwy, na którą koléj przypadała, Jan Antoni Chrapowicki, podkomorzy Smoleński, mąż ze wszech miar zasłużony. Po zwykłych obrzędach oddania laski i przygotowaniu materyj, połączyły się obiedwie izby 9 listopada w senacie i odtąd w nim ciągle aż do 5 grudnia trwały obrady dosyć spokojnie. Skutkiem ich, te były ważniejsze uchwały: nikt bez jednomyślności głosów nie waży się przyszłego króla mianować; przed ogłoszeniem jego, exorbitancye czyli nadużycia w prawach, przywilejach, swobodach szlachty i miast poprawione będą; wszystkie urazy z projektowanéj przez Jana Kazimiérza elekcyi, braterskim affektem i chrześciańskiém sercem jeden drugiemu daruje i wiecznie odpuści. Dyssydentom na wniosek Prażmowskiego wszystkie dawniejsze przywileje potwierdzono, lubo wielu biskupów protestacye zanosiło. Na przedstawienie téż Pieniążka (5), posła z województwa Krakowskiego, chociaż cały senat i znaczniejsi posłowie byli przeciwni, stanęło, aby każdy kto tylko będzie na sejmie elekcyjnym zaprzysiągł, iż tego mianuje za pana od którego i na które-

(5) Dyar. *Convocat* nie zaś Fredra jak ma Puffend.

go imię nic nigdy nie wziął, ani nawet obietnicy otrzymał i tego obierze, który mimo praw, za przeszłego panowania o koronę nie zabiegał. Zresztą czas rozpoczęcia sejmu elekcyjnego na dzień 2 maja roku 1669 naznaczono. Ale jeszcze ciągnęła się konwokacya, kiedy wieść doszło, iż elektor Brandeburski starostwo Drahimskie na granicy Pruskiéj położone, bez wiedzy stanów, zbrojną ręką opanował. Starostwo to dane było na dożywocie Dymitrowi księciu Wiśniowieckiemu, hetmanowi polnemu koronnemu, a po jego dopiéro śmierci, miało być ustąpione, na mocy traktatu Welawskiego, Fryderykowi Wilhelmowi za podjęte koszta w czasie wojny Szwedzkiéj. On jednak przewidując, iż Polacy za zgwałcenie przez niego innych warunków, traktatu tego dopełnić nie zechcą, przemocą do skutku go przywiódł. Niegodziwość postępku przeraziła sejm zgromadzony; lecz gdy elektor wcześnie porozumiał się z Wiśniowieckim a Hoverbek Jan poseł jego zwyczajny, najzawołańszy polityk ówczesny, jak język tak sprawy Polskie doskonale znający, chytry i wiele działający skrycie (6), potrafił uniewinnić swojego pana; zapomniano wkrótce o tak szkaradnym kroku a całą uwagę zwrócono na podających się do tronu kandydatów.

W ogóle, tego po przyszłym królu żądano: aby był katolik niepodejrzany o kacerstwo, nieposiadający państwa inszego i własną lub sprzymierzeńców potęgą niestraszny; żeby okazał już biegłość w taktyce albo przynajmniéj miał zdolność do prowadzenia wojny; aby licznym potomstwem nie był obciążony lecz szczodry na zasłużonych i sprawiedliwy; aby z obcymi monarchami

(6) Chwałk l. 4. cap. 6.—Załuski 18.

zostawał w zgodzie i przyjaźni, nie oddzielał interesów własnych od spraw Rzplitéj, i nie z emulujących mocarstw; by był spokojnego umysłu, nieociężały przecież, nieokrutny, nieubogi, zdolny przejąć obyczaje i nauczyć się praw narodowych. Dodawano więcéj jeszcze wybornych i dziwnie pięknych warunków. Zresztą zdania podzielono między Kondeusza, Filipa Wilhelma księcia Nejburskiego, Karola księcia Lotaryńskiego i monarchę Rossyjskiego.

Oprócz tych, Maciéj książę Toskański mocno życzył sobie posieść tron Polski, lecz poznawszy iż skarby jego są zbyt szczupłe by mógł niemi pozyskać przewagę nad współzawodnikami, niewiele straciwszy, przestał zabiegów.

Książę Jorku Jakób, niemniéj myślił o koronie; ale kiedy Ludwik XIV, u którego z matką po zabiciu ojca przemieszkiwał, odmówił mu wsparcia, a brat Karol II król Angielski rozrzutny nie miał go czém popierać, i on się wcześnie wyrzekł zamysłów. Rakocy téż, książę Siedmiogrodzki pisał list do prymasa, by go w liczbie kandydatów umieścił; odebrawszy jednak odpowiedź że jest w powszechnéj nienawiści u Polaków za nieprzyjacielskie postępki ojca, zaniechał starań i kosztów daremnych. Elektora Brandeburskiego Wielkopolanie szczególniéj mieli sobie życzyć; lecz gdy żądali aby został katolikiem, odpowiedział, iż pod tym warunkiem cesarskąby nawet koronę odrzucił, i że Polacy nigdyby o nim dobrze nie sądzili, gdyby Bogu nie dochował wiary i bardziéj miał wzgląd na pożytek, aniżeli na sumienie. Zdaje się jednak, iż przytaczający to zdanie pisarz (7), raczéj miał

(7) Puffend. lib. 10.

Biblioteka Sejmu Ustawodawczego

na celu wystawienie wspaniałomyślności bohatera swojego, aniżeli prawdę; nienawiść Polaków ku niemu za tyle szkaradnych postępków, niezgadzających się z pobożnością, potwierdza ten domysł. Wreszcie Krystyna zapragnęła tronu Polskiego w 16 roku życia osiadłszy stolicę Szwedzką po Gustawie Adolfie, wychowana przez najbieglejszych ministrów i światłych mężów, jak pomiędzy politykami, tak między uczonymi znakomite otrzymała miejsce. Kiedy jednakże trudno stać niewieście na czele wojennego ludu, przetoż i ona zaczęła powoli tracić na znaczeniu, które się do króla Gustawa, jéj krewnego, dowódzcy wojska, przenosiło. Krystyna chcąc we wszystkiém nad wiek się wynieść, ścierpieć tém bardziéj nie mogła, aby w jéj państwie kto miał brać przed nią pierwszeństwo. Dlatego pod pozorem oddania się zupełnie naukom złożyła dziedziczną koronę Wazów i katoliczką zostawszy, już w Niemczech, już we Francyi, a najwięcéj we Włoszech przemieszkiwała. Ale duma jéj zbyt była wygórowaną, by długo w prywatnym stanie żyć miała. Zaczém, kiedy napróżno po śmierci Karola Gustawa żądała powrotu do Szwecyi, skoro tylko dowiedziała się bawiąc naówczas w Hamburgu, o abdykacyi Jana Kazimiérza, zaraz myśl powzięła osiągnienia elekcyjnéj korony. Dziwną jest rzeczą, że kobiéta niemogąca przełamać wstrętu do małżeństwa, bez pieniędzy, nieznana narodowi i niemająca dla niego ofiar widocznych, wpadła na tak dziwaczny pomysł; lecz jeszcze dziwniejsza, że papiéż Klemens IX mimo całą powagę świętéj stolicy i obawy ściągnienia urazy interesowanych dworów, jedynie idąc za głosem przyjaźni i wdzięczności (8),

(8) Krystyna bowiem przez ujęcie kardynała Azzolino sprawującego jéj interesa wRzymie, wiele się przyczyniła do wyboru Kle-

w Breve przesłaném nuncyuszowi w Polsce będącemu zalecał Krystynę, jako najzdolniejszą do rządu Rzplitéj. To jednak na usprawiedliwienie tego postępku dodać należy, że jak papież niepiérwéj dozwalał pokazywać owo *breve* ażby stronnictwa przyszły do największego porożnienia, a Krystyna za jedyny środek przywrócenia spokojności publicznéj uznaną została; tak ona jedynie na tém rozdwojeniu zasadzając, tajemnie przez ks. Hackiego Polaka, spowiednika swojego, działała. Ten zaś tylko pomiędzy znajomą sobie szlachtą wspomniał o niéj, lecz i tu zarzucono jéj skazanie na śmierć sługi swojego we Francyi, herezyą w familii, nieszczęśliwe panowanie Wazów, ucisk rządów kobiecych pod Janem Kazimiérzem i t. p. Posłała królowa zbicie tych zarzutów nuncyuszowi, który przecież lubo miał przyobiecany kardynalski kapelusz, nie wspomniał nawet publicznie o jéj zamysłach, a ona za szczęśliwą się poczytała że przez dochowanie tajemnicy między kilkoma osobami, nie stała się Europy pośmiewiskiem. Tak gdy dotąd wymienionych książąt nadzieja osiągnienia korony Polskiéj w początkach ominęła, pozostało jeszcze cztérech kandydatów, pomiędzy których naród zdanie swoje podzielił.

Piérwszym głoszono cara samego Alexego, albo synów Fieodora lub téż Iwana. Mówiono o zawartych przez niego z Austryą układach, w których miał jéj ofiarować wieczyste przymierze, wsparcie w każdéj potrzebie, zaślubienie syna z Austryaczką byle go wspierała w osiągnieniu tronu Polskiego. Twierdzono téż że w 80,000 ludzi stanął nad granicami Litwy na poparcie elekcyi

mensa IX dobrze przedtém sobie znanego. Papież tylko, kardynał Azzolino, sekretarz Krystyny Santini, spowiednik k. Hacki i nuncyusz Mareskotti, wiedzieli o zamiarze Krystyny.

swojego syna. Ale wszystkie te wieści jak nie miały podobieństwa do prawdy, tak jedynie wymyślone były przez stronników Kondeusza dla zaprzątnienia umysłów szlachty i osłabienia strony Lotaryńskiéj i Nejburskiéj. Ku piérwszéj bowiem oburzali tym sposobem nienawiść o tajne traktaty Austryi z Rossyą, od drugiéj odciągali wielu ewangielików którzy w dogmatach wiary mniéj się różnią od Greków niż od katolików (9). Wygnańcy też z krajów zabranych ciesząc się, iż będą mogli do dóbr straconych powrócić, ochotnie łączyli się z Pacami stojącymi na czele tego stronnictwa.

Kiedy bowiem uchwalono przysięgę na konwokacyi, iżby nie obierać tego kto za Jana Kazimiérza starał się nieprawemi krokami o koronę, wtenczas wiele bardzo znakomitych familij dla uniknienia podejrzeń szlachty oświadczyło się za carem Alexym; Kondeuszowi sprzyjali zaś wszyscy którzy łaskami zmarłéj królowéj byli ujęci. Senat prawie cały do tych liczby należał, a prymasa także do niego było przywiązanie iż oświadczył, że chociażby korona z nieba samego spadła, nikomuby jéj chętniéj na głowę nie włożył jak Kondeuszowi. Jakoż bohatér ten sławny w boju doświadczeniem i osobistą walecznością, tudzież inszemi przymiotami pięknemi, godzien był tronu Zygmuntów i Batorych i może przy pomocy Francyi rozszerzyłby władzę monarchiczną. Lecz szlachta zabiegom Francyi przypisując wzniecenie wojny domowéj za Jana Kazimiérza, oburzała się tém bardziéj, że panowie zaprzedali jéj swoje głosy. Wielu mówiło o Kondeuszu: był on sławnym niegdyś i jednał chwałę narodowi, lecz teraz wyniszczony pracami i młodości wadami, orzeźwia się jedynie dawnych czynów wspomnieniem; ma-

(9) Puffend.

myż przyjmować ten ciężar którego się Francya tak usilnie pozbyć stara? Chcemyż przyjąć na siebie jarzmo Francuzkie? Zniesiemyż aby dwór napełniwszy swojemi, lekkością szydził z powagi Polskiéj? Będziemyż służyć za narzędzie Ludwika XIV nieograniczonéj ambicyi, któréj się już lęka Europa cała? Potém, Kondeusz przez niebiegłość w polityce, niewdzięczność, popędliwość, łakomstwo i nawyknienie do nieograniczonéj władzy królewskiéj, daleko większych klęsk będzie przyczyną, aniżeli po nim korzyści możemy się spodziewać. Prócz tego rozgłoszono, iż nigdy się nie spowiada i że w piątek jadł mięsne potrawy z Radziwiłłem kalwinem bawiącym niegdyś w Paryżu. Czém wszystkiém tyle poburzoną była szlachta na niego, że jeszcze na sejmikach przedkonwokacyjnych wołała: „kto trzyma z Kondeuszem, nieprzyjacielem jest Boskim." *Non est cum Deo, qui favet Condaeo.*

Nielepiéj o Filipie Wilhelmie ks. Nejburskim myślano. Wprawdzie znajomy on był Polakom już przez małżeństwo z siostrą królewską Konstancyą, już z uczciwości dobrego rządu i waleczności, dlaczego niegdyś Władysław IV zalecał go do korony Polskiéj. Ale teraz wiek 60letni, a z wiekiem duma, chciwość i egoizm, 11 dzieci nieletnich i ród jego odstręczały od niego umysły. Najbardziéj mu zarzucano zbyt wczesne zabiegi i umowy z obcymi, którzyby go Rzplitéj narzucili przemocą. Twierdzono iż w tajemnych układach elektorowi Braudeburskiemu godność królewską i Prusy Polskie, Szwedom Żmudź przyobiecał. Udawano za pewność, że obadwa te mocarstwa już połączyły wojska w Pomeranii, aby w przypadku rozdwojonéj elekcyi jego wesprzéć mogły. Chociaż elektor najszczerzéj ks. Nejburskiemu

dopomagał, mniéj się to jednak zgadzało z prawdą, kiedy Szwedzi wyniszczeni ciągłemi wojnami pod Karolem Gustawem, nie życzyli nowéj walki w czasie małoletności króla i gotowi byli na kogóżkolwiek zezwolić. Zdaje się więc iż wieści takowe rozsiewane były przez Francyą, która lubo ogłosiła się za ks. Nejburskim przecież potajemnie przeciwko niemu działała z całém swojém stronnictwem, tak dalece, że mu tylko Radziwiłłowie w nieprzyjaźni żyjący z Pacami istotnie sprzyjali, a reszta jedynie dla pozoru, lub zysku z niemi się łączyła. Takież postępowanie było Austryi. Cesarz Leopold w instrukcyach danych Christoforowi Leopoldowi Szafgocz (Schafgotsch) przykazał zalecać ks. Filipa, lecz dodał aby skrycie popiérał sprawę ks. Karola; co on chociaż wiernie wykrywał z szyderstwem zawsze o nim wspominając i przywiązanych do niego odciągając, przecież gniewało to szlachtę, że ks. Nejburski wielu bardzo miał potężnych przyjaciół. Co tylko sprzeciwiało się ks. Nejburskiemu, to za Lotaryńskim mówiło. Nie miał żadnych publicznych zaleceń od mocarstw, zostawał w samym kwiecie wieku zaledwie 26 lat licząc; a do niewieścich wdzięków połączał waleczność któréj dał widoczne dowody w czasie wojny Węgierskiéj. Oprócz tego spokrewniony z Jagellonami, byłby może wskrzesił ich pamięć, gdyby jak był godnym korony, tak mógł żądze wszystkich zaspokoić. Urodzony z Mikołaja młodszego brata ks. Lotaryńskiego Karola III, miał prawo do następstwa po bezdzietnym stryju. Lecz gdy karol III tyle znajomy z niestałości, dla tego jedynie aby się liczył pomiędzy książąt krwi Francuzkiéj, uczynił Lotaryngii dziedzicem Ludwika XIV, nasz kandydat opuścił natychmiast Francyą i przez Włochy udał się do Niemiec,

gdzie piérwéj z Leopoldem jeszcze arcyksiążęciem razem wychowany, w ścisłéj zostawał przyjaźni. Cesarz mile go przyjął i nie mając ze swojego domu dla kogo starać się o koronę Polską, chciał ją pozyskać dla niego, dawszy mu swoję siostrę Eleonorę za żonę. Rządzony jednak przez ministrów głównych nieprzyjacioł książęcia, niewielkie mu dawał zasiłki, a dostatki cesarzowéj matki i starego księcia Lotaryńskiego, niewiele ważyły przeciwko niezmiernym i oddawna sypanym ciągle summom Francuzkim. Prócz tego zarzucano królowi że ma stryja wylanego na wszelką rozpustę (10), że po jego śmierci jeżeli zechce odzyskać Lotaryngią, uwikła Rzplitę w wojnę Francuzką, jak niegdyś Zygmunt III ze Szwecyą i że już sama jego elekcya nie obejdzie się bez krwi rozlania, gdy Ludwik XIV żadnym sposobem nie dozwoli, aby Austrya osadziła tron Polski. Mimo to jednak sprzyjała mu wszystka szlachta dla któréj ujęcia, zjechał do Tarnowic miasteczka Szląskiego. Z senatorów tylko Dymitr ks. Wiśniowiecki hetman polny koronny i Olszewski podkanclerzy koronny, byli za nim, lubo ostatni w ogóle Piasta, a w szczególe Michała ks. Wiśniowieckiego zalecał, a dopiéry kiedy wraz z kandydatem od panów został wyśmiany, przeszedł do ks. Karola.

Wpośród tak rozerwanych chęci, zabiegi, podstępy, niezliczone frymarki, podarunki i obietnice, mimo przysięgi na konwokacyi wykonanéj, miéć musiały miejsce. Tym z większą śmiałością przedawano za gotowe pieniądze, niepewną nadzieję, gdy za bezskutecznym rzeczy wypadkiem upadały i przyrzeczenia. Kandydaci przez prywa-

(10) *Introduction à l'histoire de l'Univers par Puffend.* T. 1. lib. 1. chap. 5.

tnych wysłańców szerzyli przekupstwa, większa część wyborów przyjmowała od wszystkich, każdemu obiecując że z nim trzymać będzie. Dla osłonienia zaś szkaradności postępków, tamci przez zakonników najwięcéj, ci przez żony działali. I pomiędzy takiemito celowały: Sobieska, Pacowa, Morsztynowa i inne wszystkie z rodu Francuzkiego, wszystkie życzące Kondeusza, a wszystkie od każdego z kandydatów ogromne summy i szczodre obietnice przyjmujące; stronnicy nawzajem codziennie rozrzucali pisma w których z największą wolnością rozbiérali zalety lub przywary współubiegających się, chwaląc lub ganiąc jak komu nakazywał interes (11).

W takim stanie były rzeczy, kiedy w lutym 1669 r. zbliżały się przedelekcyjne sejmiki. Na tych Litwa i Prusy dla odległości miejsca chętnie zezwoliły, by podług życzenia prymasa przez posłów elekcyą odprawić; lecz województwa koronne jednomyślnie zgodziły się, aby wyprawić posłów na sejm zwyczajny, a na sam akt elekcyi stanąć w pospolitém ruszeniu. Tym bowiem jedynie sposobem miano nadzieję, iż Francuz którego szlachta cierpiéć nie mogła, celu życzeń swoich nie dopnie. Ale już i na sejmikach powstawały burzliwe przeciw niemu głosy. Pomnożył liczbę niechętnych, Jan Sobieski marszałek i hetman wielki koronny, ujęty od Francyi kiedy

(11) Z pism tych, następujących użyłem: *Censura Candidatorum* Olszewskiego, *Censurae Candidatorum apud Rohmium.* Poseł Piasta na elekcyą od Franciszka Lewalta Powalskiego 1669 drukowany. *Examen Sermaticum Floriani Górski* gdzie zaleca ks. Nejburskiego. *Ulicovii Georgii* (*Leibnitz*) *Specimen demonstrationum politicarum pro eligendo rege Poloniae* 1669, 12. *Epistola ad amicum Fredronis* przeciw Piastowi. Znajome zaś tylko z tytułu są: Husanes *de Gemlabburbitz Gemlabburbitzki consilium pro redintegrando Polonorum regno. Comitia Varsavica de eligendo Polonorum rege. Oculista procerum regni Poloniae. Polonia suspirans et plangens.*

opuściwszy Ukrainę z kwarcyanami stanął w Prusach dla poparcia stronnictwa na którego był czele. Oświadczyły się przeciw Kondeuszowi sejmiki tameczne, Sobieski głosił iż chciał Rzplitą zabezpieczyć od wojska cesarskiego i elektorskiego, które miały popiérać strony książąt Lotaryńskiego i Nejburskiego; ale kiedy wieści takowe płonnemi się okazały, unikając oburzenia powszechnego a widząc, iż czas sejmu zbliżał się, z całém wojskiem 12,000 wszedł do Warszawy.

Niemniejszą liczbę wojska chociaż własnego tylko przywiedli Jan wojewoda Krakowski, starosta Spiski, i Stanisław Lubomirscy, mogący odnowić postępek Zborowskich, gdyby jak oni, chcieli być wichrzycielami kraju; lecz nie szukali zemsty z nikogo, żądali tylko skasowania dekretu wydanego przez Jana Kazimiérza na Jerzego marszałka wielkiego i hetmana polnego koronnego. Więcéj jeszcze ludzi Radziwiłłowie przywiedli, sam ks. Bogusław do 8,000 przyprowadził (*). Po nich Pacowie i inni panowie z licznemi równie orszakami wjazd odprawili. Szła za nim szlachta, młodzież i gromady służalców okazujących przepych dworów, które się zdawały z ubóstwa publicznego urągać. Słusznie się przeto obawiano aby, przy rozróżnionych chęciach tylu potężnych naczelników stronnictw, pole elekcyi nie zamieniło się w plac wojny domowéj.

Rozpoczął się sejm elekcyjny, według uchwały zaszłéj na konwokacyi dnia 2 maja 1669 r. Senatorowie i posłowie po odprawioném nabożeństwie zaraz w pole wy-

(*) Pasek dodaje, że wtenczas po piérwszy raz dała się słyszéć muzyka Pruska, przed rajtaryą późniéj używana.

jechali: ci do okopu między Wolą a Warszawą wysypanego, owi z prymasem do szopy postawionéj w tymże okopie. Według zwyczaju, marszałek przeszłéj konwokacyi Chrapowicki zdawał laskę, chcąc przystąpić do wyboru nowego marszałka w kole rycerskiém, lecz zatrzymano go zarzuceniem przysięgi na konwokacyi opisanéj i po większéj części od tych, którzy na niéj byli, wykonanéj. Wielu posłów przekupionych nie mogąc bez wyrzutów sumienia stać się krzywoprzysiężcami, upornie twierdziło, że dobro publiczne mieć trzeba na celu, że dlatego nie należy im opuszczać kandydatów, którzy się zdają najgodniejsi, chociażby od nich jakie podarunki przyjęli, i że konwokacya żadnego prawa stanowić nie mogła nad żołnierza i podatki. Inni powstawali przeciwko amnestyi, inni wojsko i gwardye od obrad oddalone mieć chcieli. Najwięcéj jednak opóźniły wybranie marszałka rozterki z przyczyny buławy polnéj danéj przez Jana Kazimierza 1668 r. Michałowi księciu Radziwiłłowi, podkanclerzemu Litewskiemu, mimo życzenia i zabiegi Paców. Dwa te domy rozrodzone, potężne i emulujące, posiadając najwyższe godności w wielkiém księztwie całą Litwę na dwa stronnictwa dzieliły. Posłowie zatém obawiając się by kiedy w otwartą wojnę nie zmieniła się ich nieprzyjaźń oświadczyli, iż nie piérwéj zezwolą na wybór marszałka, aż spory pomiędzy niemi przez Stany Rzplitéj załatwione zostaną. Niepodobieństwem się zdawało w krótkim czasie tak delikatny uspokoić interes. Polska więc sama przystąpiła do czynności i jednomyślnie chciała wybrać Stanisława Lubomirskiego starostę Spiskiego, w którym pokładała nadzieje, iż będzie mógł utrzymać ster nawy zakłóconéj wpośród zawziętych stronnictw. Ale kiedy ten uprzejmie się

wymówił powiadając, iż nie chce być sędzią w rodzica swojego sprawie, którą Rzpolita zapewne roztrząśnie, podano do laski Szczęsnego Potockiego podkomorzego koronnego i Jana Odrowąża Pieniążka, Oświecimskiego starostę. Piérwszego stronnictwo Francuzkie i Nejburskie utrzymywało, za drugim oświadczyli się sprzyjający księciu Lotaryńskiemu. Tamci pamiętając, iż Pieniążek na konwokacyi, piérwszy podał wniosek owéj przysięgi, która przeciwko nim wymierzoną była, wszystkiemi sposobami przeszkadzali jego wyborowi, zarzucając między innemi, że będąc w r. 1666 marszałkiem izby poselskiéj kiedy sejm zerwano, przy pożegnaniu, wyrzekł: „zginęła już prawdziwa swoboda nasza!" Przeciwnie podkanclerzy Olszewski mąż cnotą i nauką wsławiony, naczelnik stronnictwa Lotaryńskiego, z obawy by wcześnie zaczęte spory nie skończyły się późniéj na krwawym boju, namowami i prośbami tyle dokazał, że odstąpili kandydata swojego mającego tylko 621 głosów, a zezwolili na Potockiego który ich 926 otrzymał; bo i Litwa wreszcie, kiedy jéj obiecano że w exorbitancyach żądania Paców i Radziwiłłów zaspokojone będą, na wybór jego zezwoliła. Pieniążek rozgniewany odrzuceniem, w piorunujących wyrazach powstał na skryte zamachy Kondeusza; poparło go wielu, lecz się i przeciwnicy znaleźli. Powstały uszczypliwe z obudwu stron głosy; jedni drugim zarzucali branie obcych pieniędzy. Niektórzy mówili o usunięciu amnestyi i sądzeniu sprawców wojny domowéj; szczęściem poczuwający się do winy połączeni z najrozsądniejszymi, utrzymywali po kilkodniowych sporach ten konieczny środek w Rzpolitych umorzenia wszelkich nieporozumień wzajemnych. Po obraniu marszałka, powinni byli iść zaraz posłowie na powitanie senatu

i na wysłuchanie jego wniosków. Ale gdy to Potocki z urzędu przypomniał, Dębicki podchorąży Sandomiérski wzięty pomiędzy szlachtą dla mów śmiałych i siwizny, „Franki są w szopie, zawołał, nie chodźmy tam aż one p. marszałek w. k. do którego to należy, każe wyrzucić, bo się nie pomieścimy." Wzniosła się zatém znowu wrzawa na panów przekupnych i na Kondeusza, którego przeto za niezdolnego do korony Polskiéj już niektórzy sądzili. Taż sprawa ciągle zatrudniała umysły senatorów; który mniéj otrzymał, zazdrościł szczęśliwszemu. Przymówki wzajemne posuwały się do gminnego łżenia. Co większa gdy raz, piérwszy świecki senator kasztelan Krakowski Warszycki, w kłótni z Oborskim kasztelanem Warszawskim, uniesiony gniewem pogroził mu laską: Oborski porwał się za rękojeść pałasza i zaledwo arcybiskup wraz z innemi senatorami wstrzymał, że do podłéj walki nie przyszło w najpoważniejszym senacie.

Tym sposobem gdy dwa tygodnie próżno stracono, dopiéro 16 maja koło rycerskie połączyło się z senatem. Tu prymas wymownie radził zachować większą spokojność w naradach, a potém wyznaczył Leżeńskiego Łuckiego i Paca Żmudzkiego biskupów, do słuchania uchwalonéj przysięgi. Marszałek koła dodał do tych, niektórych ze stanu rycerskiego, którzy wszyscy przysiągłszy piérwéj przed kanclerzami, odebrali następnie przysięgę od wszystkich którzy jéj na konwokacyi nie złożyli.

Nie nastąpiła przecież spokojność. Toczyła się znowu w kole mocna sprzeczka, czyli marszałek czy też posłowie mają obierać sędziów do Kapturu generalnego. Zwyczaj mówił za piérwszym, lecz przeciwni Potockiemu wołali, że on i króla bez woli narodu gotów mianować. Zgodzono się jednak na niewprowadzenie nowo-

ści, wszakże z tém zastrzeżeniem, żeby się każdemu wolno było przymówić. Wyznaczył tedy dwunastu (z każdéj prowincyi po czterech) posłów, do których gdy prymas czterech kasztelanów dodał, marszałek w. k. Sobieski wykonawszy z nimi przysięgę, sądy w domu swoim na godzinę 9 przed południem naznaczył. Po zabezpieczeniu spokojności publicznéj, przystąpiono do wysłuchania narad senatu. Zdawał sprawę Prażmowski przez swojego kanclerza. Ten doniosłszy o zawieraniu traktatu z Rossyą, o działaniach kozaków, Turków i Tatarów, względem Polski, w końcu przypomniał aby dać posłuchanie cudzoziemskim posłom. Naradzało się o tém w kole rycerstwo, i po rozmaitych głosach postanowiło, aby nie piérwéj do tego przystąpić, aż exorbitancye poprawione będą. Lecz znowu, przez kogo, gdzie i jakim sposobem miano je odbywać, z niemałém poruszeniem umysłów radzono. Prymas mianował wszystkich wojewodów. Obruszyła się na to szlachta, jako na rzecz dawnym prawom przeciwną i wymusiła na nim, iż takową deputacyą odwołał. Po długich sprzeczkach w kole stanęła nareszcie zgoda na dwóch deputatów z każdego powiatu do exorbitancyi, na traktowanie których marszałek miejsce w zamku w izbie poselskiéj i czas od godziny 6 do 12 naznaczył, dozwalając każdemu bywać na sessyach. O czém donosząc gdy weszli posłowie do szopy 28 maja, prymas dwunastu z senatorów mianował i wszystkich ministrów dołączył. Nim ułożono przecież porządek i sposób traktowania, wiele czasu bezkorzystnie stracić musiano; marszałek koła wniósł kassacyą dekretu na Jerzego Lubomirskiego. Jednomyślnie przyjęto wniosek i wyrok Jana Kazimiérza, jako nieprawnie i z ujmą szlacheckiéj wolności wydany, zniwe-

czono przy małym oporze instygatora koronnego. Zamojscy potém wystąpili żądając sprawiedliwości z Dymitra księcia Wiśniowieckiego który im ordynacyą zajechał. Stany rozsądzenie téj sprawy przyszłemu królowi zostawić chciały. Powstali na to skrzywdzeni oświadczając, że zatamują dalsze czynności sejmu i nie pozwolą przystąpić do elekcyi, dopóki teraz ich sprawa w liczbie najważniejszych exorbitancyj wniesioną nie będzie. Zezwolono na ich żądanie (12). Za tym przykładem każdy osobiste pokrzywdzenia wykładał, każdy chciał naprzód by na jego województwo, powiat lub ziemię wzgląd miano, dopóki wreszcie nie zgodzono się aby przedewszystkiém te nadużycia w karby dawne wprawiono, które się ściągały do rządu i do przysięgi nowego króla były potrzebne, a po tych, by następowały województwa podług zwyczajnéj kolei. Przecież chociaż do końca elekcyi umawiano się, to tylko ważniejszego ustanowiono: „Król na potém nie ma składać korony; bu-

(12) Rzecz sama napominać zdaje się abym nieco obszerniéj wyłożył tę sprawę, która późniéj spominaną być musi. Jan drugi ordynat Zamojski, wnuk wielkiego Zamojskiego, umiérając bezpotomnie 1665 r. zostawił dwie siostry, z których piérwsza Konstancya była żoną Jeremiego ks. Wiśniowieckiego, druga Alexandra Barbara poszła za Koniecpolskiego. Lecz na Janie drugim ordynacie starsza tylko linia wygasła, młodsza zaś ciągle kwitnęła. Z téj za Jana Kazimiérza żył Zdysław kasztelan Czerniechowski i miał cztérech synów: Marcina, Kazimiérza, Jana, Stanisława, i jednę córkę Maryannę, wydaną za Dymitra ks. Wiśniowieckiego. Według prawa 1590, 1635 i 1689, najstarszy z synów Zdysława powinien był na ordynacyą po Janie drugim nastąpić, przecież Koniecpolscy i Wiśniowieccy sądzili mieć przez żony bliższe prawo do dziedzictwa od linii młodszéj Zamojskich, szczególniéj Wiśniowieccy z obudwu liniami będąc spokrewnieni siłą, rozszczenia swoje popiérali. Ks. Dymitr napadł po nieprzyjacielsku na Zamość, opanował go i całą ordynacyą zagarnął; dopiéro na elekcyi Jana III, Marcinowi ordynacyą przysądzono.

ława z laską, pieczęcią, ani z podskarbstwem dawane jednemu nie będą; królowa nie ma się mieszać do spraw Rzplitéj. Dwór nie będzie się osadzał cudzoziemcami; Kamieniec Podolski, Bar, Białacerkiew, Kraków, Lubowniа i Lwów opatrzone zostaną". Ale nie uprzedzajmy czasu. Skoro Lubomirskich i Zamojskich uspokojono, Dębicki uniesiony chęcią pokazania się gorliwym, zabrawszy głos wyrzekł: „że stronnictwo Kondeusza coraz bardziéj wzrasta, chociaż on, na mocy wykonanéj przysięgi, niezdatnym jest do korony Polskiéj." Oborski kasztelan Warszawski przeciwnie utrzymując dowodził, że żadne prawo nie może odejmować wolności mianowania którego zechce z kandydatów. Okrzyknęli go posłowie. Znagła srożyć się, grozić jedni drugim, a nawet porywać się do broni zaczęli! Jużby może przyszło do rozlewu krwi obywatelskiéj, gdyby Potocki za radą roztropniejszych nie nakazał posłom ustąpienia z senatu i udania się do okopu. Tu gdy zasiedli w miejscach, jedni nastawali o karę na Oborskiego jako krzywoprzysięzcę w kapturze gieneralnym, inni osobny sąd ustanowić radzili. Dębicki rozprawiał z zapałem że się nietylko wieści o stronnictwie Kondeusza wzmagają, ale że sami senatorowie publicznie i bezwstydnie ogłaszają za nim, mimo wykonanéj przysięgi. „Już się téż taić nie trzeba, wyrzekł po nim Pękosławski, że źródło wszelkich nieszczęść z niegodziwych rad senatu wypływa. Oto są jawne téj prawdy dowody". Tu okazywał list bezimienny, w którym się zawierało, iż 25 maja odbywały się potajemne narady 12 senatorów u prymasa, że ten żądał od nich aby się podpisali na Kondeusza upominając, iż chociaż przysięgli, tedy w tém sumienia nie obciążą jako byli przymuszeni, że ks. Nejburski Turków

Tatarów i kozaków, jednał przez wysłańców, aby przy ich pomocy łatwiéj mógł dopiąć celu życzeń swoich, iż przez elektora i Szwecyą za króla przeznaczony, na ustroniu bez wiedzy szlachty, od samych panów jest już wybrany. Długo zastanawiano się nad temi dosyć podobieństwa do prawdy mającemi wiadomościami, aż się zgodzono wysłać niektórych z pośrodka siebie do senatu z zapytaniem, czyli wieści rozgłoszone są prawdziwe i z żądaniem kary na Oborskiego. Prymas wysłuchawszy spokojnie przełożeń, świadczył się Bogiem i sumieniem, iż się nie poczuwa do podobnych zarzutów. Oborski zaś nieszczęściu to swojemu przypisywał, że krzykiem stłumiony, tego co chciał nie mógł powiedzieć, a chciał okazać równą niezdolność Kondeusza i ks. Nejburskiego, jako równe szerzących przekupstwa; wyznał daléj że obudwu jednakowym jest nieprzyjacielem, a wreszcie prosił o darowanie jeżeli w czém mimowolnie Rzplitéj zawinił. Uwierzono piérwszemu gdy zarzut jedynie na bezimiennym liście się wspierał; przebaczono drugiemu, i tak w senacie jak w kole na czas niejaki umorzone zostały niezgody, by później z większą gwałtownością wybuchnęły.

Piérwszych dni czerwca zaczęły się województwa pod Warszawę zgromadzać. Posłowie kandydatów zyskali pozwolenie zbliżenia się do stolicy. Pomnożono przekupstwa gdy pospólstwo za jakąśkolwiek nagrodę głosy przedawało. Francuzcy, jak dawniéj, działali skrycie; Lotaryńscy i Nejburscy jawnie. Większéj jednak liczbie najbardziéj przypadł do serca ks. Karol, już dla przymiotów osobistych, już też przez zręczność posła Szawaniaka (Chavagnac) który nie mogąc panów od sprzyjania Francyi odciągnąć, uprzejmością i niezmiernemi obietnicami tyle

szlachtę ujął, iż łatwo pozyskani przez niego mówcy, burząc ją na senat przejednany do oświadczenia się przeciw Kondeuszowi skłonili. Za tych nastawaniem powstały tysiączne głosy na Francuza i panów, i natychmiast nierozważne to mnóstwo surowo zaleciło posłom, aby Kondeusza zpomiędzy kandydatów wyłączyć. Marszałek Potocki chociaż mu sprzyjał szczerze, widząc jednak ciągłe naleganie koła (5 czerwca), na czele jego wszedł do senatu. Zmieszał się on na uczyniony wniosek i mimo nalegania posłów opiérał się długo. Przystąpiono więc do wysłuchania zdań pojedynczych senatorów. Prymas zapytany oświadczył: iż imieniem całego senatu odpowiadać nie może, ale jako obywatel zapewnia, iż chętnie zgodzi się na tego, który wszystkich zezwoleniem będzie wybrany. Za nim, lubo okrzyk powszechny dał się słyszéć, że podobna wymówka nie czyni zadosyć woli publicznéj, poszło wielu biskupów i wojewodów. Sobieski ufny w potęgę hetmańską gniéw tylko tłumiąc powiedział: „nawykłem już wprawdzie ustępować zdania swojego dla zgody powszechnéj, lecz jeżeli mam być z równą zaciętością naglony do wyłączenia innych kandydatów, chętnie obrady opuszczę i raczéj złożę marszałkowski urząd, aniżeli ścierpię przewodzenia szlachty." Pac kanclerz W. ks. Lit. obojętną mową zdawał się na wyłączenie zezwalać, naśladując wielu, którzy ani żądaniu szlachty nie uczynili zadosyć, ani się téż piérwszych życzeń pozbyli. Przeciwnie postąpił biskup Kujawski Czartoryjski Floryan. Wyrzekł on otwarcie: „Wolą jest Boską by Kondeusz wymazanym został z listy kandydatów, gdy tak ważny interes nietylko z zapałem jest popiérany, ale nadto z dziwną zgodą dobrych obywateli."

Zacność i wziętość osoby stała się hasłem następnie dającym głosy. Nie zważano na pogróżki Besiera iz Polskę opuści, wszyscy się już prawie na wyłączenie zgodzili; gdy wtém Morsztyn, Rej i Denhoff przystąpiwszy do arcybiskupa radzili, by tę materyą na czas inszy odłożył. Niezmierny krzyk połączony z obelgami wzniósł się na takowy postępek. Tém zmuszeni powrócili na miejsce. Uciszyło się nieco i daléj głosy zbiérano. Gdy ukończono, wstał Dębicki a powinszowawszy Rzplitéj, że wzajemne zaufanie powróciło do serc braterskich, prosił prymasa, aby w istotném oświadczeniu się za wyłączeniem Kondeusza, odpowiedział oczekiwaniu narodu. Upornie milczał prymas, kiedy jeden z posłów: „Ponieważ, rzekł, książę jegomość z Prażmowa funkcyi należytéj urzędowi swojemu nie pełni, prosimy więc pana Krakowskiego jako piérwszego w państwie senatora, aby nam przewodniczył; wszak téż to nie papieża obiéramy, możemy się obejść bez księdza (13)." Nadto wstydem i gniéwem miotany arcybiskup, powściągając tylko zapalczywość, w ułożonych wyrazach mówił: „iż więcéj uczynił dla Rzplitéj niż od niego żądano, kiedy się tak znakomitego i każdemu należnego prawa pozbawił, bez głosowania zezwalając na zgodnie wybranego króla." Przecież i tą mową nie zaspokoił umysłów. Karwicki podsędek z Nowego Miasta ostre mu zaczął czynić wyrzuty, o przedajność i mniéj przyzwoite postępki w życiu domowém. Tego gdy niewzruszony słuchał, Piaseczyński starosta Bracławski do prośb się udał zaklinając, aby się zlitował nad ludem żądającym koniecznie jego oświadczenia, i za przykładem tylu biskupów dostojnością i świętością

(13) Pasek.

mu równych zezwolił na wyłączenie Kondeusza. Błagali go inni, że nareszcie ów prymas odkazujący się niedawno, iż piérwéj poniesie męczeństwo niżby innego jak Kondeusza królem mianował (14); skłoniony prośbami jak gdyby z kolei rzeczy ludzkich szydząc, ze spokojną twarzą wśród zgiełku wyrzekł donośnie: „I ja wyłączam;" opuściwszy imię Kondeusza, ktoremu sprzyjać nie przestał. Po oświadczeniu tém najzaciętszego stronnika Francyi i naczelnika Rzplitéj, nikt już więcéj odezwać się nie śmiał, ani protestacyi nie zaniósł z obawy szlachty która się coraz liczniéj zgromadzała. Tak upadło stronnictwo Francuzkie od wielu lat niezmiernemi summami Ludwika XIV utrzymywane, i do tego stopnia pewne swoich nadziei, że Kondeusz zupełnie już był gotów do podróży, i kazał bić medal z okoliczności mającéj nastąpić elekcyi.

Z upadkiem jego, znikła i nadzieja możnych uwolnienia Rzplitéj od przemocy plebejów szlachty, jaksię Sobieski w liście do króla Francuzkiego wyraził(15). Prócz tego bowiem że byli wszyscy prawie pensyonowani, przecież widząc do jak nieszczęśliwego stanu przyprowadzoną została Polska przez elekcye, zrywanie sejmu, chcieli przy powadze najpotężniejszego z ówczesnych panujących, zaprowadzić rząd monarchiczny, a zczasem zupełnie nadużycia poprawić. Los Polski i sąsiedzi od Jana Kazimiérza szczególniéj, nabiérający wpływu do interesów państwa, chcieli inaczéj, i do wyłączenia największego z bohaterów dzielnie się przyłożyli.

Gdy tedy z tylu podających się do korony Polskiéj, dwóch tylko już pozostało, między nich więc naród się

(14) Puffend. lib. 10. (15) Rhulier.

podzielił. Większa część szlachty sprzyjała ks. Lotaryńskiemu, panowie za wolą Francyi mieli przystąpić do ks. Nejburskiego. Przecież brali oni sowite nagrody od obudwu i w miarę zapłaty, oświadczali się za tym, lub za owym. Na intrygach tracono czas drogi, rzadki myślił o całości kraju. Na to jedynie powszechna stanęła zgoda, by dać audyencye cudzoziemskim posłom, a naprzód nuncyuszowi papiezkiemu. Dnia 6 czerwca prymas na czele senatu wszedł do koła, gdzie skoro senatorowie zasiedli przy posłach swoich województw, zalecił wyjść 6 wojewodom i 2 biskupom naprzeciw legata. Wpośród rozstawionych chorągwi od miasta do okopu poprzedzany przez 126 pańskich powozów i liczną młodzież wspaniale przybraną na dzielnych koniach siedzącą, przybył oczekiwany nuncyusz. Wprowadzonemu do koła wszyscy powstawszy okazali uszanowanie. Prymas między sobą i biskupem Krakowskim miejsce naznaczył. Czytano potém list papiezki do senatu przez referendarza duchownego, do stanu zaś rycerskiego przez marszałka poselskiego. Treść ich była, aby wybrano zgodnie króla katolickiéj religii, i że aby to z pożytkiem całego chrześciaństwa nastąpiło, Ojciec święty Rzplitéj, apostolskiego błogosławieństwa udziela. W podobnéj myśli miał mowę nuncyusz na którą mu prymas imieniem senatu, a marszałek od koła w języku Łacińskim odpowiedzieli. Poczém legat o godzinie 9 wieczorem, w porządku jakim przybył, do Warszawy powrócił. Z podobną okazałością nazajutrz był przyjmowany Szafgocz poseł cesarza Niemieckiego Leopolda. Wprowadzony do koła przez deputatów ze stanu rycerskiego i senatorskiego (ale tylko świeckich) pomiędzy marszałkiem wielkim koronnym i marszałkiem poselskim zajął przeznaczone miejsce. Li-

stów cesarskich nie oddawał, napomniony prywatnie od arcybiskupa że opuszczenie tytułu *serenissimae Reipublicae* stanom przyjemne być nie może. Czytał więc tylko mowę, że życzeniem najszczérszém jego pana jest zachowanie przyjaźni z Rzplitą, i że zaleca ks. Neiburskiego o którego stałości w wierze katolickiéj, dojrzałym wieku, i doświadczeniu w kierowaniu spraw, napomknął. Nie gorliwiéj i poseł Szwedzki Klaudiusz Toff mówił (15 czerwca) za tym książęciem. Lecz Howerbek (11 czerwca) co tylko można było za nim powiedzieć, wszystko wyraził, a między innemi: że elektor nie z własnych widoków, ale za radą Lubomirskiego, naprowadzony został na myśl popierania księcia Filipa; że przymierza z Francyą, Szwecyą, względem niego zawarte, swobodę krajową miały zawsze na celu, i że z niczyjego wyniesienia tyle korzyści Rzplita nie odniesie, ile spodziewać się może z tego, a to jak dla jego przymiotów, tak dla przyjaźni ze wszystkiemi Europejskiemi mocarstwami. Odpowiedzi takież i przez tychże co i nuncyusz odebrali.

Poseł Francuzki Besier, według instrukcyj publicznych miał także imieniem pana swojego na mocy układów z elektorem zalecać księcia Filipa, lecz gdy w dniu poprzedzającéj audyencyi po Szafgoczu pośle cesarskim wymówił się słabością, odłożono ją na poniedziałek Zielonych Świątek. Tymczasem w samą niedzielę okropny pożar wszczął się w stolicy. Trzecia część prawie miasta ówczesnego, albo spłonęła ogniem, albo przez szlachtę gromadzącą się na elekcyą złupioną została. Nie masz rodzaju zbrodni którejby w tym nędznym stanie miasta nie spełniono. Jak gdyby po wzięciu szturmem, widzieć się dawały na ulicach roty łupieżców potykających się z mieszkańcami o szczątki uratowanego majątku.

Dzień okazał sprawców i nienagrodzone szkody obywatelów. Stany jednak zgromadzone, ani kaptur gieneralny, żadnéj sprawiedliwości na skargi zaniesione nie wymierzyły, i owszem milczeniem zdawały się uprawniać postępki szlachty. Większa lub mniejsza okazałość posła zaprzątała jedynie próżne umysły. Po Besierze spodziewano się najwspanialszego wjazdu, rozumiejąc że z téj przyczyny wybrał dzień świąteczny. Przecież zawiedziono się zupełnie, gdy odpowiedział, iż nie potrzebuje posłuchania, ponieważ piérwszego książęcia ze krwi jego pana wyłączeniem znieważono, i że się obawia, aby i samego króla jakowa wzgarda przy audyencyi nie spotkała, chociażby ks. Filipa zalecał. Posłowie urażeni tak wyraźną odmową żądali od senatu, aby z granic Rzplitéj wyjechać rozkazał; ale nie stało się ich woli zadosyć, kiedy jak się zdaje panowie mając jakieś nadzieje wyniesienia Kondeusza w rozdwojeniu narodu pomiędzy księciem Nejburskim a Lotaryńskim, sami Besierowi radzili za inszemi się nie oświadczać, bo przez toby wielu jeszcze sprzyjających Francyi potajemnie mogło się zupełnie od jéj stronictwa oddalić a z przeciwnemi połączyć. Sami się więc już tylko posłowie kandydatów zostali, i dla tych dzień 12 czerwca na posłuchanie przeznaczono.

Wcześnie zebrał się senat i stan rycerski do koła. Według rozporządzenia wprowadzeni naprzód Lerard i Boimburg posłowie ks. Nejburskiego, jeden list do Rzeczypospolitéj, drugi do prymasa oddali. Po przeczytaniu ich przez referendarza, Boimburg w wymownym głosie dziękował przedewszystkiém stanom, iż panu jego pozwalają być w liczbie kandydatów, daléj wynosił szlachetność jego domu z którego wyszło tyle cesarzów

i królów, wreszcie przypominał spokrewnienie z Wazami i chęć Władysława IV widzenia królem Polskim ks. Filipa. Wyliczał potém jego przymioty umysłu i ciała, jako też wyborne posiadłości nad Dunajem i Renem, które wszystkie prawie, na użytek Rzplitéj obróci i tak urządzi iżby cały mógł się poświęcić jéj sprawom; los synów poda rozrządzeniu stanów. Kwarcyanom za lat 10 żołd zaległy, 5,000,000 złp. wypłaci, podupadłe warownie naprawi, a w potrzebie nowe wystawi; ćwiczenia rycerskie przywróci; dwustu szlachetnéj młodzi idącéj na zwiedzenie obcych krajów ze swojego skarbu da coroczne utrzymanie; przyjaźń z sąsiadami zachowa; lecz gdyby który krzywdę wyrządził państwu, zemści się tego, a naprzód Tatarskie napady powściągnie. Nakoniec nim Rzplita przyjdzie do dawnéj świetności, uwolni ją przez ten czas od wszelkich podatków. Jak mowę, lubo jéj dla wielości obietnic nie zewszystkiém wierzono, tak mówcę równie chwalono (16).

Po otrzymanéj odpowiedzi od prymasa i marszałka koła, że Polacy tego obiorą którego im przeznaczyła Opatrzność, posłowie powrócili do miasta.

Nim godzina wysłuchania posłów drugiego kandydata nadeszła, dozwolono Putkamerowi i Szubertowi internuncyuszom ks. Kurlandzkiego Jakóba, zlecenia do Rzplitéj wyłożyć. Miejsca im nie pomiędzy marszałkami, jak obcych dworów posłom, ale jako lennika na prawéj stronie między województwami Pruskiemi naznaczono. Ci w mianéj mowie uskarżali się na uciążliwo-

(16) Niektórzy tylko co i w rzeczach poważnych znajdują z czego żartować, śmieli się z tego, że ks. Nejburski chcąc się we wszystkiém Polakom przypodobać, zastosował się do ich zwyczaju, przysyłając posła łysego, który peruki nie nosił. Puffend.

ści od wojska Litewskiego, na nieposłuszeństwo szlachty powiatu Piltyńskiego i prosili, aby wolno było książęciu nabyć dobra ziemskie w Koronie lub Litwie dla opatrzenia synów. Zezwolono na prośbę, zażalenia przyobiecano ułatwić przy koronacyi przyszłego króla.

Wprowadzono potém do koła, posła hana Tatarskiego. Ten zająwszy miejsce na krześle w pośrodku stojące (gdyż na kobiercu podług zwyczaju swojego usiąść nie chciał, dając za przyczynę nieprzytomność królewską) przez tłómacza powitał przyjacielsko Rzplitę i oświadczył, że han szczerze dochowa paktów Podhajeckich byle mu haracz obiecany zapłacono. Prymas wzajemnie przez tegoż tłómacza zapytawszy się o zdrowie hana i jego familii powiedział, że Polska pragnąc z Krymem pokoju, dotrzyma obietnic. Poczém ruszył się z miejsca poseł i oddawszy listy arcybiskupowi i marszałkowi doniósł, iż ma wiele zleceń do stanów. Otrzymał odpowiedź że później wysłuchany będzie, skoro listy przeczytane zostaną.

Już też zbliżali się posłowie ks. Lotaryńskiego, kiedy Małachowskiego referendarza koronnego wezwano do przeczytania listów króla Angielskiego, aby nie czasu w dniu tym nie tracić. Listy te uprzejmie do wybrania ks. Nejburskiego zachęcały Rzplitę. Zaledwie ukończono, odbyli wjazd wspaniały Lotaryńscy posłowie. Po przeczytaniu listów w których to tylko nie podobało się arcybiskupowi, iż w tytułach żadnéj wzmianki o jego dostojności nie uczyniono, ale zresztą najuprzejmiejszych i pełnych uszanowania dla Rzplitéj, podniósł głos ksiądz Riket (17), i nim wszystkich zachwycił. Chwalił

(17) Piérwszym posłem był hr. Chavagnac, lecz że nie umiał po Łacinie, zastąpił jego miejsce do pomocy mu przydany l'Abbé Ri-

on naprzód starożytność domu Lotaryngów już w wojnach krzyżowych sławionych, zalecał daléj ks. Karola młodość zdolną do nauczenia się języka Polskiego, sztuki rządzenia i nawyknienia ku zwyczajom Polskim, wynosił potém jego osobiste przymioty, umiejętność języków siedmiu, a to najbardziéj że go nikt obcy nie zalecał, przez co za osiągnienie korony, samemu tylko narodowi byłby winien wdzięczność. Nakoniec przyobiecywał, że da rocznie 500,000 ze swoich dochodów na wykupienie złéj monety, że wojsku żołd zaległy wypłaci, ciosanym kamieniem Wisłę pod Warszawą wyściele, tamże most zmuruje, handel wesprze, 4,000 wojska na użytek Rzplitéj wystawi, szkołę dla 100 szlacheckiéj młodzieży w Pont-á-Mousson założy, żonę za wolą stanów pojmie i że gotów walczyć ze wszystkiemi przeciwnikami. Zresztą nic w téj mowie nie opuścił, coby albo dostojność książęcego domu wynosiło, albo czynić mogło zaszczyt Rzplitéj lub zjednać łaskę u szlachty. Dlatego też z nadzwyczajnym zapałem ją przyjęto nie upatrując w niéj nic lichego, ani niepodobnego do wykonania. Odpowiedziano jednak jak poprzedzającym, ale oklaski i okrzyki powszechne szlachty okazywały, ile ci przewyższyli tamtych. Jakoż gdyby nazajutrz, który był dniem przeznaczonym na elekcyą, przystąpiono do głosowania, pewnieby ks. Karol został wybrany.

Przecież gdy niewiele postąpiono w poprawieniu nadużyć, poczém dopiéro miała nastąpić elekcya, posłowie radzili ją na dzień 19 czerwca odłożyć, przychylił się do

quet którego Zawadzki, Abbas zowie. Co do pamiętników Szawaniaka te są jego samego dziełem nie zaś Auszlica, jak Jonsac w życiu Jabłonowskiego mniema. Dobre się w nich rozczytanie jako też życie Auszlica nigdy w Polsce niebędącego, najlepszym są téj prawdy dowodem.

tego senat i województwa już zgromadzone, do których się odwołano lubo po długim oporze. Nie więcéj atoli i przez ten czasu przeciąg zdziałano.

Jak zwykle w licznych zgromadzeniach trudno utrzymać porządek; tak w Polce wśród szlachty sądzącéj się wyższą nad prawa, było niepodobieństwo. W okolicach rabunki, napady i zniszczenia, w kole okazywało się niezmierne ludu mnóstwo, chociaż wszyscy podług województwa za okopami stać byli powinni. Wszędzie pełno mówiących i krzyczących, wszędzie głosy grożące i burzliwe słyszano. Senatorowie będąc przedmiotem hałasów, przestawali na obrady przyjeżdżać. Urażona tém bardziéj szlachta z największemi pogróżkami zaleciła, aby ktokolwiek szczycił się brata starszego imieniem stawił się w kole we trzech dniach ostatnich, kiedy najważniejsze sprawy mieli roztrząsać. Uczyniono zadosyć ich woli 17 czerwca. Jednego tylko arcybiskupa brakowało. Zaczęły się narady. Senatorowie jednak zamiast kończenia spraw pilniejszych, chcąc się pozbyć przytomności województw niemogących na upale i bez żywności dostatecznéj dłużéj się bawić, wnieśli aby przedłużyć sejm nad czas zamierzony dla poprawienia nadużyć. Gdy zaś szlachta odpowiedziała iż na to żadnym sposobem zezwolić nie może, udali się do zwyczajnego kłócenia sposobu Rzpltéj! Jedni żądali ks. Nejburskiego listu podanego do kanclerza Olszewskiego; przeciwni uwiadomili, iż prymas list od ks. Lotaryńskiego odebrał. Wysłano po niego 3 deputatów, a tymczasem zajęto się czytaniem piérwszego, który bez oporu wydał Olszewski, będąc przeciwnym książęciu (18).

(18) Już dla przyczyn w cenzurze wyrażonych, już dla urazy prywatnéj, że poseł jego Gizyusz dosyć długo przy dworze Jana

Prosił on, aby się za nim bez obawy oświadczył, gdy za radą i naleganiem znakomitszych panów już warunki względem zachowania swobody i elekcyi podpisał; oburzyło to wszystkich na senatorów, kiedy wysłani do arcybiskupa wrócili i list żądany przynieśli. Marszałek koła posunąwszy nieco krzesło na środek przystąpił do jego czytania. Wtém stronnictwo Lotaryńskie wzniosło krzyk straszny. Zrywano się z miejsca i pogróżkami głos marszałka stłumiono. Wstrzymał się on od przedsięwzięcia, lecz tém zamieszaniem wzbudzone województwa za broń się porwały. Szlachcic jeden z Łęczyckiego, które zaraz nad kołem stanęło zawołał: „Nie odzywajcie się Kondeuszowie, bo tu kule mogą posypać się (19)" Senator pewny odpowiedział mu nieco ostro. To było przyczyną iż powstała wielka wrzawa, ognia nawet dawać zaczęto. Poruszony tém ks. Czartoryski biskup Kujawski, otrzymawszy głos od marszałka koronnego (gdyż obadwa marszałkowie prezydowali naówczas), naganiał zamieszanie w naradach, karcił porywczość gwałcących bezpieczeństwo publiczne przez wystrzały i żądał od marszałka w. koron, aby jako ojciec czynności publicznych, rozruch uśmierzył. Sanowny ten kapłan posunął jeszcze wyżéj śmiałość i udawszy się do bramy Wielkopolskiéj (20), napominał województwa żeby

Kazimiérza rezydując, świadomy mającéj nastąpić abdykacyi, zamiary względem wyniesienia pana swojego wielom otwiérał, we wszystkiém na Denhoffowéj podkomorzynéj koronnéj Jana Kazimiérza faworycie polegając, z którą Olszewski jakieś miał zajścia, temu zaś nic nie wspominał mniéj go sobie ceniąc. Załuski fol. 124.

(19) Pasek.

(20) Trzy były bramy w okopie przy których województwa stały. Małopolska na południe, Wielkopolska na zachód, a Litwa na wschód, tak jakie było położenie okopu tych prowincyj względem pola elekcyjnego między Powązkami a Wolą.

się skromniéj zachowały, gdy wtém jakiś dyssydent Rawianin odezwał się po pijanemu: „na was to księża te bronie są przygotowane i te postrzały idą." Umilkł natychmiast biskup i do koła powrócił, a dyssydenta stłumiono powszechnym okrzykiem. Lecz kiedy jedni naganiali mowę, drudzy o osobę się biedali, rozeszła się nagle pogłoska, iż gwałcą prawa obywatelskie. Gniéwem zapalona szlachta jak gdyby szło o całość swobód, w jednéj chwili z kilkudziesiąt tysięcy karabinów wystrzeliła. Żołnierze stojący przy okopie poszli za tym przykładem. Kule wpośród koła świstały. Senatorowie przestraszeni z miejsca się ruszać zaczęli, zniżać, pod krzesła się nawet chować. Niektórzy przewidując większe jeszcze nieszczęście do bram uchodzą, ale hańbą okryci i obelgami nakarmieni, przyłożonemi do piersi swoich pistoletami, ze wstydem odepchnięci zostali. Dwóch ludzi trupem padło, trzeciemu rękę strzaskano. Nie ubłagały szlachty te ofiary. Rozpędziwszy piechotę obstąpiła koło, krzyczano zewsząd: „wytniemy was, nie wypuścimy z rąk, darmo mieszacie Rzpltą, inszych senatorów postanowimy, z pośrodku siebie króla obierzemy jakiego nam pan Bóg poda do serca (21)." Słusznie naówczas można było powiedzieć, że senat jest w oblężeniu, a cała Rzplta własnemi siłami pracuje na okropny upadek któryby był może nastąpił, gdyby grożącego niebezpieczeństwa, błagania wziętość mających obywateli, prośby i napomnienia nie oddaliły. Powróciła spokojność. Senatorowie z wielkiego przestrachu nieco ochłonąwszy, rozjechali się do gospód. Marszałek na dzień następujący sessyą odłożył.

(21) Pasek.

Nazajutrz (18 czerwca) województwa stały w obozie i w pole nie wychodziły. Posłów nie wielu przybyło do koła. Senat zgromadził się w zamku (22). Tu prymas uskarżywszy się nad okropném położeniem senatu w dniu wczorajszym, badał jakby zaradzić bezpieczeństwu publicznemu i czyliby nie znalazł się sposób powściągnienia szlachty od mieszania obrad. Doniósł potém, że marszałek w. koron. rozesłał do województw listy w tym celu; na co odpowiedziano zaraz, iż listów tych szlachta nie przyjęła gdyż nie potrzebowała tam namowy i upomnienia, gdzie szło o całość kraju. Wreszcie z największym zapałem dowodził, że interesem jest Rzplitéj aby jaki porządek elekcyi przepisano, jak o tém przodkowie myśleli. Wiele po nim było głosów, ale wszystkie więcéj burzliwości i zażaleń na zuchwałość szlachty, aniżeli rad zawierały. Rzekłbyś że brakło już senatowi Polskiemu na mężach, kiedy powstał kasztelan Lwowski Maxymilian Fredro i, „nie trudno, rzekł, zaburzenia uśmierzyć, bo mocną mam nadzieję iż bracia postrzegłszy jak dalece szkodzą Rzplitéj nierozsądną płochością, sami żałować będą swego postępku. Ale wybrać króla w takiém poróżnieniu umysłów i zapaleniu stronnictw, nie podobną jest rzeczą trybem zwyczajnym. Ja więc sądzę aby na jeden dzień nakazać post i nabożeństwo po całém królestwie, dnia zaś następującego

(22) Dnia 18 we wtorek. Nie było w polu pospolitego ruszenia, bo każde województwo miało *seorsivum concilium* namówienia *securitatis*. Senatorowie mieli narady u prymasa w zamku, bo się tam był *ante biduum* z pałacu swojego Stawków przeniósł, i innych wiele senatorów i urzędników bojących się od pospolitego ruszenia *aliquam impetitionem et invasionem ex occasione* fakcyi. Ze stanów mało co było w kole z téj przyczyny i dla wiatru gwałtownego. Dyaryusz MS.

wypisać imiona obudwu kandydatów na dwóch kartkach i te włożyć w poświęcony kielich. Z tego niechaj dziecię trzechletnie jednę wyciągnie, a czyje imię na niéj będzie napisane, królem Polskim, za sprawą Boską, zostanie. Tym sposobem wszystkie fakcye, intrygi i poszwarki ustaną, a co nie mniejsza, unikniemy nienawiści i gniewu obcych monarchów". Mówił następnie ze zwykłą wymową obszernie o użytku tego projektu, a zakończył nareszcie, iżby za bezbożnego nieprzyjaciela kraju tego uważać, ktoby się tak wybranemu królowi przeciwił. Biskup Kujawski oświadczył toż zdanie, z największą skromnością przekładając jego użyteczność. „Na cóż Polacy, rzekł między inszemi, mamy się unosić zbytniém przywiązaniem do kandydatów i dla ich sprawy krew obywatelską przelewać, kiedyśmy żadnemu jeszcze posłuszeństwa nie przysięgli? Śmierć raczéj obudwu oglądaćby należało, aniżeli śmierć jednego obywatela (23)." Skutku jednakże nie wzięły te rady kiedy inni z obawy szlachty, któréjby przez to odjęła się wolność obierania królów, wcale ich nie popierali, a owi senatorowie od bram odepchnięci, zaczęli zhańbienie swoje opłakiwać. Na ukończenie ich skarg Dębicki, jako deputat do exorbitancyi przytomny w senacie zapewnił, że bracia już nad owym postępkiem ubolewają i że na znak żalu skromniejszemi się okażą, stawając na obrady nie wszyscy jak pierwéj, ale tylko wyprawiając posłów. Naówczas prymas usilnie zagrzewał senatorów do namówienia województw aby o pół ćwierci mili przynajmniéj od szopy stawały, a deputowani od nich bez broni przy-

(23) Mowy cytowane jeżeli nie są przywiedzione z Paska gdzie się nawet wystowienie ówczesne zachowuje, tedy wybrane z Zawadzkiego historyi.

chodzili do koła, dla ułożenia paktów konwentów. Rozjechali się senatorowie do szlachty i używszy całéj dzielności wymowy jaka tylko w republikanckim narodzie panuje, złagodzili rozjątrzone na siebie umysły i do wypełnienia piérwszéj części woli senatu skłonili. Nie więcéj jednak nad 300 osób przybyło do koła. Tu sam marszałek powstał i na zuchwałość szlachty się skarżył. Deputowani mniéj skromnie odpowiadać zaczęli, wszczeła się wrzawa. Potocki rzucił laskę na środek i chciał składać urząd. Dębicki zabronił mu tego w imieniu prawa. Uciszyło się wreszcie, ale to tylko stanęło, aby nazajutrz do wyboru króla przystąpić.

Dzień więc 19 czerwca przypadający we środę był dniem, który tak wielu lat zabiegi, prace i wydatki niezmierne bezskutecznemi uczynił; dniem, w którym dwa stronnictwa zniszczyć się nawzajem usiłujące, trzeciemu nadspodziewanie do tronu drogę usłały. Pogodne niebo, przyjemne powietrze, ani upał, ni też wiatr zbyteczny, jak dozwalały wystąpić w całéj okazałości województwom na pole elekcyjne, tak czyniły niejaką wróżbę przyszłéj zgody umysłów; 90,000 szlachty przy okopach stanęło. Połysk zbroi, przepych rynsztunków, rozmaitość ubiorów, powiewające chorągwie podnosiły umysł i zarazem napełniały go przestrachem. W kole marszałek stanu rycerskiego o 10 godzinie zaczął sessyą, chociaż Prażmowskiego, Sobieskiego i wielu innych brakowało. Po uczynieniu wniosku, iżby w dniu tym nie zaprzątać się żadną inną sprawą, prócz mianowania króla, przystępował do czytania paktów konwentów. Ale już to skrycie działająca strona Kondeuszowska, już téż jéj naczelnicy Sobieski i Pacowie, nie ułożywszy jeszcze z posłami kandydatów osobistych interesów,

i chcąc na nich więcéj jeszcze wymódz pod pozorem miłości dobra publicznego, namowami skłonili Mazurów i część Litwy do żądania poprawy wszystkich exorbitancyj (24). Podolanie o niezwłoczne wzmocnienie Kamieńca nalegali, wielu téż utrzymywało iż nie należy przystępować do elekcyi przy zbyt szczupłéj liczbie senatorów. Ale Wielko i Małopolanie zawołali, że ani chwili na dzień dzisiejszy nie pozwolą, nie mogąc upałów i pragnienia dłużéj znosić. Widząc to kanclerz Olszewski wniósł, aby exorbitancye zaczęte po obraniu króla przez deputatów kończono, teraz zaś uwiadomiono senatorów iż jeżeli się na godzinę 1 po południu nie stawią, naród bez ich uczestnictwa pana ogłosi. Usłuchano rady, a tymczasem spędzono czas na sprzeczkach. Starający się o odłożenie elekcyi, nic dokazać nie mogli, a wysłani do arcybiskupa donieśli, że się słabością wymawia. Po uderzeniu więc piérwszéj godziny, podkanclerzy powstawszy i wybadawszy wolą szlachty, zachęcił biskupa Poznańskiego Stefana Wierzbowskiego jako miejscowego pasterza, aby wystąpił na środek i wezwawszy ducha śgo, zgromadzenie pobłogosławił. Wahał się nieco biskup z obawy gniewu prymasa; ulegając jednakże prośbom wielu, przemówił do ludu o uszanowaniu obrzędu świętego, padł na kolana przejęty duchem pobożności i lice łzami zrosiwszy, donośnym wreszcie głosem hymn o duchu ś. zaśpiewał. Przyklękła nabożnie wszystka szlachta i w tłumie zaczęty śpiéw ukończyła. Poczém pożegnawszy województwa i dawszy im błogosławieństwo, do stanowisk rozpuścił. Województwa w pospolitém ruszeniu zgromadzone stały za okopami, które

(24) Dyar. Zawadzki. *Chavagnac.*

zaś tylko posłów wyprawiły, jak Litwa cała, Prusy, Wołyń i Podole w kole naradzać się miały. Nadjechało wtém wielu senatorów i przyłączyło się do swoich. Ks. Nejburski, lub Lotaryński byli celem, do którego wszystkich chęci zmierzały. Prawiono za tym i za owym jak komu interes doradzał; naród cały pomiędzy nich się podzielił. Często jedno województwo miało obadwa stronnictwa; pomnażały się sprzeczki, wzmagało zamieszanie. Już obawiano się wojny domowéj, już się porywano do szabel, kiedy rozsądni mężowie zawczasu to przewidując, *Piasta* za stronę pośredniczą wystawili. Zwrócono na niego uwagę, lecz któregoż Piasta wśród tylu domów zamożnych i emulujących? Wielu którego z Radziwiłłów znanych Francyi, miłych Austryi, spokrewnionych z elektorem i wziętych pomiędzy szlachtą podawało. Okrzyknęli ich zaraz Pacowie i rozruch powstał niemały. „Nam nie potrzeba bogatego pana, zawołano w województwie Brzeskiém Kujawskiém, bo on będzie bogatym zostawszy królem Polskim; nie trzeba nam zpowinowaconego z monarchami, bo to jest niebezpieczeństwo naszych swobód, ale nam trzeba męża wojennego. Gdybyśmy mieli Czarnieckiego pewnoby zasiadł na tronie, lecz go nam Bóg wziął, obierajmy jego ucznia, obierajmy Polanowskiego (25)." Przeciwnie Sandomierzanie mówili. „Niewieleby nam trzeba szukać króla, mamy go pomiędzy sobą. Wspomniawszy na cnotę i poczciwość przeciwko krajowi i na wielkie zasługi

(25) Pasek. Alexander Polanowski herbu Pobóg był naprzód, chorążym Sanockim, potém stolnikiem koronnym, sławny rycerskiemi dziełami. Niesiecki. Przy Pod-Hajcami pięknie się sprawił. Załuski fol. 13—15.

księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, słuszna by nam zawdzięczyć to jego potomkom. Owo jest ks. Michał, czemuż go nie mamy mianować; albo nie z dawnéj i wielkiéj familii, albo nie godzien korony?" Ks. Michał siedział skromnie w nic się nie wdając. Straciwszy bowiem przez wojnę kozacką cały prawie majątek, nie mógł nabyć pomiędzy obywatelami wielkiego znaczenia, ale też nie obrażał szlachty tytułem książęcia, nie wzbudzał zawiści możnych, tym zaś mniéj obawy w obcych monarchach. I z téj przyczyny właśnie głęboki polityk podkanclerzy Olszewski, znając dokładnie stan umysłów wszystkich stronnictw i zapobiegając wszelkim burzom jakieby z wybrania ks. Lotaryńskiego, Nejburskiego, Kondeusza lub którego z możnych panów Polskich niechybnie nastąpiły, ośmielił się go zalecić do tronu w książce mającéj tytuł *Censura Candidatorum*. Mówił on w niéj jak tylko można najpopularniéj do szlachty, przypominał świetność panowania Piastów i swobody przez nich nadane, wzbudzał niechęć ku obcym, twierdził iż tylko rodak może być wolnemi głosy narodu obrany, a kandydata zagranicznego narzucają magnaci; zapewniał że tamten wychowany w swobodzie zechce ją bardziéj jeszcze pomnożyć, ten będzie się starał ją stłumić, lub przynajmniéj ograniczyć, poruszał wreszcie pychę stanu rycerskiego że z pośródka siebie najprzyzwoiciéj króla wybrać może. Poczém przekładał emulacyą między Polską a Litwą i pomiędzy najznakomitszemi familiami. Jedynym zaś środkiem jéj uniknienia uznawał ks. Michała Wiśniowieckiego, którego ród z wielkich ks. Litewskich panujących w Polsce wynosił nad innych, a miernosć utrzymywała w równości. Z lubością czytano to pismo, lecz zysk do obcych wszystkich prawie pocią-

gał. Sam nawet Olszewski unikając szyderstwa panów oświadczył się za Lotaryńskim. Ale kiedy owemi listami które tyle uczyniły zamieszania odrażone zostały umysły tak od ks. Filipa jak od Karola, a teraz kiedy widziano że żaden z nich jednomyślnie wybrany być nie może, postanowiono iść za radą mądrego podkanclerza. Sandomiérzanie jednakże się jeszcze nie wszyscy na księcia Michała zgodzili. Wielu z nich wywoływało imię Dębickiego (26), niektórzy zaś ks. Lotaryńskiego. Województwo Kaliskie dopiéro, po mowie mianéj przez Stanisława Krzyckiego podkomorzego Kaliskiego, zgodziło się na ks. Michała. Od tego województwa głos przeszedł do Poznańskiego, gdzie wojewoda za Lotaryngiem, a kasztelan za Nejburgiem obstawali (27). Szlachta usłyszawszy imie Piasta jak gdyby natchnieniem powodowana, jednomyślnie królem go wykrzyknęła. Rozszedł się ten odgłos po wszystkich województwach. Łęczyckie i Kujawskie rozumiejąc, że los padł na ich Polanowskiego, złączyły się z Kaliskiém i Poznańskiém. Wkrótce cała Wielkopolska i Mazowsze zezwoliły na wybór Wiśniowieckiego. Sandomiérzanie chętnie na swojego współobywatela głos dali. Za tymi cała Małopolska z nadzwyczajnym poszła popędem. Nadaremnie panowie tracąc nadzieję zysku, upierali się przy swoich kandydatach; gdy pałasze podniesiono, ucichli. Województwa Ruskie i Bełzkie miały przy sobie hetmanów koronnych. Piérwsze pod Sobieskim ks. Nejburskiego, drugie pod Dymitrem Wiśniowieckim Lotaryńskiego stronę trzymało. Obadwa sprzeciwiły się mianowanemu Piastowi, potrzebując króla któryby miał zkąd wojsku żołd zaległy wypłacić. Ale i te odstąpiły

(26) Pasek. (27) Puffendorf.

uporu skoro szlachta inszych województw z dobytemi szablami krzykiem i groźbą przymusiła Sobieskiego umilknąć, a ks. Dymitr zachęcony z namowy Olszewskiego przez Silnickiego rotmistrza hussarzów łatwo się do wspierania brata stryjecznego nakłonił. Posłowie Pruscy jedni pod przewodnictwem Olszewskiego w okopach, drudzy daleko w liczbie znakomitsi mając prezesem biskupa Warmińskiego Wydżgę, za wałem radzili. Szły poselstwa od strony jednéj do drugiéj nawzajem, by przeciwnych do siebie pociągnąć. Wystawiali piérwsi za sobą prawo, drudzy liczbę. Na próżnych sporach czas upływał drogi, gdy wtém doniesiono iż zgodnemi głosy ks. Michała wybrano. Za radą Olszewskiego oświadczyli się za nim będący w okopie, lecz radzący za wałem oburzyli się i zdumieli, jak 10 posłów mogło iść przeciw zdaniu 300, którzy żądali księcia Nejburskiego, Stefan Wydżga jednakże, mąż światły, uproszony od podkanclerza roztropnie doradził aby uledz czasowi, okolicznościom, i przystąpić do braci. Za jego mową i przykładem wszystka szlachta i deputowani od miast Pruskich weszli do koła.

Powszechną zgodę spóźniało ociąganie się posłów Litewskich, którzy podzieleni między dwa emulujące domy Paców i Radziwiłłów, kierowani byli duchem jaki ich naczelników ożywiał. Radziwiłłowie chcieli mieć Nejburga, Pacowie Lotaryńczyka, a jak jedni tak drudzy pragnęli, by król przyszły im tylko samym winien był wyniesienie. Gdyż oprócz chęci poniżenia przeciwników i to także przystąpiło, iż nadwerężony majątek przez klęski i zbytki, żądali łaskami zobowiązanego sobie króla do lepszego stanu przyprowadzić. Wśród ciągłych sporów i niepewnych nadziei z przestrachem dowiedzia-

no się o wyborze przez szlachtę koronną Michała. Instrukcye wszystkich województw Litewskich wyłączały Piasta: to więc dało powód do niezmiernych kłótni, a następnie już przystąpionoby do gwałtowniejszych środków, albo do zerwania obrad i odłożenia elekcyi, gdyby Olszewski tyle dokazawszy, nie skończył z odwagą zaczętego dzieła. Przybrał on natychmiast imię posła od województw Polskich, pociągnął za sobą Czartoryskiego, Gembickiego, Tarłę i Tarnowskiego (28) i wraz z nimi do stanowisk Litwy pośpieszył. Tu mówili naprzód towarzysze przypominając jak Wielkie księstwo od 300 lat w jedno ciało złączone z Polską używa równych jéj swobód i że Wiśniowiecki lubo jest z rodu Polskiego, ze krwi książąt Litewskich pochodzi; daléj sam podkanclerzy zdziwionych nowością postępku zaklinał i prosił, aby się do szopy udali gdzie będą mieli dosyć czasu na rozwagę. Zmieszało to bardzo Radziwiłłów i Paców; odpowiedzieli, że jeszcze nie dosyć zgodne są głosy na ks. Michała i że z Krakowskiego coś inszego donoszą. Ale szlachta uprzejmie to poselstwo przyjąwszy zawołała, iż trzeba się do Polaków przyłączyć i z miejsc powstawszy, za podkanclerzem weszła do koła. Pacowie i Radziwiłłowie ulegli czasowi.

Tak, można powiedzieć, że jeden obywatel dał całemu narodowi króla. Gdyby albowiem na przyszły dzień odłożono elekcyą, napełniłyby się okopy uzbrojonemi stronnictwami, wzmogłoby się zaburzenie, a ztąd niechybnie w rozdwojeniu umysłów wyniknęłaby wojna domowa. Olszewskiemu zatém winien tron Wiśniowiecki, a Polska—iż bez rozlewu krwi elekcyą odprawiła.

(28) Biskupów Kujawskiego, Płockiego, wojewodę Sandomierskiego i kasztelana.

W kole tymczasem znakomitsza szlachta z województwa Sandomierskiego stanęła z kandydatem, z którym już wszyscy przytomni jako z panem rozmawiali. On w najskromniejszéj postawie skłoniony do ciągle winszujących zapłakał nad swoim losem (29). Lud zwłoki niecierpliwy i nowego króla oglądać pragnąwszy nieprzeliczonemi głosy naglił o jego nominacyą. Ale wszyscy marszałkowie jak wielka część senatorów, opuścili pole elekcyi i prymasa uwiadomionego przez Olszewskiego o zaszłéj zgodzie i śpieszącego do okopów wrócili. Rozgniewana szlachta już groziła rozsiekaniem woli swojéj nieposłusznych, kiedy Stanisław Lubomirski starosta Spiski wziął laskę, zastąpił miejsce Potockiego i wezwał województwa do czynienia deklaracyi. Biskup téż Kujawski Czartoryski, ulegając żądaniu powszechnemu, chciał dopełnić arcybiskupiego obowiązku. Dowiedział się on o tém i mimo odradzań wielu wyrzekłszy: „palec Boski to zdziałał, (raczéj Censura Candidatorum dodał Sobieski) nie bądźmy przeciwni szlachcie", z przytomnymi senatorami ruszył na pole elekcyjne. Tu gdy się deklaracye zakończyły przez okrzyk „niech żyje król Michał!" każdego w szczególności województwa; prymas podług zwyczaju, donośnym głosem po trzykroć zapytywał się wszystkich.

(29) Poszedłem tu za opowiadaniem przytomnego téj elekcyi Zawadzkiego i Paska, i dlatego nie umieściłem tak często powtarzanych baśni Francuzkich pisarzów, jakoby Michał w czasie elekcyi miał siedzieć w jakimś klasztorze (Hautepierre), z placu uciekać (Dorville) i t. p. Mógł powiedzieć: niechaj odejdzie ten kielich ode mnie (Bantkie), ale Mazury nie miały przyczyny puszczać się za nim i dogoniwszy gwałtem do okopu przywodzić. (Śpiéwy Niem. 399) kiedy Załuski (fol. 26) powiada iż w czasie wotowania podkanclerzy obawiając się niestałości ludu, radził Michałowi aby poprzestał na zaszczycie kandydata i odmówił przyjęcia korony a on odpowiedział: „Niech się stanie wola Boska!"

czyli się jednomyślnie zgadzają na wybór księcia Michała Wiśniowieckiego? A gdy po trzykroć powietrze zabrzmiało powszechnym odgłosem „zgoda!" naówczas powinszowawszy elektorowi nowéj godności, mianował go królem i zalecił marszałkom obojga narodów, aby przy wszystkich trzech bramach ogłosili, iż ks. Michał Wiśniowiecki zgodnemi głosy obrany jest królem Polskim i wielkim księciem Litewskim. Nie było marszałka z Litwy, sam przeto Sobieski mimowolnie dopełnił téj powinności o godzinie 9 wieczorem. Poczém za przykładem prymasa i senatorów przyklękła szlachta i *Te Deum laudamus* wszyscy śpiewali na polu, przy wystrzałach z ręcznéj broni. Z pola elekcyi wziął arcybiskup króla do zamku w swojéj kolebce, gdy ten nie mając okazałego pojazdu nie chciał z namowy matki przyjąć karety którą mu Jan Sobieski ofiarował. Jadącemu zaszedł drogę lud z pochodniami (30) i przy okrzykach radosnych przyprowadził go do zamku.

Tak sama szlachta dokonała téj sprawy bez żadnéj powagi senatu, który przeciąg czasu siedmiotygodniowy na próżnych sporach zmarnował. Radość z elekcyi była niezmierna i powszechna, pochodząca zapewne z tryumfu który pochlebiał równości, lecz zasmucał przezorne umysły. Wprawdzie młodzian znakomitéj cnoty, uczciwości i roztropności, lubiący nauki i biegły w obcych językach, w męztwie naśladujący ojca (31); zalecony do berła od biegłego polityka, który podobno nie bez porozumienia się z Austryą, zawczasu odradził

(30) Napotkał lud Michała przed Reformatami na Piaskach jak mówi Zawadzki; znać zatém że co tylko od Elektoralnéj ulicy aż za Wolskie rogatki widzimy gmachów w Warszawie, przedtém śladu tego nie było.

(31) *Censura Candidatorum.*

mu śluby z Anną księżniczką Kurlandzką (32), za najgodniejszego ze wszystkich Piastów korony, przez Maryą Ludwikę obdarzoną osobliwszą znajomością ludzi osądzony (33), mógł wiele dobrego uczynić dla Polski. Lecz król, który z łaski jedynie królewicza Karola wychowanie odebrał, którego dotąd jedyném utrzymaniem była roczna pensya 6,000 złp. przez królową wyznaczona, który teraz potrzebował zasilenia u poddanych swoich w potocznych nawet życia swojego potrzebach, niewiele wzbudzać musiał względów u téj wyniosłéj szlachty co władzę, potęgę i talenta obok okazałości, obok bogactw stawiła. Rozterki tą elekcyą nie uspokojone, lecz i owszem bardziéj jeszcze rozniecone, nadzieja umorzenia długów, zaspokojenia wojska, wygubienia fałszywéj monety, niepłacenia podatków i t. p. zniknęła; szczególniéj jednakże możni pozbawieni uiszczenia obietnic kandydatów, już poczęli rokować z obcymi o zrzuceniu z tronu Michała. Ale monarchowie poznawszy iż Polska przez podobny wybór bynajmniéj się nie zmocni, zakazali posłom wchodzić w tajemne układy, a prymas i Sobieski musieli przyrzec szlachcie że królowi będą wiernymi. Zaledwo przecież rozjechały się województwa i tylko senat z posłami zgromadził się w zamku dla układania exorbitancyi i paktów konwektów, Zamojscy tak z obawy, by przez wybór Michała sprawa ich z Wiśniowieckiemi nie upadła, a bardziéj jeszcze podżegani od możnych, uroczystą zanieśli protestacyą naprzeciwko całemu aktowi elekcyi i wyszli z senatu.

(32) Załuski. Olszewski był kilka razy za Jana Kazimierza posłem do Austryi, a ta znała zamysły Francyi, iż jéj nigdy nie dopuści osadzić tronu Polskiego; widocznie zaczém mniemałbym, iż pośrednio tu działała.

(33) Załuski 132.

Mniéj z początku uważali posłowie na ten postępek, ale kiedy marszałek wielki koronny, który wtenczas prezydował, położył laskę i odmówił pozwolenia głosu, zaczęto bez żadnego porządku przeciw Zamojskim i za nimi mówić. Jedni twierdzili, że nie mogą tego niweczyć na co sami zezwolili: utrzymywali drudzy (a ci byli ze stronnictwa panów) że głos posła wszędzie zawsze ma moc jednakową; radzili inni, aby raz na zawsze opisać pewny porządek względem wolnego tamowania obrad sejmowych. Powstały ztąd spory niezmierne, dopóki wreszcie, przez matkę królewską i biskupa Kujawskiego ułagodzeni Zamojscy, nie powrócili do izby. Panowie nie spodziewając się już na tym sejmie uskutecznić swoich zamysłów, odłożyli je na czas dalszy, i dozwolili przystąpić wreszcie do paktów konwentów, z których oprócz zwyczajnych potwierdzeń praw i swobód nadanych od poprzednich królów, następujące podano elektorowi punkta: „Pokój z dyssydentami zachowa; Ukrainę odzyska; wojsk obcych nie wprowadzi w granice; Kamieniec naprawi, Kozaków uspokoi, wojsko w porządek wprawi, postara się o wypłacenie mu długów, o wyzwolenie Drahimia i załatwienie z Kurfirsztem poróżnień; familii swojéj nad równość obywatelską wynosić nie będzie." Na te warunki kiedy Michał przy licznem bardzo zgromadzeniu ludu, w kościele katedralnym Warszawskim przysięgę 7 lipca wykonał, marszałek nadworny Branicki ogłosił udowi, że już Polacy mają króla prawego.

Koronacya nastąpiła 29 września roku 1669. Śmierć przypadła 1673, 10 listopada, 35 roku życia (*).

(*) Opowiadanie to jest wyjątkiem z Rozprawy ks. Józefa Gackiego, w rękopiśmie dotąd zostającéj.

ŻYWOTY MALARZY POLSKICH,

PRZEZ

Edwarda bar. Rastawieckiego (*).

Bacciarelli Marcelli.

Urodzony w Rzymie d. 16 lutego 1731 r., od młodości poświęciwszy się sztuce malarskiéj, doskonalił się w niéj pod sławnym wówczas nauczycielem Beneſiali. Już w 22 roku życia dał dowody biegłości, a przy wzrastającéj sławie, powołany r. 1753 przez króla Augusta III do Drezna. Tu poślubił *Bacciarelli Fryderykę Rychter* celującą artystkę w malowaniu miniatur. Odwiedzając z Augustem III Warszawę, poznany od znakomitych Polaków, podobał się szczególniéj Stanisławowi Poniatowskiemu, podtenczas stolnikowi Litewskiemu. Cesarzowa Marya Teressa wyjednała u Augusta III przybycie *Bacciarellego* do Wiednia w r. 1761, gdzie *portrety całéj cesarskiéj rodziny* i wielki obraz *Apollina z Muzami na górze Parnassu* cztéry córki cesarzowéj wyobrażający, wykonał. Nastąpiła śmierć Augusta III,

(*) Wyjątek z rękopismu przygotowanego do druku pod tytułem: *Słownik Malarzów Polskich i obcych w Polsce osiadłych.*

książę Kaunitz namawiał *Bacciarellego* do pozostania w Wiedniu, czyniąc mu u dworu cesarskiego zaszczytne i korzystne warunki; podobne namowy i od innych dworów odbierał; lecz przeniósł wezwanie Stanisława Poniatowskiego, już wtedy króla Polskiego. Osiadłszy tym sposobem w Warszawie, zasługiwał sobie odtąd ciągle w nowéj ojczyźnie na wziętość i szacunek. Już na sejmie extraordynaryjnym Warszawskim roku 1767 rozpoczętym a r. 1768 zakończonym, otrzymał szlachectwo Polskie (Konstytucye tego sejmu, str. 330); Stanisław August mianował go gieneralnym dyrektorem budowli królewskich.

Niezliczone są od téj pory dzieła malarskie długiego a pracowitego życia *Bacciarellego*: prócz wykonanych poprzednio w Dreznie i Wiedniu, przyozdobiły się niemi domy znakomitych panów Polskich, a mieszkania królewskie w Warszawie zimowe i letnie, zamek i Łazienki, szczególnym stały się pomnikiem sławy artysty. W początkach trzymał się *Bacciarelli* samych tylko portretów, lecz na usilne naleganie króla, odważył się i do historycznego malowania. Z dzieł jego celniejszych, zwracał uwagę na zamku w sali marmurowéj szereg *portretów królów Polskich*, poczynający się od Bolesława Chrobrego, a idący aż do Stanisława Augusta. Wizerunki piérwszych królów z wielką trudnością wykonane być mogły: zbierano zewsząd dawne ich obrazy i rysunki, a stosownie do nich i do charakterów jakie każdemu zosobna panującemu przypisują krajowe dzieje, tworzone zostawały początkowych królów zarysy. W portretach królów późniejszych większa jest dokładność, w portrecie zaś Stanisława Augusta prócz szczególnego podobieństwa, uderza świetność Hiszpańskiego stroju,

w którym koronacyą odbył, i w nim na portrecie tym wystawionym być zechciał. W sali środkowéj na suficie wielki utwór *Jowisz świat z zamętu wyprowadzający*, w sali rycerskiéj sześć wielkich obrazów, wyobrażających znaczniejsze z dziejów krajowych zdarzenia: *Kazimiérz W. przyjmujący prośby chłopów i rozkazujący naprawę miast, ustanowienie akademii Krakowskiéj; nadanie Prus w lenność księciu Albertowi I przez Zygmunta I, Połączenie Polski z Litwą, Traktat Chocimski, Jan III oswobodzający Wiedeń.* W téjże sali portrety sławnych Polaków: *Krzysztofa Radziwiłła, Rewery Potockiego, Stanisława Hozyusza, Jana Karola Chodkiewicza, Jana Tarnowskiego, Marcina Kąckiego, Andrzeja Olszowskiego, Kopernika, Kromera.* W pałacu łazienkowskim salę gościnną zwaną, ozdobił obrazami *dzieje króla Salomona* wystawiającemi, w których główniejsze głowy portretami są wielu współczesnych na dworze bawiących osób.

Obok tylu prac znamienitych, nowym jeszcze pożytkiem zapragnął przysłużyć się krajowi, otwierając w własnéj pracowni szkołę malarską, brak publicznéj akademii sztuk zastąpić mającą. W niéj z życzliwością uczył uczęszczającą młodzież początków rysunku i zasad sztuki, kierując zaś dalszemi ich postępami, sposobił na biegłych artystów. Cierpliwość, słodycz i przyjacielskie przy tych naukach obejście, zyskiwały mistrzowi szczególną uczniów cześć i miłość. Król znawca, miłośnik i niepośledni sztuk opiekun, oceniając wartość *Bacciarellego*, prócz mnogich prac malarskich, w pracowni obok zamku urządzonéj a często przez króla odwiedzanéj wykonywanych, poruczył mu dozór ogrodów swoich i nawet ekonomii Kozieneckiéj; polecił korrespondencyę

z sławniejszymi artystami zagranicznemi, od których odbierał doniesienia o wychodzących nowych dziełach co do sztuk, o przedaży obrazów, posągów, rycin i rysunków, a z takich doniesień przedstawiał królowi, coby do tworzonych zbiorów nabyć wypadało. Równie sprowadzanie z zagranicy kosztownych sprzętów ku ozdobie mieszkań królewskich, smakiem *Bacciarellego* kierowane było. Nadto miał zwierzchni dozór nad kopalniami kamieni i marmurów Krakowskich, do czego w podróży do Włoch odbytéj ugodził i sprowadził zdatnych rzemieślników, którzy z korzyścią te prace w dalszym czasie wykonywali. Wreszcie nie było u dworu większego publicznego obchodu, festynu, illuminacyi, fajerwerku zgoła świetniejszéj zabawy, któréjby urządzeniem nie musiał zająć się *Bacciarelli*. Takieto zasługi ściągały zasłużenie szczególne królewskie względy, do których ozdobienie orderem ś. Stanisława policzyć należy.

R. 1787 po dokonaniu tak licznych dzieł, udał się *Bacciarelli* za zezwoleniem Stanisława Augusta do Włoch i południowéj Francyi. Doznał w téj podróży niepośledniego przyjęcia w Wiedniu od Józefa II cesarza, i od brata jego Leopolda księcia Toskańskiego. Akademia sztuk pięknych stolicy téj umieściła go w gronie swych członków. Został też przybrany za członka akademii sztuk w Dreźnie, Berlinie, ś. Łukasza w Rzymie, w Wenecyi i Bolonii. Papież Pius VI mianował go kawalerem orderu złotéj ostrogi. Zaszczycili go łaskami królowie Sardyński i Neapolitański, a osobliwie królowa Neapolitańska, która go jeszcze w Wiedniu przed zamęzciem bawiąc przy matce Maryi Teressie znała. Korzystał z téj podróży Stanisław August, ku wzbogaceniu

swéj galeryi i sprowadzeniem wzorów starożytnych posągów, uczniom zamierzonéj akademii sztuk do nauki służyć mającym.

Po powrocie do Warszawy nie ustawał *Bacciarelli* w robotach. Z tegoto czasu odznaczają się między płodami jego pędzla, dwa obrazy do kościoła parafialnego w Szczorsach, w dobrach Joachima Chreptowicza kanclerza Lit. zrobione.

R. 1807 obrany członkiem towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, ofiarował mu dzieło swe, portret *Fryderyka Augusta* króla Saskiego ks. Warszawskiego, który salę posiedzeń towarzystwa zdobił. Do ostatku życia ciągle był pracowitym, i niepoślednie dzieła wykonywał. Między ostatniemi w starości jego malowaniami, odznacza się obraz który zrobił dla kościoła Metropolitalnego ś. Jana w Warszawie. Kościół ten przyozdobiony był obrazem Palmy młodszego w wielkim ołtarzu umieszczonym, który w r. 1807 przez Francuzów do Paryża zabrany został. Wynagradzając tę stratę, zrobił *Bacciarelli* obraz téjże wielkości i przedmiotu i ofiarował go kościołowi. Wystawia to dzieło *N. Pannę z dzieciątkiem Jezus na ręku trzymaném, otoczoną aniołami; u spodu ś. Jan Chrzciciel patron kościoła*, i *ś. Stanisław biskup patron kraju.* Naśladowanie to dawnego obrazu, nie niewolnicze, wiele pięknych zalet odznacza. „Zdaje się, mówi uczony malarza życiopis ks. Szaniawski, że żywość młodego wieku jaśniejąca w tym obrazie, nie daje bynajmniéj dostrzegać drżącéj ręki starości. Przypomina ten obraz, przez wyrażenie na nim figur świętych Jana i Stanisława, smutne zdarzenie zmarłych w kwiecie młodości, w krótce jednego po drugim dwóch braci książąt Mazowieckich Janusza i Stanisława". Po zwróceniu oryginalnego obra-

zu Palmy, dzieło *Bacciarellego* ustąpiło mu miejsce w wielkim ołtarzu kościoła, i dotąd w składzie kościelnym przechowane zostaje. Przy zaprowadzeniu wydziału nauk i sztuk pięknych w nowo utworzonym królewsko-Warszawskim Uniwersytecie, został *Bacciarelli* professorem malarstwa, a zarazem piérwszym wydziału tego dziekanem, którego urządzenie w części wedle planu przez niego podanego nastąpiło. Do ostatnich dzieł malarza należy wizerunek *Naj. Cesarza i króla Alexandra* z polecenia Tow. Przyjaciół Nauk Warszawskiego rozpoczęty, a którego ukończenia śmierć nie dozwoliła.

D. 5 stycznia 1818 r. zszedł z tego świata w Warszawie. W ocenieniu prac jego malarskich, baczenie mieć wypada na ogólny smak w czasach tamtych panujący. Szkoła Francuzka, powagą znamienitych w niéj malarzy Bouchera i Wanloo utrzymywana, obszerne miała panowanie: król Stanisław August, piérwsze osoby w Warszawie, smakowi temu sprzyjały. *Bacciarelli* szedł wczęści za popędem ówczesnym, dogadzając i wiekowi i osobom prac jego żądającym. Uznana jest poprawność jego rysunku, umiejętność i płodność w kompozycyi, wielkie podobieństwo w portretach, zręczność w władaniu pędzlem, w układaniu czyli grupowaniu figur, bogactwo i piękność draperyi, świeżość i harmonia kolorytu. Dla takichto przedmiotów bezstronna potomność umieści go bezsprzecznie w rzędzie znakomitych 18 wieku malarzy. Przymioty jego duszy i zachowanie w życiu prywatném, skreśla wymownie szanowny jego biograf: „Dobry mąż, czuły ojciec, przyjaciel stały, grzeczny, przystępny, uprzejmy dla każdego, unikający pochlebstwa względem wyższych, niepogardzający niższymi, powszechny zyskał szacunek u wszystkich, którzy

go znali. Skromny w każdéj okoliczności życia, często sam wykazywał wady i uchybienia w obrazach przez siebie malowanych. Unikał okazałości światowych, niezajęty sobą, względny dla drugich, pamiętał i o ubogich, wspierał hojnie a skrycie ich potrzeby. Dochował do saméj śmierci czerstwość, żywość, uczciwość, przystojność, miłym był w każdém towarzystwie osób choć różnego wieku i stanu złożoném, miłym ciągle nawet w znacznie posuniętéj starości. Dokonał szczęśliwie zamierzonego sobie od najwyższéj opatrzności kresu na ziemi, spokojnie umarł bez poprzedniéj choroby kończąc 87 rok wieku swojego, żałowany powszechnie. Trzebaż dodać że i on nie uszedł za życia pocisków zawiści, każdą wyższość szarpać lubiącą. Pochowany wraz z żoną w sklepach kościoła Metropolitalnego Warszawskiego, gdzie pozostałe dzieci i wnuki, wystawiły obojgu piękny pomnik grobowy, do którego stosowny napis ułożył prof. Seb. Ciampi."

Obrazy M. Bacciarellego wykonane dla króla Stanisława Augusta.

(Ceny oznaczone są przez samego malarza, w spisie galeryi St. Augusta).

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
1. *Stanisław Poniatowski* ojciec królewski, w kirysie, podług Pesne.....	24	19	15.
2. *Matka królewska*, w sukni dworskiéj	24	19	15.
5. *Pani Tyszkiewiczowa z Poniatowskich* (okrągły).	10½	—	15.
6. *Pani Mniszech z Zamojskich* (okrągły).....	10½	—	15.

	Wysokość na cale	Szerokość na cale	Cena na czerwone złote.
7. *Książę Andrzéj Poniatowski*, gienerał en chef wojska Austryackiego, brat króla (owal).....	23	18½	25.
8. *Pani Wincentowa Tyszkiewicz*, córka ks. Andrzeja Poniatowskiego (owal)	23	18½	25.
9. *Pani Zamojska* wojew. Podolska, z *Poniatowskich*, siostra królew. (owal).	23	18½	25.
10. *Pani Muiszech* marszałkowa w. z *Zamojskich*, córka poprzedniéj (owal).	23	18½	25.
11. *Książę Kazimiérz Poniatowski* w. podkomorzy kor., brat króla (owal)...	23	18½	25.
12. *Jego żona* z domu *Ustrzycka* (owal).....	23	18½	25.
13. *Ks. Stanisław Poniatowski*, syn ks. Kazimiérza (owal).....	23	18½	25.
14. *Pani Tyszkiewicz z Poniatowskich*, córka ks. Kazimiérza (owal)....	23	18½	25.
15. *Ks. Michał Poniatowski*, arcybiskup Gnieźnieński, prymas (owal)....	23	18½	25.
16. *Ks. Adam Czartoryski*, (późniejszy feldmarszałek Austr.) w mundurze gienerała gwardyi Litewskiéj, z kapeluszem pod pachą.....	28	22	30.
17. *Pani Branicka* hetmanowa w. kor. z *Poniatowskich*, siostra królewska	23	28.	
18. *August II* w sukni aksamitnéj ponsowéj złotem bramowanéj.....	46	38	50
19. *Posłuchanie młynarza.* Król leżący i młynarz klecząc całuje go w rękę, młynarka okazuje mu w pokłonie wdzię-			

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
czność. Przy królu stoją: Ryx kamerdyner i Rejman lekarz królewski, za nimi dwaj chirurdzy królewscy Lagenié i Ritsch. Z przodu obrazu Moszyński stolnik kor. i prałat Ghigiotti; za tymi dwaj szambelani od służby Zabiełło i Walewski. Na prawo Bekler doktór nadworny, gienerał Coccey kommendant gwardyi koronnéj, nadto Susson szatny królewski. Malarz obecny téj scenie, zdarzonéj nazajutrz po porwaniu króla 1771 r. odmalował się w głębi, pomiędzy kaszt. Karasiem a koniuszym Lit. Alexandrowiczem. Poza tymi jest rotmistrz Przyłuski koniuszy królewski. Wszystkie portrety zadziwiającego podobieństwa.	25	24	200.
21. *Popiersie starca* w ciemnéj sukni, włosy i broda siwe.....	20	15.	
22. *Dyana raniona przez uciekającego Kupidyna*, przy niéj nimfa i dwa psy.	61	58	150.
23. *Religia* (owal).....	40	56	100.
24. *Sprawiedliwość*.....	40	56	100.
25. *Mądrość miarkująca zapęd młodości*, wystawione pod postacią *Arystotelesa* i *Alexandra*.....	40	56	100.
26. *Siła* pod postacią *Samsona* poskramiającego lwa (owal).....	40	56	100.
27. *Pani Krakowska z domu Czartoryska*, matka królewska.....	53	41	25.
28. *Kasztelan Krakowski*, ojciec króla. Kopia (owal).....	53	41	25.

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
29. *Ester mdlejąca przed Assuerem*	46	53	100.
30. *Rebeka przyjmująca dary z ręki Eleazara*	46	53	100.
31. *Agar na puszczy* trzymająca syna na kolanach	43	23	80.
32. *Anioł okazujący Agarze źródło* (owal)	43	23	80.
33. *Wilczewski* głuchoniemy, dworzanin króla	16	13	20.
34. *Stanisław Ciołek Poniatowski*, ojciec króla, w 83 roku życia, w pół ciała, w sukni aksamitnéj czerwonéj z futrem	51	37	70.
35. *Ks. Sapieżyna z domu Branicka* (owal)	23	19	25.
36. *Kasztelan. Sierpska Popielowa*..			
37. *Ks. Sapieżyna z Lubomirskich*, kanclerzyna Lit., głowa sparta na ręce.	38	29	25.
38. *Pani Mniszchowa* marszałkowa w. kor., w stroju dworskim, kopia z Revlina	28	22.	
39. *Hr. Bielińska*, w ubiorze błękitnym	17	14.	
40. *Księżna Poniatowska* w. podkomorzyna kor., *z synem księciem Stanisławem* w postaci amora	58	49.	
41. *Ks. Józef Poniatowski*, syn księcia Andrzeja, trzyma dwa kwiaty	16	13	12.
42. *Pani Wincentowa Tyszkiewiczowa*, siostra jego; trzyma zasłonę okrywającą głowę	16	13	12.

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
43. Cesarz *Józef II*, w pół ciała. Pastelem	13	11	3.
44. Papiéż *Ganganelli*	13	11	3.
45. *Hr. Denhof*, po kolana, ma włosy białe, sparty na lasce. Kopia	41	32.	
46. *Fryderyk II* król Pruski, w mundurze błękitnym sparty na lasce	13	11	6.
47. *Maréchal de Saxe*, cały uzbrojony w wielkości naturalnéj. Czas trzyma za nim laur	77	49	20.
48. *Pociéj* w. hetman, w ubiorze Polskim karmazynowym podbitym sobolem, pod żupanem kirys	32	27	12.
49. *Hr. Fleming*, w pół ciała, z wielką peruką	27	22	15.
50. *Neuman Bej* poseł Turecki w Warszawie r. 1777	36	34	50.
51. *Branicka* kasztelanowa Krakowska z *Poniatowskich*, siostra królewska.	57	42	60.
52. *Książę Kazimiérz Poniatowski* w. podkomorzy kor	61	43	60.
53. *Narcyz*	25	47	25.
54. *Dyanna* czyli *Księżyc*	20	29	20.
55. *Apollo* czyli *Słońce*	20	29	20.
56. *Pani Thomatis* w profilu (owal)	27	21	25.
Królowie Polscy w sali marmurowéj na zamku:			
57. *Bolesław Chrobry.*			
58. *Wacław Czeski.*			
59. *Władysław Łokietek.*			
60. *Kazimiérz W.*			

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
61. *Ludwik Węgierski.*			
62. *Jadwiga.*			
63. *Władysław Jagiełło.*			
64. *Władysław Warneńczyk.*			
65. *Kazimiérz Jagiellończyk.*			
66. *Jan Albert.*			
67. *Alexander.*			
68. *Zygmunt I.*			
69. *Zygmunt August.*			
70. *Henryk Walezyusz.*			
71. *Stefan Batory.*			
72. *Zygmunt III.*			
73. *Władysław IV.*			
74. *Jan Kazimiérz.*			
75. *Michał Wiszniowiecki.*			
76. *Jan III.*			
77. *August II.*			
78. *August III.* Te wszystkie 22 portrety cenione po czerw. zł. 50.....	—	—	1100.
79. *Stanisław August* w wielkości naturalnéj, w ubiorze koronacyjnym..	—	—	300.
80. *Sufit* w téjże sali marmurowéj, wystawiający *sławę głoszącą pamiętne czyny monarchów*	—	—	800.
81. *Ojciec i matka króla St. Augusta,* w wielkości naturalnéj.....	78	54	100.
82. Kopia *Magdaleny Coreggia*....	36	56.	
83. *Pani Sewerynowa Potocka*....	36	28	50.
84. *Hr. Krasicka z Grabowskich*...	26	22.	
85. *Starościna Małogoska*.....	34	26	36.
86. *Ks. Kurlandzka z hr. Medem*..	40	31	80.

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
87. *Ś. Magdalena*.....	33	38	80.
88. *Sufit* przedstawiający *tryumf Amfitryta* (owal).....	90	205	150.
89. *Ks. Józef Poniatowski* w mundurze gwardyi konnéj.....	28	22	30.
90. *Pani Thomatis* w postaci *Muzy*	27	21.	
91. Ogromny *Sufit* w sali wielkiéj koncertowéj, wyobrażający *Jowisza wyprowadzającego świat z zamętu*..	720	288	3000.
Obrazy w sali rycerskiéj na zamku:			
92. *Kazimiérz W. przyjmujący prośby chłopów i nakazujący naprawę miast*.....	144	132	500.
93. *Władysław Jagiełło ustanawiający akademię Krakowską*.....	144	132	500.
94. *Nadanie Prus w lenność księciu Albertowi przez Zygmunta I*.....	144	132	500.
95. *Unia Litwy z Polską za Zygmunta Augusta*.....	144	132	500.
96. *Traktat Chocimski*.....	144	132	500.
97. *Oswobodzenie Wiédnia przez Jana Sobieskiego*.....	144	132	500.
98. *Jan Tarnowski*.....	39	28	60.
99. *Roman Sanguszko*.....	39	28	60.
100. *Jan Karol Chodkiewicz*....	39	28	60.
101. *Mikołaj Kopernik*.....	39	28	60.
102. *Stanisław Hozyusz*.....	39	28	60.
103. *Rewera Potocki*.....	39	28	60.
104. *Krzysztof Radziwiłł*.....	39	28	60.
105. *Andrzéj Olszowski*.....	39	28	60.
106. *Marcin Kromer*.....	39	28	60.

	Wysokość na cale	Szerokość	Cena na czerwone złote.
107. *Marcin Kącki*.....	39	28	60.
108. *Sufit* w dawnéj sali tronowéj, przedstawiający *kwitnienie w pokoju sztuk, nauk i przemysłu*.....	—	—	1500.
W Łazienkach:			
109. *Sufit. Sen Salomona*.....	—	—	300.
110. *Poświęcenie kościoła Salomona*	—	—	600.
111. *Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom*.....	—	—	600.
112. *Sąd Salomona*.....	—	—	300.
113. *Królowa Saba*.....	—	—	300.
114. *Salomon z królem Hieram*...	—	—	200.
115. *Sprawiedliwość*.....	—	—	100.
116. *Mądrość*.....	—	—	100.
117. *Łagodność* (*Clementia*).....	—	—	100.
118. *Siła*.....	—	—	100.

Inne rozmaite obrazy:

119. *Ś. Izydor orzący rolę*, w oddaleniu żona z dziecięciem pod cieniem drzewa oczekuje na powrót rolnika, z wysokości niebios Bóg Ojciec błogosławi pracy. (Do kościoła w Szczorcach, dobrach kanclerza Lit. Joachima Chreptowicza).

120. *Chrystus Pan dający błogosławieństwo dzieciom.* (Do tegoż kościoła).

121. Naśladowanie obrazu Palmy młodszego dla kościoła Metropolitalnego Warszawskiego, za który Bacciarelli żadnéj nagrody przyjąć nie chciał, za co po śmierci kapituła jednomyślnie zwło-

	Wysokość na cale	Szerokość na cale	Cena na czerwone złote.

ki jego w grobach kościelnych złożyć postanowiła.

122. *Nadanie ustawy księztwa Warszawskiego przez cesarza Napoleona.* 144 132.

123. *Franciszek Salezy Potocki* wojewoda Kijowski. Z którego sztychował w Wiedniu Dom. Canego 1782.

124. *Marya Antonina królowa Francuzka*, kopia z *Dawida.*

125. *Królowa Saska.*

126. *Fryderyk August* król Saski, książę Warszawski.

127. Portret allegoryczny króla *Sta. Augusta z klepsydrą*, burza na niebie i napis: „*Lucebit lumen de Coelo.*"

128. *Joachim Chreptowicz* kanclerz w. Lit.

129. *Thomatis* półkownik.

130. *Kardynał Archetti.*

131. *Stanisław August z popiersiem marmurowém papieża Piusa VI.*

132. *Książę Józef Poniatowski* jako wódz naczelny, z *burką.*

133. Hr. *Gutakowski Ludwik*, prezes senatu.

134. Hr. *Ostrowski Tomasz*, prezes senatu.

135. *Książę Michał Poniatowski* prymas.

136. *Ks. Stanisław Lubomirski* w. marszałek kor. (w Wilanowie nr. spisu 414).

137. *Tenże*, inny portret (w Wilanowie, nr. 482).

138. *Księżna Lubomirska* (w Wilanowie, 483).

139. *Stanisław August* król (w Wilanowie nr. 424).

140. *Stanisław hr. Potocki*, prezes senatu.

141. *Jan Zamojski* (w galeryi Królikarni).

142. *Jan Klemens Branicki* hetman w. kor. Poniżéj kolan. (W zbiorach imienia Ossolińskich we Lwowie).

143. *Branicka* hetmanowa w. kor., siostra królewska, poniżéj kolan (tamże).

144. *Hr. Sobolewski.*

145. *Anna z Krajewskich Nakwaska.*

146. *Pani Gąsiorowska*, głowa ubrana w zawój.

147. *Portret* własny *malarza*, nabyty przez ówczesną kommissyą wyznań rel. i oświecenia.

148. *Niewiasta z Amorem płaczącym.* Wielkość naturalna.

149. *Niewiasta trzymająca pieska.* Tamtemu odpowiedni.

150. Naj. cesarz i król *Alexander I*, przez Tow. Przyj. Nauk obstalowany, dzieło ostatnie, którego wykończenie śmierć przerwała.

Szkice większych dzieł *Bacciarellego* pozostały własnością rodziny. Seb. Ciampi mówi, iż przeszło 200 portretów odmalował osób prywatnych, różnéj wielkości. Syn zaś malarza twierdzi, iż prace jego dla króla Stanisława wykonane, ocenione zostały przez malarzy obcych na summę dwudziestu tysięcy czerwonych złotych. Z różnych portretów tego króla, niektóre kilkakrotnie powtórzył, które dziś rozmaicie rozproszone natrafiać się dają.

(O *M. Bacciarellim* pisali: ks. Szaniawski, rys życia czytany na publiczném posiedzeniu Tow. Król. Warsz. Przyjaciół Nauk d. 25 listopada 1822 r., w Rocznikach Tow. XVI, 222—232. Seb. Ciampi, Notizie..... Lucca 1830. Obrona przez Fryderyka Bacciarellego syna, w Rozmaitościach do Gazety Warsz. 26 listop. 1819. Dr. G. K. Nagler, Künstler-Lexicon, München 1835. I, 215).

Brodowski Antoni, herbu Lada.

Znakomity malarz historyczny i portretowy. Urodzony w Warszawie r. 1784, w dziecinnym już wieku objawił zdatność do sztuki w której następnie celował. Będący podówczas w Warszawie malarz Leicher i sztycharz Capella, dostrzegli tę przyrodzoną w nim zdolność i piérwsi rozwinęli ją nauką do wieku zastosowaną. Następnie zajmował się jego wykształceniem rzeźbiarz a zarazem malarz Pink. Atoli piérwsze wychowanie *Brodowskiego* nie miało skierowanéj dążności do wyłącznego poświęcenia się sztuce: skłonność ku niéj i wrodzoną sposobność sam w młodocianym wieku udoskonalał, więcéj wszakże jako amator aniżeli artysta. W r. 1805 wyjechał do Francyi, gdzie przez lat trzy bawił, i w Paryżu pod malarzem miniatur Augustin tego rodzaju malowania uczył się, w któréj niepośledniéj dostąpił biegłości. Za powrotem do kraju trudnił się jakiś czas jako amator robieniem miniatur, lecz ten zdrobniony rodzaj nie odpowiedział wyższym jego zdolnościom, zarzucił go téż, i wziął się na nowo do rysunków i kompozycyj. Wkrótce prace *Brodowskiego* zwróciły uwagę znawców, a w r. 1809 izba edukacyjna wysłała go na koszt rządu do Paryża, gdzie pod Gérardem rozpoczął naukę malarstwa historycznego. Pięć lat ciągłéj pracy pod sławnym mistrzem postawiły *Brodowskiego* na wysokim stopniu udoskonalenia, a tak uzdatniony wrócił do ojczyzny. Tu na wystawie sztuk pięknych r. 1819 okazał wielki obraz historyczny *Gniéw Saula*, który jednozgodne znawców uzyskawszy pochwały, piérwszą nagrodę wystawy téj otrzymał. Pod ten czas mianowany został professorem

malarstwa przy uniwersytecie Warszawskim, a następnie wezwany do grona Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Posadę professora piastował do końca życia, umiejąc rozkrzewiać w uczącéj się pod nim młodzieży, zasady czysto i głęboko pojmowanéj sztuki, zyskiwał ich miłość słodyczą obejścia i ojcowskiém około każdego zajęciem się. W biegu kilkunastoletniego życia artystycznego, pomimo najwyższego zamiłowania sztuki, wzniosłego jéj rozumienia i obszernych wiadomości, niewiele dzieł po sobie zostawił; mniéj daleko, aniżeliby po niepoślednich zdolnościach spodziewać się i życzyć wypadło. Wielka osobista skromność, samemu sobie niedowierzanie, stan chorobliwy natężeń pracy niedozwalający, w części zaś może niekorzystne ówczesne dla artystów czasy, w których zbyt rzadkie były miłośników zachęty i obstalunki; te są zapewne powody nielicznych prac *Brodowskiego*. Ale też za to wykonane przez niego dzieła odznaczają się wykończeniem, czystością smaku, poprawnością rysunku i szczególnie pięknym kolorytem. Umarł w Warszawie r. 1832. Obok artystowskiego powołania, był zarazem *Brodowski* zdatnym urzędnikiem, naprzód w wydziale Sprawiedliwości pod ministrem Łubieńskim, poźniéj w wydziale Spraw Wewnętrznych przy boku ministra Mostowskiego. Gruntowna nauka, umysł objęty, i wielka w językach biegłość, otwiérały mu i w tym zawodzie drogę do świetnego wywyższenia się. W pożyciu łączył rzadkie przymioty duszy, z łagodnością i obejściem wyższych społeczeństw człowieka cechującém.

Brodowski wykonał cztéry tylko wielkie obrazy historyczne:

1. *Gniew Saula na Dawida* (w zbiorach publicznych Warszawskich).

2. *Edyp i Antygona* (u P. Popławskiego).

3. *Hektor wyrzucający gnuśność Parysowi* (u piszącego). Ten obraz w chwili zniechęcenia chcąc sam malarz zniszczyć, mocno go uszkodził, przywrócony przecie jest do pierwotnego stanu.

4. *Nadanie dyplomu przez cesarza i króla Alexandra I uniwersytetowi Warszawskiemu* (w zbiorach publicz. War.). Obraz ten przechowuje w wielkości naturalnéj wizerunki cesarza, ministrów: St. Potockiego i Sztaszica, tudzież składu ówczesnych professorów uniwersytetu.

Portrety jego malowane są z godną podziwienia zdatnością, a rodzaj w nich malarza dotąd zaszczytnie się odznacza. W ogóle liczba onych nie przenosi trzydziestu.

1. *Józef Sułkowski*, adjutant gien. Bonapartego (u piszącego).

2. *Adam Krasiński* biskup Kamieniecki (u hr. Winc. Krasińskiego).

3. Hr. *Tomasz Ostrowski* prezes senatu.

4. Hr. *Mostowski* minister Spraw Wewnętrznych (u rodziny w Warszawie).

5. Hr. *Mostowska z Potockich* (tamże).

6. *Marcin Badeni* minister Sprawiedliwości.

7. *Książę Józef Poniatowski* (u piszącego). Portret ten uchodzi za najpodobniejszy z wszystkich innych różnego pędzla.

8. *Julian Ursyn Niemcewicz*, zrobiony w darze dla Tow. Przyjaciół nauk w Warszawie.

9. *Szczepan Hołowczyc* arcybiskup prymas (u piszącego).

10. *Ignacy Tymowski* kasztelan (u rodziny w Warszawie).

11. *Józef Tymowski* syn kasztelana, w młodym wieku (tamże).

12. *Pani Kurpińska w roli Ofelii* z Hamleta.

13. *Dwaj Krajewscy*, instygator kor. i syn jego (u piszącego).

14. *Wacław hr. Gutakowski.*

15. *Henryk hr. Zabiełło.*

16. *Dr. Filip Kincel.*

17. Sędzia *Ign. Karczewski.*

18 i 19. Dwa oddzielne *portrety samego malarza* (u pozostałéj rodziny).

Wreszcie kilka innych osób prywatnych.

O PRAWACH
MIAST POLSKICH NAJDAWNIEJSZYCH.

PRZEZ

Wacława Alex. Maciejowskiego.

Zwyczajem średnich wieków wiedzeni Polacy, dawali Niemcom u siebie osiadającym, pozwolenia na to pojedyncze, ażeby się sądzić swojém prawem mogli; następnie własnym też rodakom pozwalali wyzuwać się z ojczystego a przyjmować Niemieckie prawo; nakoniec gminom dozwalali zarzucać krajowe, a w jego miejsce Niemieckie brać prawo, uogólniając przez to i ustawą uświęcając dla wszystkich, co dotąd szczególnym tylko służyło osobom. Wszystko to nie inaczéj jak za wiedzą i zezwoleniem monarchy dziać się było powinno; gdyż osadzony na prawie Niemieckiém, lub niém obdarzony człowiek, uzyskiwał pewne wolności, których się na jego korzyść zrzekał panujący. Mieszczanin lub wieśniak pańszczyzniany, chcąc takowe miéć prawo, musiał nadto uzyskać pozwolenie od swojego pana, a uzyskawszy je uwalniał się tém samém od sądów krajowych, pańszczyzny nie odrabiał, na czynszu odtąd siedząc. Zkąd

poszło że mianowicie na Szląsku i w Czechach, jedno znaczyło: na czynszu i Niemieckiém prawie siedzieć (1). Gdy nie jest konieczną rzeczą dać nateraz przyczynę takowego rzeczy biegu, (ciekawy go poznać czytelnik może się tymczasem upewnić o nim z pierwotnych dziejów Polski i Litwy 254), przeto zawieszając szczegółowy jego rozbiór do dalszego czasu, nadmienię tylko że obce, bądź obcym, bądź rodakom, udzielane prawo stanowiło wyjątek od prawa krajowego, i że prawo które tym więcéj wyjątków dawało, więcéj też poszukiwane było.

Ponieważ przeto prawo miasta Lubeki (r. 1158 założonego) wielkie zapewniało korzyści, więc się też o niego dopraszano szczególniéj. We wsi Szrodzie (późniéj Neumarkt miasteczko, leży o cztéry mile za Wrocławiem) do dóbr klasztoru Lubiązkiego należącéj, osiadający około r. 1175 Niemcy, uzyskali wolność od Polskiego prawa (2). Następnie dał Bolesław Wysoki książę Szląski r. 1178, innym znowu tamże osiadającym Niemcom wolność sądzenia się témże prawem (3). Po piérwszy więc raz czytamy wtedy o Szrzedzkiém tyle późniéj ważném i sławném prawie (4). Insze tako-

(1) *Emphyteusis, das Burgrecht,* bo takowe prawo król i panowie burgów czyli zamków posiadacze udzielali, Stenzel *Urkunden Sammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte in Schlesien und der Ober-Lausitz. Hamburg* 1832. 172.

(2) Stenzel *Urkunden Sammlung* 117.

(3) *Secundum quod Noviforenses utuntur* w Urkunden des Kloster Leubus.

(4) (Jus szredense, Noviforense) którego nazwisko dziwacznie p. Lelewel (Rozbiory dzieł, Poznań 1844, 213) od *szredzkiego* (niby od powstania z *rady rajców*) wywodzi, chociaż dawno już wykazał mu to Stenzel (Urkunden Sammlung 282) że i owszem *od* wsi a następnie miasta *Szrody* nazwisko swe bierze.

wegoż rodzaju wyjątki nazywają się jużto od miast, już od rodu ludzi tymże prawom podlegających. Szląskie miasto Freiburg na Frankońskiém prawie osadzone, używało tak zwanego *jus Franconicum*, *jus Friburgense*; Flamandczycy na Szląsku osiedli *jus Flamingicale* nadane sobie mieli (5). Wszakże najsławniejszym ze wszystkich wyjątkiem, stały się tak zwane Magdeburskie i Chełmińskie prawa. Rozumiémy przez piérwsze, zwyczaje prawne których Słowiańskie miasto Dziewin Magdeburgiem od Niemców przezwane, używało odwiecznie, których zakres tameczny arcybiskup Wichmann r. 1188 przywilejem je ubezpieczywszy, rozszerzył, i które nakoniec (wiele do nich z tak zwanego Zwierciadła Saskiego wcieliwszy) (6), Magdeburczanie w księgę prawa (Magdeburskiego) z czasem zamienili. Chełmińskie prawo zasadzało się na przywileju r. 1233 Chełmowi (było stołecznem ich prowincyi miastem) przez Pruskich Krzyżaków nadanym (7). Obadwa te prawa dziwne miały u Słowian powodzenie, lecz piérwszego obszerniejszy był zakres; w całéj bowiem Słowiańszczyźnie obrządku Rzymsko-katolickiego obowiązywało (lubo wielce co do piérwszéj postaci swéj zmienione), może dlatego, że właśnie z Słowiańskiego Dziewina początek swój wzięło (8).

W Polsce naprzód Niemieckie, nie wiadomo jakie, następnie Magdeburskie, i znowu Niemieckie, od miejscowosci różnie nazywane, było w użyciu prawo; w XII

(5) Stenzel, Urkunden Sammlung 104. 141, 336.

(6) Eichorn, Deutsche Staats und Rechtsgeschichte, wydanie 5te. Porównaj II, 335 następn.

(7) Versuche über die Culmische Handfeste von K. G. Praetorius, herausgeben von W. Th. Lohde, Thorn. 1842.

(8) Pierwotne dzieje Polski i Litwy 255.

wieku osoby tylko (9), w XIII zaś i gminy, tak Niemieckie jak Polskie (z Polskiego prawa na Niemieckie przenoszone) obowiązując (10). Już przed r. 1244 (11), nadał Magdeburskie prawo Krakowowi i Sandomiérzowi Bolesław Wstydliwy. Następnie Kraków lepszém prawem r. 1257 obdarzył tenże, wyraźnie oświadczywszy że chociaż go na témże prawie, jakie miał Wrocław osadza, przecież zupełnie mu (którego jeszcze nie miał podówczas Wrocław) prawo Magdeburskie przyznaje (12). W r. 1270 (13) wystąpiło Niemieckie prawo Korczyńskie (14), osobliwości niektóre miejscowe zawierające, a w r. 1319, 1355, Szląsko-Szrzedzkie prawo ukazało się, tak dalece snadź w pierwotnéj postaci swojéj zmienione będąc, że nadający niém nie wiedzieli istotnie, na jakichby ono wolnościach polegać powinno rzeczywiście (15). Reszty można się o tém u J. W. Bandtkiego (16) i w Starożytnéj doczytać Polsce, gdzie chronologicznie wyliczono miasta, prawo Niemieckie a mianowicie Magdeburskie stopniowo uzyskujące. Gdy Wielko i Małopolska Magdeburskiém się głównie sądziła, przeciwnie Prusy i Mazowsze miały prawo Chełmińskie, zkąd przeszło następnie na Żmudź i Litwę, mniejsze tu snadź

(9) Wichfryd Niemiec r. 1165, u Okolskiego, Orbis II. 110.

(10) Pierwotne dzieje Polski i Litwy 257.

(11) Fejer Cod. dipl. Hungariae IV. 1. 353.

(12) Dyplomat i jego objaśnienie w Miscellan. Cracoviensia II. 60.

(13) Dogiel w rękopisie.

(14) Quo cives de Korcin utuntur.

(15) Okolski III. 15, *jus teutonicum quo civitas utitur quae novum forum in Silesia nuncupatur* r. 1355 u Narusz. w przypisach do VI. 125 wyd. Mostowsk. *et quia jura Sradensia sunt nobis prorsus incognita.*

(16) Rozprawy o przedmiotach prawa Polskiego w Wilnie 1812.

niż Magdeburskie (gdy piérwsze na drugie zamieniano) zapewniając korzyści (17); służąc wespół z Magdeburskiém jedynie miejskim osadom, nie zaś i wsiom, jak to było w Koronie. Podobno Wilno miasto prawo Magdeburskie naprzód uzyskało r. 1387, (18). Ruś ta która do Litwy należała, takichże praw co ona używała: ta zaś która się z Koroną połączyła, miała naprzód Niemieckie a od czasu zabrania Rusi Czerwonéj przez Kazimierza W. Magdeburskie prawo wyłącznie. Już r. 1234 był w Kijowie nie mały poczet Niemców, obrońców Rzymskiego kościoła, jak się wyraził papież (19), w tych stronach Rusi. Mieli też swojego wójta r. 1287 mieszkający Niemcy we Lwowie, Włodzimiérzu i Łucku (20). Uzyskiwały Magdeburskie prawo Ruskie miasta coraz częściéj po r. 1340, nietylko w górzystych okolicach dzisiejszéj Galicyi, około Przemyśla i Sanoka, lecz w głębokiéj Ukrainie leżące: zkąd dostawało się do Mołdawii i Wołoszczyzny, i w późne bardzo trwało tu czasy. Gdy Rossya odzyskiwała Ruskie ziemie na Polsce, zastawszy tu prawo Magdeburskie potwierdziła je miastu Kijowowi, Perejasławowi, Kaniowu, Starodubowi; tudzież ziemiom: Nieżyńskiéj, Czernihowskiéj, Koziełeckiéj, Ostrzańskiéj (21).

Gmina którą Niemieckiém nadano prawem, stawała się niejako wolną, wewnątrz kraju Polskiego leżącą

(17) R. 1491, 1635 w Wizerunkach i Rozstrząsaniach naukowych (poczet nowy numer X. 121. 122) Chełmińskie prawo na Magdeburskie zamienione.

(18) Jaroszewicza obraz Litwy II. 84 nstpn.

(19) Wydane do nich papiezkie pod tym rokiem brewe w *Historica Russiae monimenta*, przez kommis. Archeogr. w St. Petersb. w dwóch tomach wydanych. Porównaj l. 35.

(20) Zubrzyckiego Kronika miasta Lwowa, Lwów 1844. Porównaj 9.

(21) R. 1424 Okolski III. 84. Polnoje Sobr. l. 622. 623. Piasecki *Chronicon* 175.

Rzeczą pospolitą, własny rząd, własne sądy mającą; do ponoszenia niektórych tylko ciężarów krajowych obowiązaną, a zresztą zupełnie wolną była. Wszelako co się rządu dotyczy, miała nad nim najwyższa władza krajowa dozorowanie; do sądownictwa zaś nie wtrącała się bynajmniéj, gdyż od sądów swych odwoływały się miasta do Magdeburga po ostateczne zawyrokowanie. Piérwsi Krzyżacy uznali w tém niedorzeczność. Chociaż byli Niemcami rodem, nie chcieli oni przecież, ażeby ich poddani Niemieckiém prawem nadani, udawali się po ostateczne wyroki do Niemiec. Tym końcem więc utworzyli owe Chełmińskie prawo, kraj cały, szlachtę i gmin obowiązywać mające, i nakazali odwoływać się po wyrok ostateczny do krajowego w Chełmnie osadzonego od nich sądu. W ich ślady wstępując Kazimiérz W. kazawszy zrobić nową kopię praw Magdeburskich, złożył takową w skarbcu miasta Krakowa, i podług niéj kazał najwyższemu sądowi miejskiemu na zamku Krakowskim r. 1356 od siebie ustanowionemu, w apellacyi rozsądzać sprawy, zostawiwszy sobie w ostatecznéj instancyi wyrokowanie (22).

Rozliczne było Niemieckie prawo, a żadne niezupełnie podobne owemu, które w Niemczech obowiązywało. Gdy albowiem każda Niemiecko-Polska gmina miała moc poprawiania i odmieniania swojego prawa, przez osobne na to całego pospólstwa (całéj gminy) zezwolenia (23), wilkirzami zwane, czyniła przeto w piérwotném swojém prawie pewne odmiany, stosownie do potrzeb z miej-

(22) R. 1356 u Bandtkiego *Jus Polonicum* 158 nstpn.

(23) Które się dlatego wilkirzami (znaczy ten wyraz toż samo co *zwolenie, zezwolenie*, porównaj *Eichorn Deutsche Staats und Rechtsgesch.* II. 202 nstpn.) nazywały.

scowości wynikłych. Jedne wilkirze stanowiła osada sama, królowi je do potwierdzenia dawszy; drugie stanowił król, na przedstawienie miasta.

Zabytki drugich dawniejsze są u nas, (bo z czasów Kazimiérza W. pochodzą) (24), aniżeli zabytki piérwszych. Bywały nadto w pierwotném Magdeburskiém prawie różne odmiany przez najwyższą władzę krajową czynione, z których najpamiętniejszą stała się owa przez Władysława Łokietka o władzy wójta Krakowskiego zrobiona. Wielką też w prawie powagę miały wyroki najwyższych sądów (niegdyś w Magdeburgu, późniéj w Krakowie zapadające), tudzież sądów piérwszéj instancyi miejskich; gdyż one wespół z wilkirzami i wszelkiemi zgoła postanowieniami stanowiły całość praw miejskich. Po ustanowieniu przez Kazimiérza W. najwyższego sądu miejskiego w Krakowie, nie przestano wprawdzie odwoływać się do Magdeburga; wszelako dziać się to musiało nader rzadko, gdyż właśnie w statucie miast Polskich najdawniejszym, nietylko nic o takowém odwoływaniu się nie stoi (chociaż są tamże przywodzone Magdeburskich sądów wyroki, jako dawny czasów dawnych zabytek), lecz nawet pytanie jest rzucone tamże: ażali wolno jest sędziemu rozstrzygać spór podług ziemskiego czyli Saskiego prawa (25)?

Osiedli u nas Niemcy podzielili się z czasem na dwa jakoby stronnictwa: jedni przechowywali swoję narodowość, ile się dało nienaruszenie; drudzy, narodowość tę

(24) Celniejsze przywiódł Rzesiński *Processus juris civilis Cracoviensis* XXI. nstpn.

(25) *Gdyby ktho nalyezyon w szyemszkym prawyc nyemyeczkym ezoby yo nyenalezono w myeszkym nyemyeczkym.*

z miejscowością godząc sprzyjali Polskości. Tamci swojskości hołdując pisywali w Krakowie jeszcze r. 1548 wyroki sądowe po Niemiecku, a rząd krajowy najwyższy bądź że ich obrażać nie chciał, bądź że sobie inaczéj radzić nie umiał, wydawał im również w obcym bo w Łacińskim języku Magdebursko-Saskie prawa (26), i takowe za obowiązujące wszystkie miasta Polskie (tak się wyraził Zygmunt I na rzecz wydania Jaskiera) ogłaszał.

Ci przeciwnie polszcząc się, zbiérali o ważniejszych sprawach wydawane ortele (27), z Niemieckiego je po większéj części na Polski język tłómacząc (28). Z nimi naturalnie trzymając Polacy, tłómaczyli na język Polski prawa Niemieckie (29), a Zygmunt Stary jak gdyby był z ich sposobem myślenia w zmowie, przedsięwziąwszy około r. 1528 utworzyć ogólne dla wszystkich narodów, krajów i stanów ludzi, pod rządami swemi zostających prawodawstwo, tém samém chciał pod równość praw mieszczan i ziemian podciągnąć.

Gdyby był przyszedł do skutku wielki ten króla zamiar, byłoby się przez to miejskie i ziemskie w jedno prawo zlało (30). Lecz właśnie dlatego że wiele zamie-

(26) W zbiorze Jana Łaskiego r. 1506, wydanie Jaskiera r. 1535, Adama Bursiusza r. 1620. Porównaj J. W. Bandtkiego w Histor. liter. Polsk. Bentkowskiego II, 210, nstpn. gdzie jest i o wydaniach Chełmińskiego prawa.

(27) Wyroki, od *Urtheil*, sąd.

(28) W rękopisie ortelów przez p. Wiszniewskiego wydanym (Historya literatury Polsk. V. 281) jest wyrok po Polsku, który się w innym znowu rękopisie znalazł po Niemiecku. Wnoszę ztąd że i inne wyroki wydanym od niego rękopisem objęte, były tłómaczone z Niemieckiego na Polski język.

(29) Groicki r. 1562. Paweł Szczerbicz r. 1610, Paweł Kuszewicz r. 1646. Porównaj J. W. Bandtkiego tamże 213 nstpn.

(30) Porównaj uwagi J. Lelewela nad rozprawą J. W. Bandtkiego o Macieju Sliwnickim w rozbiorach 235 nstpn.

rzał, nie mógł Zygmunt przewieść swojego przedsięwzięcia. Rozważę zbiory ortelów, które statutem miejskim, może stosownie nazwałem.

W trzech odpisach doszły do nas rzeczone ortele. Najwcześniejszy z nich przepisano roku 1500, najpóźniejszy 1533. Środek między niemi trzymają ortele drukiem przez p. Wiszniewskiego (31) z rękopisu r. 1501 ogłoszone. Porównywając z sobą te rękopisy (32) dostrzegamy, że wszystkie z jednego dziś nieznanego powstały oryginału, i że się między sobą bardzo różnią, wysłowieniem i rzeczą. Według swego ich wyrozumienia dowolnie dawali im przepisywacze napisy, i dowolnie źrzódło, tudzież osnowę tychże ortelów, wyrozumiewali. Rękopis drugi taką im kładzie intytulacyą: „Poczynaya się ortyle prawa nymyeczkyego;" a rękopis trzeci dawszy im napis: „Poczynaia schie prawa Maideburskie;" źrzódło ich wykrywa temi słowy: „usthawyamy prawa które schie maya snyemyeczkiego yaszyka w polsky." Widzimy przeto że ortele nazywano u nas Niemieckiém prawem. Ale czy stosownie? Zaprzeczam temu, przekonany będąc, że zawarte w nich prawa były Niemieckiemi o tyle tylko, o ile się Niemców (na Niemieckiém prawie osiadłych Niemców i Polaków) dotyczyły; a Magdeburskiemi, o ile je na sposób Magdeburskich ortelów ustawiono czyli ustanowiono, tojest ułożono. Bo że wyroki owe nie zawierają czysto prawo Magdeburskie, lecz przedstawiają Polsko-Niemieckie wpływem miejscowym nasiąkłe; a w sposobie ortelów lub ustaw pojedynczych

(31) Przy tomie piątym jego Historyi literatury.

(32) Trzeciego nie oglądałem, znam go tylko z dwóch wyjątków, które z niego p. Rzesiński, *Processus juris civilis Cracoviensis*, XII—XIV przywiódł.

(mianowicie ku końcu rękopisów) wyrażone prawo, że nie dają dowodu na to (33), jakoby w XVI jeszcze wieku odwoływały się Polskie miasta do Magdeburga; o tém ażeby się przekonać, dosyć jest rzucić okiem na treść rzeczonych ortelów, a z nich rozważyć ów który z porządku jest XLIX w moim rękopisie, XLVI zaś u p. Wiszniewskiego (34) gdzie powiedziano: że przysłali do Magdeburga przysiężnicy (ławnicy) z zapytaniem: „czy według postanowienia Polskiego króla, mają wójtowie wybierać przysiężników, lub czyliby raczéj przysiężnicy jedni nie powinni wybierać drugich, jak to Magdeburskie przepisuje prawo? Któż w tém nie widzi sprzeczności z urządzeniem miast, jak nam go przedstawiła historya? (35). Któż nie przyzna, że układacz ortelów, prawiąc o wójcie w ten sposób, pomieszał koleje czasu, jakie w Krakowie przechodził wójtowski urząd? Któż się nie przekona, że ani w XV ani w XVI wieku nie mogły podobne zapytania iść z Krakowa do Magdeburga, chyba po to, ażeby dana na nie odpowiedź pozostała bezskuteczną? Mojém przeto zdaniem, trąci bajką owa historyczna wiadomość o przysiężnikach, podobna będąc wielu innym w ortelach podanym a na prawdzie nieopartym zdarzeniom. Podobnąż bowiem niedorzeczność powiedział rękopis drugi (36) o ustawie za wolą cesarza Rzymskiego, papieża i księdza czyli króla Polskiego zapadłéj (37), o ryńskim złotym (38). Mimo to

(33) Jak p. Rzesiński tamże XII mniema.

(34) Stoi na stronnicy 37 rękopisu p. Muczkowskiego.

(35) Porównaj dzieło Kar. Mecherzyńskiego o magistratach miast Polskich, wydane w Krakowie 1845.

(36) U p. Wiszniewsk. 213.

(37) W moim rękopisie XLVIII inaczéj to opisano.

(38) U Wiszn. 295. W moim rękop. na karcie LVIII stoi *o rzymskim złotym.*

wszakże są nader ważnym pomnikem dla wyrozumienia Polsko-miejskiego prawa ortele owe, byle umieć odgadywać ich ducha historycznie. Przekonywamy się z nich, że miasta Polskie zasięgały we względzie prawa rady jedne u drugich, zanosząc wzajemnie pytania do siebie jak niegdyś do Magdeburga, i odpowiadając na takowe z tém ostrzeżeniem, że tak lub tak podług Magdeburskiego lub swojego czyli Polsko-Niemieckiego odpowiedziały prawa (39). W moim rękopisie są zapytania dane do Krakowa, do Lwowa, do Krotoszyna i wzajemnie; w rękopisie p. Wiszniewskiego wymieniono Kraków, Warszawę, właśnie tam gdzie rękopis p. Muczkowskiego wypisuje Magdeburg, Janów (40). Obadwa też rękopisy wspominają o Luniskiém (lyuniskiem), czyli według mego wyrozumienia o Lubeckiém prawie, a okoliczność ta, tudzież obudwóch rękopisów usterki liczne (poopuszczano w nich wiele), nakoniec wysłowienie ich czyli styl nie tyle co mojego starożytny (41), i inne jeszcze szczegóły, których wiele w samymże rękopisie łatwo dostrzeże czytelnik baczny, dowodzić się zdają, że owe są późniejsze od mojego rękopisu, pochodząc z czasów kiedy miasta Wielko i Małopolskie z Mazowieckiemi się bratać poczęły.

(39) Pod liczbą CCIIII w moim rękopisie jest odpowiedź dana z *Krakowa podług Magdeburskiego prawa.* Wyrażając odpowiedzi pisano je przez skrócenia *m, p, s, m,* lub *m, p, s, n, p.* albo *s, m, n,* albo nakoniec *s. p,* co znaczyło: „my przysiężnicy z Magdeburskiego prawa;" lub „my przysiężnicy z naszego prawa;" albo „z Magdeburskiego naszego" albo nakoniec „z prawa" bez wyrażenia reszty. Rękopis przez p. Wiszniewskiego wydany zamiast używać skróceń, wypisuje tę formułę dosłownie. Porównaj u niego stronice 195, 211, 239, 281.

(40) Wiszniewski tamże 203, 216.

(41) Mało używają odmian dawnéj liczby podwójnéj.

Nie przesadzam przeto gdy utrzymuję, że rękopis ortelów który z czasem drukiem ogłoszę, jest ze wszystkich dotąd znanych (42) najstarożytniejszy. Pisany jest na papierze w sześćdziesięciu siedmiu ćwiartkach, oprócz rejestru, którego jest ćwiartek cztery. Napisy i piérwsza litera każdego ustępu jest czerwono wyrażona. Pismo drobniejsze jak w podobiznie (facsimile) u p. Wiszniewskiego kolorem napuszczanéj, a gęstsze i okrąglejsze jak w podobiznie jego drugiéj, niekolorowéj. Ktoby go i kiedy przepisał, trzecia od końca ćwiartka obszernie o tém mówi.

(42) Oprócz dwóch owych p. Wiszniewskiego i Muczkowskiego zbiorów, jest jeszcze rękopis ortelów tychże przy rękopisie Świętojerskim, według zdania J. Lelewela, r. 1503 pisanym, tłómaczenie statutów Polskich obejmującym. Porównaj jego Pomniki Historyczne 178, 180.

O ŻYCIU I PRACACH NAUKOWYCH

ALEXANDRA THISA.

Dnia 7 kwietnia b. r. umarł w Paryżu Alexander This, naczelny prokurator dziewiątego Warszawskiego Departamentu Rządzącego Senatu, starszy członek Kommissyi Rządowéj Sprawiedliwości, zaledwie 42gi rok życia ukończywszy.

Urodzony we wsi Jeziornéj pod Warszawą, całe swoje wykształcenie, otrzymał w szkołach krajowych, naprzód w liceum, a potém w uniwersytecie Warszawskim, gdzie wcześnie jaśniał przed rówiennikami nadzwyczajnemi zdolnościami, pilnością i słodyczą w postępowaniu. Na ławach szkolnych przejął się tą miłością nauki, która go aż do ostatniego tchnienia nie opuściła, która mu słodziła ciężkie, ciągłe i ważne prace urzędowe, a do któréj zawsze zwracał umysł z zapałem i uniesieniem. Magister obojga prawa i administracyi, ozdobiony rzadkiém świadectwem *cum eminentia et laude eximia*, przebiegł wkrótce stopnie sądowe assesora sądu poprawczego, prawnika przy b. kommissyi wojewódzkiéj, radcy prawnego w Kommissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu, rzucając wszędzie odbłyski wielkiego talentu, wielkiéj pracy i równie wielkiéj prawości.

Przymioty takie zwróciły uwagę i jednozgodne uwielbienie wszystkich zwierzchników, a bystre oko ówczasowego ministra skarbu księcia Druckiego Lubeckiego, niebawem upatrzyło w tym młodzieńczym prawniku, przyszłego uczonego, niestrudzonego współpracownika, a nawet poświęconego przyjaciela. Przy boku ministra i znakomitego męża stanu, otworzyło się dla Alexandra Thisa rozleglejsze pole działania; a zasługi istotne jakie położył zjednały mu stopień referendarza stanu, członka kommisyi przygotowawczéj do przejrzenia i ułożenia praw dla królestwa Polskiego, radcy stanu i nareszcie, gdy wrócił pośród nas, rzeczywistego radcy stanu, naczelnego prokuratora dziewiątego departamentu senatu, starszego członka Kommissyi Rządowéj Sprawiedliwości, i członka kommissyi ustanowionéj w Warszawie do przejrzenia przygotowanych dla Królestwa praw cywilnych.

Zaledwie stanął w całéj sile wieku nauki i doświadczenia, kiedy długa i dolegliwa słabość przecięła pasmo dni, tyle dla kraju użytecznych, tyle w przyszłości obiecujących i potrzebnych, a tak drogich dla wszystkich, którzy mieli sposobność zbliżyć się do niego i poznać tę piękną i szlachetną duszę.

Dosyć bowiem było zbliżyć się, aby go wielbić i kochać. Przystępność i łagodność otwierały mu wszystkie serca; słodycz jednostajna i niezmienna zachęcała do ufności i otwartości, a bogate skarby wiadomości wszechstronnych, łatwość ich udzielania, chęć rzetelna niesienia pomocy i oddania hołdu temu, co jest prawdziwe i piękne; poświęcenie zawsze gotowe własnego zdania wyrozumowanemu i lepszemu przekonaniu, którego szukał i które umiał wywołać, jednały szacunek trwały i zasłużony. Wylanie się bezwarunkowe dla rodziny

i przyjaciół, wspiéranie bezwzględne każdego, kto tylko cierpiał i żądał, zapomnienie samego siebie, skromność i nieufność dla własnéj wartości, a sprawiedliwość przychylna dla cudzych zalet, trudność w nieufności, i nieświadomość zupełna wszystkiego co jest nizkie i pospolite, były u Alexandra Thisa, łatwym i przyrodzonym wypływem zasad pewnych i nieugiętych, któremi się zawsze kierował.

Z zadziwiającą spokojnością wyższego ducha i niepokalanego sumienia, patrzył na zbliżający się kres żywota, a okrutne cierpienia choroby tłumił urozmaiconą i nieprzerwaną pracą.

Ze zwątlonemi siłami, ostatnią podróż odbył przez Rzym, gdzie drżącą już nogą przebiegając ślady tylu wielkości, ogrzéwał serce widokiem pomników dawnego świata, prawodawców i nauczycieli nowéj sztuki.

Śmierć zbyt wczesna i nieubłagana zastała go z piórem w ręku, z umysłem w krainie nauki i badań najzawilszych filozofii i historyi prawa.

Alexander This będzie chlubą prawników Polskich; on głębokość doświadczenia połączył z wysokością nauki. Trudne zadania codziennego i najwyższego wymiaru sprawiedliwości, podniósł piérwszy do stanowiska teoryi jędrnéj i oświeconéj; a praktykę sądową otoczył urokiem jasności, prostoty i tém tchnieniem estetyczném, jakie się nabywa nieprzerwaném przestawaniem z pisarzami wyborowemi krajowéj, i obcych najcelniejszych literatur. W pięciu starożytnych i nowych językach mówiąc i pisząc z zupełną biegłością, najoderwańsze zagadnienia stosunków prawnych nieraz ożywiał przytoczeniami wielkich i ulubionych pisarzy, których dzieła, śmiało powiédzieć można, umiał na pamięć.

Nadzwyczajną ścisłość i dokładność w rozpoznaniu szczegółów, jednoczył z szerokim i uczonym poglądem na całość; a wymowa, ta piękna i łatwa wymowa, którą porywał słuchaczów, nie była w jego ustach dźwięcznem tylko brzmieniem, ale spoczywała na rozumie i przekonaniu; a dlatego była przekonywającą, że niezawodna każdemu była czystość źródła, z którego płynęła. Potężną trzymając w ręku swojém władzę sądową, tak jéj używał, że dziś błogosławieństwa tylko spadają i długo spadać będą na mogiłę tego kapłana sprawiedliwości; na mogiłę zroszoną szczeremi łzami tysiąca przyjaciół i wielbicieli.

Strata wielka dla kraju, nienagrodzona mianowicie dla sądownictwa i prawodawstwa krajowego, niemniéj jest wielką dla piśmiennictwa prawnego. Alexander This zamierzał dzieła, które były godnemi tak rozległego i wykształconego umysłu; w nauce i piśmie, po pracach całéj młodości i męzkiego wieku, upatrywał jak mówił tęczę zwiastującą odpoczynek i sławę. Opatrzność nie dozwoliła mu tego szczęścia, a krajowéj literaturze téj ozdoby! Krótkie jednak życie zapełnił użytecznemi pracami, których ślad pozostanie, z których wiele nieznanych powszechności, a które czekają ręki znawcy i przyjaciela, aby się stały dziedzictwem wszystkich. Umieszczamy tu wzmiankę ważniejszych prac w kolei następującéj:

A. *Rozprawy umieszczone w Themidzie, piśmie nauce prawa poświęconém:*

1. Przestępstwo w art. 352 kod. kar. opisane, czy jest z dopuszczenia, czy z opuszczenia przestępstwem?

2. Czy prawo Francuzkie zna nieważność z samego prawa?

3. Jak pojednać art. 218 i 219 k. c. Fr. z art. 816 k. p. c. i art. 185 z art. 825., o upoważnieniu żony przez sąd do działań cywilnych.

4. Rozwiązanie niektórych zagadnień w rozprawie: „O rzeczach ruchomych i nieruchomych, czyli rozbiór art. 517, 526 k. c."

5. Kto jest w obowiązku zaspokoić dług zapisowy tytułem szczególnym, nieruchomość ciążący, czy legataryusz, czy dziedzic? a ztąd, czy między art. 874 a 1020 jest antinomia?

6. Czy między art. 1354 i 2054 jest antinomia?

7. Czy przysięga deferowana i przyjęta, dla zaszłéj śmierci niewykonana, może się za wypełnioną poczytać?

8. Czy wexle przedawnione mają jako cywilne rewersa prawne znaczenie?

9. Co znaczy wyraz *opposition*, użyty w art. 149 k. h?

10. Czy prokurator jest w obowiązku czynienia wniosków na korzyść stron w art. 83 k. p. c. wymienionych?

11. Jaka zachodzi różnica między sprawdzeniem pisma, a cywilném poszukiwaniem fałszu.

12. Odkąd zaczynają upływać *fatalia* apellacyi przy wyrokach zaocznych?

13. Czy areszt potrzebuje być zawsze wyrokiem zatwierdzonym?

14. Czy przy zajęciu nieruchomości komornik ma przybierać swiadków?

15. Czy można zaskarżać drogą kassacyi powody wyroku, poprzestając na rozporządzeniu?

16. Czy skarga kassacyjna przeciw wyrokom zaocznym sądu apellacyjnego, odwołanie lub oppozycyą dla niepopierania odrzucającym, jest dopuszczalna?

17. O sporach jurysdykcyjnych.

18. Czy od udziału w spadku dzieciom naturalnym przyznanego, opłata stępla kollatoralnego może być wymagana?

19. *Summum jus, summa injuria*, czyli o słuszności i sprawiedliwości.

20. Czy axyoma: *successio descendit non ascendit*, może być podług dawnego prawa Polskiego do spadków bocznych przystosowaném?

21. Nekrolog Mędrzeckiego.

B. W *Bibliotece Warszawskiéj.*

22. Kilka słów o jurysprudencyi.

C. W *Révue étrangère.*

23. Législation internationale de l'Empire de Russie.

24. Digeste de L'Empire de Russie.

25. Notice sur la coordination des lois provinciales de L'Empire de Russie.

26. Code-Svod.

27. Code militaire Russe.

28. Essai sur la rédaction des lois.

D. W *Révue de Législation et de jurisprudence.*

29. Le droit naturel.

30. L'étude du droit romain.

31. La législation de Pologne et de Russie rélative à l'expropriation pour cause d'utilité publique.

32. Études sur le Code pénal Russe.

E. *W osobnych drukach*:

33. Dernier mot sur le pouvoir social. (Paris 1836).

34. Code civil de l'Empire de Russie, traduit sur les éditions officielles. (Paris 1841).

35. Précis des notions historiques sur la formation du corps des lois Russes. (Przekład z Rossyjskiego, Petersburg 1833).

F. *Z niedrukowanych rozpraw, wziętych za zasadę do ważniejszych pytań prawnych, rozbieranych w przypadkach praktycznych w Rządzącym Senacie.*

36. Czy po wykonaniu przysięgi deferowanéj, służy akcya cywilna na zasadzie udowodnionego w drodze karnéj krzywoprzysięztwa?

37. Czy art. 2089 k. c. pozwala zastawnikowi brać wyższy nad prawny procent?

38. Czy w przypadku art. 2089 k. c. przewidzianym, można znaglić zastawnika do kalkulacyi dla wyśledzenia czyli nie pobrał nadprawnego procentu?

39. Czy umówiony i zapłacony procent nadprawny, ulega zwrotowi lub zarachowaniu na kapitał.

40. Czy procenta od kapitałów hypotecznych, ulegają przedawnieniu. (Art. 123 i 124 ust. hyp.).

41. Czy rękojmia wiary publicznéj osłania hypotekę sądową zarówno jak umowną? (Art. 20, 21, 56, i 120 ust. hyp.).

42. Czy kapitał hypoteczny jest ruchomością lub nieruchomością?

43. Czy wyrok ostatecznego przysądzenia może być z art. 135 k. p. c. opatrzony klauzulą tymczasowéj wykonalności?

44. Czy przy sprzedażach w drodze działów, dopuszczalną jest relicytacya? (Art. 710 i 964 k. p. c).

45. Czy w testamencie publicznym, krewny testatora może być świadkiem?

46. Czy ruchomości mogą być przedmiotem sprzedaży, z warunkiem odkupu?

G. Wpośród cierpień ostatniéj słabości, Alexander This wygotował jeszcze ważne rozprawy i ułożył projekta:

a) Taxy ogólnéj sądowéj co do kosztów sądowych i dla obrońców.

b) Wynagrodzenia dla świadków przy czynnościach komorniczych.

c) Wynagrodzenia sędziów delegowanych do sporządzenia planów klassyfikacyjnych i dystrybucyjnych.

d) Rozprawę o naturze i stosunkach prawnych dóbr pojezuickich.

W. M.

KRONIKA LITERACKA.

Za późno i Jeszcze dość wcześnie. Dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. Tomów III. 1846. *Warszawa.*

Przytaczamy pokrótce treść obu powieści.

Powieść I. *Za późno.* Piękna, młoda, pełna talentów i tylko *bez zasad* — była *Herminia.* Los jéj szczęścił, młody, przystojny, bogaty i przywiązany do niéj Kajetan *Wielomirski* został jéj mężem. Wkrótce córeczka *Aurelka* i synek *Stasiek* powiększyli ich towarzystwo domowe. Towarzystwo to nie bawiło Herminiią, lecz los jéj szczęścił i powiększył je nowo przybyły sąsiad *Artur Szreniawski.* Szreniawski obudził gwałtowną miłość w sercu Herminii,— i Herminia nie wahała się co ma czynić. W nieobecności męża opuściła dom, dzieci, zostawioną na stole kartką pożegnała na zawsze męża i w domu krewnych, rozpoczęła kroki rozwodowe. Kroki te były zbyteczne. Nazajutrz po odjeździe jéj z domu, umarł Stasiek, Wielomirski nie przeżył straty żony i syna, i Herminia została żoną Artura.—*Jak mierzysz tak ci odmierzą.* Co uczyniła Herminia swemu piérwszemu mężowi, to mąż drugi dla niéj uczyni. Artur ożenił się z Herminią dla majątku, lecz pogodzony z bogatym stryjem najwięcéj w domu jego przebywał. W *Pamiątkowie* sąsiedztwie stryja, poznał młodą *Zofię Bolecką* mieszkającą przy ciotce i dziadku. Ojciec Zofii umarł nie w kraju; jéj myśl, jéj słowa,

jéj piosnka była to tęskność; Artur widział ją idącą w skutek ślubu do Załęcina (na nabożeństwo), widział rozdającą jałmużnę, widział ją zawsze dobrą; co za różnica z samolubną Herminią, Herminią już nie młodą, i na czole któréj zdawał się być zawsze wyrytym wyraz *zabójczyni męża.* W Pamiątkowie nie wiedziano że Artur ma żonę, Zofia dowodziła mu raz że jeśliby kiedy ukochała kogo, tedy wiecznie, bo miłość rzetelna na szacunku się wspiéra.—A gdybyś pani przymuszoną była cofnąć ten szacunek? zapytał Artur—„Natenczasbym umarła" odpowiedziała. Herminia domyśliła się przyczyn długiéj nieobecności męża, śmierć Aurelki dała jéj pretext i napisała do męża z płaczem, błagając go iżby wracał i przedstawiając iż poświęciła dla niego męża i dzieci. Artur po otrzymaniu tego listu wyprawił gońca do Warszawy o przyśpieszenie aktu rozwodowego. Herminia dowiedziawszy się prawdy napisała list do Zofii, Artur tymczasem otrzymał akt rozwodowy. Herminia chciałaby wreszcie cofnąć wszystkie swe postępki, całą swą przeszłość, ale już było *za późno.* Artur po pożegnaniu Herminii poleciał do Pamiątkowa, przybył jednak także *za późno*, trafił bowiem na pogrzeb Zofii.

Powieść II. *Jeszcze dość wcześnie. P. Leon Żarlicki* niedawny sąsiad pp. Sobiesławskich, za trzecićm czy czwartém widzeniem się, oświadczył się pannie Sobiesławskiéj; p. Julia (Sobiesławska) nie odmówiła, nie odmówili rodzice, i pan Leon został narzeczonym panny Julii. Panna Julia miała posag wprawdzie nie wielki, lecz dla Leona któremu nie powiodły się karnawały Warszawskie, dostateczny. Twarz z bródką p. Leona była wzorem piękności, jego ubiór wzorem strojności i p. Julia także była szczęśliwą. W sąsiedztwie pp. Sobiesławskich mieszkała pani *Suszecka* mająca dwie córki, pannę *Adelę* która, jak mówi autorka „zadzierała i tak już zadarty nosek" i pannę *Różę.* O pannę Adelę starałby się bogaty lubo nie młody kawaler p. *Żolimski*, lecz go odciągała trochę kuzynka ich, panna *Leokadya Pogórnicka;* pani Suszecka odstąpiła więc pannę Leokadyę pp. Sobiesławskim na rezydentkę pod pretextem wydania jéj za ich do-

mowego doktora. Ta panna Leokadya była to piękność surowa, mająca do świata urazę i słuszną; córka bogatych rodziców była przedmiotem hołdów, miała nawet narzeczonego, lecz rodzice stracili bogactwo, i znikły hołdy. P. Leokadya nie cierpiała domu w którym musiała mieszkać, i pp. Sobiesławskich i p. Julii, i p. Leona który miał żenić się z Julią. Towarzystwo w Tarłominie (u pp. Sobiesławskich) powiększył w tym czasie gość przygodą jakąś podróżną zatrzymany i bawić tu czas niejaki przymuszony p. *Stefan Runowski*; gość ten przez czas swego bawienia sprawił niejaką rewolucyą w wyobrażeniach Julii. Jego myśl, jego słowa, jego zasady odbijały w każdéj rozmowie, każdém zdarzeniem od narzeczonego jéj p. Leona, który, jak mówi autorka „miał główkę ufryzowaną zewnątrz, i wewnątrz" i któregu dowcipu szczytem były przycinki złośliwe i zabawa z psami. Widok p. Stefana R. coraz milszym, Leona coraz przykrzejszym, stawał się Julii. Walkę stoczyła w sobie kiedy posłyszała oświadczenie p. Runowskiego, odmówiła mu jednak, jako inném słowem związana. Szczęściem, było to jeszcze wszystko *dość wcześnie*. Na wieczorze u pp. Suszeckich zaszły zmiany. Niejaki p. *Konopiarski* przybyły z Warszawy przywiózł tam kilkanaście numerów gazet Niemieckich i Warszawskich obejmujących ogłoszenie o milionowym spadku przypadłym na panny Pogórnickie po ich stryju zmarłym we Włoszech. Panna Leokadya porzuciła tegoż dnia rezydencję u pp. Sobiesławskich. Pani Pogórnicka z córkami pojechała do Warszawy i stanęła w hotelu Rzymskim; pan Leon napisał szlachetny list do pp. Sobiesławskich wyrażając, iż smutny obrót interesów familijnych zmusza go do zrobienia ofiary z ręki Julii; pojechał do Warszawy, i stanął w hotelu Rzymskim. Szczęśliwa p. Julia została wkrótce żoną pana Stefana R. P. Leon przynaglił pannę Leokadyę o prędsze oddanie mu ręki, poczém poruszywszy ostatek majątku pojechał z żoną do Włoch po odbiór spadku, i wrócił bez majątku żony i swego, a porożniony z żoną. Autorką ogłoszeń w gazetach była sama panna Leokadya.

Z téj treści dwóch powieści pani Wilkońskiéj, czytelnicy łatwo zapewne zgadną cel w nich autorki. Celem autorki było — kierować swe czytelniczki do oglądania się przed zawarciem związku małżeńskiego i do nieobracania w żart tego związku. Nie należymy do płci któréj jedynym zawodem są ściany domu, pojmujemy jednak całą wartość takiego celu. Małżeństwo nietylko jest *domem*; jest ono podstawą i źródłem tego albo innego stanu społeczności, któréj jest cząstką — jest *wszystkiém*. Od takich lub innych małżeństw zawisło takie lub inne nowe pokolenie krajowe. Nawet w mniéj dobraném małżeństwie piérwszym obowiązkiem jest: poświęcenie się. Tego wymaga społeczność, tego wymaga historya każdego szczęścia pojedynczego. Z fatalności rozwinął się układ świata naszego i nie następuje na nim dobro bez poświęcania się. Wiry, następstwa zdarzeń nieobrachowane są, ale niemylny środek skłonienia drogi szczęścia ku sobie, jest: trzymać się *zasad*. Wskazać na to, zdaje się iż było obecnie celem pani Wilkońskiéj. W dwóch powieściach, których treść przytoczyliśmy, bohatérka piérwszéj, Herminia, okazuje się nam z sercem bez zasad; drugiéj, *Julia*, przeciwnie. Równie wprawdzie *Herminia* jak *Julia* miały do przebycia los spólny wszystkim, jedna i druga była nieraz na drodze smutnéj, mylnéj, niedobréj, i w tém postrzegały się; dla piérwszéj jednak było zawsze *za późno*; dla drugiéj zawsze *dość wcześnie*. Te następstwa, zdarzenia, które ich los zmieniały, nie były to wprawdzie bezpośrednie wypływy kroków rodzajem ich zasad nacechowanych, nie z dobréj woli np. Herminii wypłynęła śmierć jéj dzieci, nie skutkiem dobrowolnego postępku Julii było uniknienie związku z Leonem. Tak jednak istotnie świat idzie. Przez drogi nam nieraz nieznane, układa się natura zdarzeń zewnętrznych, do natury przyczyn wewnętrznych.

Tak pojmujemy treść powieści pani Wilkońskiéj, i żałujemy że podobnie z przyznaniem nie możemy wyrazić się o ich wykonaniu. Zdaniem naszém strona wykonania w powieściach pani Wilkońskiéj daleko zostawiła za sobą zasługę

treści. Połowa przynajmniéj, w rozwinieniu każdéj, zbyteczną nam się wydaje. Treść powieści pani Wilkońskiéj rozwija się najwięcéj *w listach* i *dyalogach*; te jednak listy i dyalogi następują zwykle po określeniu poprzedniém myśli i sytuacyi figur, nic więc nam nie podają nowego, nic takiego czegoby sam czytelnik przed sobą już nie powiedział. Z drugiéj srony znajdujemy w nich za nadto *ruchu* i *zmian* bez których obejśćby się mogły ramy powieści. I wreszcie przeciw samym figurom mielibyśmy do powiedzenia. Charaktery, położenia, wypadki, nieprzeliczone są wprawdzie na naszym świecie, i żadnego odcienia ich za nieprawdopodobny nie mamy prawa poczytać; jeśli wszakże autor albo autorka, objawili nam pewny cel, mamy natenczas prawo zrobić uwagę, iż w ten albo inny sposób cel ten skuteczniéj mógłby być osiągnięty. Celem autorki w 1éj powieści było przedstawić nam młodą osobę bez zasad; wzór dany iżby był skuteczniejszym spółcześnie, powinienby był się przedstawić podobniejszym do nam spółczesnych. Czytelniczki do których dziś mówi autorka są to osoby myślące i czytające (chociażby tylko powieści), bohatérka jéj więc powinnaby się nam była przedstawić więcéj myślącą; a przynajmniéj charakter jéj w bliższém określeniu moralném. Herminia pani Wilkońskiéj przedstawia się nam w powieści bez serca, bez myśli, bez słowa, w jakiemś zupełném nieokreśleniu. Czy brak jéj zasad był skutkiem *jakiegoś stopnia* myślenia czy *niemyślenia*? gdyby przynajmniéj autorka wyjaśniła nam to. Jeżeli Herminia wydaje się nam niekiedy żyjącą, to tylko że jest przy więcéj jeszcze martwym swym mężu (*Arturze*); dla którego nie pojmujemy także czemu umiera *Zofia*.

Wykonanie powieści 2éj o wiele przewyższa 1-ą; tu nieraz dyalog żywszy, sytuacya ciekawsza, figury jak *Żarlicki*, teatralny *Lewek* i t. p. przypominają nam nawet z rzeczywistego świata osoby. Najinteresowniejszą (bo najoryginalniejszą) byłaby zwłaszcza panna *Leokadya*, gdyby autorka jakąś jedność znaczeniu jéj nakréśliła; figura ta przedstawia się nam z początku jako ofiara niesprawiedliwości światowéj, dalsze zaś

jéj postępki przekonywają nas iż owa niesprawiedliwość *miała racyę*.

Mamy prawo spodziewać się, iż pani Wilkońska, znana już jako autorka niejednego zdolnego artykułu i niejednéj ładnéj powiastki, nie przestanie na tych dwóch powieściach, zdaniem naszém, trochę za pośpiesznie wydanych.

Powieść *praktyczna* przebywa dziś złotą erę swego istnienia. Powieść praktyczno-społczesna berło historycznéj dzisiaj zajęła. W literaturze Francuzkiéj (gdzie jéj stolica) wszelki powieściowy talent tu zwrócił się. *Dumas, Sue, Soulie*, i t. p. dzisiejsi pisarze dziwnéj głośności, są to twórcy praktycznych powieści. Nawet ostatni utwór autorki *Siedmiu strón Liry* (*La Mare au diable*) w tęż sferę przeszedł. Powieść praktyczno-spółczesna, wszelkie klassy społeczne, odcienia charakterów, położeń, wszelką owszem ruchomość zewnętrzną (dla jakichś wewnętrznych celów) ujmuje dziś w sztukę, przedstawia. Jeden z najnowszych powieścio-pisarzy Angielskich (kapitan *Dżis*) wprowadził w swych utworach na scenę, obyczaje nawet zwierząt i roślin.

I w literaturze naszéj ta powieść zaczyna dziś oglądać dni dobre. Niektóre prowincye kraju naszego, w szacie téj powieści trafnie odbiły się już. Towarzystwa np. Wołynia, Podola, Litwy, przedstawili nam świeżo w obrazach *jakby dagierotypem zdjętych*, pp. *Szczeniowski, Korzeniowski, Kraszewski, Chodźko* i t. p.

Gdyby pani Wilkońska do swych *celów, ram* pomyślanych, i téj zdolności (jakiéj nie na jednéj karcie powieści mamy dowody) raczyła dołożyć więcéj czasu na wykonanie, opisywane przez nią towarzystwa i strony, także piękną, zapewne korzyść odnieśćby mogły.

Z tą nadzieją pisaliśmy tę wzmiankę o nowowydanych przez Nią powieściach. *T.*

Rodin czyli duch na drodze pokuty. Romans allegoryczny, napisany przez Symeona Boguckiego.

Niech co chcą mówią o przypadkowości w literaturze, w historyi i t. d. nam zawsze szlachetniejszym ba i prawdziwszym i bardziéj człowieczym wydaje się ten pogląd, który wszędzie pewnych, stałych a niezmienionych praw doszukiwać się każe; bo wedle nich rzeczy niestałe i zmienne się dzieją. Pogląd ten do literatury zastosowany, da nam to przekonanie, że literatura pewnego czasu i narodu musi być i jest inna od literatury innego czasu lub innego narodu; że każdy mieć powinien i ma swoję literaturę: boć literatura jest formą, w któréj się duch tego narodu objawia. To wszystko powtarzamy tylko dla związku, bo to są rzeczy wiadome.

Wiémy także i o tém, że jako w innych rzeczach, tak i w literaturze, naród jeden na drugi wpływ wywiéra i wywiérać musi, mniéj lub więcéj przeważny, mniéj lub więcéj trwały. Ztąd jednakże nie idzie wcale, żeby podobnie pożyczane myśli i twory, tło literatury stanowić miały. Sąto szybko niknące, bodaj najświetniejsze błyski. Bo jeżeli naród tak lub inaczéj usposobiony umysłowo na drodze historyi, taką a nie inną ma literaturę, toć jasno samo z siebie, że inny naród, który inną przechodził drogę, na innym swego rozwoju punkcie stoi, tąż samą literaturą żyć nie może. A jeżeli są epoki całe, w których naród z cudzego żyje, i to nic jeszcze nie dowodzi. Boć i roślinę jaką przesadźmy w klimat jej nieprzyjazny, ale wszelkiemi otoczny staraniami i chuchajmy i dmuchajmy, a dokazać możemy, że przez jakiś tam czas nie umrze. A jako dla rośliny trzeba, aby ziemia stosownie przygotowana była, aby przyostry wiatr tchem jéj swoim nie zziębił, lub słońce nie wypaliło; tak téż każda bodaj najmniejsza literatury gałązka przy pewnych tylko warunkach zdrowo rość może. Jest to tylko porównanie, jak każde niedostateczne; rzecz sama przez się prawdziwa.

Z podobném przeświadczeniem badając literaturę narodu, przy każdym znakomitym autorze, prawie do najdrobniejszych rysów oblicza jego możemy objaśnić z epoki w której żył, z ducha czasu w którym pisał; i pieczęć ta na najbardziéj indywidualnych jego pomysłach się odbija. Wyjątki, choć nie liczne, stanowić mogą te literackie efemerydy, co rodzą się w południe nieczekani, a wieczór giną, zaledwie jakby krzykiem niemowlęcym dawsz znak swego istnienia.

Tym sposobem, krytycy nasi objaśnili już, dlaczego np. we Francyi, literatura szalona takie ma wzięcie, choć i tam nie u wszystkich; dlaczego śmieszną i szkodliwą jest rzeczą przesadzać jéj odrostki na ziemię naszę. Ale od czasu kiedy, np. p. M. G. objawił sądy swe o utworach nowszych pisarzów Francuzkich, sądy wcale słuszne choć przyostre, do dnia dzisiejszego krok naprzód sunięto. Romans Francuzki nie już tém samém dziś, czém był wtedy; ramki jego rozszerzają się coraz, treść rozmaitością wzbiéra bez granic, a on sam stał się areną, na któréj myśli wszelkich sfer w zapasy chodzą. I to własnie krytycy Francuzcy za upadek romansu mają; czy słusznie, wątpię; i to tém bardziéj że nie są to już, te filozoficzne powieści *à la Voltaire*, gdzie aktorowie zupełnie do siebie podobni, kwestye filozoficzne rozbijają. Tu przeciwnie pytania socyalne w całém znaczeniu wyrazu rozkwitają się w czynie, chociaż po większéj części jeszcze ujemnie tylko.

Do podobnego rodzaju tworów należą, niedawnemi czasy puszczone w świat Tajemnice Paryża, p. Sue; kolorytem do dawniejszych utworów podobne wcale, treścią już do najnowszéj dające się policzyć szkoły. Dążność chwalebna, dotąd wszakże w znacznéj części tylko teoretyczna—ulepszenia bytu najbiedniejszych klass narodu—przesiąkła już literaturą piękną Francuzką, ona ożywia całe dzieło Tajemnic Paryża. Dodajmy do tego kilka uwag o zastarzałych przesądach tolerowanych przez prawo, kilka niestosowności w prawie samém na jaw wytkniętych, a wszystko z głównem zadaniem związane ściśle, i ot będzie myśl główna, myśl ujemna, dążenie do zmiany.

Podobna dążność w romans wszczepiona musiała zapoznać nas z ludźmi wszelkiego stanu i mienia; i w istocie na sprzecznościach dużo się tam obraca. Tajemnice te w Paryżu, bardzo na swojém miejscu; i minąwszy zarzuty jakieby można dać jako utworowi sztuki pięknéj, mają swą wartość, nie będą bez skutku. I mamyż się dziwić, że przy takich okolicznościach napotykamy nieraz obrazy za brzydkie, farby za ponure, że przed nami odsłaniają się najwstydliwsze części towarzystwa, najskrytsze jego rany? Dążność usprawiedliwia poniekąd środki, tém bardziéj, że poprzednicy obficie przykładów dostarczyli.

Dowiedzioną jest rzeczą, że myśl każda, każdego znakomitego człowieka, znajduje głośne echo w głowach i sercach spółbraci. Czy to złe czy dobre? nie ma potrzeby wyrokować a raczéj nie ma potrzeby pytać się; bo to jest fakt znany, dowiedziony, który jest, był i będzie się objawiał wśród ludzi. Dwa jednakże przypadki rozróżnić trzeba. Raz człowiek wielki, pojąwszy czy przeczuwszy myśl głęboko ukrytą w powszechności, wysłowi ją, trąci stronę u wszystkich doskonale na jeden ton strojną; i cóż dziwnego, że mu odpowiedzą chórem, że pójdą gdzie poprowadzi, zrobią co robi? Drugi raz będzie to płód więcéj indywidualny, niepozbawiony związku z ogólnym chodem, wszelako nie tyle potężny i dzielny aby miał wszystko za sobą porwać i nowemi popchnąć tory. Wtedy wszystkie jego odbicia, odblaski, będą czcze, jałowe, prędko przechodne, znikome.

Ten właśnie przypadek powtórzył się przy Tajemnicach Paryża: bo nie wyszło miesięcy kilka, a już się pojawiły Tajemnice Londynu i niezgrabniejsze od nich Tajemnice Berlina i najniezgrabniejsze ze wszystkich Tajemnice Warszawy i wiele innych co raz obrzydliwszych, na akta policyjne zakrawających, małych i prawdziwych tajemnic.

Jeżeli Tajemnice Paryża znajdą miejsce dla siebie w literaturze Francuzkiéj, i dadzą się pogodzić z ogólném tam dążeniem, to proszęż mi powiedzieć, jaką wartość, jakie znaczenie mają lub mieć mogą, te małpowania, te przedrzeźniane utwory, które wszystkie, wyjąwszy może poniekąd Taje-

mnice Londynu, przedstawiają nam ogrom szczegółów ohydnych, scen brudnych, bez myśli, bez połączenia i ładu, a czasem zupełnie bez ludzkiego sensu? Proszę mi powiedzieć, jak wyglądają podobne utwory u nas? Jeżeli mi doktór pruje ciało bez litości aby wewnątrz utajoną ranę odkryć i wyleczyć, boli, prawda, ale cieszy nadzieja że będę zdrów; ale jeżeli bistury na to tylko krwią moją broczy, żeby mi ciało pokrajać, albo cudzą operacyę powtórzyć, mamże pozwolić? i będzie tu sens, będzie sztuka? a zresztą udaż się sama operacya jeżeli okoliczności inne, ciało inne a może, i choroba nie taż sama?....

Dodajmy jeszcze że ci przedrzeźniacze utworów p. Sue, formy się oburącz chwyciwszy, o głównéj myśli na śmierć zapomnieli.

Wkrótce potém ujrzał świat *Żyd wieczny* tegoż co i Tajemnice autora, czasowemi okolicznościami w głównéj treści anti-jezuityzmu wywołany. Pominąwszy tu treść i myśl autora, zwróćmy nieco uwagi na formę, która się niektórym *nowością szczęśliwą* w literaturze wydała. Czy to jest *nowością* wprowadzać istoty nadziemskie do ludzkich utworów? tego nie powiém. Znamy przecież Shakespeare'a, Byrona, Schillera, znamy zresztą te czarodziejskie powiastki Francuzkie i Niemieckie dawnych wieków. Czy jest *szczęśliwą?* to w ogóle trudno powiedzieć. I właśnie w *Żydzie tułaczu* może mniéj szczęśliwie niż gdzieindziéj jéj użyto. Naszém zdaniem, do pomocy istot nadziemskich w literackich utworach, można się wtedy uciekać bez grzechu, kiedy treść tego warta. I gdybyśmy sądzili że dodamy mocy naszemu zdaniu, zacytowalibyśmy Horacyusza, co radzi oszczędnie o ile można nadziemskich używać pomocników, mimo, że Rzymianinowi nieskończenie łatwiéj przebaczyćby można. W romansie p. Sue to wprowadzenie Żyda i Herodiady, więcéj effektowne niż potrzebne; chociaż dawność i powaga podania poniekąd całą tę fantazyę znośniejszą czyni. W każdym jednak razie nie jestto *forma allegoryczna* jak podobało się nazwać panu B., który nas ob-

darzył takiéj saméj formy romansem, pod tytułem *Rodin* v. *duch na drodze pokuty.*

Duch na drodze pokuty! pomyśliłem przeczytawszy tytuł, zaprawdę to wielkie! wiedzieć za co *duch* ludzki pokutować będzie i jakiego rodzaju pokuta jego być ma; jestto poniekąd wchodzić w prawa Boga samego. Potrzeba podnieść się na taką wysokość, aby to pokuszenie nie było dziecięcém zachceniem; potrzeba czuć moc skrzydeł swoich, żeby na głowę nie runąć. Przynajmniéj potrzeba być Dantem aby mówiono, jak owe kobiéty Italskie o Dantem: patrz, oto człowiek, co widział duchy pokutujące w piekle, widział szczęście niebieskie?!

Teraz, gdyby mię kto spytał, dlaczego pan B. napisał *Rodina*, bez wahania odpowiedziałbym: dlatego, że czytał *Żyda*, i tak jak Klementyna była odgłosem Tajemnic Paryża. A jednakże autor mówi: „romans niniejszy (Rodin) nie ma nic wspólnego z intrygami, w Żydzie tułaczu znalezionemi. Celem naszym było, pod innemi obrazami, w téjże saméj tylko formie romansu, odmalować człowieka w *najdrobniejszych odcieniach jego dobrych i złych skłonności*, stawić obraz miłości bliźniego w pokutującym Rodinie; jako drugą podstawę naszego założenia, w końcu uspokoić wiele umysłów, z których nikczemność tego człowieka nieskończenie różne, a zawsze szkodliwe wywołała oburzenia."

Pominąwszy wysłowienie samo, które bynajmniéj poprawnością się nie odznacza, co mówicie o celu samym, tak dobitnie, z góry zapowiedzianym? Ja mimo chęć szczerą jakoś tych trzech podstaw założenia nie widzę. Boć jeżeli serce człowieka w najdrobniejszych odcieniach jego dobrych i złych skłonnościach, ma się pod piórem autora w widome i pojęte dla nas kształty zamienić, to czy i miłość bliźniego nie znalazłaby miejsca między dobremi, jeśli tak godzi się nazwać, jego skłonnościami? Cóż wreszcie znaczy ten epitet *nikczemnego*, tak w ostatniéj instancyi przylepiony na czoło Rodinowi? Co znaczy ta chęć uspokojenia wielu umysłów, ta ojcowska troskliwość o zdrowie ukochanéj dziatwy? Nawet to samo ogłoszenie celu nie-

zmiernie mię razi. W utworze sztuki można się pytać o myśl główną co niepokoiła artystę w chwili tworzenia; ale *cel* taki a nie inny, to zanadto praktycznie, materyalnie. I jakżeby musiał się zdziwić Michał-Anioł, gdybyśmy go raptem spytali: jaki cel miał kréśląc plan taki lub inny Mauzoleu Juliusza II. Coby powiedział, Szopen, Liszt, i każdy poeta— artysta, zagadnięty o cel swego tworu? A przecież sztuki, to siostry; a przecież romans, że prozą pisany, już teraz się niżéj od wierszowanych tworów nie stawia. Artysta tworzy, cel jego—wyjawienie, wcielenie swéj myśli w kształty widzialne: ludzie słuchają, patrzą, czytają, podziwiają, *qui potest capere capiat.* A jakież to rozliczne skutki, wpływy jednego utworu?— o których autor ani pomyślił.

I zresztą może być zadaniem, myślą, celem w końcu, jak chce p. B. jednego romansu, powieści, dramatu i w ogóle jakiego płodu sztuki jakiéj to, co autor tutaj zakreślił? Zadanie w ten sposób wyrażone tak jest obszerne, tak elastyczne, tak dużo obejmuje w sobie, że przestaje zupełnie do czego bądź obowiązywać, dając się zastosować do wszystkiego. Dosyć nabrać ztąd i zowąd scen, zarysów, charakterów, oprawić w jednę ramkę i robota skończona. A i cóż z tego będzie? będzież to utwór cały, jeden? A przecież wiémy, że każdy utwór sztuki musi stanowić całość, być jednym w sobie. Wszędzie szukamy myśli naczelnéj, głównéj, tonu z którego cała muzyka napisana, do którego się wszystko stosuje; szukamy środka, do którego zewsząd idą promienie aby się w nim spotkać i od niego światło odebrać; chcemy aby to był jeden jakby systemat planetarny, mający swoje słońce, swoje księżyce.

Wracając do tego, cośmy wyżéj powiedzieli, oświadczamy powtórnie, że mimo słowa autora, nie wahamy się utrzymywać, że ojcem romansu *Rodin* jeden *Żyd wieczny* i nie zostawimy tego bez dowodów. Bo czyż mogło być inaczéj, kiedy główna osoba obecnego romansu —pożyczona, i ta niby nowa forma nie własna? Nadto, trzebaż było powiedzieć nieczytającym Żyda, za co ten Rodin ma pokuto-

wać? ztąd mnóstwo zarwanych szczegółów. Zatém poszło i daléj a mianowicie:

Zaczyna się romans wielkim prologiem i w Żydzie jest prolog; piérwszy rozdział tam dwa światy, tu uniwersum. Ależ co to za uniwersum? — Muszę wam choć cokolwiek o niém powiedzieć, bo warto. Gdzie jesteśmy zaczynając piérwszy rozdział prologu? nie pytajcie bo nie wiém, dość że to przestwór ogromny, którego tło wtedy przybrało *mgł obłoczysty* i potém tumany znikły a z poza nich pokazało się światło jaskrawe, które *lekkiém poruszeniem atomów* wydało na jaw siedm kolorów tęczy; potém wszystko to znikło, a pokazały się ogniste punkta. I jeden z tych punktów, ziemia, zatrzymał owe siedm tęczowych kolorów. A kiedy ziemia zbliżała się do słońca, każde z tych *siedm* świateł kolorowych pokazało się w postaci i życiu i *punkt łamiący* także był żywy. A kiedy się ziemia jeszcze bardziéj do słońca zbliżyła, pokazało się nareszcie, że to byli ludzie, ktoby temu uwierzył? a jednak tak być musiało, bo autor widział będąc już chyba na słońcu. Słowem było to siedmiu bohatérów romansu p. Sue, a punktem łamiącym był Rodin.

Powiada potém autor, że historya tych osób, musi być epoką w społeczeństwie, że *nauczy* ale nie poprawi ludzi. Następuje daléj zapytanie, kiedy wszystkie promienie świata zabłysną *z swobodą odwiecznego (?) rządu*, kiedy jedne przestaną cmić drugie, kiedy będzie jeden pastérz i jedna owczarnia? Potém idzie zatrważające oznajmienie, że *nikt nie wié*, czyli przyjdzie ta błogosławiona chwila dla ziemi? a jednak zaraz potém następuje zalecenie że kochać się wzajemnie potrzeba aby *sprawdzić* nadzieję téj chwili. I jeszcze głos się rozlega w przestworze wzywający, niezawodnie tych siedmiu, na ulicę śgo Franciszka, i odpowiedź straszna Rodina, że nie będą! i oto piérwszy rozdział skończony.

Czyż warto było powiedzieć, proszę, prowadzić nas choćby téż i na słońce, żeby pokazać ośm osób, żeby powiedzieć kilka fałszów albo olśnić oczy dziwną grą światła? Ja otwarcie powiadam, że tego nic nie rozumiem, że to nie

jest ani piękne, ani historycznie i filozoficznie prawdziwe. I obraz i ramki, nic warte.

Z słońca prowadzi autor na Karpaty, istne *salto mortale*; ale ponieważ autor *in mediam rem rapit*, trzeba treść ze środka wywikłać; doszukać się w poplątanym kłębku początku. I otóż jest treść:

Na wyspie Burbon czy San Domingo zdaje się, mieszkał Iganicki Polak, z żoną: dwoje ich dzieci Teobald i Delfina. Powstanie czarnych wybuchło, po którém Iganicki oskarżony o współkę z Murzynami, dla zmazania winy z siebie jedzie do Paryża. Dla zabezpieczenia się na przypadek, robi przedaż symulacyjną majątków swoich na rzecz rządcy swego Harlesdinga, za 4 miliony franków. Harlesding wraca i jako prawy właściciel zabiéra mienie, całą familię Iganickich na cztéry wiatry wyprawiwszy, siłą, podstępem i innemi szatańskiemi środki. Wkrótce potém sam Harlesding, rozmiłowawszy się w jakiejś pannie. stara się o jéj rękę. Ale spotyka upornego współzawodnika, w osobie Rappinet'a, kapitana okrętu. Szczęście sprzyja Harlesdingowi, kapitan udaje zrezygnowanego, brata się z swoim dawnym rywalem, i w wigilią ślubu posyła mu w darze toaletkę któréj *wszystkie artykuły zatrute były rakiem*! a toż to przeżegnać się trzeba. Harlesding stroi się i piękne oblicze swoje w potworną zamienia maszkarę. Rappinet się żeni, kilka lat mija, kapitan bankrutuje; spotyka w samą porę jakiegoś hrabiego Emy Cruchard, obrzydliwego oblicza, ale pełnéj kieszeni, który daje mu massę pieniędzy na podreparowanie interesów, zastrzegając sobie w kontrakcie połowę zysku, jaki kapitan wyciągnie z téj summy po latach 25. Po upływie tego czasu, zejdą się z sobą o godzinie 12 (!) obrachują i podzielą. Przez ten czas kapitan na wszystkie strony kradnie, oszukuje, tumani, zostaje członkiem wielu filantropijnych towarzystw, handluje Murzynami, wykrada sekret robienia szalów męcząc torturą jakiegoś tam Indyanina, gromadzi a gromadzi złoto i nazbiérał go przeszło 200 milionów, i w ręce hrabiego je częściowo składał. Hrabia tymczasem z pudlem i obrzydliwymi służalcami jé, pije i żyje

jak może. Nareszcie 25 lat mija, Wtedy właśnie hrabia zakupił sobie jakąś dziewczynę, Hiszpankę niby, stworzenie młode, ładne a jak szatan złe i zepsute. Dwunasta godzina bije! kapitan żąda podziału, hrabia odrywa chustki, któremi podwiązany chodził, i zamiast żądanych pieniędzy ukazuje mu swoje obrzydłe lice: pieniędzy nie da, bo on, to Harlesding; bo cały ten kontrakt, to zemsta jego. Kapitan wściekły ale nie dość; wkrótce dowiaduje się, że ta dziewczyna, ta Hiszpanka, to jego własna córka, co mu tam już gdzieś tonęła. A więc zemstę, zemstę straszliwą, za córkę i za siebie on i córka przysięgają hrabiemu. Dla osiągnięcia téj straszliwéj zemsty, kapitan stara się wyśledzić pobyt rozrzuconych członków familii Iganickich, i nie dopuściwszy ich nigdy do połączenia się i poznania wzajemnego, różnemi drogami sprowadzić do Paryża; utrzymując wreszcie ciągłą nad nimi opiekę, postawić w taką zależność od siebie, żeby mu nietrudno było późniéj otrzymać rękę Delfiny a z nią cały majątek hrabiemu odebrać. I otóż jak ze sfory spuszcza swoich ajentów, którzy biegają po całym świecie wietrząc zwierzynę. I tu właśnie zaczyna się nierozplątana gmatwanina intryg, podstępów, środków nadzwyczajnych, scen obrzydliwych, sposobów więcéj niż oryginalnych, których w opowiadanie treściwe ująć niepodobna, koniec końcem, stało się jak chciał: są w Paryżu. I już kapitan blizki rozwiązania, przedstawia Delfinie małżeństwo z sobą jako jedyny środek widzenia się z matką i z ojcem, którzy na przypadek nieprzystania z jéj strony, głodną śmiercią zginąć mają, aż tu zjawia się Rodin... a prawda! toć jam nic jeszcze o nim nie powiedział. Otóż z Rodinem tak się rzecz ma: po śmierci ani do nieba ani do piekła nie przyjęty, skazany został na żebraninę, dopóki nie uzbiéra pieniędy jakie wydarł familii Rennepont, i będzie dobrém za złe płacił, słabych wspiérał, złych nawracał i t. d. Otóż mówiłem, zjawia się Rodin i przedstawiwszy kapitanowi całą niegodziwość jego życia, poprawia go nagle i otóż wszyscy wypowiadają wojnę Harlesdingowi. Po wielu znowu nadzwyczajnościach, na które się autor niezmiernie sili, hrabia ustępuje całego majątku Iga-

nickim; ale Rodin ich uprzedził i zostawiwszy im tylko jakąś cząstkę, resztę zabrał. Notabene, kiedy kapitan ma się żenić z Delfiną, Harlesding przysyła mu na maskaradę kostium zatruty znowu rakiem. Wreszcie Rodin, wskrzeszonym przez autora Rennepont'om resztę majątku oddaje.

I jużem przecież skończył tę niby treść, bo massę wypadków puścić mimo musiałem; bo tak jest wszystko rozrzucone że niepodobieństwo uchwycić i na jeden drut nawlec. Nie mogłem wam opowiedzieć tego ogromu szczegółow jeden od drugiego potworniejszych, tych okropności, od czytania których głowa boli; tych sytuacyj w których aktorowie grają upojeni widać wprzód przez kogoś, bo nieraz ludzkiéj loiki pozbawieni zupełnie: tych scen trywialnych które autor po najpoważniejszych umieszcza, jakby się ubiegał o piérwsze z twórcami najsprośniejszych karykatur; tych opisów co męczą szczegółami drobnemi do niczego nieprowadzącemi; téj bramy wieczności, gdzie Saturn z kosą figuruje jak posąg Jowisza w kościele. Musiałem pominąć te dziwactwa np. morzenie się głodem Delfiny, przygotowanie spełzłe na niczém, wysadzenia prochem całego składu bogactw hrabiego, samo zarobkowanie kapitana, przebranie się po męzku córki Rappinet'a i sceny jéj z Franc patie, żółtą febrę i t. d. A te żarty cyniczne; te artystycznie pomyślane przekleństwa? A to opisanie Paryża, tak drobnostkowe a tak niesmaczne, bo nie żywe, bo z *przewodnika* niezawodnie brane? Dodajmy do tego, że charaktery niewytrzymane, że symetryi w układzie żadnéj, że osoby niektóre wpół drogi opuszczone zupełnie. Nie będę was i siebie męczył wypisami miejsc szczególnych, rozbiorem charakterów oddzielnych, wezmę choć jeden na próbę.

Toms dorywczy syn jakiegoś tam galernika, w 12 roku życia przez własnego ojca do studni rzucony, w 15ym łotr doskonały jeden z najczynniejszych służalców kapitana, co z całą bezczelnością chełpi się z pijaństwa i innych pięknych przymiotów, czyż nie przypomina Tortillard'a z Tajemnic Paryża, Ślimaka z Taj. Londynu? Ale i ta karykatura ze-

psuta, mieni się jak Proteusz. W jednym rozdziale odgryza zębami butelki, jednym łykiem wypija ogrom wrzącego araku, skacze jak małpa, klnie jak szatan pijany. W następnym zaraz opowiada życie swoje, unosi się nad uroczystą chwilą podczas burzy, kiedy myśli majtków do nieba się wznoszą, broni niewinności Iganickiego, zachwyca się przywiązaniem mulata, i sam powiada jak go nieznajomy jakiś z owéj studni wyciągnął i obiecał mu, że go uczyni cnotliwym, i jak ten głos zupełnie innego zrobił z niego człowieka. A to znowu czy nie przypomina owego Chourineur, który od razu stał się poczciwym człowiekiem, kiedy mu powiedziano: *Vous avez du coeur*? Nastajemy ciągle na to, że p. B. żywcem pożyczał, mianowicie dlatego, że zgodny jest z autorem Tajemnic w teoryach, które jeszcze przez ogień krytyki nie przeszły. Nam się zdaje, że ostrożnie i oszczędnie używać trzeba tego nagłego i skutecznego nawracania. Nie przeczymy że są przypadki kiedy słowo, jak jaka iskra zapala ukryte na dnie głębokiém dobre instynkty, ale i do tego potrzeba sprzyjających danych. Zdaje się nam, że autor Tajemnic daleko prawdziwiéj tę scenę przedstawił. Dziwny bo to i wpływ tych słów Rodina, dziwne nawrócenia. Toms póty rozumuje o uczciwości, póki mu ostatnie dźwięki tego głosu w uszach bębnią; zamilknie głos, a on krzyczy na całe gardło, że kwita z moralności. Dwie odrębne i zupełnie przeciwne sobie strony charakteru w tym chłopcu, ukazują się jedna po drugiéj, zupełnie na siebie nie wpływając. Jestto jakby pozytywka, co w jednéj skrzynce mieści i wyjątek z opery Belliniego i jakie brzydactwo muzykalne np. Stradella-polkę. Posuniesz jednę zasuwkę, opera; posuniesz drugą, polka; a jestże to prawdą w człowieku, taki dziwny amalgamat najlepszych i najgorszych skłonności, z których jedne lub drugie kolejno panują głowie i sercu? bo zaraz nazajutrz po tém poważném opowiadaniu, budzi się ten sam Toms z bluźnierczą klątwą na ustach, ze wszystkiemi obmierzłemi odezwami do ojca. A takich sprzeczności tam dużo. Co do języka samego, czytając to dzieło, doświadczamy nadzwyczaj nieprzyjemnego

wrażenia, jak gdybyśmy mieli w ręku nędzne jakie tłómaczenie. Bo to wszystko nie z duszy płynie. Wreszcie posłuchajcie choć niektórych wyrażeń: wszystek śmiertelnik, a gdzie, a co, a który, zawsze w środku zdania w ten sposób: układł się na pewnym rodzaju tapczanu pokrytym wojłokiem; odpądźcie, któżby w to wątpił, ty wiesz w tém lepiéj; tajemnica, którą nie mogli podzielać; co wzdrygał duszę każdego, poruszalność muskułów. Spojrzał na to postąpienie, pod pozorem, jako guwerner, przeprowadzka, nadaje stan chorobliwy, czyni przenikające wrażenie i t. d. i t. d.

I powiedźcie mi proszę *cui bono* to wszystko; jestże to oryginalne? Jestże to dzieło Polskie? jestże piękne i prawdziwe? możnaż znaleźć dlań miejsce w naszéj literaturze? Jestże to całość, dzieło sztuki? Nie i nie i jeszcze raz nie!

L. Z.

Zasady Technologii Chemicznéj, obejmujące wiadomości treściwie zebrane o fabrykacyi i użytkach ważniejszych produktów mineralnych; przez Teofila Rybickiego, Nauczyciela chemii rękodzielniczéj i fizyki w Gimnazyum Realném w Warszawie. Z atlasem złożonym z 12 tablic. Warszawa. 1846. *Nakładem S. H. Merzbacha księgarza przy ulicy Miodowéj Nr.* 486. *Tom jeden; str.* 326 (samego dzieła).

Powyższy napis nosi dzieło świéżo przez p. Rybickiego, magistra filozofii wydane. Wiadomo dziś każdemu w umiejętnościach ścisłych pracującemu, że dobroć dzieł czysto naukowych, czy technicznych, zależy od wartości źródeł z których czerpane są pierwotne wiadomości; bo człowiek pojedynczy nie byłby w możności powtórzyć nawet części doświadczeń na które wieki się składały, a nawet gdyby

to mógł uskutecznić, rzecz ta byłaby nieużyteczną. Od znawcy przeto wymaga się wybór źródeł cechę wiarogodności na sobie noszących. P. professor Rybicki w swych opisach trzymał się słynnych dzieł technicznych Dumasa, Schubartha i Knappa, a przeciw takowemu wyborowi nawet najbardziéj wymagający, zapewne nic nie będą mieli do przytoczenia.

Całe dzieło technologii w mowie będącéj, podzielone jest na 9 rozdziałów; w piérwszym jest mowa o wyrobach prostych, niemetalicznych, jakiemi są różne gatunki węgla i siarka; w drugim o wyrobach niemetalicznych złożonych z dwóch ciał pojedynczych, tojest o kwasach i gazie do oświetlania; w trzecim o najużywańszych metalach; w czwartym o najważniejszych połączeniach metalów, z opisem pobielania ich cyną, posrebrzania, pozłacania i platerowania; w piątym o alkaliach i wapnie hydrauliczném; w szóstym o najważniejszych solach; w siódmym o farbach mineralnych; w ósmym wyłożone są zasady szklarstwa i emalierstwa; w dziewiątym naostatek jest mowa o wyrobach glinianych wszelkiego rodzaju, o cegle, dachówce i t. p.

Z tego wszystkiego się pokazuje że w książce niniejszéj wszystkie przedmioty techniczne najważniejsze i najpotrzebniejsze zostały opisane.

Co do samych opisów: wiadomo wszystkim, że najważniejszą potrzebą w kraju, są dzieła elementarne, krótkie, zawierające zasady nauk przystępnie czyli popularnie napisane, a po nich dopiéro idą obszerne wykłady czyli traktaty; bo nie każdy ma zostać fizykiem, lub chemikiem, ale życzyć należy aby każdy był oświeconym człowiekiem; wreszcie oddający się szczegółowo nauce miéć musi więcéj środków doskonalenia się w niéj, nad jedno obszerne dzieło. Z tegoto powodu, powtarzamy, największą robią przysługę upowszechniający umiejętności za pośrednictwem krótkich dzieł obejmujących zasady nauki. Wreszcie prawda ta jako od wszystkich dzisiaj uznana, nie potrzebuje tutaj głębszego dowodzenia. Wychodząc z powyższéj zasady p. professor Rybicki zebrał w swém dziele, ściśle tylko

to, co stanowi podstawę wszystkich czynności technicznych przez niego opisywanych, a wytłómaczył rzecz swą tak zwięźle jasno i przystępnie, że każdy czytający nietylko nabierze najlepszego pojęcia o opisywanéj robocie, lecz co większa, sam robotnik wyjaśnić sobie potrafi wszystkie zjawiska w fakrykacyi spostrzegane, i w skutku rozpoznanéj ich przyczyny naprowadzony być może na drogę postępów i ulepszeń. Niemała to jest praca, zpośród ogromu naukowego dzieł wielkich, robić podobne zbiory; bo potrzeba do tego oprócz głębokiéj nauki, niezmiernéj przenikliwości, aby nie pomieszać rzeczy najważniejszych z mniéj ważnemi; pod względem takiego doboru, celuje dzieło professora Rybickiego nawet przed wielu zagranicznemi. To cośmy tutaj powiedzieli o samych opisach, zupełnie i do doboru rycin objaśniających da się zastosować. Jedném słowem, technologia powyższa nie jest owém pismem przelotném do potrzeby kilku lat zastosowaném; pozostanie ona jako dzieło na długo wartość swą zachowujące, któréjto wartości nie zmniejszą cząstkowe zmiany zaprowadzone w teoryi i praktyce niektórych fabrykacyj.

Szczupłość niniejszego pisma nie pozwala poświęcić więcéj miejsca opisowi szczegółowemu zalet technologii w mowie będącéj; przepomnieć tylko jeszcze jednéj nie możemy, tojest walki z trudnościami tworzenia nowych wyrazów technicznych w świéżo opisanym przedmiocie. P. prof. Rybicki i z téj trudności wychodzi szczęśliwie.

Kończąc niniejsze krótkie zawiadomienie nadmieniamy tylko i o następnéj zalecie technologii p. Rybickiego, tojest o słowniczku wyrazów technicznych na końcu jego dzieła umieszczonym. Praca ta mozolna i bardzo użyteczna, pomnaża zaszczytnie niewielki zbiór, w języku Polskim, słowników wyrazów naukowych.

Szczupła jest liczba osób w dziedzinie nauk ścisłych u nas pracujących; dlatego witamy z rozkoszą każde dzieło przez znawcę u nas ułożone, tém bardziéj gdy to będzie dzieło z takim talentem i nauką napisane, jak technologia professora Rybickiego. Takieto dzieła w ręku każdego znajdować się powinny, zwłaszcza gdy cena ich, jak obecnie niniejszéj technologii, będzie tak dla wszystkich dostępną.

Józef Bełza.

ROZMAITOŚCI.

Ustęp z kroniki Teatru Warszawskiego. Loterya, operetka Stanisława Moniuszki.

Liczny szereg kompozycyj mianowicie do śpiewu, zapoznał nas od niedawnego czasu z panem Moniuszko, jako autorem, który i w drobnostkach do muzyki salonowéj należących nie zaniedbywał dramatyczności ilekroć text do niéj upoważniał. Tutaj zająć się mamy pracą dla sceny przeznaczoną (wykonaną po raz piérwszy we wrześniu r. b. na Teatrze Warszawskim), w któréj przeto dramatyczność najważniejszym jest żywiołem. Żałujemy przecież dla kompozytora że text nie pozwolił mu się więcéj muzycznie rozszerzyć, aby zdolności jego na tém polu lepiéj pojąć się dały i żałujemy dla siebie także, bo nie możemy w zupełności usprawiedliwić naszego zdania ogólnym na dramat muzyczny poglądem, nie mogąc go w całości zastosować. Byłoby to samo co pisać kurs estetyki dla powiastki; przecież jak powiastka ulega ogólnym prawom, choć nie wszystkim, swego rodzaju, tak i operetka musi w sobie zawierać coś wielką operę obowiązującego. Rzucamy tu więc niektóre uwagi, by na nich szczegóły późniejsze wesprzéć.

Głównym warunkiem udania się muzyki dramatycznéj, jest text jako jéj podstawa. Ale text dobry jako dramat, niekoniecznie dobry jest do muzyki, tém mniéj zawsze dla kompozytora dogodny. I gdy w operze najwięcéj o muzykę chodzi, autor textu powinien poddać się życzeniom kompozytora. Je-

śli to do ostatnich szczegółów się nie ściąga, albo zastosować się nie da, to przynajmniéj charaktery, uczucia i sytuacye wspólnie roztrząśnięte być winny, jako szczegóły na których dramat muzyczny się rozwija. Tak robili Mozart i Weber. Ale gdy kompozytor gotowe już *libretto* bierze, spotkać w niém może niezgodne z swoim sposobem widzenia rzeczy rozwinięcie charakterów, obojętne sobie sytuacye, albo nieodpowiednie chęciom a czasem i zdolnościom. I może to być jeden z powodów że niektóre miejsca muzyczne wybornie się udają, inne są całkiem chybione, a niewątpliwie najlepiéjby było, aby text i muzyka jednéj indywidualności życie winne były, jak tego kilka mamy przykładów. Ale w spotykanych tego rodzaju trudnościach jest dowód wszechstronnych zdolności muzycznych kompozytora. Pojąć główne uczucia, charaktery i sytuacye, a tym sposobem odznaczyć figury i odtworzyć muzycznie ciąg dramatu, to jego zadanie. Cały ratunek jego w tém leży, iż pojmowanie tego wszystkiego i wyrażenie narzucone w głównych szczegółach textem, zostawione jest w rozprowadzeniu, fantazyi osobistéj kompozytora. Żeby się ona jednak z fantazyą poety nie zminęła, wszystko w texcie ma być ostro a nie dwójznacznie odszkicowane, i niezbyt wypracowane w szczegółach być winno, by pomysły dwóch indywidualności w jedność zlać się zdołały. Otóż muzyk pojąwszy uczucia, charaktery i sytuacye, powinien umieć to wszystko właściwemi swéj sztuce środkami powtórzyć tak dalece i trafnie, aby praca jego oddzielona od pracy autora textu, sama przedstawiała ciąg dramatyczny (co się szczególnie wielkiéj opery dotyczy, jako bez przerwy muzyką się tłómaczącéj), i dozwoliła tło dramatu odgadnąć i główne jego przypadłości: ztąd widoczna potrzeba dokładnego odszkicowania w texcie. Aby więc taką całość muzyczną pozyskać, należy mieć dramat logicznie rozwijający uczucia i tożsamość charakterów. Logiczność bezwarunkowa (abstrakcyjna) nie jest tu konieczną jak w innego rodzaju dramatach, i dlatego to opery czarodziejskie tak mało jéj mające, stosowne być mogą do muzyki, najstosowniejsze może nawet ze wszystkich, bo najzgodniejsze z romantycznością muzyki. Znacze-

nie jéj oddzielonéj od textu w sposób o jakim wyżéj mówiono, jest kamieniem probierczym jéj wartości, i niedołężna to jest muzyka dramatyczna, jeśli bez textu wybitność traci: potrzeba więc, i możność tłómaczenia muzyką wszystkiego, co jest ważne w operze, jest widoczna. Ztąd także wypływa wszystko co o muzycznem utrzymaniu charakterów powiedzieć można. Dzieje się ono za pomocą owych głównych rysów, którym kompozytor powierzył obraz najpierwszy charakteru, i powierzyć może dalsze jego przedstawienie. Środka tego używają kompozytorowie tém stosowniéj, że nader lekka zmiana ważną być może, jak zmiana jednego wyrazu w texcie, wielkie w znaczeniu sprowadza różnice. Nie idzie zatém, by te rysy materyalnie nawet zawsze pozostały te same lub podobne: formuła ich zmieniać się może i powinna, jak się zmienia (pozornie) ten sam charakter w danych okolicznościach, albo jak się zmieniają okoliczności nową przynoszące uczuciom barwę i kierunek. Tak np. charakter wesoły nie potrzebuje być jedną i tą samą wesołą muzyką przedstawiany, ale wszystkie środki muzycznie wesołość oddające, stale używane być winny, a jednak tęż samą mieć barwę (bo i wesołość może być rozmaita), by do uwydatnienia tegoż samego charakter upomagały i w dramacie muzycznym rozlały jedność. Mozart wielkim jest kompozytorem dramatycznym może dlatego najgłówniéj. Wszystko co stanowi charakter Leporella np. w jego Don Juanie ma w sobie jedność niezmienną: jego gniéw jest powściągliwy, zły humor nieśmiały, trwoga tchórzowska, przerażenie nawet komiczne, szczególniéj wobec zuchwalstwa Don Juana; a w tém wszystkiém jest jeszcze odcień dobroduszności i prostoty, tak dobrze przypadającéj Niemieckiemu charakterowi. Ale przejdźmy już do *Loteryi*.

Treść jéj w kilku zmieści się wierszach. Scena odbywa się w małém miasteczku, którego publiczność zebrana przed kantorem loteryi, pragnie wygranéj gorąco. Ale nadewszystko pragnie jéj młody kancelista (p. Matuszyński) bo gdyby, wygrał tylko pięć tysięcy, mógłby się ożenić z Hanką (panna Riwoli); jeśli los mu nie dopisze, rękę jéj otrzyma podżyły, ale zamożniejszy ex-regent. Nadzieje i obawy kochanków słyszy

z balkonu oberży przejeżdżający nieznajomy, bogaty ale nieszczęśliwy (p. Troszel), i postanowił im dopomódz a poniżyć ex-regienta. Pocieszywszy młodą parę nadzieją, nadrabia (jak się domyślamy) z kollektorem, i gdy tabella loteryi przychodzi i wszyscy przegrywają, Janek wygrywa ile pragnął i biegnie szukać swéj Hanki. Ale i ex-regient wygrał, a wygrał 900,000 i oczywiście zmiana w kieszeni zmianę w zamiarach jego sprowadza, gardzi Hanką i jéj ojcem, a świadom ujemnéj strony świata, obiecuje sobie rozkoszne życie. Gniewny ojciec oddaje córkę kochankowi jéj wyboru, a stary regient za swoję zmienność ukarany zostaje, bo się pokazuje że nic nie wygrał, że się kollektor omylił i t. d. Wesołość powszechna, kochankowie idą do ołtarza, nieznajomy cieszy się swém dziełem i—koniec.

Nie dlatego treść téj operetki wypisaną została by ją jako dramat rozbierać. Pomysł nienowy, nierozważony, źle rozwinięty; dyalog często płaski, prawie zawsze nic nieznaczący, oto co w Loteryi spotykamy. Ale co najgorsza dla kompozytora że nie wiadomo co główną jest treścią. Podług naszych pojęć treść przedstawiona, na piérwszym planie stawia kochanków; na scenie najważniejszą loterya być się zdaje, a to dlatego, że chociaż pomocnicza, wydatniejszą jest w akcyi, a ztąd sama tylko budzi zajęcie. Charaktery kochanków, ojca, nieznajomego, tak są słabe i wodnistym dyalogiem zalane, że je ruchliwe i krzykliwe figury grających w loteryę pokrywają. Nic więc dziwnego że i kompozytor chwycił się silniéj tego co więcéj uderzało jego uwagę i mało na kochanków zważając, zajął się tém co los ich rozstrzygnąć miało. Tak więc treść źle przedstawiona odpowiada za błąd autora muzyki, który dla niego jest znowu zaletą; nie godziło mu się bowiem poprawiać uchybień autora textu, pod karą niełączności muzyki ze słowem. Roztrząsając z kolei ustępy muzyczne, najlepiéj poznamy ich stosowność, ocenimy text pod względem muzykalnym, i poznamy oraz sposób w jaki p. M. go pojmował.

Uprzedzający rozpoczęcie sztuki ustęp instrumentalny, tak ogołocony jest z formy, że nie wiémy do jakiego policzyć go

rodzaju. Przy całéj swobodzie formy uwertur, uwerturą nie jest, bo nie ma sam w sobie zaokrąglenia ni całości, i łączy się bezpośrednio z piérwszym chórem po podniesieniu zasłony. Z tego ostatniego powodu mógłby uchodzić za wstęp (introdukcyę); ale na to jest za długi i zbyt wiele ma treści rozwiniętéj późniéj, by mu coś z charakteru wstępu zostało. Przecież nie chodzi nam tutaj o nazwisko, ale o rzecz samą, niemającą w układzie swoim tego, czego prawa z natury muzyki poczerpnięte szukać nakazują — nie dwójznacznéj dążności. Najpiérwszą i najwydatniejszą myślą tego ustępu jest jeden rys charakteru *Nieznajomego*, dobroczynność. Tak bowiem wypada nazwać uczucie skłaniające go do uprzątnienia przeszkód kochankom, i stosownie do własnych jego późniéj wyrazów:

„Ach miło dobrze czynić w ukryciu" i t. d.

w towarzystwie wspomnianéj wyżéj myśli muzycznéj słyszanych. Ów *deus ex machina* lubo napozór mało w toczącéj się rzeczy ma udziału, rzeczywiście przeważnie wpływa na los kochanków, a więc i ostateczny wypadek sztuki, p. M. przedstawiając tę stronę charakteru Nieznajomego, dowiódł że pojął najważniejszą sprężynę dramatu i nie dał się uwieść pozorom, pokazującym tę figurę w innem świetle przez niezręczność autora textu. Drugi motyw piérwszego ustępu obcy zupełnie reszcie operetki, niełatwo wytłómaczony być może. Nim przerywa autor dopiéro co rozpoczęty zakrój myśli piérwszéj, a czyni to kilkakrotnie, zdaje się więc że nie bez zamiaru, inaczéj takie rwące się motywa, sam początek odziewają barwą burzliwości a raczéj skołatania, którego w rozwiniętéj sztuce nie dostrzegamy. Tajemny ów motyw najwięcéj rozwiedziony narzędziami dętemi i drewnianemi (klarnet, flet, fagot, obój), ma charakter sielskiéj łagodności, któréj tam nie pojmujemy. Nie tylko sioło, ale nawet małe miasteczko nie pokazuje się na scenie we właściwym sobie charakterze, i najwięcéj możnaby tu znaleźć parodyę wielkiego miasta, co połączone z komicznością z loteryjnych namiętności idącą, wszelkie podobieństwo szlachetnego sioła zaciera. Trzecia wreszcie myśl piérwszego ustępu poprzedzona sygnałem pocztarskim za sce-

ną, powraca w operetce jako tłómacz niecierpliwości grających w loteryę, czekających z upragnieniem przybycia poczty. Jeśli mniemana ważność loteryi zmuszała kompozytora do zapowiedzenia jéj w piérwszym numerze muzycznym, wybrać do tego należało inny pomysł ważniejszą chwilę tłómaczący. Widzimy, ustęp ten goni za przedstawieniem główniejszych dramatu rysów, zebranie ich mało jednak przygotowywa baczność słuchacza, bo dla braku formy ogołocone jest z dosadności, co najsłabszym ze wszystkich ustęp ten uczyniło.

Chóry mają wykończenie i charakterystykę; pod tym ostatnim względem celują, przedstawiający złość przegrywających i w ostatniéj scenie chór weselny, w którym odzywa się jakby echo wpół radośnego wpół smętnego obrzędu zaślubin lub zaręczyn, jak go nam przedstawiają pieśni ludu naszego, lubo nic z melodyi tego rodzaju w nim nie dostrzegamy.

Duet kochanków, „Cała nadzieja na tym bilecie" i tercet (kochankowie i nieznajomy) zgrabnie są ułożone. Piérwszy bezwarunkowo dobrym nazwiemy nietylko pod względem faktury, ale i charakteru muzyki odpowiedniego lekkością wątłym nadziejom kochanków na loteryi spoczywającym. Te same nadzieje, jednakowo rozwinięta miłość, jednakowym tłómaczą się pomysłem muzycznym i zakończenie tego duetu *unisono* bardzo jest stosowne. Inaczéj rzecz się ma z tercetem wyższym pod względem wypracowania od duetu, mniéj jednak zgodnym z sytuacyą wszystkich śpiewających osób. Nieznajomy bowiem, przy całym swym smutku już wiadomym, i dającéj się przewidzieć boleści późniéj jawnéj, równie lekko jak młoda para się odzywa. Postanowienie jego by dopomódz kochankom, nie mogło mu z pamięci wygładzić własnego cierpienia i stosowniéjby mu było odzywać się poważnie i smętnie. Mogło do tego posłużyć kilka nót wydatniejszych z późniejszego *romansu*, albo cokolwiek bądź coby do utrzymania tożsamości tego odrębnego charakteru się przyłożyło, a byłoby to tém pożądańsze, im mniéj wybitnie przedstawiają się w texcie inne figury, co téż i ich pojęcie kompozytorowi nadzwyczaj utrudniło.—Z przedstawienia słowem i czynem charakteru Hanki, widzimy w niéj więcéj lek-

kości jak powagi, więcéj powierzchowności jak głębokości, i nie możemy uważać ją za zdolną do marzeń jakie p. M. jéj narzucił w aryi: „Ledwom dzieckiem być przestała." Forma aryi na urozmaicenie muzyki wpłynęła wprawdzie i dozwoliła świetniejszéj nieco wokalizacyi, za mądra że tak powiém jednak jest dla Hanki, dla któréj dosyćby było zwrotek. Autor textu nie umiał nawet powiedzieć co chciał, i dlatego ten numer *Loteryi* uważamy za wyłączną p. M. własność. Tęsknota, nadzieja blizkiego szczęścia, niepokój, szlachetnie przemawiają z części mianowicie instrumentalnéj. *Romans* nieznajomego „Cios w duszę moję bije za ciosem", ma wiele *czarnego* kolorytu, stosownego do wyrazów, ale trochę dziwnie przedstawiającego rozpacz, jaka tylko na rozwinięty zupełnie charakterby przystała: tutaj z niedowierzaniem jéj słuchamy; to znów wina textu. Pozostają jeszcze zwrotki exregienta (p. Żółkowski): treść ich tak jest oklepana, że zaledwie talent przedstawiającego mogł ją na kilka przedstawień odświeżyć, a tak pospolita, że raczéj do wodewilu niż (nawet) do operetki stosowna. W tym rodzaju p. M. zrównał najlepszym Francuzkim kompozytorom z czasów konsulatu i cesarstwa.

Przejrzawszy wnętrze muzycznych ustępów *Loteryi*, obejrzymy pokrótce ich stronę zewnętrzną. W niéj upatrujemy wyrobienie motywów łatwe, zręczne, i do odcieni bieżących uczuć stosowne z małemi wyjątkami; formę wykończoną, czego przecież do piérwszego ustępu nie rozciągamy. Mówiąc o formie, nie możemy pominąć chwalebnego usiłowania p. M. o nadanie operetce barwy całości, wprowadzeniem na końcu ostatniéj sceny owego pomysłu, przedstawiającego jeden rys charakteru nieznajomego, i przypomnienie w ten sposób słuchaczowi głównéj dramatu sprężyny. Ale przez niezręczność autora textu, zaleta ta niebezpieczną stała się kompozytorowi pozbawiając go sutego zakończenia. Śpiéw nieznajomego niewłączony do ostatniego chóru, po odejściu wszystkich ze sceny, wygląda cokolwiek śpiczasto dla przywykłego do massowych zakończeń ucha: wywołuje effekt szczegółowy, nie zaś ostateczny. Instrumentacya Loteryi jest po większéj części

pełna i prawie za mocna, nigdy jednak rażąca, a często charakterystyczna jak w *romansie* Nieznajomego i *aryi* Hanki. Sam wybór pomysłów muzycznych nie ma porywającéj oryginalności; nie idzie zatém, by autor do niéj nie był zdolnym; (mówimy to wsparci na znajomości dwóch poszytów *Śpiewnika* i muzyki do Witoloraudy dołączonéj). Text przedewszystkiém wymagał prostoty, a niczém do wybitnéj oryginalności podżegnąć nie mógł. Radzimy przecież panu M. by nie dał się uwieść na inny raz pamięci, podającéj za nowe, znane już rzeczy. Chcemy tu mówić o duecie, którego myśl ma wiele wspólnego z pomysłem Méhula do duetu w operetce „Skarb mniemany". Przypominamy téż na przyszłość panu M. by pomniał na odrębność ludu którego pojęcia i uczucia przedstawia, bo każdy naród ma coś właściwego sobie i cechującego go w pewnéj epoce. Ale na to potrzeba textu ogólniéj w myśl narodu trafiającego, niż wypadek pospolity albo w jednéj tylko stronie pojmowany.

Zbierając teraz wszystkie postrzeżenia w kilka wyrazów, musimy przyznać p. M. wiele zdolności dramatycznych. Co w *Loteryi* jest złego, prawie wyłącznie winą jest textu, do którego kompozytor winien się był zastosować. Nie wątpimy, że przy szczęśliwszym dramacie myślący kompozytor jakim pokazał się p. M. wszelkim wymaganiom muzyki dramatycznéj zadosyć uczyni. Pewność tę w nas budzą pojęcia prawdziwe o muzyce dramatycznéj z *Loteryi* widoczne, czego o największéj liczbie dzisiejszych oper powiedzieć nie można.

Przedstawienie téj operetki na naszéj scenie nie obejdzie się bez pewnych poprawek. I tak: altówki na początku pierwszego chóru mocniéj obsadzone być powinny, by w mającém nastąpić *crescendo* nie wyglądały chudo. Narzędzia dęte w ogólności łagodniéj przemawiać mają, co się szczególniéj aryi Hanki dotyczy, z któréj głównie marzenia wyglądają. Pierwsza jéj część wolniéj wykonaną być musi, jeśli bogata przygrywka ma wypłynąć niezmącona, a śpiéw rozległości wymagający, lepiéj się wydać. Z ról w ogólności zrobiono co tylko z nich zrobić można było.

J. Sikorski.

Wyjątek z listu do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Zapewne wiécie o stracie jakąśmy ponieśli przez śmierć ś. p. Karola hrabiego Mniszcha, niegdyś członka b. kommissyi edukacyjnéj Wołyńskiéj, który w niéj nader gorliwie zajmował się odszukaniem, powiększeniem i zabezpieczeniem funduszów edukacyjnych. Troskliwość o zapewnienie i wzrost instrukcyi publicznéj, odziedziczył po swym dostojnym ojcu Jerzym Michale hr. Mniszchu b. marszałku w. koronnym, który za panowania Stanisława Augusta urzędując w kommissyi edukacyjnéj, odznaczał się przykładną działalnością w szerzeniu krajowéj oświaty. Syn tego znakomitego człowieka, dziejopisa Kazimierza W., odziedziczył po nim i upodobanie w naukach, mianowicie historycznych, którym z zapałem i wytrwałością godną naśladowania, przez całe życie się poświęcał. Na zamku Wiśniowieckim, owéj puściźnie sławnych swoich przodków, zgromadził wielkim nakładem liczny zbiór szacownych rękopisów odnoszących się do rzeczy krajowych, bibliotekę do 16tu tysięcy woluminów wzbogacił, galeryą obrazów, arcy-dzieła sztuki posiadającą powiększył. Będąc prawdziwym znawcą i miłośnikiem dziejów, z rzadką teraz hojnością, zbierał historyczne zabytki, ze wzorową starannością je dochowywał na zamku. Zamożny w zasoby dziejów, przez lat kilkadziesiąt niezmordowanie trudnił się heraldyką i gienealogią. Z autentycznych źródeł uzupełniając herbarz Kaspra Niesieckiego, owoce téj swojéj pracy w rękopismach zostawił. Uczony Józef Uldyński, professor historyi powszechnéj i gieografii starożytnéj w b. liceum Wołyńskiém w Krzemieńcu, wzbogaciwszy literaturę dwoma systematycznemi dziełami, na jakich właśnie jéj zbywało, tojest gieografią starożytną i chronologią dla młodzi naukowéj, zgromadził liczny zbiór numizmatów we trzech oddziałach: *a*) numizmatów Greckich; *b*) Rzymskich; *c*) Polsko-Litewskich. Oddział monet Rzymskich porządkiem chronologicznym ułożył. Teraz zatrudnia się układem dwóch innych, a ukończywszy tę pracę, zajmie się systematycznym najznaczniejszego na Wołyniu swojego zbioru numizmatów opisem. Józef Kraszewski, jak

słychać, nie zasypia także na laurach zasłużonych, ale ze zwykłą mu wytrwałością w działaniach, zaprząta się pożyteczną pracą około dziejów. Adam Słowikowski, w celu poszukiwania odwiecznych zabytków literatury i nauk, zwiedzał stare cerkwie, kościoły i klasztory; po dawnych zakrystyach i bibliotekach odgrzebał nie jedno dzieło rzadkie, zupełnie badaczom nieznane, lub o którego bytności powątpiewali. Takiemi np. są: Mikołaja Vaglicinsa mistrza akademii Krakowskiéj z XVI wieku dzieło o żydach, nieznane uczonym: Tad. Czackiemu i Ig. Daniłowiczowi; historya o Sowizrzale, najdawniejszy z pomników typografii, o którym autor Bibliograficznych Ksiąg dwojga, tylko w nich napomknął, a pan Ciechański redaktor pisma czasowego w Lesznie wydawanego, wahał się w przyznaniu mu bytu. Takiemi jeszcze są: Prawa kardynalne przez Seweryna Rzewuskiego drukiem ogłoszone podczas sejmu cztéroletniego, dotąd niewziankowane w liczbie jego dzieł, i następna, w Polskim przekładzie, deklaracya Jakóba Bułhakowa posła Rossyjskiego. Trzy wydania dzieła Stanisława Czernieckiego: *Compendium ferculorum*; Synagoga żydowska z błędów wyprowadzona, z Włoskiego przełożona przez Porfiryusza Skarbka Ważyńskiego nieznana T. Czackiemu; jedno, nieco od innych różne, Gockim drukiem wydanie sejmu piekielnego, którego bibliografią z dołączonemi zeń wyjątkami podał uczonemu Adamowi Jocherowi; wreszcie rzadkie filozoficzne dzieła Waleryana Gruszczyńskiego Karmelity Berdyczowskiego. Adam Słowikowski, te bibliograficzne prace, podjęte z usilném i troskliwém staraniem, o wygrzebanie ze stosów dawnych zabytków i uchowanie starych pamiątek, więcéj niż na dwiestu arkuszach systematycznie spisawszy, z nich, do stu arkuszy przesłał do historycznego obrazu literatury i nauk. Następnie skreślił dwa życiorysy: 1. Pawła Jarkowskiego, który piérwszy w języku Polskim, wykładał bibliografią i grammatykę powszechną; 2. Józefa, Pitschmanna, rysunków i malarstwa w b. liceum Wołyńskiém przez dwadzieścia kilka lat prcowitego professora, który na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zaszczepił i upowszechnił smak i upodobanie w sztukach pięknych. Zwróciwszy badawczą

uwagę na dziejowe napisy na pomnikach rozrzuconych po kraju, podał w Tygodniku Petersburskim r. 1843 o nich pismo, aby je, dla ważności onych, przez ogłoszenie utrwalać. Zgromadził obfity w druki i rękopisma zbiór materyałów do dziejów gimnazyum potém liceum Wołyńskiego, i w odpowiedzi panu Edwardowi Tarszy, czyli panu Michałowi Grabowskiemu opartéj nie na zmyśleniach, lecz wysnowanéj jedynie z historycznych źródeł pierwszéj noty, wiernie wyobraził stan oświaty w południowych prowincyach. Zoryan Chodakowski, po różnych ziemiach Słowiańszczyzny przedkarpackiéj i po Wołyniu, choć nie wyłącznie i krótko, zbierał pieśni ludu. Te zmieszane z innemi wyszły razem pod nazwą Małorossyjskich, lecz niesłusznie; bo charakter Wołyńskich zupełnie od innych odrębny. Wreszcie bez porównania, niepodobna wiedzieć, jakie z nich są Ukraińskiego, jakie innego plemienia. Można więc sprawiedliwie powiedzieć, że na Wołyniu Adam Słowikowski piérwszy zebrał te szacowne zabytki. Jakoż poświęciwszy cztéry lata mozolnéj i niezmordowanéj pracy zbierania starożytnych pieśni ludu Wołyńskiego, tychże przeszło dwieście zgromadził i przełożył. Ten zbiór jego, obejmujący texta oryginalne z dołączeniem przekładów i przypisów, ogłoszony, stanie się ważną dla naszéj literatury przysługą, i ocalone od zguby odwieczne zabytki Słowiańszczyzny własnością ludów Słowiańskich uczyni. Zawiéra mnóstwo szczegółów nieznanych, starożytności Słowiańskie objaśniających; niektóre pieśni dawniejsze niżeli innych ludów przedkarpackich; niektóre spółczesne Czeskim najstarszym. W 6tym zeszycie 2 oddziału Ateneum znajduje się 23 pieśni Wołyńskich ze zbioru tego, o którym rzec można, że prostota przekładu, poetyczność oryginału, wiele zabytków sięgających najodleglejszéj przeszłości, czynią go jednym z najciekawszych. Znany ze swoich prac pożytecznych ludzkości, uczony Karol Kaczkowski doktór, ułożył znaczne dzieło do historyi krajowego oświecenia odnoszące się, które wkrótce na jaw wydać zamierza. Samuel Nowoszycki odkrył piękny i zupełnie dochowany rękopis drugiego statutu Litewskiego, zwanego Wołyńskim, i na żądanie JW. Kijowskiego wojennego, Wołyńskiego i Podolskiego gienerał-gubernatora Bibikowa, przesłał go kommissyi archeograficznéj w Kijowie. Ogłoszenie tego ważnego pomniku prawodawstwa i piśmiennictwa, byłoby znakomitym dla powszechności upominkiem.

K. W.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

I. *Répertoire méthodique et alphabétique de législation, de doctrine et de jurisprudence. Nouvelle édition par M. D. Dalloz, avec la collaboration de M. Armand Dalloz. Paris* 1846.

Trzy tomy nowéj edycyi dzieła p. Dalloz wyszły już na widok publiczny i stawiają nas w możności ocenienia planu autora i sposobu w jaki tenże został wykonanym. Zbiór rzeczony nietylko obejmuje prawoznawstwo i jurysprudencyą, ale i prawodawstwo ma w nim przeznaczone dla siebie miejsce.

Autor w następujący sposób sam oznaczył ramy swego dzieła.

„Przy początku każdéj materyi i po każdéj definicyi przedstawiona jest w kształcie prolegomenów historya prawodawcza każdego przedmiotu, zawiérająca skazówki potrzebne do zrozumienia rozciągłości myśli i rozporządzeń prawodawcy. Po takim rozkładzie historycznym i rozumowanym prawodawstwa każdego przedmiotu, następuje kommentarz przepisów obowiązujących i rozbiór pytań przez ich treść spowodowanych; tojest część teoretyczna i naukowa. Ostatnią część stanowi jurysprudencya na wyrokach sądowych oparta, tojest dokładny spis i wierne sprawozdanie wszelkich wyroków sądowych, administracyjnych, a nawet decyzyj parlamentu, które tylko w każdym

przedmiocie, w każdéj kwestyi prawnéj istniały, lub które w szczególnym razie dały przyczynę do sporu w sądach wyższych, w radzie stanu, a nawet w izbach prawodawczych."

Taki jest ogólny plan dzieła pana Dalloz, które obejmuje całość prawodawstwa Francuzkiego cywilnego, handlowego, kryminalnego i administracyjnego.

„Są jeszcze inne przedmioty, mówi autor, które starałem się wyłożyć z całą możliwą z méj strony dokładnością.

I tak *prawo narodów*, którego nauka od pewnego czasu zbyt jest zaniedbaną; *prawa publiczne państw*, nowemi instytucyami nader znacznym zmianom podległe; *prawo kanoniczne*, którego zapomnienie więcéj daleko, aniżeli duch stronnictw przyczynia się do zniweczenia przyjaznych stosunków jakie istnieć powinny między kościołem a państwem, były dla mnie przedmiotem szczególnéj pracy, o któréj piérwsze wydanie, niedokładne dać tylko mogło wyobrażenie. Zająłem się także wykładem prawa administracyjnego, nauki nowéj pod wielu względami, a która od kilku lat równie znaczny uczyniła postęp, jak nauka prawa cywilnego."

Zaiste trudno jest rzucić rys jakiego bądź zbioru prawnego w rozleglejszych rozmiarach, i potrzeba było bez wątpienia wielkiego poświęcenia i silnéj woli do założenia sobie tak trudnego zadania, przed którém najzdolniejsi i najśmielsi autorowie jeszczeby się wahać mogli. Tym większą téż jest zasługa pp. Dalloz, a nie wątpimy ani na chwilę, że skutek wynagrodzi ich usiłowania.

W trzech wydanych dotąd tomach widzimy dokładne wykonanie założonego przez autorów planu. Zpomiędzy głównych artykułów należących do składu tych trzech tomów, najbardziéj zwracają uwagę następujące: *absence, acquiescement, actes de l'état civil, action possessoire, adoption.* Prawo obowiązujące, nauka, jurysprudencya, zebrane są w nich i wyłożone z rzadkim talentem zbiorowym i analitycznym. Stanowią one zupełne rozprawy o każdym z powyższych przedmiotów. Życzyć nam tylko wypada tak

dla dobra nauki jak i dla pomyślnego wypadku obecnego wydania dzieła p. Dalloz, ażeby dalszy jego ciąg z równém staraniem i gorliwością był dokonany. Będzie to bez wątpienia jeden z największych pomników nauki prawa we Francyi.

P. Dalloz ogłasza, jako traktat mający służyć za wstęp do wydawanego przez siebie zbioru: *Rys historyi ogólnéj prawa Francuzkiego.* Rys ten wszakże mający stanowić piérwszy tom dzieła i być niejako wstępem i przedmową wyjdzie dopiéro na widok publiczny po ukończeniu całego dzieła. Będzie to w rzeczy saméj pracą ogólną, zbiorową, opartą na rozbiorze zasad w samém dziele ogłoszonych.

Nie będziemy się długo zastanawiać (chociaż nie jest to obojętném w dziele tego rodzaju) nad wykonaniem materyalném i nad sposobami przyjętemi przez autorów, do ułatwienia w wyszukaniu podobnych przedmiotów i do ulżenia częstokroć opieszałością nacechowanemu pośpiechowi praktycznych prawników. Autorowie użyli wykazów summarycznych i tablic alfabetycznych po każdym wyrazie, z powołaniem się do odpowiednich numerów, stosownie do rozmaitych przedmiotów pod jedną wyłożonych rubryką; poszli pod tym względem w ślad systemu przyjętego przez p. Armanda Dalloz w tyle użyteczném dziele tego autora: *Dictionnaire de Législation.* Nie należy jednak życzyć ażeby autorowie zbyt wiele poświęcając chęci ułatwienia w wyszukaniu potrzebnéj treści, powiększali podziały każdego przedmiotu nad ściśle potrzebną miarę. Chcąc być zbyt jasnym, łatwo częstokroć wpaść w zbyteczne zawikłanie.

Dzieło w tak rozległych skreślić się mające rozmiarach, nie tak prędko ukończoném być może; na zasadzie wszakże doniesień dzienników Francuzkich spodziéwać się należy, że pp. Dalloz i ich czynni współpracownicy nie zawiodą niecierpliwości publicznéj, a rzeczywisty współudział i głośny poklask okazany wydanym dotąd trzem częściom znamienitego dzieła, będzie zapewne dla autorów dostatecznym bodźcem do rychlejszego ukończenia całości.

II. *Du duel, considéré dans ses origines et dans l'état actuel des moeurs, par M. Cauchy, maître des requêtes garde des archives de la chambre des pairs. 2. vol. Paris 1846.*

Główne rozdziały tego dzieła zawierają:

Pierwsza epoka: początek i kształcenie się pojedynku sądowego.

Druga epoka: następne zniesienie takowego.

Trzecia: ściganie pojedynku nader surowemi prawami.

Czwarta epoka, w której prawa karne już nic o pojedynku nie wspominają; długie wahanie się między stosowaniem prawa ogólnego a powrotem do przepisów i ustaw specyalnych. *Tom 2gi część 1sza.* Stan powyższéj kwestyi we Francyi; konieczność ustawy specyalnéj o pojedynku; rozwinięcie zasad na jakich taż opartą być winna. *Część 2.* Stan prawodawstwa zagranicznego pod względem pojedynku.

Pytanie o karalności pojedynku jest jedném z tych, które najbardziéj leżą w duchu czasu obecnego, i któréra moraliści i prawnicy wszystkich krajów zajmują się obecnie jako przedmiotem, którego rozstrzygnienie jest koniecznem z powodu postępu cywilizacyi i wykształcenia obyczajów. P. Cauchy w samą porę ważne swe dzieło przedstawił pod rozwagę ludzi myślących którzy się powyższym zajmują przedmiotem.

III. *Dictionnaire de procédure civile et commerciale, par M. Bioche. Paris 1846. 3ème édition.*

Ostatni tom 3ciéj edycyi tego dzieła wyszedł na widok publiczny w Paryżu w miesiącu lipcu r. b.

Powodzenie tego dzieła przeszło wszelkie oczekiwanie. Dwie edycye zupełnie zostały wyczerpane, trzecia istotną wywołana potrzebą, nie mniéj spodziewać się nakazuje.

Znakomity czuć się dawał brak w systemie publikacyi dotyczących procedury cywilnéj. Plan przez p. Bioche przyjęty zapełnił ten niedostatek i odpowiedział słusznym oczekiwaniom. Słownik procedury przez tego autora ułożony oszczędza i skraca pracę i trudność w wyszukaniu potrzebnych przedmiotów; wszystko co tylko procedury cywilnéj dotyczy jest w nim z rzeczywistym talentem zebrane, uszykowane i wyłożone.

Na czele każdego artykułu jest umieszczona summaryczna tablica wyrazów treść wykazujących, i synoptyczny obraz dozwalający za jednym rzutem oka objąć wszystkie najdrobniejsze działy i poddziały. Następuje wykład w porządku logicznym; naprzód, zasada ściśle odznaczona; potém jéj następstwa wykazane częstokroć w oddzielnych kratkach dla większego związku i wyrazistości. Po każdém twierdzeniu i wypadku sporów i rozumowań przytoczoném jest wszystko, co z powagi wyroków sądowych da się przywieść *za* i *przeciw*, czyli obecny stan nauki i jurysprudencyi. Jestto statystyka najzupełniejsza nauki, przegląd dokładny i systematyczny wszystkiego o czém tylko w przedmiotach procedury było pisaném i sądzoném.

Pomimo to jednak dzieło p. Bioche nie jest czystą kompilacyą, praca jego przedstawia w krytyczném obrobieniu wszystko co praktyka i rozumowanie podać może. Dlatego téż nie można uczynić Słownikowi p. Bioche zarzutu niewypełnienia przedsięwziętych zobowiązań, ale raczéj pochwalić należy skromność autora w samym tytule dzieła objawioną. Oprócz bowiem tego cośmy wyżéj przytoczyli, Słownik p. Bioche zawiera jeszcze:

1) uwagi o stemplach, wpisach i taryfach;

2) formy wszelkich aktów jurysprudencyi tak spornéj jak pojednawczéj.

IV. *Traité des obligations, ou Commentaire du Titre III livre III, du Code civil, par M. Poujol, président de chambre de la cour royale de Colmar, chevalier de la Legion d'Honneur. Paris* 1846.

Wielkiém i trudném bez wątpienia jest zadanie, pisać w dzisiejszym czasie nowe dzieło o obligacyach, kontraktach, po tylu świetnych i gruntownych tego przedmiotu wywodach. P. Poujol, znany już poprzednio w nauce prawa jako autor *Traité sur les donations et testaments*; *Traité sur les successions*, wydając w kształcie kommentarza najzupełniejszy traktat tytułu III, księgi III kodexu cywilnego, wzbogacił naukę nowym żywiołem. Umiał zwyciężyć wcześnie przeszkody które mu z jednéj strony sama trudność przedmiotu, z drugiéj znakomite jego przez dawniejszych autorów obrobienie przedstawiało.

Przekonany słusznie, że nie ma lepszego wykładu myśli prawodawcy, wierniejszego zwierciadła ekonomii prawa cywilnego obowiązującego, jak mowy mężów którzy przedstawiali ciału prawodawczemu po szczególe pojedyncze ustępy wielkiego dzieła XIX wieku; autor nowym zupełnie postępując torem, na czele każdego działu ogólnego i wszelkich pojedynczych poddziałów, przytoczył ustępy odpowiednie z mów rządowych. Starał się urzeczywistnić owe gruntowne zdanie znamienitego prawnika i prawodawcy: „Prawdziwa nauka na znajomości ducha praw oparta, wyższą jest od znajomości samychże ustaw." Każdy dział i rozdział poprzedzonym jest uwagami ogólnemi, zwięzłemi, zbiérającemi w jednę całość wszystkie zasady przedmiotu w mowie będącego.

Głęboka nauka połączona z równie długą jak światłą praktyką, postawiły autora w możności zniesienia i usunięcia dotąd istniejących wątpliwości w wielu trudnych i zawikłanych wypadkach.

Równie biegły praktyk jak uczony teoretyk p. Poujol odwołuje się nader rzadko do wypadków jurysprudencyi, i to oznaczając najdokładniéj motywa wyroków, jako służące za uzupełnienie, za dowód głównych prawodawczych zasad.

Pomimo tylu znakomitych zalet, autor powodowany uczuciem chwalebnéj skromności oświadcza, iż celem jego było ułożyć książkę elementarną dla ułatwienia nauki o obligacyach, którą uważa za główny klucz do nauki całego prawa. Dzieło p. Poujol obejmuje trzy tomy. Podział przedmiotów dokładnie zrozumiany. I tak *tom piérwszy* mówi oobligacyach w ogólności, *tom drugi* o ich zakończeniu i zniesieniu, *trzeci* o dowodzie obligacyi.

Dzieło powyższe niepoślednie zająć powinno miejsce, w bibliotece każdego a mianowicie młodego prawnika.

K. B.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Nowa planeta. Liczba ciał niebieskich do układu słonecznego należących, coraz bardziéj się powiększa. Do roku 1781 znano tylko 6 planet głównych, tojest te, które starożytni gołém okiem postrzegali, a któremi są: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn. W r. 1781 d. 13 marca, Wiliam Herszel, za pomocą swego wielkiego teleskopu odkrył siodmą planetę za Saturnem położoną, którą początkowo nazywano Herszlem, potém gwiazdą Jerzego (od imienia króla Angielskiego), a w końcu Uranem. Wielka odległość téj planety od ziemi i jéj podobieństwo do gwiazdy, były przyczyną, iż ją dawniéj obserwowano jako gwiazdę stałą i w katalogach za taką mieszczono (1). W wieku teraźniejszym, przy znacznem udoskonaleniu narzędzi optycznych i większém zwróceniu uwagi obserwatorów ku nowym poszukiwaniom, powiększyła się liczba ciał niebieskich do układu świata należących. Jakoż w r. 1801 d. 1 stycznia, Piazzi w Palermo odkrył małą planetę teleskopową i nazwał ją *Ceres*. W następnym roku 1802 d. 28 marca, Olbers w Bremie, odkrył drugą planetę gołém okiem

(1) Od r. 1691 do r. 1781, tojest w przedziale 90 lat, Uran obserwowany był przed Herszlem, jako gwiazda stała, przez Flamsteda 5 razy; przez Lemmoniego 12 razy; przez Bradleya 2 razy.

niewidzialną, oznaczoną imieniem *Pallas*. W r. 1804 d. 1 września, Harding w Gietyndze postrzegł trzecią planetę teleskopową, nazwaną *Juno*. W r. 1808 d. 28 marca, Olbers odkrył czwartą planetę, *Westę*. W roku przeszłym dnia 8 grudnia, Hencke w mieście Driessen, odkrył piątą planetę *Astreę*. Wszystkie te pięć planet gołém okiem niewidzialnych, które się zowią *Asteroidami* albo planetami teleskopowemi; składały niegdyś jednę wielką planetę między Marsem a Jowiszem położoną, która przez nadzwyczajną katastrofę w naturze, podzieliła się na kilka a może i kilkanaście części, tworzących dziś małe planety krążące około słońca, prawie w takich odległościach, w jakiéj krążyła kiedyś jedna, z któréj one powstały. Wszystkie te poprzednie odkrycia, będące skutkiem trafu lub pilnéj obserwacyi, ustąpić muszą przed świetném i szczególném odkryciem jakie w miesiącu wrześniu r. b. jedynie drogą saméj teoryi i analizy dokonano. Jestto piérwszy w astronomii przykład odkrycia, nieznanego ciała niebieskiego przez rachunek. Lewerrye (Le Verrier) młody astronom Francuzki, przy pomocy wyższéj analizy i poprzednich obserwacyj, przedsięwziął oznaczyć ściśle drogę planety Urana, czyli obliczyć jego pierwiastki elliptyczne, a to w celu ułożenia dla téj planety tablic tak dokładnych, ażeby za ich pomocą można oznaczyć w każdym czasie położenie tego ciała, zupełnie zgodne z obserwacyą. Wyznaczywszy teoretycznie drogę elliptyczną Urana, i porównywając potém położenia planety rzeczywiście obserwowane, z położeniami wyrachowanemi, postrzegł, iż zachodzą uderzające różnice między rachunkiem a obserwacyą, z czego wniósł, iż zmiany czyli tak nazwane przeszkody jakich Uran w biegu swoim naokoło słońca doznaje, nie od innéj przyczyny pochodzić muszą, tylko od planety nieznanéj za Uranem położonéj, która pociąganiem swojém sprawia w biegu Urana odstąpienia dostrzegane. Przy pomocy saméj teoryi i bardzo trafnie prowadzonego rachunku, przyszedł do wykrycia nieznanéj planety, naznaczając jéj wielkość, massę, odległość od słoń-

ca, peryod obiegu, słowem wszystkie pierwiastki biegu jakie się podawać zwykły dla nowo odkrytego ciała, za pomocą poprzednich obserwacyj wyznaczone. Ale nie dosyć na tém, że wyznaczył wymiary drogi nieznanéj planety, jéj ruch i wielkość pozorną; wskazał on nadto co jest rzeczą najważniejszą, miejsce na niebie, gdzie jéj pośród milionów gwiazd szukać należało.

Wypadki rachunku które Lewerryo dla drogi nieznanéj planety otrzymał, są:

Połowa wielkiéj osi drogi planety jest 36.154 razy większa od średniéj odległości ziemi od słońca, co wynosi 747 milionów mil gieograficznych. Planeta zatém jest jeszcze raz tak daleko za Uranem położona, jak ten ostatni od słońca (1).

Obieg planety około słońca, czyli jéj peryod, zawiéra 217, 387 lat.

Mimośród drogi, czyli oddalenie ogniska od środka elipsy opisywanéj przez planetę, wyrażony w średniém oddaleniu planety od słońca, wynosi 0,10761 albo 80 milionów mil gieograficznych. Droga ta znacznie odstępuje od figury koła i zbliża się kształtem do drogi Marsa.

Długość punktu przysłonecznego, czyli oddalenie jego kątowe od punktu równonocnego wiosennego, na ekliptyce, wynosi 284° 45′

Długość średnia na d. 1 stycznia 1847 r. tojest położenie planety względem punktu równonocnego 318° 47′.

Massa planety równa jest $^1/_{3000}$ massy słońca, czyli 40 razy większa od massy ziemi.

Za pomocą tych pierwiastków, można oznaczyć wszystkie okoliczności biegu. Według nich na dzień 1 stycznia 1847.

Długość prawdziwa środosłoneczna tego ciała, jest 326° 32′.

(1) Średnica drogi zawiéra 1494 milionów mil gieograficznych. Światło przelatujące 42 tysiące mil w jednéj sekundzie, dla przebieżenia téj średnicy, potrzebowałoby 9 godzin, 53 minut.

Odległość od słońca dla téj epoki, 33 razy większa niż ziemi, co wynosi przeszło 680 milionów mil gieograficznych.

Nowa ta planeta znajduje się o pięć stopni na wschód względem gwiazdy δ (delta) Koziorożca.

Przeciwległość jéj ze słońcem, tojest epoka w któréj planeta znajdowała się na przedłużeniu linii łączącéj środek słońca z ziemią, przypadła d. 19 sierpnia r. b.

Wielkość pozorna w czasie przeciwległości, wynosi 3,3 sekundy łuku, przez co w silnych teleskopach lub refraktorach, da się odróżnić od innych gwiazd stałych.

Lewerrye będąc pewnym swéj teoryi i wypadków rachunku, nie wątpił, iż ciało nieznane, *a priori* przez niego wskazane, rzeczywiście w przestrzeni znajdować się musi; albowiem zdając sprawę ze swéj pracy w Akademii umiejętności, mówi: „iż cechą pewności teoryi jest to, gdy czyni zadosyć nietylko ogółowi ale i szczegółom każdéj obserwacyi" a właśnie przypuszczenie oparte na wprowadzeniu w rachunek nowego ciała za Uranem położonego, odpowiada wszystkim warunkom i szczegółom biegu Urana, i wszelkie przeszkody w jego biegu wprzódy dostrzegane zupełnie tłómaczy.

Aby wypadki rachunku i przepowiednią nowego ciała rzeczywistém odkryciem stwierdzić, Lewerrye zrobił odezwę do astronomów posiadających wielkie teleskopy i refraktory, ażeby w miejscu na niebie przez niego wskazaném, pomiędzy drobnemi gwiazdami planety nieznanéj szukali.

P. Galle obserwator w Berlinie, otrzymawszy d. 23 września r. b. listowne zawiadomienie, ażeby na wskazaną okolicę nieba szczególną zwrócił uwagę, szczęśliwym trafem, tego samego jeszcze wieczora, przez ścisłe porównanie położenia gwiazd drobnych z wyborną kartą (*Akademische Stern-Karte, Hora XXI*), którą Bremiker ułożył, tenże Galle postrzegł gwiazdę ósméj wielkości, bardzo blizko miejsca przez Lewerryera wskazanego, któréj na karcie wspomnionéj nie było. Dla bardzo powolnego ruchu gwiazdy, musiano jeszcze do następnego wieczora zaczekać, ażeby

to odkrycie rozstrzygnąć; jakoż dnia 24 września, gwiazda o minutę łuku cofnęła się wstecz od miejsca zajmowanego w dniu poprzednim; ruch ten gwiazdy, tojest jéj zmiana dzienna, odpowiada zupełnie wypadkom rachunku przez Lewerryera podanym (1).

Galle pod d. 25 września r. b. w liście pisanym do Lewerryego, w którym mu donosi o odkryciu planety, tak się wyraża:

„Planeta któréj pan podałeś najprzód położenie, znajduje się rzeczywiście w okolicy nieba wskazanéj. Tego samego dnia w którym odebrałem list od pana, znalazłem gwiazdę ósméj wielkości, któréj nie było zamieszczonéj na dokładnéj karcie ułożonéj przez p. Bremika, a stanowiącéj część zbioru kart niebieskich przez akademią Berlińską wydawanych. Obserwacya dnia następnego okazała, że ta gwiazda jest właśnie planetą szukaną i t. d."

Galle chciał nazwać nową planetę Janusem, lecz Lewerrye nie zgodził się na to nazwanie, jako przypominające pewne ograniczenie czyli zamknięcie przestrzeni świata do dalszych poszukiwań. Lewerrye wolał ją nazwać *Neptunem* (2).

Położenia nowéj gwiazdy, wyznaczone refraktorem w Berlinie przez Gallego, są następujące:

Dnia 23 września r. b. o godz. 12, min. 0, sek. 15 czasu średniego Berlińskiego:

Wznoszenie proste planety 328° 19′ 16″
Zboczenie południowe . . . 13 24 8

(1) Przyczyna dla któréj odkrycie to w Berlinie, a nie w innych obserwatoryach, opatrzonych równie dobremi a nawet silniejszemi lunetami, zrobioném zostało, jest ta: iż zpomiędzy kart niebieskich przez Akademią Berlińską częściowo wydawanych, karta, wystawiająca okolicę nieba gdzie planetę dostrzeżono, znajduje się tylko w obserwatoryum Berlińskiém, i dotąd jeszcze na widok publiczny nie wyszła.

(2) Trzynaście więc teraz liczymy planet głównych: a temi są: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Ceres, Pallas, Juno, Westa, Astrea, Jowisz, Saturn, Uran i Neptun.

Dnia 24 września r. b. o godz. 8, min. 54, sek. 41 czasu śred. Berlin.

Wznoszenie proste . . . . . 328° 18′ 14″
Zboczenie południowe. . . . 13 24 30

W przeciągu dnia jednego planeta zmieniła położenie swoje biegiem wstecznym: w wznoszeniu prostém, o łuk 1 minuty 2 sekund; w zboczeniu o łuk 22 sekund.

Gdyby nie owa dokładność teoryi Lewerryego i wskazanie miejsca planety na niebie, możeby wiele lat upłynęło, nimby obserwatorowie, i to przypadkiem tylko, dostrzegli to ciało, a możeby je i długo uważali jako gwiazdę stałą, nimby postrzegli jego ruch własny, jak to miało miejsce z Uranem.

Po otrzymaniu wiadomości o odkryciu nawéj planety, za pomocą wskazanego jéj położenia, znaleziono ją d. 1 października r. b. w obserwatoryum Warszawskiém, i takową w dniach 7, 9, 11, 12, 16, 18, 22, 25 paźdz. na południku uważano. Planeta znajduje się obecnie w konstellacyi Koziorożca, niedaleko gwiazdy δ (Delta) téjże konstellacyi. W zwyczajnych lunetach wydaje się jak gwiazda ósméj wielkości, w mocnych zaś refraktorach, ma średnicę pozorną 3 sekundy łuku wynoszącą, co odpowiada w téj odległości w jakiéj się planeta znajduje, 210 razy objętości ziemi.

Dnia 18 paźdz. r. b. o godzinie 8 min. 4 sek. 6 czasu średniego Warszawskiego, położenie planety było:

W wznoszeniu prostém..... 327° 55′ 51″.
W zboczeniu południowém..... 13 32 26

Ruch jéj pozorny jest bardzo powolny, gdyż w przeciągu 25 dni, tojest od d. 23 września do d. 18 paździer. r. b. posunęła się w kierunku równika niebieskiego od wschodu na zachód, o łuk wynoszący tylko 23 minut, 25 sekund; a w kierunku południka, ku biegunowi południowemu o łuk 8 minut, 18 sekund.

Gdy wiadomość o tém odkryciu rozeszła się po świecie uczonym, kilku astronomów oświadczyło swoję wdzięczność Lewerryemu. Między innemi Encke z Berlina, w liście do niego pisanym, wyraził:

„Imię pana połączone jest na zawsze z prawami ciążenia powszechnego, i przypominać będzie ich potwierdzenie w najodleglejszéj przestrzeni świata."

Schumacher, znakomity astronom z Altony, nazywa odkrycie to „najwyższym tryumfem teoryi."

Salwandy, minister wychowania publicznego we Francyi, w raporcie swoim do króla, w którym go prosi o udzielenie orderu legii honorowéj dla Lewerryego i Gallego, tak się wyraża:

„Najjaśniejszy Panie!

„Wielkie odkrycie, jedno z najrzadszych wysileń umysłu ludzkiego, sławą okryło Francyą i twoje panowanie. Młody uczony Francuzki, członek Akademii nauk, samą potęgą swéj myśli, za całe narzędzie mając tylko rachunek wyższy i analizę, dowiódł istnienia w przestrzeni świata nowéj planety za granicami znanemi naszego systematu. Obserwacya, która zwykle odkrycia poprzedza, teraz tylko potrzebowała iść za wskazaniem nauki, i szukać w punkcie naznaczonym gwiazdy nieznanéj, którą jéj wskazała teorya. Żadnego faktu wyższego nie spotykamy w rocznikach nauk ścisłych. Niepodobna było dać wznioślejszego zatwierdzenia praw kierujących i utrzymujących porządek świata."

J. B.

FIZYKA.

Breda chcąc przekonać się czy żelazo w czasie magnetyzowania i odmagnetyzowania zwiększa swą temperaturę, urządził doświadczenie następujące na aparacie takiéj budowy. W środek rury drewnianéj, otoczonéj zwojami drótu, wstawioną była rurka z żelaza miękkiego, z obu stron zamknięta; w jednem denku téj rurki wlutowaną była szczelnie rurka szklana, zamknięta z jednego końca a w drugim mająca kroplę płynu kolorowego. W drugiém zaś denku rurki żelaznéj, umieszczony był stos termo-elektryczny z an-

tymonu i bizmutu; dróty od tego stosu kommunikowały z bardzo czułym galwanometrem.

Po złączeniu końców spiralnéj, otaczającéj rurę drewnianą, z parą galwaniczną i przeszkodzeniu aby ciepło bezpośrednio w tym drócie wzbudzane, nie udzielało się rurze żelaznéj, Breda za pomocą kommutatora przerywał strumień 30 razy na sekundę, i wówczas spostrzegał iż kropla płynu posunęła się w kierunku świadczącym o zwiększeniu temperatury, igła zaś na galwanometrze wskazała znaczne zboczenie. Dwa te zjawiska dostatecznie przekonywają, iż rurka z miękkiego żelaza, w czasie nabywania siły magnetycznéj i jéj utracania, zwiększa swą temperaturę. *(Pogdf. Nr. 8, r. 1846).*

* Zeszłego stulecia, doświadczając światła księżycowego za pomocą wielkich soczewek i dokładnych termometrów, otrzymywano ciągle przeczące wypadki, t. j. odmawiające ciepła światłu księżycowemu. Melloni dostawszy wielką soczewkę składaną (*lentille à echelons*), przeznaczoną do obserwatoryum meteorologicznego na Wezuwiuszu, umyślił jéj użyć, w połączeniu ze stosem termoelektrycznym, do powtórzenia i o ile można stanowczego rostrzygnienia tego ważnego punktu fotometryi. Ustawiwszy soczewkę tak, iż była dokładnie prostopadłą do kierunku promieni księżyca, w jéj ognisku, przedstawiającém bardzo jasne kółko średnicy 9 linij, umieścił stos termoelektryczny. Jak tylko promienie upadły na połączenia tego stosu, natychmiast igła multyplikatora wskazała znaczne zboczenie. Uderzony tak nagłym skutkiem i w podejrzeniu mając wpływ ubocznych szkodliwych okoliczności, Melloni przed powtórzeniem doświadczenia, przytrzymał przez pewien czas rękę na linii łączącéj stos z soczewką; wtedy igła multyplikatora cofając się z pierwiastkowego zboczenia, wróciła do 0°; nie zatrzymała się jednak na tym punkcie, lecz przeszła na drugą jego stronę i wskazała znaczne przeciwne zboczenie. Jasną więc jest rzeczą, iż piérwsze zboczenie igły było skutkiem oziębienia spojeń stosu. Przyczyna tego szczególnego wypadku łatwo została wykrytą, za zwróceniem uwagi

na pogodność nieba i wielką sposobność szkła do promieniowania cieplika. W opisaném ustawieniu soczewki i stosu, szkło silnie promieniując cieplik ku niebu, oziębiło się przez to mocniéj aniżeli otaczające przedmioty, zkąd wynikło i oziębienie spojeń samego stosu.

W celu usunienia tego szkodliwego wpływu na dokładność wypadków, Melloni wprawił soczewkę w okiennicę pokoju dokładnie zamkniętego, iżby przeciągi powietrza nie mogły działać na zmianę temperatury stosu, a nadto rurkę stos zakończającą opatrzył dwoma jasnemi wypolerowanemi szkłami. Następnie podniósł zasłonę zakrywającą otwór okiennicy; zrazu igła galwanometru stała niewzruszenie, wkrótce jednak zwolna zaczęła się poruszać, i po 5 minutach zatrzymała się na $3^{o},7$. Za oddaleniem zwolna stosu od ogniska soczewki, powyższe zboczenie natychmiast się zmniejszyło zatrzymując na 0^{o}; za przysuwaniem zaś napowrót w ognisko, igła ukazywała wzmiankowane wyżéj zboczenia. To doświadczenie, powtórzone w przytomności wielu uczonych, niewątpliwie wszystkich przekonało, iż światło księżycowe posiada także siłę ogrzewania.

Natężenie ciepła wzrastało z wzniesieniem księżyca nad poziom. Powtarzane doświadczenia w czasie różnych lunacyj, zawsze pomyślne dały rezultaty, świadczące o istnieniu cieplika w świetle księżycowém; tak, że tę własność uważać należy jako stanowczo dowiedzioną.. (*Pogdf. N.* 6 *r.* 1846).

* Wiadomo iż w stosach elektrycznych, złożonych z dwóch metali, umieszczonych w przegrodach jednego naczynia, skoro tę przegrodę stanowi ciało budowy dostatecznie zbitéj dla przeszkodzenia łączeniu się różnorodnych cieczy, lecz zarazem dość dziurkowatéj iżby elektryczność swobodnie przez nią przepływać mogła (glina słabo wypalona, pęcherz), w czasie działania tych stosów, część cieczy dodatniéj razem ze strumieniem elektrycznym, przesącza się do cieczy elektrycznie ujemnéj. Zjawisko to, znane od r. 1816, nosi nazwę elektrycznéj endosmozy. James Napier wyko-

nał liczny szereg doświadczeń w celu zbadania różnych warunków tego fenomenu, ważną odgrywającego rolę w poszukiwaniach elektro-chemicznych. Wnioski z jego doświadczeń są następujące:

1) Strumień elektryczny dodatni, przez ciecz przechodzący, sprawia zawsze prąd płynu w tymże kierunku.

2) Jeżeli strumień elektryczny przechodzi przez ciecz zawierającą w roztworze sól lub kwas działaniem stosu rozkładaną, wtedy prąd przez endosmozę sprawiony, ogranicza się zwykle na soli lub kwasie, nie unosząc z sobą cieczy tak, iż objętość cieczy w naczyniu w kierunku którego endosmoza działa, wcale lub bardzo mało się zwiększa.

3) Skoro ilość elektryczności wywiązanéj ze stosu jest zbyteczną do rozkładu soli lub kwasu, t. j. skoro baterya wywiązuje więcéj elektryczności aniżeli jéj wymaga rozkład soli, wówczas zbywająca ilość od rozkładu przepływa przez wodę i sprawia zwiększenie objętości cieczy zawartéj w przegrodzie odjemnéj. Toż samo zjawisko przedstawia i czysta woda. Ostatni ten wypadek tłómaczy obserwowany oddawna fakt, iż endosmoza elektryczna objawia się na większą skalę w czystéj wodzie nawet przy strumieniach słabych, niesprawiających widocznego rozkładu wody. (*L'Institut, Sept. N.* 661, 1846).

† D. 25 lipca 1846 umarł w Weronie professor fizyki Zamboni, powszechnie znany wynalazca urządzenia, które stosem Zamboniego zowiemy.

† Wielce zasłużony chemik James Marsh, wynalazca tyle ważnego w medycynie sądowéj aparatu do wykrywania drobnych ilości arszeniku, d. 21 czerwca 1846, w 57 latach wieku, umarł w Londynie. *S. P.*

HISTORYA NATURALNA.

W Gazecie powszechnéj (*Allgem. Zeitung*) z d. 6 sierpnia b. r. nr. 218 str. 1740, dr. Eichwald podaje wiado-

mość o muzeum hist. nat. należącém do księcia Leuchtenberskiego w Eichsztadzie. Zbiór np. ptaków obejmuje 4000 okazów w 35 wielkich szafach szkłem opatrzonych; odznaczają się nadewszystko Brazylijskie i Atlantyckie gatunki. Zbiór gadów obejmuje oryginalne okazy Waglera. Zbiór do paleontologii zaleca szczególniejsza staranność; są w nim między innemi, dublety minerałów Rossyjskich, które J. C. W. książę Maxymilian dla muzeum Eichsztadzkiego przesłał: a prócz tego piękne okazy skamieniałości z Eichsztadzkiego i Solenhoferskiego litograficznego łupku. Szczególnie zajmującym dla mineralogów jest oryktognostyczny zbiór tego muzeum i t. d. z powodu skarbów Rossyjskich z Uralu. *(Fr. n. N. nr.* 845).

Mineralogia.

Czytamy w *American Journal of Science* na kwiecień r. 1845, że kopalnie złota w obudwu Karolinach, w r. 1843 już za 272,000 dolarów tego kruszcu wydały, i coraz więcéj go wydają. Piasek w rzéce Catawba wydzierżawiony został niedawno pewnemu spekulantowi nazwiskiem Gibson. Użył on płaskich łódek, które się przywiązują na środku rzéki do palów: a trzech ludzi na każdéj, kubełkami na długich kijach osadzonemi wydobywają piasek, który się potem na brzegu rzéki pławi, poczém złoto amalgamuje się żywém srebrem. Można ciągle na jednóm miejscu czerpać rzéka bowiem ustawicznie nowy piasek przynosi. Rzéka nie jest spławną, czynność ta zatém nie przeszkadza niczemu. Złoto zdaje się pochodzić ze złoża brunatnego hematytu, znajdującego się w powiecie Centreville, niedaleko spadów Catawby, w sąsiedztwie z kopalnią węgla kamiennego. (*Ib. nr.* 808).

* W tymże dzienniku czytamy, że przy Pittsburgh w północnéj Ameryce, z przewierconego tam otworu w salinie, co trzy tygodnie wytryskuje woda z wielką ilością zapal-

nego gazu, do wysokości 30—40 stóp nad powierzchnią gruntu. Póki robiono jeszcze około saliny, zjawisko to zawsze następowało, ilekroć pompy po kilkodniowym spoczynku w ruch wprowadzone zostały. Wywiercony otwór w głębokości 133 stóp, przechodzi przez warstwę kopalnego węgla na 18 cali grubą; w głębokości stóp 180, przez grubą na stóp 11, a w głębokości stóp 280, przez trzecią warstwę 4½ stóp grubą; w głębokościach zaś stóp 380, 480, 580 i 618, jeszcze przez 5 warstw, takich jak ostatnia. Pod każdą z warstw wymienionych, najniższą tylko wyjąwszy, leży cienka warstwa wapienia. Zjawisko ma zapewne w tém swoję przyczynę, że wyłączający się z wielu warstw węglowych gaz, dopóty się zgromadza, dopóki nie przemoże ciśnienia wody, i nie wyrzuci jéj w kształcie fontany. Coś podobnego uważano przy salinach w Kissingen w Bawaryi, gdzie jednak wywiercony otwór idzie tylko przez piaskowiec, a uchodzący podczas wrzenia wody gaz, jest czystym kwasem węglowym. (*Ib. nr.* 814).

* W Węgrzech, w komitacie Liptawskim na prawym brzegu rzéki Waag, nad wsią Kis-Olossi, wznosi się około 150 sążni wysoko, bardzo stroma góra, Hawranob nazwana, po większéj części z kwadratowego piaskowca formacyi lias złożona. U jéj podnoża leży wieś ta Marya, z małym kościołkiem. D. 5 stycznia b. r. o godzinie 4 po południu, usłyszano tu mocny łoskot, do wystrzału z działa podobny, a wkrótce potém z niemniejszém podziwieniem ujrzano jak wybuchła może o 100 kroków ode wsi, niezmierna massa. Wśród powtarzających się lubo słabszych wybuchów, spłynęło powoli w ciągu kilku godzin mnóstwo ziemi po spadzistości góry, a naostatek niemniejsza ilość wody. Massa wyrzuconego, bardzo rzadkiego iłu i żwiru rozmaitéj wielkości, pokrywa teraz na 6 do 7 stóp wysoko, powierzchnią około 60 sążni długą, a 20—25 szeroką. Nie można było w niéj znaleźć żadnego śladu pirytu, kopalnych węgli albo bitumicznego drzewa. Na miejscu z którego wszczął się wybuch, teraz jest znaczne zagłębie-

nie, a z rozpadlin gołego piaskowca, w małéj ilości sączy się woda ciepła. (*Ib. nr.* 815).

* Utwór mineralny, w Indyach *kunkier* zwany, jest już wapienny, już kwarcowy, i zdaje się brać początek z mineralnych źródeł, których jeszcze tu i owdzie dają się postrzegać ślady. Osad ten, zalegający całe części kraju i równiny, dosięga niekiedy 70 stóp wysokości. Na krawędziach składów trapu, widać częste pagórki kunkieru wznoszące się nad źródłami, które je dotąd jeszcze osadzają. Tak w powiecie Kurnul, ciepłe źródło niesie szlam wapnisty, ale naokoło źródła i pod niém, znajduje się osad rzeczonego gatunku, po części kwarcowy, który miejscami zawiéra muszle wód słodkich, jak z rodz. *Melania, Planorbis* i t. d. a nawet wyciski liści. Muszle przedstawiają bardzo nauczające przykłady rozmaitych stopniów skamienienia. U niektórych skorupa cała jest zamieniona w spat wapienny: u innych jeszcze tylko wewnętrzne jądro pozostało, gdy część zewnętrzna już znikła. Niektóre okazy wyłożono są kryształami kwarcu, inne przedstawiają tylko rudymentarne kryształy. W niektórych miejscach kunkier jest tak stężały, że staje się podobnym do kwarcowego tufu ciepłych źródeł Islandyi. (*Ib nr.* 820, podług *Institut nr.* 639).

* Tak nazwany *Alios*, którego próby pp. Fleury i Lalesque przysłali niedawno Akademii um. Paryzkiéj, jestto roślinno-mineralna substancya, która w całym zachodnim pasie departamentów Girondy i Landes spodnią warstwę gruntu tworzy. Dotąd miano ją za kwarcowy piasek kitem o zasadzie żelaza zlepiony. i przypisywano mu nieżyzność wierzchniego gruntu. Badania pp. Fleury i Lalesque okazały, że *alios* złożone jest z kwarcowego piasku i substancyi która, z wyjątkiem rozpuszczalności w alkoholu, ma wszystkie własności ulminu. Ci dwaj uczeni zamierzają daléj jeszcze badać tę istotę, pod względem gieologii, gospodarstwa i wpływu na stan zdrowia okolicy. (*Ib. nr.* 821, z *Comptes rendus, Tom XX. pag.* 1804).

* W pisemku (162 stronnic 8vo., z 1 tablicą wizerunków) Pawła Partsch, jeszcze r. 1843 wydaném, znajdujemy wiadomość o meteorytach ces. gabinetu hist. nat. w Wiedniu. Gabinet ma 258 okazów, które pochodzą z 94 osobnych meteorytów, między temi zaś 25 są meteoryczném żelazem. Fizyczne ich cechy opisane są w zupełności; udzielona nadto obszerna wiadomość o ich gieograficznéj historyi. Dołączony obok pisemka wykaz pieniężnéj tych meteorytów wartości, następujące ceny ich naznacza:

Wartość meteorytu Elnbogieńskiego (żelaza), 141 funtów Wiedeńskich ważącego..... guldenów 10,000.

Wartość meteorytu Agramskiego, 70 funtów ważącego ..... guldenów 10,000.

Wartość okazu z Atacama, 5 funt. 5½ łótów ważącego ..... guldenów 506.

Wartość meteorycznego kamienia z Weston w Connecticut, ważącego 3 łóty ..... guldenów 15.

Wartość takiegoż z Nashville w Tennessee, ważącego $1^{27}/_{32}$ łóta..... guldenów 20.

Wartość takiegoż z Richemond w Wirginii, ważącego $3^{1}/_{8}$ łóta..... guldenów 36.

(*Ib nr.* 823).

* Prof. Goeppert w Wrocławiu, wymienia 85 miejsc w samym Szląsku w których się bursztyn znajduje: nigdzie jednak w takim stopniu, ażeby rzeczywiście warto było kopalnią tego minerału zakładać. (*Ib. nr.* 844).

Zoologia.

Kapitan Lort Stokes (p. jego *Discoveries in Australia*, vol. 1 str. 222) uważał w jednym krajowcu części zachodniéj Nowéj Holandyi, zadziwiającą zmyślność kierowania się w okolicy nieznanéj, którato zmyślność wspólna człowiekowi ze zwierzętami, w miarę jego cywilizacyi ginie. Krajowiec pomieniony, imieniem Miago, użyty za prze-

wodnika w odkryciowéj podróży na okręcie *Beagle*, bez żadnych sposobów najdokładniéj ukazywał kierunek drogi do ujścia rzéki Łabędziéj, rodzinnego miejsca swojego: a to nawet w czasie pochmurnego nieba. Bardzo często i pod rozmaitemi okolicznościami wystawiany był na próbę, a nie omylił się ani razu. „Zdolność ta, mówi Stokes, którą także na dzikich mieszkańcach Ameryki północnéj postrzegano, już na lądzie w zdumienie mnie wprawiła; lecz gdy okazał ją i na pełném morzu, gdzie wokoło żadnego lądu nie było widać, stała się dla mnie całkiem niezbadaną i cudowną. Pomyśliłem nieraz że owi śmiali żeglarze, którzy na długi czas przed wynalezieniem kompasu przedsiębrali dalekie podróże morskie i szczęśliwie je odbywali, musieli byli podobną mieć zmyślność." (*F. n. N. nr.* 840).

* Skutkiem nastąpionéj w Londynie, d. 5 sierpnia burzy, lwica w *Surrey Zoological Garden* utrzymywana, wydała młode, mléka jeszcze nie mając. Zdrowe i piękne lwiątko musiano karmić mlékiem z flaszeczki, niżeli mu za mamkę (*wet nurse*) sukę rasy Neufundlandzkiéj przydano. (*Ib. n.* 846).

* W zatoce Guecian, w południowéj Australii, odkryto niedawno kręgowe zwierzę, które zaraz uznano za *ziemno-wodnego tygrysa*. Ma ono do 12 stóp długości; czaszka 1 stopę długa, żadnych nie przedstawia nozdrzy, żadnego nosowego otworu. Nader silne szczęki osadzone są 32 zębami, z których 4 kły są stożkowate i na 2 cale długie. Zęby tylne mają każdy po trzy kończatości, z których środkowa wysoko nad postronne styrczy. W szczęce górnéj leżą (po każdéj stronie?) cztéry zęby stożkowate, z których dwa skrajne dłuższe są od dwóch średnich. W szczęce dolnéj są takież, ale krótsze. Zwierzę ma na każdym boku 13 mocnych żeber; włos na grzbiecie jest czarniawy, na brzuchu i na bokach jasno-brunatny z czarnemi pręgami; ale najosobliwszą rzeczą jest to, że koniec kręgowego stosa przechodzi w dzidkę i opatrzony jest ogonem z każdéj strony po trzy haki mającym, jak to u skrzydeł niedoperzów bywa. Widać dwie silne płetwy piersiowe, ale nie ma żadnéj grzbietowéj lub brzuchowéj (*Ib. nr.* 842, z *L'Institut nr.* 652).

* Do zoologicznego ogrodu w Berlinie przybyły cztery żywe psy morskie. Tamże widzieć się daje nowy gatunek latającego workowatego zwierzęcia. Co pewny czas odbywają się w tym ogrodzie publiczne lekcye, jaką w d. 9. sierpnia miał pr. Lichtenstein o zwierzętach workowatych, pod względem systematycznego ich uporządkowania i osobliwości ich organizacyi. Rozmaitość ich kształtów objaśnianą była jużto użyciem wielu dzieł z wizerunkami, już okazów żyjących które ma ogród, a które do sali wnoszono. (*Ib. nr.* 846).

* W dzienniku *Observer*, z 13 lipca b. r. doniesiono o oswojonéj wielkiéj mewie, w pewnym domu w Garnet Hill przy Glasgowie chowanéj. Wyjęto ją z gniazda na skale Ailsa. Okazuje się ona nader pożyteczną dla ogrodu niszcząc w nim ślimaki: oprócz czego zjada jeszcze co dzień pięciu do sześciu wróblów, które tym sposobem łowi. Żyje w największéj zgodzie z gołębiami, a gdy tym posypie się jedzenie, mewa miesza się pomiędzy nie i ciągle się wraz z niemi nachyla. Wróble, których się mnóstwo zlatuje ażeby gołębiom pożywienie kradły, łatwo wtedy porywa i w mgnieniu oka pożera. (*Ib. nr.* 843).

* Kapitan Stokes (*Discov. in Austral.* vol. II, p. 104) pisze, iż przy ujściu rzeki Wiktoryi w Australii północnéj, widział nad brzegiem lądu nadzwyczajną mnogość nieżywych żółwiów które się zgromadziły ażeby umrzéć. Prawie wszystkie leżały na brzuchach; kilka jedynie, dzicy, jak się zdaje, poodwracali. Przypomniało to autorowi miejsce jedno nad rzéką Gallegos w Patagonii, na które się zbierają guanaki (gatunek lamy) nim życie zakończą, tak iż cała równina skieletami ich całkiem jest zaścielona; niemniéj ów przez majtka Sinbad opisywany cmentarz słoniów. Jeżeli tych żółwiów nie spędził jakiś nadzwyczajny, trzęsieniem ziemi spowodowany bałwan, to ani podobna odgadnąć sposób jakim się w to miejsce zebrały. (*Ib. nr.* 839).

* P. J. C. Gray ustanowił nową familią i rodzaj jaszczurek z Kolumbii. Przypada ona pomiędzy *Chalcides* a *Ana-*

diadae, ma bowiem gładkie, zapadłe łuski piérwszych, a zupełne nogi i udowe pory drugich. (*Ib nr.* 841).

* P. C. A. Récluz ogłosił w Magazynie zoologicznym p. Guérin 1845, monografią ślimaków rodz. *Narica*. Rodzaj ten, mało dotąd uważany, od niedawnego dopiéro czasu znanym być zaczął. Dopókąd same skorupy jego znano, zoologiczne względy rodzaju nie dały się w sposób zadowolniający ustalić, a mała liczba gatunków podciągana była pod rodz. *Nerita*, *Natica*, i *Sigaretus*. Piérwszym autorem który opisał zwiérzę, jest p. Quoy tworzący z niego rodzaj *Vanicoro*, którego wszakże sam potém odstąpił odniesieniem gatunków do *Velutina* pana de Blainville. P. Récluz dowiódł, że połączenie to nie może być usprawiedliwioném, i tym ślimakom nazwisko *Narica* nadał. Późniéj p. Gray, poczytując zwierzęta te za nowe, nazwał je *Merrya*. Niektóre nowe p. Récluz i Souleyet postrzeżenia, zdają się okazywać że ślimaki z rodzaju *Narica*, nie mogą być do żadnéj z familij grzebienioskrzelnych wcielone, lecz że muszą tworzyć osobny dla siebie oddział, odznaczający się niedostatkiem zakrzywu, trójkańciastemi czułkami, przy ich podstawie leżącemi oczami, i nogą jak u poroniowatych (*Janthinida*) złożoną ze dwóch wyraźnie rozłączonych części, przedniéj półokrągłéj, tylnéj okrągławéj i otoczonéj dwiema całobrzeżnemi przysadkami. Skorupa jest kulista albo jajowata, na zewnątrz leżąca, zawsze wpoprzek rysowana lub brózdowana, czasem wzdłuż pofałdowana, czasem siatkowana, a zawsze z blizną. Wiérzchołek nigdy nie ma skrętu. Samodzielna praca p. Récluz obejmuje opisy i wizerunki licznych gatunków pochodzących z mórz wszystkich części świata, a szczególnie znad brzegów Manilli i wysp Moluckich. (*Ib.*).

* Prof. Mayer w Bonn, korzystając z objawienia się w swoich okolicach nader wielkiego mnóstwa zadychry bagiennéj (*Branchiopus stagnalis*), udzielił niektórych nad tym czerwiem postrzeżeń dziennikowi Froriepa, *Neue Notizen*. „Jak trudno, mówi on, rozeznać samca od samicy u przekopnic (*Apus*), tak łatwo u zadychry, któréj samiec

odznacza się większą głową, wielkiemi kleszczowatemi skrzelo-nogami, i dwiema hakowatemi organami płci (*Klammerfüsse*), pod ostatnią parą skrzelonóg położonemi. Trzecie, środkowe, ze dwóch kulek złożone lecz niefasetkowate oko, u samca leży bardziéj ku tyłowi; organa płci męzkiéj nie dzielą oddechowego poruszenia zadychry, ale za to worek jajeczny, który, wspólną otoczony powłoką, jest pojedynczym i leży przy odwłoku bezpośrednio za ostatnią skrzelonogą, okazuje poruszenia prawie jednoczesne z falowatym ruchem oddechowym skrzelonóg, złożonym ze ściskania i rozszerzania, czyli z gatunku ruchu perystaltycznego. Same jaja w worku poruszenie to nieco ruguje wprawdzie mechanicznie z miejsca, ale zresztą nie zmieniają one poruszenia i wcale się nie obracają. Przyczyna zatém tego ruchu zależy od zewnętrznéj skóry jajecznego worka, i przypomina ruchy podobne w jajowodzie entozoów postrzegane, a które już gdzieindziéj (*Beitraege zur Anatomie der Entozoen*) opisałem. U góry przy jajecznym worku, są dwa gruczołowate ciała, z których piérwsze zdaje się miéć związek z wężowatym, białym kanałem, ciągnącym się aż do końca ogona. Oddechowe poruszenie skrzelowych nóg zwierzęcia, jako też i perystaltyczne jajecznego worka, trwają jeszcze niejaki czas przy tylnym końcu przerzniętego przez środek zwierzęcia. Narzędzia żucia u samca zadychry, są bardzo silne i zawikłanego składu. Stanowi je wielka, zewnętrzna, do jeleniego rogu podobna żuchwa; trzy jéj środkowe mniejsze przedłużenia, i jeszcze żuwaczka wewnętrzna (górna) jak róg ammona skręcona. U samicy odpowiada temu mała tylko żuwaczka. Oboje, samiec i samica, mają dwa szypułkowe, wielkie, fasetkowane, boczne oczy, podwójne, środkowe, małe, niefasetkowane oko. Skrzela, których liczba wynosi 11, prostsze są niżeli u przekopnicy i trzystawowe. Zostają one jak i tam, w ustawicznem poruszeniu. Kanał kiszkowy zdaje się być pojedynczo rozciągnięty; od wierzchu napełniony był brunatnym gnojem który wydobywał się przy odchodku, opatrzonym dwiema

przysadkami. Zjawiska krążenia krwi te same co u przekopnicy i kiełża *(Gammarus pulex)*. Widać tylko wyraźniéj ruchy naczynia grzbietowego, sznurkowi korali podobnego, w ściąganiach się jego pojedynczych zatok, jak to już Schaefer uważał (*nr.* 832).

* *Ocieklinek świérzbowy* (Sarcoptes scabiei). W nrze 821 dziennika Froriepa *Neue Notizen*, umieszczony jest piérwszy ciąg artykułu dra Eichstedt chirurga przy klinice w Greifswald, opisujący stopniowe rozwijanie się z jaj świerzbowego ocieklinka (*Sarcoptes scabiei*). Jaja tego pajączka leżą w świerzbowych podkopach, prawie w każdym podkopie po kilka tak blizko przy sobie, że się skórami swojemi stykają prawie. Najczęściéj po trzy do cztérech jaj w jednym podkopie bywa, lecz niekiedy jedno tylko, ale téż znowu bywa i po dziesięć a nawet i więcéj, lecz wtedy na dwóch złożone są miejscach. Stopień rozwinięcia się jaj przysobie leżących bywa tak dalece rozmaity, że od takiego w którym gotowy już do wyklucia się ocieklinek widzieć się daje, aż do świeżo zniesionego, wszystkie stany pośrednie bardzo wyraźnie się okazują. Świéżo zniesione jaje ma $^1/_{15}$ linii długości a $^1/_{25}$ szerokości w średnicy. Dla dojścia w jakim czasie jaje świeżo zniesione wylęga się, wziąłem kawałek skóry w którym kilka do rozmaitego stopnia wykształconych jaj widzieć się dawało, włożyłem go pomiędzy dwie szklane tabliczki, i z niemi nosiłem za nadrem, ażeby jaja należytą temperaturę miały. Od pory do pory wpuszczałem nieco wody, ażeby zupełnemu wyschnieniu skóry zapobiedz. Na drugi dzień wylągł się ocieklinek, który już i przedtem dojrzały się być wydawał; dnia trzeciego postrzegłem w innych jajach ruszające się już, zwłaszcza nogami przedniemi, małe ocieklinki, któreby jeszcze do wyjścia trzech dni potrzebowały; z czego wnoszę iż do wyklucia się zwierzątka ze świeżo zniesionego jaja, sześciu dni potrzeba. Uważając zalęgłe jaje przez mikroskop i naciskając je między dwiema szklanemi tabliczkami, widzieć można pęknienie jaja i wyklucie się młodego zwierzątka, które zaraz potém żwawo się czołga. Jaja pękają zazwyczaj

tak jednostajnie, że skorupy pękniętych, po ich kształcie zawsze poznać można. W każdym podkopie znajduje się stary ocieklinek który zniósł jaja, ale oprócz niego i jaj, leżą tam jeszcze w obfitości owalne ciała mające rozmaity kolor, od czarnobrunatnego do żółtego, około $^1/_{14}$ linii długie a $^1/_{100}$ lin. szerokie, zapewne jak już Heyland mniemał, gnojem ocieklinka będące: co tym podobniejsze jest do prawdy, że zupełnie takie i w samym ocieklinku widzieć się dają. Kupki tego gnoju leżą zwykle obok kupek jaj tak że gdzie są piérwsze, tam z pewnością i drugich spodziewać się można. Ale też nieraz, zamiast jaj, przy kupkach gnoju leżą tylko ich skorupki. Dosyć często w podkopach znajdować się zdarza głowę, przednie albo tylne nogi ocieklinka i t. p. Czy to są szczątki pajączków nieżywych, czy też ślad wyleni, dojść z pewnością nie można: piérwsze jednak zdaje się być prawdziwszém.

Podkopów zwyczajna długość jest 3 do 4 linij, często jednak miarę tę przenoszą. Największe widziałem u pewnego świerzbowatego, u którego na grzbiecie ręki długości cala dochodziły. Podkopy w jednym końcu są otwarte, w drugim się kończą ślepo. Przy tym ślepym końcu siedzi prawie zawsze ocieklinek, którego już gołém okiem dojrzéć można. Podkopy wydają się czarno-kropkowane, co pochodzi częścią z przebijania mass gnoju, częścią z nieczystości zewnętrznych. Ocielinek przegryza zewnętrzną, twardą warstwę naskórka, a potém robi podkop w miękkiéj siatce Malpigiusza. Głębiéj nie zachodzi podkop, i nigdy nie rozciąga się aż do skóry (cutis)....

Młody ocieklinek, przy wykluciu się z jaja, ma $^1/_{14}$ do $^1/_{10}$ lin. dług. a $^1/_{22}$ do $^1/_{27}$ lin. szerokości. Jest tylko sześcionożnym, gdyż jedna z tylnych par nóg rozwija się dopiéro po piérwszém wylinieniu. Autor nie uznaje wylinienia za proste zwleczenie staréj skóry, pod którą się już utworzyła nowa. Jestto, mówi, głębiéj zachodzący proces, który poprzedza rzeczywisty stan gąsienicy. Za głową, widać przez starą skórę nową głowę, za tylną nóg parą w gotowości do wydobycia się, wykształcone już dwie nowe

pary i t. d. słowem w starém zwierzęciu widać nowe. Proces ten linienia, niejednokrotnie ocieklinek odbywa. W peryodzie zmieniania skóry, ocieklinek nigdy nie siedzi w podkopie, lecz zachodzi w naskórek. Prawie zawsze znajduje się tam obok niego pęcherzyk, powstający skutkiem zadrażnienia miejscowego, jakie pajączek sprawia. Nie w tym jednak pęcherzyku zwykle on przebywa, lecz tylko przy nim, przy samym brzegu jego spoczywa, chociaż autor powiada że w pewnych okolicznościach (jak np. po natarciu ciała zieloném mydłem), kryje się i do pęcherzyka.

W nrze 841 tegoż pisma, znajdujemy (str. 71) inną ważną wiadomość, tyczącą się ocieklinka i choroby przez niego zrządzanéj: artykuł dra Bourgignon na posiedz. Tow. filom. Par. dnia 30 maja b. r. czytany, a ogłoszony w nr. 654 dziennika *L'Institut.* Umieszczamy tu w skróceniu to, co się do historyi naturalnéj tego pajączka ściąga.

Ocieklinek świerzbowy długim jest na $^1/_3$ milimetra, szerokim na $^1/_4$ mil. Składa się on z zewnętrznéj przezroczystéj powłoki, w liczne pomarszczonéj fałdy, z komórkowatego mięsa czyli miękiszu, w którym ożywiające soki krążą, i z rogowatego wewnętrznego skieletu, który nadewszystko do ułatwienia ruchów i żucia służy. Część skieletu do lokomocyi służąca, składa się przy cztérech nogach przednich, ze trzech rogowatych sztuczek, które przód zwierzęcia, tojest jego tułów zajmują. Ułożone są one w kierunku długości, i służą za podstawę czterem nogom przednim: jeden parze ich piérwszéj, dwa inne drugiéj (tylnéj). Skielet nóg stanowią 1^{od} pierścień przez który przechodzą muskuły i ciecze od tułowu do nóg; 2re trzy niemierzytelnie trójgraniaste sztuczki, tak względem siebie położone i tak nagięte, że noga w łuk jest skrzywiona. Naostatek idą członki stanowiące podym (tarsus), na którego końcu leży hanieczka czyli gruczołek. Podobny jest i tylnych nóg skielet; wyjąwszy nadewszystko, że te bardzo długa i mocna szczecina zakończa.

Głowa ocieklinka składa się naczelnie z przyrzędu do żucia: rogowatéj wargi górnéj, płaskich żuwaczek, maleńkie-

go pomiędzy niemi rogowatego organu, obracającego się wtedy gdy żuwaczki są w ruchu; ze szczęk leżących pod żuwaczkami i jednocześnie z niemi się poruszających, naostatek z wargi dolnéj, do któréj przydane są różne silne organa, a między temi mocne, bardzo zawikłanego składu, stawowate głaszczki. Autor nie przestał na szczegółowém opisaniu składu tych wszystkich części; opisuje jeszcze sposób jakim się one łączą z wewnętrznemi organami żywienia się i t. p. Tak np. mówi, że w wardze dolnéj, pod kanałem do przełykania pokarmu, jest jeszcze inny, osobny kanał, którym w czasie oddychania powietrze wchodzi. Odwłok i nogi wypełnia wewnątrz gatunek komórkowatego miękiszu, w którym krążą ciecze, wprowadzane pokarmowym kanałem. Miękisz ten, zwany *sarcode*, jest siedliskiem dwóch oddzielnych rodzajów krążenia: jednego który wyłączniéj do assymilowania pokarmów należy, i drugiego który oddychanie sprawuje. Piérwszy zachodzi szczególnie we właściwym odwłoku, drugi w tułuwie, a mianowicie przy nóg podstawie. Naostatek ciągnie się bardzo wyraźna kiszka, odprowadzająca wyrzuty do odchodowego otworu.

Ocieklinek nie może żyć gdzieindziéj, tylko pod naskórkiem, gdzie ma odpowiednią sobie temperaturę i brodaweczki ciągle się napełniające zdatną mu na pokarm wilgocią. Żuwaczki uzbrojone mocnemi hakami, i kleszczowate szczęki, podają mu wszelką sposobność rozrywania tych brodaweczek i wyciskania z nich wilgoci.

Autor stanowczo podaje, że zwiérzę ani przetchlinek nie ma, ani przez dychawki oddycha; wciąga ono powietrze otworem pyszczka, o czém się łatwo można przekonać wywróciwszy zwiérzę na grzbiet, podczas czego wyraźnie widać jak bańki powietrza przez wargę dolną idą aż do maleńkiego, poprzecznego w kanale pokarmowym otworu. Kanał zatém pokarmowy, przeprowadza nietylko ciecze służące na pokarm, ale i powietrze do oddychania potrzebne. Autor nie przyznaje ocieklinkowi różnicy płci, mówiąc, że bez poprzedniczego parzenia się zdolny jest nieść

jaja; nie dowiedziono jednak ściśle ażeby się samce nie znajdowały. Ocieklinek niesie dziesięć do dwunastu jaj, kładąc je rzędami po cztéry, i zatrzymuje się zwykle przez 24 godzin nad zniesioném ostatniém jajem, poczem przekop swój daléj posuwa. Pomiędzy zniesieniem jaja, a wykluciem się z niego embryona, ośm do dziesięciu dni czasu upływa. Wyklutaj gąsienica jest bardzo żwawa, należycie wykształcona, i zaraz zdolna dać sobie wszelką radę, lubo sześć tylko nóg ma dotąd. Dopiéro po piętnastu dniach od wyklucia się, staje się pajączkiem dojrzałym z ośmiu nogami. Jajnika nie widać u niego; zdarza się jednak trzy do cztérech jaj organizujących się w jego odwłoku znaleźć. Składanie jaj dzieje się zapewne przez poprzeczny otwór na średniéj części powierzchni odwłokowéj położony. Ocieklinek świerzbowy ma niezaprzeczenie system nerwowy, chociaż wewnątrz odwłoka tylko ganglionów gatunek rozeznać mogliśmy. Nakoniec co pewny czas odbywa on linienie.

Jedyną świerzby przyczyną, jest znajdowanie się ocieklinka świerzbowego. Przeniesienie go na czyjekolwiek ciało, zaszczepia w nie chorobę. Nie masz wyjątku od tego prawidła. W Paryżu są umeblowane stancye, w których ocieklinki świerzbowe formalnie się zagnieździły, tak, że czeladnicy, którzy się do tych mieszkań wprowadzą, zawsze dostają świerzby i daléj ją potém roznoszą. Spanie przy świerzbowatym, na dziesięć przypadków w dziewięciu pociąga zarazę. Ocieklinek rzadko swój przekop opuszcza. Autor uważał trzydzieści okazów, które przez miesiąc pod naskórkiem co dzień o jeden milimetr daléj zaszły, nie wyłażąc ztamtąd. Wiek, temperament i professya, nie wpływają nic na zarazę. Krawcy nie czynią wyjątku od tego prawidła, lubo w Paryżu prawie czwarta część świerzbowatych, są krawcy. W dzień zaraza nie chwyta się za podaniem ręki świerzbowatemu, lubo ocieklinek u osób dojrzałych, prawie wyłączne siedlisko ma na ręku. Przez wszczepienie w ciało wodnistéj wilgoci napełniającéj pęcherzyki, albo z krost nabranéj ropy, nie da się przenieść świerzba. Mniéj jeszcze

stać się to może przez zaszczepianie massy z roztartego ocieklinka. Nie przytoczono też jeszcze dotąd żadnego wiarogodnego przypadku, w którymby człowiek zaraził się od świerzbowatego (parchowatego) zwierzęcia.

Następnie autor z lekarskiego stanowiska uważając chorobę, opisuje jéj początek i postęp aż do dnia trzydziestego, w którym ona już rozstrzygnięty kształt przybrała, wstąpiwszy w okres zupełnego wykształcenia, w jakiém pacyenci zwykle do lekarskiéj udawać się zwykli pomocy. Wtedyto piérwsze pokolenie ocieklinków zupełnego rozwinienia się doszło, a piętnaście indywiduów mogą już znaczną ruinę zdrowia pociągnąć. Ocieklinek znosi ośm do dziesięciu jaj, które zostawia w swoim podkopie nie troszcząc się daléj o nie. W dziesięć do dwunastu dni, jaja się wylęgają, a młody pajączek, bez poprzedniego parzenia się, w piętnaście dni po wylężeniu się, zdolny jest nieść jaja tak, iż pacyent cztérdziestego dnia choroby, może miéć pięćdziesiąt do stu ocieklinków, które mu nieznośne świerzbienie i bezsenność sprawują, i zrządzają skórny wyrzut, przybierający podług wieku, temperamentu i professyi pacyenta, rozmaite kształty. Wiek we względzie biegu choroby, ważne kładzie różnice. Tak np. u dzieci przy piersiach, jako też u dwu do pięcioletnich, ocieklinki rozpraszają się po całém ciele, okoliczność, pod terapeutycznym względem niemało ważna.

Ocieklinka dwojako pod względem choroby, którą zrządza, uważać należy: 1^{od} jako zaszczepiającego chorobę która sama przez się sprawia ogólne świerzbienie ciała a następnie wyrzuty; 2re jako zrządzającego drażnienie miejscowe, jakie wszelki inny owad i t. p. sprawić może. Z tego oczywiście wynika, iż ażeby uleczyć chorobę, potrzeba ocieklinka zniszczyć. Dr. Bourgignon namienia o zdarzeniu, że gdy świerzbowaty zapadł na tyfus, świerzbowy wyrzut zniknął na nim, atoli ocieklinki nie poginęły. Używanemu zwykle na zabicie ocieklinka świerzbowego wcieraniu pomadą siarczysto-alkaliczną, skuteczności wprawdzie nie odmawia; że ten środek wszakże przeszkadza gojeniu się ran, doradza przeto za nierównie skuteczniejszy i właści-

wszy, preparaty z sokołéj gryki (*Staphysagria*), zapewniając że umiejętném tego środka użyciem, w ciągu trzech dni chorego wyleczyć można.

* *Manna w Australii.* Kapitan Stokes, w tylokrotnie wspomnianém dziele swojém *Discoveries in Australia*, London 1846 vol. 1 p. 285, następującą podaje wiadomość o téj istocie:

„Podczas jednéj wycieczki z Melbourne, stołecznego miasta Australii szczęśliwéj (*Australia felix*), w południowozachodniéj Nowéj Holandyi, weszliśmy w okolicę leśną, na któréj drzewach roiły się niezmierne tłumy wielkich rżeniów (*Cicada*), ogłuszających nas przenikliwém świerczeniem. Gałęzie tych drzew i ziemia pod niemi okryte były białą istotą, podobną kosmkom śniegu, a którą osadnicy manną zwali. Uważają ją *mylnie* za wyrób szarańczy, bo rzeczywiście sączy się z rozdrębów (*Eucalyptus*), a jeśli i pod jakiém innem drzewem widzieć się daje, to musiał ją wiatr pod nie zanieść. Na mniejszych gatunkach rozdrębu, w wyniosłéj części kraju rosnących, znajduje się inny gatunek blado-żółtego koloru, a tego krajowcy bardzo poszukują, w przeciągu kwadransa funt jéj niekiedy z drzewa zdrapując. Ma ona przyjemny smak migdałów, a tak jest słodka, że wiele jéj jeść nie można. Wartoby było ażeby Europejskie cukiernie starały się gatunek ten sprowadzić."

Tymczasem w tomie II str. 482 tego samego dzieła, znajduje się uwaga p. Bynoe, który wyprawę na okręcie Beagle jako chirurg dzielił, *sprzeciwiająca się zupełnie* mniemaniu kapitana Stokes w przedmiocie powstawania tak nazwanéj manny. Czytamy tam co następuje:

„W Nowéj Holandyi, zwłaszcza we wschodniéj jéj części, panuje mniemanie, że z drzew gumowatych sączy się osobny gatunek manny, i w pewnych porach roku spada. Wielu mieszkańców to utrzymywało, lubo przy bliższém wywiadywaniu się, o tém tylko zapewnić mogli, że pomieniona istota oblepia równie starą jako i młodą korę drzewa, niemniéj na ziemi pod drzewami leży.

„W miesiącu grudniu, a zatém w najgorętszéj roku porze, podczas moich entomologicznych wędrowek przez lasy,

znajdowałem tę mannę pod dopiéro wspomnionemi okolicznościami, nigdzie wszakże nie mogąc znaleźć szczeliny w korze drzewa, którąby manna wycieknąć mogła. Wszędzie zresztą gdzie była, było i mnóstwo czerwonookich rżeniów (*Cicadae*). Sądziłem tedy, że ten wysysający owad delikatne gałązki przekała, i zpowodowywa tym sposobem wypływanie soku; jednakowoż gdym korę na młodych pędach końcem noża rozczepał, nie mogłem nigdy wypływania cukrowego soku sprawić. Byłato pora roku, w któréj się rżenie dla rozmnażania wielkiemi rojami zbiérają: w gorące bezwietrzne dni, szukają one wtedy cienia na drzewach, mianowicie takich, które silne pędy z soczystemi liściami mają. Udałem się ku jednemu z takich drzew, z którego się rozlegał nieznośny świerk samców rżenia, ażeby się schronić pod nie przed gorącym wiatrem, od portu wiejącym. Ziemia wokoło pnia cienko posypana była istotą podobną do cukru, a w kilka minut postrzegłem że kropelkami spadała z drzewa ciecz, która na odzieży mojéj w ową białą zamieniała się istotę. Podniosłem się wtedy ostrożnie, ażeby wykryć ślad powstawania téj cieczy, nie płosząc owadów, i ujrzałem że wychodziła z odchodka rżeniów w kształcie syropowatéj wilgoci. Płynąc po liściach i pędach gumowego drzewa, robiła się stałą i tworzyła biały osad. Podczas wydawania téj wilgoci z ciała, owad podnosił do góry spodnią część odwłoka, poczém wyrzucał z odchodka trzy do cztérech kropel, które na gałęzie lub liście, albo też na ziemię padały.

Patrzyłem prawie przez godzinę na owady, i widziałem przez ten czas około trzydzieści indywiduów wypuszczających takim sposobem wilgoć. Zebrałem przeszło trzy uncye białawéj istoty, a nieco jéj dotąd mam jeszcze. Krajowcy zbiérają ją w koszyki z rogoży, i używają jéj za zwyczajny pokarm." (*Ib. nr.* 843) (*).

(*) Niedawno prawie wszystkie dzienniki nasze powtórzyły wiadomość ogłoszoną w Tygodniku Petersburskim (Nr. 41 b. r. str 284), a jak się zdaje, najpiérwéj do Kuryera Wileńskiego (nr, 44

* Tylokrotnie wspomniany kapitan Lort Stokes (*Disc. in Austr. vol. I p.* 104) znalazł w północno-zachodniéj Australii nadzwyczajnéj wielkości i twardości mrowiska. Jedno z nich miało 13 stóp wysokości, a u spodu na 7 stóp było szerokie, śpiczasto zwężając się ku górze. Mrowiska te składają się z jasno-czerwonéj ziemi, lecz nie można było dojść jak ją mrówki zlepiają. Gniazdo twarde było jak mur: człowiek mógł stać na jego wierzchołku, bez nadwerężenia skorupowatéj materyi. (*Ib. nr.* 838).

* P. Kamil Rondani ogłosił w Nowych rocznikach umiejętności, wychodzących w Bononii, postrzeżenia swoje, tyczące się much z rodz. *Phasia*. Samce wielu par które autor parzące się chwytał, były tak między sobą odmienne, iż ledwie można było uważać je za odmiany tegoż gatunku, gdy tymczasem samice okazały się zupełnie podobnemi do siebie. Z postrzeżeń jego wynika, że samice wszystkich gatunków rodz. *Phasia* mniejsze są od samców, i że opisanie gat. *Phasia analis* Fabr. do wszystkich przypada. Tymczasem samce przedstawiają nader znakomite różnice. P. Rondani opisuje trzy ich gatunki, między któremi jeden *Ph. difficilis*, jest nowy. P. Robineau Desvoidy uznał niedawno tosamość gat. *Ph. analis* i *Ph. crassipennis*, ale się w tém omylił, że piérwszy za samca, drugi za samicę poczytał. P. Rondani okazuje, że rzecz owszem ma się odwrotnie (*Ib. nr.* 843). *A. W.*

b. r. 11 czerwca 1846) podaną, o mannie spadłéj podczas burzy w okolicach Smorgoń w gub. Wileńskiéj, z któréjto wiadomości widać, iż podawca jéj nie doszedł, jakiéj rośliny manna ta byłaby sokiem. To co powiedziano w Kur. Wil. nr. 62 str. 498, jakoby *utworem meteorycznym* była, nie zasługuje na uwagę, jako domysł nieoparty na żadnéj zasadzie faktu upoważniającego nas do mniemania, iż w atmosferze tworzą się materye składu organicznego.

W wiad. z zoologii w zeszycie przeszłym, zaszły pomyłki:

str.	*wiersz*	*zamiast*	*czytać*
208	11 *od dołu*	opisanego	opisowego
—	3 *od dołu*	*Glyptodon, clavipes*	*Glyptodon clavipes,*
213	— 16	usuwaniem	wsuwaniem

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844. LIPSK.

336. Marya, powieść Ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. 8ka. Lipsk. 1844. Druk F. A. Brockhausa. Nakład Brockhausa i Avenariusa. Str. 140. Złp. 5.

1845. KOWNO.

432. Moje Marzenia. Pisma zbiorowe Antoniego Leopolda Michniewicza w wierszu i prozie. Tom Iszy. 12ka. Kowno. 1845. W drukarni Rządu Gubernialnego. Str. 67.

KRAKÓW.

433. Kraków w obrazkach. 12ka podłużna. W księgarni Józefa Czecha. (Są to ryciny w liczbie 14 użyte do dzieła „Pamiątka z Krakowa" robione z natury przez Płonczyńskiego a lit. przez Lemercier Bernard w Paryżu). W futerale. Złp. 9.

LIPSK.

434. Biblioteka najnowszych i najlepszych romansów zagranicznych. Tom VI. Jonna, z francuzkiego pana Jerzego Sand, przełożył B. W. 16ka. Lipsk. 1845. Nakładem i czcionkami Breitkopfa i Haertla. Napisów kart 2 i str. 448. Złp 6 gr. 20.

1846. WARSZAWA.

145. Kościół Panny Maryi w Paryżu. (*Notre Dame de Paris*) przez Wiktora Hugo, Członka Akademii francuzkiéj. Tłumaczył M. S. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1846. Nakład B. Lessmana. Druk Henryka Hirszel. Tom I str. 213. II, 197. III, 188. IV. 139, i w każdym rejestru kart 1. Złp. 15.

146. Kraina wesołości obejmująca poezye i powieść charakterystyczną z dziejów miasta Warszawy pod tytułem: Stotysięczna panna na wydaniu i anegdotki na rok 1847, przez S(otera) R(ozbickiego). 12ka. Warszawa. 1846. Nakład autora. Druk Wyszomierskiego. Str. 285 i kart 3.

147. Pielgrzymka do Jasnéj-Góry w Częstochowie, odbyta przez Pątnika XIX wieku i wydana z rękopisu przez Michała Balińskiego. 8ka. Warszawa. 1846. Nakład G. Sennewalda. Druk Józefa Ungier. Kart napisowych 3, str. II, i 433. Rejestru kart 4. (Z 4 rycinami litografii J. V. Flecka w Warszawie). Złp. 18.

148. Podróż na około świata Jakóba Arago, ze wstępem Juliusza Janin, przełożył z Francuzkiego Wojciech Szymanowski. Z rycinami kolorowanemi (w liczbie 20). 2 tomy, (czyli zeszytów 10) 8ka. Warszawa. 1846. Nakład Merzbacha. Druk Strąbskiego. Tom 1, kart 2 str. XI i 471. II, 452 i w każdym rejestru kart 2 Złp. 40.

149. Zasady technologii chemicznéj, obejmujące wiadomości treściwie zebrane o fabrykacyi i użytkach ważniejszych produktów mineralnych, przez Teofila Rybickiego, Nauczyciela chemii rękodzielnéj i fizyki w Gimnazyum realném w Warszawie. Z atlasem złożonym z 12tu tablic, (w osobnéj książeczce) 12ka. Warszawa. 1846. Nakład Merzbacha. Druk Józefa Ungier. Kart 2, str. 326, i objaśnień str. XVII. Rejestru karta 1. Złp. 8.

PETERSBURG.

150. Rocznik literacki, pismo zbiorowe. Z portretami i muzyką. Rok trzeci, wydał Romuald Podbereski. 8ka. Petersburg. 1846. Druk Karola Kraja. Kart 6 i str. 228. Prenumeratorów kart 2. (Z 5 rycinami, podobizną pisma O'Nacewicza i 2 nótami muzycznemi). Złp. 16 gr. 20.

BRODNICA.

151. Zaprowadzenie ulepszonego gospodarstwa w włościańskich posiadłościach, czyli rozmowy włościan o przedmiotach gospodarstwa rolniczego się dotyczących. Z niemieckiego Augustyna Nobisa przełożona. 8ka. Brodnica. 1846. Nakład i czcionkami C. A. Kohlera. Str. 92.

Doniesienia literackie.

Wyjątek z listu do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Józef Ulanowski wysłużony professor Historyi powszechnéj i Geografii starożytnéj w b. Liceum Wołyńskiem w Krzemieńcu, ostatecznie wykończył swoję Historyę Starożytną. Ważne to dzieło, owoc wieloletniéj pracy uczonego autora, z głęboką krytyką z ustawicznym poglądem na stan i postępy historycznych nauk w Europie, skreślone według mnóstwa najznakomitszych źródeł, po ogłoszeniu będzie, obok Dziejów starożytnych autora Ksiąg bibliograficznych, najcelniejszym literatury naszéj kwiatem, a razem pomnikiem publicznego wykładu dziejów w szkole Krzemienieckiéj. Każdy typograf gorliwy o dobro powszechne i sławę swojego zakładu, winien ubiegać się o nabycie tego utworu, którego wydanie na jaw byłoby wielką dla nauk przysługą.

Władysław Dunin Borkowski, niegdyś uczeń b. Liceum Wołyńskiego, zwiedził obszerne stepy Kirgiz-Kajsaków, i co tylko mu się dostało widzieć, to wszystko na miejscu zaraz zapisywał. Obyczaje i zwyczaje tamtejszych hord i plemion Azyatyckich, tak różne od Europejskich, ich barwne życie koczujące, ich pieśni, nazwiska rzek, jezior, strumieni, gór i stanowisk, geograficzne położenie miejsc, wreszcie ich tradycje i powieści, włożył do swojego wielce zajmującego dziennika, do niego kartę geograficzną, rysunki Kirgiz-Kajsackich ubiorów, jurt, aułów i jazdy na wielbłądach dołączył, a gdy śniegowe zaspy pustyni, którą przebywał znikły, nie zapomniał też o płodach przyrodzonych: roślinnego, zwierzęcego i kopalnego królestwa, które nader starannie opisał. Ogłoszenie to zostanie ważnym w dziedzinie geografii nowożytnéj nabytkiem.

Jan Sowiński poświęcił kilka lat pracy do napisania treściwéj (*compendiosa*) Historyi Polskiéj, i to naukowe dzieło już ukończył.

Samuel Nowoszycki, w Krzemieńcu, oprócz Polskiego rękopisu Statutu Litewskiego zwanego drugim, czyli Wołyńskim, roku 1566 przez Zygmunta Augusta nadanego, który na wezwanie JW. Generał-gubernatora Bibikowa, przesłał do Kommissyi archeograficznéj z rozkazu Najwyższego przy nim w Kijowie ustanowionéj; przesłał także na jego wezwanie do téjże Kommissyi starożytne rękopisy Polskie, przywilejów królewskich, a mianowicie: 1) Zygmunta I roku od stworzenia świata 7022 dnia 1 marca Indykta 2go (1514), wydanego żydom Litewskim, których uwalnia od służby wojskowéj, a nakazuje im obronę miast. Przywiléj ten dotąd przez badaczów niewzmiankowany. 2) Przywiléj Zygmunta Augusta roku 1563 dnia 7 czerwca w Wilnie wydany, którym potwierdzone zostały prawa i przywileje narodu Litewskiego. Nie jest on dotąd drukowany, czyni tylko o nim wzmiankę professor Daniłowicz w rozprawie swojéj umieszczonéj w Dzienniku Wileńskim z roku 1823, w T. 2, na karcie początkowéj. 3) Przywiléj tegoż króla roku 1564, dnia 1 lipca, w Bielsku wydany, przez który wojewodowie, kasztelanowie i inni urzędnicy zrzekli się dobrowolnie prawa swego dawnego do sądownictwa i poddali się równo z innymi jednemu prawu i wymiarowi sprawiedliwości. Jest on w dziele Lindego o statucie Litewskim na str. 188 drukowany, ale w języku Łacińskim i niecałkowity. 4) Przywiléj tegoż króla roku 1566 dnia 11 marca w Wilnie wydany, którym ostatecznie potwierdzony statut Litewski. Uczony Linde na str. 191 umieścił go lecz także niecałkowicie. 5) Przywiléj tegoż króla Zygmunta Augusta w Wilnie roku 1565, dnia 30 grudnia wydany, którym statut Litewski w użycie wprowadzony. Ten nie jest przez nikogo wzmiankowany. Równie też p. Nowoszycki uczynił literaturze

i historyi krajowéj przysługę przez odszukanie obszernéj treści poematu napisanego przez Hieronima z Lipia Lipskiego, a opiewającego wojnę Chocimską za Zygmunta IIIgo. Poemat ten, wynaleziony jest w autografie obejmującym do dziesięciu tysięcy wierszy: w nim zaś mieści się nietylko szczegółowy opis téj pamiętnéj wyprawy z wyliczeniem osób przeważnie działających, ale nadto wszystkich półków, zaciętych bitew i narad wojskowych, jako też ubiorów, zbroi i mnóstwa szczegółów rzucających wielkie światło na dzieje i obyczaje wieku XVII. Poezja ta ma wiele ustępów zachwycających. Autor żył w epoce téj wyprawy i prędko po niéj układał swoje dzieło, które przypisał synowi swemu Janowi Lipskiemu staroście Sądeckiemu i Czchowskiemu. Niesiecki ich obu wzmiankuje w t. 3 na str. 126. O takowym wynalezionym rękopisie p. Nowoszycki podał wiadomość w roku 1839, do Tygodnika Petersburskiego, z dokładnem onego opisaniem i umieszczeniem nawet kilku wyjątków, wzywając oraz gorliwego miłośnika lub przedsiębiercę, aby ten utwor drukiem ogłosił. Jakoż zaraz do niego uczynili odezwę z chęcią wydania tego dzieła obywatel Galicyjski Józef hrabia Dunin Borkowski i znajdujący się wówczas w Petersburgu znany z gorliwości swojéj o dobro literatury, nieodżałowany mąż, Edward hrabia Raczyński. Ubolewa teraz p. Nowoszycki, że dla blizkości miejsca z Krzemieńca do Lwowa, dał pierwszeństwo p. Borkowskiemu, który wprędce zesłał do Krzemieńca upoważnionego swego oficyalistę p. Jaworskiego, i ten wydawszy rewers, wziął rękopis wojny Chocimskiéj, z obowiązkiem niezwłocznego wydrukowania i powrotu rękopisu właścicielowi. Po pewnym przeciągu czasu, na wieloliczne rekwizycje p. Józef hrabia Dunin Borkowski odpisywał, że już rękopis postępuje do cenzury, nakoniec do druku. Może byłby i dokonał zaszczytnie przyjętego obowiązku, gdyby śmierć nieprzeniosła go do wieczności. Rękopis wzmiankowany dostał się wraz z całą puścizną bratu zmarłego p. Leszkowi czyli Alexandrowi hr. Duninowi Borkowskiemu.

Adam Radzimiński Szambelan b. dworu Polskiego, zostawił historyczny opis Krzemienieckiéj zamkowéj góry, dotychczas nie ogłoszony drukiem. Po Janie Wyhowskim hetmanie Kozackim i jego sukcesorach dostał się mu liczny zbiór historycznych rękopisów, z których równie jak z najbogatszego zbioru takichże pomników w książnicy Poryckiéj czerpając, napisał obszerną Historyę Kozaków Ukraińskich, rzucającą wielkie światło na tę gałęź Słowiańszczyzny. Dzieło to znajduje się u p. Felixa Radzimińskiego, syna autora.

Alexander hrabia Chodkiewicz generał b. w. p. i b. senator kasztelan Królestwa Polskiego, okrom znakomitych zasług w u-

miejętnościach fizycznych, szukał nowych na polu historycznych badań. Zgromadziwszy obfity zbiór rękopisów odnoszących się do wszystkich epok dziejów narodu, a mianowicie do ostatniéj, z polecenia b. królewsko-Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, skreślił i zostawił w rękopisie: Panowanie Stan. Augusta. Spodziewać się należy, że synowie Alex. hr. Chodkiewicza wdzięczni pamiątce ojca, zechcą uczynić własnością powszechności tę pożyteczną jego pracę. *K. W.*

WARSZAWA.

Dzieło nader ważnéj treści historycznéj, obejmujące zbiór dyplomatów od najdawniejszych czasów do roku 1506, o którego rozpoczętym druku przed rokiem donieśliśmy, acz zwolna lecz ciągle postępuje. Wyjdzie ono pod napisem: *Codex diplomaticus Poloniae.* Kształt wydania w 4-ce zastosowany jest do teraźniejszych wydań zagranicznych dzieł tego rodzaju. Tom pierwszy ukaże się w ciągu roku bieżącego, i zawierać będzie dwieście dyplomatów, zajmujących do 50 arkuszy druku. Dzieło to będące owocem połączonych usiłowań kilku miłośników rzeczy historycznéj, drukuje Strąbski z właściwą zakładowi swojemu dokładnością.

Nakładem S. Orgelbranda wkrótce opuszczą prassę następujące dzieła: 1. Dykcyonarz Pisarzów Polskich, tudzież postronnych którzy w Polsce lub o Polsce pisali, zawierający krótkie rysy ich życia, szczegółowe wiadomości o dziełach ich tak drukowanych jako też w rękopismach pozostałych, porządkiem alfabetycznym ułożony p. F. Radziszewskiego. 2. Opowiadanie historyi Polskiéj dla dzieci przez Z. Ancyporowicza. 3. Wychowanie publiczne i domowe przez Felixa Jezierskiego. 4. Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w Polsce, zawierające historyą architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i snycerstwa, z opisem życia i dzieł znakomitych artystów, zebrał F. M. Sobieszczański.

Łucya z ks. Giedrojciów Rautenstrauch ukończyła obszerne w pięciu tomach dzieło p. n. „W Alpach i za Alpami."

A. Kosiński przygotował do druku: Przejażdżki, obrazki i powiastki we trzech tomach.

J. Majorkiewicza dzieło p. n. Historya, Literatura i Krytyka znajduje się pod prassą. Mają tam być ocenieni żyjący pisarze i bieżąca literatura.

Według wiadomości z Kijowa, p. Benedykt Dołęga (Jakób Jurkiewicz) ma zamiar wydać przy pomocy znakomitszych tamtejszych pisarzy, Noworocznik p. n. Zorza, z którego dochód przeznaczył na cel bardzo szlachetny, tojest na odbudowanie zgorzałego kościoła w Niemenczynie pod Wilnem, jednego z pierwszych za-

łożonych w Litwie przez Władysława Jagiełłę. Redakcya miała sobie już nawet przysłany prospekt wydany w nowo założonéj drukarni T. Glücksberga w Kijowie, dla powtórzenia go w swém piśmie. Z takowego prospektu który mamy przed oczyma, możemy tylko donieść, że ma się ukazać przed Nowym rokiem i że przedpłata wynosi rubel sr. 1.

WILNO.

(*Nadesłano*).

Przy końcu bieżącego roku w Wilnie rozpocznie się druk dzieła pod tytułem: „Opisanie Powiatu Borysowskiego," pod względem statystycznym, geognostycznym, historycznym, gospodarczym, przemysłowo-handlowym i lekarskim, z dodaniem wiadomości o obyczajach, śpiewach, przysłowiach i ubiorach ludu, gusłach, zabobonach i t. d. z rycinami i mappą powiatu, na któréj oznaczone pochody wojsk Stefana Batorego, Karola XII i Napoleona. Cena exemplarza rubli sr. 2.

Niezaprzeczona ważność dzieł podobnego rodzaju, a na nieszczęście brak ich w zachodnich guberniach cesarstwa, były powodem do ułożenia osobnego komitetu z kilku obywateli w powiecie Borysowskim, dla dokładnego pod wyrażonemi względami opisania całego powiatu. Praca ta jest już ukończoną i prenumerata ogłoszoną została. Jakkolwiek dzieło to obchodzić może wyłącznie tylko mieszkańców opisującego się powiatu, gdy jednak historyczne wiadomości pochodów wojsk nieprzyjacielskich, fundacyi cerkwiów i klasztorów, nakoniec dzieje miejsc słynnych wspomnieniami, zajmą uwagę miłośników historyi krajowéj, z drugiéj zaś strony przysłowia, śpiewy i uroczystości ludu wspólne i innym prowincyom gdzie lud Białoruskiém narzeczem rozmawia, mogą nie być obojętnymi i dla całego ogółu czytelników; dlatego też wiadomość o tém ogłasza się przez pisma publiczne, ażeby życzący prenumerować to dzieło, raczyli adressować się: *Do kancellaryi Borysowskiego powiatowego marszałka, w Borysowie, gubernii Mińskiéj.*

Księgarnia J. Zawadzkiego wyda jeszcze w tym roku: 1. Izabella d'Ayamontos, dramat we czterech aktach przez Józefa Korzeniowskiego. 2. Młoda wdowa, komedja we trzech aktach przez *tegoż*. 3. Rachel, powieść oryginalna, napisana przez Żegotę Kostrowca (x. Hołowińskiego). 4 Powieści z podań gminnych przez *tegoż* 5. Pisma Mężów Apostolskich: Klemensa Rzymskiego, Ignacego i Polikarpa Biskupów. Z greckiego przełożył ks. Kasper Borowski.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień 1846.

Wrzesień 1846. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'45", na wschód jego szérokość gieogr. 52°13'5", długość w czasie 1ˢ. 14ᵐ. 47ˢ. względem południka Paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1		754.08	753.05	752.25	752.99	+13°.7	+21°.6	+26°.4	+21°.0	55.0	pogodny	smugi	napół pog.	napół pog.	PnW.	PdW.	PdW.	PdW.		
2		752.55	752.70	752.24	752.98	14.8	21.8	27.2	19.8	67.7	napół pog.	smugi	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	Pn.	PnW.		
3		753.66	754.80	753.64	755.20	14.6	17.9	23.6	18.8	75.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	PnZ.		
4		755.90	756.17	755.72	755.75	15.2	19.4	22.8	17.1	68.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	PdZ.		
5	☽	755.60	756.20	755.66	755.91	11.4	19.0	21.4	16.6	69.7	pochmurny	pochmurny	napół pog.	napół pog.	Z.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
6		756.48	757.47	756.99	756.56	13.3	19.2	23.0	16.6	68.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.		
7		756.61	756.84	755.44	755.70	11.6	18.8	23.1	16.7	65.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	PnW.	PnW.		
8		756.82	758.64	758.14	759.16	12.3	18.1	20.8	14.5	70.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PnW.	W.	W.		
9		760.01	760.72	759.75	760.04	10.4	18.8	22.7	15.4	66.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	W		
10		760.97	761.44	760.16	760.78	11.8	21.0	23.0	16.9	66.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W	W.	PnW.	PnW.		
11		760.88	760.55	758.85	757.55	12.0	19.2	23.6	16.0	68.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	Pd.	PdZ.		
12	☽	752.87	751.99	748.23	745.28	12.7	20.4	18.8	14.2	69.0	pogodny	pogodny	napół pog.	dészcz	Z.	Z.	Z.	Pn.	5.20	
13		747.53	747.72	745.87	746.42	9.7	13.8	13.8	10.4	80.7	pogodny	pogodny	pr. pochm.	napół pog.	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.	4.80	
14		750.38	753.48	753.57	754.88	9.4	13.5	15.0	9.5	68.0	pochmurny	pr. pogodny	napół pog.	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
15		753.85	752.81	749.38	748.11	4.7	13.1	15.5	12.1	72.2	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	Z.		
16		745.95	746.14	745.92	748.20	9.4	13.9	14.4	6.7	75.0	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Pn.	PnZ.		
17		747.13	746.77	745.20	744.05	3.9	11.9	14.9	9.2	74.2	pr. pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
18		738.78	739.95	739.43	741.61	9.5	11.4	11.8	9.2	88.2	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	pr. pochm	Pd.	Pn.	Z.	Pn.	8.20	
19		745.52	747.45	747.49	746.51	5.3	10.0	12.1	7.5	85.5	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Z	Z.	PnZ.	Pd.		
20	●	743.89	743.35	742.16	741.67	16.0	12.2	15.0	11.8	71.2	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Z.	PnZ.		
21		741.28	742.00	742.95	743.83	8.9	12.7	12.8	8.1	82.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	W.	W.	PnZ.	Z.	1.00	
22		743.81	744.95	744.52	746.21	5.6	10.7	13.9	7.5	72.7	mgła gruba	pogodny	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
23		749.89	751.12	750.76	751.26	4.8	11.2	13.3	6.7	66.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	W.	PnW.	W.		
24		752.00	750.94	749.22	749.64	2.9	12.0	16.0	12.1	70.7	pogodny	pogodny	napół pog.	pochmurny	W.	PdW.	W.	Pd.		
25		749.92	750.26	749.59	751.29	11.0	14.4	15.2	12.3	80.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
26		749.47	749.61	748.68	748.91	11.2	13.7	14.6	13.3	87.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
27		749.25	750.44	752.26	751.38	8.2	16.5	18.6	11.1	77.2	pogodny	pr. poch.	pra. pochm.	pogodny	PnW.	—	Z.	Z.		
28	☾	751.59	752.04	750.57	750.45	6.5	15.0	19.3	10.3	80.7	pogodny	smugi	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	Pd.	—		
29		749.08	748.55	746.20	747.10	8.4	15.5	19.9	10.8	73.5	pogodny	pogodny	napół pog.	pr. pogodny	PdW.	—	Pd.	PdW.		
30		747.35	747.54	747.92	750.46	9.5	19.5	21.5	14.3	72.2	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
Śre.		751.10	751.52	750.59	751.03	+ 9°.91	+15°.97	+18°.45	+12°.85	73.0									19.80	

	mm.	c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.029	27	8.942	
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o godz. 10 rano.	761.44	28	1.543	
Najniżej barometr dochodził d. 18 o g. 6 r.	738.78	27	3.497	
Średnia zmiana dzienna barometru	2.72		1.205	
Największa zmiana dzien. d. 11—12 o g. 10 w.	11.27		4.996	
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	0.155		0.082	
od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	750.874	27	8.860	
Średnia temperatura Września wynosi	+ 14°.29 C.		+ 11°.43	R.
i ta jest wyższa o	0.29 „		0.23	„
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 14.00 „		+ 11.20	„
Największe ciepło dochodziło d. 2 o g. 4 w.	+ 27.2 „		+ 21.8	„
Najmniejsze d. 24 o g. 6 r.	+ 2.9 „		+ 2.3	„
(Termometrograf wskazał: Maximum + 22°.0 R. w d. 1 i 2: Minimum + 1°.8 R. d. 24 z rana).				
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.91 „		1.53	„
Największa zmiana dzienna temp.	10.7 „		8.6	„

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 73.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 12,52 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 11; napół pogodnych 12; pochmurnych 7.
— deszczu 7 (d. 12, 13, 15, 17, 18, 19, 20).
— mgły 4 (d. 18, 19, 22, 27).
— mrozu siwego 2 (d. 15, 24).

Ilość wody z deszczu wynosi co do wysokości 19.8 millimetrów, czyli 8.78 linij Par. tojest trzy razy mniéj od ilości jaka zwykle w tym miesiącu spada.

Wrzesień r. b. był pogodny, ciepły i bardzo suchy. W stanie średnim stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7 : 11 : 12; w r. b. stosunek tychże dni był jak 11 : 12 : 7; największe ciepło dochodziło 22 stop. R.; najmniejsze 1.8 stop. R. Wilgotność powietrza jest o pięć setnych mniejsza jak zwykle.

Wiatr panujący był zachodni, częste były także: Północne i Północno-Wschodnie.

Wichrów i wiatrów mocnych nie było.

Dnia 22 w nocy, widziano zorzę północną w postaci słupów białych.

Na słońcu wiele plam było widzialnych.

STAROŻYTNOŚCI I DZIEJE CZESKIE.

Wyjątek z dzieła o Czechii (*).

PRZEZ

C. E.

W piérwszym tomie niniejszéj pracy przebiegliśmy dzieje piśmiennictwa Czeskiego. Prawdę mówiąc, wypadek tego przeglądu nie jest nader zadowalającym, ostatecznie bowiem zobaczmy, o czém tak ważném mówiliśmy. Zostawiamy za sobą obraz wszystkich płodów umysłowych całego narodu, i cóż naprzykład ten naród dodał do skarbca poezyi ludzkości? Mamyż unosić się nad kilku sonetami Kolara? czyliż możemy go uważać za poetę lirycznego nawet drugiego rzędu, lub téż czyli nie słuszniéj utrzymujemy mówiąc, że Kolar miał tylko w swém życiu kilka momentów lirycznych, jak to się często wydarza poetom miernych nawet zdolności. Toż samo w belletrystyce nie godzi się tak bezwarunkowo występować z Tylem; przenieśmy go bowiem myślą na chwilę do Niemiec, Francyi, Anglii lub nareszcie do jakiegokolwiek innego kraju, który rzeczywiście posiada literaturę, na cóż wtedy wyjdzie Tyl? na zwykłego, powszedniego że tak powiem nowellistę, jakich massa każdego dnia

(*) Tak autor nazywa Czechy.

pojawia się i znika, na jednego z tych ludzi o których mówią że nic są bez pewnych zdolności i do których dzieł ogół bierze się, w braku innego zatrudnienia, z nudów czasami, i który w Czechach nawet głównie dlatego, że sam jeden pisze, używa dzisiejszéj wziętości. Otóż mamy cały obraz strony estetycznéj ducha. Spojrzmy na stronę czystéj wiedzy. To o czém dotąd mówiliśmy wcale nie odbija swoich skarbów od ubóstwa belletrystyki. Ze wszystkich dzieł jakie dotąd wymieniliśmy, jakąż książkę uczony cudzoziemiec umieści w swojéj bibliotece aby z niéj korzystać? Jakąż książkę, pytamy się? grammatykę Czeską lub może słownik? czyliż to nazywa się wiedzą w Europie? Mylimy się jednak, nie należy zapominać o Dobrowskim i jego pracach krytyki historycznéj; ależ od tego czasu nauka znacznie postąpiła, widokrąg jéj szerzéj się roztoczył, a krytyka historyczna Dobrowskiego często opiera się na obalonych już dziś zasadach.

Są wszakże w Czechach dwaj Europejscy uczeni, którymi teraz się zajmiemy: Szafarzyk i Palacki. Piérwszy znakomity krytyk historyczny i starożytnik jakich literatura świata nie wielu naliczy; drugi podobny mu badacz dziejów, archeolog i nakoniec, historyk narodu. Tym sposobem przekonywamy się że w literaturze Czeskiéj sama tylko gałąź czysto naukowa zasługuje na szczególną uwagę, i to tylko we względzie krytyki historycznéj i starożytnictwa. To ostatnie zwłaszcza przeważa a w niém przed wszystkiém posągowo się rysuje postać Szafarzyka, od niego więc zaczniemy zanim przystąpimy do drugiego męża uosobiającego w sobie naukowość Czeską, historyografa stanów, Palackiego. Rzucimy naprzód krótkie ogólne wzmianki o obu uczonych i następnie głębiéj

zastanowimy się nad dwoma głównemi ich dziełami, to-jest Starożytnościami Słowiańskiemi i Historyą narodu Czeskiego.

Józef Paweł Szafarzyk urodził się r. 1795, w górnych Węgrzech gdzie ojciec jego był pastorem protestanckim. Ojciec przeznaczył go do stanu duchownego, bynajmniéj nie zajmował się Czeszczyzną ani Słowiańszczyzną; Czechy nie szczyciłyby się dziś swoim uczonym, gdyby nie pewien wypadek który sami słyszeliśmy z ust znakomitego archeologa. Szafarzyk będąc jeszcze uczniem w szkołach przybył na wakacye do domu i przypadkiem spostrzegł u pewnego zamożnego wieśniaka kilka zeszytów czasopismu Hlasatela. Suche i jednostajne artykuły Nejedlego, niewiele co żywsze Puchmajera, mało w nim obudziły zajęcia; natomiast natrafił na rozprawę Jungmanna o języku Czeskim, jeden z tych artykułów Czeskiego filologa pisanych, że tak rzekę, pod wpływem proroczego natchnienia i nadziei przyszłego rozkwitu Czeszczyzny. Szlachetny zapał autora, logiczność i siła ducha uderzyły uwagę Szafarzyka; począł głębiéj zastanawiać się nad nieznanemi dotąd pojęciami, niebawem zdołał otrzymać inne zeszyty Hlasatela, gorliwie wszędzie szukając podpisu Jungmanna. Wkrótce dostał tłómaczenie jego Raju utraconego; co chwila odkrywał nowe ponęty w zaniedbanéj mowie Czeskiéj, rozmiłował się w badaniu języka, następnie narodu i jego dziejów i tak piérwszy raz wkroczył na tę drogę, na któréj tak rozległą przestrzeń miał przebiedz. W roku 1815 Szafarzyk udał się na nauki teologiczne do Jeny, wróciwszy jednak porzucił zamierzony zawód, przez niejaki czas był prywatnym nauczycielem w Węgrzech, niedługo zaś potém otrzymał posadę przy nowo urządzo-

ném gimnazyum dla Serbów w Nowym Sadzie (Neusatz) niedaleko Tureckiéj granicy. Przez niejaki czas zarządzał tym zakładem, nareszcie pragnąc rozszerzyć zakres swoich czynności, porzucił nauczycielstwo chociaż to był jedyny dla niego sposób do życia, i r. 1833 przybył do Pragi, aby tu w saméin ognisku literatury Czeskiéj pracować. Długo byłoby opowiadać koleje jakie Szafarzyk przechodził; znalazł się w Pradze obarczony liczną rodziną i nie wiedząc czém zarobić na jéj utrzymanie. Tu może nawet człowiek przewyższa uczonego. Śród takiego nawału przeciwności, śród codziennych zapasów z losem, ze spokojnym duchem ciągle ścigał jeden zamierzony cel od którego nic go odwieść nie potrafiło, jak samego siebie zawsze na ostatku uważa. Gdy tak walczył z losem, Król Pruski rozkazał wezwać go do Berlina na katedrę języków Słowiańskich. Płaca jaką Król Pruski uczonemu starożytnikowi przeznaczał przewyższała jego nadzieje, atoli Szafarzyk nie chciał porzucić Pragi i Czech, i wtedy dopiéro Austrya dowiedziawszy się od Prus o wartości męża jakiego posiadała, ofiarowała mu dwie posady: w bibliotece i cenzurze ksiąg Czeskich, które aczkolwiek zapewniają mu byt, przecież zabierają mu najsposobniejszy czas do pracy. Gdy wyszły Starożytności Słowiańskie i krytycy Austryaccy rzucili się na Czeskiego uczonego, nie mogąc mu przebaczyć olbrzymiéj wiedzy jaka każdy rozdział cechowała, król Pruski przysłał mu order za zasługę, ten sam którego Alexander Humboldt jest kawalerem, a liczba nim ozdobionych w Europie jest nader ograniczoną. Dziś pomimo licznych zatrudnień swoich obowiązków, Szafarzyk nie przestaje pracować z bezprzykładną gorliwością.

Co się tyczy jego osobistości, trudno spotkać uczonego, któregoby wrażenie było równie czysto dźwięcznem. Szafarzyk wysokiego wzrostu, czarnych włosów i oczu, wyniosłego czoła, przedstawia nam mędrca w całém znaczeniu tego wyrazu. Obejście jego jest niewypowiedzianéj łagodności, zdaje się, że zupełnie nie wié o swoich zasługach, lub je za nader mało znaczne uważa. Gdy się z nim wdacie w rozmowę, z początku słucha tylko uważnie, mało mówi, powoli jednak coraz więcéj zabiera słowo, tłoczą mu się myśli jedna za drugą, a to z taką logicznością i tak uderzającą prawdą, że zdziwiony słuchacz z zachwyceniem podziwia to jasne stanowisko ducha, tę prawdę którą w każdym przedmiocie Szafarzyk z taką trafnością i prostotą rozwija. Trudno też opisać szacunek jakim go Czesi otaczają, szacunek ten przeszedł nawet w poważanie narodowe. Szafarzyk głównie zajmuje się badaniem starożytnéj historyi wszystkich narodów Słowiańskich w najobszerniejszym jéj zakresie, dawnéj ich literatury, pracuje nad filologią Słowiańską. Do gruntownego pojęcia tych przedmiotów, potrzeba było nabyć massę wiedzy. Szafarzyk oprócz języków starożytnych zna wschodnie i sanskryt. W młodszych latach wystąpił jako poeta, napisał kilka ballad, przełożył niektóre komedye Arystofanesa i Maryę Stuardt Szyllera, późniejsze jednak prace na zawsze oderwały go od tych małoważnych dla literatury zatrudnień. Główniejsze jego dzieła, prócz starożytności Słowiańskich, nad któremi obszerniéj się zastanowimy, są: *Über die Abkunft der Slawen*, gdzie podał piérwsze myśli o pochodzeniu i dziejach Słowian. *Serbische Lesekörner* dzieło filologiczne, w którém rozbiera język Serbski i niektóre ważne dla historyi tego narodu do-

kumenta (1833). Ostatniém jego dziełem po Niemiecku pisaném jest historya wszystkich literatur Słowiańskich, wydana szczególniéj dla Niemców. Książka ta silne uczyniła wrażenie na Niemcach, którzy dotąd mało co wiedzieli o piśmiennictwie Słowian, również dolnym Słowianom i Serbom odkryła nieznane literackie skarby. Szafarzyk ma zamiar wkrótce wydać to samo dzieło po Czesku, ale znacznie rozszerzone i doprowadzone do ostatnich czasów. W obecnéj chwili pracuje nad mitologią Słowian.

Franciszek Palacki, drugi uczony Czeski, który jak powiedzieliśmy występuje z zakresu prowincyonalnych pisarzów, i należy do autorów Europejskich XIX stulecia, urodził się na Morawie 1798, gdzie ojciec jego był nauczycielem wiejskim. Piérwsze nauki odbył w Węgrzech, następnie uczęszczał na uniwersytet Wiedeński. Z początku Palacki, obyczajem wszystkich znakomitych literatów Czeskich, zmuszonych przedewszystkiém szukać zabezpieczenia codziennego bytu, zajmował posadę archiwisty w Sternbergu; gdy jednak poznano jego zdolności i ujrzano prace odznaczające się krytycyzmem i rozległą wiedzą, stany królestwa mianowały go historyografem i po długich staraniach zdołały otrzymać potwierdzenie na to od rządu. Palacki pomimo dokładnéj znajomości mowy rodzinnéj, najwięcéj dzieł wydał dotąd po Niemiecku. Przyczyną do tego było, że szlachta która pragnęła miéć historyę swego narodu nie umiała po Czesku, nadto w dziejach średnich wieków zwłaszcza, wiele takich faktów przejdzie po Niemiecku. którychby po Czesku nie pozwolono drukować.

Takie powody nie zaś chęć zarobienia na Niemiecką sławę skłoniły Palackiego do obrania nienarodowego

języka. Wszelako literatura Czeska nic na tém nie straciła, owszem zyskała. Dziś bowiem gdy Czeszczyzna tak dalece się rozszerzyła, Palacki większą część dziejów będzie pisał po Czesku wyjąwszy jeden jeszcze tom i następnie przekład Niemiecki odda stanom; nadto gdy widokrąg historyi z każdym dniem pracy coraz mu się wyjaśnia, postanowił napisać nowe dzieje daleko obszerniejsze w mowie rodzinnéj. Początek téj historyi słyszeliśmy już czytany przez Palackiego na posiedzeniu towarzystwa naukowego w początku czerwca 1845 roku odbytém w Pradze. Takim sposobem dotychczasowe dzieło Palackiego jest niejako przedsionkiem, przez który autor musiał przejść chcąc dostać się do gmachu ojczystego.

Z położenia swego Palacki będąc w częstych stosunkach ze szlachtą Czeską, pozyskawszy szacunek jéj i zaufanie, stanowi jedyne ogniwo łączące panów ze średnim stanem, a przedewszystkiém mając tylko podniesienie sprawy Czeskiéj na celu, wpływem swoim wielce przyczynia się do ogólnego postępu. Nie jeden już dobroczynny zakład ustanowiony przez szlachtę, winien swój byt Palackiemu. Tak np. niektórzy z dobrze myślących panów Czeskich w ostatnich czasach ofiarowali prawda że szczupłą składkę, ale dawniéj i takiéj nie było, na wynagrodzenie prac dwóch pełnych nadziei młodych historyków Tomka i Erbena, z których piérwszy w Pradze, drugi zaś w archiwach po kraju rozproszonych trudni się zbiéraniem ważnych dziejowych dokumentów. Jako historyograf, Palacki odbył wiele podróży po Niemczech i Włoszech, i zgromadził wszelkie dowody służące do jasnego pojęcia historyi Czechów. Ważniejsze jego dzieła są: 1) Krytyczna dokładna rozprawa o wszystkich kronikarzach Czeskich. 2) Przegląd syn-

chronistyczny godności i urzędów Czeskich od najdawniejszych czasów (po Czesku). 3) Archiwum Czeskie czyli zbiór dokumentów służących do wyjaśnienia wypadków dziejów Czeskich. Archiwum z niesłychaną pracą i krytycznością zebrane, ciągle dotąd wychodzi. Nadto co do wypadków z wieków średnich, tyczących się po największéj części Husa i wojen z nauki jego wynikłych; Palacki wydał zupełny zbiór kronikarzów XV i XVI wieku; jeżeli zatém dotąd nie ma historyi bezstronnéj rozwoju ducha z owéj epoki, przynajmniéj Czechowie mają dokładnie zebrane fakta którym nie podobna zaprzeczyć. Podczas gdy Palacki był wydawcą czasopisma muzeum Czeskiego, często umieszczał w niém ważne artykuły historyczne, estetyczne, lub w ogóle dotyczące dziejów Słowiańskich i krytyki starożytnego piśmiennictwa. Wszelako głównem jego dziełem jest historya w czterech tomach dotąd doprowadzona do końca panowania Wacława IX (1419) czyli do początku walk Łużyckich, któréj szczegółowym rozbiorem zajmiemy się niżéj. Jeżeli Szafarzyk zajmuje w Czechach znakomite stanowisko badacza, mędrca niewychodzącego z gabinetu, natomiast spotykamy Palackiego na czele wszystkich publicznych usiłowań podźwignienia życia umysłowego w Czechach. Nie ma zakładu naukowego gdzieby imię jego nie stało na piérwszém miejscu. Żaden ruch umysłowy w Czechach nie uchodzi jego uwagi. Gdzie tylko można złe wykorzenić lub jakie ulepszenie wprowadzić, tam wszędzie myśl i rada Palackiego jest piérwszą. Przy głębokiéj erudycyi i niezmordowanéj pracy szperacza, Palacki nader jest czynnym; charakter jego pełen siły, i działalność odbija się we wszystkich jego pismach. Słusznie rzec można, że uczony historyk

prawie sam na swoich barkach dźwiga cały gmach Czeszczyzny i cokolwiek dobrego Czechowie daléj miéć będą, wszystko to będzie głównym owocem gorliwości Palackiego. Mamy pokrótce życiorysy dwóch głównych przedstawiaczów literatury Czeskiéj, przejdziemy teraz główne ich prace. Szafarzyk napisał dwa wielkie dzieła: piérwsze o pochodzeniu Słowian, drugie zaś o ich starożytnościach. To drugie nie jest jeszcze doprowadzoném do końca; dzieło o pochodzeniu Słowian było niejako wstępem przygotowawczym do starożytności; kwestya bowiem pochodzenia plemion Słowiańskich, tojest wyświecenie czyli takowe są rodowitemi w Europie, lub téż czyli przybyły podczas wielkiéj wędrówki ludów: jest kwestyą pierwotną, zaczynającą samą przez się starożytności Słowiańskie. Dlatego znajdujemy w piérwszéj ich połowie powtórzone wypadki piérwszéj pracy Szafarzyka, ale z zapatrzeniem krytyczném daleko dojrzalszém, z przenikliwością głębszą i bardziéj rzeczywistą!

Starożytności Słowiańskie są bez wątpienia dziełem posągowém. Można śmiało rzec, że jest to jedno z tych arcydzieł krytyki historycznéj i olbrzymiéj erudycyi, do jakich wiek nasz zalicza prace Niebuhra, Grimmów, Alexandra Humboldta i bardzo mało innych. Ztąd książka tá stała się już dziełem klassyczném, do którego z nieograniczoném zaufaniem odwoływać się będą wszyscy historycy ludów Słowiańskich. W istocie w téj pracy Szafarzyka należy szukać wstępu do wszystkich szczególnych dziejów Słowian, dzieło jego bowiem ogarnia cały widokrąg przedwstępnéj historyi Słowian, całą epokę poprzedzającą tworzenie i pojaw rozmaitych narodowości tego szczepu. Mistrz tak bystry wzrok zapuścił w ten zamęt niepewności, że nagle światło żywemi promieniami oblało najcie-

mniejsze jéj strony; a te rumowiska przeszłości, dotąd prawie bez bytu i znaczenia, te ślady prawie zupełnie zatarte szykują się teraz w całość systematyczną i historyk bezpiecznie może wznieść gmach, tam gdzie dawniéj tylko rozproszone głazy spotykał.

Wszelako nie należy mniemać, zważając na sąd nasz pełen uwielbienia, że Szafarzyk jest jednym z tych śmiałych hypotetyków którzy bardziéj zakrawają na poetów niż na krytyków historycznych, pociągają za sobą massę zwolenników. Daleko trudniéj jest przecież wyrwać prawdę lub prawdopodobieństwo wpośród ciemności, aniżeli stworzyć całkiem nowy system. Każda hypoteza nosi na sobie jakieś piętno, jakiś pozór twórczości, który uśmiecha się silnym umysłom, piętno zbywające wolnym i męczącym poszukiwaniom, których przewodnik zwie się roztropnością. Dlatego to często widzimy że najdzielniejsze umysły krytyki historycznéj, dały się uwieść śmiałemu przypuszczeniu; wszelako należy oddać sprawiedliwość, że od najpiérwszych czasów Szafarzyk umiał w cuglach trzymać ten zapęd i że z każdym krokiem jaki czynił naprzód w swoich poszukiwaniach, coraz więcéj oddalał się od téj porywczości zapatrzenia.

Przytoczę tylko na dowód hypotezę tożsamości Serbów czyli Słowian z Sarmatami którą Szafarzyk umieścił w dziele swojém *Ueber die Abkunft der Slawen* i którą potém zwalił zupełnie w Starożytnościach. To drażliwe uczucie prawdy dotykające nawet miłość własną krytyka jest nieocenioną zdolnością, często dzielnie mu służącą do szybkiego i prawdziwego odkrywania błędności obcych systemów i rękojmią przeciw własnym złudzeniom. Człowiek ten urodził się na krytyka historycznego i godnie wypełnił swoje powołanie.

Z drugiéj strony raczcie pomyśléć jakiéj cierpliwości, trudów i pracy, zwłaszcza jakiéj pracy, potrzeba było na wykończenie podobnego dzieła? Jak trzeba było zwolna postępować i kłosować na polu dziewięciu lub dziesięciu wieków literatury i kronik Greckich, Łacińskich, wschodnich, o jakich tylko sami zamarzycie, ażeby zebrawszy powoli ślad po śladzie, kamyk po kamieniu, wznieść niewzruszony gmach nowego systemu? Zważcie, jak trzeba było szperać i przetrząsać jednego autora po drugim, aby wziąć jedno nazwisko od Pliniusza lub Sequestra, czasami jeden tylko ślad lub datę u tego, jednę skazówkę u drugiego; gdyż na nieszczęście, starożytni Słowianie nie mieli swego Tacyta, a pierwiastkowe ich dzieje są polem na którém kłosy są rzadkie i daleko jeden od drugiego rozrzucone; żniwo więc biedne i trudzące. W téj nędzy naukowéj nie należało niczego zaniedbać, wyszukać z równą starannością przeczące jak twierdzące dowody faktów. Trzeba było często natarczywie pytać starożytności dwóch lub trzech innych szczepów, jak to wyżéj powiedziałem, o jeden fakt, jeden dowód i za całą nagrodę wynieść zaprzeczenie i tę negacyę jeszcze za skarb uważać. Zaiste nie wiadomo co tu więcéj podziwiać: cierpliwość, pracę lub wiedzę? Nie dość na tém; często o tę lub ową kwestyę jak np. o rodowitość Słowian ucierało się już wielu powołanych i niepowołanych Niemców i Słowian, każdy wedle własnego sposobu widzenia, z własnemi przesądami, zarozumiałością, błędami, zuchwałemi hypotezami a czasami z nazwiskiem wspartém już powagą Europejską. Wszystko to często naprzód już rzucało fałszywe światło na przedmiot badań; natenczas koniecznością było nietylko sprostować fakta, ale całkiem błąd wykorzenić.

Ztąd przekonywamy się że dzieło Szafarzyka jakkolwiek niezupełnie jeszcze wykończone, jest już przecie nieocenionym skarbem dla nauki.

Żadne inne piśmiennictwo Słowiańskie nie jest w stanie poszczycić się dziełem podobnéj wartości tak co do obszaru przedmiotu, jego ciemności i mozolnych poszukiwań, jak również co do doskonałego urzeczywistnienia warunków prawdziwéj krytyki historycznéj. Ażeby dziełu temu wynaleźć odpowiednią pracę, należy udać się do krytyków Niemieckich. Z całéj literatury Czeskiéj, jestto zapewne jedyne dzieło, które wzniosło się do najwyższych szczebłów wiedzy XIX stulecia. Wszelako nie chcemy tu głosić bezwarunkowéj doskonałości tego dzieła, żeby bez żadnego zastosowania się należało przyjąć wszystkie zdania Szafarzyka, nawet w najmniejszych szczegółach. My sami nawet ośmielimy się zwrócić uwagę z odmiennego stanowiska na niektóre mniéj więcéj ważne szczegóły i szanując wolność zdań, nie wszędzie niewolniczo poklaskiwać twierdzeniom Czeskiego starożytnika; powtarzamy przecież to co sam Szafarzyk mówi (księga I, oddział I, § 7) pomimo słusznéj różnicy zdań jaka może zachodzić względem szczegółów, wszystkie podstawy zostają stałe i niezachwiane. Niezasługujemy przeto na zarzut że zbyt szczegółowo rozszerzamy się nad treścią dzieła Szafarzyka. Dokładny rozbiór starożytności Słowiańskich z wielu względów niezbędnym jest w pracy nad stanem Czech, najprzód ponieważ Czechom należy się wdzięczność od nas innych Słowian za badania naszych początków, następnie ponieważ jak to już powiedzieliśmy, jestto strona świetna i prawie wyłączna wiedzy Czeskiéj.

Piérwszy tom Starożytności Słowiańskich wyszedł w Pradze r. 1837. Jestto dopiéro piérwsza połowa dzieła jakie Szafarzyk zamierzył napisać. Piérwszy ten tom złożony z tysiąca stron in 8vo zawiera wszystkie wiadomości jakie starożytność nam dochowała o ludach, faktach i dziejach szczepu Słowiańskiego przed X wiekiem ery chrześciańskiéj.

Namieniliśmy wyżéj że starożytności Słowiańskie są polem na którém z trudnością i w pocie czoła trzeba zbierać rozproszone dowody i często powracać z ubogim nabytkiem. W istocie porównywając je ze starożytnościami Niemieckiemi, źródła do naszych dziejów początkowych są nader ubogie. Nie mamy żadnéj Eddy Słowiańskiéj, Słowianie nie posiadają jak Niemcy wielkich cyklów starożytnych sag lub obficie zebranych kodeksów praw z V, VI i VII stulecia. Ostatnia nawet pociecha krytyków starożytności, kronikarze, zjawiają się u Słowian dopiéro w XII wieku np. Nestor zmarły w r. 1116, Kosmas w 1125, Marcin Gall około 1135, bezimienny Illyr w 1161, na końcu Kadłubek około 1220. Oto są piérwsi nasi kronikarze. W XII przeto wieku chrystyanizm przeszedł już przez starą Słowiańszczyznę; rozmaite oświaty płynące jedne z Niemiec, drugie z Byzancyum zewsząd już stary zrąb napoczęły, tak że we wspomnionych kronikarzach mało co można znaleźć o starożytnościach Słowiańskich, nawet jeżeli nie przypuścimy w nich całego wstrętu jaki rzeczywiście mieli do tego wszystkiego co im przypominało dawnych Słowian pogańskich. Legiendy historyczne, te piérwsze źródła do dziejów każdego narodu, już się były wówczas zatarły i zaledwie słabe niektórych odgłosy znajdziemy w wspomnionych kronikarzach.

Oto są jedyne źródła że tak nazwiemy ojczyste. Trzeba więc badać starożytności Słowiańskie opierając się na powadze obcych pisarzów. Ten sam wyraz „obcy" dość już mówi. W téj kategoryi mieszczą się pisarze Byzantyńscy najliczniejsi ale zarazem najbardziéj zagmatwani. Mówimy tu o tym szeregu kronikarzy, który zaczyna się z początkiem VI wieku, epoce w któréj bez wątpienia Słowianie pojawiają się na widowni dziejów i obejmuje następujące nazwiska: Prokopius, Agathias, Menander, Mauritius, Theophylaktos, Simokattos i t. d. Na zasadach tychto kronikarzy pracowali już Crevier i Gibbon; między licznemi wydaniami ich dzieł najcelniejsze jest ostatnie wydrukowane w Bonn i komentowane przez Niebuhra i innych sławnych hellenistów (1828). Pod drugą kategoryę podciągamy kronikarzy zachodnich z téjże saméj epoki, kronikarzy Germańskich jak Fredegarda, Gwida z Rawenny i t. d. aż do Adama z Bremy, Helmolda i grammatyka Saxa zmarłego w roku 1203. Do tych także krytyka Niemiecka uskuteczniła prace przygotowawcze. Jeżeli dołączymy do tego niektóre mało znaczne wiadomości wyciągnięte z pisarzów wschodnich, kilka poszlak z sag Skandynawskich, kilka dokumentów dyplomatycznych i obłędnych pamiątek numizmatycznych i archeologicznych, będziemy mieli wszystkie źródła zebrane. A jednakowoż ten peryod od VI do XI wieku, jest najobfitszym w źródła do starożytności Słowiańskich.

Cóż bowiem możemy dowiedzieć się, co do starożytności szczepu Słowiańskiego, z wyborowych dzieł starożytności klassycznéj, z czasów najświetniejszych państwa Rzymskiego? Pomimo całego szacunku i wdzięczności jaki mamy dla starożytnych uczonych i prac ja-

kie nam zostawili, pod wielu względami tak dla nas drogich, musimy wyznać że byli po większéj części mało biegłymi i sumiennymi postrzegaczami. Wszyscy razem słabe mieli pojęcie o etnografii i filologii, gdyż nawet początkowe zasady tych nauk prawie wcale wówczas nie istniały; znajomość obcych języków i podróże były wówczas nieporównanie trudniejszemi niż dzisiaj. Widzimy więc że wiadomości etnograficzne starożytnych pisarzów były jeszcze mniéj pewnemi od jeograficznych, zazwyczaj zupełnie błędnych. Starożytni mało mogli wiedzieć o barbarzyńcach, i to jeszcze źle wiedzieli. Wreszcie jakież zajęcie przedstawiały wówczas dla Rzymian, wszystkie dalekie narody, jak np. Wendy lub Finnowie, Oksiony lub Scyrrowie i inne tym podobne? Czyliż brakowało im na wypadkach i na historyi olbrzymiéj Romy, królowéj świata? Miasto przedewszystkiém pragnęło władzy i materyalnego używania życia, a legiony rozstawione na granicach winny były zagłuszać wrzaski barbarzyńskie mogące zakłócić uroczystości Rzymu oraz dostarczać gladyatorów do cyrku dla zabawy kwirytów. Wreszcie orły Rzymskie niebawem miały spaść na te nieznane dotąd okolice, i już roztaczały skrzydła do lotu z ostatnich krańców Germanii. Natenczas dość byłoby czasu na poznanie barbarzyńców. Zaledwie czasami jakiś zabłąkany jeograf lub matematyk puszczał się do ludów żyjących za dzierżawami Sarmatów, nie ażeby dokładnie poznać ich ród i mowę, ale jedynie aby przekonać się czy można było zamieszkiwać strony północne ziemi. Wtedy raz powiedziawszy że za Jerną powietrze tak jest gęstém i ziemia tak zimna, że człowiek się na niéj nie może utrzymać, Rzymianie uważali wszelkie narody które według ich teoryi

o ziemi, przebywały w szerokości bardziéj północnéj niż Jerna, za wymarzone i wcale nieistniejące. Na dowód posłuchajmy co mowi Strabon: „Dość jest wiedzieć dla każdego jeografa, że ziemia za Jerną nie jest wcale zdatną do zamieszkania; jeżeli zaś znajdują się tam jakie ludy, żaden polityk nie potrzebuje troszczyć się o narody które nie mogą nam ani pomódz ani zaszkodzić." (Str. ab. I. 60. II, 115). Tém zdaniem zamknięto dalszą drogę poszukiwań.

Te są przyczyny dla których dokładne i oparte na prawdzie opisanie ludów barbarzyńskich jest tak rzadkiém w literaturze klassycznéj. Wymieniwszy Herodota i Tacyta, kogóż jeszcze położymy obok tych pisarzy? Jeżeli jeszcze dodamy do tych przyczyn że nie wszystkie dzieła starożytnych autorów o barbarzyńcach doszły naszych czasów, że są niektóre często daleko szacowniejsze od pozostałych jak np. Pytheasza, Thimeosa, Skylaxa, o których z pewnością wiémy że zupełnie zaginęły; wtedy jakichże bogatych plonów do starożytności Słowian możemy spodziewać się z prac Rzymian i Greków? Pod tym względem jak równie co do pamiątek ojczystych, Słowianie daleko mniéj są uposażeni od Niemców. Nie posiadają w literaturze klassycznéj żadnego dzieła podobnego do historyi Tacyta, dla szczepu Germańskiego, lub pamiętników Cezara dla szczepu Gallów. Ztąd gdy chcemy summarycznie ułożyć wszystkie wiadomości jakie nam historycy klassyczni zostawili „o wyższych barbarzyńcach" tak bowiem nazywano wówczas narody żyjące za Teutonami i Sarmatami, a pomiędzy którymi bez wątpienia mieszczą się przodkowie nas dzisiejszych Słowian, zmuszeni jesteśmy wyznać, że wszystko co nam z owych czasów pozostaje, ogranicza się na samych na-

zwiskach, na tym najuboższym i najniewdzięczniejszym plonie naukowym. Cóż bowiem w istocie znaczą wszystkie te nazwiska? Czyliż zwykle nie są one mianami jakie naród jednego szczepu bliżéj sąsiadującego z cesarstwem, nadawał ludom zupełnie odmiennego pochodzenia, a które same, może, całkiem inaczéj się nazywały? Te miana następnie, same przez się mało warte, nie byłyż we wszystkich kierunkach przerabiane, przekręcane przez autora, który z trudnością zdołał przyzwyczaić się do dźwięków barbarzyńskiéj mowy Teutonów, Sarmatów i innych? Nakoniec jakby na domiar obłędu przychodzą przepisywacze ciągle mylący się, przeskakujący, poprawiający, dodający, przetwarzający wyrazy i nazwiska starożytnéj etnografii barbarzyńców, która i tak szczupła i niepewna przeszedłszy przez ich ręce, dochodzi nas rozczłonkowana i całkiem od prawdziwéj pierwotnéj odmienna.

Przytoczymy tylko na dowód niezliczone odmiany nazwisk w etnografii Ptolomeusza *boskiego* (*divum*) gieografa starożytnych.

Oto jest całe bogactwo przedstawiające się badaczowi starożytności Słowiańskich; czyliż nie wolno nam powiedzieć że bogactwo to wygląda na zupełną nędzę?

Szafarzyk w tém położył główną zasługę, że piérwszy ośmielił się objąć cały widokrąg starożytności Słowiańskich. Pomiędzy dzisiejszymi Słowianami, Dobrowski, Jan Potocki, Ossoliński, Lelewel, zwłaszcza zaś Surowiecki, już przed nim ze znakomitą przenikliwością pracowali nad wyjaśnieniem dawności rodu Słowiańskiego w Europie, nad ich pierwiastkowém nazwaniem i siedliskami. Dobrowski i Jungmann pracowali

nad początkami ich piśmiennictwa, Rakowiecki i Maciejowski nad prawodawstwem Słowian, Hanusz zaś nad ich mytologią, ale wszystkie te prace są często tylko niedokładnemi monografiami. Dzieło Szafarzyka obejmuje początki i dawne siedliska, starożytne nazwy i język, wreszcie religią, formę towarzystwa, prawodawstwo i dzieje Słowian począwszy od epoki przedchrześciańskiéj aż do X wieku po Chrystusie. Kwestye pochodzenia, dawnéj etnografii, jeografii i dziejów Słowian, objęte są w tym piérwszym tomie, który już wyszedł z druku. Piérwszy ten tom dzieli się na dwie części. Punkt przecięcia przypada w VI wieku, jako w chwili upadku wielkiego państwa Attyli i ukazania się Słowian pod właściwém ich nazwiskiem na widowni dziejów. Piérwsza połowa szeroko wyjaśnia pochodzenie i starodawność szczepu Słowiańskiego, miejsce jego między innemi szczepami ludzkości w rodzinie szczepów Indo-Europejskich, nazwisko pod jakiém naprzód był znany i wiadomości jakie nam starożytni o nim zostawili.

Z samego początku najbardziéj uderza w oczy dziwna rzecz, że Grecy i Rzymianie zupełnie nie znali wyrazu „Słowianie". Nazwanie to po raz piérwszy pojawia się w pisarzach VI wieku. Prokopius i Jornandes (żyjący około 552) piérwsi dopiéro o nim wspominają. Jakąż przyczynę dać temu wypadkowi? Zkądże pochodzi że samo nazwisko szczepu tak mnogiego i potężnego pozostaje nieznaném dla starożytnych? Możemy podać tylko dwa wnioski: albo Rzymianie i Grecy, znali Słowian pod wcale odmienném nazwiskiem; lub téż że wówczas Słowianie nie zamieszkiwali krajów w których znajdujemy ich od początku VI wieku, i dlatego napróżno szukalibyśmy ich nazwiska. Powtarzamy że tylko te dwa wnio-

ski są możebnemi; należy więc teraz wyjaśnić, które z tych dwóch przypuszczeń da się zamienić w rzeczywistość.

Z możebności dwóch przytoczonych wniosków wynikło, że kwestya starodawności Słowian w Europie stała się powodem do licznych sporów. Czas ich piérwszego pojawienia się, nazwiska pod jakiemi ich znano, były przedmiotami o wyjaśnienie których, często żwawo ścierano się na polu krytyki historycznéj. W dzisiejszéj nauce, kwestyi pochodzenia lub starodawności szczepu, nie można już opiérać na jedném przytoczeniu Jornandesa a nawet Tacyta. Nie możemy również zwracać szczególnéj uwagi na rozsiane tu i owdzie zdania i wiadomości Prokopiusa o pochodzeniu Słowian, ale musimy złączyć kwestyę szczepów z kwestyą języka, gdyż bez języka wyrazy, szczep lub naród, nie mają żadnego znaczenia; przecież nieraz już spostrzegaliśmy że odmiany i różnice saméj powierzchowności fizycznéj ludów, ściśle stosują się do odmian i różnic lingwistycznych, że jedném słowem tam gdzie jest inny szczep, jest inna mowa; zmuszeni więc jesteśmy, powtarzamy, dla wyjaśnienia kwestyi filologicznéj, rozpocząć od kwestyi szczepów.

Znakomite prace filologiczne i etnograficzne naszego stulecia, jasno i niezbicie dowiodły, że Słowianie równie jak Niemcy i narody Romańskie, Grecy, Celtowie i t. p. należą do tego wielkiego oddziału ludzkości, który zgodzono się nazywać rodziną szczepów Indo-Europejskich; daléj że ich język, życie społeczeńskie, obyczaje, dawne religie, nakoniec wszystko co nam po nich pozostało, a nawet cechy fizycznéj powierzchowności dostatecznie nas przekonywają, że w téj rodzinie Indo-Europejskiéj, Słowianie należą do oddziału wyłącznie Europejskiego,

nie zaś Persko-Indyjskiego, oddziału którego żaden członek nie mógł znajdować się w Azyi; że zatém w Europie tworzą szczep równie czysty, ziemiorodny i starożytny jak szczep Germański, Grecki, lub jakikolwiek inny. Jestto pewnikiem historyi i krytyki dzisiejszéj, że Słowianie są szczepem Europejskim wyrodzonym i rozwitym na ziemi Europejskiéj. Zdanie to popiera powaga znakomitych uczonych, dość bowiem że przytoczymy Klaprotha, Grimmów, Humboldta lub Potta. Inaczéj, zkądżeby się wzięli Słowianie w Europie? Jakim sposobem byłoby się stało, żeby jedno ogniwo szczepu Indo-Europejskiego rozwijało się gdzie w dali zupełnie odosobnione od reszty, żeby na przykład języki Europejskie były się utworzyły i wykształciły pośród narzeczy Mongolskich, lub téż żeby szczególniejszym cudem z języków Persko-Indyjskich wytrysły języki Słowiańskie oczywiście i niezaprzeczenie Europejskie?

Wreszcie zapytajmy się wątpiących lub przeczących, gdzie są siedliska dawnych Słowian, gdzie są ich bracia? gdyż wiémy już dzisiaj jakim sposobem emigrują całe ludy lub szczepy i w jakiém stanowisku społeczeńskiém stoją narody które mogą emigrować. Na dowód przytoczymy tylko Turków, których bratnie pokolenia dotąd zamieszkują miejsca ojczyste całego szczepu i prowadzą żywot koczujący. Jeżeli nie chcecie dać wiary że Słowianie od najdawniejszych czasów zamieszkiwali Europę dlatego że autorowie starożytni nic o nich nie wspominają, jakiém prawem pragniecie umieszczać ich gdzieindziéj? Czyliż ci sami autorowie naznaczają im gdziekolwiek siedliska? czyliż wsparci powagą starożytnego autora możecie następnie dowieść, kiedy, z kim przy-

ciągnęli do Europy? Może z Hunnami? Ale Jornandes wspomina o nich wyraźnie już za czasów Ermanryka. Wreszcie teorya przesiedlania się całych szczepów należy już dziś do absurdów. Nie ma przeto wątpienia dla historyi, że szczep tak mnogi i potężny jak Słowiański, złożony dziś z przeszło 80 milionów (patrz. Słowiański narodopis od Szafarzyka, w Pradze 1844) nie przychodzi sposobem przesiedlenia ale na miejscu wyrasta.

Starodawność szczepu Słowiańskiego i jego rodowitość w Europie, stały się dopiéro dla nauki ostatnich czasów niezaprzeczonym faktem. Przed laty, tysiące zdań odmiennych krzyżowało się w téj mierze, a nawet mniemanie całkiem przeciwne głównie przeważało. Długo uważano Słowian za lud przybyły do Europy podczas wielkiéj wędrówki ludów, dotąd nawet niektórzy starożytnicy Niemieccy nie mogą zdjąć bielma wzrok ich pokrywającego. Dlaczegóż z dwóch wniosków prawdopodobnych co się tyczy szczepu Słowiańskiego, wybierają właśnie ten który jest zupełnie nieprzypuszczalnym w rzeczywistości i prowadzącym do niedorzecznych wypadków? Błędne to zapatrzenie nie jest jednakże bez przyczyn. Najprzód trzeba wyznać, że krytyka historyczna w ogólności nie sięga dalekich czasów a nawet prawdziwa krytyka istotnie należy do naszego stulecia. Gdy w końcu XVIII wieku kwestya pochodzenia Słowian przedstawiła się przed krytyką Niemiecką, nauka nie doszła była jeszcze dzisiejszego stopnia dojrzałości. Wiele wypadków których bezzasadność dowiodły następne fakta, zdawało się nader prawdopodobnemi lub przynajmniéj przypuszczalnemi. Zbyt niewolniczo trzymano się jeszcze świadectwa pisarzów starożytnych, do wydania wyroku nie przypuszczano jeszcze massy napozór

błahych, w istocie jednak ważnych okoliczności. Następnie brak głębokiéj wiedzy języków Słowiańskich, zupełna prawie niewiadomość ich charakteru, obyczajów i życia historycznego; z drugiéj zaś strony jakaś narodowa nienawiść Niemca przeciw Słowianowi i chęć rozszerzenia dzierżaw szczepu Germańskiego kosztem zachodnich sąsiadów, wszystko to zwichnęło działania krytyki Niemieckiéj względem wyświecenia rodowitości Słowian. Nie dość na tém: żył w XVIII wieku człowiek znakomitéj nauki pan Desguignes „oryentalista nadworny króla Francuzkiego" który w istocie wynalazł cudowne rzeczy; wydawało nam się zawsze że Desguignes wyobrażał sobie świat barbarzyński jako niezmierną deskę bilarową, różne zaś szczepy i ludy owoczesne jako kule ze słoniowéj kości. Tak więc, daleko, bardzo daleko gdzieś aż za morzem Japońskiém jedna z takowych kul nazywała się Hiong-nou *ergo* mówił: Hunnowie. Gracz nazywał się Opatrznością. Opatrzność zatém uderzała kulę Hiong-nou i gra się zaczynała. Uderzona kula popychała sąsiadkę, ta odbijała następną, ta następna jeszcze jednę i tak aż do Renu gdzie wreszcie zatrzymywano się o skraj imperium Rzymskiego. Gra ta nazywała się wielką wędrówką ludów. Przypominam sobie również pewien atlas Las-Cases'a, gdzie autor oznaczył wszystkie te wypadki małemi chorągiewkami i ruchomemi kwadracikami. Całe to dowodzenie wspierało się jedynie na podobieństwie w brzmieniu wyrazów Hiongnou i Hunny. W istocie sami przyznacie że nawet to podobieństwo nie jest tak dalece uderzającém. Ale cóż było czynić? widowisko zachwycało swoim ogromem, droga którą przebiegano była długą, ostateczny zaś wypadek był następujący: Opatrzność zaczynała grę tam

od strony oceanu Spokojnego własnie w chwili, gdy Rzym walczył z Kartaginą. Tym sposobem im więcéj Rzym się rozszerzał, tym bardziéj przyśpieszonym biegiem Opatrzność zbliżała się od Wschodu. W całym poprzednim wieku, wszyscy zostawali pod wpływem téj dziwnéj hypotezy. Ztąd więc raz przypuściwszy ogólne przesiedlenie szczepów, wyruszenie ich aż do ostatniego człowieka, że tak zajmowane przedtém siedliska zupełnie opustoszały, dlaczegóżby Słowianie nie mogli razem z innymi ludami przywędrować do Europy? Ludy Hiong-nou daleko dzielniéj się popisały, te przyciągnęły prosto z Japanu do Szampanii i jeszcze kilka razy zwracały się na bok, jedynie aby wstrząsnąć narodami którym nie chciało się ruszyć z miejsca. Wprawdzie czasami pojawiał się badacz który wsparty na podaniach Prokopiusa i Jornandesa, niepewnym głosem utrzymywał, że Wenedowie i Słowianie byli jednym narodem i że ci ostatni znajdowali się już w Europie przed wielką wędrówką ludów, ale krytyka apodyktycznie zaprzeczała Wenedom Słowiaństwa i aby szczep Niemiecki i Germanią Tacyta podać za jedno, wymyślono następujące dowodzenie: Wenedy Pliniusza i Tacyta są małym narodem Germańskiego pochodzenia; podczas wielkiéj wędrówki, Słowianie wpadają na nich, przybierają ich nazwisko i to jest powód, dla którego zwą ich późniéj Wenedami. Znakomici uczeni jak Adelung i Dobr wski utrzymywali to zdanie, tym więc sposobem piérwsza krytyka historyczna Słowiańska rozwiązała kwestyą pochodzenia swego szczepu prawie zupełnie pod wpływem krytyki Niemieckiéj.

Krytyka u Słowian zaczyna się dopiéro od Dobrowskiego czyli od początków XIX wieku. Należało spo-

sady *a priori* Szafarzyk po prostu stawia te dwa zapytania: czyli Słowianie oddawna zamieszkują już w Europie? lub też czyli są przybyszami i pod jakiemi nazwiskami, przodkowie Słowian po raz piérwszy zjawiają się w historyi powszechnéj? Paragrafy 6 i 7 dostatecznie odpowiadają na te zapytania. Właściwie § 6 jest ogniskiem całego dowodzenia, dopełniony przez 5 i 7 z których piérwszy przygotowuje rozwiązanie, oznaczając, wedle dowodów fizyologicznych i filologicznych, miejsce Słowian w ludzkości, czyli wskazując ród do jakiego należą i miejsce które zajmują w rodzie Indo-Europejskim. Paragraf 7 nawzajem dopełnia rozwiązania dowodząc, że pisarze starożytni znali Słowian i wspominają o nich w swych dziełach pod nazwiskiem Wenedów.

Całe to dowodzenie tak doskonale rozprowadzone, zaczyna się przez axyomat, że tak rzekę, zabawnéj prostoty i konieczności, tojest że każdy naród istniejący musiał miéć jakichkolwiek przodków; że nie począł się z niczego i że Słowianie pod tym względem są podobni do innych narodów. Jestto zasada przeciw któréj nic powiedzieć nie można. To założywszy autor odwołuje się do języka Słowiańskiego, języka tak pierwotnego, tak grammatycznie bogatego i wykształconego, rozrastającego się na tyle narzeczy, ażeby okazać że mowa taka może należeć tylko do szczepu samorodnego i starodawnego, i że niepodobna aby Słowianie byli mieszaniną różnych ludów szczepów, zlaną w czasach stosunkowo nowożytnych do zaczęcia ery chrześciańskiéj.

Tak zwaliwszy to przypuszczenie, Szafarzyk odnosi się do dziejów rzeczywistych, aby dowieść że ten mnogi i potężny szczep Słowiański przed tysiącem lat był już mnogim i potężnym, a nawet że w środkowéj Europie

zalegał wówczas obszar daleko obszerniejszy niż dzisiaj. Więcéj jeszcze; pisarze poprzedni zwłaszcza z VI wieku z podziwem opisują potęgę tego szczepu i rozległość jego dzierżaw. To wyjaśniwszy nie podpada wątpliwości że już w początkach naszéj ery Słowianie musieli być szczepem starodawnym, samorodnym, mnogim i potężnym. Stanąwszy na tym punkcie, prawdopodobieństwo zaczyna całkiem pochylać się na jednę stronę; gdyż kwestya staje się coraz ściśléj oznaczoną; ten szczep tak czysty, tak liczny i zamieszkujący tak obszerną przestrzeń w V i VI wieku, miałżeby być niedawnym przybyszem, lub raczéj wzrosł na ziemi Europejskiéj? Starożytność rodu Słowiańskiego w Europie przedstawia się jako jedyny możebny wniosek.

Następnie nadchodzą dowody przeczące. Autorowie spółcześni wędrówce ludów, zwykle szczegółowo opisują, zkąd ten lub ów naród ciągnął; tylko co się tyczy Słowian nie czynią żadnych objaśnień i uważają ich za szczep znikąd nieprzybyły ale który z dawien dawna znany był w Europie. Szczep Słowiański nie ma żadnego związku ani z Hunnami ani z Awarami, Chazarami, Bułgarami lub innymi ludami napływowemi, ale przeciwnie zostaje w wyraźném pokrewieństwie z Niemcami, Trakami i Litwinami, słowem z narodami którym historya od najdawniejszych czasów naznacza siedliska w Europie. Ztąd, skoro przybycie Słowian do Europy dopiéro w V wieku, jest zupełnie nieprawdopodobném, przypuszczenie jakoby napłynęli na dwa lub trzy wieki przedtém, zupełnie do niczego nie prowadzi, nie spoczywa na żadnéj zasadzie i sprzeciwia się wszelkim zdaniom starożytnych. Zdaje się więc że zarzuty nierodowitości śmiało można usunąć i starodawność Słowian w Euro-

pie można za jedyny wniosek przypuszczalny uważać. Doszedłszy tego stanowiska Szafarzyk rozwija ostateczne wyjaśnienie zdania, za pomocą logicznie usystematyzowanych starożytności Słowiańskich.

Język Słowiański tak podobny co do ducha, form grammatyki i prozodyi do mowy Niemieckiéj, Greckiéj, Łacińskiéj i Litewskiéj, jest ściśle spokrewnionym z temi ostatniemi, i mógł tylko obok wymienionych języków powstać i na wspólnych z niemi zasadach. Wyrazy Celtyckie jakie Szafarzyk znalazł w języku Słowiańskim i mnóstwo wyrazów Słowiańskich, które przytacza w mowie Gotów z przed X wieku ery chrześciańskiéj dowodzą częstych i dawnych związków szczepu Słowiańskiego z temi ludami, związków odnoszących się do odległéj starożytności, a które przekonywają, że Słowianie byli już w Europie przed IV wiekiem. Po tych kartach które mógł tylko napisać znakomity znawca języków Słowiańskich, następują dalsze niemniéj ciekawe, do których treść należało zbiérać powoli, i to z uwagą i przezornością, jakie wszędy cechują Czeskiego starożytnika. Rozumiém przez to tę massę przymiotników lub raczéj określników, pod jakiemi Szafarzyk wyszperał nazwiska starodawnych ludów Europejskich, i porównanie imion własnych czysto Słowiańskich z przed Chrystusowéj epoki, z imionami ludów Europejskich i Persko-Indyjskich, które także dowodzą, że szczep Słowiański zrodził się i rozwinął okok Germanów, Turków i Litwinów. Przykłady tożsamości wyciągnięte z starożytnych religij, ustaw, zwyczajów tych szczepów popiérają to dowodzenie.

Gdy tak rozwiązanie zaledwie dotąd możebne, stało się już niezbitym pewnikiem, aby dopełnić wnioskowa-

nia, Szafarzyk przekonywa że w okolicach w których w V i VI wieku, po raz piérwszy zjawia się wzmianka o Słowianach, na długie lata przed tą epoką mnóstwo nazwisk, miast i rzek, starożytni pisarze wymieniają wyrazami czysto Słowiańskiemi. Tu znowu nie możemy dość podziwić roztropności z jaką autor pracuje na tém niebezpiecznem polu porównań etymologicznych; przykłady zaś jakie przytacza są niezaprzeczone. Nakoniec autor dowodzi łańcuchem cytacyj że od Jornandesa i Prokopiusa w całej piérwszéj połowie średnich wieków, żaden pisarz nic nie wiedział o mniemanéj wędrówce Słowian i że przeciwnie, wszyscy autorowie uważają ich za szczep oddawna zamieszkały w Europie, co w istocie byłoby niepojętém gdyby byli dopiéro w VI wieku przybyli.

Tak rozwiązawszy piérwsze zadanie, Szafarzyk przechodzi do wykazania że starożytni znali Słowian pod nazwiskiem Wenedów. Jest to treść paragrafu siódmego. Równie jak paragrafy 5 i 6 oczywiście dowiodły starodawności Słowian w Europie, równie zwycięzko paragraf 7 przekonywa, że ludy nazywane przez starożytnych Wendami, lub Wenedami, są pochodzenia Słowiańskiego. Zdanie to autor uzasadnia licznemi sposobami i z korzenia wywraca przeciwne dotychczasowe mniemania.

Wyznać jednak musimy, że pomimo całego naszego uwielbienia dla znakomitego badacza Czeskiego, nie możemy podzielać jego zdania względem ostatnich wniosków 7 paragrafu.

Idzie tu o następujący ustęp Prokopiusa. „W starożytności Słowianie i Antowie mieli jedno wspólne nazwisko, pierwotnie nazywali się Sporami (Spores Σπόροι)

i sądzę że miano to przyszło im od tego że rozproszeni (σντραδηπ) zamieszkiwali swoje wioski. (Patrz Procop. l. III. cap. X. IV).

W rozprawie o nazwisku Wendów, Szafarzyk utrzymuje że pod tém nazwiskiem szczepy starożytne rozumiały Słowian. Przeciwnie nazwisko Sporów w którym Szafarzyk, wedle zdania Dobrowskiego, spostrzega wyraz Srb, Srbi, Serby, ma być według niego prawdziwém, rodowitém i starożytném nazwiskiem szczepu Słowiańskiego.

Szafarzyk niesłychanie logiczny nawet wtedy, kiedy błądzi, raz przypuściwszy że Prokop mówiąc o Sporach rozumiał Serbów, postępując śladami Dobrowskiego jął szukać, czyli starożytni nie znali Słowian pod nazwiskiem Serbów (IX czyli § II rozdziału II). Znalazł Serpów (Serpi) w Pliniuszu i Ptolomeuszu lud który ci dwaj pisarze umieszczają w stepach na północ Kaukazu. Jednakże tam aż rozszerzać dzierżawy Słowiańskie za czasów Pliniusza, jestto wedle naszego zdania budować system więcéj niż śmiały; nie należy bowiem zapominać, że nawet za czasów Nestora w XII wieku, szczep Słowiański nie rozpościerał się tak daleko, i że dopiéro za wiadomością historyi, i od bardzo niedawnych czasów szczep ten zaczyna tam się osiedlać. Dziwimy się tylko jakim sposobem, Szafarzyk z swojém połyskującém światłém zapatrzeniem, nie spostrzegł się, że wpadł całkiem na błędne manowce. Zobaczymy bowiem co z tego wypada. Szafarzyk widzi się zmuszonym uważać Słowian w małym ludku, zatraconym nawet, według Pliniusza i Ptolomeusza, pośród wielu innych szczepów, których nazwiska tak są barbarzyńskie, że ani autor ani ktokolwiek inny nie śmiał nazywać ich Słowianami.

Wypadek tego wniosku wcale nie jest zadowalającym. Widzimy garstkę Słowian oddzielonych od reszty ich szczepu, otoczonych różnoplemiennemi narodami, w okolicy, w któréj prócz nich nie ma żadnych innych Słowian i gdzie wszystkie pamiątki noszą cechy antysłowiańskie: jedném słowem mały ludek, po którym nie zostało ani śladu ani wspomnienia do poparcia ich rodowitości Słowiańskiéj, a całe to przypuszczenie zasadza się na pewném podobieństwie wyrazów Serpi i Serbi, które może pochodzić a nawet jak sądzimy, zupełnie pochodzi z odmiennych przyczyn. Zdaje się nam że Szafarzyk chciał tu zająć pośrednie stanowisko między zdaniami Dobrowskiego przez szacunek dla pamięci znakomitego badacza, i zatrzymawszy jednę stronę jego błędnego zapatrzenia co się tyczy Wendów, pragnął przynajmniéj zostawić nietkniętą jego hypotezę o Serbach. Tymczasem zdanie to stało się w głębi jednym więcéj dowodem, że półśrodki nie udają się nawet kiedy wyższe umysły ich używają.

Dlatego z prawdziwą przyjemnością wracamy teraz do piérwszego paragrafu drugiego rozdziału (§ 8). Nadewszystko podziwiamy w dziele Szafarzyka sposób w jakim autor całą rzecz rozwija, tę niesłychaną przezorność w postępowaniu, gdzie każdy krok jest naprzód przemyślany i dowodzi że autor wybornie zgłębił cały przedmiot, usystematyzował i potężnie nim zawładnął. Tak więc wynalazłszy raz nazwisko pod którém starożytność klassyczna i Niemiecka znała szczep Słowiański, Szafarzyk w drugim rozdziale rozkłada przed nami wszystko co dawne wieki zostawiły nam o Wenetach. Oznaczywszy tym sposobem okolicę jaką zamieszkiwali, wymienia wszystkie nazwiska innych ludów, jakie starożytni umieszczają w téj stronie, dla przekonania się o ich Słowia-

nizmie, i tém podaje nam etnografię Sławiańską współczesną Grekom i Rzymianom. Paragraf zatém 8 zawiera wszystkie wiadomości o Wenedach znajdujące się w pismach Greków i Rzymian i w Sagach Skandynawskich. Wszystkich tu spostrzegamy: Hezioda i Pytheasza, Thimeosa, Corn. Neposa, Pliniusza, Tacyta, Ptolomeusza, Maryana z Heraklei, *tabula peutingeriana* i monetę Volusiana (?) Pawła Varnefrieda, sagi Skandynawskie i Islandzkie, podania Litewskie, wreście Jornandesa i Prokopa; badacz o nikim nie zapomniał i wszystkie należycie zgłębił i ocenił. Jestto prawdziwy skarb badań i erudycyi pole, na którém wszystko możebne zdziałano. Bylibyśmy tylko pragnęli żeby przed rozpoczęciem tego rozdziału i dowiódłszy już, że starożytni Słowian a nie kogo innego znali pod nazwiskiem Wenedów, autor chciał był dowieść, że starożytni nazwisko to dawali wyłącznie Słowianom a nie żadnemu innemu szczepowi. § 8 kończy się rozprawą etymologiczną nader ważną nad wyrazem Windton, Wenety, dowodzącą olbrzymiéj pracy badacza.

Mówiliśmy wyżéj o paragrafie IX; autor może lepiéjby uczynił całkiem go opuściwszy, z wyjątkiem wszakże analizy podania Vibiusa Sequestra o Serbach, zupełnie innych aniżeli Serbi Pliniusza, Ptolomeusza, a które należy odesłać do następującego paragrafu jako najstarszą wiadomość o Serbach z Łużycy, również jak znakomitą rozprawę nad etymologią wyrazu Srb, która znalazłaby stosowniejsze miejsce w drugiéj księdze tego tomu.

W dziesiątym to paragrafie Szafarzyk stara się zbudować ten rodzaj etnografii Słowiańskiéj spółczesnéj Grekom i Rzymianom o któréj wspominaliśmy wyżéj. Wykazaliśmy sposób za pomocą którego ją wynalazł. Pojęcie samo przez się jest niezaprzeczenie prawdziwém

i słusznem, zastosowanie jednak dotąd jest tylko próbą. Z téj strony jeszcze dość pozostaje do uczynienia.

Przedewszystkiém zdaje się nam że autor w początku téj pracy wychodzi z zasady przeciw któréj dałby się nie jeden zarzut wynaleźć. W istocie, utrzymywać że okolica Wenetów od niepamiętnych czasów zamieszkiwana była przez Słowian, jestto według naszego zdania naznaczać ojczyźnie Słowian zbyt rozległe granice, jestto krzywdzić inne szczepy jak naprzykład Litewski i Fiński i mniemamy, że niepodobna zpodań starożytnych o siedliskach Wendów bezwarunkowo wyciągnąć tak stanowczego wniosku. Cóż z tego daléj wynika? — Oto że autor musi, sam nie postrzegając tego sprzeciwieństwa, odjąć część kraju z jednéj strony nad morzem Baltyckiém, wprawdzie część bardzo szczupłą, dla Litwinów, drugą część dla Jadźwingów, trzecią dla Alanów których umieszcza nad górnym Dnieprem i tak daléj. Dlategoto z nazwisk tych ludów Słowiańskich jakie znalazł w Ptolomeuszu, zapewne należałoby niektóre oddać Finnom i innym szczepom. Starożytnym bowiem niezupełnie obcemi były nazwiska ludów przebywających w tych okolicach, Herodot wymienia niektóre narody z tych stron. Na tych zasadach polegając aby zbudować etnografią historyczną Słowian, należało obrać dwie drogi. Autor mógł pytać się jednego po drugim wszystkich starożytnych pisarzów o to co wiedzieli o ludach zamieszkujących tę część Europy i tym sposobem wynaleźć ludy Słowiańskie. Szafarzyk obrał drogę drugą. Zaczął od rozłożenia przed sobą najdawniejszego opisu barbarzyńców, tojest dzieła Herodota o Scytach, pracę tę wykonał z zadziwiającą przenikliwością, wybornie korzystał

z mądrych badań Eichwalda nad Budynami, a chociaż rozciąga ojczyznę Słowian do górnego Donu i daleko na północ, przecież nie ośmielił się policzyć do Słowian Melanchlenów, Andropofagów i innych. Przewartowawszy tak Herodota, Szafarzyk prosto poszedł do Ptolomeusza wielkiego kompilatora II wieku naszéj ery, pisarza, który miał przed oczyma wszystkie prace swoich poprzedników, stracone dla nas, który starał się w swoich dziełach umieścić wszystkie jakie tylko mógł gdzie w starożytnych znaleźć wiadomości entograficzne i gieograficzne, często nie troszcząc się bynajmniéj, jak to zwykli czynić uczeni niewychodzący z swoich pracowni, czy się powtarza lub nie, nie nazywamy tego samego ludu dwoma odmiennemi nazwiskami i czy nakoniec wiadomości znalezione były rzeczywiście prawdziwemi, lub odtąd nie uległy jakowéj odmianie. Żałujemy jednak że Szafarzyk nie obrał piérwszéj drogi, gdyż jakkolwiek nie posiadamy wprawdzie wszystkich autorów starożytnych zajmujących się tym przedmiotem, jakkolwiek błędnie postąpilibyśmy gdybyśmy chcieli trzymać się wyboru z pism starożytnych spowodowanego częściéj przypadkiem niż przekonaniem; jakkolwiek wreszcie trzymając się drugiéj metody praca daleko przenosi wypadki, z drugiéj zaś strony Ptolomeusz pozostawił nam jedyny chociaż pomieszany zbiór poszukiwań swych poprzedników, przecież pomimo to sądzimy, że praca byłaby daleko zupełniejszą, a nawet same etnografie Ptolomeusza stałyby się zrozumialszemi i dokładniejszemi, gdyby autor poszedł był piérwszym kierunkiem, jak wspomnieliśmy. Pragnęlibyśmy aby Szafarzyk chciał był zaczepić jeden z najtrudniejszych punktów, mianowicie zaś: jakim sposobem dzieje się, że téj massy narodów które według niego Ptolomeusz uwa-

ża za Słowiańskie, tak mało znajdujemy w późniejszych czasach jak naprzykład w etnografii Nestora i innych używających powagi etnografiach.

Tém bardziéj pragnęlibyśmy tego, że Szafarzyk znajduje w Ptolomeuszu same prawie nazwiska miejscowe więcéj chorograficzne, wynikłe z różnych nazwisk miejscowości, nazwiska które zachowują się a nigdy nie giną w tym samym szczepie, chyba ulegając przemianom nazwisk politycznym. Ostatecznie, spostrzegamy zgodnie w téj mierze z Szafarzykiem, że oddział etnografii starożytnéj Słowian, jest dopiéro odszkicowanym i że przyszłość jeszcze będzie miała nad czém pracować.

Autor do końca piérwszéj części tego tomu czyli do rozdziału IV odesłał badania nad gieografią starożytną krajów Słowiańskich. Sąto nazwiska kilku rzék znanych starożytnym, kilka pasm gór po większéj części wymarzonych z teoryi o źródłach rzék, nakoniec nazwy kilku miast. O ile sobie przypominamy, jestto piérwsza próba zarysu starożytnéj gieografii Słowian, którą, autor może lepiéj byłby uczynił, umieściwszy na końcu swojéj etnografii.

Paragraf 11 zakończa rozdział II i uzupełnia poprzednie paragrafy. Wyrzekłszy w nich wszystko co można powiedzieć pewnego i rzeczywistego, autor nie chciał skończyć nie dodawszy tego wszystkiego co było prawdopodobném i przypuszczalném. Zajął się przeto w tym paragrafie pierwotnymi Słowianami Naddunajskiemi, Wenetami znad brzegów Adryatyku a nawet Wenetami z Gallii; tu znowu musimy podziwiać przezorność z jaką postępował i umiał wybrnąć z niebezpiecznych ścieżek przypuszczeń, nie psując rzeczywistych wypadków poprzednio zebranych. Mniemamy tylko że tożsamość Wla-

chów Nestora i Celtów Liwiusza, nie jest dość jasno wyprowadzoną i nie wiémy czy nie byłoby słuszniéj odnieść legiendy i wspomnienia o których mówi Nestor, raczéj do Rzymian niż do Celtów. Szczupły zakres tego rozbioru nie pozwala nam wdawać się w bliższe szczegóły.

Podaliśmy tu wkrótkości stanowisko z jakiego Szafarzyk zapatruje się w I, II i IV rozdziale na stronę najbardziéj mroczną starożytności Słowiańskich. Zaledwie mogliśmy zwrócić uwagę czytelnika, na kilka zbyt śmiałych i może cokolwiek niepewnych punktów (§§ 7 i 9) i jeden artykuł nie dość zupełny (§ 10). Co do reszty przekonani jesteśmy, że jasno dowiedliśmy całą pracę, przezorność, staranność i głęboką naukę autora, i że nie bez zasad jest nasze uwielbienie, jakie na początku wyraziliśmy. Tym sposobem wynalazłszy to wszystko co można było pewnego powiedzieć o odległéj starożytności Słowian, wykazawszy co było prawdopodobnego, autor dla zaspokojenia własnego przekonania nie chciał porzucać przedmiotu, nie podawszy wprzódy pierwiastkowéj historyi innych szczepów Europejskich, pośród których zrodził się i przebywał szczep Słowiański. Na téj drodze także starał się zebrać niektóre dowody i nowe skazówki rodowitości tego szczepu w Europie, jego dawnych siedlisk i kilku faktów do jego dziejów w ogóle tak ubogich. Ten przegląd szczepów różnoplemiennych ale sąsiednich Słowian, zapełnia rozdział III piérwszéj części tomu.

Druga część zajmuje się wyłącznie Słowianami. Wspominaliśmy już że ta druga część obejmuje peryod od V do X wieku ery chrześciańskiéj. Wszystkie źródła do storożytności słów o jakich mówiliśmy na początku, szczególnie odnoszą się do téj epoki. Ztąd też i praca kry-

tyka była odmienna od téj jaką roztoczył w piérwszéj części. Materyały historyczne i etnograficzne jakkolwiek ubogie, przecież znajdują się, podczas gdy niektóre skazówki autorów klassycznych służące do piérwszéj części, zaledwie zasługują na tę nazwę. Jeżeli tam chodziło więcéj o wnioskowanie, nawet o zgadywanie, tu znowu praca zależy na systematyczném uporządkowaniu. Nie jest to już tak dalece zadaniem przenikliwości i bystrości poglądu, jak raczéj badań pracy i erudycyi, a wiemy że Szafarzyk w wysokim stopniu posiada te wszystkie przymioty. Po głębokiéj a jasnéj rozprawie o Wendach, Antach i Słowianach, badacz rozwija dokładną etnografię historyczną peryodu przeddziejowego każdéj gałęzi wielkiego szczepu Słowiańskiego, każdéj zosobna, jakoto: Słowian Serbskich, Bulgarskich, Ruskich, Chorwatskich, Karyntskich, Polskich, Czeskich, Morawskich i wreszcie Słowian Nadelbańskich. Wywód ten zapełnia drugą część piérwszego tomu.

Zadziwiająca nauka i praca, cechują cały ten traktat. Ta to druga część podnosi dzieło Szafarzyka do godności utworu klassycznego, piérwszego w tym rodzaju we wszystkich literaturach Słowiańskich. Wprawdzie mógłby kto pokusić się jeszcze o zaprzeczenie Szafarzykowi niektórych wypadków historycznych zawartych w téj części, mógłby tu i owdzie wynaleźć zbyt śmiałą hypotezę jak np. przesiedlenie Wilków znad Niemna na brzeg Elby, nareszcie powiedzieć że autor zbyt ściśle trzymał się narodowych kronikarzów, i przytaczał fakta nie zważając ażali to nie był raczéj myt allegoryczny aniżeli rzeczywistość; wszelako będą to zarzuty zbyt szczegółowe, zwłaszcza że część historyczna zajmuje tu podrzędne miejsce. Dokładne wyliczenie wszystkich pokoleń i plemion Słowiań-

skich, dowodne oznaczenie ich siedlisk, stanowi całą zasługę téj drugiéj części, zasługę tém znamienitszą że Szafarzyk piérwszy starał się ją położyć, że opracował przedmiot z taką nauką, pracą i dokładnością, że pod tym względem sam wyczerpał i zakończył całą kwestyę. Musielibyśmy prawie przepisywać autora, gdybyśmy chcieli zdążać za nim w téj pracy, wreszcie dzieło to, jest tłómaczoném na nasz język, i ciekawy czytelnik może sam przekonać się o doskonałych wypadkach pracy Szafarzyka. Poprzestaniemy tylko na powtórzeniu że jest to dzieło posągowe, prawdziwy skarb naukowy, oszczędzający przyszłym historykom Słowiańskim, długiéj i mozolnéj pracy.

Mocno żałujemy że pochwała z natury swojéj jest zawsze krótszą lub prędzéj dającą się powiedziéć, niżeli krytyka, albo zaprzeczenie. Powiedziawszy że utwór jest doskonałym, pięknym, ukończonym, cóż można więcéj dodać? Jeżeli zbyt długo rozszerzyliśmy się tam gdzie nie podzielaliśmy zdania Czeskiego starożytnika, uczyniliśmy to dlatego że według naszego zdania, nie należy lekko ważyć pracy tak znakomitego uczonego; ostatecznie wtedy tylko poważyliśmy się zadawać mu niektóre zarzuty, gdy sądziliśmy że rzeczywiste przyczyny służyły za podstawę naszym wnioskom. Przekonani jesteśmy że sam autor odda nam sprawiedliwość że postępowaliśmy w dobréj wierze i z sumiennem przeświadczeniem o słuszności naszych zarzutów. Nie żadna więc chęć zaprzeczenia, ale żądza dokładnego zbadania go, i, o ile nam się zdawało, prawda, były naszemi przewodnikami, na téj mozolnéj drodze.

Dzieło Szafarzyka jest znamienitym specymenem krytyki historycznéj, jestto najpiękniejszy owoc głównéj dą-

żności literackiéj dzisiejszéj Czechii. W ogóle wszyscy Słowianie, których kwitnie literatura czyli raczéj ruch umysłowy, z szczególniejszym zapałem rzucili się teraz do badania kwestyi historycznéj: i nie dziw, każdy szczep niecierpliwie oczekuje przyszłości i radby ją z ubiegłych wypadków odgadnąć. Czechom powiodła się szczególniéj, możemy nawet powiedzieć wyłącznie, krytyka historyczna, i dzieło Szafarzyka którém słusznie się szczycą, nietylko jest ważném dla uczonego Czecha, nietylko dla każdego historyka Słowiańskiego, ale nawet dla całéj historyi powszechnéj. Wszelako krytyka historyczna jest tylko pracą poprzedniczą, przygotowawczą do badania dziejów. Krytyka rozplątuje fakta, sprawdza, ustala raz tym sposobem oczyszczone; wypada następnie rozwinąć je, zastosować do systemu, wynaleźć myśl w nich ukrytą i roztoczyć duchowe ich przyczyny. Dla nauki bowiem historyi fakta są tylko wypadkami, ostatecznem wyrażeniem, formą jaką przyjęło życie narodu w rozwoju moralnym. Dzieje odnosząc fakta historyczne do jednéj głównéj przyczyny, przypuszczają w nich jedność rzeczywiście się znajdującą. Łączyć fakta z jednych przyczyn do drugich i ostatnie do ducha ogólnego systematyzować je, jestto tworzyć filozofię historyi, syntezy historycznéj. W Czechii nauka dziejów przedewszystkiém pobiegła drogą krytyki, uczeni Pragscy dotąd nie zagłębiali się jeszcze nad syntezą historyczną, nad filozofią historyi. To jest przyczyna, dla któréj nie mogą miéć dotąd prawdziwego dzieła historycznego, nawet dziejów krajowych, których tak gorąco pragną. Teraźniejsza praca Palackiego jest opisem, opowiadaniem przeszłości Czechii, ale bynajmniéj nie tém co Europa XIX wieku rozumie pod nazwiskiem historyi. Łatwo przekonamy

się o tém porównywając dzieła wielkich tegoczesnych historyków Francuzkich z pracą Palackiego.

A przecież dzieje Czechii są pięknym, bogatym przedmiotem i mogącym stać się nader nauczającym pod piórem wielkiego historyka publicysty.

Rzuciwszy wzrok na mappę Europy, rozumiém mappę etnograficzną, na któréj wielkie oddziały krajów są zarazem granicami plemion, niepodobna jest nie spostrzedz natychmiast tego pierwoszczepu w samym środku Europy naokoło źródeł Elby, tego członka zupełnie odciętego od reszty pokoleń Słowiańskich. To istny półwysep etnograficzny odbijący odmienną barwą. Pośród Niemców. Dokoła opasują go Szląsk i Saxonia, Bawarya i Arcyksięstwo Austryackie, same Niemcy, a śród nich Czechia i Morawy, naród czysto Słowiański, który jedną tylko stroną tojest wąwozem Moraw jakby łożyskiem rzéki wyschniętéj podaje rękę pobratymcom.

Naszém zdaniem, historya Czechii równie jak Polski winna się zaczynać od dziejów nadbałtyckich Słowian. Tym sposobem te dwa narody które mają z sobą tyle punktów zetknięcia, miałyby już peryod historyi wspólnéj, jak widzimy *de facto* już istniejący. Pisząc dzieje Czechów nie nadpisywalibyśmy rozdziałów panowaniami, a peryodów dynastyami panującemi, ale poszukalibyśmy naturalnych działów przedmiotu. Dla wyraźniejszego objaśnienia podajemy sposób w jakiby zacząć wypadało; tak np. rozdział I, jako Czechowie są jednym z narodów Słowian nadbałtyckich, kto byli ci Słowianie i zkąd pochodzili? Rozdział II, jako Czechia przyjęła wiarę chrześciańską i tym sposobem z początku zasłoniła się przed napływem Germańskim, jako wówczas już posiadała sama w sobie królestwo czyli siłę centralizacyj-

ną. Rozdział III, jako Cezchia mając u siebie królestwo ukonstytuowane którego nie było wówczas ani w Serbii ani w Polabii mogła stać się ogniskiem centralizującym wszystkie ludy Słowian Nadbaltyckich. Rozdział IV, jako, ponieważ ludzie w Czechii byli małego ducha i umieli tylko swarzyć się między sobą o Podźwin i tym podobne małoznaczne rzeczy, Czechia nie wypełniła swego powołania i jakie ztąd skutki wynikły i t. d. Tym sposobem znalazłoby się miejsce i na sprawę o Podźwin, o Zderad, i kto wie o jakie inne drobnostki, ale za to dzieje miałyby prawdziwe znaczenie i byłyby więcéj nauczającemi.

Ale zapuśćmy się nieco głębiéj w historyą Czechii. Czechowie należą do tego wielkiego plemienia szczepu Słowiańskiego, które Szafarzyk nazywa „mluwa zapadnj" (język zachodni). Pomijam kwestyą, czyli ci Słowianie rodowitymi z doliny Baltyku, gdzie historya znajduje ich w IX wieku, lub téż czyli napłynęli na Niemców albo inne jakie narody; dodam tylko że ze wszystkich okolic Słowiańskich najdawniejsze podania historyczne odnoszą się do Czechii wtedy, kiedy ta była jeszcze Bojemią; powiedziałem, podania historyczne, gdyż wiadomości napotykane u Herodota i innych dawnych autorów względem Słowian, są raczéj etnograficzne, kiedy tymczasem Tacyt już szeroko rozpowiada upadek Bojów i historyą o Markomanach.

Po trzechwiekowych dziejach Markomanów i wojen ich z Rzymianami, kronikarze Rzymscy tracą Bojemią z oczu; przyczyna tego powszechnie jest wiadomą. Imperyum przez ten czas waliło się z posad i Bojemia, która graniczyła dotąd z cesarstwem, naraz znalazła się zna-

cznie od niego oddaloną. Ztąd spostrzegamy w kronikach starożytnych przerwę aż do VII wieku, gdzie znowu kronikarze Franków prawią o historyi Samona i jego państwa położonego w tych okolicach. Daléj nadchodzą wyprawy Karola Wielkiego, ochrzczenie Czechii, i oto jesteśmy w środku peryodu historycznego dziejów Czeskich.

Ale oprócz obcych źródeł, Czechowie jak wszystkie inne ludy mieli własne podania i legiendy. Że legiendy te istniały nie ma żadnego wątpienia, gdyż znajdujemy ich ślady w kronikach pisanych. Do nieodżałowania jest, że przed XI wiekiem, nie było kronikarzy mogących dokładnie je spisywać, gdyż pamięć ludów jest słabą i gdy lata nad nią przepłyną, zaledwie niektóre urywki zdoła zatrzymać. Dlatego zaledwie doszły nas słabe odgłosy sag o Kroku, Libussie, Przemyslu, Właście, Czestmirze i nareszcie Borzywoju piérwszym książęciu czyli wojewodzie chrześciańskim; legiendy te piérwszy kronikarz Czechii podał jak wiedział i umiał. Pragnąłbym ażeby Palacki równie jak ci wszyscy którzy dotąd zajmowali się dziejami Czechii, raczyli zupełnie wypuścić historyą o Czechu, praojcu narodu o którym wspomina Kozmas. Przecież bajka ta nie jest bynajmniéj odgłosem sag ludowych, jestto tylko naukowa hypoteza samego Kozmasa, jeżeli nie którego innego z współczesnych nam kronikarzów.

Wiadomo jest że wszystkie te uosobienia Czecha, Lecha, Rusa, Wandalusa i t. d. są tylko wynalazkiem średniowiecznéj erudycyi, który powinna zniszczyć prawdziwa krytyka historyczna, a który spłodziła błędna hypoteza upatrująca w mianach ludów, podobnie jak w nazwiskach rodzin wschodnich, synów albo potomków

jednego protoplasty, kiedy tymczasem przeciwnie, są to przymiotniki oznaczające zupełnie co innego. Hebrajska to Genezis przedewszystkiém podała piérwszą myśl fabrykowania tym sposobem pradziadów homonymów. Dlatego więc obaczmy różnicę opowiadania Kozmasa o Czechu lub o Lubuszy i jéj siostrach; wyraźnie czujemy że to ostatnie przyniosła nam saga ludowa. Podróż Czecha i okolica którą znajduje wygląda coś nakształt Edenu Genezy.

Musimy sobie powiedzieć raz na zawsze, że zaludnienie kraju odbywa się stopniowo z upływem czasu, jestto fakt niepostrzezony i nawet niepostrzegalny dla samego ludu, który podobnych sag o swoim początku nigdy nie przechowuje. Pamięć ludów co innego przechowuje w skarbnicy podań, sławę i nieszczęścia, odnosi prędzéj osobę do narodu niż naród do osoby.

Oto są więc dwa jedyne źródła do historyi starożytnéj Czechów, kilka obcych kronik i niektóre sagi przytoczone przez Kozmasa. Zdaje się nam że Palacki nieco za powiérzchownie zapatrywał się na całą tę epokę. Życzylibyśmy znaleźć w nim więcéj krytyki historycznéj. Co do Markomanów naprzykład trzyma się kilku krytyków Niemieckich i to jeszcze nienajlepszych.

Co do szczątków sag Czeskich, od których zaczyna się kronika Kozmasa, autor poprzestaje na wiernem przytoczeniu opowiadań Kozmasa; fakta o Libuszy, Kroku, Przemyślu, są podaniami ludowemi tojest mniéj więcéj poetycznemi; nie można ich przeto uważać jako prawdziwe opisy kronikarskie, w takim więc razie jakaż korzyść wypływa trzymając się samych faktów jak to się zwykle czyni w poważnéj krytyce? Życzylibyśmy aby Palacki chciał był nieco więcéj przeprowadzić te fakta przez

kriterium krytyki, ażeby starał się odgadnąć ukryte w nich znaczenie historyczne; na téj bowiem drodze badań sagi jedynie nabywają pewnéj ważności dla historyi, inaczéj są tylko materyałami do dziejów piśmiennictwa. Szczątki starożytności słów są tak rzadkie i ubogie, że w istocie należało coś dla nich uczynić; że zaś można wiele wydobyć z podobnych odgłosów przeszłości, dowodzi nam uczona praca nad Mateuszem herbu Cholewa. Autor oprócz innych ważnych rzeczy byłby w niéj znalazł całą rozprawę o Kroku tym starożytnym mycie Słowiańskim, który o ile się zdaje nie samym Czechom był tylko właściwym ale wszystkim Słowianom Bałtyckim i zapewne wielu naddunajskim; byłby znalazł skazówki, tyczące się nazwiska Sama, którego pominięcie przez sagi tak zadziwia na piérwsze spojrzenie.

Palacki obrał drogę upożytecznienia tych sag do zapełniania szczerby historycznéj od Sama kronikarzy Franków, aż do Borzywoja, chociaż nie było żadnéj podstawy historycznéj, na mocy któréj możnaby z przekonaniem mowić po Samie o Kroku, Libuszy i Przemyślu i wierzyć że cały ten cykl legiend Czeskich nie odnosi się w żadnym razie do faktów dawniejszych od VII wieku ery chrześciańskiéj.

Cały ten peryod tak ciemny i lekko podany przez Palackiego, musi być uważanym za wstęp do prawdziwéj historyi Czeskiéj; wychodząc więc z tego stanowiska, część ta bynajmniéj nie uwłacza ani głównéj stronie dziejów ani sławie Palackiego jako zasłużonego historyka. Jeżeli zbyt długo zatrzymywałem się nad temi początkami, uczyniłem to pragnąc uchwycić jak najdokładniéj dwie, według mego zdania, słabe strony ducha historycznego Czeskiego dziejopisa, i oznaczyć dokładnie

punkt, w którym tenże może podpaść największéj liczbie zarzutów. Jednem słowém, nie możemy uważać téj pracy ani za jedno z wielkich dzieł syntezy historycznéj, Palacki bowiem nie jest ani takim historykiem filozofem jakich nam ostatnie czasy wydały, a którzy jasno roztaczają pojęcia zasadnicze, że tak powiem, macierzyste o życiu narodu, i następnie systematyzują je i porządkują około tych prawdziwych pierwiastków historycznych; ani też jednym ze znakomitych duchów krytyczno-historycznych za jakich uważamy Szafarzyka, Niebuhr'a, Raska; gdyż tam jasno widzą, gdzie dla drugich gęsta ciemność panuje i wyrywają dzieje z odgłosu legiend albo, jak Cuvier, ze szczątków domyślają się całego świata. W istocie nie jestto niezwykły gieniusz ani syntezy, ani analizy, ale raczéj poprawny i sumienny opowiadacz, i ztąd autor daleko więcéj znajduje się w swoim żywiole i praca jego pędzi krokiem szybszym i pewniejszym, gdy nareszcie przychodzi do historycznego peryodu Czechii, gdy krytyka historyczna wchodzi już w zakres egzegezy, tojest oceniania i porównywania między sobą kronik. Wtedy Palacki pokazuje się mistrzem, i zdanie jego prawie wszędzie jest pewném, uzasadnioném i bezstronném.

Historya Palackiego nie jest zakończoną. Autor doprowadził ją dopiéro do wojen Husyckich, praca jego odtąd stanie się daleko trudniejszą przy względzie na miejsce w którem pisze.

Styl Palackiego tak Czeski jako i Niemiecki, jest czysty, jędrny i poprawny. Z gorącém zamiłowaniem do swego kraju, autor żywo opowiada świetne jego epoki. Niektóre panowania jak naprzykład Przemyśla, Otokara są z takiém zajęciem pisane, że trudno się od nich oder-

wać. Palacki utworzył już około siebie, niejako szkołę młodych historyków Czeskich, między którymi na szczególną wzmiankę zasługuje Wacław Tomek. Ten ostatni wydał już krótkie dzieje Czechii, najwięcéj ze źródeł swego mistrza; że zaś lud Czeski z zamiłowaniem czytuje biblię i stare kroniki, przeto Tomek aby nadać więcéj powagi rzeczy, i bardziéj zastosować ją do pojęcia i smaku ludowego, napisał swoję historyą kronikarskim stylem, który jeżeli zbyt jednostajnym może wydawać się dla cudzoziemca, natomiast wielkie wrażenie sprawia na ludzie. Obecnie Tomek zajmuje się obszerną historyą miasta Pragi, i na jubileusz czyli pięćsetną rocznicę od założenia uniwersytetu r. (1848) ma sobie poleconém spisanie dokładnéj historyi tego zakładu. Niektóre artykuły historyczne Tomka umieszczone po czasopismach, zapowiadają w nim skrzętnego badacza; wszelako żałujemy że młody dziejopis tak mało ma fantazyi w sposobie przedstawiania wypadków, i prac swoich nie umie ubarwić żywém roztoczeniem rzeczy. Co się tyczy filozoficznego zapatrzenia, tego wyznajemy że najmniejszego śladu w Tomku nie spostrzegliśmy. Jestto suchy kronikarz i nic więcéj. Jakób Maly wydaje krótki opis dziejów ziemi Czeskiéj z obrazkami, przeznaczony dla szkółek i dokładnie odpowiadający swemu celowi. Oprócz tego spostrzegamy historye główniejszych miast Czeskich, mniéj ważne dla literatury, wyjąwszy jedno miasta Prachalic przez księdza Slawę, ciekawe zwłaszcza we względzie odkryć, co do średniowiecznych stosunków handlowych. Autor w niéj dowodzi że z Wenecyi, głównego punktu handlowego z nowo odkrytą Ameryką, cały handel Europy na północ ciągnął przez Czechię. Nad innemi pracami historycznemi Czechów,

nie będziemy się zastanawiać; dodamy tylko, że w oddziale etnografii piśmiennictwo ich posiada dzieło p. t. Narodopis Słowianski przez Szafarzyka, które, tak jak inne prace Czeskiego starożytnika, jest wzorem krytyki historycznéj i doskonałego wykończenia.

Na tém zakończymy rys dziejów piśmiennictwa Czeskiego (*).

(*) W artykule niniejszym poczynione zostały niektóre skrócenia dla zastosowania go do objętości pisma. *P. R.*

WIZYA KRÓLA JANA KAZIMIÉRZA.

Legienda.

PRZEZ

Ad. Am. Hosińskiego.

W pokojach królewskiemi zwanych, w Jasnogórskim Częstochowskim klasztorze dnia 1 kwietnia 1655 roku, że czas był na podziw piękny, król Jan Kazimiérz rodu Jagellonów i Wazów ostatni potomek, z swą małżonką bratową Maryą Ludwiką z Gonzagów, siedzieli w otwartém oknie komnaty.

Jan Kazimiérz był czterdziestokilkoletni mężczyzna, chorowito blady, dosyć otyły, średniego wzrostu, ubiór jego wpół Francuzki, wpół narodowy, na głowie duża ufryzowana w gęste pukle peruka, kamizelka długa w złociste kwiaty, jedwabny brunatny kaftan, buty Polskie na nogach, i delia Polska na barkach.

Podparłszy się zaś lewą ręką o krawędź okna, a prawą machinalnie może dzwoniąc po szybie, siedział w głębokich pogrążony myślach, jakie zaś były one? Bóg jeden wie; niewesołe zapewne, jak niewesołe było życie

monarchy, niewesołe królowanie i śmierć nawet, śmierć samotna, zgryźliwa, wypadek rozpaczy.

Co do królowéj Maryi Ludwiki, ta inny wcale z królem małżonkiem przedstawiała obraz. Białe i wysokie jéj czoło było pogodne, uśmiéch błąkał na rumianych ustach, w dużych czarnych oczach wybijała radość, malowało się wewnętrzne zadowolnienie duszy; rozmawiała zaś wesoło i żywo z czterema osobami które w pełnéj uszanowania postawie, wstrzymały się na trzy kroki od jéj krzesła odległe.

Piérwszą z tych osób był wielki koronny marszałek, a wkrótce i hetman Jerzy Szreniawita Lubomirski; ubiór jego bogaty, uroda niepospolita, traciła jednak wiele na swéj harmonii. Gdyś spojrzał w jego oko, bo choć to oko było pełne, jasne, pięknie ocienione dwoma łukami brwi czarnych i lśnistych, dziwnie przecie a jakby złowieszczo iskrzyło, że dreszcz brał mnie poglądać, a poglądając, Bóg wié jakie przychodziły myśli; nie jedna może prorocza wypadków, jakie w lat kilka na większe utrapienie i tak już utrapionéj krainy miały nastąpić.

Przy marszałku, że drżące od starości nogi nie mogły utrzymać, wsparłszy się na szerokiéj swéj szabli stał hetman polny a wojewoda Ruski Stanisław Lanckoroński. Poważny to starzec, jak ubiorem tak charakterem, sarmacki dobrych Zygmuntowskich czasów szlachcic, mądry w radzie, dzielny w boju, wierny monarsze, krajowi i wierze, w któréj się urodził i wychował.

Trzecią osobą dziwnego układu był ichmość, lat mu mniéj więcéj pięćdziesiąt. Włos ciemno blond, postrzyżony nizko, zarysy twarzy wydatne, czoło wypukłe, nos orli, na lewym policzku przy szczęce szeroka szrama,

którą w części tylko mogła pokryć czarna, gęsta i szorstka broda.

Tą zaś brodą bez ustanku zajmował się nasz jegomość, to głaskał i układał w ład, to czochrał pogrążając w niéj grube i kościste swe palce, to wreszcie, a najczęściéj był ten ruch, zwijał ją prawą ręką na piérwsze dwa palce lewéj, a zwinąwszy przygryzał.

I ubiór téż jego nie zwiastował człowieka dbałego o swą powierzchowność i przyzwyczajonego do ceremoniału dworu, zaniedbany był bowiem, mało strojny. Składał się zaś z grubego łosiego kaftana, który na piersi szeroka stalowa pokrywała blacha, z żupana jasno błękitnéj barwy, z szarawar ponsowych, długich butów i delii grubéj wełnianéj, któréj podszewka kiedyś jasno żółta jedwabna, przedarta teraz, tu i tam splamiona, spłowiała, niewiele co z dawnéj zachowała świetności.

A dodać téż winienem, że ichmość ni jednéj chwili nie mógł zostać na miejscu spokojny: to krzyżował nogi lub postępował naprzód o krok, i cofał się, to gdy brodzie na minutę dał pokój, igrał z swą szablą krótką Tatarską, którą wydobywał w czwartéj części z pochwy, z brzękiem wpuszczając napowrót, co niejednokrotnie o lekkie wzdrygnienie, a potém o uśmiéch przywodziło królowę.

Dziwne przecież te ruchy, nie zdawały się nikogo zadziwiać, a tém mniéj razić, przyzwyczajono się do nich, wybaczono człowiekowi mało w pałacach panów a ciągle żyjącemu w obozie, człowiekowi nareszcie, który niby drugi Krystyn Mazowiecki, śmiało aniołem stróżem! zbawcą Lachii mógł być nazwany; że zaś słusznie można było dać ten tytuł, każdy przyzna gdy powiém na-

zwisko; było ono Stefan Czarniecki, Kijowski kasztelan i regimentarz koronny.

Chociaż przecie tyle znakomite osoby znajdowały się w obecności królowéj, nie mniéj z niemi, a więcéj rozmawiała z Paulińskim przeorem księdzem Augustynem Kordeckim.

Była to czwarta osoba znajdująca się w pobliżu krzesła.

Nie będę rozpisywał się nad bohaterskiemi czynami zakonnika rycerza, któż ich nie zna, nie imże Lachia o sto kilkadziesiąt lat dłuższy byt zawdzięczać powinna?

Co do postawy, anibyś w niéj odgadł męża który tyle energii, dzielności ducha i męzkiego serca niedawno jeszcze okazał. Skromna ona była, potulna, że się tak wyrażę, twarz téż blada, niby znękana chorobą lub życiem mniszém, lekko się zgarbiony trzymał, głos nawet, który jak utrzymywali wszyscy dawnych jego zwycięztw świadkowie, groźny był i grzmiący—huk armat i wrzawę boju górujący, teraz był umiarkowany, cichy, słodki i dźwięczny.

Nie te przecież tylko osoby znajdowały się w komnacie; całą jéj stronę od drzwi wchodowych zapełniał różnobarwny tłum szlachty, panów, dworzan i księży. Cytować po kolei wszystkich nie sposób, kilku tylko, jak na myśl przychodzi, wspomnę. Był np. Alexander Wolf opat Pepliński, późniéj biskup Inflantski, ów który ocalił klejnoty koronne przed grabieżą Szwedów; Krakowski kanonik Szymon Starowolski, prorok bo znawca historyi i ducha narodu; Krzysztof Tyszkiewicz Czernihowski wojewoda, Jędrzéj Potocki oboźny, a w kilkanaście lat późniéj, piérwszy senator kraju i jedyny jego przez wieki vice-rex; byli Piotr Czarniecki, rodzony brat kasztelana,

Masłowski i Krysztoporski okoliczna szlachta, tyle w niedawném oblężeniu Częstochowy odznaczająca się, wreszcie Rejnhold Tyzenhauz Inflantczyk, Stanisław Domaszewski sędzia Łukowski, jeden z piérwszych konfederacyi Tyszowieckiéj utworców, Adam Myszkowski koniuszy wielki koronny i Karol Walewski Olsztyński starosta.

* * *

Królowa Marya Ludwika, jak rzekłem, najwięcéj rozmawiała z Kordeckim: nie ma w tém dziwu, badała go o szczegóły oblężenia Szwedzkiego.

— Na Boga, pojąć tego nie mogę, mówiła, jak z garstką ludu księże przeorze obronić się mogłeś, a broniłeś się przez trzy tygodnie?

— Bóg wspomagał, miłościwa pani.

— Dodaj téż, twoja energia, niepospolita znajomość sztuki rycerskiéj, baczne środki, niezwyczajne męztwo.

— Stawałem w obronie wiary, praw waszych miłości i rodzinnéj ziemi.

— Niejednokrotnie przecież musiałeś podać umysł zwątpieniu, serce trwodze, w okolicznościach w jakich zostawałeś, otoczony więcéj niż dziesięćkrotnie przewyższającymi wrogami, bez nadziei jakiego bądź wsparcia?

— Nie wątpiłem nigdy w miłosierdzie Boga, w opiekę cudownéj tutejszéj patronki, i wreszcie w świętość méj sprawy.

— Gdyby przecież zawiedziony w nadziei zostałeś, gdyby Möller zwycięztwo otrzymał, cóż wtedy?

— Wtedy, powtórzył kapłan, bystrym blaskiem czarne zaiskrzyło oko, schylona postawa wyprostowała się dumnie — wtedy miłościwa pani, jak walczyć, potrafiłbym i zginąć — miny były pod klasztorem gotowe.

— Zamilkła królowa; wielkość rycerskiego postanowienia przeraziła niewieści umysł, Czarniecki żwawo wykrzyknął:

— A toż dalipan co lubię, oto mi człowiek, panie bracie księże przeorze! jakem *sodalis Marianus*, na biesa, aści nie habit lecz zbroja, nie pastorał ale buława przystoi.

Uśmiechnął się skromnie przeor, jego odpowiedź kasztelanowi, przerwała Marya Ludwika.

— Kilkakrotnie przecież, jak to słyszałam, Szwedzi blizkimi byli opanowania fortecy, raz téż szczególniéj, już się wdarli na mury, *reverendissime* z trudnością mogłeś odgromić, mówiono mi, że sam wtedy nabiłeś i wykierowałeś armatę.

— Tak najjaśniejsza pani, a Bóg wszechmogący dopomógł, kula ugodziła właśnie w namiot Möllera, raniła go, i kilku co najznakomitszych oficerów zabiła; Szwedzi sądzili zrazu że i dowódzca ich poległ, cofnęli się zatém w nieładzie.

— A szturm do owéj baszty narożnéj, jak potrafiłeś odeprzéć, braknęło ci już amunicyi i ludzi?

— Lecz ci co się znaleźli, wszystko byli odważni i dzielni; Wasza Królewska Mość znasz z raportu komu wtedy dank zwycięztwa, a więc i ocalenie klasztoru przyznać wypada; nie mnie zaiste, lecz dwom tu przytomnym panom, Czarnieckiemu Piotrowi i Krysztoporskiemu.

Dwaj szlachta skłoniła się nizko, królowa dobrotliwém udarowała ich spojrzeniem. — Długów nie lubię i każdemu według możności jak zasłużył płacę, i pan Piotr, i młody jego towarzysz winną swéj dzielności odbiorą nagrodę. Naprzód wy panie Czarniecki nie macie zacz jakiego żądania?

Wysunął się naprzód szlachcic wojownik, potarł wąsa: — Miłościwa pani, mam prośbę, wielką ona, a więc lękam się.

I istotnie zachłysnął się, próżno nalegała Marya Ludwika, musiał przyjść w pomoc kasztelan.

— Przebaczy Wasza Królewska Mość, ależ mój pan brat starszy, jeźli skory do szabli i dzielnie nią włada, za to mówca nieosobliwy, już to taka na Czarnieckich karystya; na kanclerza, choć nas dziewięciu, nie przydałby się żaden, przecież znam jego prośbę i jeźli wasza miłość pozwoli, objawię.

— I owszem, mój kasztelanie.

— Otóż mój pan brat Piotr ma dwóje dzieci, a jednę tylko wioskę, W. K. M. pojmuje że na uposażenie za mało.

— Biorę więc dodatek na siebie; zwróciła się do swego kanclerza Wydżgi (późniéj prymasa), przypomnisz mi to równie jak i królowi imci, *reverendissime*. Waszmość zaś panie Czarniecki, obmyśl jaką z królewszczyzn, zrobi się nadanie.

Skłonił się uradowany szlachcic, królowa skinęła na Krysztoporskiego.

— A waszmości jakież żądania?

Młody, urodny, czarno-brewy i czarnooki młodzian głęboki oddał ukłon.—Najjaśniejsza pani, życzyłbym sobie służyć wojskowo.

— Zaiste szlachetne to życzenie, i hamować go wcale nie myślę, dlatego, panie hetmanie, jestże jaka wakująca w półkach posada?

— Rotmistrz pancerny Kossowski, dla podeszłego wieku i ciężkich ran, prosił o uwolnienie od służby.

— Właśnie jak wraz, dajże WMość, jego chorągiew tu obecnemu Krysztoporskiemu, zasłużył na nią jak nikt drugi.

Milcząc skłonił się hetman; Jerzy Lubomirski nieco brwi ściągnął; — Miłościwa pani i ja chciałem prosić o tę chorągiew.

Szybko zwróciła się królowa: — A dla kogóż panie marszałku?

— Mój domownik i krewny starościc Stadnicki pragnął ponieść swoje usługi Waszéj Miłości.

W lekkim kłopocie była Marya Ludwika: — Jaka szkoda mości książę, czemużeś prędzéj nie objawił swych chęci, teraz widzisz za późno.

— Mój kuzyn chciał pięćdziesiąt ludzi swoim kosztem uzbroić.

— Pięćdziesiąt ludzi! powtórzyła królowa, w krytycznych okolicznościach w jakich zostajem, niepospolitą pomocą ta ofiara byłaby, lecz co czynić, moje słowo dane; przecież domyślne a prawie błagające spojrzenie Krysztoporskiemu zwróciła.

Czy młody szlachcic zrozumiał je, czy téż wrodzoną szlachetnością wiedziony, skromnie rzekł.

— Jeźli pozwoli W. K. M. śmiałbym jednę propozycyą podać.

— Jakaż ona? mów aszmość.

— Gotów jestem rezygnować od chorągwi, jaką mi łaskawie Wasza Miłość naznaczyłaś.

— Ach dobry i grzeczny jesteś kawaler, odparła po Francuzku królowa.

— Przecież, gdy szczerze pragnę ponieść moje usługi Waszéj Miłości, upraszam o inne przeznaczenie.

— Będziesz je miał, towarzystwo huzarskie mojéj przybocznéj chorągwi, a w expektatywie piérwszą rotę która się nastręczy, nadto, bądź pewny zawsze mych względów.

I dla okazania ich, podała drobną, białą i pulchną rękę, złożył na niéj pocałunek młody szlachcic, zgiąwszy według zwyczaju kolana.

— Otóż więc wasz kuzyn mości marszałku ma chorągiew, spodziewam się, odwdzięczy zaszczyt, rzekła królowa.

Lubomirski odparł coś potoczystym i długim komplementem Francuzkim; Czarniecki brodę targał, przygryzał, w szablę brzęczał, w niesmak mu widać poszło całe zdarzenie.

— Mościwy mój dobrodzieju, nagle księcia zagadnął, a ileż lat ma ten krewniak waszmości, mnie się zdaje wszakżeż on dziecko jeszcze.

Zachłysnął się nieco zagadniony; — Nie dziecko już, skoro lat szesnaście.

Prędko i pięknie szyderskim tonem odparł kasztelan:—Rozpoczyna jegomość karyerę swoję w szesnastym roku rotmistrzem, ja miałem dwadzieścia i pięć lat, gdy ten honor spotkał, i to gdy już w dziesięciu okazyach dało się dowody nie zajęczego serca; to prawda że jak ichmość Krysztoporski i ja nie pan z panów, lecz chudy jestem szlachcic z zagona.

Zmarszczył czoło książę, już się do jakiejś odpowiedzi zabiérał, gdy królowa która zapewne nie miłą sobie i jemu chciała przerwać rozmowę, zwróciwszy się do Kordeckiego wyrzekła:

— Otóż już dwóch dobrych i dzielnych naszych poddanych, jeźli nie według ich zasług, to możności udało się wynagrodzić. Na was teraz kolej wielebny ojcze, nie macie zacz jakiego żądania, jakiéj prośby do nas?

— Nie, miłościwa pani.

— To być nie może, ieźli nie dla siebie, to dla kogo z blizkich lub rodnych; usługa jakąście nam wyświadczyli, zaprawdę zbyt wielka, aby mogła bez nadgrody pozostać.

— Nie mam krewnych, smutno odparł kapłan; jeden z braci gardło dał w wojnie Kozackiéj, drugi od Tatarów wzięty w jassyr, nędznie na Krymie dokonał żywota; dla siebie zaś, czegóżbym miał pragnąć, alboż nie dość na tém, co już posiadam?

— Ależ przecie i dla was znalazłaby się nagroda, opactwo, infuła.

— Nie wzdragajcie się księże Augustynie, żwawo wyrzekł Czarniecki, widząc że rycerz zakonnik wyraźnie wahał się; przypomnijcie sobie stare nasze przysłowie: bierz Michale co Pan Bóg daje; i drugie: drzyj łyka kiedy się dadzą.

Uśmiechnęli się wszyscy przytomni, królowa a nawet i przeor, lecz już jego postanowienie było wzięte. —Dziękuję ci za radę kasztelanie, wyrzekł, a zwracając się do królowéj rzekł głosem mocnym lecz z uszanowaniem:

— Przebaczy W. K. M. że jéj łaski jakkolwiek świetne, poważam się odrzucać. Bóg widzi nie z dumy to czynię, lecz że tak nakazuje powinność. Mnich, poprzysiągłem przed ołtarzem Najwyższego ubóstwo i pokorę, chcę im wiernym pozostać.

— Ojciec święty przecież mógłby dać indulgencyą.....

— Potrafiż ją dać sumieniowi mojemu?

* * *

— Koniecznie więc chcecie abym ja i małżonek król Jan, zostaliśmy dłużnikami waszymi? wyrzekła po chwili

milczenia, poprzedniéj odpowiedzi przeora wypadkiem, Marya Ludwika.

Minutę pomyślał Kordecki, i rzekł:

— Gdyby W. Miłość, na klasztor zwróciła swe względy....

— I owszem, nadam dobrami, święty obraz bogatą sukienką ozdobię, kaplicę zwiększę, do skarbcu kosztowności na jakie się zdobędę, dam....

Skłonił się kapłan: — To dla kościoła, lecz dla fortecy?

— Jakto rozumiécie *reverendissime*?

— Twierdza tutejsza jak się pokazało niedawno, jest kluczem i tarczą krainy, jéj opatrzenie i utrzymanie, niech będzie na względzie W. K. Mości.

— Ma się rozumiéć, i o tém już myśleliśmy, zwiększą się mury, opatrzą, ustanowi załoga, a będzie ona pod wyłącznem waszém księże Augustynie i twoich następców dowództwem; aby zaś byliście w możności stosowne wydatki ponosić, nada się parę starostw, jak Brzeźnickie i Kłobuckie, król Imć zgodzi się na to, nieprawdaż?

Odwróciła się do małżonka, siedział on ciągle zadumany, brzęczał po szybie i uważnie na zewnątrz poglądał, zapewne z dopiéro co przytoczonéj długiéj rozmowy ni jednego nie zachwyciwszy wyrazu; gdy zaś królowa powtórzyła pytanie, niby z głębokiego snu ocucony, przecierając oczy zagadnął:

— A jakże się zowie ten zamek, co ot widzę przed sobą?

Naturalnie że wszyscy podobném, niestosującém się do rzeczy i pytania królowéj, zagadnieniem byli zdziwieni. Marya Ludwika lekko sfałdowała białe swe czo-

ło, chciała coś rzec, lecz Jan Kazimiérz niecierpliwie powtórzył:

— Pytam się o ten zamek co z okna widać, sądzę niewięcéj nad milę odległy?

— Jestto Olsztyn, moje starostwo, wysuwając się z grona przytomnych, wyrzekł Karol Walewski.

— Olsztyn, Olsztyn, słyszałem coś o nim, a kto go fundował, wiész aść?

— Najjaśniejszy panie, Kazimiérz Wielki, jak stoi w kronikach, Zygmunt zaś August odnowił.

— Ach, ostatni z Piastów założył a ostatni z Jagiellonów restaurował, ja ostatni z Wazów, cóż zrobię?

Zadumał się, zasępił, wszyscy milczeli, po chwili rzekł znów:

— Pokażesz mi go waść?

Ukłonił się starosta: — Jestem na rozkazy W. K. Mości. Kiedyż?

— Dziś jeszcze.

— Dziś? powtórzyła królowa, co znowu W. K. M. chcesz tam pojechać?

— Czemu nie, czas piękny, droga niedaleka, za godzinę będę.

— Lecz wieczór ma być rada wojenna.

— Odłoży się na jutro.

— Pan regimentarz chciał z swemi chorągwiami dziś jeszcze pociągnąć na Piotrków.

— Pociągnie jutro.

— Ależ to nie sposób, jedna chwila stracona w okolicznościach w jakich zostajem, niepowetowaną przynieść może szkodę.

Król brwi ściągnął, a szpadę jak miał zwyczaj gdy był w złym humorze, pociągnął od lewego boku przed

siebie:— Moja pani, pozwólże mi choć raz mieć własną wolę.

— Idzie tu przecież o dobro W. K. M., ocalenie kraju, wyrugowanie Szwedów.

— Mości koniuszy, rzekł Jan Kazimierz Adamowi Myszkowskiemu, niech konie będą gotowe, za pięć minut pojadę.

* * *

Gdy orszak królewski przebywszy fosy i wały, wjeżdżał w główną bramę Olsztyńskiego zamku, król wstrzymał konia, a przyglądając się murom w skale kowanym, szerokim przekopom, obszernym wałom, widząc że wszędzie sztuka dopomagała naturze i nawzajem, wykrzyknął:

— Ależ to cud podobna forteca, nie wiedziałem abym w moich państwach równie mocną posiadał, zaiste niezdobytą być winna.

— Kilka też razy zwycięzko udaremniała wszystkie wysilenia wrogów, odparł Czarniecki, np. za ojca W. K. Mości ś. p. króla Imci Zygmunta III, arcy książę Maxymilian daremnie o jéj wzięcie kusił się.

— A Szwed byłże tu?

— Po dniu szturmu wziął.

— Jakto być może, mości starosto! czy sposób?

Zarumienił się Walewski:— Najjaśniejszy panie, ammunicyi braknęło, nie było żadnéj nadziei odsieczy, wreszcie cały kraj uległ.

— Częstochowa przecież chociaż w tych samych zostawała okolicznościach, broniła się.

Starosta milczał, Czarniecki szepnął półgłosem:

— W niéj dowodził Kordecki.

* * *

Po godzinnym przeglądzie zamku, po przyjęciu lekkiego podwieczorku, król zaszedł do ogromnéj wieży,

która niby olbrzym jaki dumnie dźwigła się pod błękit niebiosów, wysoko górując rzeszcie zamku a nawet okolicy całéj.

— Oto izba Kazimiérza Wielkiego, mówił starosta, wprowadzając monarchę do obszernéj komnaty, całe piętro wieży zajmującéj, na jéj ścianach grube wpółwytarte malowidła, w oknach, a było ich cztery, na każdą stronę świata, szyby drobne słońcem spalone, w ołów oprawne, posadzka z cegły Toruńską zwanéj, sprzętów mało, parę zydli koszlawych jedna ławka i dwie z poręczami, krzesło wzniesione na trzech dębowych gradusach.

Krzesło zaś było już w części spróchniałe, a pokrycie z skóry grubéj złoconéj w figury ptaków i zwierząt, podarte, spłowiałe.

— Ważny to przecież antyk, mówił starosta, podanie bowiem zapewnia że w niém zwykle siadywał wielki król gdy odwiedzał Olsztyn, ugościł w téj izbie, dlatego téż od wieków strzeżone jest pilnie.

Milcząc naprzód obejrzał, potém usiadł w krześle Jan Kazimiérz, usiadłszy zaś według zwyczaju, wpadł w głęboką zadumę.

— Najjaśniejszy panie, konie już gotowe, wyrzekł wchodząc wielki koniuszy.

— Niepotrzebne na dzisiaj, rozsiodłać każ je wać, przenocujem tutaj.

Koniuszy nie śpieszył się z wykonaniem rozkazu i kręcąc wąsa został na miejscu; król to dojrzał i niecierpliwie rzekł:

— A czegoż aść czekasz, co masz mi rzec? nie słyszałżeś com kazał?

Zachłysnął się nieco Myszkowski i jąkał:

— Najjaśniejszy panie, krolowa jéjmość prosiła o powrót.

— Królowa jéjmość, królowa jéjmość, powtórzył gniewnie monarcha, wszystko i wszędzie ona, ja więc nic, żadnéj władzy nie mam?

Odszedł koniuszy, przystąpił starosta.

— A więc każę nocleg przyrządzić, przebaczy W. K. M. jeźli on nie będzie równie wygodny, jakbym życzył sobie; lecz przygotowany nie byłem.

— Garść siana i siodło pod głowę, gdy nie masz poduszki a zadowolniony będę; podobnie spałem pod Beresteczkiem, podobnie zapewne nieraz jeszcze spać będę, odparł król.

— Ach! co lepszego znajdzie się, odrzekł z lekką dumą własnéj miłości starosta. Pokoje w których niegdyś król Jmć brat W. K. M. ś. p. Władysław IV zamieszkiwał, szczęściem uszły łupieży Szwedzkiéj, zamieszkiwał je bowiem graf Wrzeszczowic, każę przyrządzić.

— Nie, ja w téj izbie przenocuję.

— Tu? ależ najjaśniejszy panie, nie wygodnie będzie, ciasno.

— Nie znaczy nic.

— Smutno i zimno, niech się zmiłuje W. K. M. przyjmie tamte.

— Ach! gniewnie odparł król, na świętego Kazimiérza mego patrona, uparliście się jak widzę, aby mnie niepokoić; jak rzekłem, niech będzie.

Starosta odstąpił a do Czarnieckiego zbliżył się.

— Inna jeszcze rzecz niepokoi mnie; w téj izbie od wieków nikt nie spał.

— Dlaczegoż?

— Tu przeszkadza.

Przeżegnał się Czarniecki, który jak wielu znakomitych ludzi swego czasu, zabobonny był nieco: — do prawdy?

— A tak, król Kazimiérz Wielki pokutuje, — uderzył się w czoło, — i jeszcze jak na złość dziś 1 kwiecień, i trzysta lat dzień w dzień od fundacyi zamku.

— Cóż tedy?

— Dziwne rzeczy mówią ludzie.

— A i cóż tam ma pan starosta, wyrzekł nagle monarcha, który nie wiedziéć jakim sposobem, choć zadumany, podsłyszał dwóch szlachty rozmowę.

Starosta nie wiedział co odpowiedziéć, zastąpił go Czarniecki śmiejąc się.

— Pan Walewski opowiadał mi właśnie rzecz która zapewnie skłoni W. K. M. do rejterady z téj izby: tu król Kazimiérz pokutuje.

— Baśnie starych bab, plotki bez sensu i składu.

— Najjaśniejszy panie, wysunąwszy się rzekł starosta, przekonałem się sam, w aktach Grodzkich mam dowód.

— Ach to śmiesznie i jakież to dowody?

— Gdy objąłem pięć lat temu starostwo, a wprowadziłem się, że trzeba było tu i tam restauracye przedsięwziąć, bo imć pan krajczy Wielopolski nie w osobliwym oddał porządku, rugowanych z niektórych części zamku żołnierzy załogi przeniosłem do wieży, żaden przecież w téj izbie nie chciał spać, próżne były me rozkazy, nagany i kary, uporu trudno przełamać; chcąc tedy zawstydzić trwożliwców a ośmielić ich, wziąwszy z sobą kapelana i dwóch dworskich z nabitemi rusznicami, chciałem tu przepędzić noc. O dwunastéj....

— A o dwunastéj cóż?

— O północy, że to już jak mi się zdawało godzina duchów przeszła, zabierałem się do spoczynku, ksiądz kapelan Ambroży Kiedrzyński szeptał modlitwy za umarłych, moi dworzanie spokojnie na ławkach siedzieli, gdy nagle choć noc była dotąd spokojna, gwałtowny wicher zaszumiał, wyrwał okno i tumanem wbiegłszy do komnaty zgasił nasze światło. Naturalnie, powstałem czém prędzéj z łóżka, i szukając drzwi, gdym doszedł do tego krzesła na którym właśnie W. K. Mość siedzi, zdawało mi się że coś białego na niém jest, a ot niby mgła jaka w formę człowieka sklejona; zimny dreszcz przeszedł członki, jednak uzbroiwszy piersi znamieniem krzyża świętego zbliżam się, a kapelanowi wodą święconą pokrapiać każę, czyni com zalecił, exorcyzmy gada, gdy głos dziwnie poważny a tęskny rozszedł się: — „Dajcież mi pokój, jeszcze nie czas łaski" i wyraźnie postać jakaś ludzka, któréj przecież rysów twarzy rozeznać nie sposób, zszedłszy z krzesła, zaczęła się przechadzać wolnym krokiem po izbie, a właśnie z szmerem jakby kto papiér po podłodze przesuwał, wtedy jak mnie tak kapelana i dworskich, zimny pot oblał, najeżyły się włosy, febra trzęsła, wybiegliśmy wszyscy,

— Kuglarstwo czyjeś a wasze tchórzostwo, rzekł król.

— Nie, najjaśniejszy panie, nazajutrz gdy wróciliśmy choć nikt do izby nie wchodził, okno które nam się zdawało że na drobne kąski wiatr rozbił, było szczelnie zamknięte i całe, a co w naszéj ucieczce obaliliśmy sprzęty, znalazły się wszystkie na swoich miejscach w porządku.

— A jak wiész że to mój przodek Kazimiérz III przeszkadza?

— Naprzód powszechna tradycya ludu głosi, potém w aktach jest dowód; ś. p. poprzednik W. K. M. król Zygmunt August odwiedzając Częstochowę, zajechał do Olsztyna dnia 1 kwietnia 1556 roku.

— 1556 roku dnia 1 kwietnia, a więc dzisiaj lat sto.

— Tak, rzekł starosta, a zadumał się trochę niby uderzony dziwnym zbiegiem dat,— lat sto właśnie w drugą rocznicę fundacyi zamku.

— Kiedyż tedy założony był on?

— 1 kwietnia 1356 roku, jak stoi na marmurowéj tablicy nad bramą.

— Cóż tedy mój poprzednik Zygmunt August? kończ aszeć.

— Przyjechawszy do Olsztyna, kazał sobie, jak to W. K. Mość uczynił, szczegóły zamku pokazać; zaprowadzony do téj izby, gdy drwiąc z prośby Firleja ówczesnego starosty, przenocował tutaj, — koło piérwszéj z północy nagle przebudził swój dwór, dziwnie zaś był przerażony, blady i drżący; mówił że widział swego antecessora Kazimiérza, a właśnie w téj postawie i ubiorze w jakim leży w grobach królewskich w Krakowie; dodał téż że rozmawiał z nim, i przypomniawszy sobie ową rozmowę, rzewnemi zalał się łzami.

— Jakaż tedy była ona?

— O tém milczy podanie, król jéj nikomu nie wyznał, a chyba księciu wojewodzie Mikołajowi Czarnemu Radziwiłłowi i biskupowi Myszkowskiemu swym powiernikom i ulubieńcom; lecz to byli ludzie wstrzemięźliwi, żaden ni słowa nie mówił, a tajemnicę z sobą zaniósł do grobu; jeden tylko szczegół między dworskimi wiadomy był, a to, że Zygmunt August miał się dowiedzieć od ducha, iż siedmdziesiątego drugiego roku dożyTom IV. Grudzień 1846. 65

je; jakoż sprawdziła się przepowiednia, lecz nie co do liczby lat życia monarchy, ale do daty jego zgonu.

— Tak—wtrącił Jan Kazimiérz—umarł 1572 roku, po odwiedzinach tedy zamku—żył jeszcze lat szesnaście.

— A i to pewna najjaśniejszy panie, kontynuował starosta, że noc piérwszego kwietnia w téj wieży, daleko jest niespokojniejsza, niż która bądź inna; słychać straszliwe wzdychania i jęki, okna téj izby cudownym sposobem oświecone bywają, a i w podziemiach zamkowych, a w tych w których, jak tradycya zapewnia, miał być Macko Borkowicz zabity, przeszkadza téż.

Nie odpowiedział nic król — podparłszy się łokciem o poręcz krzesła, złożywszy na dłoni czoło, dumał głęboko; starosta Czarnieckiemu poszepnął:

— Zaprawdę nie wiém co teraz robić, azaliż tu, lub gdzieindziéj przygotować nocleg.

— Przygotuj go WMość jak wprzódy chciałeś, znam króla; jak każdy dobry katolik i chrześcianin, nie zechce brawować duchów.

Omylił się przecie w domyśle; — po kwadransie zadumy, Jan Kazimiérz Myszkowskiego przywołał.

— Panie Adamie, wierzyszże temu co mówił starosta?

— Hm — najjaśniejszy panie — zgadzam się zupełnie z zdaniem Waszéj Miłości.

— To dobrze, a więc tu przenocujesz wraz ze mną.

Nizko ukłonił się dworak, a jakkolwiek ciarki strachu przechodziły po ciele, rzekł:

— Będzie to dla mnie honor, zaszczyt.

— A więc każ sobie przynieść siana, kobiercem nakryj, a umieść się we drzwiach żeby nikt nie wszedł; co do mnie, noc przepędzę w krześle, rozstaw téż straże od

zewnątrz, a światła niech będzie dość, i jeden i drugi z dworskich na zawołanie.

— Może i kapelana zamkowego przywołać?

— Nie.

* * *

Noc była ciemna, dżdżysta, ponura, powietrze jak w podobnéj porze roku zdarza się często, oziębiło się nagle, chłodny wicher syczał, wył, a bił po oknach deszczem i śniégiem, milczenie było na okrąg, milczenie posępne, uroczyste, tajemnicze; przerywał je tylko od czasu do czasu, głuchy wykrzyk straży umieszczonéj na basztach i wałach zamkowych.

W wieży większa jeszcze cisza niż w reszcie zamku; według królewskiego rozkazu, kilku tylko dworzan i dwóch czy trzech żołniérzy w niższém piętrze czuwało, reszta rozeszła się na kwatery jakie dał starosta; w izbie Kazimiérza Wielkiego, prócz monarchy, sam tylko koniuszy Myszkowski znajdował się.

Izba zaś oświecona była rzęsisto: naprzód trzema kagańcami po kątach zamieszczonemi, potém cztérema jarzącemi świecami, w srebrnych lichtarzach umieszczonemi; stały one na marmurowym stole, które z swego mieszkania kazał przynieść Walewski.

Na tym stole téż postawiono butelkę słodkiego tokaju jakie lubiał król, karafkę wody, duży srebrny roztruchan i cukru kanaru blizko funta, prócz tego Jan Kazimiérz, kazawszy go przysunąć do swego krzesła, złożył na nim swą szpadę, dwie Francuzkie bogato w srebro oprawne krucice i krzyż złoty z relikwiami, dar ojca świętego, który zawsze nosił na piersiach.

* * *

Czas biegł, niepogoda wzmagała się, wicher szumiał, wył, huczał, dészcz i śniég coraz mocniéj padał; król, na

którego każda zmiana temperatury silny wpływ wywierała, coraz więcéj był posępny, i co mu się rzadko zdarzało, szybko po izbie, zkrzyżowawszy ręce na piersiach, przechodził się; koniuszy przeciwnie, jakkolwiek przyrzekł sobie że czuwać będzie, niedługo mógł się bronić snowi, napróżno darł się za wąsy, po ciele szczypał, oczy kleiły się jakoś, że w godzinę mniéj więcéj zasnął głęboko.

Król to dojrzał i machinalnie na zegarek spojrzał, było w pół do dwunastéj; niepojęta jakaś obawa zdjęła go wtenczas, zimny dreszcz wstrząsnął, przystąpił do Myszkowskiego, za ramię ujął.

— Ać śpisz?

Koniuszy milczał.

Jan Kazimiérz wstrząsnął nim silnie: — obudź się, pogadaj ze mną godzinkę, pół godziny.

Lecz koniuszy nie przebudził się wcale.

Królowi to się nie podobało, a gdy kilka chwil napróżno cucił, przestąpił śpiącego chcąc drzwi roztworzyć i którego z pachołków przywołać; z podziwem ujrzał przecież że ciężkie blachą obite podwoje, nietylko były na klucz zamknięte, ale i założone podwójną żelazną sztabą, kilkominutowy zaś silny kołat do nich nie sprowadził nikogo.

— Na świętego mego patrona,—wyrzekł wtedy niecierpliwie a brwi marszcząc monarcha, —doprawdy nie pojmuję co się dzieje, gdybym nie znał tego człowieka, (wskazał na Myszkowskiego), sądziłbym że niedbalec, że śpioch; tyle przecie razy mogłem się przekonać że jest inaczéj, był czujny i baczny, lada skrzyp, jedno me słowo budziło; ach i drzwi zamknięte, zatarassowane niby w gotowości do obrony przeciw Tatarom, czemu? nie kazałem przecież.

Zamyślił się na chwilę i dodał:

— Nie słyszałem nawet jak zamykano, nie widziałem przy wejściu wrzeciądzy, zkądże teraz są? nie zdradaż to jaka z strony starosty? z Szwedami niedawno jeszcze był w zmowie, Sadowski jego krewny, lecz znowu onby zamknął od strony zewnętrznéj; widać uczynił to Myszkowski, nie ma większego nieszczęścia jak zbyt gorliwi dworzanie.

Odszedł ode drzwi, a utrudzony kilkominutném kołatem, usiadł w krześle, marzyć zaczął i szeptał:

— Przecież bądź co bądź, szaleństwo popełniłem, upiérając się noclegować w téj izbie; niewygodnie w niéj, chłodno, a nie wiém czemu, jakaś dziwna trwoga przejmuje, tak tu smutno i pusto, i gadanki starosty gdyby to była prawda? Ostatni z Piastów mój po kądzieli naddziad, ostatniemu z Wazów, gdyby się miał widocznie pokazać! ależ to głupstwo, co znowu, grzéch nawet myśléć; przecież wypadek Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiełłów; dziwna rzecz w ciągu trzech stuleci, ten zamek, ta izba przyjmowała noclegiem trzech ostatnich odłamków świetnych monarszych rodzin; dwaj tamci moi poprzednicy byli szczęśliwi; lecz ja, ach ja! (dotknął się głowy) ciernista to korona którą nosić muszę, i berło na me ręce za ciężkie i los nad me siły udręcza, zaiste pod nieszczęśliwą przyszło urodzić się gwiazdą; od kolebki ciągłe kłopoty i troski, jednéj chwili nie ma wytchu, a jakież dziwne odmiany w życiu; rycerz, ksiądz, zakonnik, kardynał. Więzień na drugim kraju Europy, potém król; wzdrygnął się—och! ze wszystkich utrapień, najcięższe dla mnie królowanie, byłże w świecie nieszczęśliwszy ode mnie monarcha? to rebelia zakłuca, to wojny domowe i zewnętrzne, tron bez ustanku chwieje się,

berło wypada z rąk, a inne dolegliwości; zaiste krwią a łzami wpisane me rządy w księgę dziejów téj krainy; jakiegoż utrapienia brak, wszystkie klęski po kolei i wspołem zléwają się, powietrze, głód, ogień i wojna, a co ja, że tak dręczysz, zawiniłem o Boże!

I podobnie dumał i szeptał jeszcze chwil kilka, i westchnienie wstrząsało piersią, i łzy po bladych policzkach płynęły, wreszcie uspokoił się nieco, a złożywszy czoło na ręku, podparłszy się o twardy marmurowy stół, zasnął.

Źlem się przecież wyraził, nie był to sen; był to raczéj ów stan jaki niejednokrotnie nachodzi nas, owe wpółczuwanie, w czasie którego myśl i dusza człowieka Bóg wie gdzie bujają, lecz zmysły nie opuszczają ciała, szczególniéj téż słuch a niekiedy i wzrok.

Jak zaś długo był w tym stanie monarcha, za pewne nie umiałby powiedzieć sam, mniéj jednak niźli godzinę.

Umysł zaś jego zaprzątnięty smętnemi poprzedniemi marzeniami, zwracał się mimo woli do nich, i po jakiejś chwili i usta, machinalnie może, szepnęły:

— Ach! tak, nie ma dla mnie nadziei, nie ma zmiłowania Boskiego; los mój rzucony, nieszczęśliwym będę jak byłem.

— Nieszczęśliwym! a i kto temu winien, gdyś nie ty sam? —ozwał się nagle smutny i poważny głos tuż przy monarsze.

Jan Kazimiérz wzdrygnął się, wyprostował na swém krześle, przetarł oczy i czoło niby człowiek nagle przebudzony ze snu.

Przed nim stał 60-letni mniéj więcéj starzec, wiek przecież mało zdawał się wywiérać wpływu na mocną budowę ciała; długa, szeroka, a na dwoje rozdzielona

broda zataczała się na jego pierś, czarny włos kędzierzawy nieco, pięknie ocieniał wysokie, jasne i pogodne czoło; oko duże, pełne, podłużne, iskrzyło blaskiem młodzieńczego zapału, silnéj woli, niezłomnego hartu duszy.

Jan Kazimiérz machinalnie sięgnął za szpadę, lecz tajemniczy starzec jedném trąceniem po ręce, wysunął ją, a rzekł z uśmiechem:

— Zaiste krewniaku, nieszczególnie przyjmujesz praojca twojego, azaliż nie wiesz kto jestem?

Król bacznie spojrzał mu w oczy, całemu przyjrzał się.—Ach ty jesteś ostatni z Piastów, mój naddziad, fundator tego zamku, Kazimiérz Piast.

— Ten sam, jeźli nie ciałem to duszą; tak, jestem ostatni z Piastów, jak ty z twego rodu ostatni, witam więc pradziad prawnuka.

A dziwna rzecz, ni te słowa tajemniczego starca, ni jego cudowne ukazanie się, nie strwożyły Jana Kazimiérza, nie odjęły władzy jego duchowi, zmysłów nie przywiodły o roztarg; niepojęte zjawisko niczém nadzwyczajném nie wydawało mu się, ale ot, rzeczą pospolitą, codzienną, na którą nie warto zwracać uwagi; cóż dopiéro dziwić się lub bać?

I co więcéj, powstawszy z krzesła, przystąpiwszy do naddziada bez trwogi, chociaż zmysły były w całéj sile, począł z nim rozmawiać niby człek świata z podobnym sobie człowiekiem, syn z ojcem, przyjaciel z przyjacielem.

A przecież pamięć jego czuwała, i dobrze wiedział, że ten, z którym spokojnie rozmawia, od trzystu już lat snem wieczystym zmorzony, spoczywa w głębi pieczar zamkowego Krakowskiego kościoła; wszakże tam widział jego grób i modlił się na nim.

* * *

— Ach ojcze! mówił cierpkiém słowem wyrzutu, odpowiedziałeś na mój wykrzyk rozpaczy za swém tutaj przybyciem, ciężko a za prawdę niesprawiedliwie obwiniasz; jaż-to winien memu nieszczęściu! ach ojcze, chyba nie znasz dziei mojego życia, dziei smętnego królowania!

I jak człowiek który wywnętrzeniem trosk chce ulżyć sercu, długo i obszernie rozpowiadać zaczął wszystkie szczegóły swego życia, przedewszystkiém zaś odkąd Bóg na tron powołał, malował okropną wojnę, spadek po bracie, rebelię Chmielnickiego, najazdy Tatarów, daléj wojnę ze Szwedem, owe straszliwe boje, które kraj dotąd bogaty i ludny w dziką zamieniły pustynię; nie przepomniał i innych klęsk, moru, głodu i innych jeszcze, nieudolnéj obojętności szlachty, zdrady Radziejowskiego i zdrady lub odstępstwa stu innych magnatów, swego tułactwa po obczyznie, swych kłopotów i cierpień.

Kazimiérz Piast słuchał z uwagą, jednego słowa prawnuka zdawało się nie tracił, gdy opowiadanie doszło do końca, zapytał:

— A i cóżeś uczynił aby tamę złemu położyć?

— Och, odparł z lekką dumą własnéj miłości nieszczęśliwy monarcha,—zapytaj świadków Beresteckiéj, Zborowskiéj i innych wypraw, azaliż nie stawałem jak na hetmana i żołnierza przystało, piérwszy w napadzie, ostatni byłem w odwrocie.

— O! nie o to cię pytam, nie o twoje wojenne podboje, dobry żołniérz, umiałżeś być królem, potrafiłżeś *chcieć*, umiałżeś *módz*....?

Jan Kazimiérz pełne podziwu spojrzenie zwrócił naddziadowi swojemu...; ten nawzajem uważnie spojrzał mu w oczy, niby przez nie chciał się wryć w jego duszę

i serce, wszystkie ich tajniki zrozumieć, kto wie może i do mózgu rad był zajrzeć....

— O! rzekł po chwili tego poglądu,—rozumiem teraz, krew Jagiellonów nie myli; dobre chęci są, lecz wola....

Zasępił czoło, brwi ściągnął i szepnął.....

— Nieszczęśliwy ten kraj!...

* * *

— Wytłómacz się ojcze, mówił Jan Kazimiérz, a zamiast dręczyć naganą, czemuż nie masz pocieszyć nadzieją, lub dobrą radą pokrzepić....

— Ach! rady chcesz!...

— Tak, jestże bowiem kto aby mi ją dał? na całym obszernym świecie jestże kto komuby zaufać, w czyje serce złożyćbym mógł moje, ktoby posłuchał cierpliwie moich trosk, przyniósł im zaradę?.... moi radzcy... mówiłem ci już o nich, z małym wyjątkiem przed miesiącem jeszcze służyli Szwedowi; moi dworzanie... daj arendę, starostwo rzuć, masz pełzaczy, pochlebców, masz wiernych sług, i nic więcéj; o! ciężkie życie, cierpki los.... tyś był szczęśliwszy ojcze, w lepszych i poczciwszych czasach żyłeś, nie poddanymi, lecz dziećmi władałeś; a twoi radzcy przyjaciołmi byli, twoje królowanie toż pasmo szczęścia, długie lata pokoju, a twoje imię dotąd w powszechnéj u świata czci i jedyne przez ciąg bytu krainy, które z przydomkiem wielkiego, historya wdzięcznéj potomności podaje..!

Gorzko uśmiéchnął się Kazimiérz Piast.

— „Ach! rzekł: czy mniemasz, że moje panowanie mniéj od twego zakłócone było, mniéj byli potężni nieprzyjaciele zewnętrzni, mniéj groźne domowe wrogi, pomyślniejsze okoliczności?

— Czy mniemasz, że korona tego kraju różaną a nie cierniową była dla mnie, że berło niejednokrotnie utrapliwym ciężarem mi było?

— Czy sądzisz, że pomyślność ludu, która błogosławieństwem dotąd mojéj pamięci, trafem losu, zrządem łaskawego przeznaczenia a nie mojéj pracy, mych starań wypadkiem?

— Sądziszże wreszcie, że nazwa wielkiego, którą ja jeden z 40 monarchów Lachii umiałem pozyskać, nie jest kupiona ceną mojéj krwi, ceną tysiąca niedospanych nocy, tysiąca dni w pracy strawionych, wyparciem się wszystkich przyjemności życia, wszystkich do domowego?

— Posłuchaj.

— Otóż w jakim stanie objąłem po śmierci ojca tron i koronę.

— Naprzód moje państwo było tylko szyderstwo królestwa przy ogromie tych dziedzin, drobna chata wieśniacza w zrównaniu z pałacem magnata.

— Trzy Mało —i dwa Wielkopolskie województwa, ziemia Sieradzka, Łęczycka i pół Kujaw, oto mój kraj.

— A rozliczmy sąsiadów.

— Na północy Krzyżak; znasz z dziejów jaka jego potęga, nie mógł jéj złamać Władysław Jagiełło, chociaż rozrządzał wszystkiemi siłami Polski i Litwy; po czternastoletniéj wojnie ledwie tego dokazał Kazimiérz IV i to wtedy, gdy dumny zakon wstrząśniony był w fundamentach zbytkiem i nadużyciami swych członków, mnichów—rycerzy.

— Na wschód zasiadał Litwin, niby wiosennemi roztopami nadęty potok, szeroko na wszystkie strony świata rozlał się, pojąc swe konie w Bałtyku, graniczne słu-

py u morza Czarnego wkopywał; a gdy przyszła chęć któremu z jego książąt, łupem z sąsiadów zbogacić swój skarbiec, to na jedno jego skinienie, niezliczone hordy rozbiegały te nad Odrę tamte nad Wołgę, jedne w stepach przy-Dońskich ścierały się z Mogołem, drugie ogniem i mieczem niszczyły Pruskie i Inflantskie dzierżawy.

— Od południa był Węgier, a i Węgier ówczesny, to nie dzisiejszy twój wazal Niemiecki, łup Turków, lecz silny pan, w całéj potędze młodości monarcha, pięć koron jednoczył w jednéj, a gdy na północy Halickim Rusinom dawał króle z swego ramienia, od południa ciemiężył Dalmaty i Serby a w głąb Włoch do Neapolu żelazne swoje zasyłał zastępy.

— A i zachód niemniéj od innych stron groźny był dla mnie; tu Brandeburczyk co zdradziecko życie Przemysławowi odebrał i na moje czyhał; tam Niemiecki cesarz, gdzieindziéj dumny Czech rozsiadał.

— A wszyscy ci sąsiedzi objąwszy między silne swe cielska drobną monarchię, oczekiwali tylko na sposobną porę, aby jéj cios smiertelny zadać.

— Od żadnego zaś nie spodziéwaj się zmiłowania; zdrajca Krzyżak wzrosły naszemi ziemiami i resztę pragnął pochłonąć; nie oszczędzał Litwin, lecz rok rocznie od Bugu po Wartę rozrzucając swoje zagony, tłumami nieszczęsnych naszych jeńców zaludniał swoje pustynie; i Węgier rad był pod swe berło zagarnąć i Niemcowi solą w oczach było drobne królestwo, którego on, tytularny chrześciaństwa władzca, nie mógł panem nazwać się.

— Przypomnij téż sobie że i Czech rościł prawa do méj korony, i miał większe bo na sile oparte.

— Cóż dopiéro gdy w skład wewnętrzny kraju spojrzałeś!

— Zlepka dwudziestu niedawno jeszcze niepodległych księztw, ludów i ziem, miałaż jedność wspomnień, wyobrażeń, praw i zwyczajów?

— Miasta były nieliczne i ubogie, najazdy Niemców, Mogołów i Litwinów, wojny Czeskie, Węgierskie i Krzyżackie wyludniły je, wszelki przemysł zabiły.

— Lud był nędzny i udręczony, wsie — sterty lepianek, szałasów, ależ cały kraj był ich zbiorem prócz Krakowa, a i tam niewiele; gdzieżeś ujrzał muru choć skrawek?

— Co do szlachty, ani żądaj od niéj pomocy, nie żądaj jakiego bądź ładu; poczciwi ludzie, lecz długi nierząd zbałamucił, bezkarność i nieporządek weszły w krew, igrzysko dumy panów, ciesząc się pozorną równością, niweczyli najświętsze zamiary książąt; nieszczęsny kraj o większe jeszcze przywodzili nieszczęścia.

— Panowie zaś?... zajrzyć w piérwszą lepszą kronikę, a dowodnie ujrzysz czém byli; nie oniż to nieszczęśliwego mojego ojca dwukrotnie z tronu strącali, nie oniż oddali berło Czechowi, a Litwinom i Krzyżakom w rodzinnéj ziemi ułatwiali podboje?

— Dodaj do tego żem był młody, niedoświadczony, niewzwyczajony do pracy; że ojciec pobłażaniem, matka pieszczotą, dworzanie pochlebstwem zbałamucili, żem lubił życie bezczynne, wesołe, że nie powiém, rozpustnie występne.

* * *

— Ach, okropnym był dla mnie piérwszy dzień rozwagi, zastanowienia, obrachowania się z własnemi i z siłami kraju; głowa pękła, gorące łzy po licach płynęły,

widziałem przepaść pod mojemi nogami, a jak jéj się uchronić!...

— Szczęściem znalazłem Mentora. Był nim Jaśko z Melsztyna Krakowski kasztelan; wiek jego późny, doświadczona poczciwość, rozum niepospolity."

— Najjaśniejszy książę, rzekł, wolą zmarłego ojca twojego a mojego dobroczyńcy i pana, ekzekutorem testamentu i waszym doradzcą naznaczony zostałem, chcecież mnie w téj godności zatwierdzić?

— I owszem kasztelanie, proszę cię o to.

— Lecz czy chcesz, abym jako dobry poddany panu, senator monarsze, a nadewszystko jako człowiek chcący dobrodziejstwa ojca synowi płacić, przyszedł z słowem czystéj, bezpochlebnéj, surowéj ale pożytecznéj prawdy?

— Tego pragnę, to daj.

I starzec objaśniać mi zaczął to co już znasz, domowe i zewnętrzne stosunki mojego królestwa....

— Lecz co czynić, wykrzyknąłem rozpacznie, co czynić!...

Kasztelan odparł.

— Książę, kilka dróg, kilka, że się tak wyrażę, żyć— rozpościera się przed tobą.

— Chceszże woli Opatrzności zdać sprawy kraju, a sam drzémać na tronie, jakto czynili Biały i Czarny, Leszkowic, Kędzierzawy i Wstydliwy, Bolesławy?

— Chceszże jak twój Naddziad Mieczysław III, lub jak niedawno Czeski Wacław, nie panem, lecz dzierżawcą być własnéj ziemi, wysysać ją do ostatniéj kropli z zamożności, biednych odzierać, żebrakom ostatnie odejmować łachmany, aby gdy przyjdą złe czasy, gdy Wa-

zale pozbawią tronu, śmiać się im w oczy; bo mieć, posiadając w miejscu utrapliwéj władzy, milionowe skarby...

— Lub może pragniesz, jak twój ojciec, orężem zastawiać się niedoli, całe życie przepędzić w obozie, nie zdejmować nigdy hełmu z głowy, pancerza z piersi i po kilkudziesięciu latach bezustannéj pracy, przy końcu utrapliwego żywota widzieć, że ten oręż w którym nadzieje swoje złożyłeś, ani na cal nie odsunął złego, że twoje zwycięztwa tylko wrogom korzyść przyniosły, a laurów wstydzić się musisz, bo one szyderstwem dla łachmanów twéj purpury i niedoli monarchii?

— Lecz téż, innéj chwały, innego życia, być może pragniesz; sława dwóch twych poprzedników i imienników Mnicha i Sprawiedliwego, Kazimierzów, może serce do naśladownictwa pociąga, może jak oni, i ty odnowiciela królestwa miano, rad jesteś nosić...?

— Tego chcę, tego życzę sobie, wykrzyknąłem radośnie.

Starzec bacznie spojrzał mi w oczy, a mówił daléj:

— I możesz mieć podobną sławę jak oni i większą jeszcze, i twe imię po wszystkie czasy może być błogosławione w téj ziemi.

— Lecz, do tego trzeba silnéj woli, trzeba chcieć i umieć chcieć — zastanów się.

— Potrafiszże być dzielnym jak piérwszy, sprawiedliwym jak drugi?

— Potrafiszże wyrzec się życia czczego, rozkosznego, jakie wiodłeś do ninie, a oddać pracy, troskom, kłopotom nietylko dnie twego żywota lecz jego godziny i minuty?

— Potrafiszże wyrzec się indywidualności swojéj, a wcielić się w swój lud; być jego duszą, wolą, siłą i prawem, być jego panem i sługą, mentorem i stróżem;

cierpieć czém on cierpi, cieszyć się czém cieszy? potrafiszże umrzeć dla siebie a w nim żyć; poświęcić mu ziemski swój byt, rozkosze ciała, a może i zbawienie duszy?...

— Rozważ ciężkie to zadanie, wielkich wymaga sił, lecz też i nagroda wielka....

* * *

— „Nie wahałem się. I od téj chwili zmieniłem cały tryb życia; młodzian oddany zabawom, rozpuście, wybrykom władzy, stałem się starcem rozważnym, myślącym, pracowitym, byłem królem.

— I rozdzieliłem moje zatrudnienia i dałem każdemu kier i cel; rozdzieliłem chwile życia, żadna napróżno nie miała być straconą.

— Odłożywszy zaś na późniéj wewnętrzne urządzenie królestwa, zająłem się zewnętrznemi stosunkami jego; kto dom stawia, przed upięknieniem wewnętrza, o moc fundamentów i murów dbać winien.

— Zawarłem sojusze z Krzyżakiem i Czechem, poprzednio już pokrewieństwem złączyłem się z Litwinem i Węgrem."

* * *

— Ach ojcze, przebacz przecież, wielki błąd popełniłeś, ustąpiłeś Czeskiemu królowi Szląska, wtrącił Jan Kazimiérz.

— „Nietylko Szląska odstąpiłem, spokojnie odparł Kazimiérz Piast, daleko większą poniosłem ofiarę z ziem i mych uczuć.

— Posłuchaj.

— Konający ojciec wezwał do swéj komnaty, nie mam potrzeby wspominać ci, jakie dawał rady, zakończył je słowami:

„Synu! zarządzaj jak chcesz królestwem, trać jego najpiękniejsze prowincye, pozbądź się Gniezna, Poznania, Krakowa nawet, ale nie odstępuj Pomorza.

O tę ziemię ja całe życie krwawe boje staczałem; z jéj powodu włos przed czasem pobieliła siwizna, i śmierć przyszła przed czasem.

Broń ją, strzeż, pielęgnuj, do ostatniéj kropli krwi twojéj, do ostatniego orężnego w krainie; nie taję ci bowiem, jest to ulubiona moja ziemia, pokochałem ją dla trudów jakie dawała, dla trosk jakie nastręczała.

Widząc ją w ręku chytrego Krzyżaka, nie mogę umrzéć spokojny, a gdyby przy niéj pozostać miał, ach czuję, dusza moja na drugim świecie nie miałaby pokoju."

— Przysiągłem co chciał; a przecież.....

— Przecież, nie ostygło jeszcze jego ciało złożone w grobach przodków w zamkowéj katedrze, ostatnie słowa i prośby konającego jeszcze brzmiały w uszach, a już podpisałem akt ustępujący na wieczne czasy Pomorze mistrzom zakonu.

— Nie pojmuję cię ojcze.

— Ach nie pojmujesz więc i tego, czemu baczny ogrodnik niweczy spróchniałe gałęzie drzewa; czemu dobry lekarz, aby od gangreny obronił resztę ciała, zarażony członek odcina?

— Lecz prośby ojca, twoja przysięga?

— Aby być królem, zapomniałem być synem, i dodał:

— Rozważ, gdybyś wyrzekł się czczego tytułu króla Szwedów, czy Karol X pomyślałby o wojnie, która tron twój wstrząsnęła, a z rąk wytrąciła berło?

Zadumał się Jan Kazimiérz, westchnął: — Masz słuszność, ojcze.

* * *

Kazimiérz Piast mówił daléj:

— „Uspokoiwszy zewnętrzne stosunki, zabezpieczywszy się od sąsiadów, wziąłem się pilnie do poprawy wewnętrznego bytu krainy.

— Jaki on zaś był, powiedziałem ci już: zgnilizna, zepsucie, gdzieś spojrzał złe, a złe odwieczne, istna hydra wykorzeń jedno, dziesięć innych wyrośnie na tamto miejsce.

— Aby zaś uskromić to złe, stanowczo nad niém odnieść zwycięztwo, trzeba było siły, punktu oparcia.

— Lecz gdzie go szukać, gdzie znaleźć?

— Nie zwątpiłem jednak i Bóg dopomógł.

— Rozważywszy złe, pojąłem jego źródło, i śmiało uderzyłem w nie, a za zasadę wziąłem sobie: jedność władzy, równość praw.

— Jeden Bóg włada światem, jeden kościół na ziemi, jeden władzca powinien być w krainie, on i lud, pośrednicy niepotrzebni, a w nich leży nieszczęście.

— Lecz ten lud był nieudolny, biedny, zwątpiały, bez woli i siły; a ci pośrednicy dumni, potężni, potężni sobą, dumni starością swoich praw, a co większa wiarą w siebie.

— Ale lud — massa, a massa ma zawsze zwycięztwo, bo ma liczbę za sobą; ja wasz król, rzekłem jéj, bronić was i strzedz chcę, i ona się uradowała i wierne służby przysięgła.

— Śmieli się panowie, a chcieli dać uczuć swą władzę i wydrwić moje, jak nazywali, szaleństwo, dlatego ranili mnie w biednych poddanych, biczowali w ich ucisku i chłoście.

— Ach! rzekłem do siebie, niedługo tego będzie, i gdy ten i ów przypominając mi przyrzeczenia przyszedł ze skargą, mówiłem:

— I czemu garniecie się do mnie, alboż sprawiedliwości sami sobie nie umiécie dać? zajrzyjcie w kaletę, tam krzesiwko jest; spojrzyjcie na pole, krzemień się znajdzie.

— I oni mnie zrozumieli, i stoma pożarami jedna noc oświeciła kraj, druga i trzecia podwoiła ten widok.

— Panowie się zlękli, przybiegli do mnie i wołali w rozpaczy: Tyś nasz król, nasz sędzia i pan, tamę złemu połóż.

— Spokojnie im rzekłem: tak, ja wasz pan, wasz sędzia, król i ojciec, lecz i wy sędziowie i pany waszych poddanych, bądźcież im i ojcami, a dobrze będzie.

— Z mrukiem i złością w sercach odeszli, lecz że strach był o majątki, ulegli.

— Tak więc znalazłem czego pragnąłem, *siłę* i umiałem jak widziałeś użyć jéj."

— Lecz massa bez ukształcenia—dziki zwiérz, gryzie zarówno rękę która ją głaszcze, jak tę która ją uciska.

— „Wiedziałem o tém, dlatego chciałem ją wyrobić, upięknić, formę rozumu dać, ocuciwszy ze snu, własnéj siły wiedzą napoiwszy, chciałem tę siłę w karbach oświeceniem utrzymać.

— Zakładałem więc szkoły, nie dbając o wysokie nauki, tego tylko uczyć kazałem, co jéj niezbędnie było potrzebne do dobrego bytu.

— Bo dobry byt, nie jestże zasadą szczęścia mass?...

— Każdemu zatém co pragnął go, lub okazywał że zdolny do niego, dałem morgę roli na własność; radło, i wołka na posługę, a mówiłem „pracuj."

— I pracowano pilnie, i krzątano się według swych sił, a często i nadnie; nic tak nie zachęca do pracy człowieka, jak uczucie własności i osobista korzyść.

— Praca dla ogółu, już wysokiéj oświaty moralnéj wypadkiem; pragnąłem jéj, lecz nie chciałem wyprzedzać postępu wieku.

— Bo czyż pośpiech w innowacyach nie tak samo zgubny, jak ślepe trzymanie się starych błędów?

* * *

— Poskromiwszy szlachtę, podźwignąwszy stan kmiecy, trzeba się było obrachować z magnatami.

— Zostawiłem ich na koniec, jako najpotężniejszych; ciężka była walka.

— Przemogłem wreszcie, zniszczyłem ich odwieczne przywileje, poskromiłem nadużycia, z rąk szable wyrwałem. Biada zaś, gdy który opór chciał stawić, byłem bez litości, własnéj krwi nie oszczędzałem, znasz historyą Władysława Białego. Z natury łagodny, gwałtownych nielubiący środków, z natury miłosierny, wyparłem się własnéj natury. Zły lekarz, gdy oszczędzając cierpiącemu kilka kropli krwi, pozwala wziąć górę chorobie.

— Oto wzór mego postępowania.

— Najpotężniejszym z moich wazalów, był Macko Borkowicz, wojewoda Poznański. Dzielny zaś był to człek, prawa ręka moja w boju, mądry radzca, zastępywał mnie w zarządzie krajem, pod jegoto dozorem i okiem wzniósł się ten zamek i innych dziesiątek.... Miłowałem go téż, przed wszystkimi dawałem piérwszeństwo, że wzniósł się nad wszystkich, a piérwszym był po mnie w krainie.

— Zapomniałem, iż źle dać poddanemu taki blask, aby nim dumny mógł mniemać, że on osobistą jego własnością, nie odbiciem cudzéj; zabaczyłem że władza nie cierpi podziału, że odziewać nią kogo, jestto z niéj siebie samego odzierać.

— Przypomniał te prawdy Borkowicz. Dumny umysł, niezadowolniony drugiém miejscem w krainie, piérwszego zapragnął, magnat władzcą chciał być. Prawo mu dokuczało, dręczył mój blask. I gdym spostrzegł złe a w karby ująć chciał, i łaski moje ograniczyłem, zaczął naprzód sarkać, potém z nieprzyjaciołmi mojemi skryte wewnątrz i zewnątrz zawiązywał intrygi.

— Wezwałem go do siebie.

— Macku, rzekłem, ja cię nadałem majątkiem, ja szlachcica mało znanego, do piérwszych godności wzniosłem, mnie winieneś wszystko co posiadasz; powiedz dlaczego jesteś niewdzięczny, czemu przestałeś być przyjacielem i wiernym sługą?

— On jako chytry, uderzył w oświadczenia czystych służb, w kłamstwo powinnego poddaństwa; słuchałem cierpliwie, ale rozstając się, rzekłem: biada, jeźliby twe usta w zgodzie z sercem nie były; biada, jeźli niezadowolniony tém co masz, więcéj zapragniesz; dobrego sługę kochałem, wroga zetrę. Odszedł uśmiéchając się dumnie, miał plan w głowie gotowy, a z dawnych czasów przykłady... Udał się na Wielkopolskę, zebrał niechętnych mi baronów i grabiów i pod pozorem dobra ogółu, zawarł z nimi związek: jeden miał stawać za wszystkich, za jednego wszyscy.

— Snadno pojąłem to mniemane baczenie o dobro ogółu, lecz jak je skarcić?

— Straszna była to dla mnie godzina, okropne chwile myślunku; działając wręcz, wywołałbym krwawą domową wojnę, snadno mógłbym stracić połowę krainy; płazem przepuszczając występek, mogłem być pewny, że wkrótce nie jednego, lecz stu Borkowiczów, przyjdzie walczyć..

— Jeden tylko środek zostawał, użycie podstępu... poczciwe serce wzdrygało się na samą myśl jego, lecz rozum przyszedł z pomocą.

— On mi mówił:

— Pomazaniec Bozki, jego na ziemi miecz, od ludzkich przesądów i słabości powinieneś być wolny; sprawiedliwość nie widzi środków, lecz cel...

— I niezważałem na środki, i nie bacznegow ojewodę oszukawszy glejtem, sprowadziłem do Kalisza.

— Wtedy był już w méj mocy, drobna ptaszyna w szponach orła.

— Szło tylko o kształt kary.

— Chciałem aby ona była taka, żeby zadrżał kraj cały; aby na jéj wspominek najzuchwalsi struchleli, najobojętniejsi pobledli.

— Śmierć sama, kara miecza naprzykład, czémże jest? nie narażamyż się tysiąckrotnie w życiu dobrowolnie na zgon w boju, na łowach, w hulatykach?

— Trzeba było tę śmierć w dziesięć ustokrotnić, pojąłem to, i wiész resztę i wiész jaki był zgon Macka Borkowicza, śmierć głodu, o wiechetku siana i czarce wody, właśnie w podziemiach tego zamku.

— Oskarżono mnie o nieludzkość, okrucieństwo niechrześciańskie bez miłosierdzia, nikt nie śmiał przecież wręcz mi w głos mówić, uderzyłem w głowę złemu, od-

ciałem ją, został kadłub, ręce i nogi, lecz bez czerepu czémże były? sparaliżował gwałtowny cios, że mogłem je potrącać, pomiatać niemi do chęci, że wszystko odtąd szło po méj myśli i woli, że na całym obszarze Lachii, w tym kraju, w którym niedawno jeszcze tysiąc sąsiadów liczyłem, tysiąc potężnych wrogów, pozostałem ja sam jeden tylko, wielki, potężny; reszta była hołota niegodna uwagi, z możnowładzców uniżeni moi słudzy, z przeciwników pełzacze, z wrogów poddani, i mogłem już zakrzątać się dobrem kraju, budować gmach przyszłéj jego wielkości bez bojaźni jakiego bądź oporu; bo śmiało o sobie mogłem rzec: prócz mnie, nikogo tu nie ma, ja pan, ja król. A tém śmieléj mogłem to rzec, bo nietylko otwarte złe, lecz i skryte zniszczyłem, potężniejszą od możnowładztwa zwalczywszy hydrę-intrygę.

— Oto jak było.

— Bóg srodze nieraz doświadczał, szczególnie téż równo temu lat trzysta; przyszedł mór, głód i ogień; gdzieś spojrzał sioła puste, miasta niby po najokropniejszéj wojnie, w pustce, w ruderze.

— Krajało się z bólu me serce, zarady złemu nie było, zboże od mnogich lat zachowane w spichrzach, nie wystarczało; a co dzień, co godzina zbiegały się tłumy ludu na zamek okropne wznosząc wykrzyki.

— Ojcze ratuj, kąsek chleba daj, głodnéj śmierci ocal mnie i biedne niemowlę.

— A prawdę mówiono, umiérano z głodu, widziałem to sam, naprzód matki, potém dzieci.

— Dotąd ów głodny tłum błagał, ależ daleką była chwila gdy rozkazywać mógł? Ze wszystkich namiętności ludzkich najstraszniejsza rozpacz, ona najwięcéj piekło zaludnia, a ziemie krwią broczy.

— I że ta chwila była blizką nie wątpiłem, wiedziałem bowiem, że się starano przybliżyć ją.

— Ach Kazimiérzu Piaście, szeptali w rozkoszy zemsty me wrogi, wzbiłeś się wysoko, pół—bóg na ziemi, Bogu niebieskiemu tylko raczysz się korzyć, twój tron jak mówisz na twardéj opoce spoczywa, twoja potęga, mówisz, potęga Boga, zobaczymy przecież ażali tak jest, królu chłopków zobaczymy, kto kres twéj dumie położy.

— I ażeby pokazać kto ma ten kres położyć, mieszano się między rozpaczający tłum, a naprzód półgębkiem, potém jawnie i jaśnie mówiono:

— Wielka wasza niedola, wielkie wasze cierpienie; Bóg srodze chłoszcze, a wiécież czemu to czyni?

— Nie karze zaiste waszych win, bo ich mało, bo ubodzy duchem, nie potraficie grzeszyć; inna przyczyna, jak kiedyś w ludzie wybranym, występki Dawida, tak w was chłoszcze występki władzcy waszego.

— Spojrzyjcie bowiem jakie jego życie jest? myśląc o sobie, o swéj potędze i sławie, myśliż o Bogu? setne zamki budując, wybudowałże jednę godną Boga Stwórcy świątynię? bogacąc miasto prawami i dostatkami, nadałże choć jeden klasztór, nadto....

— Zajrzyjcie w głąb jego czynności, w domowe pożycie; nie oddaliłże od siebie dobréj i poczciwéj żony, cudzołoztwem nie kalaż się, a jeszcze z kim ten grzéch? ot z poganką, jedną z tych niewiast, któréj ojcowie rozpięli na krzyżu Zbawiciela naszego!

— Możeż być większy występek, straszniejsza zbrodnia? nie słusznież mści się Pan Bóg i karze?....

* * *

— Lud jako prostacki, słuchał z uwagą, a słowa zdradzieckie wpajały się w serca i wyobraźnią.

— I gdym się na ulicy pokazał, nie witano jak kiedyś z radością, nie wykrzykiwano: — górą nasz pan, górą nasz książę, lecz milczano ponuro, lub też szeptano:

— Widzisz jaka nasza nędza, nie twojeż ona dzieło, ulituj się nad nami, a błagaj Boga za grzechy....

— Choć to był szept, słyszałem go niby najgłówniejszy wykrzyk, a każde jego słowo innym mieczem było co ranił i krwawił serce....

— A jak przekonać obłąkanych, z błędu wywieść? jak ukarać zuchwałych wrogów?

— Nie kryliż się oni w cieniach swéj zbrodni, płaszczykiem wiary i cnoty nie odziewaliż szkaradnych zamysłów?

— Po raz piérwszy i jedyny w życiu, zwątpienie ogarnęło serce, rozpacz pogrążyła w duszę ostre swe szpony.

— Ocalił przecież traf, przeznaczenie, Bóg, jak nazwać chcesz.

— Lud słuchał uważnie zdradzieckich wyrazów, sarkał i dąsał się i przeklinał mniemane me zbrodnie, lecz wahał się z wybuchem rozpaczy.

— To nie przypadało do serc intrygantom; przednowek kończył się, płynęły Wisłą galary pełne zboża, które z niedotkniętych plagą głodu okolic Dobrzynia i Kujaw, sprowadzić do Krakowa kazałem; ich podstęp, ich nadzieje, miały zatém bez owocu upaść, to ich trapiło, to skłoniło do przyśpieszenia stanowczéj chwili.

— A ten pośpiech zgubił ich; kto nie umié cierpliwie czekać, może być pewnym że nigdy nie przewiedzie pomyślnie najmądrzéj ułożonych projektów.

* * *

—Smutny, strudzony moralną i fizyczną pracą władzcy, pewnego dnia rankiem, chcąc wytchnąć nieco, a w rozrywce świeżych sił do nowych z losem zapasów poszukać, dosiadłem konia i z szczupłym orszakiem wiernych sług chciałem udać się do poblizkich lasów na polowanie.

— Gdym wjechał na Floryańską ulicę, niezliczony tłum ludu zastąpił mi drogę, a nietylko ta ulica, lecz inne poblizkie i rynek był nim zapełniony.

— Lud to zaś był głodny, umiérający, na każdéj twarzy cierpienie, w każdém oku gorączka złego.

— Śmiało przecież postąpiłem ku niemu.

— Ponuro milcząc, ustępował mi z drogi, aż ot na skręcie ulicy, z któregoś kościoła, wyjdzie pontyfikalnie ubrany Marcin Baryczka kanonik Krakowski. Znając jego charakter, przeczułem co rzeknie.

— Co zaś mówił, czemu ci wspominać; dość rzec, że nicował me postępki i życie, cnoty liczył za wady, bluzgał w oczy dumną pokorą, domowe tajemnice odsłaniał, szkalownym językiem potwarzył.

— I nie dość na tém; jako zbrodniarza, bez sądu, bez litości, bez wysłuchania, odepchnął od towarzystwa wiernych, nowy Szczepanowski szukał we mnie nowego Bolesława drugiego.

— A lud wołał: biada nam, biada, upamiętaj się Kazimiérzu Piaście!

— Co się działo w mém sercu! nie, tego wyrazić nie sposób. A tém większe były cierpienia, że rozsądek wzbraniał obrażonemu sercu wodze puścić; jedno gniewne słowo, jedno spojrzenie, wiedziałem o tém, strasznéj katastrofy hasłem być mogło.

— Trzeba było obrazę w sobie zgryźć, karmić się swą krwią, swą żółcią; aby zemstę mieć, trzeba było czekać, szczęściem umiałem czekać....

* * *

— Straszna przecież gorączka trapiła, gdym powrócił na zamek, bom powrócił wyrzekłszy się łowów, pierś z trudem starczyła cierpieniu, a nie wiém zaprawdę jak mogła wystarczyć....

— Trzeba było mieć moje siły, władzę nad sobą; chrztem cierpień trzeba mieć było zahartowaną duszę i ciało.

— Niedługo też trwała owa zgryzota piekła.... Wieczorem już tego dnia dobre przyszły nowiny, zawiadomiono o nadejściu galarów ze zbożem pod Kraków.

— Odetchnąłem, rozpogodziło się czoło, drugo-krotnie zdało się urodziłem.... wiedziałem co czynić, płazem obrazy nie chciałem przepuścić, zemsty nie chowałem do jutra.

— Przywołałem kilku co najwierniejszych dworzan.

— Przyjaciele, rzekłem im, słyszeliście co dziś rano mówił Baryczka?

Ten i ów brzęknął w szable, wszystkich oczy zaiskrzyły ponuro; obrażać mnie pana, było ich samych obrażać.

— Baryczka nie powinien dożyć jutra, mówiłem daléj.

Jeden i drugi pobladł, któryś rzekł:

— Lecz to będzie mord.

— Nie mord ale sprawiedliwość, sucho rzekłem.

— Przypomnij sobie biskupa Szczepanowskiego....

— Ja nie Bolesław II, Klemens I nie Grzegórz VII.

— Pobudzisz szlachtę i panów, dasz hasło domowéj wojny.

Wydobyłem miecz z pochwy: — oto hamulec dla panów.

— Lecz dla ludu, tego nie powściągniesz równie snadno.

— Dla ludu mam chléb.....

* * *

I wykonano com kazał, i choć sark był w duszach, do ust nie doszedł; owszem, klątwę nawet zdjęto ze mnie, a nie kazano jéj płacić jak Mazowieckiemu Konradowi, ceną księstwa, wiedziano, żebym nie zapłacił.

* * *

— I jeszcze jeden dam przykład. Słyszałeś o méj drugiéj żonie Adelaidzie Heskiéj.

— Dziwna rzecz, pojąć tego nie mogę, jak w mylnych barwach jéj charakter i stosunki ze mną wystawili kronikarze i historycy. Nazwali ją naprzykład, szpetną, gdy była anielskiéj piękności niewiastą; nazwali złą i chytrą, gdy jéj serce nawet cienia złego nie znało; gadają o mym wstręcie do niéj, gdy ją kochałem ile tylko człek może kochać. Odepchnąłem ją przecież od siebie, więziłem, katem byłem dla niéj, odesłałem wreszcie do rodzinnego kraju... zgadnieszże czemu....?

— Dobra była słabą, cnotliwa łatwowierną, pobożna snadno intrydze powodować się dała, przez nią miała ona wstęp do mojéj komnaty, do mego ucha, przez nią kilka spraw poszło krzywo, kilka dobrych moich zamiarów udaremnionemi zostało.

— Prosiłem, błagałem, nie pomogło nic; wmówiono w biédną, że dla mego dobra, dla dobra wiary i spokojności kraju winna czynić co jéj radzono.

— Dziesięć razy przebaczyłem złe, za jedenastym, serce darło się w kęsy, febryczna rozpacz dręczyła, lecz się z nią rozstać musiałem.

— Król, przestałem być człowiekiem; król, wyprzéć się ludzkiego szczęścia dla dobra moich poddanych winienem był, alboż nie przysiągłem Janowi z Melsztyna, że dla dobra ogółu, mojéj samoistności zaprę się?

— Ciężka to przecież była ofiara. Bóg dał, że nie nad siły; ostatnia téż ofiara z mych uczuć, ostatnia walka powinności z sercem; już teraz całkowicie, bezwarunkowo dobru méj ziemi oddać się mogłem.

— Znojna była to praca, zatrudnienie bez miary, ależ jaka nagroda?

— Mówiłem ci, w jakim stanie objąłem królestwo, w jakże różnym oddałem go memu następcy!

— Ach mogłem się i mogę pochlubić!

— Odpadły Szląsk i Pomorze wynagrodziłem nowemi ziemiami, a całém królestwem Rusią Czerwoną i Haliczem.

— Dzikie pustynie obsadziłem zamożnemi siołami, ludnemi miastami; odwieczne puszcze, w które chyba a i to ze strachem strzelec goniąc za zwierzyną zaglądał, ustąpiły miejsca żyznym niwom, płodonośnym łanom.

— „Zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną" niesłusznież piszą historycy o mnie, spojrz dotąd po obszarze staréj Lachii, gdzie ujrzysz miasto otoczone murem, na szczycie skały lub w niedostępném miejscu zalewów, gdy ujrzysz potężny zamek, pytaj o budownika, niezawodnie powié ci każdy:

— Był nim Kazimiérz Wielki.

— Sto miast, siedmdziesiąt grodów, trzydzieści świątyń, wzniosłem z gruntu lub też dawne przebudowałem.

— Pokaż, który z monarchów Lachii prócz mnie, tega dokazał?

— A w stan wewnętrzny spojrzyj.

— Ja, co przy wstąpieniu na tron, nie znalazłem w skarbcu tyle grzywien, aby niemi pogrzeb ojca, swoję koronacyę opłacić; po trzydziestu latach rządów za najbogatszego monarchę uchodziłem w Europie, cesarz Niemiecki Cezar — Semper August szczęśliwym nazwał się gdy mą daleką pokrewnę, żoną mógł nazwać, a gdy prócz niego pięciu króli i kilkunastu niepodległych książąt traktowałem w Krakowie, każdy otrzymał w podarunku ode mnie więcéj złota, niż mu przynosiła dochodu jego monarchia.

— A szanowali i hali się sąsiedzi; Krzyżak zazdrościł, lecz wojną nie śmiał zaczepić, wiedział że moje skarby całą Europę podburzą na niego; nie zaczepiał Czech, rad owszem był, że go w spokojności zostawiam; i najezdzca Litwin nie śmiał Bugu przestąpić, hojny łup za nim wabił, lecz obawa méj potęgi wstrzymywała; nie rycerski człek, gdym podbił Włodzimiérz, Lwów i Halicz, dziedziny równające się moim ojczystym. Węgier milczał, Mogoł ustąpił, Tatar po krótkim oporze cofnął swe hordy w dzikie pustynie, i Litwin przysiadł cichaczem, choć jego wojowałem podboje; powtarzam ci, nie rycerski człek, nie wódz, nie orężnik, potrafiłem wszystkich ustraszyć; moja siła, byłem Ja; moja potęga, wiedza méj siły.

— I niedość na tém; moja pomyślność była pomyślnością ogółu, moja zamożność zamożnością jego; albo, gdym ja kilkunastu monarchów na mym dworze traktował, nie zapragnąłże tego zaszczytu i jeden z moich pod-

danych, prosty Krakowski kupiec, a nawet, nieprześcignąłże pana swego w hojności?

— Lecz mniejsza o podobny blask, nie był on celem mych starań, przyszedł sam z siebie, jak na starannie uprawnéj roli wzrasta plon, o którym nie myślał nawet gospodarz, szczęście ludu było mym celem — i — nie widziałżem go?

— Gdym zajrzał do piérwszéj lepszéj zagrody, jeźli nie zamożność, czyż dostatek niewidny? dobry byt nie oczywisty? stodółka pełna, w oborze własna krówka i wołek, w stajni własny koń.

— W chacie zaś czystość, wygoda, rodzice zdrowi, dzieci wesołe, i szczęście przyszłego pokolenia zabezpieczoném widziałem.

— A błogosławiono me imię, królem nazywano swoim, i więcéj, bo ojcem, a dobrym ukochanym swym ojcem.

— Mogłaż być milsza nagroda poczciwemu sercu?

— A i szlachta przestała sarkać, nie straciła nic na zmianie stanu krainy, przestali i magnaci sarkać, 30letni pokój zewnętrzny i domowy nie zbogaciłże ich skarbców, nie pogodził z nowym porządkiem i instytucyami?

— Stare téż pokolenie ustąpiło nowemu, Borkowicze, Ostrorogom i Nałęczom; ludzie nieładu, miecza i zbroi, ludziom porządku, dobréj rady i oświaty.

— Nie chcąc zaś budować na dzisiaj, dzieło znojnych mych prac w długie wieki przedłużyć pragnąc, dałem mu podstawę, a niby zamkowi mury i przekopy, dałem stróża teraźniejszości, przyszłości mentora, wwiodłem jedność i równość praw.

— Uwielbiacie do ninie mój statut Wiślicki."

„Ach ojcze, wszystko to prawda, nieprzesadzony twój obraz, wyrzekł Jan Kazimiérz; tak, tyś był wielki, potężny, tobie to królestwo winno swój byt.

Pół-bóg na ziemi, tyś umiał stwarzać i więcéj, ojcem umiałeś być stworzeniu twemu.

Jestże téż czyja chwała większa od twojéj, sąż dzieła czyje więcéj wielbione? trzy wieki rozdzielają obecne pokolenie od twego, a przecież twa pamięć w wszystkich pamięci, twoja nazwa w ustach wszystkich, a błogosławiona, po bożéj piérwsza.

Ach, tyś szczęśliwy, do zazdrości twój los; czemuż on choć w części nie jest moim udziałem, połowę życia jakże chętnie oddałbym za cząstkę twéj chwały!"

* * *

— „Bez podobnéj ofiary, czy nie możesz równym mnie być, jeźli nie wyższym ode mnie? poważnie wyrzekł tajemniczy starzec.

— Ostatni Waza nie możeż być równie wielkim jak ostatni Piast?

— Naprożnoż opowiedziałem ci szczegóły życia mojego? mając oczy nie widziałżeś, mając uszy nie potrafiłżeś słyszéć?"

— „Słyszałem i zrozumiałem mój ojcze, lecz inne czasy, inne okoliczności; oneby zbawiły kraj, one dałyby mi potęgę.

Pojąłem twe rady, czuję ich słuszność, złe naszego panowania jednakie, też same winny być i środki do uprzątnienia go, ależ te środki, gdzie one! jakież, mamże je, mogęż miéć kiedy bądź?"

* * *

— „Ach, kłopoczesz się o nie, wyrzekł Kazimiérz Piast.

— Jeźli nie chcesz przyjąć tych jakie ci podałem, nie maszże sta innych.... zobacz w historyi.

— Miałże je większe Stefan Batory, gdy strącał z karków dumne łby Ostików i Zborowskich, a innym groził?

— Miałże je większe twój brat Władysław, gdy przymusił senat cały, że się czołgał u jego nóg a błagał jak o łaskę, o rzecz którą mógł mieć sam, gdyby chciał a raczéj śmiał?

— Miałże je większe nawet twój ojciec, nieudolny Zygmunt trzeci, gdy starł głowę herezyi i śmiertelny zadał jéj cios? Woli tylko potrzeba, siła jest—ach! gdybyś chciał jéj użyć....”

— Czy wątpisz ojcze....

— Och! ja nie wątpię w dobre twe chęci, dlatego posłuchaj kilku rad, wyłącznie one tobie będą; otóż jakbym działał, gdybym był na twém miejscu i w okolicznościach jakie ci dolegają....

* * *

Dał te rady, jakie zaś były one, to tajemnica; Kazimiérz Waza słuchał z uwagą, a rozpogodziło się jego czoło i oko....

— I więcéj nie potrzeba niczego? wyrzekł.

— Niczego.

— I ja będę równy tobie, wielki jak ty, jak ty zbawca i odnowiciel królestwa?

— Tak.

— Ach! ojcze, ty mnie zbawiłeś, tyś mym stróżem aniołem, tyś mym orędownikiem, mym Bogiem.

— Od jutra już rana, pójdę tropem twoich napomnień; zabłyszczało oko, wyprostowała się dumnie postawa....

— Och! będę wielkim.

* * *

Bacznie, uważnie w oczy praszczura wglądał Kazimiérz Piast, lecz nie podzielał jego radości.

Na twarzy była zaduma, bruzdy frasunku na czole....

I gdy Jan Kazimiérz dumnie, wesoło obiegał izbę a dworował swoją przyszłą wielkością i świetne jéj plany układał, on szeptał:

— „Boże! Boże! straszne twe zrządy.

— W jego oczach dumnéj woli, na jego czole świętego znamienia twéj siły nie widzę....

— On człek marzenia nie czynu, człowiek snu nie działania i szeptał znów....

— Straszna okropna przyszłość....

— Widzę ją, jasno widzę... lat sto od jego zgonu i... Kilka lat jeszcze, potém chaos, potém ruina....

A rok jego jak rok Jagellonów i mój — 72 —

Nieszczęsny rok.

— A przecież gdyby chciał, on jeden może jeszcze.... panie w jakież wątłe ręce złożyłeś los dwudziestu milionów twych istot.

— Gdyby chciał, gdyby umiał, lecz gdy nie...

— Ach słuchaj, Kazimiérzu Wazo!"

I ujął rękę zdziwionego praszczura, a drżącym lecz silnym głosem mówił mu.

Co mówił, znów tajemnica.

Straszne przecież jego słowa musiały być okropne, pełne zgrozy, pogróżek, bo grube krople potu wystąpiły na czoło Jana Kazimiérza i szeptał:

— O nie dręcz podobnemi obrazami ojcze, nie trap.

— Twoje klątwy niepotrzebne, bo ja przysięgam ci.

— Chcę być wielkim, chcę władać jak ty, i będę wielkim jak ty.

— Inaczéj, przypomnij sobie co ci mówiłem, wtrącił ostatni Piast i wierząc mym słowom, i powtórzywszy je światu niefałszywym będziesz prorokiem.

— Lat sto, a potém?

— A potém, przerwał Jan Kazimiérz, wspomoże Bóg.

Ach! Bóg, szepnęło widmo.

— Bądź zdrów Kazimiérzu Wazo.

I zniknął.

* * *

A dziwna rzecz, chłodny pot oblał całe ciało monarchy, włosy najeżyły się na głowie, zimny dreszcz trząsł, niepojęta jakaś bojaźń owładnęła, sparaliżowała niejako umysł.

Bez bojaźni przecież, jak to wspomniałem, rozmawiał dotąd z swoim naddziadem, strach przyszedł dopiéro gdy go więcéj przed sobą nie widział.

Gdzie zaś podział się, jak? tego na żaden sposób wytłómaczyć sobie nie mógł, jak się nagle ukazał tak nagle znikł. Między istotą a nicością granic nie było, i tego nie pojmował czy sam spał, czy czuwał, śnił czy widział; wizya przecież godzinę trwała mniéj więcéj.

* * *

— Myszkowski, Myszkowski! gdy władza mowy wróciła, gorączkowo przeraźliwym głosem wykrzyknął.

Koniuszy równemi nogami stał przed nim.

— Dla Boga! ać spałeś?

— Tak, najjaśniejszy panie, zdrzymnąłem się trochę, lecz na piérwszy wykrzyk jestem gotowy.

— Budziłem cię przecież, twarz tarłem, szczypałem, ot dowód, plamy czerwone.

— Nie sposób, najjaśniejszy panie, Wasza Miłość wié jak czujno śpię.

— Nie słyszałżeś tedy nic?

— Do najlżejszego szmeru, nie.

* * *

— A drzwi czemu na klucz i wrzeciądze zamknąłeś? spytał król po chwili zadumy.

Roztworzył szeroko oczy koniuszy. —Przebaczy Wasza Miłość; lecz tak nie jest, dość spojrzéć.

Król wziął świécę, przystąpił do drzwi, istotnie zamknione nie były; o wrzeciądzach ni myśléć, śladu ich nawet nie było.

— Lecz straż? zaleciłem czuwanie.

— Nie cztérech lecz ośmiu postawiłem pode drzwiami dworzan, W. K. M. przekonać się może,

Roztworzył wierzeje, straż się istotnie znalazła, siedziała przy mdle gorejącym kagańcu, a grała w kości.

— Ach! także to pełnicie waszę służbę? z gniewem wyrzekł Jan Kazimiérz; śpiochy, gracze, kołatałem przed godziną do drzwi, że zamek drżał a nikt nie przyszedł, nie odezwał się nawet.

Ośmiu pachołków z podziwem spojrzało po sobie. —Najiaśniejszy panie, według zalecania pana koniuszego, żaden z nas ni na sekundę oczu nie zamknął. Aby drzemkę odegnać, graliśmy w kości, kołatu nie słyszał nikt.

— Toż przynajmniéj szmeru żywéj rozmowy?

— Cisza ciągła a zupełna była w komnacie, pan koniuszy tylko śpiąc chrapał a i Wasza Królewska Mość także.

— Któraż teraz godzina?

— Jeden z dworzan na zegarek spojrzał: dziesięć minut po piérwszéj, o piérwszéj punkt Wasza Miłość zbudziła pana Myszkowskiego.

— A o dwunastéj, o północy, nie słyszeliścież niczego?

— Chrzęst tylko krzesła był, i lekki stuk niby posuniętego stołu, więcéj nic.

— Dziwna rzecz, pomruknął Jan Kazimiérz; wrócił do izby, starannie obejrzał ją, na stole cztéry świece dogorzały w połowie, leżały jego szpada, krucyfiks i dwie krucice, szukał czy gdzie w ścianie skrytych drzwi lub wychodu nie było; lecz nie, wszędzie mur równy gładki, cztéro-łokciowéj przynajmniéj grubości.

* * *

Tegoż dnia koło 11 porannéj, Jan Kazimiérz i Marya Ludwika byli znowu pospołem w głównéj komnacie królewskich pokoi, w Jasnogórskim klasztorze.

Marya Ludwika w humorze dobrym nie była, dąsała się i gniewała; król spokojnie siedział w oknie i dumał poglądając w stronę Olsztyńskiego zamku.

— Waszmość na śmierć chcesz mnie znudzić, przerwano mu marzenia, pracą chcesz zabić; błąkasz się bez potrzeby i celu po starych ruderach, gdy o koronę rzecz idzie, gdy tyle interesów na głowie, mamże wiecznie sama ich ciężar dźwigać?

Powstał żywo z krzesła Jan Kazimiérz, czoło przetarł:—Dziękuję waszmości, przypomniałaś mi mój obowiązek. Ujął za srebrny dzwonek na stoliku stojący, silnie zadzwonił. Wbiegł dworzanin służbowy, a był nim owego dnia Marcin Stojowski herbu Trąby, Krakowski ziemianin.

— Wezwij ać, panów senatorów na radę.

Dworzanin wyszedł, królowa wzdrygnęła się na swém siedzeniu.

— Jakto, W. Mość o radzie myślisz?

— Tak, wszakże wczorajszą odłożyłem na dzisiaj.

— Lecz się W. Mość nie umówiłeś ze mną, nie zdecydowałeś co czynić, toku interesów nie znasz.

— Poznam gdy będzie czas.

— Lecz to przeciw zwyczajowi W. Mości, utrudzisz się, znużysz, skłopoczesz, a nie rozstrzygniesz niczego.

— Będę się starał aby było przeciwnie.

Królowa żywo spojrzała mu w oczy: — Dla Boga, to niepodobieństwo, aści coś jest?

— Widzisz W. M. żem zdrów zupełnie.

— Lecz pracować chcesz, ciężar rządów na siebie wziąć, przewodniczyć w radzie.

— Moja pani, od lat 10 króla noszę tytuł, czas zacząć nim być.

— Ach! szydersko poszepnęła Marya Ludwika.

* * *

— Najjaśniejszy panie, rzekł kanclerz rozkładając na stole papiery, które przynosił z sobą w grubéj axamitnéj błękitnéj tece,— ważnych wiadomości mnóstwo. Wydobył jeden z pakietów, duża pieczęć na żółtym laku na niéj, na pieczęci herby Szwedzkie, trzy korony i lwy.

— Oto, jak mnie osobném pismem zawiadamia hrabia Szlipenbach, nowe propozycye króla Imci Karola Szwedzkiego, warunki traktatu i własnoręczny jego list.

Chciał podać pakiet królowéj, która już po niego wyciągnęła rękę, lecz Jan Kazimiérz brwi zmarszczył, a surowo rzekł:

— Zapominasz waść, że jestem obecny.

Kanclerz Stefan Koryciński zachłysnął się i zakłopotał, zbladła królowa, przytomni senatorowie domyślnie spojrzeli po sobie, Krysztof Tyszkiewicz obok siedzącemu Czarnieckiemu zcicha poszepnął:—Rozumiészże W. M. co to jest?— Hm, zdaje mi się że król Jmć obudził się wreszcie, oby tylko na długo.

Jan Kazimiérz oddarł pieczęć pakietu, przebiegł okiem list króla Szwedzkiego, rozjaśniło się jego czoło. —Mości panowie, dobre nowiny, prędzéj niż mniemałem, pokój miéć będziem.

Czarniecki brodę pogłasnął, Lubomirski wąsa pomusknął, królowa poprawiła się na swém siedzeniu, zobaczmy jakie warunki.

— Mój kuzyn chce cofnąć wojska z całego kraju, zawrzéć sojusz wieczysty, dobrym przyjacielem pragnie być, żąda tylko abym ustąpił mych pretensyj do korony Szwedzkiéj, a Rzeczpospolita swoich do Inflant.

— I W. K. Mość, zgadzasz się na te propozycye?

— Mogęż co lepszego uczynić?

— Lecz czy to nie będzie zgodzić się na swą niesławę, podpisać wyrok swej hańby, wyrzec się świętych praw urodzenia, praw które tyle krwi i skarbów kosztowały W. K. Mość, ojca twego i brata!...

— Ściągnął brwi król, rozsądek hańbą nie jest, krwi do krwi, złota do straconego złota nie chcę dorzucać, dla tego mości Koryciński wygotujesz stosowną odpowiedź.

Skłonił się kanclerz, ale ku królowéj baczny wzrok zwrócił; ta przygryzłszy jak to miała zwyczaj gdy był zły humor, dolną wargę, lekko głową wstrząsnęła niby tym znakiem „daj pokój" chciała rzec.

* * *

Kanclerz znowu w tece poszukał, a wydobywając inny pakiet, mówił:

— Pismo od kozaków, przyniósł go Michał Czajkowski essauła i piérwszy Wyhowskiego powiernik. Nowiny ztamtąd ważniejsze niż kiedy bądź; nieszczęsnéj dla nas pamięci Bogdan Chmielnicki umarł, kozaczczyzna w rozdwojeniu, jedna część syna dawnego wodza, druga Wyhowskiego chce na hetmaństwie osadzić. Wyhowski sprzyjając nam, podaje propozycye zgody, przywrócenie Zaporoża do Korony, poddaństwo zupełne i wierne jak było za poprzedników W. K. Mości, zastrzega tylko sobie zwykłą liczbę regiestrowych kozaków, dwa starostwa które niegdyś trzymał Chmielnicki, całkowite zapomnienie przeszłości, a nadewszystko wolność wyznania i krzesło dla siebie i swych władyków w senacie.

Słuchał król z nietajoną radością:—A toż na wielkiego pana w niebiosach, wahać się nie ma czego; kondycye jak nie mogą być lepsze, nieprawdaż moi panowie?

Zwrócił się do przytomnych, milczeli; królowa domyślne a szyderskie spojrzenie Janowi Leszczyńskiemu, Chełmińskiemu biskupowi zwróciła.

Powstał on z swego krzesła....—Najjaśniejszy panie, protest zakładam, *veto* jako szlachcic, senator i ksiądz.

Zaiskrzyły się gniewem oczy monarchy: — *Per Deum*, jakaż racya!...

— Jakto, ja biskup, książę kościoła, mam przyzwolić aby obok mnie krzewiła się herezya, w izbie radnéj w swych reprezentantach miała miejsce; śmierć raczéj najjaśniejszy królu, niźli podobny grzech, bo to grzech dla mnie przyzwolenie na podobne bezprawie.

— I dla nas téż, wtrącił Pstrokoński Chełmski i Wacław Leszczyński Warmiński biskup.

Król brwi ściągnął:—A więc dla dobra publicznego, dla ocalenia kraju, wstrzymania potoków krwi, waszmość panowie nie potraficie wyprzéć się osobistych zawiści, podrzędnych uwag, szlachta i rodacy téj krainy cudze dobro nad jéj kładziecie!

— Nie cudze dobro miłościwy panie, dumnie odparł biskup Chełmiński, lecz dobro kościoła naszéj matki, dobro Rzymu i ojca świętego, ojca naszego w Chrystusie.

Gorzko a szydersko uśmiechnął się monarcha, a do świeckich senatorów zwrócił się: — A waćpanów jakie zdanie?

Piérwszy z dygnitarzy świeckich, książę Jerzy Lubomirski wstał z krzesła.

— Miłościwy królu, ksiądz Jan Chełmiński ma słuszność, może rodacy téj ziemi o jéj dobro dbali powinnibyśmy przyjąć propozycye Zaporowskiéj czerni, lecz chrześcianie katolicy, inna rzecz.

— Ach! szepnął głucho, Jan Kazimiérz.

— Jako chrześcianie i katolicy, ciągnął rzecz swoję marszałek, powinniśmy chronić się wszelkich związków z heretykami, cóż dopiéro umieszczać ich w senacie? Téj maxymy wszakże trzymał się ś. p. rodzic i poprzednik W. K. M.; dobro kościoła, zbawienie powszechne dusz na piérwszym względzie chrześcianina być winno.

— O! jęknął król,—tak więc daleko złe zaszło, gangrena tak wielkie uczyniła postępy.

Jan Wielopolski kasztelan Wojnicki, Krzysztof Tyszkiewicz i Opaliński wojewoda Poznański tegoż byli zdania co marszałek koronny, inni senatorowie a szczególnie Lanckoroński i Czarniecki milczeli.

Tęskny, wyzywający wzrok, zwrócił ku nim Jan Kazimierz.

— Najjaśniejszy panie, stary jestem człowiek, złamany cierpieniem i pracą, rzekł wtedy hetman polny; czuję to dobrze, niedługo przed majestatem Bozkim stanąć wypadnie, przebacz tedy W. K. M. że nie dam zdania mojego. Ach! dwadzieścia, dziesięć lat młodszy, wiedziałbym co radzić, czas do pokuty byłby jeszcze.

Upadł bezsilny a z głuchym jękiem na krzesło, zastąpił go Czarniecki.

— Na biesa, najjaśniejszy panie, co do mnie, w akademiach nie byłem, na piśmie świętém i kanonach nie znam się, czy ma słuszność lub nie, ksiądz jegomość Chełmiński, nie wiem. Żołnierz wychowany w obozach, raz na rok spowiadam się, co dzień odmawiam moje *Pater*, *Ave* i *Credo*, sądzę że to wystarczy; czego brak pan Bóg odpuści. Mało mnie więc obchodzi czy władycy zasiądą lub nie w senacie, czy ks. Jezuici mają zostać lub nie na Ukrainie lub Wołyniu, niech to inni mędrsi rozstrzygną.

Rozpogodził nieco czoło monarcha, wkrótce je przecież pochmurzył, bo burzliwy wojownik dodał:

— Ależ *per Deum immortalem*, na to się nigdy nie zgodzę, aby hetman Zaporowski, aby Wyhowski miał w jednéj izbie i obok mnie zasiadać, aby równemi moim prawami zaszczycał się człowiek, który nie jak ja obrońcą lecz był wrogiem téj ziemi, jéj katem i niszczycielem. Mamże go ja, Czarniecki, nazywać kolegą i towarzyszem, mordercę stu tysięcy współbraci, Batowskiego zdrajcę, dowódzcę zpod Sinych Wód, człeka, co i mnie i panów hetmanów przedał niby dzikie zwierzęta, dzikim zwierzętom poganom Tatarom w haniebny jassyr? Najjaśniejszy panie, to być nigdy nie może, świeże krwi

potoki rozdzielają nas; zgoda hańbą byłaby, ciężkim występkiem, urągowiskiem sobie i cieniom nieszczęsnych przyjaciół, w krwawéj wojnie poległych, owe braterstwo. Odbierz zaszczyty jakie udzieliłeś łaskawie, ale nie skłaniaj do podobnych sojuszów.

— Rozważ przecie kasztelanie, zaczął król.

— Nie, nie, między nami a kozacką czernią zgody być nigdy nie może, wykrzyknęli prawie jednomyślnie wszyscy senatorowie. Kościoł święty, i własne uczucia rozdzierają na wieki, prowadź nas przeciw nim najjaśniejszy panie, gotowi jesteśmy do ostatniéj kropli krwi walczyć, mścić nasze klęski, naszę sromotę, zginąć lub pomścić się; ale o zgodzie, o braterstwie i koleżeństwie nie mów, nie chciéj ich.

* * *

Powstał z krzesła Jan Kazimiérz, przeszedł się po izbie, różnorodne uczucia zdawało się miotały umysłem, poznałeś to po bladości lic, iskrząco zasępioném oku, po chmurze czoła i głuchym jęku co z piersi szedł. Zbliżył się do okna komnaty, potoczył wzrokiem ku Olsztyńskiemu zamkowi, południowego słońca promienie oblewały go, cały okrążyły aureolem blasku. Król się zadumał: ojcze, ojcze szepnął, dopomóż; ten szept widocznie dodał siły, energii, woli, potęgi duszy; wolnym a poważnym krokiem zbliżył się do stołu rady, usiadł na swém krześle, na kanclerza skinął. — Mości panie, pisz jaką odpowiedź podyktuję kozackiemu hetmanowi, i dyktował:

— „Kozaczczyzna i jéj hetman, wyrzekną się wszelkich związków z obcymi, poprzysięgną nam i naszym następcom wierne i niczém niezłomne posłuszeństwo i wiarę, my zaś z naszéj strony zapomnimy o przeszłości, całkowite przebaczenie dawnych win obiecujem, jpana Wy-

howskiego potwierdzamy w hetmaństwie, naznaczamy mu dwa starostwa: Czehryńskie i Białocerkwskie, prócz tego miejsce w senacie jako Kijowskiemu wojewodzie."

— Królu! królu! wykrzyknął Czarniecki.

— Milcz ać, przerwał Jan Kazimiérz i dyktował daléj:

— „Kozaczczyznie zaś wszystkie dawne zachowamy przywileje i prerogatywy, zwrócimy klasztory i cerkwie, Jezuitów oddalim z Ukrainy, a władyków i archimandrytę do senatu przypuścim."

— Przód rękę stracę, niżbym miał na podobném piśmie przyłożyć pieczęć kanclerską, wyrzekł Stefan Koryciński składając pióro.

— Jak wać chcesz, sucho odparł monarcha, zastąpi cię podkanclerzy Litewski, pan Kazimiérz Sapieha, a od dalszych trudów ministerstwa uwolni tu obecny ksiądz Łucki.

Mikołaj Prażmowski Łucki biskup, tyle znany późniéj z swych intryg za panowania Wiśniowieckiego, piérwszy ulubieniec i powiernik monarchy, i jego kreatura, bo z prostego parocha, prałat, biskup i wkrótce książę kościoła, powstał z swego krzesła, nizko się skłonił, a gdy jedno jego oko błyszczało promiennym blaskiem radości, drugie zepsute od zyzu przewracało się białkiem.

Pobladł wielki kanclerz, pobledli i inni senatorowie, sam tylko Lubomirski ośmielił się przemówić:

— Najjaśniejszy panie, to się nie zgadza z prawami Rzeczypospolitéj.

— Nie zgadza? mości panie! *Rex sum, regnare volo.*

* * *

Marya Ludwika bacznie całéj przyglądała się scenie; czy ją cieszyła ona lub nie, trudno było zgadnąć; ale,

gdy król się zwrócił na stronę, a przeglądał pismo które kozakom przesłane być miało, ująwszy ołówek i drobny skrajek papieru, a nakreśliwszy na nim następne wyrazy: — „Wyjdź waść i wszyscy, resztę biorę na siebie" podała go tajemnie pod stołem najbliżéj po godności urzędu, siedzącemu Warmińskiemu biskupowi.

Zrozumiał zalecenie biskup, zrozumieli i inni i właśnie gdy Jan Kazimiérz chciał podpisać pismo, jednorazowo z krzeseł powstali.

— Co to znaczy? spytał zdziwiony monarcha.

— Najjaśniejszy panie, odparł biskup Chełmiński, wyłuszczyłem powody dla których na sojusz z Zaporożcem nie mogę się zgodzić; gdy zaś on ma być zawarty, pozwól że się oddalę.

— I nam także, dodali inni senatorowie.

Król naprzód zbladł, potém żywa purpura oblała lica, wyprostował się dumnie, groźnie: — jak waćpanowie chcecie, zostanie kto wierny.

Przecież gdy za innymi i Stefan Czarniecki oddalić się miał, smutnym głosem wstrzymał go.

— Ach! i wać więc, wać na którego tyle liczyłem?

Wzdrygnął się poczciwy szlachcic, lekka wymówka srodze ubodła, zasępił czoło lecz i rozpogodził w téj chwili. —Na szatana, najjaśniejszy panie, czyń co chcesz niech inni pójdą ja zostanę. *Per Deum immortalem*, gdy taka twa wola, nietylko spokojnie przy Wyhowskim usiądę, lecz piérwszy podam rękę zgody, i gdy zechce to i przyjacielem mu będę.

— Nie omylił więc mnie *on*, wznosząc oczy w górę, szepnął Jan Kazimiérz, panowie opuścili lecz nie wać, rodem ubogi szlachcic.

Z piętnastu senatorów przecież, dopiéro co znajdujących się w izbie, trzech tylko pozostało: Prażmowski, Lanckoroński i Kijowski kasztelan.

— I waszmość im pozwalasz odejść i nie wstrzymujesz ich? zagadnęła Marya Ludwika.

— Widzisz pani że nie, sucho król odparł.

— Lecz ja tego nie rozumiem, nie pojmuję na Boga, zastanów się co czynisz.

— Wiém co czynię i pozwól mi działać powoli.

— Gubisz się, tracisz wiernych poddanych, przywiązanych stronników.

— Ach! wiernych poddanych, pomruknął monarcha.

— Pozwól przynajmniéj niech ja pójdę za nimi, pozwól prosić i błagać....

Zmarszczył czoło Jan Kazimiérz. — Moja pani, biada, gdy król o swe prawa prosi poddanych. Długo to czyniłem i było źle; co do waszmości, wolno ci odejść, niewiastę będą nudzić nasze rozprawy.

— A więc naradę chcecie przedłużać?

— Tak, nie limitowałem jéj przecie.

— Lecz dla Boga, pomyśl, rozważ! zaledwie kęs królestwa i władzy odzyskawszy, chcesz je tracić na nowo?

— Pani, zimno przerwał monarcha, czas drogi, radzcy czekają.... pozwól, że mym obowiązkom króla oddać się muszę.

Królowa gwałtownie powstała z krzesła, żywym giestem odepchnęła je na środek izby, i wyszła krokiem szybkim, a w jej czarném oku namiętny gniéw błyszczał, gniéw obrażonéj dumy, startéj własnéj miłości.

Król nie odprowadził ni na krok, ale zwracając się do przytomnych spokojnie rzekł:

— Mało nas, lecz wszyscy wierni, to wystarcza, moi panowie.

— Ach! odpowiedział głaszcząc brodę Czarniecki, że mało dobrze, więcéj rumu będzie do zdania, a przeciwności mniéj.

— Wać mnie rozumiész, rzekł król, przecież na ten raz radę zwiększyć wypada.

Zadzwonił, wszedł dworzanin służbowy.—Zbierz mi wać bez wyboru, a piérwszych co się nawiną pięciu szlachty tyleż mieszczan i chłopków, w téj chwili niech się tu stawią.

Wyszedł zdziwiony dworzanin, król się zwrócił do trzech wiernych: — Wszakże się waćpanowie zgadzacie.

— Najjaśniejszy panie, powstawszy z uszanowaniem rzekł hetman, staroświeckiéj daty człowiek, mniéj radzić, więcéj słuchać nauczony jestem. Co chce mój pan i król, dobrze chce, niech się jego wola dzieje.

— Zwłaszcza téż gdy ta wola ma na celu dobro kraju i stosowne środki wybiera, wtrącił żwawo Czarniecki, *per Deum* i gdzież Jego Królewska Mość wierniejszych radzców, przywiązańszych poddanych znajdzie jak nie między naszą poczciwą zagonową szlachtą? Co do mieszczan i chłopów, hm, nie znam, przecież ta krew te kości, że biedniejsi i nieherbowi, czyżto ich wina....

— Lecz podobna narada całkiem przeciwną odwiecznym instytucyom téj *reipublicae*, zyzując okiem poszepnął Prażmowski.

— Tego téż pragnę, rzekł król.

Uśmiechnął się: — Rozumiem najjaśniejszy panie, przecież wstrząsnąwszy gmach, nie przyjdzież zginąć pod nim....

— Kto nie waży, nic ma nic, i waść prymastwo ważysz.

Skłonił się biskup i milczał.

* * *

Weszli wybrani, nietrudno było ich zebrać, pobyt królewski w klasztorze zgromadził mnóstwo okolicznéj szlachty, wieśniaków i mieszczan. Co do szlachty, dwóch było zagrodowéj, tyleż wioskowéj, jeden służący wojskowo.

— Mości panowie, zdziwionym wyrzekł król, nie daremnie a dla mego kaprysu wezwałem was, macie należéć do rady która się obecnie agituje, zabierzcie więc miejsca, właśnie tyle opróżnionych znajdzie się ile was jest.

Spojrzeli po sobie wybrani, nie mogli pojąć królewskiego wezwania, jeden z śmielszéj szlachty pokornie rzekł:

— Ależ najjaśniejszy panie, my nie senatorzy.

— Na ten raz jesteście nimi.

Usiadła szlachta, wahali się mieszczanie i wieśniacy; ci ostatni pogrążywszy grube palce w gęste swe włosy, szeptali:

— Ależ to niepodobieństwo, my nieuczkowie, gdzie nam radzić, nam słuchać; na to Bóg stworzył.

— Nie kochacież ziemi rodzinnéj, nie chcecież jéj dobra? spytał król.

— Ho! jasny panie, Bóg świadek, dyć dla niéj życie chętnieby się dało.

— Kto życie waży, dobrą potrafi dać radę.

— I cóż ty myślisz Bartku, wyrzekł jeden drugiemu, potrafisz ty radzić jak oświecony pan chce?

— Hm, nie wiém ale zobaczę, dyć to nie musi być trudno.

— Ba i co trudnego, rzekł trzeci, powiedzieć co się myśli, a jak dobrze widzi się, nieprawdaż Miłościwy Panie?

Skłonił się do nóg królowi, ten rzekł:

— Tak, tego chcę.

Usiedli zatém wieśniacy, a ich przykład naśladowali mieszczanie.

* * *

Król w krótkich lecz silnych wyrazach odmalował stan kraju, złe które go niszczy, wojnę która mu grozi, a zawezwał aby radę dano, co czynić w razie, gdyby na niczém spełzły układy.

— Co czynić, wyrzekł Czarniecki, mojém zdaniem rzecz prosta, brzęknął w szablę, wojnę wojną odeprzem.

— Lecz zkąd oręż, gdzie ludzie?

Zachłysnął się Czarniecki:—Zaciągi.

— Te nie wystarczą, nadto skarb wyniszczony, sąsiedzi wspomódz nie zechcą.

Czarniecki i Lanckoroński kilka jeszcze podali projektów, wszystkie pokazały się niedostatecznemi.

Zwątpienie na chwilę ogarnęło umysły senatorów.

Król tęskny wzrok zwrócił ku mieszczanom i szlachcie.

Nie brali oni dotąd udziału w rozprawach, lecz baczuie przysłuchiwali się toczonym; potém zaś żywo a po cichu między sobą szeptać zaczęli:

— Co waé myślisz? mości Topolski.

— Mnie dziwi, że ni król jegomość ni pan Czarniecki nie wiedzą zkąd wziąć ludzi, aby tych przeklętych Szwedów z kretesem pobić. Czyż to nas nie ma?

— Masz waé racyą, lecz....

— Lecz cóż mój sędziciu?

— Kto im powie?

— Och! ba, kto powie? a czyż to my nie mamy głosu równie jak oni i praw jak oni? pokręcił wąsa, w szablę brzęknąwszy wstał.

— Najjaśniejszy, mnie wielce mościwy królu panie a dobrodzieju.

— Ach, rzekł król....

— Wasza Królewska Mość i panowie hetmani, molestujecie, kimby Szweda rugować a i innych wrogów z granic téj Rzeczypospolitéj.

— Tak, słyszéć mogłeś...

— *Per Deum*! a więc Wasza Miłość o nas zapomniał?

— Jakto!

— O nas szlachcie wioskowéj, i o braciach zagrodowcach? Prze Bóg miły, a któżto Beresteckie i Zborowskie wywalczył zwycięztwo? kto bił dotąd Turki, Tatary, z Chrobrym kopał graniczne słupy w Dunaju, Elbie i Sali, z Łokietkiem pod Płowcami rąbał Krzyżaków, z Batorym strasznym był wszystkim, z Chodkiewiczem Kircholmskie, z Zamojskim Byczyńskie odniósł zwycięztwo?

Zaiskrzyły się oczy króla: — cóż więc?

— A co! wykrzyknął szlachcic! Panie bracie najjaśniejszy królu, a czy my nie ta sama szlachta co kiedyś? czy nasze szable przymarzły do pochew, stępiły się groty, a ramiona poszły na nice?.... Chciéj a zobaczysz, jedno słowo wyrzeknij, a sto pięćdziesiąt orężnych stanie w twojéj obronie gotowie, a...

— Mów waszmość pięćkroć, przerwał mu jeden z wieśniaków, rzeknij dwa razy po pięćkroć i tak nie przesadzisz w liczbie.

— My jéj dopełnim.

— Jakto? wyrzekł więcéj z radością niż podziwem monarcha...

— Jasny panie, nie uczyż nas ksiądz proboszcz na świętéj ambonie: oddaj Bogu co Bozkiego a królowi co królewskiego? Ty nasz pan, nasz ojciec, niosąc ci krew znój i życie, nie oddamyż tylko co do ciebie należy z prawa..... * * *

— Lecz pieniądze, one podstawą wojny, bez nich siła traci na swéj potędze, pomruknął zcicha Prażmowski.

— Pieniądz w naszych skrzynkach gotowy... wyrzekł z zapałem jeden z mieszczanów, a za nim te słowa powtórzyli inni.

* * *

— Czy słyszycie czy widzicie, szepnął król trzém swoim radzcom.

Czarniecki brodę głaskał i w szablę brzękał, Prażmowski podwójnie zyzował bo prymastwo w ogólnym zapale widział, Lanckoroński na kolana upadł a szeptał:

— Boże! dzięki ci, szczęsnych czasów pozwoliłeś dożyć, patrzyłem na zgon, lecz i zmartwychwstanie oglądam.

— Górą nasz pan, niech żyje Jan Kazimiérz, wykrzykiwała szlachta, wieśniacy i mieszczanie. Monarcha ścierał łzę wijącą w oku, podniósł się z krzesła, przystąpił do okna, spojrzał na Olsztyński zamek: dzięki ci ojcze! nie zwiodłeś.

W téj chwili drzwi się otworzyły z łoskotem.

Wbiegła królowa, odzież jéj w nieładzie, oko w febryczném zarzewiu, bogaty włos rozwiewa po nagich ramionach, poskoczyła do króla.

— Mężu! panie, odjeżdżają.

— Kto odjeżdża? zimne a niechętne było pytanie.

— Kto? oni wszyscy, pociągnęła przed okno, spojrz. Dziedziniec zamkowy pełny teleg, karoc, bryk i luźnych koni, służba uwija się gwarzy a sprzęty pańskie składa na wozy.

— I wielki marszałek i biskupi i wszyscy senatorowie porzucają nas.

— Ach! odparł monarcha, znajdę innych.

— Cofają swe nadworne hufce!

— Pół milionem zastąpię je jutro.

Królowa nie zważała na przerwę: —Zmiłuj się, miéj litość, jeszcze czas, wołaj, poślij do nich, do upamiętania wezwij, przeproś, chceszże mnie zgubić, siebie zgubić, stracić berło, koronę?

— Nigdy silniéj nie należały one do mnie.

— Och! ty nie wiész co mówisz, upadła na kolana; dobréj rady posłuchaj, nie zabijaj mnie, na miłość Boga, na mą miłość błagam cię; złożyła ręce niby w modlitwie: ślij do nich, zawezwij, zwróć, do ich zdania nakłoń się....

— Nigdy! nigdy!

Królowa zbladła, zadrżała, gorzka łza popłynęła z oka: — Ach takżeto wywdzięczasz moje troski, tak dbasz na prośby i rady, takaż nagroda straconego dla ciebie szczęścia, dwuletniego tułactwa, majątku, urody? Och! ty kamień, ty nie masz serca, a ja nieszczęśliwa!

Upadła na przyległą sofę, udając czy téż istotnie będąc zemdloną.

Król zadrżał, zbladł, oko w kole stanęło. — Ach! ja zbrodzień, ja człowiek bez duszy, zabiłem ją.

Przystąpił Czarniecki. — Lecz to mdłość, przejdzie zaraz.

— Mdłość, o niel wołał król, znam ją, poczciwe serce, srogiego nie mogła znieść ciosu, moja zimna obojętność, moje kamienne lekceważenie wstrząsnęły biedną, zabiły;.. zwrócił się do przytomnych: — Mości panowie, widzicie co się dzieje, nie sposób przedłużać narady.

Milcząc rozeszli się wszyscy, król przywołał służbę, aby zemdloną małżonkę przeniosła do sypialnéj komnaty,

* * *

Przez całą noc i w mieście i w okolicy gorzały ognie radości, mieszkańcy oświecili swe domy; Kordecki, klasztór i wieżę kościelną; cieszono się, radowano, najzaciętsi nieprzyjaciele, w dank pomyślnéj nowiny, dłonie zgody podawali sobie.

— Panowie nie opuścili klasztoru, rozkaz królewski zatrzymał, szydersko poglądali na powszechną radość i szydersko szeptali: zobaczymy.

* * *

Nazajutrz rano koło dziesiątéj, na dzielnym swoim siwoszu, głaszcząc brodę, a nagim błyszcząc pałaszem wjeżdżał do klasztoru Stefan Czarniecki; za nim zręcznie rumakami kierując postępowało dwustu dobrze uzbrojonéj choć nieosobliwie przystrojonéj szlachty; daléj ciągnęło do pięciuset wieśniactwa, miny dobre, radość w oczach, wesołe śpiéwki w ustach, w rękach broń jaka się znalazła, kosy, widła, stary bułat, z samopałem rusznica.

W ciągu jednéj nocy pomyślna nowina tylu ściągnęła zbrojnych, jakaż świetna przyszłości nadzieja!

Tryumfalnie wstępującemu na zwodzony most fortecy zaszedł wielki marszałek koronny.

— A! panie bracie, co to jest, czy waszmość nam wyprawiasz karnawałowe maszkary, zkądże u licha zebrałeś podobną hałastrę?

— Hałastrę, żywo targając brodę, powtórzył kasztelan. Na szatana mości marszałku i panie bracie, z większym respektem mów o tych ludziach, boć to w części szlachta równie dobra jak waszmość, w drugiéj przyszłe senatory, marszałki i hetmany Rzeczypospolitéj.

Szydersko uśmiechnął się książę: — Nie wiedziałem że tak znakomite osoby *in spe* przychodzi mi powitać; ależ żarty na stronę mości regimentarzu, jako stróż osoby królewskiéj, a gospodarz dworu, z urzędu zapytuję, co zacz ci są ludzie? nie ich przyszłość, lecz teraźniejszość pragnę znać.

— Są to, dumnie odparł Czarniecki, wojownicy, których wczorajszy rozkaz króla Jmci i extraordynaryjnéj rady, zawezwał do obrony Rzeczypospolitéj.

— Nie znam ja ani mogę uznać dziwacznych waszych narad wczorajszych, to wiem tylko, że nierozważne uchwały, dziś już nie istnieją; wolą króla Jmci i ordynaryjnéj przybocznéj jego rady jest, nietylko nie używać szlachty do pospolitego ruszenia, lecz owszem zawiązującemu się przeszkadzać.

— To być nie może, to niepodobieństwo, wykrzyknął gwałtownie kasztelan, azaliż to nie jaka zasadzka z twéj strony, mości marszałku?

— Z nieobyczajnych wyrazów powinienbym zażądać rachunku, sucho odparł książę, wzgląd przecie na dobro publiczne i zalecenie królewskie wstrzymuje. Zbyt mi téż znana krew gorąca waszmości, żeby jéj niebaczny wybuch za obrazę wziąć sobie, powtarzam przecież co poprzednio mówiłem: wolą króla Jmci i rady jest, rozpuszczenie szlachty i chłopów; piérwszéj pozwala się przecież służyć gdy zechce w regularnych chorągwiach

i regimentach; lecz drudzy do czego stworzeni, nie o szabli i wojnie, lecz o roli i pługu myśléć powinni. To ich rzecz; inaczéj, batog i turma przymuszą, jeźli zaś W. Mość wątpisz jeszcze w prawdę moich słów, oto ksiądz Łucki przybywa, zapytaj go, wszak on dobry przyjaciel.

* * *

— I to prawda, wszystko prawda, co mówił marszałek, zwracając się do Prażmowskiego, a gwałtownie rwąc brodę krzyczał Czarniecki, z wczorajszych naszych układów nic więc, piękne zamiary i projekta poszły na wiatr?

— *Sic transit gloria mundi*, zyzując odparł Prażmowski.

— Król nie chce pomocy szlachty?

— Nie.

— I wieśniaków?

— Tém mniéj.

— A więc zawarł z Szwedem przymierze?

— Przeciwnie, więcéj niż kiedy, chce bronić swego tytułu: „a dziedziczny król Szwedów, Wandalów i Gotów."

— Toż przynajmniéj Wyhowskiego przyjął warunki?

— I z nim postanowił wieść wojnę.

— Lecz na biesa, kimże ją będzie prowadził?

— Panowie zelanci o dobro publiczne ofiarowali swoje nadworne chorągwie, zbierze się jakoś 10 do 15 tysięcy ludzi.

— Ach! i z takąto siłą do krwawéj występuje walki?

— Mój kolega ksiądz biskup Chełmiński, w imieniu Watykanu obiecał świetny tytuł *Regis Ortodoxi*, a Leszczyński Jan wyjedzie dziś jeszcze do Niemieckiego cesarza, aby przyobiecane wyżebrać posiłki.

— Lecz czém je zapłaci, jak kupi?

— Pieniądz znajdzie się, odda się żupy solne Wielickie w zastaw, prócz tego napisze cyrograf zapewniający jednemu z arcyksiążąt, wstęp przy piérwszéj elekcyi na tron.

— Lecz to nam urągać, to rozsądkiem, rozumem i honorem pomiatać?

— Hm, lecz panowie kontenci, a królowa jejmość przyszła do zdrowia.

* * *

Tego dnia jeszcze Kijowski kasztelan otrzymał wezwanie do królewskiego stołu, ociągał się jednak, aż wyraźny rozkaz monarchy przymusił.

Stawił się więc, znalazł królowę wcale w dobrym humorze, ani śladu wczorajszéj choroby; owszem była piękniejszą i rzeźwiejszą niż kiedy, a uprzejmie rozmawiała z otaczającymi panami.

Król przeciwnie blady był, zadumany, niechęć a niby wstyd w oku, głębokie marszczki na czole.

Kasztelan dąsając się, zimnym ukłonem powitawszy wysokie gospodarstwo, umieścił się w kącie sali a w framudze okna.

Nagle przystąpił do niego Jan Kazimiérz.

— Gniewasz się, dobry Czarniecki?

— Ach! odparł ten, podobnież dzisiaj, do wczoraj?

Zarumienił się król, gruba łza zabłysnęła w oku:

— O! masz słuszność, robić wyrzuty, łajać, pogardzać mną, zasłużyłem na wszystko.

— Jeszcze czas miłościwy panie, jeszcze wszystko można naprawić....

— Nie, nie!.. Wzdrygnął się, zasępił; chciéć nie jest módz, ja umiałbym chciéć lecz módz.... los mój rzuco-

ny, ostatni Waza, to nie ostatni Piast: biada mi, biada wam....

* * *

Przy obiedzie mówił Karol Walewski: — Rzeczywiście samo niebo zdaje się faworyzować a brać w świętą swoją opiekę drogą nam osobę W. K. Mości; jeden dzień późniéj, a jakież okropne mogło się przytrafić nieszczęście.

— Cóż takiego? zagadnął monarcha.

— Owa izba, w któréj przed wczoraj nocowała W. K. Mość, dzisiaj z kretesem zburzona....

— Jakto? jakim sposobem? pytał król....

— Dzisiejszéj nocy, mało po dwunastéj przebudził mnie nagle silny trzask, jak gdyby cały zamek z swoich fundamentów walił się, lub wysadzony minami leciał w powietrze. Wybiegłem wpół ubrany na dziedziniec, o przyczynę badam, straż donosi że to z królewskiéj wieży ów huk pochodzi. Zachodzimy tam, wieża cała jak była, koniec świata chyba strącić ją może; lecz izba króla Kazimierza Wielkiego w ruderze, pułap opadł, podłogę roztłukł, okna i szyby wybiegły z ram, z ścian nawet opadł mur, nie sposób widzieć większego zniszczenia. Naprawi się jednak ta dezolacya, parę set złotych i wszystko do dawnego przywiedzie się ładu; to tylko niepowetowana szkoda, że owe krzesło, ów antyk na którym W. K. Mość noclegował, zabytek i jedyna pamiątka po wielkim monarsze, w drobne kęski a ot, nie przesadzam, rozbite na popiół.

* * *

Wszyscy winszowali królowi szczęśliwie uniknionego nieszczęścia; Jan Kazimiérz podparł się obu rękami na stole, dumał a potém szeptał:

— Dziś, mało co z północy.... to właśnie gdy ona wyrwała mi słowo... na wiatr rozrzuciła wszystkie projekta, zniweczyła je, zgubiła.. Och! mój naddziad wiedział to, i znak dał... wszystko tedy skończone, jeszcze lat sto a potém, potém, ach! mogę być prorokiem!

* * *

I był prorokiem. Któż nie zna jego mowy na abdykacyjnym Warszawskim sejmie: *Utinam sim falsus vates!* Umarł zaś w 1672, w sto lat równo po zgonie ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta; w trzysta lat po zgonie ostatniego z Piastów głównéj linii, a jednocześnie z ostatnim Piastem, księciem na Szląsku;.. w sto lat zaś późniéj.....

Dziwny zbieg nieszczęść i ich dat!....

Ks. Hugona Kołłątaja korrespondencya listowna z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: Wołyńskiéj, Podolskiéj i Kijowskiéj, przedsięwzięta w celu urządzenia instytutów naukowych i pomnożenia oświaty w 3ch rzeczonych guberniach.

(Dokończenie).

Tom IVty zaczyna się od pisma niewłaściwie wtrąconego pomiędzy korrespondencyą Kołłątaja z Czackim. Pismo to urywkowe, lubo 69 stronic obejmujące pod tytułem: *Kurs dwuletni historyi i geografii powszechnéj w gimnazyum Wołyńskiém, zaczęty dnia 5 października* 1805 *r.*, widać że przygotowane było naprędce przez Kołłątaja dla nauczyciela historyi, Mirowskiego. Jakże tu płytkie wyobrażenie historyi powszechnéj, jak niedokładnie wskazana jéj różnica od innych umiejętności, *osobliwie matematycznych i fizycznych*, jak niedokładny podział na historyą starożytną i nowożytną, przy którym o historyi średnich wieków nie masz ani wzmianki! Po obszernym wstępie z 15stu artykułów złożonym, poważny autor, wierny swojemu planowi, który nam już zna-

ny jest z *rady* podanéj Mirowskiemu (tom III, str. 171), zaczyna swój kurs osobliwszy od *historyi nowożytnéj*. Na początku *części Iszéj* mówi o *Europie w ogólności* dorywczo a zatém zbyt krótko i niedokładnie, a nadmieniwszy o upadku państwa Rzymskiego na zachodzie i o królestwach zachodnich, które powstały na jego zwaliskach, rzuca porządek chronologiczny dla geograficznego, *ile że ten dobrze objęty lepiéj się pamięta*. Dzieli Europę na *wschodnią*, *średnią* i *zachodnią*, słusznie uważając ten podział za lepszy od pospolitego na *północną*, *średnią* i *południową*. Cały zaś ten wstęp do historyi nowożytnéj tak kończy:

„Stosownie do tego podziału, poczniemy od państw wschodnich Europy i mówić najprzód będziemy w krótkości o ojczystym kraju (którego znaczniejsza część przyłączona została do wielkiego Imperyum Rossyjskiego), naśladując w téj mierze roztropnego *wędrownika*, który mając objeżdżać różne kraje w celu ich poznania, nie opuszcza własnego siedliska, gdzie wszystko dla niego jest łatwiejsze, i gdzie zebrane wiadomości najskuteczniéj posłużyć mu mogą do odprawienia z korzyścią dalszéj *jego* podróży: bo w saméj rzeczy historya nic innego nie jest, tylko podróż myślna, odprawiona z pożytkiem w różnych czasach i po różnych krajach." Tu szczególniéj widzimy, jak w pośpiesznych robotach Kołłątaja złączona jest niegruntowność myśli z rozwlekłém i zaniedbaném wysłowieniem.

Po takim wstępie idzie *rozdział Iszy* § 1: *O źródłach historyi Polskiéj*, gdzie tylko jest wzmianka dorywczu, ale nie wyszczególnienie i osądzenie źródeł.

Paragraf IIgi złożony z 15stu artykułów pod napisem osobliwszym: *Początki Polaków* i *Polski* wygląda raczéj

na urywkowe notatki do mającéj się pisać rozprawy, nie zaś na porządną część składową kursu.

Paragraf IIIci tę ma osobliwość, że w nim pomieszani panujący książęta Polscy z królami, a ztąd Władysław Łokietek nazwany IIIcim; a Władysław Waza VItym. Cztéry uważa autor ważniejsze epoki albo raczéj okresy. Piérwsza epoka obejmuje dzieje niepewne aż do Piasta; druga dochodzi do zamęścia Jadwigi, trzecia do śmierci Zygmunta Augusta, czwarta do zupełnego *upadku* kraju w r. 1795.

Nareszcie paragraf IVty pod niewłaściwym napisem: *geograficzne opisanie Polski.* Tu uważa autor, kiedy co przybyło lub ubyło tak z części składowych Polski, jako téż z krajów lennych, które do niéj należały. Lecz nie przestając na geograficznem opisaniu, uważa i polityczny stan kraju i zaszłe w nim zmiany aż do śmierci Zygmunta Augusta. „Bolesław Chrobry przetworzył swoje państwo na monarchią feudalno-żołniérską.... Z wojewodów i kasztelanów utworzyła się z czasem rada, którą nazywano *Radą Panów*, a późniéj *Senatem.* Wszelako ci urzędnicy począwszy od Chrobrego, długo bardzo nie należeli do *rady stanu*: urzędy ich były zupełnie wojskowe. Inne urzędy utworzył Bolesław Chrobry dla okazałości swego dworu na wzór urzędów feudalnych w Niemczech." Jednakże chociaż to było tytularnie i powiérzchownie *na wzór*, ale w rzeczy saméj było w cale co innego, tak iż feudalności Niemieckiéj wewnątrz kraju Polskiego nigdy przypuścić nie można. Nawet sam Kołłątaj w dalszym ciągu tego paragrafu słuszną czyni uwagę, że „za podziałem Polski na drobne księstwa, powaga wojewodów zaczęła się zmieniać na dostojność cywilną" nigdy zaś wojewodowie nasi nie mogą być ró-

wnani z margrabiami Niemieckimi, a tém bardziéj z ich bezurzędnymi komesami i baronami.

O sukcesyi tronu, która ustąpiła u nas miejsca elekcyi tak mówi:

„W unii księstwa Litewskiego z koroną Polską, roku 1400 najdujemy zawarowaną sukcesyą tronu dla domu Jagiełłów... Kazimiérz Jagiellończyk dochował jeszcze tytułu dziedzica i sukcesora, jak to widać z przywileju 1470; akt unii 1499 za Jana Alberta ponowiony, tęż samę sukcesyą dla domu Jagiellońskiego warował. Dopiéro unia za Alexandra w r. 1501 trzeci raz zrobiona i przez niego potwierdzona wyraźnie, mówi o wolném obieraniu króla przez oba narody; nic nie wspominając o dziedzictwie Jagiełłów do tronu Polskiego i W. Ks. Litewskiego; a *lubo* Zygmunt I używał jeszcze tytułu dziedzica i sukcesora rzeczonéj korony i księstwa, *jednak* Zygmunt August zrzekł się go i całe prawa domu Jagiellońskiego do korony i Wiel. Księstwa Lit. uroczyście obu narodom odstąpił. *Zdaje się* przeto, że *choć* wszyscy Jagiełłowie w linii prostéj od Władysława IV idący, panowali na tronie Polskim aż do ostatniego Zygmunta Augusta, który umarł bezpotomnie; *wszelako* walka owa *między rzetelném prawem sukcesyi* a wolną obieralnością królów, *ukończoną została* pod Alexandrem, z którego słabości nawykły już do politycznych odmian naród korzystać umiał; a *prawdziwych następców tronu* przeciw temu wznowieniu nie oburzyło obierając ich za królów aż do wygaśnienia linii męzkiéj tego domu.

Co się jednak tyczy innych ważnych części konstytucyi rządowéj, ta pod Jagiełłami *przyszła do największéj doskonałości* ile tylko feudalne prawa i zwyczaje dozwalały.

Ludwik król Polski i Węgierski uwolnił obywateli *od wszystkich ciężarów i podatków.* Władysław Jagiełło ten przywiléj potwierdził i obowiązał się nie ogłaszać praw tylko za radą stanów, a będąc w potrzebie wykupienia ziemi Dobrzyńskiéj od Krzyżaków, piérwszy raz zwołać musiał w r. 1401 posłów ziemskich, ażeby przez ich uchwałę summę na wykupno ziemi rzeczonéj otrzymał. To zwołanie do Korczyna uważać należy za epokę, od któréj sejmiki do wybierania posłów na sejmy. Kazimiérz Jagiellończyk, podejmując kosztowną wyprawę przeciwko Krzyżakom, nalazł się kilkakrotnie w podobnéj potrzebie, która znagliła jego ojca do zwoływania posłów ziemskich. Znajdują się niezaprzeczone dowody, że podobnież i miasta należały do obrad sejmowych. Tymto sposobem utworzyła się w Polsce monarchia konstytucyjna; władza prawodawcza przyznaną była narodowi, wykonawcza w całéj swéj obszerności została przy królach, którzy wraz z senatem mieli moc uchwały sejmowe do wykonania przyjmować lub do dalszego namyślenia się zawieszać. Takowa forma rządu pod Władysławem IV zaczęta, trwała aż do Zygmunta Augusta: postrzegłszy on ku schyłku życia że nie zostawi po sobie potomstwa, *puścił zupełnie cugle źle zrozumianéj wolności*, która wsparta *sąsiedniemi przykładami* wolną elekcyą królów do skutku przywiodła, i konstytucyą rządu, która się blizko przez dwa wieki powoli i nieznacznie tworzyła, któréj dobroczynne skutki *zaczęły się teraz wzmagać* pod Kazimiérzem Jagiellończykiem a *dopiéro* widoczniéj okazywać pod Zygmuntem I wywróciła i na anarchią zmieniła."

Ten cały ustęp niezmiernie ważny co do swojéj treści. Kilkakrotnie pofałszony sprzecznością w myślach,

tudzież wyrazami i wyrażeniami niewłaściwie użytemi, grzeszy nietylko przeciwko logice, ale i przeciwko prawdzie historycznéj; weźmiemy go tedy pod bliższy rozbiór i ocenienie.

Powiedziawszy autor, że dopiéro w akcie unii zrobionym za Alexandra i przez niegoż potwierdzonym *wyraźnie* jest mowa *o wolném obieraniu krola przez oba narody*, a żadnéj już nie masz wzmianki *o dziedzictwie domu Jagiełłów do korony Polskiéj i Wielkiego księstwa Litewskiego*, a następnie wspomniawszy że Zygmunt I używał jeszcze tytułu dziedzica i sukcesora rzeczonéj korony i księstwa, nareszcie że dopiéro Zygmunt August zrzekł się tego tytułu; mylny ztąd wyprowadza wniosek o którym sam powątpiewa w następujących słowach: *zdaje się przeto*, że walka owa między *rzetelném* prawem sukcesyi a wolną obieralnością królów, ukończoną została pod Alexandrem. Wyrazy zaś *lubo*, *jednak*, *zdaje się*, *choć wszelako*, sprzeczności w myślach bynajmniéj nie znoszą; owszem wyrażenia *między rzetelném prawem sukcesyi, prawdziwychn astępców tronu*, te sprzeczność jeszcze powiększają.

W dalszym znów ciągu tego ustępu mówi autor, że *konstytucya rządowa w innych ważnych częściach swoich pod Jagiełłami do największéj przyszła doskonałości*, zamiast *wykształciła się na szkodę i zgubę narodu*. Pięknaż to *doskonałość* co w sobie nosi zaród zepsucia i zguby. Tuż zaraz mylnie powiada, że Ludwik król uwolnił obywateli *od wszystkich ciężarów i podatków*; bo na zjeździe Koszyckim nie uwolnił od podatków, ale tylko zostawił, albo raczéj ustanowił zmniejszoną opłatę *od łanu po dwa grosze*.

Przy końcu zaś ustępu mówi autor: że Zygmunt August *puścił zupełnie cugle źle zrozumianéj wolności, która, wsparta sąsiedzkiemi przykładami wolną elekcyą królów do skutku przywiodła* etc. Jakiemiż to przykładami sąsiedzkiemi? Wszak w Niemczech z wyborem Karola V jeszcze za Zygmunta I ustała elekcya cesarzów, a w Czechach i Węgrzech tron elekcyjno-sukcesyjny zamieniał się na dziedziczny i w całéj Europie powszechne było dążenie do dziedziczności tronu, któréj tylko w jednéj Polsce nie zaprowadzono, aż przy końcu drugiéj połowy XVII wieku; na przykłady więc sąsiedzkie, Polacy ówcześni obojętnie a nawet pogardliwie, nie zaś jako na wzór dla siebie patrzali.

Nareszcie nie *dobroczynne skutki konstytucyi* pod słabym i upartym Kazimiérzem Jagiellończykiem, ale szczególniejszy zbieg okoliczności sprawił to, że Polska za jego panowania, lubo już wewnętrznemi niezgodami i swawolą trapiona, jednak rozległa w swoich granicach i od wszystkich panujących w Europie była wielce szanowaną.

Na samych więc tylko uwagach ogólnych nad zmianami politycznemi w dawnéj Polsce, aż do śmierci Zygmunta Augusta, kończy się albo raczéj urywa zapowiedziany *kurs historyi* i *geografii powszechnéj*, bez przywiedzenia żadnych faktów historycznych. Taka urywkową ramota, niemająca należytego rozmiaru i uzupełnienia, nie wygląda wcale ani zakrawa na dzieło do wykładu nauki przeznaczone; dość zatém było wydawcy porobić z niéj po mojemu, co ważniejsze wypisy i te ze swojemi uwagami lub nawet bez żadnych uwag podać do druku.

Następuje *list Kołłątaja do Czackiego* z dnia 26 lutego 1806 r. Z tego listu pokazuje się, że uczeń Jastrzębski rodem z Porycka, zaskarżył sekretnie przed Czackim, Wojciecha Jarkowskiego, professora matematyki elementarnéj, jakoby ten łżył uczniów w szkole i karał plagami. Po takiéj zaś delacyi Jastrzębski miał uczniów zapewnić w imieniu Czackiego, że professor Jarkowski nie ma mocy karania plagami, i że to mu nadal *zostanie zabronione*; przez co zakłócona spokojność zgromadzenia i subordynacya szkolna idzie w pogorszenie. Wnosi potém Kołłątaj: „*aby młody effront*, który się ważył być odnosicielem wyroku Wizytatora prosto do studentów w celu zbuntowania ich przeciw nauczycielowi, ukarany został publicznie z hańbą, a Dyrektor żeby oświadczył publicznie po wszystkich klassach i kursach, że uczeń Jastrzębski nie był i nie mógł być upoważnionym od Wizytatora donosić uczniom powyższą wiadomość, że uczniowie winni są podlegać swym nauczycielom, i że tak za niepilność jak i za niepodległość karanymi od nich być mogą i będą, jeżeli zasłużą." W dalszym ciągu listu czytamy: „Można dać potém sekretne upomnienia wszystkim nauczycielom, aby się od karania plagami powściągali, lub dać szczególne napomnienie P. Wojciechowi Jarkowskiemu, przekonawszy się wprzód, czyli on doprawdy łżył uczniów nieprzystojnemi słowy lub nielitościwie karał plagami przeciwko ustawom... Lecz jeżeli się tak nie okaże, delator powinien być ukarany jako potwarca podług ustaw Kommissyi." Mówi potém, że z największą ostrożnością zaprowadzać należy odmianę w usunięciu kary cielesnéj, tak iżby uczniowie tego spostrzedz nie mogli,

i że dowiedział się o wprowadzeniu nowego *sądu studenckiego*, do którego mają należéć sprawy nietylko między uczniem ale nawet między uczniem i nauczycielem jak np. o niepilność, opuszczenie się w naukach.

List Czackiego do Kołłątaja. D. 27 *Lutego z Porycka.* Odpowiada na list poprzedzający i użala się na P. Wojciecha Jarkowskiego, że napisał nie z tą delikatnością, jaka być powinna, że mu jednak odpisał grzecznie, nareszcie że Dyrektor Czech ma polecenie zapowiedzieć Jastrzębskiemu, iż jeżeli takie fałsze gada, zostanie usuniętym.

List Kołłątaja do Czackiego d. 3 Marca. Broni Kołłątaj W. Jarkowskiego, chwali szczególniéj Antoniego i wdaje się za Pawłem, aby jak najprędzéj został wysłanym na wojaż. Radzi Czackiemu, aby zesłał na Kommissyą Szeidta w celu rozpoznania stanu sprawy, która spowodowała niesubordynacyę szkolną. Powiada o Jastrzębskim że to jest człowiek niespokojny, i na tém kończy, iż najbardziéj starać się należy, aby nie zasiać kąkolu niezgody między to *nowo wzrastające towarzystwo.*

List Kołłątaja do Tadeusza Czackiego 11 *Marca.* Odsyła kilka arkuszy napisanéj przez siebie historyi téj własnie, z któréj przywiedliśmy niedawno dość obszerny ustęp, i zdanie sprawy z całéj treści z naszemi uwagami nad tą pośpieszną robotą pod tytułem: *Kurs Historyi* i *geografii powszechnéj.* Przy końcu listu tak pisze o jeografii i historyi Ameryki: „że jest bardzo interesująca i że z dobrego jéj opisu jeografia i historya starożytna wiele mogą miéć objaśnienia, co do wędrówek ludów dawnych, które z piérwszéj ojczyzny, imiona piérwszych swych osad, tak jak Europejczykowie przenieśli

do Ameryki." Zdaje się że to jest jedno z ulubionych marzeń Kołłątaja.

List Kołłątaja do Mirowskiego d. 12 *Marca.* Zaczyna od oświadczenia, że pracował nad poprawą jego seksternа, w tym jedynie celu, aby ten mógł być z czasem książką elementarną kursu; a potém powiada, że Czacki troskliwy najszczególniéj o to, aby historya Polska i Rossyjska mogła być jak najdoskonaléj dawaną, sam tą pracą chce się zatrudnić.

List Czackiego do Kołłątajja dnia 21 *Marca.* Powiada że Jastrzębskiego się pozbędzie, i że przeszłą pocztą pisał grzecznie do Antoniego i Wojciecha Jarkowskich, Chwali szczególniéj Antoniego, że stworzony na prefekta, pilny, rozważny, a z seksternem, który ma, dobrze zastąpi professora prawa. O Wojciechu zaś mówi, że jest żywy, i że w słowniku wyrazów, umie łające wybierać, jednak umiejętności mu odmówić nie można.

Tu następują *ustawy o sądzie uczniów*, które prefekt ze zlecenia Czackiego kommunikował Kołłątajowi, a zaraz niżéj umieszczone są uwagi Kołłątaja nad temi ustawami.

„Sąd składa się z 3 osób, z każdego kursu jedna i czwarty prezes. Uczniowie 3 wyższych kursów mają 3 cenzorów, którym wydział w kursach porucza dyrektor. Żadna sprawa nie przychodzi do sądu bez odesłania od dyrektora lub prefekta. Zgoda nie może być proponowana lub zrobiona: *a*) gdzie idzie o szkodę trzeciego bez jego pozwolenia; *b*) o winę; *c*) o podniesienie ręki na kogo; *d*) o nieposłuszeństwo nauczycielom lub władzy edukacyjnéj. Kary mają być wskazywane, któreby utrzymywały punkt honoru! Najmniejsza kara: zawieszenie od prawa noszenia szpady w święta, w które dozwala

się ją nosić uczniom wyższych kursów: największa kara, wykreślenie na zawsze z listy uczniów. Kary zaś środkujące: areszt, zawieszenie od praw uczniów, odłączenie od społeczeństwa spółuczniów bądź w zabawach bądź w szkole, ogłoszenie winy niedbalstwa po wszystkich klassach, ogłoszenie winy po szkołach całéj gubernii."

Kołłątaj w uwagach swoich nad temi ustawami, po rozwlekłym i nudnym wstępie rozdętym ogólnikami tak mówi: „że nietylko praktyk prawniczych pomiędzy młodzież szkolną wprowadzać nie należy, ale owszem wszystkich używać sposobów, ażeby się wprawiali w nałóg łatwego pojednania się, darowania uraz, ustąpienia nawet swéj krzywdy; a jeżeliby wypadła potrzeba rozpoznania prawdy między dwiema upierającemi się stronami, aby raczéj na to wybierali sobie przyjaciół i na ich zgodzie lub decyzyi przestawali."

Mówi daléj przeciwko zaprowadzeniu sądów pomiędzy młodzież szkolną, które mniéj więcéj koniecznie prowadzą do pieniactwa. „Dlatego téż kommisya edukacyjna nie zaprowadziła żadnych takowych sądów, dozwoliła tylko kompromissów na pogodzenie stron; a jeżeliby wypadało decydować między upartemi stronami, nauczyciel prawa powinien był rozpoznać decyzyą, i oświecić, w czémby uproszeni przyjaciele chybili przeciw sprawiedliwości.... Co się zaś tyczy niepilności uczniów, tém bardziéj nieposłuszeństwa nauczycielom, to żadnym sposobem do sądu uczniów należéć nie może, ale zawsze i prosto należéć powinno do zwierzchności szkolnéj; inaczéj nie utrzymałaby się subordynacya." W razie gdyby uczeń czuł się pokrzywdzonym od nauczyciela, może zanieść skargę do prefekta, a pokrzy-

wdzony od prefekta, może skarżyć się przed dyrektorem. „Każdy bowiem uczeń życie swoje szkolne powinien sobie wyobrażać, jak wyobrażać później będzie życie obywatelskie, w którém podlegać musi urzędom prawnie nad sobą postanowionym." Mówi nareszcie o potrzebie wydawania dzieła: *Rada dla rodziców i nauczycielów prywatnych, jak mają postępować ze swojemi dziećmi, i jak chronić się winni kar niewolniczych.* Można zaś dać polecenie, aby nauczyciele publiczni wstrzymywali się od wymierzania kar cielesnych, ale tego nie ogłaszać po klassach.

List Kołłątaja do Czackiego d. 14 *Kwietnia.* Przesyła swoje uwagi nad ustawą pod tytułem: *Sąd uczniów gimnazyum Wołyńskiego.* Do tego listu załączona jest wzmianka o bytności Czackiego w Stołpcu, gdzie ten czytał rozprawę Vtą Kołłątaja, a Kołłątaj podał mu swoje *Promemoria* w 9ciu artykułach niemających w sobie nic ważnego dla dzisiejszych czytelników.

Następuje list ks. Osińskiego do Kołłątaja i odpis Kołłątaja: oba te listy tyczące się słownika, którego układem zajmował się Osiński, powinien był wydawca opuścić w swoim zbiorze.

List Kołłątaja do Czackiego 13 *Maja.* Donosi o swojéj bytności w Krzemieńcu, że widział u Szeidta krzew, który tu nazywają *carem*, a zowie się botanicznie *Daphne cneorum*; że ten krzew Szeidt sprowadził do oranżeryi w Krakowie z Wiédnia za 6 zł. reń. (złp. 24) a znajduje się w lasach Krzemienieckich. W dalszym ciągu listu nadmienia, że oglądał bibliotekę i ogród botaniczny, że rozmawiał z professorami, którzy dopraszają się zapewnienia emerytury. Reszta listu zapełniona szczegółami o róż-

nych osobach należących do składu gimnazyum, żadnéj dla nas nie ma wagi.

Następuje odpis Czackiego na szczegóły poprzedzającego listu Kołłątaja, potém wzmianka o bytności Kołłątaja w Krzemieńcu, który tam przywiózł paczkę ze zbiorem Labradorów w ofierze dla gimnazyum. Kilka listów następnych, a mianowicie korrespondencya Kołłątaja z Szeidtem, nie warte były wydania.

Niepotrzebnie także pomieszczona tu korrespondencya Słowackiego z Kołłątajem, któremu Słowacki przesyła swoje tłómaczenie Henryady i ustęp z Wirgiliusza o Nizasie i Euryalu, starając się o katedrę literatury w gimnazyum Wołyńskiém. Tak pisze Kołłątaj do Słowackiego o Henryadzie: „Wolter poprawiał Henryadę przez całe prawie życie, i kilka jéj edycyj z poprawami wydał. Czemużby tłómacz nie miał naśladować swego autora?" Radzi mu nie zrażać się zbyt może ostrą krytyką i pracować nad udoskonaleniem swojéj Henryady *dla ogłoszenia jéj przez drugą edycyę*. Wymawia się, że nie może być sędzią przyzwoitym prób tłómaczenia Propercyusza nadesłanych wraz z ustępem z Eneidy, którą mu radzi całą wytłómaczyć. Nie wiedział Kołłątaj że Słowacki nie umie dobrze po łacinie i najwięcéj tłómaczy łacinę, z Francuzkich przekładów. Przywiedziemy tu choć w krótkim wypisie słowa Kołłątaja:

„Możnaż spodziéwać się po człowieku latami nachylonym, kalectwami udręczonym i swém smutném położeniem ogołoconym ze wszelkich wesołych myśli, aby był sędzią przyzwoitym dobrego tłómaczenia elegij Propercyusza, które oddychają żywém *uczuciem najszlachetniejszéj namiętności*? Zaczém obrałeś WPan nieprzyzwoitego sędziego, od którego nie możesz się spodzié-

wać takiego wyroku, na jaki praca jego zasługuje, tém bardziéj rady, którą chcąc dać, trzeba być młodym, wesołym i tyle zajętym uczuciem miłości, ile był Propercyusz. Oddaję sprawiedliwość pracy WPana i wyznaję, że podług mnie, elegie Propercyusza przez niego przełożone, dają się czytać z gustem. Wiersze są pełne i lubo nie mam przed oczyma oryginału, zdaje mi się że myśl tego pisarza jest trafnie oddana. Zgadzam się z Horacyuszem, że najpiérwszą próbą dobroci wiérsza jest, aby to co obejmuje, czytać się mogło dobrze w prozie, a gdy z wiérsza nie można dobréj prozy zrobić, znakiem jest, że myśl albo źle albo nie jasno oddaną została. Gdybyś WPan chciał posłuchać mojéj rady, najlepiéjby było, abyś kończył zaczęte dzieło, a to co już ukończyłeś, aby zostało na czas dalszy; bo do poprawy trzeba przystępować z równie świeżą myślą, z jaką się przystępowało do tłómaczenia. Boalo najlepiéj tego doznał w swych *pracach*. Czytałem jego dzieło z poprawami przez niego zrobionemi, i przekonałem się, że często bardzo piękniejszy wiérsz wyrzucił, a słabszy na jego miejscu położył. Tak oryginały jak i tłómaczenia w sile na tém zyskują, gdy są prędko kończone, a długo poprawiane." Tu się pokazuje wyraźnie, do jakiego stopnia Kołłątaj był pod wpływem swoich czasów, gdy jeszcze ślepo wierzono powadze Horacyusza i Boala tak zwanych *prawodawców Parnasu*. W przywiedzionych ogólnych uwagach, nietylko nie znajdujemy czystego pojęcia i delikatnego uczucia poezyi, ale nawet nie znajdujemy mocy przekonania chociażby i mylnego, ożywionego szczerością. Wstydził się uproszony sędzia i poradnik wyznać w liście do swego klienta, że go nudzą elegie Propercyusza, do których tłómaczenia zachęcał Sło-

wackiego Czacki, o czém właśnie jest wzmianka w tymże samym liście. Wstydził się powiedzieć, że nader słabo przypomina sobie, co czytał jeszcze za młodu z Horacyusza i Boala i wolał pofałszować Horacyusza, na los szczęścia przywodząc jego zdanie. Nie możemy i tego o nim przemilczeć, że przez czas dziesięcioletniego pobytu swojego w twierdzy Ołomunieckiéj, zajmował się nie samemi tylko marzeniami historycznemi ale i pisaniem wiérszy zapewne takich, z których można było zrobić dobrą prozę. Tak zaś mówi o wytłómaczonym przez Słowackiego ustępie z Eneidy:

„Wyjątek z Eneidy Wirgiliusza księgi IX dowodzi, że i to najpiękniejsze poema mogłoby wyjść pożytecznie zpod ręki WPana, bo miejsce które obrałeś jest przy trudne, a przecież dobrze przerobione zostało na wiérsz Polski. Rozumiém że WPan zrobiłeś to doświadczenie w widoku przekonania JW. Czackiego o swym talencie do *wymowy wiązanéj*; jakoż słyszałem od niego, że wymaga koniecznie, aby nauczyciel literatury był poetą: dobrze jest, kiedy i ten talent znajduje się w nauczycielu literatury." Winienem tu nadmienić o wymownym na owe czasy Słowackim, że zawsze na swoim stoliku literackim, rozłożone miał pod ręką panegiryki szumne Tomasa, i że cały rok pisał a bardziéj jeszcze poprawiał mowę wcześnie przygotowywaną na popis publiczny, mający się odbyć przy końcu roku szkolnego, jak to słyszałem od uczniów wyższych kursów, którzy u niego mieszkali. Ten jednak niespracowany wierszopis i mówca, wykierował się późniéj na professora uniwersytetu Wileńskiego, przez napisanie rozprawy konkursowéj, do któréj mu ks. Osiński dostarczył materyałów.

Pomijam nieznaczący bilet Czackiego i zbyt wysadzony odpis Słowackiego na list Kołłątaja.

Bytność H. Kołłątaja w Krzemieńcu na popisach gimnazyowych dnia 17, 18, 19 *i* 20 *Lipca r.* 1806.

W tym całym opisie bytności Kołłątaja na *popisach gimnazyowych* przez niegoż samego zrobionym wyczytujemy, że dwie były wady na onych popisach: *nieład* i *intryga.* Nieład na examinie z historyi i prawa wszczął się ztąd, że sam wizytator Czacki i brat jego Michał, tudzież officyał Podhorodeński i p. Mężeński, mieszali się do examinowania uczniów i wtrącali kwestye, na które nawet i nauczyciel nie mógł odpowiedzieć; intryga zaś podług Kołłątaja pokazała się na examinie z matematyki elementarnéj, gdy Józef Czech dyrektor gimnazyum, wdał się w examinowanie ucznia i chciał widocznie poniżyć W. Jarkowskiego, a właśnie Kołłątaj był stronnikiem wszystkich 3ch Jarkowskich. Tu się już wydaje na jaw może oddawna tajona nieufność Czackiego ku Kołłątajowi, gdy na sekretnéj konferencyi wyraźnie mu oświadczył, że chce odmienić nauczyciela matematyki elementarnéj, że księdzu O sińskiemu nie da probostwa Krzemienieckiego, bo to już przeznaczone jest dla księdza Woronicza, że wreszcie ma już wszystkich professorów gotowych. Przez cały zaś czas bytności Kołłątaja w Krzemieńcu *udawał* Czacki tak zatrudnionego, że oprócz zimnego komplementu po całych dniach z nim nic nie mówił. Widać także iż Kołłątaj uprzykrzył się już Czackiemu swojemi marzeniami historycznemi, które nieczytane od Czackiego w wypisie zrobione przez samego autora znowu niepotrzebnie wydrukować kazał wydawca pod tytułem: *Prospekt czyli krótki obraz rozkładu materyj, które zawiérać ma dzieło Historyi starożytnéj powszechnéj, przezna-*

czone na książkę elementarną dla uczniów gimnazyum Wołyńskiego.

O tym prospekcie dość było wspomnieć, że go Czacki i przeczytać nie chciał, a Kołłątaj chciał koniecznie narzucić Czackiemu albo raczéj wtrącić w dzieło elementarne dla Gimnazyum, swoje marzenia historyczne. Nie spodziewał się on zapewne, że dopiéro aż we 30 lat po swoiéj śmierci znajdzie tak usłużnego dzieł swoich *Wydawcę*, który te marzenia pod wielkim tytułem *Badań historycznych* ogłosi drukiem i w 3ch obszernych tomach puści przez hojną prenumeratę pomiędzy dzisiejszych czytelników.

Uważmy wreszcie co pisze Czacki o dziele Kołłątaja podług owego prospektu wygotować się mającém, naczytawszy się zapewnie przez grzeczność aż do unużenia jego rozpraw podawanych sobie w rękopiśmie o przedmiocie prospektu:

„Racz JW. Pan dać to Mirowskiemu, co raczysz pisać. Wiem zapewne że systema JW. Pana nie najwięcéj będzie wykładaném, bo go uczniowie nie zrozumieją; wyższéj bowiem w tym przedmiocie potrzeba nauki, któréj oni jeszcze nie mają, lecz z pięknego wykładu rzeczy korzystać mogą." Z tych słów Czackiego pokazuje się że Czacki dobrze umiał osądzić dzieło Kołłątaja mające się wyrobić z gotowych już w rękopiśmie rozpraw, lubo przez grzeczność zwłaszcza w liście do samegoż autora pisanym, nie wyjawił zupełnie swojego zdania i uległ panującéj w owych czasach modzie, gdy nawet brednie historyczne wydane dość dobrą polszczyzną przez autora mającego większą literacką sławę niżeli zasługę, chwalono przynajmniéj z wykładu, i uważano je za pożyteczne do czytania dla młodzieży.

List X. Jana Pawła Woronicza do Kołłątaja d. 10 *Sierp. z Warszawy.* Ten list Woronicza i długi odpis Kołłątaja nienależycie umieszczone w korrespondencyi Kołłątaja z Czackim. Woronicz prosi o wyjaśnienie niektórych zawiłości względem *pochodztwa i rozplemienia Słowian,* mając zamiar *przebieżeć* wszystkie ważniejsze podania o *najstarożytniejszych czynach rodu Słowiańskiego.* Donosi, że już kończy poemat sześciopieśniowy *o założeniu Gniezna,* i że zamyśla zgromadzić dzieje Słowiańszczyzny południowéj w poemacie o założeniu Krakowa, a dzieje Słowiańszczyzny północnéj w poemacie o *sejmiku Kruszwickim,* na którym wybrano książęciem Piasta. Jagiellonida zaś, *systematyczna i regularna epopeja w* 24 *pieśniach,* ma być dopełnieniem *ogółu wszystkich dziejów bliżéj nas dotykających.* Daje tedy Woronicz Kołłątajowi 4 pytania tyczące się pierwiastkowego *języka* i *dzielnicy Polskiéj,* na które odpowiada obszernie Kołłątaj w liście i osobno załączoném piśmie pięćdziesiąt kilka stronnic obejmującém; gdzie tylko się wysadza i popisuje z erudycyą a nie rozjaśnia wątpliwości.

Zaraz po liście Woronicza następuje nienależycie umieszczony list Samuela Lindego do Kołłątaja, w którym autor Słownika Polskiego załącza piérwsze arkusze wydającego się Słownika i ostatnią część swojéj rozprawy etymologicznéj. Tak się kończy list Lindego: „Zatrudnienia moje są liczne i ciężkie: szkoła i wydanie Słownika, jestto podwójny ciężar, *którym* z trudnością wydołać." W ciągu krótkiego listu pisze Linde, że słownik jego obejmować ma przynajmniéj 450 arkuszy druku a może i przeszło 500. Tuż zaraz po odpisie Kołłątaja Woroniczowi, umieszczony jest odpis Lindemu, w którym Kołłątaj uznaje niesłychaną pracę *nietylko w wyli-*

czeniu Słowiańskich Dyalektów, ale nawet mów obcych Europejskich i Azyatyckich. Dziękuje za przysłany wyimek z rozprawy etymologicznéj od rozdziału IX, i żałuje że cała rozprawa niewydrukowana. W dalszym ciągu listu tak pisze: „Nie narzekaj WPan na pracę około edycyi Słownika, bo go ta do nieśmiertelności prowadzi. Dłużéj będziesz znany w potomności jak autor tego dzieła niż jak dyrektor Liceum." Nareszcie prosi Lindego, aby mu fałszywych tytułów nie dawał na kopercie; bo nie jest członkiem Zgromadzenia Warszawskiego a te nawet Zgromadzenia, których był członkiem albo upadły, albo się w inną zmieniły postać. Tak potém pisze: „do mojéj spokojności, do chluby mego cierpienia należy, abym był niczém we względzie nauk jak jestem niczém we względzie politycznym. Szanuję zacne zgromadzenie Warszawskie, ale dosyć jest dla mnie być wszystkich gorliwych członków wielbicielem."

Jeszcze przed listem Woronicza umieszczony jest podany Kołłątajowi przez Jana Śniadeckiego list krótki Czackiego, na który Kołłątaj odpowiadając tak zaczyna: „JP. Śniadecki krótką swoją bytnością bardziéj rozdrażnił, niż nasycił serce moje." Potém prosi Czackiego, aby mu powiedział szczerze, czy jego interes ma za zgubiony, i czy może ofiarować cały swój majątek na gimnazyum pod warunkiem opłacenia wszystkich kredytorów i zapewnienia sobie dożywotniego dochodu. Czacki mu zaraz odpisuje, że jego interesa, jako piérwszego emeryta w stanie nauczycielskim są wstrzymane, ale nie zgubione, a ofiary z dóbr *zakwestyonowanych* przyjąć nie może, boby to było po jezuicku: *z każdego wypadku korzystać dla swego dobra.*

Po odpisie Kołłątaja Lindemu następuje *list Czackiego pisany* 15 *8br. z Porycka* do Kołłątaja, w którym pisze mu Czacki że Jan Śniadecki chce czytać jego dzieło będące jeszcze w rękopiśmie, prosi też o nadesłanie tego dzieła, zwłaszcza że Śniadecki ma jeszcze zabawić jakiś czas w Porycku. Kołłątaj przesyłając Śniadeckiemu żądany rękopism prosi go o jak najsurowsze roztrząśnienie téj pracy, zwłaszcza że podchlebiać sobie nie może, aby w materyach fizycznych i astronomicznych pisał bezbłędnie, kiedy w ciągu jego pobytu w Ołomuńcu, fizyka prawie całkowicie zmieniła swoje zasady, a dzieła nowe nie są mu znane.

List Kołłątaja do Czackiego 26 *8br.* Pisze, że mu nadesłano statut dla Gimnazyum ułożony, lubo się spodziewał, że to będzie statut dla mającego się kiedyś założyć uniwersytetu. Zarzuca Czackiemu, że w tym jego statucie nie ma należytego porządku w podziale na 5 części, ani wskazanych stosunków gimnazyum z uniwersytetem Wileńskim i szkołami sobie podległemi. Radzi, aby to dać Śniadeckiemu do przerobienia i ułożenia.

Czacki w odpowiedzi swojéj na poprzedzający list Kołłątaja pisze: że jeszcze nie czas myśléć o uniwersytecie na Wołyniu, gimnazyum przejść może z czasem w uniwersytet. Przy tém tłómaczy się z zarzutów sobie uczynionych co do porządku w statucie dla gimnazyum i w 5 artykule powiada, że Śniadecki czytał cały ten *projekt statutu*, wkrótce tedy pośle jego uwagi i poprawy. Na końcu listu donosi, że Śniadecki gotuje uwagi nad jego rękopismem, i że podług niego część fizyczna potrzebuje niektórych ważnych odmian.

Następuje obszerny list Śniadeckiego do Kołłątaja z uwagami nad jego rękopismem, który znowu tu niewła-

ściwie włączony pomiędzy korrespondencyą Kołłątaja z Czackim, chyba dlatego że pisany z Porycka. List ten najstosowniéj było pomieścić przy końcu *Badań historycznych* obejmujących 3 wielkie tomy niewielkiego użytku, gdzie po większéj części domysły na domysłach się zasadzają. Nawet uwagi Śniadeckiego nad tém dziełem, jak mi się zdaje, nie mają w sobie dosyć gruntowności, a więcéj w nich widać popisu i chluby. Wartoby, dla ocenienia dzieła i razem dla wyjaśnienia prawdy, żeby kto z dzisiejszych znawców wziął pod krytyczny rozbiór i *Badania historyczne* Kołłątaja i *uwagi Śniadeckiego*, a ten rozbiór byłby ważniejszym od samego dzieła i uwag nad nim.

List Czackiego do Kołłątaja d. 23 *Listop.* Donosi, że Monarcha ukazem z 12 8bris 1806 r. darować raczył starostwo Krzemienieckie dla Gimnazyum, a Kołłątaj w odpowiedzi Czackiemu na list poprzedzający winszuje tak znakomitego daru Monarchy, i razem oświadcza, że dla ostatecznéj poprawy statutu, potrzebuje się widzieć i pomówić z samymże Czackim i miéć sobie podane poprawy Śniadeckiego.

Znowu nienależycie przy końcu tomu IV umieszczone są dwa listy: jeden Śniadeckiego do Kołłątaja pisany z Wilna d. 11 Listop. 1809, a drugi list Kołłątaja do Śniadeckiego z Krakowa d. 11 Stycz. 1810 r. wydany przy końcu 1go tomu *Pism rozmaitych* Jana Śniadeckiego w przypisach do *Życia Kołłątaja*.

Nareszcie po tych dwóch listach umieszczonych, jak gdyby tylko dla pomnożenia kartek, mających się drogo opłacić, następuje dalszy ciąg listy hojnych a może więcéj dobrodusznych i nieodmównych prenumeratorów, w liczbie stu kilkudziesięciu, którzy tak wielką prenumera-

tę na 3 tomy *Badań historycznych* i drugie tyle na korrespondencyą Kołłątaja z Czackim złożyli.

Aby osądzić, czy szanowny wydawca odpowiedział godnie oczekiwaniu tylu prenumeratorów, ująwszy ich wiele obiecującém ogłoszeniem prospektu, a może więcéj jeszcze swoją i swoich spółkolegów usłużną wziętością, nie trzeba długich dni i nocy prześlęczać nad czytaniem trzech tomów *Badań historycznych*, których pewnie sam wydawca nie czytał, a które, wzięte pod uwagę i pióro myślącego i niespracowanego Niemca lub rodaka, pokazałyby się raczéj *bredniami niehistorycznemi*; nie trzeba czytać z największym mozołem i nudotą czterech tomów *Korrespondencyi Kołłątaja z Czackim*, gdzie wiele rzeczy nawet ważnych w swoim czasie stały się dla nas zupełnie obojętnemi, wiele planów i projektów spełzłych na niczém otwierały pole wydawcy do światłych i pożytecznych uwag, nie zaś do obszernych wypisywań pomnażających tylko koszta druku i cenę wydania. Dość nam przejrzéć spis rzeczy wygotowany przez samego Kołłątaja przy rozprawach obejmujących tak zwane *Badania historyczne*, a przekonamy się czy te *Badania* w całéj rozwlekłości swojéj warte były druku. Dość przejrzéć spis rzeczy umieszczony przez wydawcę przy każdym tomie Korrespondencyi Kołłątaja z Czackim, aby się przekonać że wydawca nie dbał bynajmniéj o należyte wydanie téj z wielu miar ważnéj korrespondencyi. Wybrał on sobie w układzie swojego zbioru najłatwiejszy porządek chronologiczny, który go uwalniał od czytania i osądzenia pism zbiór ten złożyć mających, a zwracał jedynie uwagę na daty przy pismach położone. Zapatrzywszy się na same daty korrespondencyi tylu osób w jednym zbiorze podanéj, poodrywał albo raczéj pood-

sadzał daleko odpowiedzi od listów i poprzedzielał je innemi listami lub opisami ubocznemi, wśród których gubi się ciąg korespondencyi, wtrącając między korrespondencyą dwóch osób głównych listy przydatkowe Śniadeckiego, Słowackiego, Osińskiego, Dmochowskiego Mirowskiego, Jarkowskiego, Woronicza, Lindego, Maja, tudzież plany, prospekta i projekta do mów, do ustaw, do zakładów na papierze skończonych. Tak tedy bez braku i wyboru gromadził wszystko, co tylko mogło mieć jaką choćby i naciąganą styczność z ową korrespondencyą, byle tylko złożyć cztery wielkie tomy, które do jednego lub najwięcéj dwóch bezpiecznie przywieść można było i należało. Powinien był jeszcze wyjaśnić światłemi uwagami i zasięgnionemi zkądinąd wiadomościami nietylko odmienne charaktery osób korrespondujących, ale oraz czasy, wypadki i okoliczności, w jakich listy były pisane.

Lecz przy tak mechanicznéj i łatwéj chociaż bardzo popłatnéj pracy, o układaniu pism porządkiem dat, nawet ani pomyślał p. Koisiewicz, aby ocenić dzieła Kołłątaja których wydawcą się ogłosił pod względem ich wartości bezwzględnéj i wpływu, jaki w naszych czasach mieć mogą i powinny. Tém bardziéj nie pomyślał aby ocenić zasługi obywatelskie Czackiego, który, umocowany od Najmiłościwszego Monarchy do założenia nowéj szkoły na Wołyniu i do urządzenia szkół w 3ch Guberniach, nie uląkł się żadnych trudności, przeszkód, narażeń, obmów i potwarzy, aż nareszcie niczém niezmordowaną gorliwością i usiłowaniami wszystko przemógł, tak iż w r. 1804 wzniesiona przez niego szkoła Krzemieniecka, od r. 1808 pokazała się już w kwitnącym stanie, i na ostatnie trzy lata życia swojego założyciela

była dla niego prawdziwą rozkoszą, pociechą i chlubą. Podobnież i inne szkoły w 3 guberniach zawiadowaniu Czackiego poruczone, na coraz lepszéj z każdym rokiem były stopie, a wszystko to przygotowywało się właśnie w 3 latach obejmujących korrespondencyą Kołłątaja z Czackim. Nie takiego wydawcy potrzebowała ta korrespondencya, bo nam w dzisiejszych czasach nie idzie jedynie o materyały, ale więcéj o zbiory pism osądzonych, przebranych i oczyszczonych z tego, co dziś nie warto czytania a zatém i druku, na co szkoda trwonić czas i pieniądze. Już nam może aż nadto przez tyle lat dostarczali grubych i nieobrobionych albo nieudolnie i niedbale wyrobionych materyałów nasi powieściarze, szkicownicy, zbieracze i odrabiacze mniéj więcéj udolni pieśni Ukraińskich, Galicyjskich, Krakowskich, Mazurskich i Litewskich; gawęd, przysłów, klechd, dum i dumek, legiend, rysów i zarysów, albo scen urywkowych i dyalogów bez najmniejszéj iskierki życia drammatycznego. Wśród tedy mnóstwa wychodzących peryodycznie i nieperyodycznie cudzych pism zbiorowych a nawet i własnych czyli oryginalnych, zwykle największém lekceważeniem i niedbalstwem autorskiém lub wydawczém oznaczonych, rzadko się co ukaże godnego czytania; a czas już przecie, abyśmy mieli głębokie i mocne przekonanie, że i tu *obfitość nie jest bogactwem*, owszem okrywa tylko i osłania nagość i ubóstwo, tudzież okazuje brak siły, samodzielności i pracy. *Uderzyłem o stół*: wnet się *nożyce* odezwą.

Teodozy Sierociński.

EZECHIEL.

SCENA LIRYCZNA, WEDŁUG PISMA Św.

PRZEZ

Adama Słowikowskiego.

GŁOS OD WSCHODU.

Gwiazdami niebo okazale płonie,
Jeszcze bladego nie widać księżyca.
Senne Chobaru (*) pomykają tonie,
Północ!.... Dokoła martwa okolica,
Gwiazdka cudniejsza błyszczy w tamtéj stronie,
I jak nadzieja urokiem przyświéca.
Góry i stepy cichość ogarnęła,
Cała natura w żałobie usnęła.

Samotny księżyc z głębi chmur wypływa,
Drżący zajaśniał na błękitnéj fali.
Zasłona która szczyty skał okrywa
To się rwie nagle, to się łączy wdali.
O! jakże prędko mgła tumanów siwa
Po firmamencie kłębami się wali.
Ptak cieniów budząc ponure milczenie,
Tęskne po grobach rozwodzi jęczenie.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Kościom rycerzów po chwalebnym skonie
Służą te pola za skromne mogiły,

(*) Rzéka w Chaldei.

Simum duszący co zagubą wionie,
Słońca je żary dawno wysuszyły.
Zaległy smutnie tak obszerne błonie,
By późnym wiekom o bitwach świadczyły.
Śpią wojownicy w głębokim pokoju,
Już nigdy więcéj nie staną do boju.

Niestety! śmierć, niecofnione prawa,
Umrzéć jakkolwiek—przeznaczeniem ludzi,
Obca dla zmarłych sroga wojen wrzawa,
Ani ich trąba rycerska rozbudzi.
Mienie, uroda i szczęście i sława,
Obce to zgasłym co żyjących łudzi;
Wszystko nikczemne od owéj godziny,
Gdy duch w nadziemskie wzbije się krainy.

GŁOS OD ZACHODU.

Tu miecz zabłysnął zniszczenia Anioła,
I mnogie mężnych powaił orszaki,
Tu jęk śmiertelnych rozległ się dokoła,
Trwożąc doliny i spłoszone ptaki.
Teraz pustynia i gdzieniegdzie zioła,
Gdzieniegdzie skwarem słońca spiekłe krzaki.
Ztąd na rodzinne opoki sęp leci,
Tam nikły pająk snuje wątłe sieci.

GŁOS OD PÓŁNOCY.

Jakiżto człowiek o saméj północy
Odwiedza przestwór zwłokami usłany?
Tu pożądanéj nie znajdzie pomocy
Wędrownik trafem w puszczy zabłąkany.
Stanął, jako cedr, gdy nań z całéj mocy
Uderzy w pędzie wicher rozhukany.
Na smutną grobów patrzy okolicę,
To znów ku niebu podnosi źrenice.

Płaszczem on długim aż do stóp odziany,
A jego lice dumanie wydaje.
I błądzi jak duch tumanem obwiany,
Kiedy zstępuje w zapuszczone gaje.
Z jakiegoż kraju ten pielgrzym nieznany?
W milczeniu do skał posuwać się zdaje,
Przy mdławym blasku miesięcznego koła,
Widać posępną bladość jego czoła.

CHÓR.

Skoro aniołek dziecina
Świat ten doczesny powita,
Tkliwa matka swego syna
Z radością na ręce chwyta.

I pieszcząc tuli do łona,
Świetne mu wróży koleje;
Matko! matko zachwycona!
Nie do ciebie on się śmieje.

Z niebios zlatując ku ziemi
Edeńskie niosiąc natchnienia,
Seraf mu skrzydły swojemi
Niewinną główkę ocienia.

Tajemnicze nań wylewa
Dary, śmiertelnym nieznane,
Niebieskie mu piosnki śpiewa,
Od ziemianów niesłyszane.

Myśl jego prawdą bogata
Zagrzmi ludom i zaświeci,
A dusza nad krańce świata
Przed tron Jehowy uleci.

Przez mgliste wieków tumany
Gromowym pędem powieje,
Nad przyszłości oceany,
Światło wszechmocy rozleje.

Zabrzmi cudy niepojęte
Od spółbraci niezbadane,
Od niego na gwiazdach święte
Imię Adonaj dojrzane.

W niebo się jasne wpatruje
Zkąd niebianów słyszy dźwięki,
Już go zachwyca, raduje
Urok anielskiéj piosenki.

W nieścignionym myśli pędzie
Zmierzy przyszłość ducha wzrokiem,

Matko! czémże syn twój będzie?
Wielkim narodów prorokiem!

PROROK.

W miejscu gdzie szukam przechodu,
Pod stopą zawady czuję,
To kości śmiertelnych rodu!

(*po chwili*)

Wszędzie moc Pańską znajduję!
W najmniejszym proszku, w największym ogromie,
Staje Stworzyciel widomie.

CHÓR.

W najmniejszym proszku, w największym ogromie,
Staje Stworzyciel widomie.

GŁOS OD WSCHODU.

Oto mąż duchem bożym napełniony,
Chaldejskie odwiedza pola.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Jemu porządek rzeczy objawiony,
I ludzi znikomych dola.

GŁOS OD ZACHODU.

Gdzie wieczne lody, gdzie martwe śniegi,
Gdzie złota zorza się pali,
W głębinach zgubnéj oceanów fali
Tam jego wieszczych myśli obiegi!

GŁOS OD WSCHODU.

Gdzie człek nie postał, a ptak nie dolata,
Kędy noc wieczne rozwiesza całuny,
Ponad leniwe ziemi bieguny
Za granicę świata
Proroka umysł zanosi.

GŁOS OD PÓŁNOCY.

On ludom łaskę Przedwiecznego głosi,
Albo gniewu strasznego zwiastuje pioruny.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Srogie klęski i zniszczenie.

PROROK.

Czyja ręka lazurem zdobi to sklepienie?
Kto ze skały w pustyni wywiódł nam strumienie,

Kto wyprowadził słońca okrąg niezmierzony,
Kto zawiesza w przepaści świateł miliony,
Kto niezgłębione morza od lądów oddzielił,
Kto je wiecznie w granice nieprzestępne wcielił,
Kto wylewa na kwiaty rosę pożądaną,
Kto stworzył nocny księżyc, jutrzenkę różaną,
Kto ziemi szaty, ptakom ubarwienie daje,
Z czyjéj władzy noc po dniu, dzień za nocą wstaje,

(po pauzie)

Ciebie ja Panie z chóry niebieskiemi
Wysławiać będę ustami wdzięcznemi.
Przez Cię odkryję, złudzenia daleki,
Następne wieki!

CHÓR.

Ciebie ou Panie z zastępy naszemi
Wysławiać będzie ustami wdzięcznemi.
Przez Cię odkryje, złudzenia daleki,
Następne wieki!

PROROK.

We snach dziecięcych, w marzeniach młodości,
W niezwykłém serca natchnieniu,
Pańską dostojność i wielkość poznałem.
Przez dziwne sprawy, cudem wielmożności
W boskiém duszy zachwyceniu
Widziałem Jego, widziałem.

(ze skruchą)

Jak samotny na ugorze,
Bez rosy kwiatek usycha;
Tak serce moje w pokorze
Za Tobą o Panie wzdycha!

CHÓR.

Jak samotny na ugorze
Bez rosy kwiatek usycha;
Tak serce jego w pokorze
Za Tobą, o Panie wzdycha!

PROROK.

O Ty! którego świat uwielbia cały,
A człowiek duchem ogarnąć nie może,
Na majestacie wiekuistéj chwały
Potężny Boże!
Cherubiny, Serafiny
Tron Twój wkoło otaczają,

We mgle powietrznéj dziedziny
Czarowne himny śpiéwają.
Widzę śród chmury kadzideł
Błyskoty aniołów skrzydeł.
Jak strzały gromów huczących
Błysną—zgasną—znowu świecą,
Coraz wyżéj, wyżéj lecą,
W kraje świateł pałających!
A Ty wszechmogący Panie!
W błękitach namiot rozbiłeś,
Gwiazdami go ozdobiłeś,
W podstawie żywioł szalony
Wzdyma bezdenne otchłanie;
W niebios obszarach Wieczny się unosi,
Gęstym obłokiem wkoło otoczony,
Zdziwionym ludom wielkie dzieła głosi,
Wielka Twoja moc, o Panie!
U nóg Twoich, przy Twym tronie,
Czas na straży, słońce płonie,
Księżyc płonie!

(z zadziwieniem)

Ktoż mi zdarł z oczu śmiertelną zasłonę?
Kto mi dał widzieć dziwy niezliczone?
Ja światło prawdy niebieskiéj rozsieję,
Słowami ciemność oświecę,
I gdzie tłum boskich wyroków jaśnieje,
W zamęt przyszłości odlecę!
Tam śmiertelniku ostępy zaćmione,
W odwiecznéj nocy błąkają się mary.
A ścieszka mgłami—chmurami okryta,
Przed nią otchłań nieprzebyta,
Słońce pewności nie tobie tam świta!
Ten je tylko tam obaczy,
Na kogo Jehowah raczy
Wylać swe dary.

(z żalem)

Dni moich kres niedaleki.....
Przede mną się uchyliła
Całéj przyszłości powłoka—
Raguelu! ty zabijesz
W gniewie, Pańskiego proroka—
Imię swe hańbą niestartą okryjesz!

(posępnie)

W jaskini-- na brzegu starożytnéj rzeki (*)
W miejscu gdzie Judy mieszkało plemię,
Złożą mego ciała brzemię,
Przy Arfaksadzie i Semie.

(nagle)

Jakiżto widok przed oczyma staje!
Nikną Syryjskie narody—
Zburzone Egiptu kraje,
Walą się z trzaskiem Idumeów grody!
Gdzież twoje dumne mury Sydonie! Sydonie!
Cóż to? ciebież więc żegnam Tyrze okazały?
Wczoraj tam jeszcze młodzieży
Wesołe grona pląsały—
Rozwalony — w gruzach leży—
Śród nich rozmyśla wędrownik zdumiony!
Kraj Ammonitów zniszczony.

(niespodzianie)

I Ty—o święty Syonie!
Już nadobne Judy córy
Udręcza smutek ponury.
Ach płaczcie, płaczcie! Solima zburzona,
Palestyna spustoszona!
Nad Eufratu brzegami,
Z wierzb wiszące milczą lutnie—
Wiatr je tylko drażni smutnie,
Izrael karmi się łzami!

(śpiéwa)

Cześć Tobie w cudach widoczny!
Oto przy tłumnym Serafie, Cherubie
Grzmię wieszczą piersią Twéj wieczystéj chlubie.
Głos jéj przez niebios ogromy
Ulata—odbrzmiewa wdali
Jak dźwięk melodyjnéj fali
I z himny archaniołów harmonią oddycha.
Zlewają się zgodne tony
Przywodząc mi rajskie strony
Piérwszego duszy pobytu—
Nim do ziemskiego strącona bytu
Dotknęła życia kielicha.

(*) Eufratu.

Błoga śpiewu niebian wieść—
Klaśnijcie, klaśnijcie ludy!
Jehowy wam ogłasza i łaskę i cudy:
To Jego treść! to jego treść!

Korzmy się, korzmy! Serafie! Cherubie!
Przed tronem stworzenia Pana
Upadam na kolana,
I w proch się gubię!

Cześć Tobie niewysławiony
Niepoczęty
Nieskończony
Niepojęty!
Morze dobroci, litości!
Gdzieżem był wtedy gdy nad nicości
Uniosłeś się zamęty?
Wtenczas gdy duchy stworzyłeś
I po bezdnie przepaści światy rozrzuciłeś?.....

Błogosławionyś Ty w słońcach ognistych,
Błogosławiony w gwiazdach promienistych,
Błogosławiony na światach Twój tron—
Jehowah! Sabaoth! Panie
W Twojém ręku spoczywa i żywot i skon.
Ludy, mocarze, przyszłości otchłanie,
Mądrość, waleczność,
Potęga, wieczność
Kornie przed Tobą padają,
I Wszechmoc Twoję wyznają.
Myriady duchów społem
Z chórem światów ludzkość cała
Wraz padamy przed Tobą i bijemy czołem
Śpiewając: chwała Ci, chwała!
Tchnieniem warg moich dotknąłeś,
Ogniem w mą duszę wionąłeś—
Klaśnijcie ludy! Panu śpiewajmy
I dzięki Jemu oddajmy.
Chwalmy Go, sławmy pieśniami,
I cytrami i arfami—
Bo w pięknym grodzie Salemu
Zabrzmią Syońskie himny po dawnemu,
I przed kościoła Twego świętym progiem
Śpiewać Ci będziem— boś Ty naszym Bogiem!

O! daj mój piersi dźwięk trąb milionów
A wieszczym głosom huk piorunnych tonów —
Grzmoty mej pieśni po światach rozszerzę,
Nią w serca ludów jak gromem uderzę.

GŁOS Z OGNISTEGO OBŁOKU.

Ezechielu!

EZECHIEL.

Panie mój!

CHÓR.

Dokoła
Błyska niebo— słychać grzmienie,
Chmury ciskają płomienie,
Pan proroka swego woła.

GŁOS.

Czyliż te zwłoki ożyją na nowo?

EZECHIEL (*poglądając na kości*)

Rzeknij tylko Panie, słowo,
Wstaną umarli.....

GŁOS.

Prorokuj nad niemi.

EZECHIEL.

W Imię Tego, co skinieniem
Życie w martwy proch obraca,
Co łaski swojéj promieniem
Umarłych do życia wraca;
Kości nagie! wstańcie z ziemi,
Przywdziejcie ludzką postawę na nowo.

GŁOS OD WSCHODU.

Patrz jak prędko, patrz jak rączo
Zewsząd się zewsząd zbiegają—
W ramiona ręce się łączą,
Wewnątrz się żebra składają,
Tułowu czaska się ima—
Ciałem się kości odziały
I ludzką postać przybrały;
Lecz w nich iskry życia nie ma.

CHÓR.

Ciałem się kości odziały
I ludzką postać przybrały,
Lecz w nich iskry życia nie ma.

GŁOS Z OGNISTEGO OBŁOKU.

Przywołaj duchów tysiące,
Aby wskrzesić synów ziemi.

EZECHIEL.

Od zachodu i od wschodu,
Od południa, od północy
Duchy! w Imię Bożéj mocy
Prędzéj niż wichry świszczące,
Przybądźcie loty szybkiemi
Aby wskrzesić synów ziemi.

GŁOSY OD CZTERECH STRON ŚWIATA.

Od zachodu i od wschodu,
Od południa, od północy,
W Imię wielkiej Bożéj mocy
Pędzimy loty szybkiemi
Aby wskrzesić synów ziemi.

CHÓR.

Księżyc w obłoku blednieje,
Mgły wznoszą się nad mogiły,
Ptaki się nocne strwożyły,
Pierzchnęły, dziko zawyły.....
Czy to wiatr podziemny wieje?
Jako jesienne wydmuchy
Z szelestem suną liść suchy
Taki szelest i szum głuchy.

(Widać tłumy zmartwychwstałych uzbrojonych i z orężem w ręku, wojowników).

EZECHIEL.

Z martwego śmierci pokoju
Niezliczeni wstali mężе—
Wstrząsają srogie orężе
Jak w chwile krwawego boju.
Jak w cichą północ księżyc milczący
Tocząc w błękity okrąg błyszczący,
W morzu które drżące stoi
Ognie spojrzeniem zapali;
Taka światłość od ich zbroi,
Takie błyski z mieczów stali.

GŁOS OD ZACHODU.

Wola Wszechmocy spełniona została.
Duchy! znów opuśćcie ciała.

GŁOS OD POŁUDNIA.

Drży ziemia, szybkim polotem
Cienie po błoniach przemknęły,
I nagie kości z łoskotem
Na ziemię nagle runęły.

CHÓR.

Światłości wieknista, nieskończony Boże!
Któż dziwnym Twoim sprawom wydziwić się może?
Ciebie ziemia, niebiosa i zmarli co wstają,
Władzcą uznają.

EZECHIEL (*śpiewa*).

Tak kiedyś Panie wszechmocny
Z koliska biegów komety wyrwane
Uderzą się, w dół potoczą,
Na proch nikczemny strzaskane.
Cienie wtedy dzień zamroczą,
Słońce spadnie, gwiazdy spadną,
Niewstrzymany siłą żadną
Runie z trzaskiem księżyc nocny,
Znikną morza, zginą światy,
Jako gasną wątłe kwiaty.
Wtenczas w zamętu otchłanie
Wszystko będzie pogrążoném,
W światów przestworzu wzburzoném,
Wszystko ciemnością się stanie.
Wtenczas, o Boże łaskawy!
Otoczony blaskiem chwały,
Przyjdziesz osądzić ród śmiertelnych cały,
Ich myśli, chęci i sprawy.

Rzekł, i już obcy boskiemu natchnieniu,
Strach jego serce przeraża:
Zadrżał, milczący w głębokiém zdumieniu,
Cudy wszechmocne rozważa.

W jasnym obłoku, na poranném niebie
Błyska jutrzni świt rumiany;
On jeszcze duma, widząc wkoło siebie
Zwłokami obszar usłany.

Budzi go wreszcie i słońce ogniste
I wrzask puhacza w jaskini;
Zniknęły dziwy, w kraje tylko mgliste
Wzbija się orzeł pustyni.

KRONIKA LITERACKA.

Kataleptyk. Powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Sztyrmer. Tomów 2. 1846. Wilno.

W kronice za miesiąc poprzedni mówiliśmy o powieści praktycznéj, mamy teraz rzec o mistycznéj. Kataleptyk jestto powieść mistyczna. Powód utworzenia się téj powieści był taki:

P. *Floryan* uczniem był p. *Kwinta*. P. Kwint miewał napady *epilepsii*, a p. Floryan (zapewne jako dopiéro uczeń) *katalepsii*. Udziałem tego p. Floryana nie była przecież gwiazda zbyt krwawa. Kiedy był młodym chłopcem i dzieckiem, łupili mu majątek opiekunowie; lecz gdy dorosł, ujrzał że ma majątek; podróżował potém po Niemczech gdzie kwitnie rozum, i gdy wrócił, ujrzał że ma rozum; miał nawet zamiar ożenić się, jednak nie ożenił się; p. Floryan był kataleptyk, któż pójdzie za kataleptyka?

Przyjacielem p. Floryana był p. *Maurycy*. P. Maurycy lubił nad wszystko świat i błyszczał na świecie rozumem, którego nie miał, lecz który zdobywał na swych przyjaciołach. P. Floryan nie miał żony ale miał rozum; obcowanie i rozmowy z nim były więc właśnie głównym przedmiotem łupu dla p. Maurycego.

Plus przez *minus* daje *minus*, tak bywa w algebrze; ale z rozmów p. Floryana i p. Maurycego wynikło *plus*. W ro-

zmowach tych odbił się mianowicie duch pana Floryana, a z treści téj ułożył się *Kataleptyk*.

Trzy oddziały składają ogólną treść Kataleptyka, przytaczamy tu w kilku słowach zawarcie każdego.

Oddział I. W oddziale tym mającym napis: *Życie dwóch światów*, poznajemy dwóch bohaterów: p. Floryana i p. Maurycego. Z rozmów ich dowiadujemy się najprzód tych szczegółów które przytoczyliśmy, a daléj więcéj. P. Floryan nietylko miał przyjaciela ale téż przyjaciółkę. Przyjaciółką tą była p. Aniela Krzyżownicka. Ta p. Aniela nie bez przyczyny miała to piękne imię. Rodzina Krzyżownickich szła od jednego z Krzyżowników i miała los smutny. Każdy z Krzyżownickich był zbrodniarz lub wielki przestępca aż do rodziców Anieli, w ciągłéj zwadzie, z sobą będących; dopiéro panna Aniela otrzymała *anielską* missyę pojednania rodziców swém urodzeniem i przerwania szeregu rodzinnych zbrodni swém życiem. Ojciec jéj przewidział to we śnie i ztąd jéj imię. P. Aniela, która pojednała swoich rodziców, pojednała i p. Floryana ze światem. Ujrzawszy go, uczuła najprzód widząc go, litość, daléj przyjaźń, daléj coś więcéj i wreszcie darowała mu na pamiątkę,—swoję rozprawę. P. Floryan i p. Maurycy skończywszy rozmowę o *sobie*, o *sztuce*, o pannie Anieli, przeczytali tę jéj rozprawę; byłyto *Myśli o życiu zewnętrznem* i *życiu wewnętrznem*.

Oddział II. *Życie wyjątkowe*. Reprezentantem tego życia nie jest ani p. Floryan ani p. Maurycy; ale jest *Żyd wieczny tułacz*. Ciekawy był powód i szczegóły ukazania się téj postaci. W mieście w którém mieszkał p. Floryan była jakaś dziwna redakcya pisma peryodycznego; członkowie jéj wyznawali wprawdzie przed p. Floryanem „że mieli przeciwności" lecz pismo które wydawali „miało pewną wziętość," zbiérali się nadto już wieczór już rano i odczytywali artykuły nadsyłane. P. Floryan zgrzytał zębami słysząc o takiéj redakcyi, poszedł na jednę z jéj sessyi i chciał przemówić ustami, lecz tymczasem *zgrzytał zębami*;—szczęściem wszedł za nim na posiedzenie *Żyd wieczny tułacz*, i *verba veritatis* powiedział redakcyi.

P. Floryan będąc nazajutrz u pp. Krzyżownickich, opowiadał wieczorem tę przygodę. P. Aniela i wszyscy śmieli się, ale wtém ukazał się znowu i stanął przed zgromadzeniem *Żyd wieczny tułacz* i historyę XIV wieków opowiedział.

Oddział III. *Jad we krwi.* Oddział ten jest obrazem przekleństwa jednéj rodziny, tojest tych szczegółów w jakich się objawiło to przekleństwo. P. Floryan i p. Aniela byli raz w staréj komnacie, gdzie zawieszone były obrazy jéj przodków. Nagle zamgliło się w komnacie i obrazy poruszyły się z posad. Każdy ze starych Krzyżownickich zstępował po kolei ze ściany i historyą swego życia opowiadał.

P. Floryan który tracił niekiedy rozum, oczywiście nie tracił mowy. I mowę Żyda Tułacza obejmującą pół tomu, i historyą XIV wieków i powieści obrazów które składają cały tom 2gi, ze wszystkiemi szczegółami i odcieniami dyalogów. sam opowiedział. Z ust jego dowiedział się też p. Maurycy i o *zakończeniu.* P. Aniela uderzona opowiadaniem swych przodków i przerażona coraz smutniejszym stanem p. Floryana, wstąpiła do klasztoru. P. Floryan dowiedziawszy się o tém, wpadł w suchoty.

Taka jest treść Kataleptyka. Treść ta jest w ogóle swoim i w wielu szczegółach fantastyczna, tu i owdzie psychologiczna dlatego więc powiedzieliśmy że jest mistyczna. Jestto treść w swém tle i kierunkach podobna większéj części powieści pani Sztyrmer. Pani Sztyrmer we wszystkich swych wydawanych od niejakiego czasu powieściach, założyła sobie: *mieć cel;* za ten cel obrała: powoływać swych czytelników *do cnoty*, a do osiągnienia tego celu używa głównie dwóch środków.

Zmysły nasze jakkolwiek widzą i słyszą, nie słyszą jednak i nie widzą wszystkiego co jest w naturze; unosić się więc od czasu do czasu w kraj *nadzmysłowości* (fantazyi) i ze stanowiska tego kraju uroczyściéj nas uczyć, jest więc piérwszym środkiem autorki, środkiem jéj *formy.*

Rozum ludzki jakkolwiek zowie się rozumem, czyni niekiedy głupstwa i grozi *cnocie;* drugim przeto środkiem autorki, środkiem jéj *treści*, jest: powstawać na rozum.

Mówiąc *w ogóle*, nie jesteśmy wcale przeciwni ani zadaniom autorki ani jéj środkom.

Pani Sztyrmer zamierzyła w swych powieściach mieć *cel*, jestto cecha któréj nietylko zarzucać, lecz którą owszem dorzucać chcielibyśmy do każdéj powieści; różnica pomiędzy powieścią która ma cel, a powieścią która celu nie ma, jest zdaniem naszém taka, jaka jest między słońcem i fajerwerkiem.

Świat nasz ma stronę zewnętrzną i stronę wewnętrzną; zaglądanie w ostatnią tę stronę zowiemy *fantastycznością*; fantastyczności nie poczytamy więc wcale za winę powieści. Powieść fantastyczna pełniejszą owszem być musi niż powieść praktyczna; jestto obraz dwustronny, nie jednostronny. Powieść wreszcie to gałąź poezyi, a fantazya to główny żywioł poetyczności.

Rozum nasz jest dotąd w swojéj podróży, a nie u kresu. Każde stąpienie jego, mieści jeszcze w sobie warunek, że się tak wyrazimy, podniesienia nogi; każdy jego podrost ma swój punkt śmiertelności i zgnicia, z którego ma wyrość gałąź; te zjawiska na skale obszerne, zowiemy *nadużyciami rozumu*; powstawać na te nadużycia, poczytujemy nie za winę lecz za powinność.

Godzimy się więc na zdania autorki w ogóle, wszakże nie godzimy się na stosowanie ich w szczególe, a to dla przyczyn następnych:

Pani Sztyrmer chce nas powoływać do cnoty; uwielbiamy cel taki; lecz wyznając iż nam potrzebną jest cnota, nie zgadzamy się na to z autorką, co jest ta cnota.,

Nie chcielibyśmy, mówiąc o sztuce, mówić o czém innem jak o sztuce. Lecz pojmowanie przez autorkę w ten a nie inny sposób jéj celu, tojest tego co cnota, tak jest w jéj powieściach wyraźném, tak owszem coraz na obszerniejszą i otwartszą skalę głoszoném; pojmowanie tego celu w ten sposób tylu znakomitym pisarzom naszym jest spólne; rozpowszechnianie tego pojęcia drogą sztuki tyle być może skuteczném, a ile w swym środku powabném, tyle przez

skutki zgubném, że nie odstąpimy zapewne zbyt od przedmiotu, mówiąc o samym tym celu słów parę.

Pani Sztyrmer powołując swych czytelników do cnoty, powołuje ich, jak uprzedza, do cnoty *Ewangelicznéj*. *Nic złego nie czynić* i czekać spokojnie tych losów, jakie na nas (to jest na ludzkość) mają przyjść kiedyś, ma być główną treścią téj cnoty. „Mądrość, rozum, nauki, są to próżne, zgubne lub tylko zabawki," mówi pani Sztyrmer.

W tém pojmowaniu cnoty ewangelicznéj różnimy się tylko o słowo; lecz różniąc się tylko o słowo co do zasady, różnimy się o świat cały co do następstwa.

Zdaniem naszém cnota ewangeliczna nie jest *bezczynność* ale jest *czynność*. —Cnota ewangeliczna to *miłość*, to przynoszenie *owoców* setnych i sześćdziesiątych; to *uprawianie* darów od Boga nam udzielonych.

Głównym darem który otrzymuje człowiek na ziemi jest bez wątpienia *rozum*. Siła przyczyn jest tajną ale jéj *środki* jawne. „*Ustawę* P. Bóg dał i nie przeminie." *Ps. XCVIII.* 8.—Wszelka zmiana która się dzieje śród ludzi, dzieje się przez duch ludzi. Ten rozum, to duch-narzędzie i duch-kierownik. To duch-kierownik człowieka, to duch-kierownik ludzkości (1).

Ludzkość, jak ją widzimy, jest różność, ale idzie z jedności i do jedności.

Ludzkość to rozstrzelenie. — To rozstrzelenie fizyczne i rozstrzelenie *moralne*. — To rozstrzelenie w swych *oderwaniach* i *drogach* przybrało, (dobrze nam znane) formy i nazwy *wiar*, *nauk*, stosunków *społecznych* i t. p.

Z oderwań tych do całości, przez drogę do odpoczynku idzie ludzkość, a przez ścieszki wiedzie ją duch ów przewodnik:—*rozum*.

(1) „Nie bądźcie jako muł i wół które nie mają rozumu," mówi Pismo.—Zbawiciel dla okazania „spraw Pańskich" nie pozbawiał ludzi rozumu, lecz go przywracał. Z ludzi działających bez obecności i kierunku rozumu (jako *lunatyków*, *opętanych* i t. p.) *złego ducha* wyganiał, mówi Pismo.

Wiar jest wiele, ale *jednę* tylko rozróżni i jednę zatrzyma rozum. Nauk wiele, lecz je rozwinie, posunie i (przywodząc do stanu prawdy) *połączy*, nie nierozum zapewne lecz rozum;—w stosunkach są różności i krzywdy, lecz *urządzi* je, przeodzieje, ustali, nie nierozum zapewne, lecz rozum.

Świat jest walką prawdy i fałszu, lecz go poczęła prawda i wygra prawda. *Działać*, to cel przyśpieszać, to wiek wygranéj przybliżać.

Wiek ów (królestwo prawdy) oderwanie nie przyjdzie, nagle nie spłynie, ale *i niepostrzeżenie* i *harmonijnie* z ducha ludzkiego (*) wywinie.

Tak pojmujemy cele, tak nasze kroki, tak w stosunku do nich rozum i cnotę. Tak pojmując nie możemy naturalnie godzić się na sposób stosowania przez panią Sztyrmer zasad jéj do środków, o których rzekliśmy, a przynajmniéj do *treści* ich.

(*) Łuk. XVII, 21. Mat. XXIV, 32.—Szereg zdarzeń nie jest bezładem ale jest ładem. Jeżeli ten lub ów wiek, ta nauka i t. p. niepotrzebnemi i zbytecznemi się widzą przed naszém pojęciem, ułomność ta leży w istocie nie w owym wieku, nauce i t. p. ale w naszém pojęciu. Chociażby nawet nauki Greckie (mowi ś. Klemens Alexandryjski przystępując do polecania tych nauk), miały być dla nas nieużytecznemi, to jednak jeżeli to uznawanie ich za nieużyteczność jest użytecznością, już tém samém użytecznemi dla nas się stają (1)"; i tenże niżéj, zbierając i wykładając świadectwa pisma, popierające rozum: „słusznie powiedział apostoł (Paweł), że różnokształtną jest mądrość Boża i że przez różnokształtne zjawiska jako sztuki, nauki, wiary, dar proroctwa, swoję siłę i swoje błogie wpływy objawia;" „*wszelka mądrość od Pana Boga jest*, i jako On trwa na wieki:" powiedział Ekklezyastyk (2). Pani Sztyrmer nauczania swe lubi popierać wyrywanemi cytacyami z pisma ś.;— opatrujemy nasze w porękę wykładu.

(1) Πρωτον μεν, εἰ και ἀχρηςος εἰη φιλοσοφια, εἰ εὐχρηςος ἡ της ἀχρηςιας βεβαιωσις, εὐχρηςος. Stromateon. l. 2.

(2) Εἰκοτως τοινον ὁ Αποςολος πολυποικιλον εἰρηκεν την σοφιαν του Θεου, πολυμερως και πολυτροπως, δια τεχνης, δια επιςημης, δια πιςεως, δια προφητειας, την ἑαυτης ενδεικνυμενην δυναμιν εἰς την ημετεραν εὐεργεσιαν. Οτι πασα σοφια παρα Κυριω, και μετ, αὐτου ἐςιν τον ἀιωνα φησιν ἡτου Ιησου σοφια. Strom. l. 4.

Pani Sztyrmer w powieściach swych powstaje nie na nadużycia rozumu, ale na rozum. Aby osiągnąć ten cel, tworzy dyalogi szczególne, ustępy i figury powieściowe. Wieńcem i rozwinieniem tych środków, miała być zapewne powieść o której mówimy, *Kataleptyk*.

Kataleptyk jestto człowiek w powieści który ma rozum, w naturze jednak jestto człowiek który go traci; założeniem więc było autorki dowieść: iż człowiek niemający rozumu, jaśniéj widzi od tego który go ma. Kataleptyk jest, rzec można, dalszym ciągiem i rozwinieniem powiastki téjże autorki *Dusza w Suchotach*; różnica tych dwóch powiastek co do ich celu głównego, ta tylko jest, iż piérwsza (t. j. Dusza w Suchotach) była powiastką przeczącą, Kataleptyk zaś jest twierdzącym.

Powiastka *Dusza w Suchotach* miała powodzenie przypominamy, i przeciw dążeniom jéj nie mieliśmy nic do powiedzenia. Powiastka ta przedstawiła nam bohatera umierającego z przesytu nauk i świata, i z tego stanowiska ciskającego szyderstwa na nauki i świat. Dzieło sztuki to nie rozprawa: mamy w życiu tak zwane *spleeny*, *narowy* i *zniechęcenia;* dzieło sztuki może być uosobieniem jednéj z tych chwil. — I największemu mędrcowi zdarzy się wyrzec w gorzkości: że mądrość jest głupstwem, że wszystko marność.—Popieramy przez poklaski i przez szyderstwa, postępujemy przez twierdzenia i przez przeczenia.

Mieliśmy przytém i drugi powód do nieodzywania się przeciw *Duszy w Suchotach*: szyderstwo w powiastce téj nie zdało się nam zbyt straszne; ironia iżby owoc przyniosła, winna mieć swój grunt w prawdzie, z niego wychodzić, inaczéj nie przyniesie owocu. Aby sąd wydać o książce, najpiérwszym jest warunkiem *przeczytać ją*; aby skutecznie szydzić z nauk i świata, trzeba nas piérwéj przekonać, że się je zna. Czy pani Sztyrmer poznała ten cały tłum nauk które wyszydza? czy poznanie ich przetrawiła? czy ze znaczenia ich w ogólném rozwiciu moralném, ich stosunku do świata i wzajemnego, zdała przed sobą sprawę? czy serce jéj przebyło, albo przeczuło cały szturm uczuć światowych? tego

nie wiemy;—lecz to wiemy, że nie dają nam téj poręki jéj bohaterowie. Bohater *Duszy w Suchotach* skończył sześć klass, przebył romans z córką pocztmistrza w Kozienicach i wpadł w Suchoty Duszy. Szyderstwa z tego szczytu przesycenia się mądrością i światem, ciskane na mądrość i świat, nie mogły w nas obudzić ufności.

Kataleptyk, bohatér powieści o któréj mówimy, jest jak rzekliśmy bohaterem postępnym. P. Floryan już nietylko w Kozienicach ale był w Niemczech. P. Floryan jeżeli jeszcze nie dowiódł, że czytał te liczne pisma których tytuły nam przytoczył, to przynajmniéj: tytuły nam przytoczył.— Pół świata odtrąciło p. Floryana, i figura ta byłaby już właściwszą na *Duszę w Suchotach*.—Ale pani Sztyrmer w powieści téj nietylko charakter bohatera ale i cel swój chciała rozwinąć postępnie. Z powiastki naukowo przeczącéj uczyniła, jak uważaliśmy, naukowo twierdzącą. Kataleptyk nie szydzi, lecz prosto uczy. Cel się stał jasnym lecz *pedagog* równie nam mało musiał się silnym wydać jak i *szyderca*.

Cały tom 1-y Kataleptyka jest, można rzec, *dydaktycznym*; składają go, jak uważaliśmy, rozumowania o *sztuce*, rozprawa o życiu dwóch *światów*, zagajenie *Żyda tułacza* o próżności pracy i nauk, i wreszcie historya tegoż o XIV piérwszych wiekach chrześciaństwa.

Te ustępy może dlatego nie wydają się nam zbyt do celu swego trafiającemi, że nie zgadujemy zupełnie ich zadań.

W rozmowie dwóch przyjaciół o sztuce, przedmiotem ich sprzeczki jest muzyka, tojest kompozycye wzięte z dwóch wieków: przeszłego i nam spółczesne. Walczą tu *Mozart* i *Strauss*, wygrana zostaje przy piérwszym, i autorka zdaje się nas zapytywać z ironią: gdzież jest wasz postęp? Spółczesna nam sztuka muzyczna miałaby istotnie prawo mieć żal do autorki za obiór reprezentanta.

W rozumowaniach o życiu *zewnętrznem* i *wewnętrznem*, ironiczny uśmiéch pani Sztyrmer przy wzmiankach o tém ostatniém, nie jest harmonijném przygotowaniem do scen

daléj idących, w wierze tylko w owe ostatnie życie grunt miéć mogących.

W filipice *Żyda tułacza* przeciw naukom, najtrudniéj nam jest korzystać z jéj wniosków. Autorka mówi tu: „Wszelkie dziś uprawiane nauki nader niedoskonałe są jeszcze; *nie doskonalmyż* więc ich; cel do którego dążymy dalekim jest jeszcze, *nie postępujmyż* więc.“

Opowiadanie o XIV wiekach wykonane jest stylem gładkim (jak i poprzednie), w zaczęciu zaś uroczystém, oraz na nutę lamentu. Niektóre odstępy ułożone są nawet z samych fraz z pisma św. jakkolwiek, zdaniem naszém, krzywo postosowanych. Opowiadanie to nie przytacza nam żadnych szczególnych faktów; autorka miała zapewne na celu jakiś wzgląd historyozoficzny, ale nie zgadujemy go. Dlaczego pani Sztyrmer historyą piérwszych wieków chrześciaństwa opowiedziała na nutę lamentu? Czy ma to być wyrażenie żałości ze straty dawnego okresu? czy z narodzenia się i tryumfu nowego?

Tom 2gi jest zewnętrznie cechy całkiem odmiennéj. Tom ten, jak widzieliśmy, składa się jedynie z szeregu opowiadań powieściowych. Autorka porzuciła tu ton naukowo-dydaktyczny, a zamieniła go na opisowo-praktyczny. Sfera ta nader przyjaźniejszą jest zwykle pióru autorki. Treść ta tomu2go jest dla nas, rzec można, polem miłego przejścia się po nie nazbyt równych przeprawach.

Tłem tych opowiadań powieściowych jest fantastyczność. Fantyczność jest to, jak uważaliśmy, zwykle środek *formy* autorki. Fantastyczność dwojaką jest. Lub treścią jéj jest bujanie fantazyi, grunt swój mające jedynie w jéj *sile* i *wierze*, a taką np. jest każda *machina* epopei, każda ballada, każda powieść autora *Klejn-Zaches* i t. p. lub téż treścią tą jest: zbiór *zjawisk* (Greckich *fantaston*) z czynności rzetelnych *ducha* jakkolwiek bez udziału *rozumu* wynikających, a taka jest np. przedmiotem powieści téj nam spółczesnéj szkoły mistycznéj, w Niemczech, któréj mistrz *Kerning*. Fantastyczność w Kataleptyku pani Sztyrmer jest treści mieszanéj. Fantazye w tych powieściach tomu 2go, o których

mówimy, są z wiary; usprawiedliwione jednak są i logiczne, są bowiem w ustach *Kataleptyka*. Wzjawiskach ducha widzimy mteryał do badań, nie powód do potępiania rozumu; nie godzimy się więc na cel użytéj przez autorkę machiny, ale nie mamy prawa potępiać machiny. Cel moralny w każdéj z tychże powiastek jest jasny; odcienia wieków, z których pochodzą bohaterowie opowiadający, zachowywane; same dyalogi (któremi zdaniem naszém nie celują w powieściach pani Sztyrmer bohaterowie nam spółcześni) naturalniejsze są w tych opowiadaniach. Powiastkom tym moglibyśmy tylko może zarzucić brak lekkości ruchu, który nie zaciera, lecz owszem niejednokrotnie daje nam widzieć obecność ręki autora.

Ustępy Kataleptyka, mówiąc wreszcie wogóle, dały nam całość, wprawdzie pod jeden napis objętą, lecz w któréj szczegółach (sądząc nawet ze stanowiska celu autorki) nie widzimy jedności znaczenia. Trzy napisy położono na trzech oddziałach jéj: *Życie 2ch światów*, *Życie wyjątkowe* i *Jad we krwi* nie są nam wyjaśnieniem téj jedności. Czy oddział 2gi miał być zaprzeczeniem prawdy 1go a rozdział 3ci tych obu? czy też znaczenie wewnętrzne tych trzech oddziałów całkiem jest od siebie niezależne? Powieść pani Sztyrmer ma w gruncie cel dydaktyczny; mamy prawo dopominać się więc o te znaczenia?

Gdybyśmy będąc zapytani: czy pani Sztyrmer ma talent, odpowiedzieli: że pani Sztyrmer go nie ma, powiedzielibyśmy kłamstwo. Najpiérwszym utworem pani Sztyrmer, przypominamy, była powiastka pod napisem: *Historja Kuzyna mojego Pantofla*, a powiastka ta, zdaniem naszém, napisaną jest z prawdziwym talentem. W powiastce téj dała autorka nam obraz: myśli, słów, czynów, położeń; charakteru jakiegoś, który znała, którego poznanie przetrawiła, i przedstawiła nam obraz z prawdy; na tle takiego obrazu, każdy szczegół wydać się musiał życiem, humoryzm humoryzmem, ironia ironią. Powiastka ta mająca na celu: wyśmiać *brak woli*, przypadła nawet harmonijnie, jako powiastka przecząca, do natury ostatniego okresu na-

szego w sferze piśmiennéj, którego zadaniem i cechą było (jak i jest dotąd) restaurowanie woli.

Lecz gdybyśmy twierdzić chcieli, że w wydanych dotąd przez autorkę powieściach pod nazwiskiem Nieboszczyka Pantofla, równie widzianym jest talent, powiedzielibyśmy drugie kłamstwo. W powiastkach tych puściła się pani Sztyrmer na określanie miliona charakterów, których poznania nie przetrawiła; miliona położeń którym nie miała czasu dać równych spadków; używa za ramy fantazyi, w którą sama nie wierzy; objawia w nauczaniach zasady, których sama nie łączy, i nie daje nam w żadnéj: całości do przechowania. W powieściach tych nieraz wprawdzie napotkać możemy kartkę zdolności, nieraz postrzeżenia trafne, myśl własną; powieści te mogą nawet mieć swoję (i z więcéj odznaczonych) publiczność; wszakże nie potrzeba, sądzimy, być zbyt wielkim prorokiem i matematykiem, aby porachować dni ich trwania.

Tak niebogatą jeszcze mamy w literaturze naszéj gałąź powieści, i tak zwłaszcza lubimy psychologiczne, iż autorka daruje nam, że dostrzegłszy w niéj talent, zapisujemy głośno tę skargę.

Powieści pod nazwiskiem Nieboszczyka Pantofla wydane przez nią, zdaniem naszém, o tyle tylko są z prawdy, o ile są rozwinieniem i zachowaniem myśli ich autora, rzucającéj się do wszystkiego i cofającéj się przed czasem.

Bylibyśmy istotnie wdzięczni pani Sztyrmer, gdyby wreszcie raz chciała zaniechać dalszéj redakcyi powieści swego niefortunnego bohatéra, i dała nam znowu własną.

T.

Zygmuntowskie czasy, powieść z roku 1572, *przez Józefa I. Kraszewskiego.* 4 *tomy. Warsz.* 1846.

Ledwośmy przeczytać mogli Pamiętniki Nieznajomego, dają nam zaraz *Zygmuntowskie czasy*. Jakto, czy i to Kraszewski napisał?—Bez wątpienia. A to już i uwierzyć dopra-

wdy trudno, żeby też... i t. d. I wszyscy się dziwią i dziwują i wydziwić nie mogą, jak można tak dużo pisać, i z tego punktu wychodząc wnoszą już *a priori*, że to wszystko nie może być wykończone, dobre, bo jakże może wystarczyć czasu nawet, autorowi na powtórne choćby przejrzenie tego co napisał.... Naturalna, każdy mierzy swoim łokciem. Są też i tacy, co bardzo dogodny wymyślili termometr na dzieła Kraszewskiego; co w jednym tomie to dobre, co w kilku to nic dobrego. Ale po co nam pytać się kto napisał? i które z porządku jest dzieło jego? Widzimy książkę nową w 4 tomach wydaną w r. 1846 u Orgelbranda. Czytajmy.

I czytaliśmy od początku do końca. Co ztego z ostało, opowiem pokrótce. A naprzód mnie się sam tytuł nie podoba. Tytuł, według mego zdania, jest to w jednym wyrazie niejako całe dzieło, jest to symbol dzieła, temat. Dlatego powinien być jasny, zrozumiały i ograniczony; powiedzieć, że się nam w jednéj powieści czy romansie przedstawi Zygmuntowskie czasy, jest to nic nie powiedzieć; tak samo jak napisać *Latarnię czarnoxięzką*, jest to napisać nie jedno dzieło ale skleić kilka powiastek, wypadków, opowiadań, aby się jako tako kupy trzymały. Aprzecież najważniejszym może warunkiem utworów artystycznych, jest to panowanie od początku do końca jednéj mysli, bo ta tylko daje całości żywotną siłę, wlewa w szczegóły organiczny związek. W tym nowym utworze p. Kraszewskiego ani w tytule, ani w dziele samém mającém być jego rozwinięciem, téj naczelnéj myśli się nie doszukasz; bo, że na piérwszych i ostatnich stronicach romansu niektóre też same napotkasz osoby, to nic jeszcze jedności myśli nie dowodzi.

Dzieje się wszystko w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta. Mąż księżnéj Sołomereckiéj zginął na wojnie z Tatarami, pozostał jednak z tego małżeństwa chłopczyna. Ale ponieważ małżeństwo to było młodéj dziewczynie przez opiekunów narzucone, a ztąd tajemne, dowodów piśmiennych nie było (*). I otóż brat księżnéj w celu zagarnię-

(*) Pod ręką, a umyślnie po nie wysłany ksiądz ***nie wrócił z Rzymu.

cia majątku prześladuje młodego Sołomereckiego, nastając na gardło jego bez żartów: ponieważ zaś szatan nigdy za dużo rogów nie pokaże, więc i pan brat nie majątku niebyto pragnie, ale zmazania plamy z familii swojéj, bo to dziecko, powiada, jest nieprawe, bo księżna po odjeździe męża bawiła na dworze królewskim i była bardzo do Barbary podobna. Otóż tedy nieszczęśliwa matka chowa swoje dzieciątko jak może, aż nareszcie przymuszona natarczywością przeciwników, w sukmance chłopskiéj, pod opieką piastunki, puszcza dziecię na wolę Bożą; sama wkrótce potém jedzie do króla, bawiącego wtedy w Knyszynie. Mały i z piastunką rozstać się musiał i sam jeden przybywa do Krakowa. Ztąd mamy wiele szczegółów Krakowskiego życia mieszczan, magnatów, protestantów, dziadów a szczególnie też żaków do których się młody książę zapisał. Szczegóły zkądinąd znane, ale z talentem właściwym autorowi, w oddzielnych obrazkach żywo przedstawione, a co się tycze postępowania żaków, nieskończenie szczęśliwiéj aniżeli w Kataleptyku p. Sztyrmer. Ale to wszystko są tylko oddzielne ztąd i z owąd zerwane rysy; wiernego i całego obrazu nie już Zygmuntowskich czasów, ale panowania Zygmunta Augusta tu nie ma: boć nie taka musiała być myśl autora, choć taki tytuł. Jestto niezła panorama Krakowa nic więcéj.

Podróż księżnéj do Knyszyna, o protekcyą do króla, nastręcza opisy samego miasta i jego przypadkowego gościa, króla, wraz z dworem, który za wyłączeniem kilku osób, mógłby doskonale składać dwór Lucypera. Portret samego Augusta wcale bez potrzeby, z najobrzydliwszéj strony zdjęty. Dziwna rzecz, że p. Kr. tak znakomity jako teoretyk i pisarz powieści, nie wie albo wiedzieć nie chce, co na jedno wyjdzie, że malowanie w podobném świetle ludzi jako ludzi, wcale artystyczném nie jest, tém bardziéj, jeżeli w człowieku którego przedstawiamy, moglibyśmy się dopatrzyć łatwo strony więcéj człowieczéj, kiedy tym człowiekiem ma być król. W takim razie nawet chęcią prawdy zasłaniać się nie wolno. I to nawet nietylko w romansie gdzie autor daleko ma więcéj władzy nad faktami, ale w historyi

takie szczegóły, sytuacye, wady ludzkie, jako czysto indywidualne, na ogół wpływu niemające, obcinają się bez grzechu.

Księżna wsparta powagą króla, wraca do Krakowa, spotyka i poznaje swego syna. Brat jéj w Krakowie także bawiący, zapowiada jéj znowu zagubę nieprawego członka familii. Oddają go tedy pod opiekę Firleja, który go do kancelaryi swéj bierze. Mamy tu znowu niezły obrazek młodzi pracującéj; ale do tego wcale niepotrzebny opis przypadków Jana z Tęczyna w Hiszpanii, daleko stosowniejszy na końcu Niemcewiczowego romansu.

Ale i zły stryj nie drzymie. Przez jakiegoś tam dziada porywają chłopca, ciągną do piwnicy, tłuką mu głowę żeby nie uciekł i zostawiają, dlaczego, nie pamiętam. On mimo bolu, wyczołgał się z piwnicy, omylił czujność śpiącego obok dziada i z Krakowa zemknął. Po drodze zaszedł do księdza. Opis księdza i jego domowników, choć nie nowy w ogóle, doskonały jest przecie. Bo temu nikt przeczyć nie myśli, że p. Kr. w chwytaniu oddzielnych rysów charakterów, i w żywém ich a dosadném odmalowaniu jest mistrzem. Szczególnie też czaruje język jego, zawsze żywy, zawsze obrazowy, zawsze z czującéj mocno duszy płynący; a jednak dziwna, że w obecném dziele i język nie zawsze zadawala; a są miejsca, których w żaden sposób zrozumiéć niepodobna. Jestto szkaradne niedbalstwo tego co przepisywał albo tego co drukował, albo kogo innego jeszcze, bo nie są zwykłe omyłki drukarskie, które wnet poprawisz; tu nawet domyślać się nie możesz co to być ma.

Młody więc książę schował się u księdza ale i ztąd porwany, i znowu odkradziony wrócił jednak do Krakowa. Obawiając się jednak podobnych wypadków na przyszłość Czuryło sługa przywiązany księżnéj, unosi młodego na Litwę do Sapiehy. Ztąd znowu obraz Wilna i Sapiehy i dworu jego, mający być sprzecznością z obrazem dworu Firleja, ale zaledwo naszkicowany, martwy, bo cały w wyrazach, a co gorsza, bez związku z poprzedniemi i następnemi wypadkami.

Aż tu i dowody owego małżeństwa się znajdują. I dostarczył ich mianowicie syn Czuryły, który będąc w niewoli Tatarskiéj, dostał je do przechowania i oddania komu należy, od wspólnika swéj niewoli księdza *** tego samego właśnie, który do Rzymu po nie wysłany, na nieszczęście księżnéj dostał się w ręce korsarskie. Pan Czuryło, człowiek był bardzo porządny, ale zupełnie nieciekawy; bo nosząc się przez lat kilkanaście z temi papierami, nie mógł czy nie chciał zajrzéć do nich. Aż dopiéro ojciec jego, pakując go w drogę, zobaczył zwój papierów, porwał, przeczytał i poznał że to były też same dowody tak długo czekane, które właśnie były kamieniem obrazy dla księżnéj jéjmości.

Idą tedy młody i stary Czuryło do księżnéj. A trzeba jeszcze wiedzieć, że młody kochał się w księżnéj, kiedy była panną; a ona, tak jak to wiécie, co to niby nic, niby siostra z bratem, aż tu jedną razą... i w płacz! Znajdziecie też tam bardzo szeroko o jego miłości, i o nieszczęśliwéj niewoli u dzikiego Tatarzyna, i o nieszczęśliwszéj jeszcze ucieczce piérwszéj, i o walce z wilkami i psami i o wielu bardzo rzeczach i niektórych innych; a to wszystko, bez wątpienia dla lepszego przedstawienia Zygmuntowskich czasów.

Kończy się bardzo szczęśliwie.

Epilog, ulubiony przez p. Kr. w téj jego powieści, kończy się bardzo słusznie wyrazem: *wybaczcie.*

L. Z.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Sprawa, którą przed kratki szanownéj redakcyi wytaczam, tyczy się recenzyi przez pana T., umieszczonéj w zeszycie za miesiąc listopad b. r., recenzyi dwóch powieści Pauliny Wilkońskiéj. Jeżeli w życiu codziennem powinnością jest męża stawać w obronie żony swojéj, pytam się, dlaczegożbym w literackiéj sprawie obcego dla żony mojéj miał szukać obrońcy, albo li też obce przybiérał imię, i dla prawdy fałsz popełniał? Wprawdzie piérwszy to, a więc dziwny przy-

kład i wszelki pozór stronności naprzeciw mnie walczy; ale ufny w logikę sądu czytającéj powszechności, nadziewam się, że pozory nie będą dostateczną przyczyną, aby sędziowie nie poznali słuszności mojéj obrony; odkrząknąwszy przeto, tak rzecz rozpoczynam:

W recenzyi dwóch powieści p. t. *Za późno* i *Jeszcze dość wcześnie*, pan T. poczynił pomyłki w skreśleniu treści. Te pomyłki napozór zdają się być pomniejszemi, ależ na tych pomyłkach opartym jest wyrok, a wyrok pana T., którego szczérze poważamy i wysoce cenimy, obojętnym dla autorki być nie może.

Pan T. w skréśleniu treści *Za późno!* najmylniéj objawia, że Herminia była młodą, że Wielomirski był młody (tojest kiedy się z sobą żenili), że Artur ożenił się z Herminią dla majątku, że *Herminia chciałaby wreszcie cofnąć wszystkie swe postępki, całą swą przeszłość* (?), *ale już było za późno*. W samym zaś wyroku napisał pan T. „*Celem autorki w 1-éj powieści było, przedstawić nam osobę bez zasad; wzór dany iżby był skuteczniejszym spółcześnie, powinienby był się przedstawić podobniejszym do nam współczesnych. Czytelniczki do których dziś mówi autorka, sąto osoby myślące i czytające (chociażby tylko powieści), bohaterka jéj więc powinnaby się nam była przedstawić więcéj myślącą; a przynajmniéj charakter jéj w bliższém określeniu moralném. Herminia pani Wilkońskiéj przedstawia nam się w powieści, bez serca, bez myśli, bez słowa, w jakiémś zupełném nieokreśleniu. Czy brak jéj zasad był skutkiem jakiegoś stopnia myślenia, czy niemyślenia? gdyby przynajmniéj autorka wyjaśniła nam to. Jeżeli Herminia wydaje się nam niekiedy żyjącą, to tylko że jest przy więcéj jeszcze martwym swym mężu (Arturze), dla którego nie pojmujemy także czemu umiéra Zofia.*“

Co do treści prostuję pomyłki pana T.

1. Herminia nie była już tak młodą panną — bo miała lat 25, gdy szła za Wielomirskiego; — i tylko z widoków i z wyrachowania została jego żoną.

2. Wielomirski bynajmniéj nie był młody, gdy się żenił z Herminią, bo miał lat przeszło 40.

3. Artur bynajmniéj się nie żenił z Herminią dla maiątku, było to rzeczywiście chwilowe olśnienie się jéj wdziękami przy zachodzie jéj słońca,—i olśnienie się jéj ukształceniem muzykalném i romansowém.

4. Herminia ani pomyślała chciéć cofać swych wszystkich postępków i całéj swoiéj przeszłości, — owszem jeszcze po śmierci córki, ofiarowała Arturowi zapis majątku, którego jednakże ów Artur, podług pana T. żeniący się dla majątku, przyjąć nie chciał i nie przyjął.

Na tak to rażące pomyłki (i na wiele innych), znajdują się dowody na 400 stronicach; przytaczać te dowody dosłownie, potrzebaby kilkadziesiąt stronic z powieści wypisać, a znów sprawa nie jest tak ważną, aby miała obszerne zabierać miejsce w Bibliotece Warszawskiéj.

Skutkiem tak wyraźnego przeistoczenia szczegółów powieści, tylko niesprawiedliwe ocenienie być mogło.

Herminia Wilkońskiéj jest w zupełném określeniu, bo kobiéta licząca lat 37, dla namiętnéj a szalonéj miłości ku 22letniemu Arturowi, gwałcąca najświętsze obowiązki żony i matki, jest przez czyn swój najniegodziwszy, więcéj określoną, aniżeli przez trzy tuziny frazesów, któreby w jéj usta włożyć można. Wszakżeż kiedy autorka na stronicy 17éj tomu Igo mówi: „Zpomiędzy wszystkich innych, obowiązek matki jest *najwyższym*: czwarte przykazanie każe czcić ojca i matkę, pismo ś. nakazuje niewieście pójść za mężem swoim, a dla niego odstąpić nawet i rodziców. Ale dla matki nie masz przykazań, ażeby o dziecięciu baczyła: Bóg w jej serce wlał to niczém niewysłowione uczucie, uczucie matki! Najwyższą miłością jest miłość macierzyńska! a więc biada niewieście, która go nie zna, która depce to najświętsze, to do bóstwa zbliżające ją uczucie!...“ dostatecznie wykazała jaki jest cel jéj powieści, jakie jest jéj określanie Herminii; i w całym toku téjże powieści, autorka ani na chwilę nie zboczyła z tego założenia, że występkiem i zbrodnią jest gwałcić najświętsze obowiązki żony i matki. Wprowadzenie zaś do powieści młodéj, pięknéj, tkliwéj, szlachetnemi nieszczęściami dotkniętéj, w swojém uczuciu bardzo drażliwéj i naukowo

wykształconéj Zofii, było konieczne, aby młodzieńcze serce Artura od występnéj Herminii odciągnąć, a tém samém karę dla niéj przygotować. Śmierć cnotliwéj Zofii, ta śmierć, któréj pan T. pojąć nie może, była o tyle w powieści potrzebną, o ile i Artur winien być karanym za krok występny, w zbałamuceniu żony Wielomirskiego.

Dzisiaj, kiedy przykłady rozwodów opartych na miłosnéj skłonności matek do jakichsiś lalek z mlecznemi wąsami, są coraz częstsze, i ta bezczelna emancypacya z obowiązków religii i uczciwości coraz więcéj w modę się szerzy, zobrazowanie takiéj Herminii i takiego jéj losu, było pożądaném, i autorka powieści p. t. *Zapóźno!* dostatecznie a w wielu ustępach z talentem się wywiązała z zamierzonego celu. Zdanie to moje każdy podzieli, kto tę powieść z uwagą przeczyta, i kto dla gorzkiego lekarstwa (dla niewdzięcznego obrazu występnéj Herminii), w sądzie swym niekorzystnie uprzedzać się nie zechce.

Wielką wyraził prawdę Antoni Sowa (Edward Żeligowski) w swym dramacie p. t. *Jordan*, a za nim innemi słowy pan T. powtórzył: „Małżeństwo nietylko jest *domem*; jest ono podstawą tego albo innego stanu społeczności, któréj jest cząstką, jest *wszystkiém*. Od takich lub innych małżeństw, zawisło takie lub inne nowe pokolenie krajowe."

Tytuł *Zapóźno!* do którego się sz. recenzent tak często odnosi, jest w téj powieści bardzo podrzędnym, ściąga się raczéj do tego tylko, że Herminia *zapóźno* swoje występki poznała; dla tegoto mniéj właściwego tytułu, nie należało recenzentowi przekrzywiać treści.

Najpowszechniéj przyznany panu T. talent wyższego poglądu i głębokiego oceniania, tym razem zdrzymnął się przy czytaniu powieści mniéj idealnéj, a zupełnie z dzisiejszego społeczeństwa w wiernym obrazie zdjętéj. Pan T. jest poetą duszą i sercem, i wtenczas jest znamienitym recenzentem, gdy stronę poezyi ocenia i tym razem w innym departamencie pisała pani W. (*), dlatego przez pana T. niewłaściwie

(*) To szkoda. *T.*

ocenioną została. Dziwimy się tylko, że poetyczna dusza p. T. nie czuła więcéj sympatyi dla Zofii, że téj Zofii pan T. dostatecznie nie pojął.

Sz. recenzent czyni zarzut, że wzór Herminii nie jest dosyć podobnym do nam spółczesnych; niestety! wzór ten wzięty jest z żyjących wzorów. Zarzut, że bohatérka (Herminia) powinnaby się przedstawic więcéj myślącą, jest także niesprawiedliwy, bo ta przez recenzenta niemyślącą nazwana Herminia występuje bardzo myślącą ale szkaradnie myślącą — a tak ją autorka przedstawia— gdy mówi: (str. 52), —„*O! każdą*, każdą uwagę, jaką ty mi zrobić możesz, po kilka kroć razy już ja sobie sama czyniłam! wszystko rozważyłam, i inaczéj jak się stało, nastąpić nie mogło! Ja nie mogę dłużéj dźwigać tego nieznośnego jarzma, a więc je zrywam!... Dzisiaj opinia świata, o którą zresztą bynajmniéj nie dbam, może mnie niejako potępić; ale przyjdzie czas, gdzie krępująca forma małżeństwa wielkiéj powinna uledz zmianie..."

Co do drugiéj powieści p. t. *Jeszcze dość wcześnie*, szanowny recenzent w skréśleniu treści mylnie objawia, że Żarlicki był niedawnym sąsiadem pp. Sobiesławskich, że za trzeciém czy czwartém widzeniem się, oświadczył się pannie Sobiesławskiéj, i że pan Leon napisał *szlachetny* (?!) list do Julii Sobiesławskiéj. Nadto sz. recenzent zawiózłszy Leona do hotelu Rzymskiego ucina dalsze objaśnienie, a o kochanym konsyljarzu Drewliczu który niepoślednią tutaj grał rolę, który ze wszystkich postaci najlepiéj jest skréślony, z którego ust tyle zdań zdrowych i pięknych wychodzi, ani jedyném jedném nie spomina słówkiem. Ocenienie téj drugiéj powieści sz. recenzent najniewłaściwiéj zmieszał z ocenieniem piérwszéj; gdy tymczasem te dwie powieści w ich celach nie mogą być wcale porównywane, ztąd téż urosło to fałszywe przez recenzenta podsummowanie: „w dwóch powieściach, których treść przytoczyliśmy, bohatérka piérwszéj Herminia, okazuje nam się z sercem bez zasad; drugiéj Julia, przeciwnie."

Sz. recenzent nie obejrzał się, że w innem miejscu napisał, iż Herminia *„przedstawia się bez serca"* więc chyba się dwojako przedstawia z sercem i bez serca?

Podsummowanie, że Herminia była z sercem bez zasad a Julia przeciwnie, tojest z zasadami bez serca, podług mojego rozmyślnego sądu jest najmylniejsze, chyba że pan T. zupełnie od mojego odmienne ma wyobrażenie o *sercu*. Herminię porzucającą męża i dzieci, z których jedno było chorobą złożone, nie można nazywać osobą z *sercem*; kobieta *z sercem* nie porzuciłaby męża i dzieci; Herminia więc była istotnie *bez serca*, bo występnych urojeń romansowych, nieszlachetnéj namiętności, wspartéj obrzydliwemi ideami emancypacyi z obowiązków żony i matki, dozwoli pan T. że za *serce poczytywać nie będziemy*.

Przeciwnie co do Julii, że ją pan T. odsądza od najwyższéj zalety kobiecéj, od posiadania *serca*, ubolewamy nad Julcią, iż w tak surową a niezasłużoną popadła niełaskę pana T. i aby biédną Julcię pocieszyć, oświadczam że Julia Sobiesławska miała serce; bo dziewczynie, która toczy walkę z daném słowem początkowo podobającemu się jéj Leonowi, a z uczuciem głębszém dla Stefana, który ją o swéj miłości zapewnił, *serca* odmówić nie mogę; i chociażby pan T. absolutnym ogólnikiem jeszcze wyraźniéj napisał, że Julcia była bez serca, ja sto razy powtórzę, że Julcia miała serce, a miała je dla Stefana; bo dla Leona miała tylko przeczucie o miłości, ale nie serce.

Gdy zaś sz. recenzent łaskawie oświadcza: „mamy prawo spodziewać się, iż pani Wilkońska, znana już jako autorka niejednego zdolnego artykułu i niejednéj ładnéj powiastki, nie poprzestanie na tych dwóch powieściach, zdaniem naszém, trochę *zapośpiesznie* wydanych"; niech i nam wolno będzie objawić że mamy prawo spodziewać się, że pan T., który już nie jednę wyborową recenzyę napisał, nie przestanie na recenzyi tych powieści, które, zdaniem naszém, za *pośpiesznie* przeczytał (*).

(*) Zdania któreśmy o powieściach pani Wilkońskiéj raz wyrazili, w niczém nie odmieniamy. *T.*

Z tą nadzieją pisaliśmy wzmiankę o recenzyi przez niego pisanéj. Po za tą zaś *wzmianką*, najszczerzéj prosimy, aby pan T. raczył napisać nową recenzyę o nowéj dwutomowéj powieści téjże autorki, p. t. *Jak się dzieje*, do krótce drukować się mającéj.

Przy wolniejszym czasie napiszę dla Biblioteki Warszawskiéj obszerną rozprawę o *sercu*; obecnie kończąc moje pośpieszne pisanie, mam zaszczyt szanowną Redakcyę Biblioteki Warszawskiéj szczérze, najżyczliwiéj pozdrowić jako chociaż już na swoim chlebie, niemniéj przeto zawsze przywiązane do was literackie pacholę.

Au. Wi.
ch. fil. k. n. k.

Pierwotne dzieje Polski i Litwy, zewnętrzne i wewnętrzne, wydał Wacław Alexander Maciejowski 1846. *Warszawa. Str.* 631.

Po *tradycyjnym* i *stannym*, historyczna krytyka nasza ujrzała (jeszcze przy końcu wieku zeszłego) okres swój nowy, według swych przejść roślinnych *kwitnący* t. j. *analityczno-poznający*. Ten okres (jak wszelki okres *poznania*) rozpaść się musiał i rozpadł na dwie doby oddzielne. Piérwsza z nich z cechą wątpienia i z missyą niszczenia, rozwijała się przed oczami naszemi; wszelki szczegół dziejowy wsparty nie naocznością, tylko tradycyą, wykréślał się z rzędu dziejów piórem téj doby; piórem tym zniszczonym więc został i cały okres *dziejów pierwotnych*. Przed nami zaczyna się jednak, i zmienia ta doba.

Pewność dziejów naszych krajowych wyszłych zpod krytyki, pozostała w wieku Xtym. Przodkowie nasi nie ukazali się wszakże na świecie dopiéro z tym wiekiem. Tu lub gdzieindziéj byliśmy „w biodrach ojców;" do pierwiastków historyczności. Ojcowie ci (jak i dzisiaj) otrzymywali od

swoich nietylko ciało lecz też moralną jedność (przekazy); takie lub inne istniały więc i musiały się w ten lub inny sposób do naszych czasów przeciągnąć. Pewniki te zaczęły nagle stawać niezmiennie przed myślą naszych pisarzy. Rozwinięta gorliwość w zbieraniu i ogłaszaniu zabytków, przemieniła też i stan świadectw; zniszczenie szat przekazanych przedmiotu, nie zniszczyło samego przedmiotu; zniszczenie to wreszcie nie dawało już pola do nowego niszczenia; przez te fakta objawiało się posunięcie wewnętrzne i przejście owéj doby o któréj rzekliśmy w drugą t. j. przeczącéj oraz niszczącéj w twierdzącą i budującą.

Czytaliśmy w tych ostatnich latach kilka pism dotykających naszych dziejów pierwotnych, a każde z nich, miało na celu twierdzenie i budowanie. Z pism tych zakresem, wykończeniem i odznaczeniem wyraźnem nowéj doby krytycznéj, stanęło bez zaprzeczenia na czele to którego napis przytoczyliśmy, tojest: *Pierwotne dzieje Polski* i *Litwy* przez p. Maciejowskiego. P. Maciejowski (robimy uwagę jedynie z okoliczności tytułu) odparł w tém piśmie zarzut przesiąkania jedynie Słowiaństwem w swoich badaniach i opowiedział zarówno *Dzieje Polski i Litwy*.

Dzieje Polski, jak uważaliśmy już, uznane zostały za pewne poczynając od wieku X. — P. Maciejowski w piśmie swém zamierzył rozszerzyć tę pewność na wieków dziesięć, i posunąć ją do wieku I-go. Pierwszém pismem dziejowém które zapisało i przekazało nam szczegółowsze świadectwa Zachodu o tym średnim pasie Europy w którym jesteśmy, jest pismo Tacyta z wieku I-go o *obyczajach Germanów*. Germania Tacyta zajmowała oczywiście przestrzeń po Wisłę. Tacyt mówi: „trzymam się zdania tych którzy pokolenia Germańskie mają za jedno;" wyznał więc: iż pokolenia te niepowszechnie miane były za jedno. Tacyt śród tych pokoleń wylicza różniące się zwyczajami i mową. W niektórych więc właśnie z ludów tych (a mianowicie w *Ligiach*, *Anglach*, *Varynach*, *Eudosach* i *Estyach*), p. Maciejowski widzi i wykazuje bezpośrednich przodków Polski

i Litwy. Część ludów tych przeniosła się potém do Bretanii i zaszczepiła tę podobność urządzeń która się rozwinęła nad Wisłą i nad Tamizą. Jednocześnie z zachodniém świadectwem Tacyta spisał Ptotomeusz jeograf świadectwa wschodnie, a w wyliczaniu ludów Sarmackich wspomniał o *Bolanach* nad Wisłą. Ci Bolanie sąto oczywiście Polanie. Polanie zamieszkiwali nad Wisłą, zamieszkiwali nad Elbą, nawet (mówiąc od nas) za Elbą, i zwali się tam Zachodni i Wschodni Polanie; czyli z Celtycka: *Ost* i *West-phale*. W wieku IIgim *Saxonowie* najechali Gremanią zachodnią, a mianowicie podbili *Turyngów* a z nimi *Słowian*. *Zwierciadło Saskie* wymienia trzy główne klassy u tych Saxonów. Szlachtę Saską (*Edhilingi*), nieszlachtę Saską (*Frilingi*)) i wreszcie jak uważa p. Maciejowski, szlachtę nie Saską (już *Lazi* już *Liti*) nazywaną. Ci *Lazi* i *Liti* parci daléj już przez wewnętrznych władców, już przez Franków, posunęli się na Wschód i piérwsi (*Lazi v. Lachy*) pomieszawszy się w wieku VII z Polanami nad Wisłą dali początek nowemu królestwu Polskiemu; drudzy (*Liti*) około Trok państwo Litewskie założyli. Wyjaśnienie pierwotnych zewnętrznych rzuciło światło i na pierwotne wewnętrzne dzieje. Ze wzmianek o obyczajach *Swewów*, z praw dawnych *Saskich*, *Turyngskich*, *Fryzygeńskich* i t. p., autor nowe wydobywa świadectwa dla swego przedmiotu.

Opisawszy pan Maciejowski według tych rysów Piérwotne Dzieje, objaśnił jeszcze i uzupełnił swój opis w *dodatkach*, objętość nawet samego textu przewyższających. Dołączył, między innemi, *mappę* chronologiczną, następstwa zmian zewnętrznych dziejowych, które opisał słowami, rysami przedstawiającą; dodał wiadomość i rozbiór badaczy swych poprzedników na polu tegoż przedmiotu, i stanął krytycznie śród współczesnego nam sporu badaczy Germańskich o pierwobytność Słowian nad Elbą i morzem.

Żaden kraj nie ma dotąd wyjaśnionych stanowczo swych dziejów piérwotnych, żaden kraj nie zaniechał jednak usiłowań o wyjaśnienie ich. Raz zwrócone do pewnego celu poznanie, nie uspakaja się, aż na punkcie swéj prawdy stanie.

Wnioski, domysły, pomoce, gromadzi i zapisuje ta niespokojność. Nasze literatury północne świéższe w nastaniu, tym gorliwiéj i z obfitszym plonem na polu tém występują. Prace np. przedsiębrane dla wyjaśnienia początku ludów Celto-północnych, w lat ostatnich dziesiątku wejrzenie na przedmiot ten z gruntu przemieniły. *Scandinavia* Wheatona, ogłoszenia kommisyi Kopenhagskiéj *Arna Magneana*, rozprawy i pismą pp. *Crichton, Finn-Magnusen, Schening, Suhm. Gejer, Rafn, Raskt* są to publikacye w tym przedmiocie z lat ostatnich prawie spółczesne.—I dla wyjaśnienia naszych dawnych dziejów, lat kilkanaście ostatnich są epoką;—zbiory kronik, zbiory i ogłoszenia akt urzędowych, kodexa dyplomatyczne prowincyj dawnéj Polski, i graniczących, z każdym rokiem ukazywały się i mnożyły. P. Maciejowski uzbroiwszy się w znajomość tych źródeł z nowym skutkiem mógł się potykać na polu ścigania prawdy. „I dziesiątéj części, sam robi uwagę, Naruszewicz i piszący po nim historycy znać nie mogli tych źródeł, które nawet tylko Pertz objął swym zbiorem."

P. Maciejowski postawił pismem o którem mówimy krok, na ciekawém polu, postawił go śladem pewnym. Pismo jego jest zapewne najznakomitszém zjawiskiem na polu historyczności krajowéj z roku tego, i dlatego chociaż tą krótką wzmianką chcieliśmy przed upłynieniem roku, uwagę nań zwrócić. — Czyli wszakże zasady które autor obrał w tém piśmie, są już zupełnym zbiorem ztego obszaru z którego autor mógł brać współcześnie? Czy te twierdzenia, i wnioski które zapisał w swém piśmie są naturalnym i jasnym wypływem z tych zasad na których się oparł? Czy (mówiąc szczegółowiéj) przyjęcie świadectw zachodnich tojest wieku Igo za punkt wyjścia historyczności naszéj jest za dalekie, czy téż owszém przez przyjęcie świadectw od strony wschodniéj ów punkt wyjścia nie mógłby być z równą pewnością jeszcze o kilka wieków wstecz posuniętym? Czy autor w krytyce swéj stanowczo wykazał piérwobytność plemion Słowiańskich nad Elbą? Czy koleje i skutki migracii tych plemion od Elby do Niemna oraz

nawzajem, dowodnie wykazał? Czy wreszcie, na stopniu nieporuszenia w kraju prawdy, mogą być domysły i wnioski autora co do szczegółów dziejów pierwotnych? Odpowiedź na te pytania przejść musiała zakres téj kroniki; bliższe przeto uwagi w tym względzie jak w ogóle o wykonaniu pisma, do jednego z następnych poszytów Biblioteki, odsyłamy. *T.*

Opis powiatu Radomskiego przez X. Fran. Siarczyńskiego, w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński. Warszawa, w drukarni Kom. Rząd. Sprawiedliwości. 1847. 8*vo*. *VIII* i 204 *stron.* (*złp.* 4).

P. Tymoteusz Lipiński, współwydawca dzieła *Starożytna Polska*, jak dotąd troskliwie zbiérał materyały do niego, tak ciągle poszukuje, gdzie tylko może, data, do jego uzupełnienia służące. Wydobyty z ukrycia manuskrypt ks. Siarczyńskiego, opisujący powiat Radomski (około r. 1791) ważnym jest przydatkiem do samego dzieła *Starożytnéj Polski*; nader miłym upominkiem dla obywateli gubernii, a mianowicie powiatu Radomskiego. Znajdują tu bowiem wszystkich wsi i miasteczek opis statystyczny ówczesny z historycznemi wiadomościami i datami o posiadaczach włości szlacheckich w dawniejszych czasach. Nie przestał p. Lip. na prostém przedrukowaniu znalezionego rękopismu, ale sprostował w wielu miejscach dostrzeżone pomyłki i pomnożył obszerniejszém niektórych miejsc opisaniem, jakoto: Gniewoszowa, Granicy, Gródka (gdzie wynaleziony z nadgrobku rok zgonu Kochanowskiego Andrzeja, tłómacza Eneidy, dotąd niewiadomy biliografom, d. 24 marca 1596), Jastrzębia, Klwowa i kilkunastu innych miasteczek. Drobne to są na pozór rzeczy, ale pamiętajmy, że do wszelkiéj budowy większéj, potrzebne są różnorodne i liczne drobiazgowe mate-

ryały. Jak bowiem ogłaszano zbiory dyplomatów różnorodnych, posłużyć mogą jedynie do napisania kiedyś pragmatycznéj historyi narodu Polskiego, tak znowu statystyczno-historyczne opisy miast i miasteczek, przyczynią się do rozjaśnienia wielu okoliczności w dziejach krajowych, pomijając już interesowność miejscową. Słuszna przeto należy się pochwała panu Lipińskiemu za dziełko niniejsze, które od obywateli powiatu Radomskiego z wdzięcznością przyjęte będzie.

F. B.

ROZMAITOŚCI.

Wiadomość o dworze Bony i królewien w 1518 r., podał Tymoteusz Lipiński.

Owdowiawszy Zygmunt I dnia 2 października 1515 r. (1), zamyślał wejść w powtórne związki małżeńskie. Ze trzech księżniczek panujących domów, padł wybór na Bonę, córkę Jana Galeaza *Sforza* ks. medyolańskiego i Izabeli Arragonki, królewny neapolitańskiéj. Głośna z wdzięków i zachwycającéj urody Bona, przybyła do stolicy w kwietniu 1518 r. z licznym orszakiem dworzan swoich ziomków. Współczesny dziejopis Marcin Bielski, tak jéj przyjazd i przyjęcie opisuje: „Bona krolowi Zygmuntowi do Krakowa dnia 15 kwietnia była przyniesiona: przeciwko ktorey krol wyiechał wespołek z Xiążęty Mazowieckimi y innymi panami radami swemi przed miasto, y czekał na nię pod namioty na to rozbitymi. Tamże gdy zsiadła z konia krolowa, witał ią naprzod od krola Łaski arcybiskup, a potym krol wyszedszy z namiotu przywitał sie z nią y pod namiot prowadził, a sukno czerwone wszędzie rozbite było po ziemi. Tamże przednieyszy wszyscy co z krolową przyiechali witali krola, a tym czasem z dział bito y strzelano wszędzie po polu, a niektorzy kopie z sobą kruszyli."

(1) Naruszewicz: o małżeństwie Zygmunta z Boną. Pam. Warsz. 1817 r. VIII. 257.

Wyznać należy: że napływ zagranicznych przybyszów z Panią, rozumem, nauką i dowcipem obdarzoną, przyczynił się do upowszechnienia w kraju naszym większego poloru, zaszczepił sztuki piękne i zamiłowanie w ogrodnictwie; lecz natomiast wcisnęły się na dwór poważnego Zygmunta: gwałtowne namiętności, chytrość, intrygi, trucizny, a przebiegła Włoszka wziąwszy przewagę nad umysłem małżonka, frymarczyła urzędami i wichrzyła wpływem swoim obrady publiczne (1). Słowem: zyskały przez skojarzenie tego małżeństwa nauki i umiejętności, ale surowe cnoty i czyste obyczaje przodków naszych, na szwank narażone, skalane zostały.

Jak znaczny był poczet Włochów, polskim żyjących chlebem, posłuży za dowód: spis przychodów i wydatków skarbu królewskiego 1518 r., prowadzony przez Mikołaja Szydłowieckiego Podskarbiego W. K., wyjęty z rękopismu *in folio*. Na skórzanéj okładce téj księgi, znajduje się wytłoczona tarcza czteropolowa z herbem Odrowąż i trzema innemi godłami spokrewnionych z tymże Szydłowieckim rodzin. „Dworzanie włoscy N. Pani, pisze Podskarbi, tak mężczyźni, jakoteż i kobiety, biorą w stosunku rocznéj płacy, kwartalne pieniądze z góry. Wypłaciłem im po raz piérwszy 14 maja, teraz zaś za drugi kwartał uskuteczniłem wypłatę 17 sierpnia. *Die* 17 *augusti feria* 3 *post festum Assumptionis glor. Virginis Marie. De mandato Regie Mtis expedivi curiam Italicam Reginalis Mtis, quibus datur pecunia pro servicio, secundum quod unicuique ex convento deputatum est pro anno integro, et exinde pro quolibet quartali, et data eis pecunia in principio singulorum quartalium incipiendo a die* 14 *maii, quo die primum data est eis, nunc autem ad secundum quartale dedi eis*". Poczém następuje wyszczególnienie osób, jakoto:

(1) Żywot Bony i jéj charakter, dobitnie skreślił K. W. Wojcicki w Bibl. Warsz. 1843 r. I, 427; lecz co do czasu przybycia królowéj w zapusty, popełnił anachronizm.

	zł.	gr.	
Cola Carmignanus Podskarbi (*Thesaurarius*)	37,	15	(1).
Piotr pomocnik tegoż Coli	7	—	15.
Ludwik sekretarz	37	—	15.
Lekarz (*medicus*)	50	—	„
Baptysta Riposteri przechowujący srebra (*conservator argenti*)	10	—	„
Tomasz tegoż pomocnik	5	—	„
Piotr złotnik (*aurifaber*)	17	—	15
Hieronim kuchmistrz (*magister coquine*)	20	—	„
Jan haftarz (*acuamator hoc est haphtarz*)	17	—	15
Jego brat	7	—	15
Stefan majster krawiecki (*magister sartor*)	25	—	„
Jan bębenista (*timpanista*)	12	—	15
Wincenty d°	10	—	„
Dwaj kapelani	10	—	„
Dwaj lokaje (*stafiri*)	7	—	15
Posługacz pokojowców (*servitor puerorum*)	10	—	„
Franciszek pomocnik kuchmistrza (*cocus coadjutor*)	6	—	7½
Ludwik kucharz	2	—	„
Kuchta (*puer cocellus*)	—	—	15
Franciszek szafarz korzeni (*aromatarius*)	12	—	15
Jakób kutaśnik (*cutassznyk*)	15	—	„
Służący pani Beatryxy nic (*nihil*)	—	—	„

Matrony szlacheckiego rodu.
(*Matrone nobiles*).

Beatryxa Tarla	25	—	„
Pani Ifigenia	25	—	„

Panny szlacheckiego rodu.
(*Puelle nobiles*).

Lukrecya de Alophia	5	—	„
Beatryxa de Rosella	5	—	„

(1) Na dzisiejszą monetę 15½ razy więcéj.

Porcya Archamona	zł.	5	— „
Izabela de Dugnano		5	— „
Laudonia Caractiola		5	— „
Faustina de Opizonibus		5	— „
Laura (1)		5	— „

Stare niewiasty strzegące panny.
(*Vetule custodientes puellas*).

Violenta Greczynka		7	— 15.
Laura Neapolitanka		7	— 15.

Panny pokojowe.
(*Puelle cubicularie*).

Albina Neapolitanka		3	— 22½
Samuela Armizana		3	— 22½

Pod r. 1521 oprócz tychże osób, z małą niektórych zmianą, zamieszczone znajdują się na dworze Bony: panny rodu szlacheckiego Polki, biorące na kwartał po zł. 5, co na dzisiejszą monetę wynosi 15 razy więcéj.

Puelle nobiles Polone:

Zarembyanka, Morska, Maczyeyowska, Penkoslawska.— Też same dziewice, należały już 1518 r. do dworu królewny, ale nie wyrażono któréj.

Wymieniając w dalszym ciągu rękopism osoby składające dwór małoletnich córek Zygmunta I, zamilcza o imionach królewien; na czele bowiem wydatków, czytamy tylko: *Anno* 1518 *in curiam reginularum distributa die* 8 *novembris*. Winienem przeto wyłuszczyć: że piérwsza żona Zygmunta, Barbara, córka Stefana *Zapolya* wojewody węgiers. (a nie

(1) K. W. Wojcicki pisząc o Bonie, mówi: „Włoszki wydawała w Polsce za mąż; tak ulubienicę swoję Laurę, wydała za Lubomirskiego, drugą Faustynę za Scoratę." Szkoda że autor nie przytacza źródła, skąd powziął tę wiadomość, zwłaszcza: iż Niesiecki o tém nie wiedział.

Zapolskiego, jak się niektórym podobało przeistoczyć), powiła Jadwigę i Annę narodzoną 1 lipca 1515 r., która zmarła 1520 r. (1); Jadwiga zaś wydana została 1535 r. za Joachima II, elektora brandeburskiego.—Poniżéj tu wyliczeni dworzanie płci męzkiéj i żeńskiéj, pobierali roczną płacę:

P. Piotrowski Marszałek dworu (*Magister curie*) . . . . . zł. 100.
P. Gut kuchmistrz (*Magister coquine*) . . — 100.
Orlik szafarz (*dispensator*) . . . . . — 30.
Hińcza pokojowy (*cubicularius*) zł. 8, a teraz z polecenia JKMci, dostał szubę futrzaną wartości zł. 2 . . . . . 10.
Borowski pokojowy zł. 8, a teraz tytułem zasiłku, otrzymał szubę wartującą zł. 2. . . . . 10.
Andrzejek pokojowy zł. 6, gr. 12, i na szubę zł. 2 . . . . . 8, gr. 12.
Żegota (Ignacy) pokojowy zł. 4 i na szubę zł. 2 . . . . . 6.
Szczęsny (Felix) pokojowy zł. 4 i na szubę zł. 2 . . . . . 6.
Paweł kredenserz? (*cultricularius*) zł. 4 i na szubę zł. 2 . . . . . 6.
Odźwierny starszy (*portulanus major*) grzywien 2, młodszy zaś (*junior*) zł. 2, razem . . . . . 5, gr. 6.

Matrony i panny (*Matrone et virgines*).

Pani kasztelanowa sandomirska (2). . . . . 32.
— Zborowska . . . . . 32.
— Ożarowska . . . . . 32.
Panna Zofia, córka kaszt. sandom. . . . . 8.

(1) Data urodzenia Anny podług Naruszewicza. Ob. Pam. Warsz. 1817, s. 257.

(2) Żona Mikołaja Szydłowieckiego, który w 1515 r. został podskarbim W. K. i kaszt. sandom., gdyż brat jego Krzysztof, z kaszt. sandom. postąpił na Wtwo krakowskie.

Panna Aneczka. . . . . 8.
— Elżbieta Długojowska . . . . . 8.
— Dorota . . . . . 6.
— Maruszka (1) . . . . . 6.
Dorota (2) . . . . . 6.
Zofia piastunka . . . . . 4.
Dorota praczka, piorąca szaty matronom, (*lotrix que abluit vestes matronis*) . . . 12.

W dalszych zapiskach téj księgi, mieści się pewna osoba, niepoślednie wówczas na dworze trzymająca miejsce, którą jednak nie poważył się Podskarbi między dworzan policzyć, lecz pod odrębną rubrykę podciągnąwszy, wyraził: za powrotem JKMci z Litwy, wypłaciłem 19 stycznia 1519 r. trefnisiowi Leopolicie (*Leopolito joculatori*) tytułem zasług (*ad racionem servicii*) zł. 20. Temuż odjeżdżającemu do domu, dałem z polecenia królewskiego zł. 12 z łaski (*de gratia*).—Nieznany nam ten nadworny błazen, poprzednikiem był głośnego Stańczyka, o którym rozwodzi się Bielski w swéj kronice pod 1533 r.

(1) W rękopiśmie: Marusska—może to zdrobniałe imię od Maryanny.

(2) W rękopiśmie wyrażono: iż Podskarbi W. K. wypłacił *pro toto anno, Dorothee gnave fl.* 6—*Gnavus, a, um*, znaczy: prędki, rzeźki, ochoczy, pilny.

Wiadomość statystyczna o składzie nauczycielskim instytutów specyalnych (1) *gimnazyów i szkół powiatowych Okręgu Naukowego Warszawskiego, z początkiem r. sz.* $184^2/_3$ *i końcem r. sz.* $184^5/_6$.

		Z początkiem r. s. $184^2/_3$		Z końcem r. s. $184^5/_6$	
		w szczególe	w ogóle	w szczególe	w ogóle
(2)	*Pozycyj nauczycielskich* było	—	518	—	568
	w instytutach specyalnych	54	—	74	—
	w gimnazyach	236	—	260	—
	w szkołach powiatowych	328	518	234	568
(3)	etatowych	436	—	460	—
	nadetatowych	66	—	92	—
	funduszu prywatnego	16	518	16	568
w szczególności	dyrektorów	13	—	13	—
	inspektorów	38	—	40	—
	nauczycieli religii katolickiéj	36	—	37	—
	— — prawosław.	5	—	10	—
	— — greko-unic.	—	—	1	—
	— — ewangielic.	12	—	15	—
	nauczycieli języka Polskiego	44	—	39	—
	— — Rossyjskiego i Słowiańskiego	51	—	57	—
	— — Łacińskiego i Greckiego	63	—	63	—
	— — Francuzk.	11	—	11	—
	— — Niemieck.	36	—	37	—
	nauczycieli historyi i geogr.	50	—	52	—
	— matematyki i nauk przyrodzonych	67	—	85	—
	— przedm. specyal.	23	—	37	—
	— rysunku i kalligrafii	35	—	37	—
	— śpiewu kościeln.	32	518	34	568
(4)	z pomienionych pozycyj nauczycielskich było nieobsadzonych	3	—	8	—
	z pomienionych pozycyj nauczycielskich było połączonych	30	33	43	51
Osób zatém należących do *składu nauczycielskiego* było		—	485	—	518

	Z początkiem r. s. 184⁹/₁₀		Z końcem r. s. 184⁹/₁₀	
	w szczególe	w ogóle	w szczególe	w ogóle
(5) Pod względem *dawności służby*				
z dawnych tojest z epoki przed rokiem 1833	169	—	146	—
z nowych tojest z epoki po r. 1833	316	485	372	518
(6) Rozpoczęło służbę przed r. 1817	36	—	29	—
(7) Pod względem *kwalifikacyi naukowéj*:				
odbyło nauki w gimnazyach i innych niższych szkołach	231	—	233	—
w uniwersytetach	254	485	285	518
z piérwszych odbywało nauki				
w szkołach Królestwa	101	—	100	—
Cesarstwa	55	—	49	—
zagranicznych	52	—	51	—
w kursach dodatk. i pedagogicz.	23	231	33	233
(8) Z drugich odbywało nauki w uniwersytetach Warszawskim	115	—	113	—
Wileńskim	32	—	32	—
Cesarstwa	61	—	88	—
zagranicznych	46	254	52	285
otrzymało stopnie akademickie		149	—	175
a mianowicie stopień studenta	35	—	52	—
kandydata	44	—	56	—
magistra	63	—	61	—
doktora	7	149	6	175
Pod względem *wyznania* było				
katolickiego	384	—	410	—
prawosławnego	50	—	50	—
greko-unickiego	6	—	8	—
ewangelickiego	37	—	42	—
Mojżeszowego	8	485	8	518
Pod względem *stanu rodziców* było: urzędników	10	—	22	—
duchownych	22	—	22	—
szlachty	271	—	280	—
stanu miejskiego	178	—	190	—
stanu wiejskiego	4	485	4	518
W ciągu tych czterech lat z liczby 485 *ubyło* osób 78				
do pozostałych 407 *przyb.* osób 111				

		Ubyło	Przybyło
(9)	dyrektorów	1	
	inspektorów	7	2
	nauczycieli religii	19	24
(10) a w szczególności	nauczycieli języka Polskiego	2	
	— — Rossyjskiego	9	11
	— — Łacińskiego	7	12
	— — Francuzkiego		
	— — Niemieckiego	6	9
	nauczycieli historyi i gieografii	10	8
	— matematyki i nauk przyrodz.	5	20
	— przedmiotów specyalnych	1	4
	— rysunku i kalligrafii	5	6
	— śpiewu	6	12
		78	111

(11)	umarło	23
(12)	uzyskało emeryturę	10
z ubyłych	przeszło do innéj służby	25
	uwolniono	13
	oddalono	7
	Razem	78

Uwagi. (1) Do liczby instytutów specyalnych policzone są następujące: kursa pedagogiczne, kursa prawne, instytut w Marymoncie, instytut w Radzyminie, szkoła malarstwa i szkoła rabinów.

(2) W ciągu czterech lat powiększyła się liczba posad nauczycielskich o 50 z powodu zaprowadzonego w tym przeciągu czasu nowego instytutu specyalnego, tojest szkoły malarstwa, rzeźbiarstwa i budownictwa; z powodu powiększonéj liczby nauczycieli religii, wyznania prawosławnego i ewangelickiego, tudzież z powodu podziału klass gimnazyum realnego.

(3) Do pozycyi funduszu prywatnego należą posady gimnazyum imienia Zamojskich w Szczebrzeszynie.

(4) Liczba pozycyj nieobsadzonych zwykle jest większą w końcu r. s. aniżeli z początkiem.

(5) Liczba nauczycieli z epoki dawniejszéj na początku r. s. 184$^2/_3$, wynosiła $^1/_3$ część, a w końcu r. s. 184$^5/_6$ mało co więcéj nad $^1/_4$ część.

(6) Ci którzy rozpoczęli służbę nauczycielską przed r. 1817, podług nowego ukazu kwalifikują się do całkowitéj pensyi emerytalnéj.

(7) Najważniejszą okolicznością w tego gatunku wykazach statystycznych, są stosunki pod względem kwalifikacyi naukowéj, od tych bowiem głównie zależy wewnętrzna wartość instytutów szkolnych; wypada jednak tutaj oddzielić nauczycieli, od których może być wymagane wyższe usposobienie naukowe, od nauczycieli, od których takowe wymagane być nie może. Niniejszy wykaz przedstawia pod tym względem nader zadowalniające stosunki.

(8) Pod kategoryę uniwersytetu Warszawskiego, podciągnięta jest istniejąca w Warszawie akademia duchowna.

(9) Co do rubryki przybywających i ubywających, największéj i ciągłéj przemianie ulega kategorya nauczycieli religii.

10) W powyższych wykazach przybyłych i ubyłych nie są umieszczeni nauczyciele którzy się nie znajdował z ipoczątkiem r. s. $184^{2}/_{3}$ ani z końcem r. s. $184^{3}/_{4}$, jakkolwiek w pośrodku tegoż czasu mogli należéć do ogólnego składu nauczycieli.

(11) Liczba umarłych wskazuje, iż stosunek śmiertelności mało co jest większy nad 1 na 100.

(12) Stosunku otrzymujących emeryturę, oznaczyć na teraz nie można, z powodu że ostatni ukaz co do emerytury nauczycielskiéj, inne w przyszłości wypadki przedstawi.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Oświadczenie.

Rękopis Ortelów, o którym jako o swoim mówiłem w artykule przeze mnie do Biblioteki Warszawskiéj podanym, i tamże w numerze październikowym, r. b. wydrukowanym nie jest mój własny, lecz należy do W-go Henryka Bajera, urzędnika głównéj komory celnéj Warszawskiéj. Szanowny ten mąż, wielki miłośnik starożytności krajowéj, raczył mi drogi ten zabytek prawa Staro-

Polskiego do użytku naukowego powierzyć, i z téj przyczyny uazwałem go moim, czyli do wolnego użytkowania łaskawie mi pozostawionym. Składając za to rzeczywistemu tegoż pomnika właścicielowi najczulsze dzięki, przyrzekam ogłosić z czasem drukiem szacowny ten, i równie dla badań nad językiem, jak i starożytném prawem Polskiém nader ważny zabytek literatury krajowéj.

Pisałem w Warszawie, w miesiącu listopadzie 1846.

Wacław Alexander Maciejowski.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Odległość niektórych gwiazd stałych od ziemi. Najtrudniejszém zadaniem w astronomii praktycznéj, jest oznaczenie parallaxy rocznéj gwiazd stałych, a tém samém ich odległości od ziemi. Parallaxa jest kąt, pod jakimbyśmy patrząc się z gwiazdy, widzieli promień średni rocznéj drogi ziemi, blizko 21 milionów mil geogr. wynoszący. Gwiazdy stałe tak są od ziemi odległe, iż gdybyśmy się myślą na nie przenieśli, i z nich ziemię uważali, wtedy nietylko ziemia sama, ale i cała jéj droga roczna wydawałaby się tylko punktem. Pomiędzy gwiazdami stałemi, niektóre okazują ruch własny znaczny; z czego wnosić można, iż gwiazdy te są bliższe ziemi, niż inne mające ruch własny daleko mniejszy; dlatego też astronomowie, do poszukiwań parallaxy, takie gwiazdy obrali, które mają ruch własny widoczny.

Pierwszą z takich gwiazd jest 61 *Łabędzia*, szóstéj wielkości, mająca ruch czyli zmianę roczną równą 5 sekund łuku. Parallaxa téj gwiazdy, wyznaczona bardzo ściśle przez Bessla w Królewcu, a późniéj sprawdzona przez Petersa w Pulkowie, zawiéra tylko 0″3483, czyli przeszło $^{3}/_{10}$ sekundy łuku. Odle-

głość jéj od słońca wynosi 592,200 promieni średnich drogi rocznéj ziemi, czyli 12,240 bimilionów mil gieogra. Światło, przebiegające blizko 42 tysiące mil na sekundę, dla przejścia od téj gwiazdy do ziemi potrzebowałoby 10 lat i 3 miesiące.

Druga gwiazda, piérwszéj wielkości, na półkuli południowéj nieba położona, jest a (alfa) *Centaura*; parallaxa jéj przez astronomów Angielskich Maclear i Henderson wyznaczona, wynosi 0"9128, tojest blizko jednę sekundę łuku. Światło, dla przyjścia od téj gwiazdy do nas, potrzebuje 3 lat.

Trzecia gwiazda, siódméj wielkości, w konstelacyi Niedźwiedzia wielkiego, oznaczona nrem 1830 w katalogu Groombridge, mająca ruch własny roczny 7 sekund łuku, przez Argelandra dostrzeżony, ma parallaxę, podług oznaczeń astronoma Faye, równą 1"06, tojest nieco większą nad jednę sekundę. Odległość téj gwiazdy od słońca, jest 195000 promieni średnich rocznéj drogi ziemi, czyli 4,030 bimilionów mil gieogr.; światło dla przyjścia od téj gwiazdy do ziemi potrzebuje blizko trzech lat. (*L'Institut N.* 661, 2 *Septembre* 1846 *p.* 294).

* *Gwiazdy przelatujące.* Peryody dostrzeżone w zjawianiu się gwiazd przelatujących w miesiącu sierpniu i listopadzie, corocznie się stwierdzają. Humboldt, który piérswzy zwrócił uwagę uczonych na to szczególne zjawisko, uważa gwiazdy przelatujące jako ciała stałe, krążące w przestrzeni około słońca gromadą, tworzącą wielki pierścień, do którego ziemia w biegu swym rocznym dwa razy się zbliża, przez co te drobne ciała zdają się pozornie na ziemię spadać, chociaż rzeczywiście tylko koło niéj przechodzą. Zdarza się wprawdzie niekiedy, iż gwiazda na ziemię spada w postaci kuli ognistéj lub kamienia nadpowietrznego, czyli tak zwanego aerolitu; zjawiska jednak tego rodzaju są rzadkie. W miesiącu sierpniu r. b. Alexy Perrey w Paryżu, zwracał uwagę na te zjawiska: w nocy d. 10 sierpnia r. b. widział on gwiazd przelatujących 41, następnéj zaś nocy d. 11 t. m. naliczył ich 31. W piérwszéj połowie nocy, tojest od wieczora do godziny 12, gwiazdy miały kierunek od północy ku południowi; w drugiéj zaś połowie nocy, tojest nad ranem, przebiegały niebo od

strony północno-wschodniéj ku południowo-zachodniéj; niektóre z nich w małéj jednak bardzo liczbie, miały odmienny kierunek. Zjawiska tego rodzaju uważają się zwykle gołém okiem, dlatego, iż tu potrzeba zwracać uwagę na znaczną przestrzeń nieba, i w dostrzeżonéj gwiaździe śledzić kierunek biegu, jéj wielkość i inne okoliczności, czegoby lunetą, mającą zwykle małe pole widzenia, uskutecznić nie można. Wszelako zdarza się niekiedy, iż obserwator, zajęty postrzeżeniem astronomicznem do innego celu zwróconém, widzi w polu swéj lunety przelatującą gwiazdę, któréj blask nagły i ruch szybki sprawia mu w obserwacyi przeszkodę. Tego doświadczył kilkakrotnie p. Maedler w Dorpacie, który, gdy lunetę celowniczą przy wielkim refraktorze 2 stopnie i 43 minuty pola mającą, nastawiał na gwiazdy podwójne; widział w niéj gwiazdy szybko przebiegające, i ich położenie i czas przelotu oznaczył. To zdarzenie miało miejsce w r. 1842 d. 3 kwietnia i 8 grudnia, także w r. 1843 d. 19 lutego i 22 kwietnia; nareszcie w r. 1844 d. 22. kwietnia. *J. B.*

FIZYKA.

Wiadomo że siła strumieni elektrycznych, od dwóch zależy przyczyn, czyli jest funkcyą dwóch ilości zmiennych: siły wzbudzającéj elektryczność między metalami użytemi do stosu, i przewodnictwa części w skład stosu wchodzących. Pomimo tych dwóch elementów każdéj bateryi elektrycznéj, dotąd nie poznano wszechstronnie ani jednego ani drugiego; przyczyny tego szukać należy w zmiennéj sile każdego zamkniętego stosu.

Siła wzbudzająca elektryczność w czasie działania stosów, ciągłéj podlega zmianie, i w ogóle można rozróżnić dwa peryody; do piérwszego należy siła powstająca w początku działania stosu i zależąca od natury użytych elektrodów; do drugiego zaś dołączyć należy siłę odmienną od piérwszéj, będącą skutkiem działania chemicznego, wywartego na metale, stos składające. Tę różnicę oddawna uważano i oznaczono

oddzielnemi nazwiskami: pierwszéj pozostawiono nazwanie *siły elektrowzbudzającéj* (elektromotorische Kraft, force électromotrice), dla drugiéj wymyślono nazwę *polaryzacyi elektrodów*. I w téj ostatniéj sile, po ściślejszém zbadaniu jéj natury rozróżnić można dwie odmiany: jednę będącą wynikłością zmiany sprawionéj w sile elektrowzbudzającéj przez działanie chemiczne, i drugą będącą skutkiem nie tak wpływu chemicznego (w ścisłém znaczeniu tego wyrazu) cieczy na elektrody, jak raczéj działania mechanicznego gazów wywiązujących się w stosach na elektrody. P. Lenz łącznie z Saveliewem. licznemi doświadczeniami badali wielkość téj ostatniéj polaryzacyi elektrodów (od działania gazów).

Aparat przez nich użyty, składał się z jednego lub dwóch płynów rozdzielonych kubkiem glinianym; w każdéj przegródce zanurzoną była inna tafla metalowa za elektrod użyta; tafle złączone były z multyplikatorem i stosem Daniela. Do utrzymania jednostajności w sile stosu, wprowadzono w obwód stosu agometr Wheatstona.

Doświadczenia czynione były na taflach platynowych zanurzonych w kwas saletrzany, w kwas siarczany; na amalgamowanych taflach cynkowych, i taflach miedzianych w kwasie siarczanym; graficie w skoncertowanym kwasie saletrzanym i t. d... Ważniejsze wnioski z tych doświadczeń są następujące:

1) Polaryzacya elektrodów nie istnieje, skoro nie wywiązują się przy nich gazy.

2) Że powstająca polaryzacya, skoro ciecz między elektrodami rozkłada się, jest summą polaryzacyj zachodzących na każdym elektrodzie.

3) Że polaryzacya i siły elektrowzbudzające, summują się w algiebraicznem znaczeniu tego wyrazu, w każdéj przegrodzie, w któréj tylko rozkład zachodzi i t. d. (*Bulletin de l'Ac. des Sc. de Petersbourg. T. 5, N. 97*).

* E. Lenz, uporządkowawszy według stopni szerokości wszystkie znane dotąd wymiary temperatury wody morskiéj w różnych głębokościach szczególniéj na oceanie Atlantyckim czynione, ułożył je w tabellę grupami po 3° szerokości. Z téj tabelli okazuje się, że postępując od 48° do 27° szerokości północnéj, temperatura wody morskiéj w głębokości 420

stóp An. wzrosła od 12° C. do 20°, 5; ta ostatnia temperatura utrzymuje się w głębokości aż do zerokości północnéj 20°; posuwając się daléj ku równikowi widzimy iż w téj głębokości (420 stóp An.) temperatura zniża się aż do 15° C., a zacząwszy od 15° szerokości do samego równika, temperatura pozostaje stałą i równą 14°, 5. Rezultaty powyższe daleko jaśniéj przedstawiają się z nakreślonéj przez p. Len za znanym sposobem współrzędnych linii krzywéj, wyobrażającéj temperaturę 14°, 5 C. w różnych głębokościach (submarine Isotherme) na różnych punktach oceanu. Kształt téj linii izotermicznéj 14°, 5 C. doprowadził Lenza do następującego ważnego wniosku nad prądem wód morskich na kuli ziemskiéj.

Rozgrzana przez słońce woda morska pod zwrotnikami, nie może pozostawać w równowadze z wodami morskiemi zimniejszemi, rozlanemi w strefach więcéj ku północy posuniony ch; ztąd wynika przelew cieplejszéj wody ku biegunowi po powierzchni morza, a tém samém odpowiedni prąd zimniejszéj wody, płynącéj w głębi morza ku równikowi. Dwa takie prądy muszą istnieć na półkuli południowéj. Tak więc pod równikiem, w skutek dwóch strumieni chłodnéj wody od biegunów napływających, zimna woda natrafianą bywa w mniejszych głębokościach, jak w przyległych strefach umiarkowanych naszéj planety. Zakrzywienia linii izotermicznéj 14°, 5, C. dostatecznym jest dowodem istnienia prądu podwodnego.

Bytność tego prądu zimnéj wody w pewnéj głębokości, wyjaśnia niektóre zjawiska dotąd niedostatecznie wytłómaczone, a mianowicie:

1) Za pomocą niego łatwo pojąć przyczynę tego napozór sprzecznego faktu, iż wszędzie pod 60° szerokości północnéj, w miarę zagłębiania się w morzu, temperatura się zmniejsza.

Jak wiadomo, na stałym lądzie obserwacye przeciwny wypadek okazują.

2) Największa słoność wody morskiéj przypada nie na samym równiku, lecz w pewnéj od niego odległości (około 23° północnéj, a 17°, 5 południowéj szerokości). To zjawisko tłómaczono dotąd przyjaznem działaniem na parowanie wiatrów stałych w tych strefach panujących (na samym bowiem

rowniku istnieje cisza); niezaprzeczona bytność prądu zimnéj wody płynącego w głębi morza i dopiéro pod równikiem prawie pionowo się wzbszącego, ważną zapewne pod względem słoności wody morskiéj na równiku, gra rolę.

3) Nakoniec za pomocą tego prądu wytłómaczyć można dostatecznie doświadczenie wykonane przez Humboldta, J. Davy i innych, nad temperaturą wody morskiéj przykrywającéj mielizny. Że woda w tych miejscach zawsze jest zimniejszą, jest to skutkiem strumienia zimnéj wody z głębi morza ku równikowi płynącego, który natrafiając na takie przeszkody jakiemi są mielizny, zmuszonym jest jakby po równi pochyłéj w górę się podnosić i więcéj do powierzchni morza przybliżać, a tém samém zwierzchnie warstwy wody morskiéj ostudzać swym wpływem. (*Bulletin de l'Acad. de S. Petersbourg T. V. N.* 5).

* Przed kilku miesiącami uwiadomiliśmy o sławném odkryciu Faradaya, polegającego na tém, że silny elektromagnes działa na światło polaryzowane, przechodzące przez ciała przezroczyste w kierunku linii siły magnetycznéj w taki sposób, iż płaszczyznę polaryzacyi zbacza w prawą lub lewą stronę. Wielu fizyków od chwili ogłoszenia tego odkrycia, z zapałem rzuciło się do powtarzania, i że się tak wyrażę, obrabiania powyższego faktu; mechanicy już umyślne do tych doświadczeń urządzili aparaty.

Ed. Bequerel usiłował wspomnionego odkrycia doświadczać na wielką skalę, a to w zamiarze rozpoznania wszechstronnego tego zjawiska. Ważniejsze szczegóły prac Bequerela, są następujące:

Do doświadczeń użył stosu Bunzena o 50 elementach; w miejscu pryzmy Nicholsa wziął dwie pryzmy podwójnie światło łamiące; z tych jednę przed elektromagnesem, drugą za nim postawił. Przekonał się, iż ze wszystkich ciał przezroczystych najwyraźniejsze daje rezultaty szkło ciężkie (silico-borate de plomb); pryzmy z niego na 48 milim. długie, dały zboczenie około 16°; przy silniejszych stosach zboczenie było jeszcze większe. Po tym gatunku szkła, największe zboczenie okazywały chlorany cynku, calcium, sodium; alkohol i etery w tym względzie niżéj stoją od wody. Bequerel poddając obserwacyi

kryształy podwójnie światło łamiące, przekonał się iż jeden kawałek berylu (żółtawego) dał zboczenie 5°, kawałki innego berylu (zielonego) nie dały żadnego zboczenia; turmalin doświadczany w kierunku prostopadłym do osi, nie okazał żadnego skutku; doświadczany zaś równolegle od osi, dał małe jednak widoczne zboczenie. Ztąd wniósł, podobnie jak Faraday, że kryształy podwójnie światło łamiące, mało podlegają wpływowi magnetyzmu działającemu w powyższych okolicznościach, i że ten wpływ zmniejsza się w miarę większéj czystości kryształów.

Stwierdziwszy Ed. Bequerel wpływ magnetyzmu na wszystkie bez wyjątku ciała, mniema że ten wpływ nie wywiera się bezpośrednio, ale że jest skutkiem zmian w molekularnym układzie ciał, i że te zmiany odbywają się symetrycznie naokoło linii przedstawiającéj kierunek siły magnetycznéj. To mniemanie oparł na następującém, przez Faradaya wykrytém zjawisku: że zbaczanie płaszczyzny polaryzacyi za puszczeniem strumienia elektrycznego przez spiralną otaczającą elektromagnes, nie następuje natychmiast, lecz zwolna, stopniowo wzrasta i dopiéro po pewnym czasie dosięga swego maxymum; za przerwaniem zaś strumienia natychmiast ginie. Gdyby bowiem zwiększanie zboczenia było bezpośrednim skutkiem wzrastania wpływu magnetyzmu w ciałach, to i po przerwaniu strumienia ponieważ magnetyzm wzbudzony, zwolna ginie i obraz widzialny przez pryzmę także stopniowo zmiejszać się powinien; tymczasem obserwacya przekonywa, iż po ustaniu strumienia, obraz widzialny przez pryzmę natychmiast ginie. Bequerel więc mniema, iż pod wpływem magnetyzmu cząsteczki ciał przezroczystych naokoło linii magnetycznéj przybierają nowy układ, do nabycia którego wymagają pewnego czasu; po zniszczeniu strumienia zrywa się równowaga w tym układzie, i cząstki ciał natychmiast wracają do pierwotnego swego położenia.

Faraday w ostatniéj swéj pracy ogłosił, iż igły wyrabiane ze wszystkich ciał i umieszczane pomiędzy biegunami silnego magnesu, przybierają pewny, stały kierunek. Coulomb który zdaje się piérwszy poznał tę własność, przypisywał ją bytno-

ści żelaza w doświadczanych ciałach; przekonał się bowiem iż $^1/_{133120}$ cząstka żelaza, dostateczną jest do jéj wytłómaczenia.

Po nim działanie magnetyzmu na wszystkie ciała obserwował Bequerel (ojciec). Ed. Bequerel (syn) przypisuje ogólny wpływ magnetyzmu na ciała dwóm działaniom: wpływowi magnetyzmu na cząsteczki ciał i wpływowi jego na cząsteczki żelaza zwykle zmieszanego z piérwszemi. Nadto Bequerel zbliża do siebie zjawiska ogólnego wpływu magnetyzmu na ciała, ze zmianami przez Faradaya wykrytemi, jakie sprawia magnetyzm w ciałach co do ich optycznych własności. Na dowód przytacza, że magnetyzm mniejsze sprawia zboczenia płaszczyzny polaryzacyi światła przepuszczanego przez ciała krystaliczne więcéj przezroczyste, i w ogóle że to działanie zmniejsza się z naturą kawałków użytych. Jako ostateczny wniosek podaje: że wykrytego przez Faradaya wpływu magnetyzmu na światło, nie należy przypisywać bezpośredniemu działaniu na siebie tych dwóch czynników natury, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa, działaniu mechanicznemu, wywieranemu przez magnetyzm na układ cząstek, i że to działanie staje się oczywistém w skutek wzajemnych przyciągań i odpychań, między temi substancyami zachodzących (*Annales de Phy. Gay Lussac.* 1846, *Août*).

CHEMIA.

Wapnienie zboża. Dla wyjaśnienia czyli istoty trujące (jakiemi są siarkan miedzi, grynszpan, kwas 1^{szy} arszenikowy), używane dla ochronienia zboża od psucia się, nie mogłyby być zastąpione ciałami nieszkodliwemi; robił p. Girardin rozliczne doświadczenia, z których wypadki przywodzą się do następującéj treści.

Siarkan miedzi, jak to r. 1807 okazał Benedykt Prevost, najmocniéj sprzeciwia się butwieniu. Wapno mniéj nawet skut-

kuje od samego przemywania wodą. Sól kuchenna znaczny wpływ wywiera. Kwas 1szy arszenikowy nie posiada takiego działania przeszkadzającego psuciu się, jakie mu przypisują. Wreszcie sposób wapnienia podany w 1835 r. przez Mathieu de Dombasle, polegający na użyciu siarkanu sody oraz wapna, jest bardzo dobry. Tento ostatni środek zaleca p. G. przed innemi, gdyż jest prosty, oszczędny, nieszkodliwy, a wydaje zboże zdrowsze i obfitsze. *(Journal de Pharmacie et de Chimie. Mars.* 1846).

Uwaga. Z doświadczeń p. Girardin pokazuje się, że zboże zaprawiane kwasem 1m arszenikowym, po zasianiu wydało plon, w którym nie wykryto wcale arszeniku. Przeciwnie w plonie zboża do którego użyto siarkanu miedzi, wyśledził powyższy chemik miedź.

* *Spostrzeżenie tyczące się owoców, przez p. J. B. Berthemot.* Powłoczka biaława pokrywająca owoce mięsiste jakoto: jabłka, winogrona, śliwki i t. d. ma być podług p. B. żywicą szczególną, rozpuszczalną w wyskoku i eterze; topliwą w 240°, koloru białawego i proszkowatą. Działanie jéj jest ważne przy rozrastaniu się owocu; ochrania bowiem soki w nim zawarte od przystępu powietrza atmosferycznego. Jeżeli bowiem za pośrednictwem eteru zdejmiemy z owocu tę powłoczkę żywiczną, owoc wyschnie lub zepsuje się w przeciągu kilku dni, gdy w przeciwnym razie daleko dłużéj przechowany być może. *(Tenże sam dziennik, Mai* 1846*).*

* *Poszukiwania we względzie większéj lub mniejszéj pożywności karmu dla bydła w stanie zielonym i w postaci siana; przez p. Boussingault.* Upowszechnione jest zdanie, że karm' *zielona*, jest pożywniejszą od siana; czyli mówiąc innemi wyrazami, sądzą że 100 kilogramów koniczyny, lucerny, trawy łąkowéj, są pożywniejsze od siana z takiéjże saméj ilości każdéj z powyższych roślin otrzymanego. Porównywając jednak wszystko co w tym ważnym przedmiocie napisano, nie znalazłem dostatecznego powodu usprawiedliwiającego rzeczone mniemanie.

Wprawdzie dwaj dobrzy spostrzegacze, pp. Perrault de Jotemps podali, że potrzeba kilo. 1, 50 siana, koniczyny lub lucerny wysuszonych, dla zastąpienia 4 kilogramów tychże sa-

mych gatunków paszy zielonéj przy żywieniu baranów; a wtedy czy suchą paszę dajemy czy zieloną, tak pod względem mięsa jako też i wełny otrzymujemy zaspokajające wypadki. Z drugiéj strony powyżsi gospodarze przekonali się z doświadczenia, że 100 kilogramów koniczyny albo lucerny wysuszonéj, mając wzgląd na wszelki możliwy przypadkowy ubytek, dają w przecięciu 23 kilogramy siana. Z tych danych przychodzi się do następujących wypadków: że dawać na raz baranowi 1,50 kilo. suchéj lucerny, jest zupełnie toż samo jak gdyby tenże zjadł 6,52 kilo. lucerny zielonéj, tojest więcéj o 2,52 kil. strawy zielonéj nad wymaganą, gdy jedno danie składa się z rośliny świéżéj, i że jeżeli na strawę trzeba 100 kilogramów koniczyny lub lucerny świéżo ściętéj, tedy zadać należy, chcąc nakarmić w tym samym stopniu, siana pochodzącego ze 163 kilogr. téjże paszy (*). Z tego się pokazuje, że

(*) Zjada baran:

1° { 1,5 kilogramów siana suchego
lub
4 „ zielonego (trawy)
w naturze

2° 23 kilogr. siana suchego, pochodzą ze 100 kilogr. zielonego, więc:

such. ziel. such. ziel.
23 kil. : 100 kil.=8,5 : x.

x=6,52 kilogramów siana zielonego, i baran zjadłszy 1,5 kilogr. siana suchego, spożył wartość 6,52 kil. ziel.
a że te zastąpił na łące przez 4,
więc po zbiorze siana wychodzi więcéj 2,52 kil. ziel.

Nazwijmy 4 kil. siana ziel., łąkowém daniem (porcyą) barana,
6,52 „ oborowém (po zbiorze i zwozie),
i teraz ułożmy proporcyę:

4 : 6,52=100 : x,

Będzie 4x=652,00

więc $x=\frac{652}{4}$ tojest x=163

A tak 100 kilogramów siana zielonego czyli świéżo skoszonego, wyżywi w tym samym stopniu, co siano suche pochodzące ze 163 kilogramów siana zielonego.

Uwaga. Krótkie to wyjaśnienie niebędące w oryginale, zdawało mi się potrzebném dla lepszego zrozumienia całego artykułu.

J. B...a.

sposób powyższy nie rozwiązuje należycie zajmującego nas pytania. Dowodzenia pp. Perrault de Jotemps przekonywają tylko o tém, czemu nikt nie zaprzecza, że najkorzystniéj jest zużytkować z łąki paszę dając ją świeżą zieloną, a to dla uniknienia kosztów, strat, czyli jedném słowem wszystkich niedogodności jakie pociąga za sobą suszenie. Rozprawy te jednak nie przekonały, ażeby pożywność paszy zielonéj przez to że dawana będzie zieloną, była mniejszą; pozostały zaś jeszcze pytania fizyologiczne, które oddawna starałem się rozwiązać: w tym celu uważałem jaki wpływ wywierała ciągła przemiana paszy zielonéj i paszy suchéj na wagę trzydziestu dwóch koni użytych do doświadczenia. Wypadki czasami okazały się korzystnemi, czasami niekorzystnemi na stronę paszy zielonéj; jednak po kilkokrotnie powtarzaném ważeniu, do niczego znakomitego nie doszedłem.

Powyższe zmienne wypadki przypisuję niedokładnie robionym doświadczeniom. Widoczną więc jest, że siano które dawano koniom, pochodząc z roku poprzedniego, nie było równie dobre jak siano z koniczyny zielonéj, użytéj do porównania; oprócz tego, trudno byłoby z pewnością powiedzieć jaka jest rzeczywista waga téj ostatniéj karmi, z powodu większéj lub mniejszéj ilości wody w niéj znajdować się mogącéj. Doświadczenia przeze mnie wykonywane z wysuszaniem koniczyny, przekonały mię jak taż ilość wody jest zmienną stosownie do wieku rośliny, natury gruntu, a nadewszystko okoliczności meteorologicznych w czasie koszenia. To wszystko osądzić można z kilku przykładów, wziętych z gruntów drugiego roku.

17 maja piérwsze posieczenie przed rozkwitnieniem 1,000 kil. siana dały 212 kil.

3 czerwca piérwsze sieczenie w czasie kwitnienia 1,000 kil. siana dały 288 kil.

5 czerwca (w inném miejscu) piérwsze sieczenie w czasie kwitnienia 1000 kil. siana dały 305 kil.

28 lipca drugie posieczenie w czasie kwitnienia 1,000 kil. siana dały 290 kil.

W sierpniu drugie posieczenie, bardzo rozkwitło i stwardniało; 1,000 kil. siana dały 360 kil.

Dodajmy do tego, że w czasie suszenia koniczyny, ponosimy stratę przez opadanie jéj liści i kwiatów, któreto części stanowią właśnie najgłówniejszą część karmi.

Dla zaradzenia przyczynom błędów powyżéj wskazanych dla otrzymania wypadków porównawczych, urządziłem w ten sposób doświadczenie, że pasza sucha zużyta, wyobrażała ściśle paszę zieloną; ponieważ jednak w takowych okolicznościach nieustannie suszyć karm' potrzeba, co połączone jest z trudnościami zwłaszcza przy znaczniejszéj ilości koniczyny, wykonywałem doświadczenia z jedną tylko sztuką, tojest jałowicą, mającą około 10 miesięcy.

Jałowicę tę ważyłem gdy była na czczo. Następnie dano jéj na raz nieco mniéj jak zwyczajnie paszy zielonéj, a to dlatego, aby karm' mogła być spożyta w całkowitości w 24 go' dzinach; skoro zaś tę karm' zieloną założono na drabki żłobu wzięto inną część téjże samej paszy zupełnie tyle ważącą co poprzednia, natychmiast ją wysuszano przy zachowaniu wszystkich ostrożności, aby części rośliny opadające przy suszeniu, nie zostały uronione; to w worku oznaczono liczbą 1. Drugiego dnia podobnież postępowano, starając się także, ażeby ściśle tyle paszy przez rozesłanie jéj wysuszono, ile dano zwierzęciu zielonéj; to zaś oznaczono liczbą 2, i tak daléj.

Powyższą jałowicę karmiono paszą zieloną przez dni 10. Jedenastego dnia rano, zważono ją: poczém zaczęto ją żywić karmią suchą. Nasamprzód dawano jéj siano z worka liczbą 1 oznaczonego, daléj 2, późniéj 3 i t. p. w ten sposób że w ciągu drugich dni dziesięciu, jałowica zjadła tęż samą ilość takiego samego gatunku karmi jak w poprzedzających dniach dziesięciu; różnica więc między obudwoma pokarmami pochodziła jedynie z bytności lub ubytku wody w roślinie. Po upływie dni dziesięciu, znowu zwierzę zważono. Całe przeto doświadczenie trwało dni 20.

Wypadki z doswiadczeń.

Doświadczenie 1. Waga pierwotna jałowicy..... 270 kilogr.
Po zużyciu paszy zielonéj..... 267
Strata po użyciu paszy zielonéj 3

Po zużyciu téjże saméj paszy suszonéj..... 272 kil.
Przybytek z użycia paszy suchéj 5.

Doświadczenie 2. Waga pierwotna jałowicy..... 306 kil.
Po zużyciu paszy zielonéj..... 301
Strata po użyciu paszy zielonéj 5
Po zużyciu téjże saméj paszy suszonéj 308
Przybytek z użycia paszy sucheéj..... 7

Doświadczenie 3. Waga pierwotna jałowicy..... 329 kil.
Po zużyciu paszy zielonéj..... 333
Strata po użyciu paszy zielonéj.. 4
Po zużyciu téjże saméj paszy suszonéj..... 343,5
Przybytek z użycia paszy suchéj ..... 10,5.

Zanim z powyższych spostrzeżeń przyjdziemy do wniosków, wypada jeszcze zastanowić się jakim największym zmianom przypadkowym w wadze, ulegało zwierzę użyte do doświadczenia. W skutku ciągłych ważeń, każdego dnia o jednéj godzinie uskutecznianych, okazało się, że największa różnica wynosiła 6 kilogramów. Różnica przeto ta nie może być przypisywana wpływowi pokarmu, ponieważ zależy od przypadkowych zmian w ciężarze zwierzęcia. Naostatek uważać należy, że przybytek udowodniony w skutku dawania karmi suchéj, za świéży, był 5, 7, i 10,5 kil.; wypadki te każą się domyślać, że taż sama ilość paszy więcéj żywi skoro będzie wysuszona; trudno jednak opierając się z tak małéj liczby doświadczeń wyprowadzić zdanie stanowcze. To tylko z niejaką pewnością na teraz twierdzić można, że pewna waga karmu suchego, w równym stopniu żywi bydło jak taż ilość paszy zielonéj, z któréj powstała. *(Annales de Chimie et de Physique. Juillet* 1846*).* *J. B...a.*

HISTORYA NATURALNA.

Zoologia.

Wdzięczność psa. Należący do pewnego garbarza brytan, wielką powziął nienawiść ku pewnemu człowiekowi, którego interesa często do domu w którym był brytan, powoływały. Niepokojony złośliwością zwierzęcia i lękając się gorszych jéj skutków, człowiek ten prosił właściciela psa, ażeby ile możności nienawiść jego usuwał. Właściciel przyrzekłszy to, i rachując na szlachetne zwierzęcia skłonności, uchwyca jednego dnia okoliczność, i jakby przypadkowo, rzuca psa w znajdującą się na podwórzu studnię, zostawując go przez pewien czas w próżnych ku wydostaniu się sił natężeniach. Gdy zdawało się że pies siły już wyczerpnął, garbarz prosił owego człowieka, ażeby zmęczonemu zwierzęciu wyratować się dopomógł. Wyciągnięty pies, łasił się swojemu wybawcy, jakby rozumiejąc to, że mu życie był winien, i nigdy go odtąd nie napastował, owszem ilekroć go spotkali, przyjacielsko go przywitał i często przez kilkanaście minut towarzyszył mu na drodze do domu. (*Fror. n. N. nr.* 848 z *Jesse, Anecdotes of Dogs).*

* *Dziki pies Nowéj Holandyi.* Kiedym był, opowiada kapitan Stokes w swoich *Discoveries in Australia* (Vol. II. p. 220), nad rzéką Łabędzią w osadzie Australia Zachodnia, ziściło się naostatek moje długo oczekiwane życzenie otrzymania młodego psa dzikiego. Była to suczka zostawiona od matki, która uszła, w wypróchniałém drzewie, a półkownik Owen Philips zapewnił mnie późniéj, że 4 dzikie psy, które na Jawie panu Stamford Raffles przyniesiono, wyglądały zupełnie jak mój okaz.

Ponieważ te psy używają się, jak wiadomo, do wypędzania z jam kangurów, pragnąłem przeto doświadczyć czy się z nich nie da otrzymać co użytecznego przez krzyżowanie z jamnikami, i za powrotem do Anglii oddałem na ten koniec sukę moję stryjowi, panu G. Lort Philips; wkrótce

jednak zdechła u niego na kurczę. Póki była u mnie, wydała z wyżłem dwa razy po troje szczeniąt: raz mając dwa lata, drugi raz 10 miesiącami późniéj. W tych epokach była nadzwyczajnie złośliwą, i mściła się na tych szczególnie osobach, przeciwko którym miała coś na sercu; gdyż nigdy nie zapominała urazy, podsuwając się milczkiem ku ich nogom, i za łytki uchwycając. Dla swoich szczeniąt wielką okazywała miłość; dnia jednego wziąłem ją z sobą z okrętu na brzeg, gdzie ustawicznie łapała ptaki i zanosiła je szczeniętom.

Mocno mnie obchodziła ta suka, i wiele trudu zadałem sobie ażeby ją oswoić, co mi jednak niezupełnie się powiodło. Miała ona węch bardzo delikatny, a chociaż przytém całkowicie niemą była, mogła jednak wybornie polować, czego na łowach królików nieraz doświadczyłem. Nigdy nie wyszła próżno z jamy króliczéj, ale póty łapami i zębami kopała, póki nie wyciągnęła królika. Jak delikatném było jéj powonienie, poznać można z następujących przykładów. Gdyśmy raz na rzece Tamar w Tasmanii (kraj Diemena) na kotwicy stali, zwietrzyła ona owce nad brzegiem, do których natychmiast wpław skoczyła i tak szybko płynęła, że wnet dosięgła brzegu, a lubo nie większa i nie silniejsza od lisa, rozszarpała jednak pięknego barana, niżeli ludzie pośpieszyć zdołali łódką ażeby jéj przeszkodzić. Gdy wylądowali, suka bynajmniéj nie uciekała, lecz wsunęła się spokojnie do łódki. Ten dowcipny jéj figiel kosztował mnie 5 ff. szterlingów.

Zimą sierć na niéj była zawsze najpiękniejsza, ogon najwłosistszy. Kolor miała jasno-cynamonowy, koniec ogona białawy, a włosy okrywające resztę jego, mieszały się z czarnemi. Nawet i koło pyszczka dawało się postrzegać nieco czarności. Jéj chód był lekki i sunący się, a spojrzenie było osobliwszą mieszaniną łagodności i chytrości. Chociaż ludzi mocno się bała, wzięta jednak na ręce, tak spokojnie jak kotka leżała. Ze wszystkiemi psami kłótnię rozpoczynała; wściekle się kąsała z charcicą, którą miałem na pokładzie i która nieraz małego psa prawie zadusiła. Złapać

ją zawsze przychodziło z trudnością, gdy zazwyczaj zręcznie wpadała pomiędzy nogi i przez plecy przeskakiwała. Wtedy tylko gdyśmy wylądować chcieli, dawała się spokojnie na łódkę przenieść. Napowrót wszakże trudno ją było na łódkę dostać, i trzeba było nagłém porwaniem to uskutecznić. Nigdy ona nie szczekała; wzięta na łańcuch, wydawała tylko szkaradne wycie. Na sznurku nie można było jéj wiązać, ponieważ go zaraz przegryzła. Szkody popełniać było prawdziwą dla niéj uciechą; nieraz wsunęła się do officerskiéj kajuty, gdzie ściągała książki z półek, grzbiet im zdzierała, a potém szarpała karty. Kradła mięso gdzie tylko mogła, a mianowicie wszelki drób bardzo lubiła. Podczas tego okazywała się nader chytrą i zręczną, i szczególne miała upodobanie używać rzeczy skradzionych, które jéj nawet wtenczas smakowały, gdy tak mało głodna była, że tego co jéj rzucono nie brała. (*Ib*).

* PP. Gay i Gervais w *Annal. d. Sc. natur. Février* 1846. czynią uwagę, że Molina w swojéj historyi naturalnéj Chilijskiéj, wymienia małe przeżuwające zwiérzę, które *Capra pudu* nazywa a względem którego dotąd jest pewna wątpliwość, ponieważ jedni zwiérzę to, od Hiszpanów *Venado* zwane, biorą za kozę, drudzy za owcę, inni za antylopę, gdy ono rzeczywiście małym jest jeleniem, blizkim gatunków *Cervus rufus* i *C. nemorivagus*, i pewnie tym samym którego żywą samicę (*Cervus humilis Bennet*) miało Towarzystwo Zoologiczne Londyńskie. 2) że tenże Molina opisał zwiérzę które *Gemul* albo *equus bisulcus* nazywa, które wszakże nie jest koniem ale także gatunkiem jelenia, blizkim natrafianemu przez d'Orbigniego w Andach Boliwii gatunkowi *Cervus antisiensis*, i zdającemu się tworzyć gatunek oddzielny, który autorowie *Cervus chiliensis* zowią. Oprócz tego, dodają oni do spisu południowo-Amerykańskich zwierząt, dwa jeszcze nowe gatunki: *Cervus spinosus* i *C. goudotii* które p. Gay w swojéj hist. natur. Chilijskiéj, w Hiszpańskim wydawanéj języku, ściśléj opisać zamierza. (*Ib n.* 852).

* *Sztuczne wylęganie jaj ptasich.* Przed kilku dniami parobcy pana Mounsey w Askham kosili trawę, przyczém

jeden z nich uciął przypadkiem głowę kuropatwie na gniaździe siedzącéj. P. Mounsey, który był temu obecny, pozbierał natychmiast jaja (w liczbie 15), zaniósł je do domu, zawinął w ciepłą flanelę i położył w miejscu, koło którego szedł dymnik od parowego kotła. Nazajutrz zaraz miał ukontentowanie postrzedz, że z 13 jaj piękne powychodziły pisklęta. Wziął je pod dozór strażnik zwierzyny hrabiego Lonsdale i powierzył staraniu kury Bantamskiéj, która przedtém już gromadkę białych bażantów wodziła; 12 do 13 młodych kuropatwiąt żyją i dobrze się chowają. (*Ib. nr.* 848 z *Chronicle*). Sztuczne wylęganie jaj kurzych, stało się teraz spekulacyą handlową na bardzo wysoką skalę, przedsiębrane przez p. W. J. Cantelo w Heathfild, między Tunbridge-Wells a Levis. Sposób postępowania, na który patent został wydany, znacznie się różni od używanego dotąd. Machina do wylęgania zrobiona jest po prostu i dowcipnie. Za pomocą małego ognia z węgli kopalnych, ogrzewany jest wielki kocioł z wodą, rozlewającą się po daszku, rozległéj nad jajami przestrzeni. Jaja leżą na nieprzemakalnéj materyi, a z takiéjże worek, ciepłą wodą napełniony, leży na jajach, które tym sposobem znajdują się w tych samych okolicznościach, co gdyby je kura wysiadywała. W bliskości stoi przynajmniéj 12 budek, w których trzymają się przez noc młode kurczęta, pod rurami z ogrzaną wodą. Gdy podawca tego doniesienia zakład odwiedzał, sto przeszło kurcząt wykluło się w jego oczach, a przeszło 2,000 wesoło biegały. Dla hodujących drób, ten sztuczny wylęgania jaj sposób może być zaiste nader ważny, bo jedna kura na rok około 200 jaj znosi, a tylko do 15 wysiedzieć może. (*Ib. N.* 851 podług *Observer* 3 *Aug.* 1846).

* W *L'Institut Nr.* 647 ogłoszono, że zakład mechaniczny w Landeilo, ma olbrzymi trylobit z rodz. *Asaphus*, który wszystkie dotąd znane gatunki nader przewyższa wielkością. Długość jego wynosi 10½ a szerokość 6¼ Angielskiego cala. Ten skamieniały czerw znaleziony został między Caradoc i Landeilo w spodniéj Sylurskiéj górze, i zdaje się

być gatunkiem który Murchisson pod nazwiskiem *Asaphus tyrannus* opisał. (*Ib. Nr.* 851).

* *Agapanthia marginella* (*Saperda gracilis*, Creutzer) w południowéj Francyi nader pospolitym jest owadem, a jéj gąsienica, np. w okolicach Barbezieux, zrządza straszliwe szkody rolnikom, sprawiając odpadnienie 6téj a niekiedy 4téj części wszystkich kłosów zboża (pszenicy?). Minister rolnictwa i handlu polecił panu Guérin-Méneville dokładnie ten owad wybadać, w skutek czego wezwany, następujących wypadków doszedł:

Dojrzały owad wychodzi koło połowy czerwca, a więc w tym czasie w którym zboże tylko co przestało plonować, a kłosy z ukrywających je dotąd pochew całkowicie powychodziły. Samica usiada na wierzchu źdźbła niedaleko od kłosa, i schyliwszy głowę, wygryza żuwaczkami małą dziurkę w źdźble, na stronie pochylonéj od wiatru, a zagłębiwszy się nieco miejscem wygryzionem, znosi tam jaja.

Po 8 do 14 dniach z jaja wylęga się gąsienica, która już ciężarem swoim, już siłą żywotną, w kanale źdźbła aż do ostatniego kolanka zapada, i żywi się zewnętrzną substancyą źdźbła, wyżerając ją 1—2 cali od kłosa, w którychto miejscach źdźbło naokoło przegryza i znacznie osłabia. Nabywszy sił dostatecznych, staje się czerwoną, i od najwyższego kolanka w źdźbło, spuszcza się do ostatniego przy korzeniu, gdzie w czasie żniwa zostaje. Wtenczas doszła do zupełnego rozwinienia; otacza się trocinami z źdźbła pogryzionego, z których nad sobą i pod sobą, w miejscu w którém siedzi, zatyczkę tworzy, i zamyka się tam spokojnie aż do następnego roku.

Kiedy zboże dojrzało, wszystkie kłosy których źdźbło przez gąsienice nadgryzione zostało, za najmniejszym powiewem wiatru odpadają. Takie bezkłośne źdźbła rolnicy zowią *szpikulcami*, zkąd i owad u pospólstwa zowie się *szpikulecznikiem* (*aiguillonner*).

Gąsienica ta przez zimę i przez lato w kanale swoim podrasta, i idzie nim tak wysoko, że jéj wilgoć ziemi nic szkodzić nie może. Jeśli jednak nie ma zginąć, potrzeba ażeby

ścierń w którym się utrzymuje, stojący na ziemi pozostał. Na kilka dni przed ostatnią przemianą, zamienia się ona w poczwarkę.

P. Guérin w swojém sprawozdaniu nie podaje środka na wygubienie tego szkodliwego owadu; zdaje się jednak, że tém czegoby najskuteczniéj w tym celu użyć można, jest woranie rżyska zaraz po żniwie. Zresztą uczony ten entomolog pracuje teraz nad rozprawą w któréj ma wiele innych okoliczności tyczących się sposobu życia tego chrząszczowatego owadu wyjaśnić, a zarazem udzielić rolnikom rad w przedmiocie wytępienia jego. (*Ib nr.* 852, z *Annales de la Soc. Entomolog. de France*, 1846, *Bull. p. LXV*).

* P. Michelin opisał w *Revue zool. de la Soc. Cuviérienne Févr.* 1846, echinit stanowiący nowy rodzaj, który *Metaporinus* nazwał. Szczególniejszy ten echinit, dla pyszczkowego otworu w środek przypadającego, należy do familii *Clypeaster*, a z powodu że biegnące po nim dziurki zbiegają się przy dwóch oddzielnych na górnéj powierzchni jego punktach, zbliża się do rodz. *Disaster*, od którego różni się znowu wysokim kształtem i przednią częścią przedłużoną w dziob, półrurkowatą, i daleko wyższą od tylnéj. *Metaporinus Michelini* znaleziony był w marmurze formacyi *Forest-Marble*, w okolicy Auxerre. (*Ib. nr.* 839).

A. W.

Regiestr abecadłowy wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1846.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

	Tom,	str.
Arago. Tłóm. chmur słonecz.	II,	185
Astrea, nowa planeta	I, 677, III,	187
Astrei piérwiaski eliptyczne	III,	190
Bessel. Zgon	II,	655
Biot (Edward). Komety podług Chińczyków	—	654
Chazalon. Marcograf	I,	679
Coulier-Gravier. Gwiazdy przelatujące	II,	187
Fakuły na słońcu	—	186
Galle wynajduje wskazaną planetę	IV.	423
Gauss. Drogi planet teleskopowych	III,	189
Gwiazd stałych ruchy	—	692
— — niektórych odleg. od ziemi	IV,	650
Gwiazdy przelatujące	II 187, IV,	651
Gwiazdy zakrycie przez księżyc	IV,	204
Hencke. Nowa planeta	I,	677
Hencke. Zaszczyty	III,	191
Komet liczba	II,	653
Komety Biela rozdzielenie się	II 184,	654
Komety w b. r. odkryte	II,	654
Komety przez Chińczyków uważane	—	*tamże*
Księżyc jak zakrywa gwiazdę?	IV,	204
Le Verrier. Nowa planeta	—,	421
Le Verrier. Zaszczyty	—,	426
Maedler. Ruchy gwiazd	III,	692
Maedler. Słońce środkowe	—,	690
Marcograf	I,	679
Mauvais. Drogi planet teleskopowych	III,	187
Neptun, nowa planeta	IV,	424
Neptuna położenia wyrachowane	—	*tamże*
Okultacya gwiazdy przez księżyc	—	204
Olbersa zdanie o asteroidach	III,	187
Planeta nowa	I, 677, IV,	420
słońca materya	II,	185
Słońce środkowe	III,	691
Słoneczne chmury	II,	185
Słonecznej kuli skład	—	*tamże*

FIZYKA.

	Tom, str.
Armstrong. Tłóm. zjaw. z wodą na rozpal. żelazo	II, 424
Babineta sposób na otrz. silnych magnesów	— 422
Baumhauer. Teorya powsta. meteorów	III, 450
Bierność żelaza	IV, 206
Błota wybuch z wulkanu	III, 454
Bontigny. Płyny nalane na rozpal. metale	II, 423
Crève-vessie	III, 192
De la Rive. Projekt użycia światła galw. w kopalniach	II, 419
— Tony magnetyczne	I, 221
Doświadczenia z termostosem	II, 189
Elektrodów polaryzacya	IV, 653
Elektromagnes działa na światło polaryz.	— 655
Elektryczna endosmoza	— 428
Elektr. cząstki metalu rozrywa	I, 223
— czy topi metale?	— 222
— w pęknięt. pęcherzu na mach. pneumatycznej	III, 192
Elektr, strumienie induk. przez ziemię	I, 420
— strumieni siła	IV, 652
Endosmoza elektryczna	— 428
Fale głosowe	II, 656
Faraday. Magnesow. promieni światła	III, 695
Galwanicz. światła przyczyna	II, 659
Galw. światło w kopalniach	— 419
Gazów wpływ na powst. elektr. przez zetknięcie	III, 192
Gęstość lodu w temp. niższych od O	I, 419
Grovego oświecanie kopalń	II, 419
Hunt. Magnet. siła na krystaliz	— 420
Kamieni meteorycznych powstawanie	III, 450
Lodu gęstość w temp. niższych od O	I, 419
Magnesów siły powiększenie	II, 422
Magnesowanie promieni światła	III, 695
Magnet. siła na krystaliz	II, 420
Magnetyzmu ziemsk. działanie	I, 421
Metale pod wpływem elektr.	— 222
Meteorycz. kamieni powstawanie	III, 450
Płyny na rozpal. metalach	II, 423
Płyny przewodz. elekt. ogrzewane	— 190
Polaryzacya elektrodów	IV, 653
Savart. Fale głosowe	II, 657
Seebeck. Fale głosowe	— 656
Siła elektro-wzbudzająca	IV, 653
Stosunek temp. sztaby w różn. odl. od jéj końca ogrzew.	II, 188

	Tom, str.
Światła galw. przyczyna	II, 659
Światło księżycowe grzeje	IV, 427
Temp. wody morskiej w różnych głęb.	IV, 653
— — w wielkich głębiach ziemi	I, 422
Tony metalów elektryz.	— 221
Wulkan wyrzuca błoto	III, 454
Zamboni. Zgon	IV, 429
Zjawiska molekularne między biegun. elektr.	III, 194. 195, 450 (*przyp.*), 191 (*pomylone*).
— włoskowatości są elektrycznemi	— 694
Żelazo bierne	IV, 206
— magnesowane zmienia temp.	— 426

CHEMIA.

Achillein	III, 205
Alkaliów organicznych oddziaływania	II, 425
Arszen. plam od antymon. odróżnienie	— 193
Asparaginu własności	— 427
Berzelius. Zdanie sprawy roczne	I, 422
Bezoary	— 225
Boussingault. Karm' dla bydła	IV. 658
Chlorofil	I, 680
Ciepło przez działanie chemiczne	— 681
Cukier z buraków. Ulepszenie	II, 661
Frémy. Osmiany	I, 682
Galwaniczne pozłacanie i posrebrzanie	— 427
Gobley. Żółtka z jaja skład	— 679
Jacquelain. Śledzenie arszen. w otrut	*tamże*
Jaje. Skład żółtka	*tamże*
Jod. rozróżnia plamy arsz. od antym.	II, 193
Karm' zielona dla bydła i siano	IV, 659
Kawa. Skład, części pożywne, nowe sole	III, 199 699
Krochmal kartoflany wykryć	II, 190
Kryształ górny sztuczny	I, 228
Książę Ludwik Lucyan Bonaparte	— 680
Książę Maxymilian Leuchtenberski	— 427
Kwas bezoarowy	— 225
— bromo-borowy	II, 660
— glauko-melanowy	I, 226
— krwawnikowy	III, 205
— w owocach *Ceratonia siliqua*	II, 662
— tytuniowy	— 194
— waleryanowy i masł. w zeps. zbożu	I, 680

	Tom,	str.
Kwasoród przez krew połykany	II,	428
Kwasu masłowego otrzymanie	II	427, 662
Kwasy nowe	I,	682
Lassaigne. Rozkład powietrza	II,	428
— Śledzenie arszen. w otrut.	—	193
Marsh James. Zgon	IV,	429
Miedź w ciele ludzkiém	I,	681
Mulder. Zbijanie teoryi Liebiga	—	424
Nawozy mineralne podług Liebiga	II,	192
Niedokwasu węgla otrzymywanie	—	428
Ogień Gregoryański. Historya	III,	195
Olejek z kwiatu akacyi	I,	683
Paczuli	II,	663
Pallad, metal. Użytki	III,	204
Piecków wielkich ogrzewanie	I,	426
Piwo Bawarskie	—	682
Popioły roślin	II,	192
Posrebrzanie galwaniczne	I,	429
Powietrza rozkładanie	II,	428
— skład w kopalniach	—	426
Powietrze atm. czy zawsze jeden ma stosunek pierwiast.	I,	425
Powłoczka na owocach	IV,	658
Pozłacanie galwaniczne	I,	428
Proch strzelniczy. Historya	III,	198
Przeciwtrucizna na kwas pruski	I,	681
Saletroród w piwie Bawar.	—	682
Sublimat powstać może w organiźmie zwierz.	II,	194
Światło przez mokry stos elektr.	I,	426
Teorya płodozmianu podł. Liebiga i Berzeliusza	—	423
Tytuniu skład	II,	194
Wapnienie zboża	IV,	657
Węgla zwierzęcego działanie na gorycze	II,	191
Wody mineralne Karlsbadzkie	—	660
Wosk pszczół	I.	227
Woskowata istota roślinna	II,	428
Żywica z *Xanthorrhoea hastilis*	—	663

HISTORYA NATURALNA.

Muzeum hist. nat w Eichsztadzie	IV,	430

Mineralogia.

Altos we Francyi	IV,	432
Amblig onit	II.	434

	Tom, str.
Bursztyn w Szląsku	IV, 433
Chlorobromek srebra	II, 195
Eudyalit	— 433
Jodek srebra	— 196
Itrotytanit	— 432
Kalifit	— 664
Kuban. Skład	— 667
Kunkier w Indyach	IV, 432
Kwas tantalowy i niobowy	I, 684
— węglowy w salinach	IV, 430
Lazulit	II. 665
Malakon	— 430
Meteorytów Wiedeńskich ceny	IV, 433
Niob, nowy metal	I, 684
Piropu skład	II, 197
Polikraz	— 430
Ruda darnista z Ivan	— 664
Sól w Cardona	— 197
Spat błękitny	— 665
Szelit z Ekaterinenburga	— 197
Tantality, i nowy w nich metal	I, 683
Wagnerit	II, 435
Wolfram i Kolumbit	— 198
Wulkan wybuchły w Węgrzech	IV, 431
Xantokon	II, 434
Złota kopalnie w Karolinach	IV, 430
Żelazo meteoryczne z hrb. Cocke; w Tennesee	II, 194
— — z Grasse	— 195

Botanika.

Arrakacha	I, 435
Brzoza	— 438
Kartofli zaraza	229, 231, 232, 233
Puccinia	— 231
Sałaty zaraza	— 437
Żęcia zbóż nowy sposób	— 438

Zoologia.

Agapanthia marginella	IV, 667
Agassiz, Koléj gieolog. powstania zwierząt	I, 685
Anas olor	II, 199

	Tom, str.
Asaphus tyrannus	IV. 666
Belideus ariel	— 209
Branchiopus stagnalis	— 436
Buffonowi posąg	— 220
Bunyip, płaz olbrzymi	II, 200
Capra pudu Molina	IV, 665
Caprolagus hispidus Blyth	II, 668
Cercopithecus cynomolgus	I, 686
Cervus antisiensis — *chiliensis* — *goudotii* — *humilis* — *spinosus*	IV, 665
Chełbi (*Medusa*) rozwijanie się	II, 670
Chiton nowe gat	III, 209
Cicada	IV, 444
Clavagella rodz, małżów, anatomia	I, 690
Colossochelys atlas	— 689
Columba oenas	II, 439
Corixa affinis	I, 445
Cuterebra noxialis Goudot	II, 200
Człowieka zmyślność	IV, 433
Delphinus melas	II, 669
Diura violascens	I, 445
Dziebielatka żywa	II, 437
Echidna hystrix	*tamże*
Equus bisulcus Molina	IV, 665
Foraminifera	IV, 214
Gad rybowaty	— 211
Gasterosteus aculeatus	— 212
Giez w Nowéj Grenadzie	II, 200
Gistel. Lexicon der entomologischen Welt	IV, 220
Glyptodon Owen	— 208
Guérin-Méneville. Iconogr. du Regne anim. de Cuvier	I, 691
Helix nemoralis	IV, 214
Hippobosca i t. p.	— 218
Hydrarchus Sillimanni	I, 440
Jaj ptasich sztuczne wylęganie	IV, 665
Jaszczurek nowa familia	— 435
Ichnolitologia	III, 205
Ichtyaëtos leucogaster Gould	IV, 211
Kajmana żarłoczność	—*tamże*
Kangur w Nowéj Gwinei	II, 199
Kangury nowe	IV, 209
Kaszeloty	I, 233

	Tom, str.
Koluszczek gniazda	IV, 212
Kondory żywe	I, 688
Kotka karmi wiewiórczęta	— *tamże*
Krwi krążenie u zwierz. miękliwych	II, 208
Kuropatwa	— 439
Lepus hispidus Pearson	— 668
Lwica w Londynie	IV, 444
Łabędź niemy	II, 199
Łąkotek (*Chiton*) monografia	III, 208
Łososiopstrąg	I, 689
Macropus unguifer Gould	IV, 209
Malacobdella	I, 691
Małpa urodzona w Warszawie	— 687
Małże. Budowa ich skrzel	— 441
Manna w Australii	IV, 444
Menażerya w Algierze	II, 197
Metaporinus Michelini	IV, 668
Mewa oswojona	— 435
Monticelli. Zgon	I, 692
Móskity	II, 202
Motyla wycisk na marglu	— 208
Mrowiska w Australii	IV, 446
Müller i Troschel. Horae ichtyolog	I, 691
Narica. rodz. ślimaków	IV, 436
Nephelis Sav. wylęganie się	— 215
Nerwowy układ owadów	I, 443
Ocieklinek świerzbowy	IV, 438
Oedipoda	III, 208
Ornitologów Niem. zjazd w Koethen	I, 448
Ornitotychnity	II, 670. III, 207
Orzeł morski	IV, 211
Owadów układ nerwowy	I, 443
Pawi las w Indyach	II, 440
Petrogale inanata Gould	IV, 209
Phasia. rozróżn. gatunków	— 446
Pictet. Traité élement. de Paléontologie	I, 692
Pies dziki Now. Hol	IV, 663
Polipów rozwijanie się	II, 670
Proteus, nowy gatunek	I, 234
Psa wdzięczność	IV, 663
— zmyślność	II, 198
Pszczół olbrzymi rój w Ameryce	I, 446
Pszczoły bez żądeł w Gujanie	— 691
Ptaków wędrówki	IV, 210

	Tom, str.
Pterodactylus nov. spec.	I, 440
Pulex penetrans	II, 202
Pupipara, fam. owadów	IV. 218
Pustułka	II, 439
Ryb zatruwanie w Gujanie	I, 689
Ryby oswojone	— 440
Rytina	IV, 210
Saccopteryx (*Vespertilio*)	I, 687
Saperda gracilis Creutzer	IV, 667
Sarcoptes scabiei	— 438
Skrzel u małżów budowa	I, 441
Sysawek wylęganie się	IV, 415
Szarańczy przelot	III, 208
Szklanw (*Velella*) organizacya	I, 447
Sztelleryna (*Rytina*)	IV, 210
Sztuczne wylęganie jaj ptasich	— 665
Ślimaków zapadanie w skały	— 214
Świérzba co jest?	— 442
Theranopus heterodactylus King	II, 670
Trombidium gat. szkodliwy drzewom	I, 234
Trylobit olbrzymi	IV, 666
Tygrys ziemnowodny w Australii	— 444
Uria troile	II, 439
Velella. organizacya	I, 447
Vespertilio lepturus	— 687
Virey. Zgon	IV, 221
Wieloryby	I, 233
— kopalne	IV, 210
Wnikwa (*Pulex penetrans*)	II, 202
Wodonośny system krążenia	— 211
Wymoczki	IV. 219
Xenistum valenciennaci	I, 443, 691
Zégar ze zwierząt	— 686
Zoologiczny ogród w Berlinie	IV, 220, 435
Zwierzątka drobne w zepsutych kartoflach	I, 444
Zwierząt ślady kopalne	II. 670, III, 206
Zwierzęta kopalne	IV, 210
Zwierzęta jaką powstawały koleją?	I, 685
— rozmaicie miejsce odmieniają	II. 197
Zygaena laticeps	IV, 212
Żerafy anatomia i historya	I, 439
Żółw olbrzymi kopalny	— 689
Żółwie w Australii półn.	IV, 435

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846. WARSZAWA.

152. Lwica, przez Fryderyka Soulié. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1846. Druk Jana Jaworskiego. Tom I, kart 2 i str. 308. II. 315. Złp. 6 gr. 20.

WILNO.

153. Grammatyka Polska dla dzieci krótko zebrana, przez Adama Stanisława Krasińskiego Pijara. Z godłem:

To twój dawny znajomy, to dźwięk polskiéj mowy.
A. M.

12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 3 i str. 78. Rejestru karta 1. Złp. 2 gr. 20.

154. *Nowy Rossyjsko-Polski Bukwar.* Nowy Elementarz Rossyjsko-Polski albo nauka czytania po Rossyjsku dla młodzieży Polskiéj. Ułożony przez F. R. Wydanie dziesiąte poprawne, z przydaniem tabliczki mnożenia i wzoru pisania po rossyjsku. 8ka. Wilno. 1846. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. str. IV, i 67. Złp. 1.

155. Większy Katechizm dla młodzi Rzymsko-Katolickiego wyznania uczących się w naukowych zakładach w Rossyi za Najwyższym rozkazem z trzech części złożony i wydrukowany. *Wnow izdan po razporiażenii Naczalstwa Biełoruskaho Uczebnaho Okruha.* 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 231. Rejestru kart 2. Złp. 4 gr. 20.

156. Żywoty Świętych i Błogosławionych trzech Zakonów świętego Franciszka braci mniejszych, czerpane ze znakomitych w Kościele pisarzy, jakoteż z Brewiarza i innych autorów, i porządkiem dni roku ułożone przez X. Herkulana Juszkiewicza, tegoż Zakonu Regular. Obser. 2 tomy. 8ka. Wilno. 1846. Nakład T. Glücksberga Druk A. Dworca. Tom I. Kart 4. str. XVI i 424. Rejestru kart 2. T. II. str. 412. Rejestru kart 2. Złp. 15.

LIPSK.

157. Gracz czyli zegar ścienny pana Humphrey. Z Angielskiego przez Boza (Karola Dickens). Z 86 drzeworytami. 3 tomy. 16ka. Lipsk. 1846. Nakładem i czcionkami Reclama jun. Tom I, str. 306. II. 304. III. 282. Złp. 35.

1847. WARSZAWA.

1. Adjutant naczelnego wodza, rzecz z epoki Xięstwa Warszawskiego, przez M. Skotnickiego. 8ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 224. Złp. 6.

2. Domowa Zagroda. Rysy dziejów Polskich w opowiadaniu powieściowém dla młodzieży, napisał Józef Alexander Starza. (Miniszewski). Z godłem:

Kwiat, gdy z wiosną nie rozkwita,
Wcześnie uschnie na krzewinie;
Myśl, gdy młodo nie rozświta,
Już się nigdy nie rozwinie.
(J. B. Z.)

2. tomy 8ka. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. Nakład księgarni Ig. Klukowskiego. Tom I. str. 282. T. II. str. 220. W każdym kart napis. 2 i rejestru karta I. Złp. 12.

3. Kalendarz powszechny na rok zwyczajny 1847 mający dni 365 na wzór najsławniejszych Almanachów zagranicznych a mianowicie wydanego w Paryżu przez Towarzystwo uczonych, zawierający pożyteczne wiadomości, wypracowane przez znakomitych u nas uczonych, z zastosowaniem do powszechnego użytku i głównych potrzeb kraju, a wszczególności wszelkiego powołania gospodarzy, urzędników, kupców, artystów, przedsiębierców, rękodzielń, zgoła dla każdego stanu, płci i wieku. 4ka. Warszawa. 1847. Druk S. Orgelbranda. (Na okładce wyrażono: Rok trzynasty: jestto więc dalszy ciąg wydawanego dawniéj przez K. Niezabitowskiego). Kart 4, str. 50 i jarmarków kart 7. Złp. 2 gr. 10.

4. Kalendarz astronomiczno-gospodarski Polski i Ruski na rok 1847, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365. Opisy roślin rok dziesiąty. 4ka. Warszawa 1847. Nakładem i drukiem J. Jaworskiego. Karta 1, str. 42 i jarmarków str. 8. Złp. 2.

5. Kalendarz astronomiczno-gospodarski Polski i Ruski na rok 1847, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365 . . . 4ka. Warszawa. 1847. Nakład dawniéj Pukszty, a teraz własność G. Salzstejn wdowy. Druk S. Orgelbranda. Str. 27 i kart 9. Złp. 2.

6. Kalendarz Warszawski popularno-naukowy na rok zwyczajny 1847 mający dni 365. Wydany staraniem H(ippolita) Sk(imborowicza) R(edaktora) P(rzeglądu) N(aukowego). Rok drugi. 4ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Józefa Ungier. Kart 4, str. 36 i 8. Złp. 2 gr. 10.

7. Karciarze przez M. Skotnickiego. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 272, II. 274. III, 272. IV. 233. Złp. 18.

8. Nickleby czyli Panorama ruchoma społeczeństwa angielskiego. Napisał po Angielsku Karol Dickens (Boz). Tłómaczył M. S. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I str. 197. II, 200. III, 248, IV. 240. Złp. 20.

9. Opis powiatu Radomskiego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład autora, druk Kom. Rząd. Sprawiedliwości. Str. 204. Złp. 4.

10. Pamiętnik domowy. Kalendarz i rachmistrz dla wszystkich stanów na rok 1847. Ułożył i własnym uakładem i drukiem wydał J. Glücksberg... Rok drugi. 8ka. Warszawa. 1847. Str. XL. 320 i 18. Rejestru karta 1. Złp. 2 gr. 20.

11. Podarunek Cioci czyli powieści dla dorastających dzieci przez Józefinę O(sipowską) ofiarowane Helence i Ksawerciowi, ozdobione rycinami kolorowanemi. 8ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 392. (Z 6 rycinami). Złp. 8.

12. Śluzotok zaraźliwy czyli tryper we wszystkich swoich formach, skutkach i następstwach z dołączeniem najsłynniejszych sposobów leczenia. Podług najlepszych doświadczeń angielskich, francuzkich i niemieckich lekarzy, napisał Benjamin Rosenblum, lekarz praktykujący w Warszawie. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 3 i str. 204. Spisu rzeczy kart 4.

13. Życie Jezusa Chrystusa, przez Józefa Żochowskiego. Ozdobione rycinami według obrazów piérwszych mistrzów przedstawiającemi główne zdarzenia z życia Zbawiciela. 4ka. Warszawa. 1847. Nakład G. L. Glücksberga. Druk S. Strąbskiego. Kart 2 i str. 91. (Z 12 rycinami na stali). Złp. 30.

UWIADOMIENIE

od redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj zawiadamia łaskawych prenumeratorów, iż pismo jéj, sześć lat już bytu liczące, i na rok przyszły 1847 wychodzić będzie. Treść Biblioteki pozostanie w tych samych

granicach, jakie prospektem zakréślone zostały. Poszyty wychodzić będą, tak jak teraz, w większéj obszerności niż się redakcya zobowiązała, tojest, od 12 do 15 arkuszy druku.

Cena taż sama na przyszłość pozostaje, tojest złotych 60 rocznie w granicach Królestwa, za granicami złotych 80 (rub. sr. 12).

Z wyjściem niniejszego poszytu, otwartą jest przedpłata na Bibliotekę Warszawską na rok 1847 według zwykłych warunków, za opłatą całkowitą i częściową.

Komplet Biblioteki Warszawskiéj z każdego roku, złożony z dwunastu poszytów czyli cztérech tomów, kosztuje złotych 60. Cały komplet z lat sześciu, złożony z siedemdziesięciu dwóch poszytów, czyli tomów dwudziestu cztérech, nabyć można za złotych 360.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Październik 1846.

Październik 1846. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'45", na wschód jego szérokość gieogr. 52°13'5", długość w czasie 1ᵍ· 14ᵐ· 47ˢ· względem południka Paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1		752.59	752.19	752.09	752.04	+11°.6	+15°.5	+19°.3	+13°.3	87.0	pr. pogodny	pra. pochm.	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
2		750.48	750.64	747.52	745.71	9.8	16.5	18.5	15.5	88.0	mgła gruba	napół pog.	pochmurny	pr. pochm.	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
3		744.06	743.82	743 12	743.80	13.7	19 8	21.3	15.4	77.0	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochmurny	—	PdW.	PdW.	—		
4		744.31	745.02	746.84	748.84	11.2	16,3	16.7	13.2	88.0	napół pog.	pochmurny	chmuury	pochmurny	—	Pd.	Z.	Z.		
5	☽	750.52	751.17	752.60	750.70	12.0	16.6	18.3	13.1	85.7	mgła gruba	pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	Z.	Pd.	PdW.	—		
6		749.71	749.94	748.76	749.16	+11.0	+ 15.0	+ 18.9	+ 14.6	86.0	pr. poch.	napół pog.	napół pog.	lek. pochmu	—	—	—	Z.		
7		750.37	750.86	749.51	748.60	14.3	17.0	18.0	10.5	80.2	dészcz rosi.	napół pog.	napół pogo.	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
8		746.24	746.38	745.26	746.63	9.7	14.8	14.5	12.8	85.7	napół pog.	napół pog.	dészcz	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ,	Z.	0.50	
9		748.00	749.87	750.35	752.17	8.5	13.7	15.8	9.8	85.5	smugi	smugi	lek. zamgl.	napół pog.	Pd.	—	Z.	Z.	7.90	
10		753.49	754.50	752.86	752.32	5.3	12.3	15.5	8.0	87.7	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	—		
11		752.91	751.35	751.02	751.28	+ 5 8	+ 14.0	+ 16.3	+ 9.0	84.5	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	PdW.	PdZ.	Z.	—		
12	☽	750.11	749 68	746.95	746.74	4.3	12.7	17.7	10.9	82.2	pogodny	pogodny	smugi lek.	pr. pogodny	—	—	PdW.	PdW.		
13		744.69	744.65	745.49	747.85	7.5	14.0	13.3	8.7	85.2	pogodny	napół pog.	dészcz	pogodny	PdW.	Pd.	PdZ.	PdW.	1.40	
14		747.58	747.00	744.30	744 62	5.3	11.6	13.5	10.6	90.0	mgła gruba	napół pog.	pr. pochm,	lek. zach.	—	PdW.	Z.	Pd.		
15		744.04	744.07	742.89	743.10	7.8	13.6	16.2	13.2	86.7	napół pog.	napół pog.	napół pog.	dészcz	PdW.	Pd.	Pd.	—	3.20	
16		744.06	744.86	744.19	744.35	+11.8	+ 13.6	+ 15.9	+ 13.3	90.7	poch. mgła	mgła	pochmurny	dészcz	—	—	W.	W.		
17		745.32	746.39	747.91	749.55	11.2	15 3	17.6	12.5	90.2	mgła gruba	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	—		
18		750.24	750.94	750.05	750.79	10.2	16,0	20.0	13.9	84.0	smugi	smugi	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	—		
19		750.39	750.91	749.82	749.36	11.0	15.1	19.0	13.7	89.5	pogodny	pogodny	lek. zamgl.	lek. zamgl.	PdW.	Pd.	W.	PdW.		
20	☽	747.96	747 67	745.89	745.47	14.4	15.8	15.9	12.4	87.0	pochmurny	pochmurny	napół pog.	lek. zamgl.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
21		746.87	747.04	746.25	745.38	+10.7	+ 14,2	+ 15.4	+ 14.4	93.5	mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW,	PdW.	PdW.		
22		743.96	744.00	744.38	744.56	12.0	11,6	10.4	7.7	93.7	pochmurny	dészcz drob.	napół pog.	pogodny	Pd.	W.	PdW.	—	4.00	
23		749.62	751.10	752.75	754.05	7.0	9.8	11.8	9.6	92.5	napół pog.	pochmurny	napół pog.	pochmurny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
24		753.79	751 91	752.29	751.41	9.9	11.9	12.6	11.0	83.0	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	napół pog.	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
25		750.42	750.39	752.75	750.41	9.2	11.2	12.2	9.1	82.5	pochmurny	pr. pochm.	napół pog.	napół pog.	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
26		750.96	751.29	751.66	752.78	+ 6.2	+ 8.6	+ 10.0	+ 6.9	81.2	napół pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
27	☾	754.64	756.10	758.18	759.69	5 6	8,7	9.1	4.3	86.2	dészcz drob.	pr. pochm.	pochmurny	smugi	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
28		760.18	760.70	760.28	760.49	4.3	4.9	4.7	3.8	80.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW,	PdW.	PdW	PdW.	0.70	
29		760.78	761.42	760.41	760.59	2.8	3.6	2.7	+ 2.4	87.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	PdW.		
30		760.24	760.66	760.96	761.76	0.0	0.7	0.7	— 1.2	90.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	—	PdW.		
31		762.78	763.49	763.46	763.05	1.1	2.3	3.0	— 2.0	70.2	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
Śre.		750.365	750.730	750.348	750.531	+ 8°.58	+12°.48	+14°.03	+10°.01	85.9									19.00	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.492	27	8.690
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o g. 4 w.	763.49	28	2.452
Najniżej barometr dochodził d. 15 o g. 4 w.	742.89	27	5.321
Średnia zmiana dzienna barometru	2.755		1.22
Największa zmiana dzien. d. 22—23 o g. 10 w.	9.49		4.21
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.395		0.175
od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	750.887	27	8.865

Średnia temperatura Październ. wynosi + 11°.27 C. + 9°.02 R.
i ta jest wyższa o 3.25 2.60 „
od stanu normalnego z 20 lat poprz. + 8.024 „ + 6.42 „
Największe ciepło dochodziło d. 3 o g. 4 w. + 21.3 „ + 17.0 „
Najmniejsze d. 31 o g. 10 w. — 2.0 „ — 1.6 „
(Termometrograf wskazał: Maximum + 18°.0 d. 2; Minimum — 1.°6 R. d. 31).
Średnia zmiana dzienna temperatury 1.92 „ 1.54 „
Największa zmiana dzien. d. 21—22 o 10 g. w. 6.7 5.4 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 85.9, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 9,02 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 5; napół pogodnych 15; pochmurnych 11.
— deszczu 8 (d. 7, 8, 13, 15, 16, 17, 22, 27).
— mgły 6 (d. 2, 5, 12, 16, 17, 19).
— grzmotów 2 (d. 7, 22).
— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 14, 21).

Wody z deszczu spadło wysoko na millimetrów, 19.00 czyli 8.42 linij Par. co nawet nie wynosi połowy téj ilości (21, 59 linii) jaka w średniém przecięciu w tym miesiącu spada.

Październik w tym roku odznaczał się wysoką temperaturą, pogodnym stanem nieba, grzmotami i błyskawicami co się u nas w téj porze rzadko zdarzać zwykło. Miesiąc ten był o 2,6 stopnie R. cieplejszy jak zwykle; do dnia 22 średnia temperatura dzienna prawie stale 11 stopni R. wynosiła, dopiéro od d. 23 powietrze się ochłodziło.

Wiatr panujący był Południowo-Wschodni.

Wichrów nie było.

Dnia 5, słup świetny przechodził przez księżyc.
Dnia 6, koło białe otaczało księżyc.
Dnia 7, na słońcu wiele plam było widzialnych.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1846.

Historya.

Stron.

Niektóre szczegóły dotyczące się Zygmunta Augusta, skreślił *Tymoteusz Lipiński*..... 80

Obraz Elekcyi króla Michała (ks. Korybuta Wiśniowieckiego), przez X. *Józefa Gackiego*..... 296

O prawach miast Polskich najdawniejszych, przez *Wacława Alex. Maciejowskiego*..... 362

Starożytności i dzieje Czeskie. Wyjątek z dzieła o Czechii przez *E. C.*..... 457

Wiadomość o dworze królowéj Bony i królewien w 1518 r. podał *Tymoteusz Lipiński*..... 639

Biografia.

Żywoty malarzy Polskich, (Marcellego Bacciarellego i Antoniego Brodowskiego) przez *Edwarda* bar. *Rastawieckiego*..... 342

O życiu i pracach naukowych Alexandra Thisa, przez *Wincentego Majewskiego*..... 374

Nauki ekonomiczne.

O stosunkach handlu i transportu Warszawy i portów zaniemeńskich..... 1

O przedsięwzięciu żeglugi parowéj na Wiśle, przez *Felixa Miaskowskiego*..... 273

Prawo.

Stron.

Karygodność współwinowajców, podług prawa naszego z r. 1818 a mianowicie art. 21 do 24 włącznie, wyłożył pokrótce *Franciszek Maciejowski*..... 115

Podróże i opisy.

Wyjątek z dziennika podróży, Graefenberg, przez *Kajetana Kotowskiego*..... 172

Wyjątek z dzieła pod tytułem: W Alpach i za Alpami, przez *Łucyą* z książąt *Giedrojciów Rautenstrauch*... 229

Statystyka.

Wiadomość statystyczna o składzie nauczycielskim instytutów specyalnych, gimnazyów i szkół powiatowych Okręgu Naukowego Warszawskiego, z początkiem r. sz. 184⅔ i końcem 184⅚ 645

Poezye.

Wschodnia czterdziesta, Wiktora Hugo: On, tłóm. *Szymon Konopacki*..... 111

Ezechiel, scena liryczna, według pisma św. przez *Adama Słowikowskiego*..... 602

Powieści.

Przewóz przy Kazimierzu Lubelskim. Legienda przez *Adama Am. Kosińskiego*..... 37

Wizya króla Jana Kazimierza. Legienda przez *Adama Am. Kosińskiego*..... 504

Sztuki piękne.

Stowarzyszenia i uroczystości muzyczne, przez *Józefa Sikorskiego*..... 160

Loterya, operetka Stanisława Moniuszki, przez *Józefa Sikorskiego*..... 402

Rozbiór dzieł.

Ks. Hugona Kołłątaja korrespondencya listowna z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach: Wołyńskiéj, Podolskiéj i Kijowskiéj, przedsięwzięta w celu urządzenia instytutów naukowych i pomnożenia oświaty w 3ch rzeczonych guberniach. Rozbiór przez *Teodozego Sierocińskiego*..... 88, 578

Stron.

Grammatyka języka Polskiego Jana Nep. Deszkiewicza, przez *Józefa A. Czajkowskiego* 141

Jordan, fantazya dramatyczna przez Antoniego Sowę. Wilno. 1846, przez *A. Tyszyńskiego* 152

Zapóźno i Jeszcze dość wcześnie. Dwie powieści przez Paulinę z L. Wilkońską. 3 tomy. Warszawa. 1846. Przez *A. Tyszyńskiego* 382

Rodin, czyli duch na drodze pokuty, romans allegoryczny napisany przez Symeona Boguckiego. Warszawa. 1846. Przez *L. Z.* 388

Zasady Technologii chemicznej, obejmujące wiadomości treściwie zebrane o fabrykacyi i użytkach ważniejszych produktów mineralnych, przez Teofila Rybickiego. Warszawa. 1846. Przez *Józefa Bełzę* 399

Kataleptyk, powieść nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Sztyrmer. 2 tomy. Wilno, przez *A. Tyszyńskiego* 633

Zygmuntowskie czasy, powieść z roku 1572, przez Józefa I. Kraszewskiego. 4 tomy. Warsz. 1846. Przez *L. Z.*. 633

Odpowiedź na krytykę p. T. o dwóch powieściach Pauliny z L. Wilkońskiéj pod tytułem: Zapóźno i Jeszcze dość wcześnie, przez *Au. Wi.* 627

Pierwotne dzieje Polski i Litwy, zewnętrzne i wewnętrzne, wydał Wacław Alex. Maciejowski. Warszawa. 1846. przez *A. Tyszyńskiego* 633

Opis powiatu Radomskiego, przez ks. Fran. Siarczyńskiego, w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński. Warszawa. 1847. Przez *Felixa Bentkowskiego*..... 637.

Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft und Gesetzgebung des Auslandes, herausgegeben von Mittermajer und R. von Mohl. Tom 17. Przez *Felixa Zielińskiego* 189

Manuel de médecine légale, par M. M. Briand. Paris. 1846. Przez *K. Bachmana* 200

Législation et jurisprudence Française p. *Faverie. Paris.* 1846. Przez *K. Bachmana* 202

Répertoire méthodique de législation p. *Dalloz. Du duel, p. M. Cauchy. Dictionnaire de procédure civile et commerciale, p. M. Bioche. Traité des obligations, p. Poujol.* Przeglądy p. *K. Bachmana* 413

Nauki przyrodzone.

Ślady historyi naturalnej wszechświata. Ciała w przestrzeni, ich układ i początek 61

Stron.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Astronomia, p. J. *B*..... 204, 420, 650
Fizyka, p. *S. P*..... 205, 426, 652
Chemia, p. *J. B...e*..... 657
Historya naturalna p. *A. W*..... 429
Mineralogia..... 430
Zoologia przez *A. W*..... 208, 433, 663
Całoroczny spis wiadomości powyższych..... 669

Korrespondencya.

List *Józefa I. Kraszewskiego*..... 186
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przez *E. B. Rastawieckiego*..... 188
List do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przez *K. W*... 410
Oświadczenie p. *Wacława Alex. Maciejowskiego*..... 648
Kronika bibliograficzna..... 208, 447, 677
Doniesienia literackie..... 222, 448, 679
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném Warszawskiém:
za miesiąc sierpień r. b..... 225
— — wrzesień r. b..... 453
— — październik r. b..... 681